

IRWIN SHAW

POGODA DLA BOGACZY

Tom I

T. Książnica Katowice

Na dysk przepisał Franciszek Kwiatkowski

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

Pan Donnelly, opiekun drużyny lekkoatletycznej, wcześniej zakończył tego dnia trening, ponieważ ojciec Fullera przyszedł na boisko szkolne, aby powiedzieć mu, że przed chwilą nadeszła z Waszyngtonu depesza z wiadomością, iż brat Fullera poległ na polu chwały gdzieś w Niemczech. Henry Fuller był najlepszy z drużyny w pchnięciu kulą. Pan Donnelly pozostawił mu dość czasu, by mógł się przebrać w szatni, a następnie pójść z ojcem do domu; później zwołał gwizdkiem chłopców i oznajmił, że mogą się rozejść. Przez delikatność.

Drużyna baseballu w najlepsze trenowała dalej na boisku, bo przecież nikt z tamtych chłopców nie stracił brata.

Rudolf Jordach (dwieście dwadzieścia jardów przez płotki) poszedł do szatni i wziął natrysk, chociaż nie biegał tak wiele, by spocić się porządnie. W domu brakowało zawsze gorącej wody, a więc z natrysków szkolnych korzystał przy każdej sposobności. Szkołę zbudowano w 1927 roku, kiedy wszyscy mieli moc pieniędzy, toteż kabiny natryskowe były obszerne, suto zaopatrzone w gorącą wodę.

Znajdował się tam nawet basen i zazwyczaj Rudolf pływał także po treningach, obecnie jednak odmówił sobie tej satysfakcji. Przez delikatność.

W szatni chłopcy rozmawiali cicho i nie robili zwyczajnych w takich razach psikusów. Smiley, kapitan drużyny, wszedł na ławkę i powiedział że jego zdaniem wszyscy powinni się złożyć i kupić wieniec, jeżeli oczywiście odbędzie się nabożeństwo żałobne za brata Fullera. Sądził, że wystarczy pięćdziesiąt centów od osoby.

Po wyrazie twarzy chłopców widać było od razu, kogo z nich stać na pół dolara, kogo nie stać. Rudolf nie mógł sobie na to pozwolić, ale świadomie starał się o taką minę, jak gdyby mógł. Kapitanowi przytakiwali najskwapliwiej chłopcy, których przed początkiem roku szkolnego rodzice zabierali do Nowego Jorku i tam zaopatrywali w garderobę. Rudolfowi kupowano odzież w rodzinnym mieście Port Philip, w domu towarowym Bernsteina.

Mimo to był ubrany przyzwoicie - miał kołnierzyk i krawat, sweter pod skórzaną wiatrówką i brązowe spodnie od starego garnituru, którego marynarka poprzecierała się na łokciach. Henry Fuller należał do chłopców, których ubierano w Nowym Jorku, lecz jak pewien był Rudolf - nie cieszył się z tej racji dzisiejszego popołudnia.

Rudolf wyszedł z szatni szybko, gdyż nie chciał wracać z nikim do domu i rozmawiać po drodze o poległym bracie kolegi. Wolał nie silić się na współczucie, bo nie żył blisko z

Fullerem, który - jak to się często zdarza ludziom otyłym - był głupawy.

Szkoła znajdowała się w mieszkalnej dzielnicy miasta, położonej na północny wschód od centrum handlowego. Otaczały ją bliźniacze domki jednorodzinne, które powstały mniej więcej jednocześnie z budynkiem szkolnym, gdy miasto rozkwitało bujnie. Początkowo wszystkie były jednakowe, lecz z biegiem lat właściciele, zabiegając daremnie o jaką taką odmianę, malowali drzwi i futryny na rozmaite kolory, a tu i tam doczepiali balkon lub okno wykuszowe.

Rudolf dźwigał książki i maszerował popękkanymi chodnikami tej dzielnicy. Dzień wczesnej wiosny był wietrzny, lecz niezbyt zimny, a chłopiec miał świąteczne uczucie zadowolenia z powodu łatwych zadań domowych i skróconego treningu na boisku szkolnym. Większość drzew powypuszczała już młode listki, a pączki widać było wszędzie.

Szkoła stała na wzgórzu, więc Rudolf widział w dole rzekę Hudson - zimową jeszcze i wiejącą chłodem - i wieże miejskich kościołów, a dalej Zakłady Cegielnicze Boylana, gdzie pracowała jego siostra Gretchen, oraz biegnące wzdłuż rzeki tory kolejowe należące do kompanii New York Central. Port Philip nie było ładnym miastem, jakkolwiek niegdyś miało wiele uroku dzięki białym domom w stylu kolonialnym i po wiktoriańsku solidnym budowlom z kamienia. Ale pomyślne lata dwudzieste ściągnęły tu wiele nowej ludności - przeważnie robotników, których stłoczone i ciasne domki rozprzestrzeniały się w rozmaitych dzielnicach. Później kryzys pozbawił pracy prawie wszystkich, więc tandetnie budowane siedziby jęły niszczeć i - jak biadała nieraz matka Rudolfa - całe miasto zamieniło się w slumsy. Twierdzenie to niezupełnie zgadzało się z prawdą, gdyż północna część Port Philip obfitowała nadal w szerokie, czyste ulice i duże, ładne, starannie utrzymywane domy.

Nawet w podupadłych dzielnicach pozostawały jeszcze okazałe rezydencje, których trzymały się rodziny dawnych właścicieli - rezydencje otoczone rozległymi trawnikami i pięknymi grupami starych drzew.

Wojna przyniosła miastu nowy okres dobrobytu. Zakłady Cegielnicze Boylana i cementownia szły znowu całą parą, a nawet garbarnia i fabryka obuwia Byefielda rozkręciły się dzięki wojskowym zamówieniom. Jednakże podczas wojny ludzie mieli na głowie sprawy ważniejsze od troski o zewnętrzne pozory, toteż miasto - jeżeli to możliwe - prezentowało się jeszcze bardziej obskurnie niż kiedykolwiek dawniej.

Rudolf patrzył na rozpościerające się przed nim Port Philip - zabudowane chaotycznie i brzydkie w słonecznych blaskach wietrznego popołudnia - i zastanawiał się, czy ktoś chciałby oddać życie, by obronić je lub zdobyć, tak jak brat Henry'ego Fullera oddał swoje życie w boju o jakieś bezimienne miasto w Niemczech.

Żywił sekretną nadzieję, że wojna potrwa jeszcze dwa lata, chociaż ostatnio wcale na to nie zakrawało. Wkrótce ukończy siedemnaście lat, więc w rok później mógłby zaciągnąć się do wojska. Nieraz w wyobraźni widywał siebie ze srebrnymi dystynkcjami porucznika...

Oto z godnością odpowiada na wojskowy ukłon szeregowca albo pod ogniem karabinów maszynowych podrywa pluton do natarcia. Prawdziwy mężczyzna powinien zaznać wrażeń takiego rodzaju. Rudolf ubolewał, że nie ma dziś kawalerii. To byłoby coś - wymachiwać obnażoną szablą i w pełnym cwale szarżować na niecnego wroga!

W domu nie ważył się mówić o podobnych sprawach. Jego matka popadała w histerię, ilekroć ktoś napomykał, że wojna może przeciągnąć się długo i Rudolf zostanie zmobilizowany. Słyszał o chłopcach, którzy kłamliwie podawali swój wiek, by zaciągnąć się do wojska. Opowiadano mu o piętnasto- nawet czternastolatkach, co służyli w piechocie morskiej i zdobywali odznaczenia bojowe. Ale on nie mógłby zrobić czegoś podobnego. Przez wzgląd na matkę.

Jak zwykle nadłożył drogi, aby przejść obok domu, w którym mieszkała jego nauczycielka francuskiego, panna Lenaut. Niestety, nigdzie nie było jej widać!

Później wędrował przez Broadway, równoległą do rzeki główną drogą Port Philip, a zarazem odcinek wielkiej arterii komunikacyjnej łączącej Nowy Jork z Albany. Patrzył na przemykające szybko cudze samochody i marzył o posiadaniu własnego. Gdyby wreszcie miał wóz, jeździłby na wszystkie weekendy do Nowego Jorku. Nie bardzo wiedział, co mógłby tam robić, lecz w każdym razie jeździłby do Nowego Jorku.

Broadway, ulicę o nieokreślonym charakterze, wytyczały rozmaitego rodzaju przedsiębiorstwa handlowe stłoczone przypadkowo. Sklepy rzeźnicze i spożywcze supermarkety przeplatały się z dużymi magazynami, w których sprzedawano odzież i konfekcję damską, tanią biżuterię, artykuły sportowe. Jak zwykle Rudolf zatrzymał się przed oknem wystawowym „Army and Navy Store”, aby popatrzeć na sprzęt wędkarski rozłożony obok roboczego obuwia, koszulek i spodenek sportowych, latarek elektrycznych i syczoryków. Gapił się na eleganckie, wiotkie pręty wędek, opatrzone kosztownymi kołowrotkami. Chętnie łowił ryby w Hudsonie i podczas sezonu w ogólnie dostępnych strumieniach z pstrągami, ale posługiwał się prymitywnym sprzętem.

Skręcił w krótką, poprzeczną uliczkę, a następnie w lewo, na Vanderhoff Street, przy której mieszkał. Była to ulica równoległa do Broadwayu i usiłowała z nią współzawodniczyć, lecz robiła to źle, niby biedak w zmiętym garniturze i znoszonych trzewikach, który próbuje udawać, że wysiadł z Cadillaca. Sklepy były tu małe, a towary w witrynach zakurzone, jak gdyby kupcy zdawali sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie warto się fatygować. Niektóre z

nich - pozamykane w 1930 lub 1931 roku - dotychczas miały okna i drzwi zabite deskami. Kiedy krótko przed wojną zakładano nowe rury kanalizacyjne, przedsiębiorstwo prowadzące roboty wycięło drzewa, które ocieniały chodniki, następnie zaś nikt nie zatroszczył się o posadzenie nowych. Była to ulica długa i im bliżej domu Jordachów tym bardziej nędzna, jak gdyby posuwanie się w kierunku południowym wiązało się w jakiś sposób z degrengoladą.

Matka Rudolfa była na posterunku - w sklepie-piekarni za ladą.

Stała tam w szalu zarzuconym na ramiona, ponieważ marzła zawsze.

Dom był narożny i miał dwa wielkie okna wystawowe, więc pani Jordach utyskiwała stale, że przy takiej powierzchni szklanej nie sposób utrzymać ciepła w sklepie. W tej chwili pakowała do papierowej torby dziesięć bułek dla jakiejś małej dziewczynki. W witrynie od frontu leżały ciasta i torty, ale ostatnio ojciec nie wypiekał ich w suterenie. Na początku wojny zdecydował, że więcej z tym kłopotu niż korzyści. Obecnie ciężarówka z dużej piekarni mechanicznej dostarczała każdego rana wyroby cukiernicze, a Aksel Jordach wypiekał tylko chleb i bułki. Kiedy ciasta odleżały się trzy dni na wystawie, zabierał je na piętro - do zjedzenia dla rodziny.

Rudolf wszedł do sklepu i pocałował matkę, ta zaś pogłaskała go po twarzy. Zawsze wyglądała na zmęczoną i zezowała trochę, ponieważ paliła papierosa za papierosem, a dym drażnił jej oczy.

- Czemu tak wcześnie? - zapytała.

- Mieliśmy dziś krótszy trening - odpowiedział nie wyjaśniając przyczyny. - Zostanę w sklepie. Ty, mamó, możesz pójść na górę.

- Dziękuję - westchnęła. - Mój Rudi...

Pocałowała go znowu. Dla niego była bardzo czuła. Chciał, by czasami całowała również jego brata i siostrę, lecz nie robiła tego nigdy. Nie widział także, by kiedykolwiek całowała ojca.

- Pójdę na górę. Przygotuję obiad.

Tylko ona w rodzinie nazywała kolację obiadem. Najczęściej zajmowała się gotowaniem, a ojciec robił większość zakupów.

Twierdził, że jego żona jest rozrzutna i nie odróżnia dobrych produktów od złych.

Ze sklepu wyszła na ulicę, gdyż nie było drzwi łączących piekarnię z sienią i schodami wiodącymi na dwa górne piętra, gdzie zamieszkiwali Jordachowie. Rudolf patrzył na matkę, gdy mijając witrynę przyozdobioną wyrobami cukierniczymi, wzdrygnęła się pod uderzeniem wiatru. Musiał sobie przypomnieć, że to kobieta zaledwie po czterdziestce. Włosy miała siwe i ciężko powłóczyła nogami - niczym staruszka.

Sięgnął po książkę i zabrał się do lektury. Wiedział, że przez następną godzinę nie będzie w sklepie ruchu. Czytał zadane z angielskiego przemówienie parlamentarne Burke'a* „O pojednaniu z koloniami”. (* Edmund Burke [1729-1797] - postępowy działacz i pisarz angielski. Słowem i piórem występował w wielu sprawach, m.in. był orędownikiem pojednania z buntującymi się w Ameryce trzynastoma koloniami.) Było przekonujące, więc dziwił się, że rozumni, jak sądzić należało, dżentelmeni zasiadający w Izbie Gmin nie przyznali słuszności mówcy. Jak wyglądałaby dziś Ameryka, gdyby Burke zdołał ich przekonać? Czy mielibyśmy hrabiów, książąt zamki? Odpowiadałoby to chłopcu. Rad nosiłby tytuł szlachecki. Sir Rudolf Jordach, pułkownik Gwardii Królewskiej z Port Philip!

Jordachowie jadalі w kuchni. Ze względu na godziny pracy ojca rodzina zasiadała w komplecie jedynie do wieczornego posiłku. Tego dnia był na kolację gulasz jagnięcy. Mimo racjonowania artykułów spożywczych mieli zawsze mięsa pod dostatkiem, gdyż Aksel Jordach żył w przyjaźni w rzeźnikiem, panem Haasem - również Niemcem - który nie dopytywał się o kartki żywnościowe. Rudolf wstydził się trochę, że je czarnorynkowe mięso w dniu, gdy Henry Fuller dowiedział się o żołnierskiej śmierci swojego brata. Ale mógł tylko poprosić o małą porcję - głównie o marchewkę i ziemniaki - bo z ojcem nie sposób było mówić o podobnych subtelnościach.

Jego brat, Tomasz - jedyny blondyn w rodzinie, nie licząc matki, którą obecnie trudno byłoby nazwać blondynką - nie wstydził się niczego i o nic nie troszczył, zajadając z wilczym apetytem. Był dokładnie o rok młodszy od Rudolfa, lecz już równy mu wzrostem i znacznie mocniej zbudowany. Gretchen, starsza siostra, dbała o linię, więc nigdy nie jadła dużo. Matka ledwie tknęła jedzenia.

Ojciec, ciężki, barczysty mężczyzna bez marynarki, jadł obficie i od czasu do czasu ocierał gęste czarne wąsy wierzchem dłoni.

Gretchen nie czekała deseru w postaci trzydniowego placka z wiśniami, gdyż śpieszyła się do położonego na krańcu miasta szpitala wojskowego, w którym przez pięć wieczorów w tygodniu pracowała jako wolontariuszka pomagająca pielęgniarkom. Kiedy wstała od stołu, ojciec zdobył się na często powtarzany dowcip.

- Pilnuj się, mała - powiedział. - Nie pozwalaj żołnierzom dobierać się do siebie. Nie mamy w domu miejsca na pokój dziecienny.

- Tato! - zawołała tonem wyrzutu.

- Ja znam żołnierzy - odrzekł Aksel Jordach. - Pilnuj się, powiadam.

Rudolf pomyślał, że Gretchen to ładna, schludna, przyzwoita dziewczyna, więc

zrobiło mu się przykro, że ojciec tak ją traktuje. Ostatecznie tylko ona z całej rodziny przyczynia się jakoś do zwycięstwa.

Po kolacji Tom wyszedł również - jak każdego wieczora. Nigdy nie odrabiał zadań domowych i w szkole zbierał okropne stopnie. Miał blisko szesnaście lat i wciąż tkwił w niższych klasach. Nie dbał o nic i nie słuchał nikogo.

Aksel Jordach przeniósł się do bawialni, aby poczytać wieczorną gazetę przed nocną pracą w suterenie. Rudolf pozostał w kuchni, gdzie wycierał naczynia, które zmywała matka. Jeżeli ożeni się kiedyś, myślał, moja żona nie będzie musiała zmywać.

Gdy uporali się z robotą, pani Jordach rozstawiła deskę do prasowania, a Rudolf poszedł na piętro do pokoju, który zajmował wspólnie z bratem, i wziął się do odrabiania lekcji. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli wyzwoli się kiedyś od jedzenia w kuchni, wycierania świeżo zmytych naczyń, słuchania ojca, stanie się to wyłącznie dzięki książkom. Dlatego zawsze był uczniem najlepiej z całej klasy przygotowanym do odpowiedzi.

Warto by może, medytował Aksel Jordach zajęty pracą w suterenie, zaprawić raz trucizną jeden bochenek. Tylko raz, któreś nocy. Bez powodu. Dla draki. Niech by poszło komuś na zdrowie. Później okazałoby się komu.

Pociągnął łyk prosto z butelki, która pod koniec nocy miała być prawie próżna. Ręce aż do łokci miał umięszone, a także twarz w miejscach, gdzie ocierał pot. Cholerny ze mnie klaun, myślał.

Klaun bez cyrku!

Okno było otwarte na marcową noc i reński zapach wodorostów z pobliskiej rzeki przepełniał piwniczną izbę, jakkolwiek piec piekarski rozżarzał w niej powietrze. Jestem w piekle, myślał Aksel Jordach. Podsycam piekielne ognie, żeby zarabiać na chleb, żeby chleb wypiekać. Jestem w piekle i trudnię się pieczeniem bułeczek.

Podszedł do okna i odetchnął głęboko. Mięśnie klatki piersiowej - mocne, ale już z oznakami starości - naprężyły się pod przeponowym podkoszulkiem. Odległa o paręset kroków rzeka, wolna wreszcie od lodów, niosła z sobą tchnienie północy, ostatki zimy, która ciężko i groźnie sunie wzdłuż obydwu brzegów, niby pochód wojsk maszerujących wśród chłodu. Ren jest odległy o cztery tysiące mil.

Wojska i czołgi przeprawiają się przez niego po zaimprovizowanych mostach. Jakiś porucznik sforsował rzekę, ponieważ most nie został wysadzony w porę. Inny porucznik, po przeciwnej stronie, stanął przed sądem wojennym i plutonem egzekucyjnym, ponieważ mostu nie wysadził w porę, jak mu to rozkazano. Wielkie armie. Die Wacht am Rhein. Churchill

wysiusiał się ostatnio do tej rzeki. Bajecznej rzeki. Ojczystych wód Jordacha. Winnice i rusałki. Zamek... jakże-mu-tam. W Kolonii stoi nadal katedra i prawie nic więcej.

Ojczyzna, ukochana ojczyzna. Stara Kolonia, Zryte ruiny i niemożliwy do zapomnienia fetor trupów rozkładających się pod zwałami gruzów. To spotkało Kolonię, najpiękniejsze z miast.

Jordach przypomniał sobie dni młodości i przez okno splunął w stronę innej rzeki. Niezwyciężona armia niemiecka. Ilu poległych?

Jordach splunął ponownie i oblizwał czarne wąsy, które zwisały przy kącikach ust. Boże, błogosław Amerykę! Zabił człowieka, by dostać się do tego kraju. Raz jeszcze odetchnął głęboko bliskością rzeki i ciężko pokuśtykał do roboty.

Jego nazwisko widniało na szybie wystawowej nad oknem sutereny.

„A. Jordach - piekarni”. Dwadzieścia lat temu, kiedy szyld zawieszano, napis brzmiał: „Piekarnia”, lecz pewnej zimy „A” odpadło i Jordach nie zatroszczył się, by założyć nowe. Bez „A” sprzedawał tyle samo bułek.

Kot leżał blisko pieca, wpatrywał się w człowieka. Nikt nie pomyślał, by nadać imię zwierzęciu potrzebnemu do chronienia mąki od myszy i szczurów. Jeżeli Jordach musiał zwracać się do niego, mówił po prostu „kot”. Zapewne kot myślał, że to jego imię. Żywił się miseczką mleka dziennie i myszami oraz szczurami, jakie udało mu się upolować. Noc po nocy nieustannie obserwował czujnie człowieka - obserwował tak, że Jordach odgadywał pragnienia kota, który chciałby być dziesięć razy większy, tak duży jak tygrys, aby skoczyć na niego jakiejś nocy i raz wreszcie nazreć się do syta.

Piec nagrzał się wystarczająco, więc Jordach pokuśtykał w jego stronę i wsunął pierwszą blachę bułek. Skrzywił się, gdy odemknął drzwiczki i w twarz uderzył go żar rozpalonego wnętrza.

Na piętrze, w długim, wąskim pokoju, który zajmował wspólnie z bratem, Rudolf szukał wyrazu w słowniku angielsko-francuskim.

Ukończył właśnie odrabianie lekcji. Poszukiwany wyraz brzmiał: „tęsknić”. Rudolf pisał po francusku list miłosny do nauczycielki francuskiego, panny Lenaut. Niedawno przeczytał Czarodziejską Górę i cała książka - z wyjątkiem rozdziału opisującego seans - wydała mu się nudna. Natomiast silne wrażenie wywarł na nim fakt, że sceny erotyczne są po francusku, więc z niemałym trudem tłumaczył je na własny użytek. Sądził, że wyrażanie uczuć miłosnych po francusku to coś niezwykle wytwornego. No i z całą pewnością nie ma nigdzie w dolinie Hudsonu drugiego szesnastolatka, który układa tego wieczora list miłosny

po francusku.

„Enfin - pisał starannie, podobnym do druku, czytelnym charakterem, jaki wyrobił sobie w ciągu ostatnich dwu lat - enfin, je dois vous dire chere Madame, quand je vous vois par hasard dans les couloirs de l'ecole ou se promenant dans votre manteau bleu-clair dans les rues, j'ai l'envie - (nic bardziej zbliżonego do czasownika „tęsknić” nie umiał znaleźć w słowniku) - tres profond de voyager dans le monde d'ou vous etes sortie et des visions delicieuses de flaner avec vous a mes cotes sur les boulevards de Paris, qui vient d'etre libere par les braves soldats de votre pays et du mien. Votre cavalier servant, Rudolf Jordach”.

Przeczytał list po francusku, a następnie po angielsku tak, jak napisał go pierwotnie. Starał się, by jego angielszczyzna przypominała francuski możliwie najdokładniej: „Wreszcie muszę wyznać Ci, Droga Pani, że gdy widuję Cię przypadkowo na korytarzach szkolnych lub na ulicach, gdzie spacerujesz w swoim jasnoszafirowym płaszczu, tęsknię ogromnie, by podróżować w świecie, z którego Ty pochodzisz, i miewam rozkoszne wizje, że ramię w ramię z Tobą przechadzam się po bulwarach Paryża, który tak niedawno został wyzwolony przez walecznych żołnierzy Twojej ojczyzny, a także i mojej”.

Jeszcze raz odczytał francuską wersję. Był zadowolony. Z całą pewnością ten język jest najlepszy, jeżeli zależy komuś na prawdziwej wytworności. Następnie, nie bez żalu, podarł na drobne strzępy obydwie kartki. Dobrze zdawał sobie sprawę, że nigdy nie wyśle żadnego listu do panny Lenaut. Już dawniej napisał ich sześć i zniszczył wszystkie, bo panna Lenaut pomyślałaby niezawodnie, że oszalał, i najprawdopodobniej poskarżyłaby się dyrektorowi szkoły.

No i bardzo nie życzył sobie, by ktoś z domowników - ojciec lub matka, Gretchen lub Tom - znalazł w jego pokoju listy miłosne skreślone w jakimkolwiek języku.

Mimo wszystko jednak był zadowolony z siebie. Oto siedzi między nagimi ścianami małego pokoiku nad piekarnią i w odległości paruset kroków od wartkiej rzeki Hudson pisze miłosne listy. To dobra wróżba na przyszłość. Kiedyś będzie odbywał długie podróże i żeglował po tej rzece, i w jakichś nowych językach pisywał listy do pięknych kobiet o szlachetnym charakterze - listy, które naprawdę będą wysyłane pocztą.

Wstał i przejrzał się w małym lusterku wiszącym nad podniszczoną dębową komodą. Często przeglądał się, szukał we własnej twarzy zapowiedzi takiego mężczyzny, jakim pragnąłby zostać. Bardzo dbał o swój wygląd. Proste, ciemne włosy szczotkował pieczołowicie, od czasu do czasu wyskubywał kilka czarnych włosków wyrastających niepotrzebnie pomiędzy brwiami, unikał słodczy, żeby na twarzy mieć jak najmniej pryszczu, pamiętał, że należy uśmiechać się - nie śmiać na głos - i to nie nazbyt często. Nader

konserwatywnie dobierał kolory garderoby i starał się chodzić posuwicie, z gracją, z wyprostowanymi plecami, by nigdy nie sprawiać wrażenia, że śpieszy się albo jest nadmiernie ożywiony. Paznokcie obcinał regularnie, a raz na miesiąc siostra robiła mu manikiur. Ponadto unikał boksu, aby złamany nos nie zdeformował mu twarzy lub opuchlizny na knykciach nie oszpeciły jego smukłych, suchych dłoni. Formę utrzymywał trenując biegi w szkolnej drużynie lekkoatletycznej. Dla rozkoszowania się samotnością i kontaktami z przyrodą łowił ryby - na błyszczki, gdy go ktoś obserwował, kiedy indziej na robaki.

Votre cavalier servant - rzucił pod adresem lusterka.

Pragnął, by jego twarz wyglądała po francusku, kiedy posługuje się tym językiem - tak jak twarz panny Lenaut robi się nagle francuska, gdy nauczycielka rozpoczyna przemowę do klasy.

Usiadł przy zastępującym mu biurko, małym stoliku z jasnego dębu i rozłożył arkusz papieru. Usiłował przypomnieć sobie, jak dokładnie wygląda panna Lenaut. Jest dosyć wysoka. Ma szerokie biodra, cienkie, proste łydki i wydatny biust zawsze podany do przodu.

Nosi bardzo wysokie obcasy, rozmaite wstążki i używa szczerze szminki do ust. Począł rysować ją w ubraniu i chociaż nie osiągnął wyraźnego podobieństwa, udały mu się dwa loczki przed uszami oraz odpowiednio pełne i ciemne wargi. Później ją wyobrażał sobie, jak panna Lenaut może wyglądać rozebrana. Spróbował narysować ją nago.

Siedziała na stołeczku i przeglądała się w ręcznym lusterku.

Popatrzał na swoje dzieło. A niech to diabli! Wstyd mu się zrobiło, więc podarł szybko ten wizerunek golizny. Stanowczo zasługuje na to, aby mieszkać nad piekarnią! A gdyby tak rodzina odgadła lub odkryła, co on myśli i robi w swoim pokoju na drugim piętrze!

Zaczął rozbierać się do snu. Był w skarpetkach, ponieważ wołał, by matka, która zajmowała pokój pod nim, nie wiedziała, że on jeszcze czuwa. Strofowała go często, że zbyt mało sypia, bo każdego rana musiał wstawać o piątej i rozwozić pieczywo, przystosowaną do tego celu riksą rowerową. Kiedyś, gdy stanie się ważny i bogaty, będzie opowiadał, że w deszcz czy pogodę zrywał się o piątej, aby zaopatrywać w bułki Hotel Stacyjny i jadalnię „As”, i bar szybkiej obsługi prowadzony przez niejakiego Sinowskiego. Wolałby mieć na imię jakoś inaczej, nie Rudolf.

W kinie „Casino” Errol Flynn masami zabijał Japończyków. Tom Jordach siedział wśród ciemności w głębi sali i zjadał karmelki z paczki, którą w poczekalni wydobyl z automatu przy użyciu ołowianego krążka. Był mistrzem w fabrykowaniu ołowianych krążków zastępujących monety w automatach.

- Rzuć no jeden, stary - powiedział Claude Tinker tonem takim, jakim filmowy gangster mógłby poprosić kumpla o magazynek do rozpylacza.

Claude Tinker miał stryja duchownego, więc dla zrównoważenia tak kompromitującej paranteli chętnie przemawiał głosem prawdziwego mężczyzny. Tom rzucił w powietrze karmelek, a Claude pochwycił go i zaczął cmokać głośno. Siedzieli rozparci w fotelach, nogi trzymali na wolnych miejscach w rzędzie przed nimi. Do kina weszli, jak zawsze, przez obluzowaną kratę, którą wypatrzili w poprzednim roku. Krata zabezpieczała okno męskiej toalety ulokowanej w podziemiu, kiedy więc chłopcy wychodzili stamtąd, jeden lub drugi miewał niedopięty rozporek, by sprawie nadać bardziej przekonujący charakter.

Tom, znudzony filmem, patrzył na Errola Flynna, który używając różnorodnej broni rozprawiał się z japońskim plutonem.

- Trelandus-morelandus - wycedził.

- Jaką mową posługuje się pan, profesorze? - Claude włączył się do zabawy.

- To łacina, do cholery.

- Co za zdumiewające opanowanie wielu języków - powiedział Claude.

- Spójrz tam w prawo - podjął Tom. - Na tego żołnierza i jego cizię.

Kilka rzędów bliżej ekranu jakiś szeregowy siedział spleciony z dziewczyną. Sala była w połowie pusta. Nikt nie zajmował miejsca w rzędzie tamtych dwojga ani też w rzędzie za ich plecami. Claude zmarszczył czoło.

- Facet wygląda na cholernego draba - bąknął. - Popatrz na jego kark!

- Generale! - powiedział Tom. - I tak uderzymy o świecie.

- Ha! Odpoczniesz w szpitalu.

- Trzymasz zakład? Co?

Tom ściągnął nogi z krzesła, które miał przed sobą, wstał i ruszył w stronę przejścia. W obuwiu na gumowych podeszwach poruszał się cicho po wytartym chodniku okrywającym podłogę kina „Casino”.

Zawsze nosił obuwiu na gumowych podeszwach. Uważał, że człowiek winien pewnie trzymać się ziemi i w każdej chwili być gotowym do raptownego startu. Przygarbił nieco szerokie, obciążone swetrem bary. Wciągnął brzuch i z przyjemnością poczuł twardą, gładką powierzchnię pod ciasno opinającym go paskiem. Był gotów na wszystko. Uśmiechał się wśród ciemności, gdyż zaczynało go ogarniać podniecenie, jak zwykle w trakcie przygotowania do akcji.

Claude szedł za nim niechętnie. Był chuderławym, wąskim w ramionach chłopcem o długim nosie, wiewiórczym wyrazie twarzy i wilgotnych, miękkich wargach. Miał krótki

wzrok i nosił okulary, co bynajmniej nie przydawało mu urody. Był kombinatorem, postacią działającą za sceną; z kłopotów umiał wywijać się w porę, niby rutynowany adwokat, a nauczycieli skłaniał jakoś do wystawiania mu dobrych stopni, chociaż prawie nigdy nie otwierał książki szkolnej. Nieodmiennie nosił ciemne garnitury i krawaty, był przygarbiony niczym intelektualista, idąc nieśmiało powłóczył nogami, a więc sprawiał wrażenie istoty bez znaczenia - pokornej i z natury ustepliwej. Miał bujną wyobraźnię i zwracał ją wyłącznie w stronę wykroczeń przeciwko porządkowi społecznemu. Jego ojciec stał na czele księgowości w Zakładach Cegielniczych Boylana, a matka, która ukończyła wieczorową szkołę dla kobiet, przewodniczyła lokalnej komisji rekrutacyjnej. Z tej przyczyny, a także dzięki stryjowi duchownemu oraz własnej skromnej i odrażającej powierzchowności, Claude lawirował bezkarnie w światku swoich intryg.

Chłopcy przesunęli się wzdłuż rzędu próżnych krzeseł i usiedli za żołnierzem i dziewczyną. Żołnierz trzymał dłoń pod bluzką dziewczyny, metodycznie ugniatając jej piersi. Nie zdjął furazerki i ta sterczała stromo i wysoko nad jego czołem. Ręka dziewczyny zniknęła w mroku - gdzieś pomiędzy udami żołnierza. Obydwoje z uwagą spoglądali ku ekranowi, więc żadne nie zwróciło uwagi na pojawienie się dwu wyrostków.

Tom usiadł za dziewczyną. Pachniała przyjemnie, bo była suto skropiona jakąś wodą kwiatową, a ponadto spowijał ją mleczny, smakowity zapach dobywający się z torebki irysów, którymi posilała się para. Claude zajął miejsce za plecami żołnierza. Ten miał niedużą głowę, ale był wysoki i szeroki w barach, więc jego czapka zasłaniała prawie cały ekran. Claude musiał przechylać się z boku na bok, ilekroć chciał sprawdzić, jak rozwija się akcja filmu.

- Słuchaj no - szepnął. - Powiadam ci, że za duży. Na pewno waży co najmniej sto siedemdziesiąt funtów.

- Nie martw się - odszepnął Tom. - Zaczynaj.

Mówił pewnym siebie tonem, lecz w końcach palców i pod pachami odczuwał przelotne dreszczyki niepokoju. Świadczyły one o lęku i wahaniu, były mu dobrze znane i tym bardziej zaostrzały mu smak oczekiwania oraz przydawały uroku końcowemu starciu.

- Jazda! - rzucił ochryplym szeptem towarzyszowi. - Nie mamy czasu do rana.

- Ty jesteś wodzem - odrzekł Claude; pochylił się do przodu i dotknął ramienia żołnierza. - Bardzo przepraszam, sierżancie - rozpoczął. - Czy nie zechciałby pan zdjąć czapki? Zasłania mi ekran.

- Nie jestem sierżantem - odpowiedział żołnierz nie odwracając głowy.

Nie zdjął też czapki. W dalszym ciągu pilnie śledził rozwój filmu i pracowicie ugniatał

piersi dziewczyny.

Chłopcy siedzieli cicho przez dobrą minutę. Prowokowanie uprawiali wspólnie tak często, że obchodzili się bez sygnałów porozumiewawczych. Wreszcie Tom pochylił się do przodu i ciężką dłoń spuścił na ramię żołnierza.

- Mój kolega zwrócił się do pana z uprzejmą prośbą - powiedział. - Psuje mu pan przyjemność oglądania filmu. Jeżeli nie zdejmie pan czapki, będziemy zmuszeni odwołać się do obsługi kina.

Żołnierz wyraźnie rozdrażniony, poruszył się na krześle i odwrócił.

- Macie dwieście wolnych miejsc. Niech twój kolega przesiądzie się gdzie indziej, jeżeli źle stąd widzi - powiedział i wrócił do swoich dwu zainteresowań: seksu i sztuki.

- Jest na dobrej drodze - szepnął Tom towarzyszowi. - Rób swoje.

Tym razem Claude klepnął przeciwnika po ramieniu.

- Cierpię na rzadko spotykane niedomaganie wzroku - zaczął znowu.

Widzę film wyłącznie z tego miejsca. Na każdym innym mam przed sobą tylko mgłę. Nie potrafię powiedzieć, kto jest teraz na ekranie, Errol Flynn czy może Loretta Young.

- Idź do okulisty - odburknął tamten.

Dziewczyna roześmiała się z dowcipu. Roześmiała się tak, jak gdyby w gardle zabulgotała jej woda. Żołnierz też parsknął śmiechem.

Chciał pokazać, że należycie docenia własną osobę.

- To nieładnie szydzić z cudzego kalectwa - powiedział Tom.

- Zwłaszcza teraz, podczas wojny - podchwycił Claude - kiedy spotyka się tylu kalekich bohaterów.

- Co z was za Amerykanie? - Tom podniósł głos patriotycznie. - Chciałbym zapytać, co z was za Amerykanie?

Dziewczyna odwróciła głowę.

- Odczepcie się, szczeniaki - syknęła.

- Pozwolę sobie zwrócić panu uwagę - przemówił znowu Tom - że czynię pana osobiście odpowiedzialnym za wszystko, co powie towarzysząca panu dama.

- Nie zwracaj na nich uwagi, Angelo. - Żołnierz miał głos wysoki, tenorowy.

Chłopcy umilkli znów na chwilę. Następnie Tom przemówił falsetem, naśladowując japoński akcent.

- Dziś wieczorem umrzesz, amerykański kundlu. Dziś wieczorem urznę ci jaja.

- Jak się wyrażasz, łobuzie? - rzucił żołnierz zwróciwszy się w jego stronę.

- Trzymam zakład - podjął Tom - że facet jest dzielniejszy niż Errol Flynn. - Na

pewno ma w domu pełną szufladę medali, ale skromność nie pozwala mu ich nosić.

Żołnierz zaczął być naprawdę zirytowany.

- Nie moglibyście siedzieć cicho, chłopcy? - rzucił. - Przyszliśmy tutaj, żeby oglądać film.

- A my przyszliśmy, żeby się kochać - podchwycił Tom i ostentacyjnie pogłaskał policzek kolegi. - Prawda, kurewko? - zwrócił się do niego.

- Mocniej, kochanie! Ściskaj mnie mocniej! - zapiszczał Claude. - Twardnieją mi sutki.

- Jestem w ekstazie. Skórę masz gładką jak tyłeczek niemowlęcia.

- Wsuń mi język do ucha - podchwycił Tom. - O tak, kochanie! Aż mi słabo!

- Dostyc tego! - rzucił żołnierz i ostatecznie wyciągnął dłoń zza bluzki dziewczyny. - Jazda stąd, do wszystkich diabłów!

Odezwał się głośno, gniewnym tonem, więc kilka osób siedzących bliżej ekranu poczęło zwracać głowy w tę stronę, sykać karcąco.

- Żywą gotówką zapłaciliśmy za miejsca - zaczął znów Tom. - Nie przesiądziemy się nigdzie.

- To się okaże! - Żołnierz podniósł się; miał blisko sześć stóp wzrostu. - Zawołam biletera.

- Spokojnie, Sidney. Siadaj - zabrała głos dziewczyna. - Nie pozwól wyprowadzić się z równowagi tym chłystkom.

- Sidney! - zawołał Tom. - Pamiętaj, że jesteś osobiście odpowiedzialny za wszystko, co mówi towarzysząca ci dama. To ostatnie ostrzeżenie.

- Bileter! - krzyknął żołnierz na całą salę, w której głębi, pod światłem oznaczającym wyjście, drzemał bileter w szamerowanym złotem uniformie.

- Szszaa! Szszaa! - zabrzmiało z rozmaitych punktów sali.

- Prawdziwy wojak z niego - powiedział Claude. - Wzywa posiłki.

- Siadaj, Sidney. - Dziewczyna pociągnęła go za rękaw. - To jakieś łobuziaki.

- Zapnij bluzkę, Angelo - syknął Tom. - Widać ci cycki.

Wstał również na wypadek, gdyby żołnierz chciał rozpocząć bójkę.

- Proszę usiąść - przemówił uprzejmie Claude, gdy bileter zbliżał się środkowym przejściem. - To najlepsza część filmu. Za nic nie chciałbym jej stracić.

- O co tu chodzi? - zapytał bileter, otyły, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna o znudzonej minie, który na dziennej zmianie pracował w fabryce mebli.

- Niech pan ich wyrzuci - odrzekł żołnierz. - Używają nieprzyzwoitych słów w

obecności tej pani.

- Ja poprosiłem tylko, żeby pan zdjął czapkę - obruszył się Claude. - Nie mówiłem nic więcej. Prawda, Tom?

- Tak, proszę pana - podchwycił Tom zwracając się do biletera. - On nic więcej nie mówił. Cierpi na rzadko spotykaną chorobę oczu.

- Co takiego? - zdziwił się bileter.

- Może dojść do awantury, jeżeli pan nie wyrzuci łobuzów - zawołał żołnierz.

- Dlaczego, chłopcy, nie przesiądziecie się na inne miejsca? - podjął bileter.

- On to wytłumaczył - odpowiedział Claude. - Cierpię na rzadko spotykaną chorobę oczu.

- Żyjemy w wolnym kraju - podchwycił Tom. - Człowiek płaci za wejście i siada, gdzie mu się podoba. A on co sobie myśli? Że jest kim? Może to Adolf Hitler, no nie? Wielka szyszka! Tylko dlatego, że ma na sobie mundur! Ale na pewno nie był nigdy bliżej Japończyków niż w Kansas City w Missouri. Przychodzi tutaj, daje zły przykład amerykańskiej młodzieży, publicznie maca dziewczynę.

W mundurze!

- Zleję łobuzów, jeżeli pan ich nie wyrzuci - zagroził żołnierz zaciskając pięści.

- Ty używasz brzydkich wyrazów - zaatakował bileter Toma. - Słyszałem na własne uszy. Gdzie indziej. Nie w tym kinie. Zmiataj stąd.

Tymczasem cała widownia zaczęła już szemrać. Bileter nachylił się, chwycił za sweter Toma, który poczuł na sobie ciężką rękę i zrozumiał, że temu przeciwnikowi nie da rady.

- Idziemy, Claude - powiedział wstając i zaraz zwrócił się do biletera: - Już dobrze, proszę pana. Niech będzie. Nie chcemy robić zamieszania. Zwróci nam pan pieniądze za bilety i pójdziemy.

- Jeszcze czego! - zawołał bileter.

Tom usiadł znowu.

- Znam swoje prawa! - oznajmił tak głośno, że jego okrzyk zagłuszył strzelaninę z ekranu. - No! Niech mnie pan uderzy!

Proszę! Niech mnie pan pobije!

- Spokój... Spokój - westchnął bileter. - Zwrócę wam pieniądze.

Zbierajcie się.

Chłopcy wstali. Tom uśmiechnął się do żołnierza.

- Ostrzegłem cię, Sidney. Czekał przed kinem.

- Idź do diabła i poproś mamusię, żeby ci zmieniła pieluszki - odburknął tamten i

ciężko opadł na fotel.

W poczekalni bileter wypłacił chłopcom po trzydzieści pięć centów z własnej kieszeni i zażądał od nich pokwitowania, aby przedstawić je właścicielowi kina. Tom skreślił nazwisko swojego nauczyciela algebry, Claude - prezesa banku, w którym jego ojciec miał konto.

- I żebym nie widział was tu więcej - powiedział bileter.

- To miejsce publiczne - zaproponował Claude. - Jak pan nas zaczepi, dowie się o tym mój ojciec.

- A kto jest twoim ojcem? - zaniepokoił się tamten.

- To się okaże. We właściwym czasie - rzucił Claude tonem pogrożki.

Chłopcy opuścili poczekalnię z godnością, lecz na ulicy zaczęli klepać się nawzajem po plecach i wybuchnęli śmiechem. Było wcześniej. Film miał skończyć się dopiero za pół godziny, więc przeszli na drugą stronę ulicy i w jadalni wydali pieniądze biletera na kawę i paszteciki z mięsem. Radio stojące za bufetem było włączone. Spiker mówił o sukcesach, jakie armia amerykańska osiągnęła tego dnia w Niemczech oraz o prawdopodobieństwie, że niemieckie naczelne dowództwo zorganizuje ostatnią redutę obronną w Alpach Bawarskich.

Tom słuchał tego z wyrazem niesmaku na okrągłej twarzy przypominającej buzię małego dziecka. Wojna nudziła go śmiertelnie. Nie miał nic przeciwko samym walkom, ale robiło mu się niedobrze od ustawicznych bredni o ideałach, poświęceniach i naszych bohaterskich chłopcach. Był pewien, że jego nikt i nigdy nie zaciągnie do wojska.

- Proszę pani! - zawołał pod adresem kelnerki, która siedziała za bufetem i polerowała paznokcie. - Nie dałoby się puścić trochę muzyki?

Patriotyzmu miał dosyć w domu - dzięki siostrze i bratu.

- Nie ciekawiście chłopcy, kto wygrywa wojnę? - odpowiedziała sennie.

- My mamy kategorię F - powiedział Tom. - Cierpimy na rzadko spotykaną chorobę oczu.

- Ach, moja rzadko spotykana choroba oczu! - westchnął Claude pochylony nad filiżanką kawy.

Obydwaj parsknęli znów śmiechem.

Kiedy drzwi otworzyły się i publiczność zaczęła wychodzić, chłopcy byli na posterunku przed kinem. Tom oddał przyjacielowi zegarek, żeby nie rozbił go przypadkiem. Stał nieruchomy, absolutnie opanowany, z rękami zwisającymi miękko wzdłuż ciała. Miał nadzieję, że żołnierz nie wyszedł z sali przed końcem seansu.

Claude spacerował nerwowo tam i z powrotem. Twarz miał spoconą, pobladłą z

wrażenia.

- Co? Jesteś pewien swego? - zapytał. - Zupełnie pewien? - Skurwysyn wygląda na mocnego draba. Nie byłbym taki pewien, gdybym był tobą.

- Nie martw się o mnie - odpowiedział Tom. - Trzymaj tylko na dystans gapiów, żebym miał dosyć miejsca. Nie chcę dopuścić do zwarcia. - Zmrużył oczy. - No, mamy go!

Żołnierz i jego dziewczyna weszli na chodnik. On wyglądał na dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata. Był tęgawy i miał posępną twarz o grubo ciosanych rysach; bluza mundurowa wydymała się na przedwcześnie wydatnym brzuchu, lecz wszystko to sprawiało wrażenie siły. Nie nosił naszywek podoficerskich na rękawie ani też żadnych baretek. Władczo trzymał dziewczynę za ramię, pilotował ją w ludzkim strumieniu.

- Pić mi się chce - mówił właśnie. - I co? Wdepniemy gdzie na piwko?

Tom postąpił kilka kroków, zatrzymał się przed nim, barykadując mu drogę.

- O, znowu jesteś! - rzucił gniewnie żołnierz.

Przystanął na moment. Następnie ruszył naprzód i odepchnął chłopca.

- Nie rozbijaj się! - zawołał Tom i chwycił przeciwnika za rękaw.

- Nie pójdziesz nigdzie.

Żołnierz zatrzymał się zdziwiony. Z góry spojrzał na chłopca, który był przynajmniej o trzy cale niższy od niego, miał jasne włosy i w swoim starym, granatowym swetrze oraz trzewikach na gumowych podeszwach prezentował się nieszkodliwie.

- Czupurny jesteś jak na pętaka w twoim wieku. No, zmiataj z drogi! - powiedział żołnierz i jedną ręką odtrącił go na bok.

- Co się rozbijasz, Sidney? - zawołał Tom i mocno uderzył go w pierś wierzchem dłoni.

Ludzie zaczęli gromadzić się dookoła, przypatrywać ciekawie.

Żołnierz poczerwieniał na twarzy. Widać było, że gniew w nim wzbiera.

- Ręce przy sobie, gówniarzu, bo oberwiesz.

- Co cię napadło, chłopcze? - odezwała się dziewczyna. - Daj lepiej spokój głupim żartom.

Przed wyjściem z kina umalowała usta, lecz na podbródku miała ślady szminki i najwidoczniej krępowo ją, że zwraca na siebie powszechną uwagę.

- To nie żarty, Angelo - powiedział Tom.

- Przestań wygłupiać się z tą Angielką! - huknął żołnierz.

- Żądam przeprosin - podjął Tom.

- Co najmniej przeprosin - podchwycił Claude.

- Oni żądają przeprosin? Za co? - Żołnierz zwrócił się do niewielkiego tłumku, który zdążył zgromadzić się dokoła. - To jakieś pomyłone dzieciaki!

- Albo przeprosisz za obelgi, jakimi twoja dama obrzuciła nas w kinie - podjął Tom - albo poniesiesz konsekwencje.

- Idziemy na prawo, Angelo - powiedział żołnierz, lecz Tom chwycił go znów za rękaw i mocno szarpnął.

Szew na ramieniu bluzy puścił i pękł z trzaskiem. Żołnierz odwrócił głowę, by obejrzeć szkodę.

- Do diabła! Podarłeś mi bluzę, łobuzie!

- Powiedziałem przecież, że nie pójdziesz nigdzie.

Tom cofnął się nieco, ugiął ręce w łokciach, rozprostował palce.

- A ty nie będziesz mi darł munduru! - krzyknął tamten. - Kim byś nie był, pętaku!

Zamachnął się i płaską dłonią uderzył chłopca, który zrobił unik i przyjął cios lewym ramieniem.

- Oo! - wrzasnął podnosząc prawą dłoń do uderzonego miejsca. Zgiął się w pół, jak gdyby strasznie go bolało.

- Widzieli państwo? - zwrócił się Claude do widzów. - Widzieli państwo? Ten drab uderzył mojego kolegę.

- Posłuchaj no pan, panie wojak - zabrał głos szpakowaty mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu. - Nie wypada bić małego chłopca.

- Dałem mu tylko klapsa - wyjaśnił uprzejmie żołnierz. - Smarkacz zaczepia mnie ciągle, więc...

Tom wyprężył się nagle i zaciśniętą pięścią trafił przeciwnika w szczękę - nie za mocno, aby go nie spłoszyć. W tej sytuacji nic nie mogłoby już powstrzymać żołnierza.

- Sam chciałeś, szczeniaku! - krzyknął i natarł na Toma, ten zaś cofnął się trochę i plecami odepchnął gapiów.

- Miejsce! - zawołał Claude. - Dajcie walczącym miejsce!

- Sidney! - pisnęła dziewczyna. - Zabijesz go! Sidney!

- Nie. Dam tylko lekcję łobuzowi. Przetrzepię mu skórę.

Tom zebrał się w sobie. Lewym sierpem trafił przeciwnika w skroń a jednocześnie jego prawa pięść wylądowała w samym dołku. Żołnierz z głuchym charkotem wypuścił z płuc powietrze. Tom cofnął się trochę tanecznym krokiem.

- To zgroza - odezwała się jakaś kobieta. - Taki wielki mężczyzna.

Ktoś powinien temu przeszkodzić.

- Wszystko w porządku - zaproponował jej mąż. - On powiedział, że mu przetrzepie skórę i tyle.

Żołnierz zamachnął się od prawej - powoli, ciężko. Tom zrobił znowu unik i obydwoma pięściami zaatakował odsłonięty brzuch przeciwnika, który zgiął się w pół i w tym momencie zaczął odbierać potężne ciosy w twarz i czoło. Pluł krwią, niepewnie osłaniał głowę rękami, później popróbował zwarcia. Tom lekceważąco pozwolił się objąć, lecz wolnymi rękami jął bombardować zawzięcie nerki przeciwnika. Żołnierz osunął się z wolna na jedno kolano.

Spoglądał na Toma tępo przez krew spływającą mu z rozciętego czoła. Angela płakała. Gapie milczeli. Tom cofnął się o krok. Nie był nawet zdyszany. Na policzkach miał nikielne rumieńce pod delikatnym, jasnoblond chłopięcym zarostem.

- Mój Boże! - westchnęła pani, która uprzednio domagała się, by ktoś temu przeszkodził. - A wygląda na takie niewiniątko!

- I co? Wstajesz? - zwrócił się Tom do przeciwnika, który patrzył na niego i nieporadnie kręcił głową, by strząsnąć krew zalewającą mu oczy. Angela przyklękła obok, chusteczką do nosa zaczęła ocierać jego rany. Cała awantura trwała nie dłużej niż trzydzieści sekund.

- Na dzisiaj starczy, proszę państwa - oznajmił Claude i otarł twarz zwilżoną potem.

Tom wystąpił z kręgu przypatrujących mu się kobiet i mężczyzn.

Wszyscy milczeli, jak gdyby tego wieczora oglądali coś groźnego, przeciwnego naturze, coś, o czym chcieliby zapomnieć jak najprędzej.

U skrzyżowania ulic Claude dopędził przyjaciela.

- Stary! - zawołał. - Jak pragnę zdrowia, stary! Fajno dziś pracowałeś. Kombinowałeś, co? Mądrze kombinowałeś!

- „Zabijesz go, Sidney!” - pisnął Tom naśladując głos Angeli i parsknął śmiechem.

Czuł się cudownie. Przymknawszy oczy, wspominał zetknięcia swoich pięści ze skórą, z kośćmi, z mosiężnymi guzikami bluzy mundurowej.

- Pierwszorządnie było - powiedział. - Pierwszorządnie, ale za krótko. Powinienem bawić się z nim dłużej, ale cóż... To był wór gówna. Na drugi raz wytypujemy kogoś, kto potrafi walczyć.

- Stary! - odezwał się znów Claude. - Ja miałem frajdę! Prawdziwą frajdę! Chciałbym zobaczyć jutro gębę tego gościa. Kiedy następna robota?

Tom wzruszył ramionami.

- Kiedy? Jak będę w formie. Dobranoc, Claude.

Nie życzył sobie towarzystwa kolegi. Wolał być sam i sekunda po sekundzie przeżywać znowu stoczoną niedawno walkę. Claude przywykł do takiego rodzaju raptownych pożegnań, więc i to przyjął z należyty szacunkiem. Geniusz ma swoje prawa.

- Dobranoc - powiedział tylko. - Do jutra.

Tom pożegnał go skinieniem ręki, odwrócił się i ruszył w długą drogę do domu. Z reguły wybierał odległe dzielnice miasta, gdy nawiedzał go wojowniczy nastrój. W bliższym sąsiedztwie był zbyt dobrze znany, więc wszyscy unikali go przezornie.

Szybko szedł ciemną ulicą w kierunku zapachu zalatującego od rzeki. Od czasu do czasu tańczył przez chwilę dokoła latarnianego słupa. Pokazał im. Pokazał! No i pokaże jeszcze. Wszystkim!

Kiedy skręcał w ostatnią przecznicę, zobaczył swoją siostrę Gretchen, która zmierzała w stronę domu od przeciwnej strony. Nie widziała go, bo szła z opuszczoną głową i śpieszyła się najwyraźniej. Wolał z nią nie rozmawiać. Od czasu gdy miał osiem lat, nie powiedziała nigdy nic, czego słuchałby chętnie. Patrzył, jak Gretchen prawie biegnie i koło drzwi sąsiadujących z oknem wystawowym piekarni wyjmuje klucz z torebki. Może kiedyś pójdzie za nią ukradkiem, wyśledzi, co tak naprawdę jego siostra robi wieczorami.

W tej chwili otworzyła drzwi i weszła do sieni. Tom czekał, by zdążyła wejść na piętro i znaleźć się na pewno w swoim pokoju.

Wreszcie przeciął jezdnię i zatrzymał się przed frontonem odrapanego szarego budynku z drewna. Jego dom! Urodził się w tym domu. Przyszedł na świat trochę za wcześnie, więc nie było czasu na przewiezienie matki do szpitala. Ile razy słyszał opowiadanie o tym wydarzeniu? I co? Wielkie rzeczy urodzić się w domu! Królowa nie opuszcza pałacu w takich przypadkach. Następca tronu pierwszy raz ogląda światło dzienne w królewskiej sypialni. Dom sprawiał wrażenie takie, jak gdyby był opuszczony, gotów do rozbiórki. Tom splunął z obrzydzeniem. Patrzył na rudere i zamierało jego radosne uniesienie. Okno sutereny, w której pracował ojciec, było oświetlone. Jak zawsze! Twarz chłopca spochmurniała. Całe życie w piwnicy! Co oni wszyscy widzą? Nic.

Otworzył drzwi kluczem i począł wspinać się na drugie piętro, gdzie zajmował pokój wspólnie z Rudolfem. Cicho, ostrożnie szedł skrzypiącymi schodami. Bezszelestne poruszanie się uważał za punkt honoru. Wyjścia z domu i powroty stanowiły jego osobistą sprawę.

Zwłaszcza w podobne jak ta noc. Na rękawie swetra miał ślady krwi. Nie życzył sobie, by ktoś zobaczył go i podniósł lament z tej przyczyny.

Kiedy po cichu zamknął drzwi za sobą, usłyszał, że Rudolf równo oddycha we śnie.

Układny, solidny Rudolf. Ideał dżentelmena, pachnący pastą do zębów, zawsze prymus w klasie, ulubieniec wszystkich. On nie wraca nigdy do domu upaprany krwią. Nie! Śpi przykładnie by nie zmarnować przykładnego ranka. Może być przecież klasówka z matematyki albo trygonometrii. Tom rozebrał się po ciemku i niedbale rzucił na krzesło garderobę. Nie miał ochoty odpowiadać na żadne pytania brata. Rudolf to nie sojusznik. Jest po przeciwnej stronie. Niech sobie będzie. Kogo to obchodzi?

Tom jednakże obudził brata, kładąc się do wspólnego łóżka.

- Gdzie byłeś? - zapytał sennie Rudolf.

- W kinie.

- Dobry film?

- Parszywy.

Cicho leżeli w ciemnościach. Rudolf przesunął się bliżej swojego brzegu łóżka. Sypianie razem z bratem uważał za poniżające. W pokoju było zimno, bo wiatr znad rzeki wdzierał się przez otwarte okno. Rudolf zawsze otwierał je szeroko na noc. Gdy miał jakąś zasadę, stosował się do niej niezłomnie. Sypiał w piżamie. Tom nie. Rozbierał się tylko do krótkich kalesonów. Dwa razy w tygodniu miewali sprzeczki na ten temat.

Rudolf pociągnął nosem.

- Do licha - mruknął - śmierdzisz jak dzikie zwierzę. Co ty robiłeś?

- Nic szczególnego - odpowiedział Tom. - Nie moja wina, że tak śmierdzą.

Gdyby to nie był mój brat, stłukłbym mazgaja na kwaśne jabłko, pomyślał.

Żałował, że nie ma pieniędzy, by wybrać się do Alicji, za dworzec kolejowy. Kosztem pięciu dolarów stracił cnotę i kilka razy bywał tam jeszcze później. Działo się to latem. Pracował wtedy na rzecznej pogłębiarce i ojcu mówił, że zarabia o dziesięć dolarów tygodniowo mniej, niż otrzymywał faktycznie. Alicja, śniada i czarnowłosa, tęga dziewczyna z Wirginii, dawała mu dwa razy za te same pięć dolarów, bo miał dopiero czternaście lat i był strasznie zielony. Przydałaby się dziś na zakończenie wieczoru! O Alicji nie powiedział Rudolfowi. To z pewnością prawiczek. Pogardliwie odnosi się do seksu albo czeka na jakąś gwiazdę filmową, albo może jest pedziem. Kiedyś powie o wszystkim Rudolfowi. Powie i będzie obserwował jego minę. Dzikie zwierzę! Ha, jeżeli tak o nim myślą, niech będzie ich prawda! Dzikie zwierzę!

Zamknął oczy i usiłował przypomnieć sobie dokładnie, jak wyglądał ten żołnierz, gdy klęczał na chodniku, a krew spływała mu po twarzy. Obraz był wyraźny, ale nie cieszył już Toma.

Zaczął drzeć. W pokoju było zimno, ale nie chłód wywoływał jego dreszcze.

Gretchen siedziała w swoim pokoju przed małym lusterkiem opartym o ścianę i ustawionym na toalecie. Był to stary stół kuchenny, który kupiła za dwa dolary na licytacji rozmaitych rupieci i pomalowała na różowo. Znajdowały się na nim słoiki z kosmetykami, szczotka w srebrnej oprawie (prezent na osiemnaste urodziny), trzy małe flakoniki perfum, komplet przyborów do manikiuru - wszystko to ułożone porządnie na czystym ręczniku. Gretchen była ubrana w stary szlafrok. Znoszona flanela grzała skórę i dawała takie samo uczucie miłej przytulności jak niegdyś, kiedy Gretchen była podlotkiem i ubierała się w ten szlafrok po powrocie do domowego ciepła z chłodu panującego na dworze. Tego wieczora potrzebowała miłej przytulności bardziej niż kiedykolwiek.

Ligninową chusteczką starła krem z twarzy. Cerę miała bardzo białą. Odziedziczyła ją po matce, podobnie jak oczy niebieskie z fiołkowym odcieniem. O jej podobieństwie do ojca świadczyły proste, czarne włosy. Gretchen była piękna - zdaniem matki równie piękna jak ona niegdyś, w wieku córki. Matka zaklinała ją ustawicznie, aby nie pozwoliła skalać się tak, jak jej się zdarzyło. Lubiła używać takich słów jak skalanie i twierdziła stanowczo, że zaczyna się ono natychmiast po zamążpójściu.

Skalanie kryje się w dotknięciu mężczyzny. Nie wygłaszała kazań na temat mężczyzn, gdyż była pewna cnoty Gretchen. Cnota - to jeszcze jeden wyraz którym pani Jordach posługiwała się chętnie. Natomiast zachęcała córkę do noszenia luźnych sukienek, nie uwidaczniających figury.

- Nie ma sensu szukać zmartwień - mawiała. - Same znajdą cię niedługo. Masz staroświecką figurę, ale twoje zmartwienia będą całkiem nowoczesne.

Matka zwierzyła się jej raz, że pragnęła zostać zakonnica.

Gretchen przemyślała o tym czasami i odczuwała dziwny niepokój.

Zakonnice nie miewają córek, a więc ona istnieje, ma dziewiętnaście lat i tej marcowej nocy w połowie dwudziestego wieku siedzi przed lustrem tylko dlatego, że matka minęła się z powołaniem.

Po tym, co przytrafiło mi się dzisiaj - myślała z goryczą - i ja powinnam myśleć o klasztorze. Gdybym tylko wierzyła w Boga...

Do szpitala poszła, jak zwykle, zaraz po pracy. Był to szpital wojskowy, położony na peryferiach miasta, pełen rekonwalescentów, którzy wracali do zdrowia po ranach odniesionych w Europie.

Gretchen pracowała tam ochotniczo przez pięć wieczorów w tygodniu.

Rozdawała książki, czasopisma i tanie słodycze, czytywała listy żołnierzom rannym w oczy, pisywała listy za żołnierzy rannych w ręce. Pacjenci byli pełni wdzięczności i łagodni - niemal dziecinni po przebytych cierpieniach. W szpitalu nie groziły jej seksualne oględziny, jakim codziennie podlegała w biurze. Ma się rozumieć, niektóre pielęgniarki, a także ochotnicze pomoce szpitalne sypiały z lekarzami czy też bardziej aktywnymi oficerami spośród rannych. Jednakże ona szybko potrafiła dać do zrozumienia, że nie z nią takie rzeczy. Nikt nie nalegał szczególnie, bo nie brakowało dziewcząt chętnych, gotowych w każdej chwili. Aby uprościć sobie sprawę, Gretchen postarała się o przydział do zatłoczonych sal dla szeregowych, gdzie żaden z mężczyzn nie mógłby zostać z nią sam na sam dłużej, niż przez kilka sekund. Była życzliwa dla chorych, łatwa w obejściu i swobodna w rozmowie, ale nie potrafiła znieść myśli, że któryś z nich mógłby jej dotknąć.

Oczywiście rozmaici chłopcy całowali ją czasami - podczas prywatek czy w samochodach po tańcach - lecz ich nieporadne umizgi uważała za coś bez najmniejszego znaczenia, coś niehigienicznego i komicznego po trosze.

Nigdy nie zainteresował jej żaden kolega szkolny i pogardliwie odnosiła się do koleżanek, które zaginały parol na gwiazdorów z boiska piłki nożnej bądź chłopców posiadających własne samochody.

Takie sprawy uważała za bezcelowe, niedorzeczne. Jedynym mężczyzną, o jakim przemyśliwała w tych kategoriach, to pan Pollack, nauczyciel angielskiego - człowiek stary, chyba pięćdziesięcioletni, o rzadziejących szpakowatych włosach, który przemawiał cichym głosem dżentelmena i w klasie recytował: „Ciągłe to jutro, jutro i znów jutro wije się w ciasnym kółku od dnia do dnia.”* (* William Szekspir, Makbet, akt V, przekł. Józefa Paszkowskiego.) Potrafiła wyobrazić sobie jego poetyczne i smutne pieszczoty, potrafiła wyobrazić sobie siebie w objęciach tego mężczyzny. Ale pan Pollack był żonaty, miał córki w wieku Gretchen i nigdy nie pamiętał nazwisk uczniów. A jej marzenia... O marzeniach zapominała łatwo. Przytrafił się jej coś zdumiewająco wspaniałego - była pewna - ale nie w tym roku i nie w tym mieście.

Krzążając się w dostarczonym przez szpital, luźnym popielatym fartuchu, Gretchen była macierzyńska i we własnym mniemaniu przydatna, gdyż na swój skromny sposób nagradzała walecznym, nie skarżącym się młodym mężczyznom to, co wycierpieli dla ojczyzny.

W salach szpitalnych światła były przyćmione i pacjenci winni znajdować się w łóżkach. Jak zwykle Gretchen odwiedziła na dobranoc młodzieńczego szeregowca, który nazywał się Talbot Hughes, a miał zranione gardło i nie mógł mówić. To najmłodszy z

pacjentów i najbardziej godny współczucia. Chętnie wierzyła, że jej uśmiech i dotknięcie ręki przed nocą uprzyjemnią biednemu chłopcu długie godziny do świtu. Później zaczęła robić porządki w świetlicy, gdzie żołnierze czytali i pisywali listy, grali w karty lub szachy i słuchali gramofonu. Czasopisma ułożyła porządnie na środkowym stole, sprzątnęła szachownice, pionki schowała do pudełka a dwie butelki po coca-coli wrzuciła do kosza na śmiecie.

Lubiła takie po domowemu spokojne zakończenia wieczorów, kiedy zdawała sobie sprawę, że dokoła świetlicy, stanowiącej rdzeń szpitalnego budynku, śpią w salach setki młodych mężczyzn uratowanych od śmierci, wyzwolonych z wojny, młodych mężczyzn, którzy wracają do zdrowia i pozbywając się cierpienia i strachu są znowu o dzień bliżsi pokoju i swoich domów.

Przez całe życie mieszkała w ciasnych, zagraconych pokoikach, więc przestronność świetlicy, ładne jasnozielone ściany, głębokie wyściełane fotele budziły w niej wrażenie, że jest panią eleganckiego domu i sprząta po udanym zebraniu towarzyskim. Nuciała kończąc prace i zamierzała właśnie zgasić światła i pójść do szatni dla personelu, aby się przebrać, gdy do świetlicy wkroczył utykając wysoki, młody Murzyn w piżamie i szlafroku kasztanowego koloru, wydawanym pacjentom przez wojskową służbę zdrowia.

- Dobry wieczór, panno Jordach - powiedział.

Na imię miał Arnold. W szpitalu leczył się od dawna, więc Gretchen знаła go stosunkowo dobrze. Wśród chorych na oddziale znajdowało się tylko dwu czarnych i Arnolda widziała tego wieczora po raz pierwszy bez nieodłącznego towarzysza. Zawsze starała się być wyjątkowo uprzejma dla tych chłopców. Arnold miał nogę zdruzgotaną granatem artyleryjskim, który trafił ciężarówkę prowadzoną przez niego gdzieś we Francji. Pochodził z Saint Louis i jak mówił Gretchen, miał jedenaścioro rodzeństwa i ukończył szkołę średnią.

Wiele godzin poświęcał lekturze, posługując się okularami. Zdawać się mogło, że czytuje bez wyboru - komiksy, czasopisma, sztuki Szekspira wszystko, co znajdzie pod ręką - jednakże Gretchen uważała go za dojrzałego i wytrawnego czytelnika.

W okularach dostarczonych mu przez wojsko sprawiał wrażenie mola książkowego - jak zdolny i osamotniony student z jakiegoś afrykańskiego kraju. Od czasu do czasu Gretchen przynosiła mu książki własne lub swego brata Rudolfa, a niekiedy wypożyczane z miejskiej biblioteki publicznej. Czytał je szybko i zwracał skrupulatnie w idealnym stanie, lecz powstrzymywał się od komentarzy na ich temat. Sądziła, że Arnold milczy przez skromność, bo w obecności innych żołnierzy nie chce udawać intelektualisty. Sama czytywała dużo, lecz w tym względzie była raczej wszystkożerna, a w ciągu ostatnich dwu lat szkoły gustami jej

kierował katolicki entuzjazm pana Pollacka. A więc w ciągu miesięcy zaopatrywała Arnolda w bardzo różnorodne utwory - Tessa d'Urberville, wiersze poetów takich jak Edna St. Vincent Milley bądź Rupert Brook, „Po tej stronie raju” Fitzgeralda.

Uśmiechnęła się, gdy młody mężczyzna wszedł do świetlicy.

- Dobry wieczór, Arnoldzie. Szuka pan czegoś?

- Nie. Tak sobie chodzę. Nie mogę zasnąć. No i zobaczyłem, że świeci się tutaj. Pomyślałem: zajrzę do świetlicy, odwiedzę śliczną małą pannę Jordach. Zrobię sobie frajdę.

Uśmiechnął się do niej odsłaniając piękne, białe zęby. Inni żołnierze nazywali ją po prostu Gretchen, on z reguły zwracał się do niej formalnie po nazwisku. Mówił trochę z wiejska, jak gdyby jego rodzina zabrała z sobą coś z farmy w Alabamie, gdy przesiadła się na północ. Był bardzo czarny i w obszernym szlafroku szpitalnym wydawał się chudy. Gretchen wiedziała, że aby ratować nogę, musiał poddać się dwu lub trzem operacjom, więc była pewna, że w obecnej chwili widzi wokół jego ust bruzdy świadczące o przebytej męce.

- Właśnie miałam zgasić światła - powiedziała.

Najbliższy autobus przystawał koło szpitala za piętnaście minut.

Stanowczo nie chciała się spóźnić.

Arnold odbił się zdrową nogą, podskokiem zasiadł na stole i począł dyndać obydwiema nogami.

- Pani nawet nie wie - mówił - jaka to przyjemność patrzeć tak w dół i widzieć dwie swoje stopy. Cóż, panno Jordach, niech pani idzie do domu. Na pewno przed szpitalem czeka na panią jakiś fajny kawaler. Nie chcę, żeby rozeźliło go pani spóźnienie.

- Nikt na mnie nie czeka - odpowiedziała zła na siebie za to, że próbowała wyprawić biednego chłopca ze świetlicy, aby zdążyć na autobus; będzie przecież następny. - Wcale mi nie pilno.

Arnold wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, poczęstował Gretchen.

- Dziękuję. Nie palę - odmówiła z przeczącym ruchem głowy.

Pewną ręką zapalił papierosa, przymrużył oczy podrażnione dymem.

Poruszał się celowo bez pośpiechu. Wiedziała od niego, że przed powołaniem do wojska należał do drużyny piłki nożnej w szkole średniej w Saint Louis. Widocznie coś z wytrawnego sportowca pozostało w rannym żołnierzu.

Arnold poklepał blat stołu.

- Nie usiadłaby pani tutaj, panno Jordach? Musi pani być zmęczona po całym dniu na nogach. Wciąż biega pani i biega, żeby nam świadczyć przysługi.

- To mi nie przeszkadza. Większą część dnia przesiaduję przy pracy w biurze -

odrzekła, ale wywindowała się na stół, by pokazać, że się nie śpieszy.

Przez chwilę siedzieli obok siebie ze zwisającymi nogami.

- Ma pani ładne stopy - odezwał się Arnold.

- Tak. Chyba nieźle - przyznała, spoglądając na swoje praktyczne, brązowe półbuty na niskim obcasie.

Była też zdania, że ma ładne stopy - smukłe i nie za długie pod łydką kształną, cienką w kostce.

- W wojsku między samymi mężczyznami nauczyłem się cenić ładne nogi - podjął obojętnie, bez współczucia dla siebie.

Podobnie mógłby powiedzieć: „W wojsku nauczyłem się obsługiwać radiostację” albo „Wojsko wyuczyło mnie czytać mapę”.

Ten brak współczucia wobec samego siebie wywołał w Gretchen przypływ litości dla ociężałego, mówiącego powoli chłopca.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała. - Pielęgniarki twierdzą, że lekarze zrobili cuda z pańską nogą.

- Aha - zgodził się. - Stary Arnold pokaże jeszcze, co potrafi.

- Ile ma pan lat, Arnoldzie?

- Dwadzieścia dwa. A pani?

- Dziewiętnaście.

- Dobry wiek, co? - podjął z uśmiechem.

- Chyba tak. Gdyby nie wojna.

Mocno zaciągnął się papierosem.

- Ja tam nie skarżę się na wojnę. Wyciągnęła mnie z Saint Louis.

Zrobiła ze mnie mężczyznę - mówił bez nuty ironii. - Nie jestem już ciemnym szczeniakiem. Wiem, co i jak się dzieje, i kto pociąga za sznurki. Widziałem rozmaite ciekawe miejsca, poznałem rozmaitych ciekawych ludzi. Zna pani Kornwalię, panno Jordach? To Anglia. Była tam pani kiedy?

- Nie.

- Jordach - zaczął znowu. - To nietutejsze nazwisko. Prawda?

- Tak - przyznała. - Niemieckie. Mój ojciec pochodzi z Niemiec.

Był także ranny w nogę. Podczas pierwszej wojny. Służył w niemieckim wojsku.

Arnold prychnął śmiechem.

- Człowiek raz tam, raz tutaj, nie nie? A jak czuje się tatuś?

Dobrze biega?

- Utyka trochę - odpowiedziała ostrożnie. - Ale chyba mało mu to przeszkadza.

- Kornwalia... - westchnął i zaczął kołysać się na stole w przód i do tyłu; widocznie dosyć miał rozmowy o wojnach i ranach. - Są tam palmy w małych, bardzo starych miasteczkach, przy których Saint Louis wygląda, jakby je zbudowano przedwczoraj. I długie, rozległe plaże. Anglia... Ludzie naprawdę mili. Tacy gościnni. Zapraszają na niedzielne obiady. Dziwiłem się nawet, bo od małego słyszałem, że Anglicy zadzierają nosa. Tak myślą w Saint Louis. Tak mówili ludzie, z którymi stykałem się jako młody chłopak.

Gretchen odnosiła wrażenie, że podkpiwa z niej ten chłopiec wymawiający słowa z troskliwą poprawnością i z lekko ironiczną nutą.

- Ludzie winni uczyć się jedni o drugich - powiedziała drętwą, zła na siebie za banalne zdanie i zbita nieco z tropu, zmuszona do postawy obronnej przez ów powolny głos o wiejskim akcencie.

- Powinni. Ma się rozumieć - przyznał, podparł się dłońmi i zwrócił twarz w jej stronę.

- A o pani, panno Jordach, czego mógłbym się nauczyć?

Zdziwił ją własny śmiech krótki i wymuszony.

- O mnie? Niczego. Jestem biuralistką z małej miejsciny. Nie byłam nigdzie i nigdy nigdzie nie pojedę.

- Na to nie zgodziłbym się, panno Jordach - odrzekł poważnym tonem. - Nie. Nie zgodziłbym się na pewno. Jak żyję, nie spotkałem dziewczyny, która bardziej niż pani wyglądałaby na taką, co musi się wybić. Umie pani prezentować się korzystnie, w dobrym stylu.

Założę się, jak Boga kocham, że co drugi chłopiec w tym szpitalu z miejsca zaproponowałby pani małżeństwo, gdyby go pani choć odrobinę zachęciła.

- Na razie nie wybieram się za męża - powiedziała.

- Nie wybiera się pani za męża. Oczywiście - podjął wolno, z namysłem. - Po co miałaby śpieszyć się dziewczyna taka jak pani, która może mieć, kogo chce? - Zgniół niedopałek w stojącej na stole popielniczce i zaraz sięgnął automatycznie do kieszeni szlafroka, lecz nie zapalił nowego papierosa wyjętego z paczki. - W Kornwalii miałem dziewczynę. Przez trzy miesiące. Trudno, słowo daję, o ładniejszą, weselszą, bardziej kochaną i kochającą.

Była mężatką, ale to nic a nic nie przeszkadzało. Jej mąż tkwił gdzieś w Afryce od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Myślę, że zdążyła zapomnieć, jak wyglądał. Razem chodziliśmy do barów, a w niedziele, kiedy dostawałem przepustkę, zapraszała mnie na obiady do domu. No i kochaliśmy się jak Adam z Ewą w raju.

Przez chwilę patrzył zamyślony na biały sufit dużej, pustej sali.

W Kornwalii stałem się prawdziwym człowiekiem - podjął. - O tak!

Wojsko zrobiło mężczyznę z małego Arnolda Simmsa z Saint Louis.

Żałobny był dzień w tamtym mieście, kiedy przyszedł rozkaz odmarszu.

Umilkł. Widać wspominał stare, nadmorskie miasteczko, palmy, wesołą, kochającą i kochaną dziewczynę z zapomnianym mężem gdzieś w Afryce.

Gretchen siedziała cicho. Zawsze bywała zakłopotana, gdy ktoś zaczynał mówić o miłości w sensie fizycznym. Nie zawstydział jej fakt, że jest dziewicą, gdyż był to świadomy wybór z jej strony, lecz wstydziła się czasami, że seksu nie potrafi traktować swobodnie i rzeczowo - przynajmniej w rozmowie - tak jak wiele koleżanek, z którymi chodziła do szkoły. Gdy szczerze o tym rozmyślała, przyznawała, że za taki stan rzeczy są w znacznej mierze odpowiedzialni rodzice, których sypialnię dzieli od jej pokoju tylko wąski korytarzyk. Ojciec nadciągał o piątej nad ranem. Jego ciężkie kroki dudniły na schodach. Później Gretchen słyszała męski głos schrypnięty od whisky i żalosne kobiece biadolenie, i odgłosy gwałcielskiej napaści, a następnego rana widziała skupiony, męczyński wyraz twarzy matki.

Obecnie, w spowitym snem szpitalnym budynku, podczas pierwszej naprawdę poufnej rozmowy z jednym spośród żołnierzy, zostawała wbrew woli świadkiem poczynań - lub przynajmniej cieni i widm poczynań - których celowo nie dopuszczała do świadomości. Adam i Ewa w raj. Dwa ludzkie ciała: Jedno białe, drugie czarne.

Usiłowała nie myśleć w takich kategoriach, lecz nie mogła się przemóc. Ale nie na tym koniec. Zwierzenia rannego chłopca kryły jakiś zamysł, jak gdyby obmyślony z góry. Nie były to tylko tęskne, nocne wspomnienia żołnierza, co po bitwach wrócił do kraju. Melodyjne, płynne szepty miały swojego adresata, swój cel.

I Gretchen uprzytomniła sobie podświadomie, że tym celem jest ona.

- Napisałem do niej, jak zostałem ranny - ciągnął Arnold - ale nie dostałem odpowiedzi. Może jej mąż wrócił do domu. No i od tamtej pory nigdy nie tknąłem kobiety. Wkrótce dostało mi się i tak już siedzę w szpitalu. Pierwszy raz wyszedłem na świat zeszłej soboty.

Na popołudnie dostaliśmy przepustki, Billy i ja - (Billy był drugim Murzynem wśród rannych.) - W tej okolicy dwaj kolorowi chłopcy niewiele mieli do roboty. Tu nie Kornwalia, powiadam pani - roześmiał się. - Nawet nie ma kolorowych. To pech trafić do jedynej chyba w Stanach szpitala znajdującego się w mieście, gdzie wcale nie ma kolorowych. Wypiliśmy po dwa piwa i autobusem pojechaliśmy w górę rzeki do King's Landing, bo słyszeliśmy, że tam jest jakaś murzyńska rodzina. Znaleźliśmy tylko jednego starego człowieka z

Południowej Karoliny: Sam jak palec mieszka w starym domu nad rzeką, a o rozproszonej rodzinie nawet zapomniał.

Zafundowaliśmy mu piwo i nałgali, ile wlezie, o naszych walecznych czynach na wojnie. Obiecaliśmy też, że jak znów dostaniemy przepustkę, przyjedziemy na ryby. Na ryby, psiakrew!

Spojrzała na zegarek.

- Jestem przekonana, Arnoldzie, że jak na dobre wyjdzie pan ze szpitala i wróci do domu, znajdzie pan piękną dziewczynę i znów będzie bardzo szczęśliwy.

Brzmiało to niemądrze i fałszywie, a zarazem nerwowo, więc wstyd jej było samej siebie, ale wiedziała na pewno, że musi wydostać się z tej świetlicy.

- Jest strasznie późno, Arnoldzie - mówiła dalej. - Wielką przyjemność sprawiła mi nasza miła pogawędka, ale naprawdę już muszę...

Poruszyła się, aby zeskoczyć ze stołu, lecz on ujął jej rękę nad łokciem mocno, stanowczo.

- Nie tak znów późno, panno Jordach - powiedział. - Żeby niczego nie taić, wyczekiwałem takiej jak dziś okazji, sam na sam z panią.

- Muszę złapać autobus, Arnoldzie, więc...

Nie uwolnił jej ręki z uścisku.

- Wilson i ja - przerwał - rozmawialiśmy o pani. No i umówiliśmy się, że poprosimy, by pani spędziła z nami czas, kiedy dostaniemy następną przepustkę. W tę sobotę, panno Jordach.

- Bardzo dziękuję panu i Wilsonowi - odrzekła panując z wysiłkiem nad drżeniem głosu. - Ale w soboty jestem zawsze strasznie zajęta.

- Rozumiemy, że nieporęcznie byłoby pani pokazać się w towarzystwie dwu czarnych chłopców - podjął Arnold głosem matowym, ani groźnym, ani zachęcającym. - Przecież to pani miasto, a ludzie nie przywykli tutaj do podobnych widoków. No i jesteśmy tylko szeregowcami.

- To nie ma najmniejszego znaczenia, ale...

- Pojedzie pani do King's Landing autobusem o jedenastej trzydzieści - ciągnął, jak gdyby mu wcale nie przerwała. - My wybierzemy się tam wcześniej. Stary dostanie piąta na butelkę whisky i kino. W jego domu przygotowujemy pierwszorzędny obiad dla nas trojga. Od przystanku autobusowego skręci pani w lewo i przejdzie jakieś ćwierć mili w kierunku rzeki. To jedyny dom stojący tam na brzegu, malowniczo położony. W pobliżu nie ma nikogo, kto dziwiłby się albo gorszył. Będziemy tylko we troje.

Życzliwi sobie wszyscy. Zadowoleni.

- Pilno mi do domu, Arnoldzie - powiedziała głośno. Wstydziłaby się podnieść alarm, lecz chciała wywołać wrażenie, że lada moment zawoła o pomoc.

- Pierwszorzędny obiad, kilka głębszych - szeptał dalej z uśmiechem i nie uwalniał jej ręki. - Długo byliśmy poza krajem, panno Jordach.

- Bo będę krzyczeć!

Z trudnością dobywała głosu. Czy to możliwe? Był taki uprzejmy, przyjacielski i w jednej chwili... Gardziła sobą za nieznaną naturę ludzką.

- Wilson i ja jesteśmy wysokiego zdania o pani, panno Jordach.

Odkąd pierwszy raz zobaczyłem panią, nie mogę myśleć o żadnej innej. Wilson powiada, że z nim jest tak samo.

- Zwariowaliście obydwaj. Jeżeli powiem pułkownikowi...

Chciała wyrwać rękę z jego uścisku, gdyby jednak ktoś wszedł przypadkiem i zobaczył szarpaninę, wyjaśnienia byłyby kłopotliwe.

- Jak powiedziałem - ciągnął Arnold - jesteśmy wysokiego zdania o pani, więc chętnie zapłacimy. Sporo oszczędziliśmy z żołądka, Wilson i ja, a mnie ostatnio poszczęściło się przy grze w kości. Proszę słuchać uważnie, panno Jordach. Tak jedno do drugiego, mamy osiemset dolarów i z przyjemnością możemy nimi pani służyć. Za jedno krótkie popołudnie nad rzeką...

Uwolnił jej rękę i niespodziewanie zeskoczył ze stołu lądując lekko na zdrowej nodze. Później pokuśtykał w stronę wyjścia, a jego rozrośnięte ciało wyglądało bardzo topornie w luźnym, powiewającym szlafroku. Tuż koło drzwi przystanął, odwrócił się i podjął bardzo uprzejmym tonem:

- Nie ma potrzeby, panno Jordach, odpowiadać tak lub nie już w tej chwili. Proszę się zastanowić. Do soboty mamy dwa dni. Będziemy w King's Landing od jedenastej rano. Pani może przyjechać o każdej godzinie, panno Jordach, jak tylko upora się pani z własnymi sprawami. Będziemy czekać.

Wychodząc z świetlicy utykał, ale trzymał się bardzo prosto i nie szukał oparcia o ścianę.

Przez chwilę Gretchen siedziała bez ruchu. Wśród ciszy słyszała tylko pomruk jakiejś maszyny w podziemiu - dźwięk, którego poprzednio nie słyszała nigdy, a w każdym razie nie pamiętała.

Dotknęła swojej ręki tuż poniżej łokcia, w miejscu, gdzie uciskały ją palce Arnolda. Potem zsunęła się ze stołu i wyłączyła światła, aby ktoś, kto mógłby zajrzeć tu przypadkiem,

nie dostrzegł wyrazu jej twarzy. Przystanąła oparta o ścianę i uniółszy dłonie zasłoniła nimi usta. Później poszła do szatni dla personelu, przebrała się i prawie biegiem ruszyła ze szpitala w kierunku przystanku autobusów.

Teraz siedziała przy swoim stoliku toaletowym i resztki kremu usuwała z jasnej, żyłkowanej delikatnie skóry pod podpuchniętymi oczyma. Przed nią stały słoiczki i flaszki ze środkami upiększającymi od Woolwortha. „Kochaliśmy się jak Adam z Ewą w raju”.

Nie może myśleć o tym, nie powinna. Jutro zamelduje się u pułkownika z prośbą o przeniesienie na inny oddział. Na ten nie będzie w stanie wrócić.

Podniosła się, zrzuciła szlafrok i przez chwilę stała nago w nikłym świetle lampki nocnej. W lusterku widziała swoje bardzo białe, pełne i twarde piersi, i różowe, wezbrane wbrew jej woli sutki. Niżej był ponury, czarny trójkąt zarysowany na tle jasnych krągłości ud. I co robić teraz? Co robić?

Naciągnęła koszulę, zgasiła światło i wślizgnęła się do chłodnego łóżka. Miała nadzieję, że nie będzie to noc, kiedy ojciec zechce egzekwować swoje prawa małżeńskie. Przeżyła dosyć jak na jeden wieczór. Więcej znieść by nie potrafiła.

Autobusy w kierunku Albany odchodzą co pół godziny. Sobotni byłby pełen żołnierzy na weekendowej przepustce. Bataliony młodych mężczyzn! Gretchen widzi siebie, gdy kupuje bilet na dworcu, a później siedzi przy oknie, patrzy na odległą szarą rzekę. Widzi siebie, gdy wysiada na przystanku w King's Landing i sama stoi na wprost stacji benzynowej. Pod pantoflami na wysokich obcasach czuje szorstką powierzchnię zwirowanej ścieżki, wchłania zapach perfum, którymi nie mogła się nie skropić. Później, już nad brzegiem rzeki, widzi odrapany, nie malowany dom z drewna, widzi dwu czarnych mężczyzn ze szklankami w rękach. Oto czekają cicho niby symbole przeznaczenia, świadomi zadania kaci. Nie wstają na jej powitanie, lecz z haniebną zapłatą w kieszeniach, milcząc, zadufani czekają spokojnie. Wiedzą, co będą z nią robić. Czekają, by oddała się pełna ciekawości i bezwstydu.

Wyjęła poduszkę spod głowy, wcisnęła pomiędzy kolana i uderzyła w nią mocno.

Matka stoi przy firance wiszącej w oknie pokoju sypialnego.

Spogląda na wysypane żużlem podwórko za piekarnią. Rosną tam dwa chuderlawe drzewka z przybitą między nimi deską, z której zwisa podniszczony, ciężki, skórzany worek wypchany piaskiem - taki, jakich zawodowi bokserzy używają przy treningach - żywo przypominający wisielca na szubienicy. Niegdyś na tej samej ulicy widywało się w ogródkach kwiaty i hamaki rozpięte między drzewami.

Obecnie każdego popołudnia Aksel Jordach naciąga rękawice z wełnianą wyściółką, idzie na podwórko i przez dwadzieścia minut okłada pięściami ów worek. Atakuje go gwałtownie z tępą zawziętością, jak gdyby walczył w obronie własnego życia. Czasami, kiedy Rudi zastępuje ją w sklepie i jest czas, by popatrzeć przez okno, matka odnosi wrażenie, że to nad nią pastwi się mąż, nie nad bezdusznym, skórzanym workiem piasku.

Matka stoi przy oknie ubrana w szlafrok z zielonej satyny, poplamiony w okolicach kołnierza i mankietów. Pali papierosa i nie zwraca uwagi na obsypujący się popiół. Niegdyś była najbardziej schludną z dziewcząt, czystą niczym bukiet kwiatów w szklanym wazonie. Wychowywała się w sierocińcu, gdzie siostrzyczki umiały wpajać dzieciom zamiłowanie do nieposzlakowanej czystości. Obecnie jest niechlujna, nalana i wcale nie dba o włosy, cerę, ubiór.

Siostrzyczki nauczyły ją umiłowania religii i przywiązania do obrzędów kościelnych, lecz pani Jordach nie była na mszy od blisko dwudziestu lat. Kiedy wydała na świat pierwsze dziecko - córkę Gretchen - porozumiała się z księdzem w sprawie chrztu, ale mąż odmówił uczestniczenia w tej ceremonii i raz na zawsze zakazał jej dać bodaj centa na cele kościelne. A przecież urodził się w katolickiej wierze!

Troje nie ochrzczonych, niewierzących dzieci i mąż, bluźnierca, pełen nienawiści do kościoła. Pani Jordach dźwiga takie brzemię!

Nie знаła nigdy ojca ani matki. Sierociniec w Buffalo zastępował jej rodziców. Tam otrzymała nazwisko: Pease. Być może tak nazywała się jej matka. Do dziś dnia myśli zawsze o sobie: Mary Pease, nie Mary Jordach lub pani Akselowa Jordach. Gdy opuszczała sierociniec, usłyszała od matki przełożonej, że jej matka była prawdopodobnie irlandzkiego pochodzenia, ale nikt nie wie nic pewnego. Matka przełożona zaleciła jej przy tej okazji, aby strzegła się płynącej w jej żyłach krwi niewiasty upadłej i starannie unikała pokus. Była wtedy wiotką szesnastolatką o różowej cerze i jasnozłocistych włosach. Gdy przyszła na świat jej córka, chciała dać dziecku imię Colleen, by upamiętnić własne irlandzkie pochodzenie. Ale mąż nie lubił Irlandczyków, więc powiedział, że córka będzie Gretchen. Dodał też, że w Hamburgu znał kiedyś kurwę o tym imieniu. W niespełna rok po ślubie zdążył ją już znienawidzić.

Poznała go w Buffalo w położonej nad brzegiem jeziora restauracji, gdzie pracowała jako kelnerka. Umieścił ją tam sierociniec.

Restaurację prowadziło starszawe niemiecko-amerykańskie małżeństwo, państwo Mueller, a sierociniec wybrał to miejsce dla Mary, ponieważ byli to ludzie poczciwi, uczęszczający do kościoła i dziewczynie zaproponowali gościnny pokój na piętunku nad ich

własnym mieszkaniem. Muellerowie odnosili się do niej życzliwie i opiekuńczo, toteż nikt z restauracyjnych gości nie śmiał odezwać się do niej niestosownie. Zwalniali ją też trzy razy tygodniowo, by w szkole wieczorowej mogła uczyć się dalej. Nie chciała przecież pozostać do końca życia kelnerką w restauracji.

Aksel Jordach był wtedy młodym człowiekiem potężnej budowy, kulawym i milczącym. Z Niemiec emigrował w początku lat dwudziestych i pracował jako majtek na parowcach żeglujących po Wielkich Jeziorach. Zimą, kiedy jeziora stały pod lodem, pomagał dorywczo Mellerom w charakterze kucharza i piekarza. W tamtym czasie prawie nie mówił po angielsku, więc chętnie przebywał w restauracji Muellerów, gdzie miał z kim porozmawiać w ojczystym języku. Podczas wojny służył w armii niemieckiej, a gdy został ranny i nie mógł walczyć, nauczył się kucharzowania w szpitalu wojskowym we Frankfurcie.

Dlatego że podczas pierwszej wojny światowej młody Niemiec wyszedł ze szpitala i czując się obco we własnym kraju postanowił emigrować, ona stoi tego wieczora w obskurnym pokoju przy nędznej uliczce i każdego dnia dwanaście godzin na dobę zaprzepaszcza młodość, urodę, nadzieje na przyszłość. I końca tego nie widać.

Aksel był niezwykle układny. Nigdy nie ważył się jej nawet dotknąć, a gdy pomiędzy rejsami znajdował się w Buffalo, odprowadzał Mary do szkoły wieczorowej i zaczekał tam, dotrzymywał jej towarzystwa w drodze do domu. Prosił też, by korygowała jego angielską wymowę. Własna angielszczyzna stanowiła przedmiot jej dumy. Często słyszała od rozmaitych ludzi, że mówi tak, jak gdyby pochodziła z Bostonu, co oczywiście uważała za nie lada komplement. Siostra Katarzyna, najbardziej uwielbiana przez nią nauczycielka, pochodziła z Bostonu, miała słownictwo osoby wykształconej, a wymowę dobitną i precyzyjną. „Posługiwać się wulgarnym językiem - mawiała siostra Katarzyna - to wieść życie kaleki. Dziewczyna, która mówi jak prawdziwa dama, może mieć nieograniczone aspiracje.” Mary modelowała się na wzór siostry Katarzyny, a gdy opuszczała sierociniec, dostała od niej książkę o irlandzkich bohaterach. „Mary Pease, mojej najbardziej obiecującej wychowance” - było tam skreślone na karcie tytułowej zamaszystym, prostym charakterem pisma, który dla Mary był również wzorem do naśladowania. Dzięki naukom siostry Katarzyny nabrała przekonania, iż jej nieznanemu ojciec musiał być dżentelmenem.

Mary Pease korygowała jego wymowę srebrzystym, bostońskim akcentem siostry Katarzyny, więc Aksel Jordach robił szybkie postępy. Już przed ich ślubem mówił po angielsku bardzo dobrze i nieraz budził zdziwienie, gdy powiadał ludziom, że urodził się w Niemczech.

Niewątpliwie był inteligentny, ale inteligencją posługiwał się, by dręczyć żonę,

dręczyć samego siebie, dręczyć całe otoczenie.

Przed oświadczynami nigdy nawet nie pocałował Mary. Miała wtedy dziewiętnaście lat - tyle, ile obecnie jej córka Gretchen - i była dziewicą. On okazywał jej troskliwość i szacunek, zawsze był wykąpany i starannie ogolony, a powracając z rejsów, przywoził jej w podarunku słodycze i kwiaty.

Oświadczył się dopiero po dwu latach znajomości. Wcześniej nie miał odwagi, jak mówił, bo obawiał się, że Mary może go odrzucić, ponieważ jest cudzoziemcem i kuternogą. Jakże musiał chichotać wewnętrznie na widok przepelniających jej oczy łez wzruszenia z powodu jego skromności i braku zaufania do siebie! Diabelec knuł wtedy przewrotny plan na całe życie.

Postawiła pewne warunki, ale odpowiedziała: tak. Może wydawało się jej, że go kocha. Był przystojny z tą swoją godną Indianina czarną czupryną i pełną poważnego spokoju twarzą o wyrazistych, regularnych rysach. Jego piwne oczy sprawiały wrażenie dobrych i troskliwych, kiedy spoglądał na Mary. Dotykał jej z obłudą, demonstracyjną delikatnością, jak gdyby była z porcelany. Gdy powiedziała mu, że jest owocem miłości pozamałżeńskiej (takim posłużyła się wyrażeniem), odrzekł, iż wie już od Muellerów i to nie robi mu różnicy, zapewne nawet jest korzystne, bo żadna rodzina nie będzie mogła ganić wyboru Mary. On sam nie utrzymuje stosunków z nielicznymi, pozostałymi przy życiu krewnymi. Jego ojciec poległ na froncie rosyjskim w 1915 roku, a matka powtórnie wyszła za mąż przed upływem roku i przeniosła się z Kolonii do Berlina. Nie lubił nigdy swojego młodszego brata, który ożenił się z bogatą Amerykanką niemieckiego pochodzenia, gdy ta po wojnie przyjechała do Berlina, aby odwiedzić swoich tamtejszych krewnych.

Ten brat, mówił Aksel, mieszka obecnie w Ohio, ale on nie widuje się z nim wcale. A zatem jego samotność jest niewątpliwa i w sam raz pasuje do jej samotności.

Warunki Mary były rygorystyczne. Aksel porzuci dotychczasową pracę, gdyż ona nie chce mieć za męża zwyczajnego wyrobnika. Nie będą mieszkali w Buffalo, gdzie wszyscy wiedzą o jej nieślubnym pochodzeniu oraz sierocińcu i na każdym kroku spotyka się ludzi, którzy widywali ją jako kelnerkę. No i związek małżeński zostanie pobłogosławiony w kościele.

Przystał na wszystko. Diabelec! Przebiegły diabelec! Miał pewne oszczędności, więc za pośrednictwem pana Muellera nawiązał kontakt z właścicielem piekarni w Port Philip, który chciał odstąpić przedsiębiorstwo wraz z kontraktem dzierżawy domu. Mary kazała mu kupić słomkowy kapeluszek przed wyjazdem do Port Philip, gdzie miał ostatecznie dobić targu. Nie życzyła sobie, by występował tam w sukiennej czapce, żalostnej pozostałości z Europy.

Powinien wyglądać na poważnego amerykańskiego kupca.

Dwa tygodnie przed ślubem zabrał narzeczoną do Port Philip, aby pokazać jej sklep, w którym miał pędzić życie, i mieszkanie nad sklepem, gdzie miała począć troje dzieci. Dzień był majowy, słoneczny, sklep świeżo malowany, a duża zielona markiza rzuciła cień na okno wystawowe i rozłożone za lustrzaną szybą pieczywo oraz ciasta. Ulica była ładna, czysta, a wzdłuż niej ciągnęły się inne sklepy: żelazny, bławatny, narożna apteka. Był tam nawet magazyn modystki z witryną pełną kapeluszy spowitych w girlandy sztucznych kwiatów. Krótko mówiąc, była to ulica handlowa dla przyzwoitej dzielnicy mieszkalnej położonej między nią a rzeką.

Wygodne, przestronne domy w głębi za zielonymi trawnikami. Na rzece żagle. Gdy narzeczeni siedzieli na ławce zapatrzeni w błękitny, niby latem, obszar wody, przemknął przed nimi biały wycieczkowy parowiec z Nowego Jorku. Słyszeli nawet orkiestrę wygrywającą walca na pokładzie. Oni, rzecz jasna, nie tańczyli nigdy. Z racji kalectwa Aksela.

Ach, jakież plany na przyszłość roił w ów rozśpiewany walcem, majowy dzień nad rzeką! Kiedy już się osiedlą, wstawią stoliki do sklepu, inaczej urządzią wewnątrz. Będą tam firanki w oknach i świece, będzie się podawało kawę i czekoladę. Później wynajmie się sąsiedni lokal (był wolny, kiedy widziała go po raz pierwszy) i puści w ruch małą restaurację - nie taką jak Muellerów, dla robotników, lecz przeznaczoną dla komiwojażerów i lepszego towarzystwa z miasta. Widziała zawiadującego salką męża ubranego w ciemny garnitur z muszką pod szyją. Widziała kelnerki w świeżych, muślinowych fartuszkach śpieszące z kuchni, obładowane pełnymi tacami. Widziała siebie, gdy siedzi za kasą rejestracyjną i przy jej pobrzękiwaniu inkasuje rachunki, uśmiecha się do gości, mówi:

„Mam nadzieję, że obiadek smakował szanownym państwu”. A po zakończeniu dnia pracy zasiada przy stoliku z przyjaciółmi - do kawy i ciasta.

Skąd mogła wiedzieć, że ta dzielnica chyli się ku upadkowi, że ludzie, których chętnie widziałyby pośród przyjaciół, będą ją uważali za coś gorszego, że ludzie, którzy chętnie widzieliby ją pośród przyjaciół, będą czymś gorszym w jej mniemaniu; że sąsiedni dom zostanie zburzony i obok piekarni wyrośnie wielki, hałaśliwy garaż, że zniknie magazyn modystki, a domy wzdłuż rzeki będą obrócone w nędzne pokoje do wynajęcia lub znikną, aby ustąpić miejsca składnicom złomu i warsztatom mechanicznym?

Nigdy nie było i nie będzie stolików, przy których podaje się czekoladę z ciastkami, nigdy nie było i nie będzie świec ani firanek, ani kelnerek - tylko ona na nogach po dwanaście godzin dziennie zimą i latem, sprzedająca bochenki zwyczajnego chleba upapranym smarami

robotnikom z warsztatów, zaniedbanym gospodyniom domowym, brudnym dzieciakom, których rodzice w sobotnie wieczory biją się na ulicy.

Jej męka rozpoczęła się nocy poślubnej w drugorzędnym hotelu nad Niagarą, dokąd poręcznie było dojechać z Buffalo. W skrzypiącym, poplamionym krwią łóżku hotelowym zniknęły wszystkie subtelne nadzieje lękliwej, wiotkiej, różanolicy dziewczeczki, którą przed ośmioma godzinami fotografowano uśmiechniętą i w ślubnej bieli obok poważnego, przystojnego oblubieńca. Maltretowana bezlitośnie pod ogromnym, okaleczonym niegdyś, demonicznie niestrudzonym, śniadym cielskiem mężczyzny, uprzytomniła sobie, że rozpoczęło się jej dożywotnie więzienie.

Pod koniec miodowego tygodnia napisała list samobójczyni. Podarła go rychło, lecz czynność tę powtarzała później wielokrotnie w ciągu lat.

Za dnia zachowywali się nie inaczej niż inne pary nowożeńców. On był uprzejmy i dbały, ujmował ją pod rękę, gdy przechodzili przez jezdnię, kupował młodej żonie drobne upominki, chodził z nią do teatru. Był to ostatni tydzień jego hojności. Mary miała przekonać się wkrótce, że poślubiła fanatka sknerstwa. Na razie prowadził ją do cukierni, gdzie fundował jej kolosalne porcje lodów z owocami i bitą śmietanką (jako dziecko przepadała za słodyczami), a następnie z pobłażliwym uśmiechem dobrego wujaszka patrzył, jak pochłania te specjały. Zabierał ją na przejażdżkę łodzią pod wodospadem i pieszczotliwie ujmował za rękę, gdy przechadzali się w chłodnym blasku północnego słońca. O nocach nie mówili nigdy.

Gdy po kolacji Aksel zamykał drzwi hotelowego pokoju, zdawać się mogło, że dwie kompletnie różne, niepojęte dla siebie dusze wkraczają w ich ciała. Brak im było języka, którym mogliby mówić o toczonych nocami groteskowych walkach. Jej surowe wychowanie klasztorne pozostawiło moc niedorzecznych złudzeń na temat delikatności uczuć. On był edukowany przez prostytutki, więc sądził zapewne, że wszystkie godne małżeństwa kobiety leżą w łóżku nieruchome i przejęte grozą. A może myślał tak o wszystkich Amerykankach?

Wreszcie po upływie miesiąca, Aksel zrozumiał właściwie to bierne, fatalistyczne odtrącanie i popadł w istną furję. Podniecał się i atakował tym zacieklej. Nie szukał innych kobiet. Nie patrzył na inne kobiety. Jego obsesją było małżeńskie łóżko, a jej nieszczęście polegało na tym, że jedyne ciało, którego naprawdę pożałował, było jej ciałem oddanym do jego dyspozycji. Od dwudziestu lat oblegał ją nieustannie, beznadziejnie, z nienawiścią godną wodza wielkiej armii zatrzymanej niedorzecznie, w niepojęty sposób, u murów nędznej podmiejskiej osady.

Mary płakała, gdy uświadomiła sobie, że jest w ciąży.

Ale nie o te sprawy wojowali. Naprawdę kłócili się o pieniądze.

Mary stwierdziła rychło, że ma cięty, zjadliwy język. Stała się jędrą w drobnych kwestiach finansowych. Zdobycie dziesięciu dolarów na nową parę trzewików, później zaś na przyzwoity mundurek szkolny dla Gretchen wymagało miesięcy uporczywej walki. Mąż żałował zjadanego przez nią chleba. Żona nie wiedziała i nie miała dowiedzieć się nigdy, ile on ma na rachunku bankowym. Oszczędzał niby obłąkana wiewiórka na nową epokę lodowcową. Był w Niemczech, kiedy cały naród został zrujnowany i wiedział, że coś takiego może przytrafić się również Ameryce. Ukształtowała go klęska, więc nie wierzył w istnienie kontynentów nietykalnych.

Farba przez lata opadała płatami ze ścian sklepu, nim Aksel kupił pięć paczek wapna i lokal odmalował. Kiedy jego brat, zamożny właściciel garażu w Ohio, przyjechał w odwiedziny i zaproponował mu udział w przedstawicielstwie firmy samochodowej kosztem kilku tysięcy dolarów, które dałoby się pożyczyć z jego banku, Aksel wyrzucił z domu gościa jak złodzieja i oszusta. Ten brat był zażywny i dobroduszny. Każdego lata spędzał dwa tygodnie urlopu w Saratodze i kilka razy w roku wybierał się do teatru w Nowym Jorku wraz z otyłą, gadatliwą żoną. Nosił garnitury z wysokogatunkowej wełny i przyjemnie pachniał wodą toaletową. Gdyby Aksel chciał zaciągać pożyczki jak jego brat, mogliby wieść dostatnie, wygodne życie, mogliby wyzwolić się od niewolniczej pracy w piekarni, wyrwać z dzielnicy, która stopniowo staje się slumsami. Ale on za nic nie podjąłby centa z banku, za nic nie podpisałby weksła.

Bankruci z jego rodzinnego kraju, obładowani tonami bezwartościowych pieniędzy, chłonęli wygłodniałym wzrokiem każdy dolar przechodzący przez jego ręce.

Kiedy Gretchen ukończyła szkołę średnią, w grę nie wchodziła jej dalsza nauka, chociaż podobnie jak jej brat Rudolf zawsze była pierwsza w klasie. Natychmiast musiała pójść do pracy i w każdy piątek oddawać ojcu połowę tygodniówki. College deprawuje dziewczyny, obraca w kurwy. Tak mówił ojciec. Natomiast matka nie wątpiła, że Gretchen wcześniej wyjdzie za mąż za pierwszego, który ją zechce, byle tylko wyswobodzić się spod tyranii ojca; będzie to jeszcze jedno, w nie kończącym się łańcuchu, zmarnowane życie.

Aksel Jordach był hojny jedynie dla Rudolfa. Rudolf stanowił całą nadzieję rodziny. Przystojny, dobrze ułożony, prawy i wrażliwy, mówił gładko, poprawnie i cieszył się uznaniem nauczycieli. Tylko on z całej rodziny całował matkę, kiedy wychodził rano z domu i powracał wieczorem. Zarówno ona, jak jej mąż widzieli w starszym z dwu synów rekompensatę własnych niepowodzeń. Rudolf miał zdolności muzyczne i grywał na trąbce w szkolnej orkiestrze. Na zakończenie przedostatniego roku nauki ojciec kupił mu trąbkę -

błyszczący, złocisty instrument - jedyny prezent, jakim obdarował kiedykolwiek kogoś z rodziny. Wszystko, co dawał innym, stanowiło rezultat zacieklej i przewlekłej targów. Dziwnie było słuchać donośnych, triumfalnych tonów rozbrzmiewających w szarym, zakurczonym mieszkaniu, gdy ćwiczył faworyzowany syn Aksela Jordacha. Rudolf grywał na wieczorkach klubowych i zabawach tanecznych, więc ojciec wyasygnował mu na smoking całe trzydzieści pięć dolarów - kwotę niebywale okazałą. Pozwalał też chłopcu zatrzymywać pieniądze, które ten zarabiał. „Oszczędzaj - mawiał. - Forsa przyda ci się, jak pójdiesz na studia.” Od początku wiadomo było, że Rudolf pójdzie do college'u. Gdzieś. Kiedyś.

Matka ma wyrzuty sumienia z powodu Rudolfa. Dała mu całą swoją miłość. Jest zbyt wyczerpana, by kochać kogoś oprócz wybranego syna. Dotyka go, ilekroć nadarzy się okazja. Wchodzi do pokoju chłopców i gdy Rudi śpi, całuje go w czoło. Półprzytomna z przemęczenia pierze i prasuje jego garderobę, aby wspaniałość Rudolfa zawsze i wszędzie rzucała się wszystkim w oczy. Zbiera wycinki z gazetki szkolnej, gdy on wygra jakiś wyścig, a jego cenzury wkleja starannie do zeszytu, który leży na jej komodzie tuż obok Przemięło z wiatrem.

Młodszy syn Tom i córka są tylko domownikami. Rudolf to krew z jej krwi. Gdy spogląda na niego, ma przed oczyma wizerunek swojego urojonego ojca.

Z Tomem nie wiąże żadnych nadziei. Tom ma jasne włosy i tą swoją chytrą, nieprzeniknioną twarz. To nicpoń bez jakichkolwiek zasad, awanturujący się ciągle, zawsze w kłopotach w szkole, bezczelny, ironiczny, chodzący własnymi drogami. Wciąż wymyka się z domu w jakichś własnych, nieznanych sprawach, a wobec kar jest absolutnie odporny. Gdzieś w jakimś kalendarzu wydrukowano krwistoczerwonymi cyframi - straszliwy dzień - dzień hańby i kary dla jej młodszego syna Toma. Niepodobna uczynić nic dla niego. Matka nie kocha go i nie może wyciągnąć doń pomocnej ręki.

W domu zamieszkanym przez jej pogrążoną teraz we śnie rodzinę matka stoi przy oknie na opuchniętych nogach. Cierpiąca na bezsenność i apatię, przepracowana, obolała, unikająca luster, autorka samobójczych listów, posiwała w czterdziestym drugim roku życia, stoi przy oknie w szlafroku obsypanym popiołem z papierosów.

Gdzieś daleko słychać sygnał parowozu. To żołnierze stłoczeni w wagonach jadą w stronę jakichś odległych portów ku działowym salwom. Chwała Bogu, Rudolf nie ma jeszcze siedemnastu lat.

Umarłaby chyba, gdyby został powołany do wojska.

Zapala ostatniego papierosa, przylepia go niedbale do dolnej wargi i zrzuciwszy

szlafrok kładzie się do łóżka. Leży tam, pali. Zaśnie na parę godzin, lecz wie, że się zbudzi, kiedy na schodach zadudnią ciężkie kroki męża cuchnącego potem nocnej pracy i whisky, którą wypił.

ROZDZIAŁ II

Zegar biurowy wskazywał za pięć dwunastą. Gretchen pisała na maszynie. Była sobota, więc inne dziewczęta zakończyły już pracę, malowały się, sposobiły do wyjścia. Dwie z nich - fuella Devlin i Pat Hauser - próbowały namówić Gretchen na wspólny lunch, lecz tego dnia nie nęciła jej niemądra paplanina. W szkole miała trzy serdeczne przyjaciółki. Berta Sorel, Sue Jackson, Felicity Turner i ona były najlepszymi uczennicami i tworzyły wyniosłą, hermetycznie zamkniętą grupę. Obecnie chętnie widziałyby w mieście wszystkie te trzy lub chociaż jedną z nich. Ale wszystkie pochodziły z zamożnych rodzin i poszły do college'u, a ona nie znalazła nikogo, kto mógłby zająć podobne miejsce w jej życiu.

Tego dnia chciałyby mieć tak dużo pracy, by zostać w biurze przez całe popołudnie, ale wystukiwała właśnie ostatnie pozycje ostatniego listu przewozowego z paczki, którą położył na jej biurku pan Hutchens, więc nie było sposobu na rozciągnięcie roboty.

Nie poszła do szpitala w dwa ostatnie wieczory. Zatelefonowała, że jest chora, a po pracy wracała prosto do domu i nie ruszała się stamtąd. Była zanadto zdenerwowana, by czytać, więc robiła porządki w całej swojej garderobie - prała nieskazitelnie czyste bluzki, prasowała sukienki bez jednego załamka, myła i układała włosy, obcinała paznokcie, proponowała, że zrobi manikiur Rudolfowi, chociaż załatwiła to przed niespełna tygodniem.

W piątek, późnym wieczorem, gdy nie mogła zasnąć, zeszła do sutereny, gdzie pracował ojciec. Spojrzał zdziwiony na idącą po schodach córkę, lecz nie powiedział nic nawet wtedy, gdy usiadła na krześle i odezwała się do kota:

- Kici-kici, chodź tutaj.

Kot wycofał się tyłem. Dobrze wiedział, że rodzaj ludzki to wrogowie.

- Tato - rozpoczęła - chciałabym z tobą pomówić.

Jordach milczał nadal.

- Daleko nie zajdę na obecnej posadzie - podjęła. - Nie mam szans na podwyżkę ani awans, a jak wojna się skończy, przyjdą redukcje personelu i dobrze będzie, jeżeli się w ogóle utrzymam.

- Wojna nie skończyła się dotąd - odburknął. - Nigdy nie brak durni, co czekają tylko, żeby dać się zabić.

- Myślę, że powinna bym przenieść się do Nowego Jorku, poszukać naprawdę dobrego zajęcia. Jestem już doświadczoną urzędniczką, a chociażby z ogłoszeń widać, że pełno tam posad dwa razy lepiej płatnych niż moja.

- Gadałaś o tym z matką?

Jordach zaczął lepić z ciasta bułki ledwie dostrzegalnymi, szybkimi poruszeniami dłoni, jak magik.

- Nie. Mama źle się czuje. Nie chciałam jej niepokoić.

- W naszej rodzinie wszyscy są cholernie delikatni - rzucił Jordach. - Cackają się jeden z drugim.

- Tato, odpowiedz mi serio.

- Nie.

- Czemu nie?

- Bo tak powiedziałem. Słyszałaś? No i uważaj, bo ubielisz mąką ten swój szykowny szlafroczek.

- Tato! Będę mogła przysłać do domu dużo więcej pieniędzy i...

- Nie - przerwał. - Jak będziesz miała dwadzieścia jeden lat wyniesiesz się, dokąd zechcesz. Ale nie masz jeszcze dwudziestu jeden lat. Masz dziewiętnaście. Przez dwa lata musisz korzystać z gościny pod rodzicielskim dachem. Uśmiechnij się i pogódź z tym faktem.

Odkorkował butelkę i pociągnął długi łyk whisky. Później z ostentacyjnym grubiaństwem otarł usta wierzchem dłoni, pozostawiając na twarzy smugę mąki.

- Muszę się wydostać z Port Philip - powiedziała Gretchen.

- Są gorsze miasta - odrzekł. - Pogadamy za dwa lata.

Gretchen popatrzyła na zegarek. Pięć minut po dwunastej. Czysto wypełnione arkusze schowała do szuflady stolika. Wszystkie koleżanki już wyszły. Nałożyła pokrywę na maszynę i pośpieszyła do umywalni, gdzie przejrzała się w lustrze. Była wyraźnie rozgorączkowana. Zwilżyła czoło zimną wodą i sięgnąwszy do torebki po małą flaszeczkę, uperfumowała się lekko za uszami.

Wyszła z budynku biurowego i minęła główną bramę uwieńczoną napisem: „Zakłady Cegielnicze Boylana”. Zakłady oraz szyld, którego ozdobne litery zdawały się oznajmiać o czymś wspaniałym i radosnym, trwały niezmiennie od 1890 roku.

Rozejrzała się dokoła, by sprawdzić, czy przypadkiem Rudi nie czeka na nią. Czasami przychodził pod fabrykę i asystował siostrze w drodze do domu. Był jedyny w rodzinie, z którym umiała rozmawiać. Gdyby Rudi przyszedł w tę sobotę, mogliby zjeść lunch w restauracji, a później może wybrać się do kina. Jednakże przypomniała sobie, że Rudi pojechał ze szkolną drużyną lekkoatletyczną do sąsiedniego miasta na jakieś zawody.

Niebawem stwierdziła, że idzie w stronę dworca autobusowego.

Marudziła, zatrzymywała się często przed oknami wystawowymi sklepów.

Oczywiście, powtarza sobie, nie wsiądzie do autobusu.

Jest biały dzień, więc nocne urojenia ma za sobą. Chociaż miło byłoby przejechać się wzdłuż rzeki, odetchnąć wiejskim powietrzem.

Pogoda zmieniła się ostatnio i najwyraźniej zapowiadała wiosnę.

Było ciepło i leciutkie białe obłoczki żeglowały szybko po lazurowym niebie.

Rano przed wyjściem z domu powiedziała matce, że prosto z pracy pójdzie do szpitala, bo chce odrobić dwa poprzednie wieczory. Sama nie wiedziała, czemu wymyśliła nagle tę bajeczkę. Nie było potrzeby. Tyle że wspominając o pracy w szpitalu, uniknęła propozycji, by przyjść z pomocą matce podczas wzmożonego ruchu w sobotnie popołudnie. Ranek był słoneczny, więc perspektywa długich godzin w dusznym i zatłoczonym sklepie bynajmniej nie nęciła Gretchen.

Przy ostatnim skrzyżowaniu ulic przed dworcem autobusowym zobaczyła swojego brata Toma. Przed drogerią grał w kości z gromadą chłopaków o podejrzanym wyglądem. Jedna z jej koleżanek biurowych była w środę wieczorem w kinie „Casino”, widziała bójkę i powiedziała o niej Gretchen.

- Ach, ten twój brat! - mówiła. - Straszny zabijaka, jak na takiego malca. Zwiny niby wąż. Ja tam nie chciałabym mieć takiego w rodzinie.

Powiedziała bratu, że wie o jego popisie i podobne historie nieraz już dawniej słyszała.

- Wstrętny chłopak z ciebie - dodała.

Ale Tom uśmiechnął się tylko krzywo i niewątpliwie był z siebie zadowolony.

Gdyby spostrzegł ją teraz, zawróciłaby z drogi. Nie odważyłaby się pójść na dworzec obserwowana przez niego. Ale on nie widział siostry. Był pochłonięty wydłubywaniem centa ze szpary w chodniku.

W hali dworca autobusowego spojrzała na zegar. Dwunasta trzydzieści pięć. Autobus w dół rzeki musiał odejść przed pięcioma minutami. Nie będzie przecież wałęsać się tu przez blisko pół godziny, czekać na następny. Ale autobus był spóźniony i stał jeszcze na miejscu. Podeszła do okienka kasowego.

- Jeden do King's Landing - powiedziała.

Zajęła miejsce na przodzie tuż za kierowcą. Autobus przepelniali żołnierze, ale pora była wczesna, więc nie zdążyli popić się jeszcze i nie gwizdali na jej widok.

Wóz odjechał. Ruch kołysał ją miło, więc drzemała z otwartymi oczyma. Za oknem przesuwały się drzewa w młodych pąkach, zabudowania, fragmenty rzeki, ludzkie twarze. Wszystko wydawało się piękne, świeżo umyte; mało realne. Za jej plecami żołnierze śpiewali

chórem młodych, męskich głosów. Jeden z nich miał miękki, rozwlekły, południowy akcent z Wirginii i tym więcej łagodnej melancholii przydawał smutnej pieśni Ciało i dusza. Nic nie może się jej przytrafić. Nikt nie wie, gdzie jest obecnie i co robi.

Trwa pomiędzy wydarzeniem a wydarzeniem, nie z własnego wyboru, bezwolna, dryfująca dokądś pośród pełnych tęsknoty żołnierskich głosów.

Autobus stanął.

- King's Landing, panienko - powiedział kierowca.

- Dziękuję.

Lekko wysiadła na przydrózek. Autobus odjechał. Żołnierze posyłali jej pocałunki z okien. W odpowiedzi dotknęła ustami palców i uśmiechnęła się do chłopców. Nie znali jej. Ona ich nie знаła. Nie mogli zdawać sobie sprawy, jaki cel ma jej wycieczka. Rozśpiewane głosy przycichły stopniowo i umilkły, kiedy pojazd zniknął, oddaliwszy się ku północy.

Gretchen stała na poboczu szosy pustej i cichej pod słonecznym blaskiem sobotniego popołudnia. Miała przed sobą stację benzynową i sklep wielobranżowy. Weszła do sklepu i o butelkę coca-coli poprosiła siwowłosego starego mężczyznę w czystej, lecz zblakłej niebieskiej koszuli. Jej kolor był miły dla oka. Pomyślała, że kupi sobie taką sukienkę z bawełny - świeżą, jasnopastelową - będzie ją nosić w upalne letnie wieczory.

Wyszła ze sklepu i usiadła przed nim na ławce, żeby się napić.

Coca-cola była lodowata, słodka, bąbelkami gazu łechtła wargi od wewnętrznej strony. Gretchen piła powoli. Nie było jej pilno.

Patrzała na zwirowaną drogę, która łączyła szosę z brzegiem rzeki.

Cień małej chmurki sunął wzdłuż tej drogi, niby biegnące zwierzę.

Cicho było na niej i spokojnie od końca do końca. Czują pod sobą ciepłe drewno ławki. Samochody nie przejeżdżały szosą. Wypiła resztę coca-coli i butelkę postawiła pod ławką. Słyszała tykanie zegarka na ręce. Odchyliła się do tyłu, aby wystawić czoło na promienie słońca.

Ma się rozumieć, nie pójdzie do domu nad rzeką. Niechaj poczęstunek stygnie, niech trunki stoją nie tknięte. Niech jej wielbiciel niecierpliwia się nad brzegiem wody. Nie wiedzą przecież, że ich dama jest blisko i sama z sobą prowadzi grę podniecającą, komiczną. Śmiać się jej chciało, wołała jednak nie mącić kojącej ciszy pustkowie.

Uroczą byłoby poprowadzić grę dalej. Przebyć połowę zwirowanej drogi biegnącej między samosiewem młodych brzoźek, które niby białe ołówki sterczą w leśnym cieniu. Przebyć połowę drogi i zawrócić, krztusząc się wewnętrznym śmiechem. Albo jeszcze lepiej!

Pójść na przelaj lasem - raz w cieniu, raz w słonecznym świetle - jak młoda Indianka z

plemienia Irokezów! Bezszelestnie, tylko w pończochach, stąpać po zeszlórocznych liściach, dojść aż do rzeki i tam spod osłony zarośli - niby agentka wywiadu w służbie wszystkich dziewczic - podpatrywać dwu mężczyzn, którzy po ukończeniu wstępnych przygotowań oczekują jej, siedząc na cienistym ganku. No i wycofać się ukradkiem, cicho, bezpiecznie, z poczuciem własnej mocy, wycofać się z samego skraju groźnego niebezpieczeństwa! Umykać chyłkiem w szeleszczącej sukience upstrzonej drobinami kory i lepкими pączkami.

Wstała i przecięła szosę w kierunku obramowanego drzewami wejścia na żwirowaną drogę. W tej chwili usłyszała samochód nadjeżdżający od południa. Odwróciła się i przystanąła na poboczu szosy, jak gdyby oczekiwała autobusu do Port Philip. Nie chciała, by ktoś widział, że wchodzi do lasu. Dyskrekcja przede wszystkim!

Wóz zjechał na jej stronę drogi, zwolnił i zahamował. Gretchen nie patrzyła na samochód, lecz w dalszym ciągu wyglądała autobusu, który mógł nadejść dopiero za godzinę.

- O, panna Jordach. Dzień dobry pani.

Męski głos wymówił jej nazwisko. Poczowała rumieniec wypełzający na policzki w momencie, gdy odwracała głowę. To nonsens tak się czerwienić! Przecież każdemu wolno stać na poboczu szosy. Nikt nie może wiedzieć, że dwaj czarni żołnierze czekają na nią z wiktuałami, z trunkiem, ze swoimi ośmioma setkami dolarów. Nie od razu poznała mężczyznę, który siedział przy kierownicy Buicka, model 1939 - kabrioletu z opuszczonym dachem. Uśmiechnął się do Gretchen. Rękę w grubej rękawicy trzymał zwieszoną na drzwiczki samochodu po jej stronie. Wreszcie zorientowała się, kim jest ów mężczyzna. Pan Boylan! Widziała go ledwie parę razy w życiu na terenie zakładów, których firmą jest nazwisko jego rodziny. Rzadko tam bywał ów szczupły blondyn, ogorzały i wygolony starannie, o krzaczastych jasnych brwiach i w przesadnie wyglansowanych trzewikach.

- O, pan Boylan. Dzień dobry panu - odpowiedziała nie ruszając się z miejsca.

Nie chciała podejść bliżej, żeby nie zwrócił uwagi na jej rumieńce.

- Co, u Boga Ojca, sprowadziło panią na to odludzie?

Jego głos zabrzmiał nutą zdziwienia i poczucia władzy. Zdawać się mogło, że nieoczekiwane spotkanie z ładną dziewczyną, która w pantoflach na wysokich obcasach stoi samotnie na skraju lasu, ubawiło pana Boylana.

- Śliczny dziś dzień... - zaczęła bąkać. - Często odbywam taką małą wycieczkę, kiedy mam wolne popołudnie.

- Sama? - zapytał z niedowierzaniem.

- Jestem miłośniczką natury - odpowiedziała zdając sobie sprawę, że pan Boylan musi ją uważać za kretynkę, gdyż z wymownym uśmiechem spogląda na jej wysokie obcasy. - Do

autobusu wsiadłam pod wpływem nagłego impulsu - zmyślała beznadziejnie. - A teraz czekam na powrotny autobus do miasta.

Usłyszała za sobą szelest, więc drgnęła i odwróciła się raptownie, przerażona, że tamci dwaj zniecierpliwili się i chcą sprawdzić, czy przyjechała. Ale tylko wiewiórka biegła szybko w poprzek zwirowanej drogi.

- Co się stało? - zapytał Boylan zdziwiony jej gwałtownym poruszeniem.

- Myślałam, że to waż... - wyjąkała i dodała w myśli: mógłbyś się już pożegnać.

- Strasznie pani lękliwa - podjął tonem serio - jak na miłośniczkę natury.

- Boję się tylko węży - powiedziała przekonana, że nigdy w życiu nie prowadziła bardziej głupiej konwersacji.

Boylan spojrział na zegarek.

- Cóż, autobus nieprędko tu będzie.

- Nie szkodzi - uśmiechnęła się pogodnie, jak gdyby czekanie na autobus wśród pustkowiec było jej ulubioną rozrywką w sobotnie popołudnia. - Tak tu miło, spokojnie.

- Wolno zadać pani poważne pytanie?

Stało się! - pomyślała: Teraz zechce się dowiedzieć, na kogo czekam.

Szybko przebiegła w myśli krótką listę prawdopodobnych osób. Brat.

Przyjaciółka. Pielęgniarka ze szpitala. Była tym tak zaprzątnięta, że nie usłyszała, co powiedział pan Boylan, jakkolwiek zdawała sobie sprawę, że coś powiedział.

- Przepraszam... Nie zrozumiałam...

- Czy jest pani po lunchu? Tak brzmiało moje pytanie.

- Wcale nie jestem głodna i rzeczywiście...

- Proszę siadać! - Zaprosił ją do samochodu wymownym gestem dłoni w rękawiczce. - Postawię pani lunch. Zgrozą przejmuje mnie perspektywa posiłku w samotności.

Posłusznie, niby małe dziecko zaskoczone rozkazem osoby dorosłej, zeszła na jezdnię, okrążyła samochód od tyłu i wsiadła przez drzwiczki, które pan Boylan otworzył, przechylając się na siedzeniu. Zgroza! Tego wyrazu w potocznej mowie nie używał nigdy nikt z jej znajomych - z wyjątkiem matki. Ale u niej był to cień dawnych nauk siostry Katarzyny!

- Bardzo pan prezes uprzejmy - powiedziała. - Dziękuję.

- Zazwyczaj szczęście dopisuje mi w soboty - uśmiechnął się ruszając z miejsca.

Nie bardzo zdawała sobie sprawę, co miał na myśli. Gdyby nie był jej pracodawcą, jak to się mówi, a ponadto starym człowiekiem, czterdziesto, może nawet czterdziestopięcioletnim, wykreśliłaby się jakoś. Żałowała potajemnej wędrowki lasem, której

nie odbędzie już nigdy. Żałowała dręczącego, bezwstydnego prawdopodobieństwa, że tamci dwaj dostrzegą ją może, ruszą w pościg... Kuternogi na terenach łowieckich swojego plemienia. Dzielni wojownicy na ścieżkach wojennych za całe swoje osiemset dolarów!

- Zna pani knajpę, która się nazywa „Farmerska Oberża”? - zapytał Boylan.

- Słyszałam o niej.

Gretchen wiedziała, że to mały hotelik na nadrzecznej skarpie, odległy o piętnaście mil od Port Philip i podobno piekielnie drogi.

- Nie najgorsze miejsce - podjął. - Można tam dostać flaszkę naprawdę przyzwoitego wina.

Po drodze nie rozmawiali więcej, gdyż Boylan jechał bardzo szybko.

Wiatr huczał nad odkrytym wozem, rozwiewał włosy Gretchen, zmuszał do przymykania oczu pod gwałtownym ciśnieniem powietrza.

Obowiązujące podczas wojny ograniczenie szybkości miało wynosić tylko trzydzieści pięć mil na godzinę. Chodziło o oszczędzanie benzyny, lecz oczywiście człowiek pokroju pana Boylana nie musiał troszczyć się o podobne drobnostki.

Od czasu do czasu spoglądał na nią, uśmiechał się lekko. Były to uśmiechy ironiczne, bo - nie wątpiła - pan Boylan zdawał sobie sprawę, że skłamała opowiadając niedorzeczności o czekaniu na autobus, który miał przyjść dopiero za godzinę. Po pewnym czasie sięgnął do skrytki obok tablicy rozdzielczej i dobył parę ciemnych okularów lotniczych.

- To dla ochrony ślicznych, błękitnych oczu - zawołał przekrzykując wiatr.

Nałożyła okulary i poczuła się wspaniale, niby jakaś aktorka w filmie.

„Farmerska Oberża” była zajazdem pocztowym w odległych czasach, gdy z Nowego Jorku do Albany podróżowało się dylizansami. Dom pomalowano na czerwono z białymi obwódkami, a na trawniku przed nim ustawiono wielkie koło od furgonu. Świadczyło to o przekonaniu właściciela, że Amerykanie lubią jadać w atmosferze przeszłości.

Miejsce to mogło znajdować się o sto mil lub o sto lat od Port Philip.

Gretchen poprawiła jako tako włosy, korzystając z lusterka, które zapewniało kierowcy widoczność do tyłu. Czowała się nieswojo, bo nie wątpiła, że Boylan przypatruje się jej bacznie.

- Jeden z najmiłszych obrazków, jakie człowiek może zobaczyć w życiu - powiedział - to ładna dziewczyna z uniesionymi rękami zajęta czesaniem włosów. Pewno z tej racji malowali je tak liczni mistrzowie pędzla.

Szkolni koledzy Gretchen ani młodzi ludzie kręcący się koło jej stolika w biurze nie mówili w podobny sposób, więc nie przywykła do takich słów i nie potrafiłaby orzec, czy

podobają się jej, czy nie podobają. Odnosiła wrażenie, że są raczej niedyskretne i wdzierają się w jej życie osobiste. Pełna nadziei, że więcej nie zarumieni się tego popołudnia, zaczęła malować usta, lecz pan Boylan przytrzymał jej rękę.

- Proszę nie robić tego - rzucił autorytatywnym tonem. - Wystarczy szminki. Bardziej niż wystarczy. Idziemy.

Wskoczył z wozu - zadziwiająco zwinnie, pomyślała, jak na mężczyznę w takim wieku - przeszedł na stronę Gretchen i otworzył drzwiczki.

Dobre maniery, pomyślała mimochodem. Z parkingu, gdzie kilka samochodów stało szeregiem pod drzewami, ruszyła za Boylanem w stronę wejścia do hotelu. Jego sportowe, wysoko sznurowane trzewiki były, jak zwykle, wyczyszczone idealnie. Miał na sobie tweedową marynarkę w ukośną kratę i spodnie z szarej flaneli, a u kołnierza miękkiej, wełnianej koszuli nosił chustkę zamiast krawata. To ilustracja z jakiegoś magazynu, pomyślała, a nie prawdziwy człowiek. I co ja robię w takim towarzystwie?

Obok niego wydawała się sobie zaniedbaną, nieelegancką dziewczyną w tej swojej granatowej sukience z krótkimi rękawami, którą tak pieczołowicie wybierała z rana. Na pewno już żałuje, pomyślała, że zatrzymał samochód, kiedy mnie zobaczył. Ale Boylan otworzył przed nią drzwi i gdy wchodziła przed nim do baru, dotknął jej łokcia opiekuńczym gestem.

W salce stylizowanej na izbę osiemnastowiecznej karczmy - boazerie z czarnego dębu, kufle do piwa, cynowe misy - znajdowały się dwie pary. Niestare kobiety miały na sobie zamszowe spódnice oraz proste, obcisłe bluzki z dzianiny. Rozmawiały głośno z wyraźnym tonem pewności siebie. Spojrzawszy na nie, Gretchen uprzytomniła sobie wydatność swojego biustu, więc przygarbiła się, by go możliwie zmniejszyć. Pary zajmowały dwa niskie stoliki w głębi barowej salki, a Boylan poprowadził Gretchen ku bufetowi, gdzie pomógł jej zasiąść na ciężkim i wysokim drewnianym stołku.

- O tutaj - powiedział. - Jak najdalej od tamtych dam. Robią hałas, bez którego obejść się doskonale.

Murzyn w białej, wykrochmalonej marynarce podszedł, by przyjąć zamówienie.

- Moje uszanowanie, panie prezesie - odezwał się z powagą. - Co sprawi dziś przyjemność panu prezesowi?

- Ach, Bernardzie - powiedział Boylan. - Zadałeś pytanie, które od początku dni zbija z tropu filozofów.

Pajac, pomyślała Gretchen i zawstydziła się trochę, że może być takiego zdania o dżentelmenie pokroju swojego szefa.

Murzyn uśmiechnął się z obowiązku. Był tak nieskazitelnie czysty, jak gdyby za chwilę miał przystąpić do operacji chirurgicznej.

Spojrzała nań z ukosa. Niedaleko stąd, pomyślała, są dwaj twoi kamraci, którym nikt i nic nie sprawi dziś przyjemności.

- Czego się pani napije, moja droga? - zwrócił się do niej Boylan.

- Wszystko mi jedno. Co pan zamówi.

Oto piętrzą się pułapki. Skąd miałaby wiedzieć, czego się napije?

Nigdy nie piła przecież nic mocniejszego niż coca-cola. Z przerażeniem myślała o pojawieniu się menu. Na pewno będzie po francusku! A ona w szkole uczyła się trochę hiszpańskiego i łaciny. Łaciny! Dobrze sobie!

- Jeszcze jedno pytanie - podjął Boylan. - Pani ma ukończone osiemnaście lat, prawda?

- O tak!

Zarumieniła się. Idiotyczny moment na rumieniec. Całe szczęście, że w barze jest ciemno.

- Nie chciałbym trafić przed sąd pod zarzutem demoralizowania nieletnich - wyjaśnił z uśmiechem.

Zęby miał ładne, starannie wypielęgnowane - być może roboty dentysty. Trudno było zrozumieć, czemu ktoś o takim wyglądzie i takich zębach, ubrany wytwornie i oczywiście nadziany pieniędzmi, odczuwał zgrozę na myśl o jedzeniu w samotności.

- Cóż, Bernardzie, dla młodej damy spróbujemy coś słodkiego.

Zmieszaj daiquiri, popisz się twoim niezrównanym kunsztem.

- Służę, panie prezesie - powiedział Bernard.

Kunszt, pomyślała. Kto używa dziś takich wyrazów? Zdawała sobie sprawę, że jest w nieodpowiednim wieku, źle ubrana, źle umalowana i ta świadomość budziła w niej niechęć do Boylana. Przypatrywała się Murzynowi, który wyciskał cytryny, dokładał lodu i z wspaniałą wprawą potrząsał shakerem w wymanikiurowanych czarno-białych dłoniach. Adam z Ewą w raj... Gdyby pan Boylan wiedział!

Obeszłoby się wtedy bez gadaniny o demoralizowaniu nieletnich.

Pienisty napój był rozkosznie smaczny, więc wypijała go szybko jak lemoniadę. Boylan przyjrzał się jej spod oka z miną cokolwiek teatralną.

- Drugi raz to samo, Bernardzie - powiedział.

Nieznajome pary przeniosły się do restauracji, więc gdy Bernard przygotował drugą kolejkę, bar mieli wyłącznie dla siebie.

Gretchen była teraz w lepszym nastroju. Zaczyna się popołudnie...

Nie wiedziała, czemu sformułowała to tak właśnie, ale zwrot był chyba do rzeczy. Zaczyna się popołudnie! W przyszłości będzie siadywać w wielu półmrocznych barach, gdzie wielu starszych panów usposobionych życzliwie i ubranych trochę dziwacznie będzie płacić za podawane jej rozkosznie smaczne napoje.

Bernard postawił przed nią szklanę.

- Wolno udzielić pani skromnej rady, duszko? - odezwał się Boylan. - Na pani miejscu piłbym drugi coctail nieco wolniej. Ostatecznie to spora dawka rumu.

- O tak. Naturalnie. Myślę, że pić mi się chciało, bo tyle czasu stałam w upale na słońcu.

- To zrozumiałe, duszko.

Duszko! Nigdy nikt nie zwracał tak się do niej. Podobało się jej samo słowo, a zwłaszcza ton, jakim je wymawiał - chłodny i nienatarczywy. Niby prawdziwa dama jąła pociągać drobne łyżki.

Drugi coctail był równie smaczny jak pierwszy. Może nawet lepszy.

Gretchen zaczynała nabierać pewności, że tego popołudnia nie zarumieni się więcej.

Boylan zażądał menu, aby lunch zamówić już w barze. Starszy kelner przyniósł dwie duże, sztywne karty i przemówił z dyskretnym ukłonem:

- Służę panie prezesie. Miło mi, że pan prezes raczył nas znów zaszczyścić.

Wszystkich cieszy widok pana prezesa w tych jego idealnie wyczyszczonych trzewikach, pomyślała Gretchen.

- Czy mam zamówić? - zwrócił się do niej Boylan.

Wiedziała z filmów, że w restauracjach dżentelmeni często zamawiają dania dla dam. Ale jedna sprawa oglądać coś takiego na ekranie, druga uczestniczyć w tym osobiście.

- Pan będzie łaskaw - odpowiedziała i zadowolona z siebie dorzuciła w myśli: Całkiem jak z książki. Ale ten napój był fajny!

Pan Boylan i starszy kelner przeprowadzili krótką, lecz bardzo poważną naradę w kwestii wyboru dań i wina. Starszy kelner odszedł obiecawszy, że poprosi szanownych państwa, gdy stół będzie gotowy.

Pan Boylan wyciągnął z kieszeni złotą papierośnicę i poczęstował Gretchen. Odmownie poruszyła głową.

- Nie pali pani?

- Nie palę.

Odczuła przykro, że nie utrzymuje się na poziomie „Farmerskiej Oberży” i aktualnej

sytuacji. Ale kilkakrotnie próbowała papierosa i za każdym razem kasłała tylko, i oczy jej czerwieniały, więc zrezygnowała z podobnych prób. Ponadto Mary Jordach paliła w dzień i w nocy, a Gretchen nie chciała robić nic, co robi jej matka.

- To dobrze. - Boylan zapalił papierosa, posługując się złotą zapalniczką, którą również wyjął z kieszeni i położył na bufetowej ladzie obok papierośnicy z monogramem. - Nie lubię miłych dziewcząt z papierosem. Dym tytoniowy kęsa woń młodości.

Cudaczna mowa, pomyślała, jednak nie miała mu jej za złe. Była przekonana, że Boylan popisuje się, by robić dobre wrażenie. Nagle poczuła zapach perfum, którymi skropiła się w biurowej toalecie.

Pomyślała, że mogą mu się wydać liche.

- Otwarcie mówiąc - powiedziała - zdziwiłam się, że pan zna moje nazwisko.

- Dlaczego?

- No bo... Tylko parę razy widziałam pana na terenie zakładów. A do naszego biura nigdy pan nie zagląda.

- Zauważyłem panią. Zastanawiałem się nawet, co dziewczyna o pani aparycji może robić w miejscu tak okropnym jak Zakłady Cegielnicze Boylana.

- Nie takie to znów okropne miejsce - odpowiedziała przyjmując postawę obronną.

- Naprawdę? Miło mi to słyszeć. Sądziłem dotąd, że wszyscy moi pracownicy uważają zakłady za coś nie do wytrzymania. Staram się nie przebywać tam dłużej niż kwadrans w ciągu miesiąca i poczytuję to sobie za punkt honoru. Przygnębia mnie tamtejsza atmosfera.

W tej chwili pojawił się starszy kelner.

- Stół gotowy, panie prezesie - zameldował.

- Zostaw szklanę, duszko - powiedział Boylan, pomagając Gretchen zsunąć się ze stołka. - Bernard ją przyniesie.

Za starszym kelnerem weszli do sali restauracyjnej. Zajętych było osiem, może dziesięć stolików. Pułkownik w otoczeniu młodych oficerów. Znowu jakieś szykowne pary ubrane w tweedy. Na pseudostaroświeckich stolikach z polerowanego drewna stoją szeregi lśniących kieliszków. Nie ma tu nikogo zarabiającego mniej niż dziesięć tysięcy rocznie, pomyślała Gretchen.

Rozmowy przycichły, gdy za starszym kelnerem zmierzali ku małemu stolikowi pod oknem od strony płynącej w dole rzeki. Gretchen czuła, że młodzi oficerowie przypatrują się jej ciekawie.

Odruchowo dotknęła włosów. Wiedziała, o czym myślą, i zrobiło się jej trochę przykro, że pan Boylan nie jest młodszy.

Starszy kelner odsunął jej krzesło, więc usiadła i z przesadnie skromną miną rozpostarła na kolanach dużą, kremową serwetkę.

Bernard przyniósł na tacy i postawił przed nimi nie dokończone coctaille.

- Służę panu prezesowi - powiedział i wycofał się dyskretnie.

W tej chwili starszy kelner pojawił się z butelką czerwonego wina z Francji, a kelner przydzielony do ich stolika przyniósł pierwsze danie. „Farmerska Oberża” nie odczuwała braku rąk do pracy.

Starszy kelner ceremonialnie nalał do dużego, głębokiego kieliszka odrobinę wina. Boylan powąchał je, posmakował i zanim przełknął, spojrział zezem ku sufitowi. Wreszcie z uznaniem skinął głową i zawyrokował:

- Bardzo dobre, Ludwiku.

- Służę panu prezesowi.

Gretchen pomyślała, że przy tym całym „prezesowaniu” i „służeniu” rachunek będzie horrendalny.

Starszy kelner nalał wina najpierw damie, później dżentelmenowi.

Boylan uniósł kieliszek i obydwójce pociągnęli łyk. Wino było dziwne, jak gdyby stęchłe i ciepłe. Jednakże Gretchen nie wątpiła, że w przyszłości polubi tego rodzaju napoje.

- Mam nadzieję, że smakują pani rdzenie palm - odezwał się Boylan.

- Nabrałem do nich gustu na Jamajce. Ma się rozumieć, przed wojną.

- Są wyborne! - odpowiedziała zajęta swoim talerzem.

Tak naprawdę sądziła, że są bez smaku, lecz przemawiała do niej myśl, iż ścięto dostojną palmę, by uraczyć ją tym wykwintnie skromnym daniem.

- Kiedy wojna się skończy - mówił zajęty swoim talerzem - pojedę na Jamajkę i osiadę tam na dobre. Jamajka! Od początku do końca roku wylegiwać się na białym piasku pod promieniami słońca. Gdy dzielni chłopcy wrócą marszowym krokiem do domu, Ameryka będzie nie do wytrzymania. Kraj odpowiedni dla bohaterów - dodał szyderczo - stanie się całkiem nieodpowiedni dla Teodora Boylana.

Pani też wybierze się na Jamajkę. W odwiedziny do mnie.

- Oczywiście! Będę się bawić i tańczyć rumbę za uposażenie, jakie otrzymuję w Zakładach Cegielniczych Boylana.

- Właśnie! - roześmiał się. - My od 1887 roku nisko wynagradzamy naszych pracowników. Pyszni się tym i chlubi moja rodzina.

- Rodzina? - zdziwiła się Gretchen.

Była przekonana, że żaden inny Boylan nie istnieje. Ten - jak powszechnie wiadomo -

mieszka samotnie w rozległej podmiejskiej posiadłości, w wielkim domu otoczonym kamiennymi murami.

Naturalnie ma służbę.

- Rodzina w sensie domu panującego - wyjaśnił. - W swojej chwale jesteśmy rozsiani od wybrzeża do wybrzeża, od strojnego w sosny Main do Kalifornii perfumowanej pomarańczami. Oprócz Cementowni Boylana i funkcjonujących w Port Philip Zakładów Cegielniczych Boylana mamy Stocznnię Boylana i towarzystwa naftowe, i fabryki ciężkiego sprzętu mechanicznego. Są rozmieszczone jak nasz wielki kraj długi i szeroki, a na czele każdego z tych przedsiębiorstw jakiś Boylan brat, stryj, bądź dalszy krewny, umacnia machinę wojenną na koszt umiłowanej ojczyzny. Ba! Jest nawet major Boylan, który w interesie narodu zadaje wrogom chytne ciosy w Służbie Zaopatrzenia i Transportu w Waszyngtonie. Rodzina? Niech zapachnie gdzieś w powietrzu dolarem, a niezwłocznie jakiś Boylan objawi się i zajmie pierwsze miejsce w kolejce.

Gretchen nie przywykła do ludzi, którzy szydzą z własnej rodziny.

Poczucie lojalności miała nader proste. Jej twarz musiała zdradzić zaniepokojenie.

- Zgorszona pani, prawda?

Znów ten szelmowski wyraz rozbawienia!

- Nic podobnego! - Pomyślała o własnej rodzinie. - Tylko w rodzinnym gronie wiadomo, na ile miłości kto zasługuje.

- Nie jestem całkiem niezadowolony - podjął. - Moja rodzina ma zaletę, którą bez zastrzeżeń podziwiam i cenię bardzo wysoko.

- Jaka to zaleta?

- Jesteśmy bogaci. Bardzo, bardzo bogaci - parsknął śmiechem.

- W każdym razie... - zaczęła pełna nadziei, że nie taki z niego nicpoń, jak może się wydawać, że to tylko popis w czasie lunchu obliczony na zaszokowanie niemądrej dziewczyny. - W każdym razie pan pracuje. No i Boylanowie wiele robią dla naszego miasta, więc...

- Z całą pewnością - przerwał. - Wykrwawiają je do czysta.

Oczywiście są też sentymentalnie zainteresowani naszym miastem.

Port Philip to najmniej ważna posiadłość familijna, niegodna straty czasu prawdziwego, w stu procentach męskiego Boylana, ale opuszczać jej nie należy. Wobec tego najmniej ważny z rodu, pokorny sługa pani, został oddelegowany na tę uroczą zapadłą prowincję, by parę razy na miesiąc oddziaływać na nią magiczną siłą nazwiska i autorytetu prężnej rodziny. I co? Wypełniam swoje rytualne obowiązki i czekam na Jamajkę, gdy

wreszcie umilkną działa.

On nienawidzi nie tylko własnej rodziny, pomyślała. Nienawidzi też siebie.

Jego bystre, niebieskie oczy spostrzegły nagłą zmianę wyrazu twarzy Gretchen.

- Nie podobam się pani - powiedział.

- Nic podobnego. Tylko jest pan zupełnie inny niż wszyscy moi znajomi.

- Inny na lepsze czy na gorsze?

- Nie wiem.

Poważnie skinął głową.

- Wycofuję pytanie. Pij, duszko! Zaraz przyjdzie druga flaszką wina.

Nie wiedzieć jak i kiedy uporali się z pierwszą butelką, chociaż nie pojawiło się jeszcze główne danie. Starszy kelner przyniósł świeże kieliszki i odbył się znowu obrzęd smakowania. Wino rozogniło twarz i szyję Gretchen, paliło w gardle. Miała wrażenie, że rozmowy w restauracyjnej sali przycichają, trafiają do jej uszu miarowym, kojącym rytmem, niby odległy szum fal morskich. Nagle poczuła się swojsko w tej lśniącej, staroświeckiej knajpie i wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Czego się pani śmieje? - zapytał podejrzliwie jej towarzysz.

- Bo jestem tutaj - odpowiedziała - a mogłabym być w tylu innych miejscach.

- Trzeba popijać częściej - podjął. - Wino służy pani.

Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. Na skórze poczuła suchy, mocny dotyk.

- Piękna jesteś, duszko. Piękna. Bardzo piękna.

- Ja też tak sędzę - podchwyciła.

Tym razem on wybuchnął śmiechem.

- Dzisiaj - dokończyła.

Zanim kelner zdążył podać kawę, Gretchen była pijana. Była pijana, ale nie zdawała sobie z tego sprawy, bo uprzednio nie przytrafiło się jej to nigdy w życiu. Po prostu odnosiła wrażenie, że wszystkie barwy są mocniejsze, bardziej czyste. Rzeka w dole była kobaltowa, słońce - zbliżające się do odległych skarp nadbrzeżnych na zachodzie - oszałamiająco złote. Wszystko, co jadła i piła, miało w jej ustach smak lata, a siedzący naprzeciw niej mężczyzna nie był człowiekiem obcym i w dodatku szefem, lecz najserdeczniejszym przyjacielem. Jego przyjemna, opalona twarz miała wyraz życzliwy i pełen serdecznego zainteresowania, przyjemnie drażniły przypadkowe na pozór dotknięcia jego ręki, śmiech jak gdyby akompaniował jej dowcipom. Jemu mogłaby powiedzieć wszystko. Jej sekrety należą do niego.

Opowiadała też szpitalne anegdoty: o żołnierzu, który w Paryżu został uderzony w oko butelką rzuconą na powitanie przez jakąś rozentujazmowaną Francuzkę, a następnie otrzymał medal Szkarłatne Serce, ponieważ cierpiał na trwałą wadę wzroku skutkiem rany odniesionej na pierwszej linii frontu; o pielęgniarce i młodym oficerze, którzy każdej nocy kochali się w zaparkowanej sanitarce, a raz, gdy sanitarkę wezwano nagle, pojechali aż do Poughkeepsie zupełnie nadzy.

Kiedy mówiła, nabierała przekonania, że jest niezwykłą, wysoce interesującą osobą, która prowadzi życie bujne i pełne wydarzeń.

Barwnie opisywała problemy, jakie napotykała, gdy w ostatniej klasie grała w szkolnym przedstawieniu Rozalindę z Jak wam się podoba. Pan Pollack, dyrektor szkoły, widział kilkanaście Rozalind na Broadwayu i gdzie indziej, ale powiadał, że zbrodnią byłoby marnowanie takiego jak jej talentu. W poprzednim roku grała też Porcję i mówiąc o tym, pozwoliła sobie na dygresję, że byłaby zapewne błyskotliwym adwokatem. W obecnych czasach kobiety winny, jej zdaniem, garnąć się do wszystkich zawodów, a nie myśleć tylko o małżeństwie i dzieciach.

Chciała, by Teddy - był już Teddym - usłyszał od niej coś, z czego za nic nie zwierzyłaby się nikomu: że po wojnie zamierza przenieść się do Nowego Jorku i tam zostać aktorką. Potoczyście, dzięki coctailom, wina oraz dwom kieliszkom benedyktyna, wyrecytowała kwestię z „Jak wam się podoba”.

- „Dalej! umizgaj się do mnie, umizgaj się do mnie, bo jestem w świątecznym humorze i na wszystko przystać gotowam. I cóż byś mi powiedział, gdybym była twoją prawdziwą, prawdziwą Rozalindą?”* (* William Szekspir, „Jak wam się podoba”, akt IV, przekł. Leona Ulricha.)

Kiedy skończyła, Teddy ucałował jej rękę, ona zaś łaskawie przyjęła ten dowód uznania, zadowolona, że wybrała cytat w tak flirciarskim tonie.

Rozgrzana nieustającym okazywaniem względów przez mężczyznę, była zgalwanizowana, błyskotliwa, niezwyknięta. Rozpięła dwa górne guziki sukienki. Niech objawia się chwała jej urody! A zresztą w restauracji było gorąco. Teraz mogłaby mówić o poufnych sprawach, używać wyrazów, które dotychczas widywała tylko nagryzmołone przez nieznośnych chłopaków na ścianach domów. Osiągnęła bezstronną szczerłość - ten przywilej prawdziwych arystokratów.

- Nie zważam na nich - mówiła, odpowiadając na pytanie o jej kolegów biurowych. - Wdzięczą się niczym małe pieski. Donzuanowie z prowincjonalnej miściny. Zapraszają do kina albo na lody, no a później chcą uprawiać macankę w samochodzie. Czepiają się łapami,

jak gdyby dziewczyna była mosiężnym uchwytem na karuzeli. Stękają jak konający jeleń, usiłują wsunąć język w usta. Brr! To nie dla mnie. Co innego mi w głowie. Każdy spróbuje raz i już wie czego się trzymać. Mnie tam nie pilno! - Wstała nieoczekiwanie. - Dziękuję za doskonały lunch. Teraz muszę do umywalni.

Jak żyję, nie powiedziała żadnemu ze swoich kawalerów, że „teraz musi do umywalni”. Czasami pęcherz prawie jej pękał w kinach i podczas prywatnych zebrań towarzyskich.

Teddy wstał również.

- Pierwsze drzwi na lewo z hallu - powiedział.

Jaki mądry ten Teddy, pomyślała. Wszystkowiedzący!

Ruszyła z miejsca zdziwiona nieco, że restauracyjna sala opustoszała. Szła wolno, świadoma, że Teddy śledzi każdy jej krok tymi swoimi jasnymi, inteligentnymi oczyma. Plecy miała proste.

Wiedziała o tym. Szyję miała smukłą i białą pod czarnymi włosami.

Wiedziała o tym. Jej talia była cienka, biodra zaokrąglone, łydki długie, zgrabne, mocne. Zdawała sobie sprawę z tego wszystkiego, więc szła wolno, by Teddy mógł ją obejrzeć - od razu i raz na zawsze.

W damskiej toalecie przejrzała się w lustrze i starła z warg resztki szminki.

- Mam pełne, wyraziste usta - powiedziała do własnego odbicia. - Robiłam z siebie idiotkę, malując je niepotrzebnie.

Wróciwszy do hallu zobaczyła, że Teddy czeka na nią u wejścia do baru. Uregulował już rachunek i naciągnął właśnie lewą rękawiczkę.

Gdy się zbliżyła, zmierzył ją szacującym wzrokiem.

- Kupię ci czerwoną suknię - powiedział - płomieniście czerwoną suknię, która podkreśli twoją cudowną cerę i te obłąkańczo czarne włosy. Wszędzie, gdzie się pojawisz, mężczyźni będą padać na kolana.

Ze śmiechem powiedziała, że czerwień to jej kolor. Oto jak powinien mówić prawdziwy mężczyzna!

Ujęła go pod ramię i poszli do wozu.

Teddy podniósł dach, gdyż robiło się zimno i wolno ruszył ku południowi. Jego dłoń - celowo bez rękawiczki - sięgnęła ku jej dłoni spoczywającej na siedzeniu pomiędzy nimi. Przytulnie było w samochodzie z zamkniętymi oknami. Zapach wypitego alkoholu mieszał się miło z zapachem skórzanego obicia.

- Teraz powiedz szczerze - odezwał się Boylan - co naprawdę robiłaś na przystanku

autobusowym w King's Landing?

Roześmiała się krótko.

- Co za bezwstydnym śmiech! - powiedział.

- Bo byłam tam w bezwstydnym celu.

Przez chwilę prowadził wóz w milczeniu. Jadąc pustą szosą wysadzaną drzewami mijali na przemian pasy blasku i cienia.

- Czekam - podjął Teddy.

Czemu by nie? - pomyślała. W takie wspaniałe popołudnie można wyznać wszystko. Pomiędzy nimi nie ma sekretów. Są przecież wyżsi nad trywialności pruderii. Najpierw z wahaniem, później swobodniej zaczęła mówić o tym, co przytrafiło się jej w szpitalu.

Opowiadała, jak wyglądają tamci Murzyni - osamotnieni i kalecy - tylko dwaj kolorowi w całym szpitalu. Opowiadała, że Arnold był zawsze powściągliwy, zachowywał się po dżentelmeńsku i nigdy nie mówił do niej Gretchen, jak to robili inni żołnierze; że czytywał pożyczane od niej książki i wydawał się inteligentny i smutny z powodu rany i jakiejś dziewczyny z Kornwalii, co to nigdy nie odpowiedziała słowem na jego listy. Następnie mówiła, jak to pewnego wieczora, kiedy inni pacjenci już spali, Arnold przydybał ją samą w świetlicy i zaczął rozmowę, której wynikiem była jasna propozycja: dwaj mężczyźni i osiemset dolarów.

- Gdyby ci dwaj byli biali, poskarżyłabym się pułkownikowi. Ale w takich warunkach...

Teddy skinął głową ze zrozumieniem, ale nic nie powiedział.

Przyśpieszył tylko trochę.

- Od tamtej pory nie pokazałam się w szpitalu - ciągnęła. - Po prostu nie mogłam. Błagałam ojca, żeby mnie puścił do Nowego Jorku. Nie byłam w stanie znieść myśli, że pozostanę tam, gdzie jest mężczyzna, który wie, co mi wtedy powiedział. Ale mój ojciec... Z nim niepodobna się dogadać. No i oczywiście nie mogłam się przyznać dlaczego. Pobiegłby do szpitala i zatłukł tamtych dwu gołymi rękami. A dzisiaj, w ten prześliczny dzień, nie poszłam na dworzec autobusowy. Nie! Coś mnie tam zaciągnęło. Naturalnie nie myślałam o wizycie w samotnym domu, ale dowiedziałabym się chętnie, czy oni są tam rzeczywiście, czy to naprawdę ludzie zdolni do czegoś takiego. Nawet kiedy wysiadłam z autobusu, nie myślałam, że tam pójde. Marudziłam na szosie. Wypiłam coca-cole:

Urządziłam sobie kąpiel słoneczną. No i... Może poszłabym kawałek zwirowaną drogą... Może nawet do końca... Tak sobie. Żeby popatrzeć. Byłabym bezpieczna, bo gdyby mnie nawet zobaczyli, zawsze zdołałabym uciec... Obydwaj byli ranni w nogi, więc ledwie

się ruszają.

Wóz zwolnił. Podczas swojej opowieści Gretchen patrzyła na własne stopy pod tablicą rozdzielczą. Teraz uniosła wzrok i zobaczyła, gdzie się znajdują. Stacja benzynowa. Sklep wielobranżowy. I nikogo w polu widzenia.

Teddy zahamował u wjazdu na zwirowaną drogę wiodącą w stronę rzeki.

- To była gra... - powiedziała - niedorzeczna, okrutna gra głupiej dziewczyny.

- Kłamiesz - rzucił Boylan.

- Co takiego? - zapytała zdziwiona.

W samochodzie było nieznośnie gorąco i duszno.

- To, co słyszałaś, duszko. Kłamiesz. To nie była żadna gra.

Chciałaś tam pójść i dać tym dwom czarnuchom.

- Teddy... - z wysiłkiem dobyła głosu. - Proszę cię... Proszę, otwórz okno. Ledwie oddycham.

Pochylił się i nad kolanami Gretchen otworzył drzwi po jej stronie.

- Śmiało, duszko - podjął. - Idź tam. Oni jeszcze czekają. Baw się dobrze. Z pewnością zyskasz przeżycie, które zachowasz w miłej pamięci do końca twoich dni.

- Teddy... Proszę...

Zaczynało wirować jej w głowie, a głos Boylana raz przycichał, raz powracał mocny i zgrzytliwy.

- Nie martw się o transport do domu - ciągnął. - Poczekam tu na ciebie. Nie mam nic lepszego do roboty. Jest sobota, więc wszyscy moi znajomi powyjeżdżali z miasta. Śmiało, duszko! Kiedy wrócisz, opowiesz mi, jak tam było. Wysłucham cię z wielkim zainteresowaniem.

- Muszę wysiąść - szepnęła.

W skroniach jej pulsowało i miała wrażenie, że się dusi.

Wygramoliła się z wozu i na skraju szosy zaczęła wymiotować gwałtownie, uciążliwie.

Boylan siedział bez ruchu przy kierownicy. Patrzył prosto przed siebie. Kiedy wreszcie skończyły się konwulsyjne torsje, rzucił krótko:

- Już dobrze. Chodź tu.

Wyczerpana, zgnębiona, wsiadła do samochodu. Czoło miała zroszone zimnym potem. Usta zakrywała dłonią.

- Masz, duszko - powiedział troskliwie i podał jej dużą, kolorową chustkę z jedwabiu.

- Możesz się tym posłużyć.

Otarła usta i osuszyła spotniałe czoło.

- Dziękuję, Teddy... - wyszeptała.

- No i co teraz, duszko? - zapytał.

- Chcę do domu - wyjąkała przez łzy.

- Nie możesz w tym stanie - odrzekł i uruchomił starter.

- Dokąd mnie wiesz?

- Do siebie.

Była zbyt osłabiona, by protestować. Wóz sunął szosą, a ona z głową na oparciu siedzenia, z przymkniętymi oczami siedziała cicho.

Kochali się tego dnia wczesnym wieczorem. Uprzednio Gretchen była w jego łazience i długo płukała usta eliksirem o cytrynowym zapachu. Później przez dwie godziny spała kamiennym snem w jego łóżku. Kiedy było po wszystkim, spokojnie odwiózł ją do domu.

W poniedziałek z rana o dziewiątej przyszła do biura i tam zastała na swoim stoliku długą białą kopertę. Była zaadresowana na maszynie, a w rogu widniał odręcznie skreślony dopisek: „Do rąk własnych”. Otworzyła kopertę i znalazła w niej osiem studolarowych banknotów.

Teddy musiał wstać o świcie, by przejechać całe miasto i zdążyć do zakładów przed kimkolwiek z pracowników.

ROZDZIAŁ III

W klasie panowała cisza. Słysząc było tylko pracowite skrzypienie piór po papierze. Panna Lenaut siedziała za swoim stołem. Czytała. Od czasu do czasu podnosiła wzrok i spojrzeniem omiatała klasę. Zadała właśnie uczniom półgodzinne wypracowanie na temat: „Przyjaźń francusko-amerykańska”. Rudolf, pochylony nad zadaniem w swojej ławce w głębi klasy, musiał przyznać w rozmowie z samym sobą, że panna Lenaut może być bardzo piękna i bez wątpienia jest we francuskim stylu, ale jej wyobraźnia wiele pozostawia do życzenia.

Pół punktu miał kosztować błąd ortograficzny lub akcent niewłaściwie umieszczony, a cały punkt każda nieprawidłowość gramatyczna. Wypracowanie winno zapełnić przynajmniej trzy strony.

Rudolf uporał się z tym szybko. Był jedynym w klasie panny Lenaut uczniem, który za wypracowania i dyktanda stale dostawał ponad dziewięćdziesiąt punktów, a ostatnie trzy próby przyniosły nawet pełne setki. Jego biegłość we francuskim nasuwała pannie Lenaut podejrzenia, iż jego rodzina posługuje się tym językiem w domu.

- Jordach - powiedziała pewnego razu - to nie jest amerykańskie nazwisko.

Dotknęła go boleśnie. Pod wieloma względami chciał różnić się od swojego otoczenia, nie życzył sobie jednak być nieamerykański.

Jego ojciec pochodzi z Niemiec, wyjaśnił pannie Lenaut, ale nie licząc kilku przypadkowych słów niemieckich, w domu mówi się wyłącznie po angielsku.

- Czy twój ojciec nie jest Alzacyjny? - zapytała wtedy.

- Nie. Pochodzi z Kolonii - odrzekł i dodał, że podobno jego dziadek urodził się w Alzacji czy może Lotaryngii.

- Alors! - ucieszyła się nauczycielka. - Jest tak, jak przypuszczałam.

Rudolfowi zrobiło się przykro, że panna Lenaut - ucieleśnienie piękna i wszelkich kobiecych uroków, a zarazem przedmiot jego gorących uczuć - mogłaby bodaj przez moment sądzić, iż on skłamał, aby się jej przypodobać. Marzył o szczerych wyznaniach i snuł rojenia, jak to kiedyś, po wielu latach, gdy będzie już po college'u, wróci do swojej dawnej szkoły. Zaczeka na nią u wejścia i po francusku - bezbłędnie już i z idealnie prawidłowym akcentem - zwróci się do niej, by żartobliwie, z pobłażaniem dla naiwnego dziecka, powiedzieć o płomiennej miłości, jaką przeżywał w przedostatniej klasie. No i kto wie? Literatura jest pełna starszych kobiet i uzdolnionych młodych chłopców, nauczycielek i obiecujących uczniów...

Jeszcze raz przeczytał wypracowanie i poszukując błędów, krzywił się na widok banałów, jakie narzucił mu temat. Zmienił jeden i drugi wyraz, postawił opuszczony akcent,

wreszcie spojrzął na zegarek. Jeszcze piętnaście minut...

- Ty! - dobiegł go z prawej rozpaczliwy szept. - Jak będzie imiesłów przeszły od venir?

Dyskretnie zwrócił głowę ku sąsiadowi, którym był Summy Kessler, uczeń wyróżniany stale oceną D. Zgarbiony nad zeszytem, z udręczoną miną, oczyma błagał o pomoc. Rudolf zerknął ku nauczycielce. Była pogrążona w lekturze. Niechętnie łamał obowiązujący regulamin, lecz nie chciał również, by rówieśnicy uważali go za tchórza i lizusa.

- Venu - odszepnął.

- Przez „j” i „u”?

- Tylko przez „u”, idioto.

Summy Kessler jął znów gryzmolić pracowicie - nieszczęśliwy, spocony, skazany z góry na swoją ocenę D.

Wyjątkowo dziś interesująca, pomyślał Rudolf gapiąc się na pannę Lenaut. Miała w uszach długie kolczyki i ubrana była w połyskliwą, brązową suknię, która ciasno jak skóra opinała skrępowane pasem biodra i szczerze odsłaniała pokaźną część piersi usztywnionych biustonoszem. Jej usta wyglądały jak jasnopurpurowa szrama. Panna Lenaut miała zwyczaj malować wargi przed każdą lekcją. Jej rodzina prowadziła francuską restauracyjkę w teatralnej dzielnicy Nowego Jorku, więc styl panny Lenaut był bardziej z Broadwayu niż z Faubourg St. Honore. Na szczęście Rudolf nie wyczuwał tej różnicy.

Nudził się, więc od niechcienia zaczął rysować na ćwiartce papieru.

Twarz panny Lenaut nabierała kształtów pod jego piórem. Łatwe do rozpoznania dwa fantazyjne loczki przed uszami, ondulowane, gęste włosy z rozdziałkiem pośrodku głowy... Pracował dalej. Kolczyki.

Gruba, raczej mało ponętna szyja. Zawahał się na moment. Teren, na który wkraczał obecnie, był ryzykowny. Zerknął znów w stronę nauczycielki. Czytała. W jej klasie dyscyplina nie stanowiła problemu. Panna Lenaut bezlitośnie sypała karami za najbardziej błahe wykroczenia. Najłagodniejszy z jej wyroków to dziesięć razy powtórzona na piśmie pełna koniugacja nieprawidłowego czasownika zwrotnego se taire. Mogła zatem siedzieć spokojnie, czytać i tylko od czasu do czasu podnosić wzrok, by upewnić się, że wszystko w porządku, że nie słyhać szeptów, ani świstki papieru nie wędrują od ławki do ławki.

Rudolf oddał się bez zastrzeżeń rozkoszom sztuki i erotyki. Od szyi panny Lenaut przeniósł się niżej ku jej prawej piersi - nagiej. Później zajął się lewą piersią. Rysował postać lekko zwróconą w bok, stojącą przed tablicą, z podniesioną ręką i kredą w palcach. Pracował

z przyjemnością i zapalem. Każdy kolejny szczegół wychodził mu lepiej. Biodra były łatwe. Cokolwiek mętnie wypadł wzgórek Wenery, który nakreślił przypominając sobie pożyczane z czytelni książki o sztuce. Łydki uznał za całkiem udane. Chętnie narysowałby pannę Lenaut boso, ale stopy były jego słabą stroną, więc pozostawił jej pantofle, jakie zazwyczaj nosiła, na wysokich obcasach, zapinane na pasek w kostce. Z pozy wynikało, że panna Lenaut pisze, więc postanowił ozdobić tablicę jakimis słowami. Je suis folle d'amour, szaleję z miłości - skreślił, naśladowując dokładnie model pisma, jakim panna Lenaut posługiwała się na tablicy. Następnie począł cieniować artystycznie jej piersi. Doszedł do wniosku że całość wypadnie znacznie lepiej, jeżeli postać przedstawi tak, jak gdyby z lewa padało jasne światło. W następnej kolejności zajął się cieniowaniem ud od wewnętrznej strony. Żałował, że nie ma w szkole nikogo, komu mógłby pokazać dzieło i zyskać właściwe uznanie.

Niestety, nie dowierzał nawet swoim najlepszym przyjaciołom, chłopcom z drużyny lekkoatletycznej. Podejrzywał że w kwestii takiego rysunku nie zachowaliby przykładowej dyskrecji.

Wykończył właśnie obciskające kostki paski pantofli, gdy wyczuł, że ktoś stoi obok jego ławki. Z wolna uniósł wzrok. Panna Lenaut wpatrywała się w rozłożony przed nim rysunek. Musiała zbliżyć się cicho jak kot, mimo wysokich obcasów.

Siedział znieruchomiały. W tego rodzaju sytuacji żaden gest nie mógłby zdać się na nic. Panna Lenaut miała furię w ciemnych, grubo podmalowanych oczach i przygryzając wargi, zjadała szminkę. Bez słowa wyciągnęła rękę, a on, również bez słowa, podał jej ćwiartkę papieru. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę swojego stołu, ale rysunek zwinęła, by po drodze nikt nie mógł dostrzec, co przedstawia.

Dopiero przed samym dzwonkiem na koniec lekcji zawołała:

- Jordach!

- Słucham, proszę pani - odpowiedział dumny z naturalnego brzmienia głosu, na jakie potrafił się zdobyć.

- Czy po lekcji mogę zamienić z tobą parę słów?

- Tak jest, proszę pani.

Dzwonek zabrzączał. Rozległ się gwar zwyczajny w takich chwilach.

Uczniowie zaczęli wychodzić śpiesznie. On pedantycznie spakował książki do teczki, a gdy w klasie nie było już nikogo, podszedł do nauczycielskiego stołu.

Panna Lenaut zasiadała w iście sędziowskim majestacie. Głos miała lodowaty.

- Monsieur l'artiste! - rozpoczęła - Pominąłeś bardzo istotną część swojego... swojego chef d'oeuvre. - Otworzyła szufladę stolika, wyjęła rysunek i ze złowróbnym szelestem

wyglądziła papier na swoim bibularzu. - Brak tu podpisu. Dzieła sztuki są z reguły bardziej wartościowe, gdy zdobi je autograf twórcy.

Wszelkie wątpliwości w kwestii autorstwa dzieła takiej miary byłyby pożałowania godne. - Gwałtownym ruchem podsunęła rysunek Rudolfowi. - Będę szczerze zobowiązana, monsieur, jeżeli zechcesz złożyć tu własnoręczny podpis. Czytelny podpis.

Sięgnął po pióro i w prawym dolnym rogu arkusika skreślił swoje nazwisko. Robił to wolno, z namysłem. Chciał, by panna Lenaut nie wątpiła, że korzystając z czasu ogląda rysunek dokładnie. Nie mógł przecież zachowywać się wobec niej jak wystraszony dzieciuch.

Miłość ma swoje prawa. Był dostatecznie męski, by narysować nago pannę Lenaut. Będzie dostatecznie męski, by stawić czoło jej gniewowi. Podpis zakończył niewielkim, lecz efektownym zakrętasem.

Panna Lenaut wyciągnęła rękę i chwyciwszy rysunek, przesunęła go na swoją stronę blatu. Oddychała teraz szybko i ciężko.

- Monsieur! - rzuciła piskliwie. - Dziś, natychmiast po godzinach szkolnych, zwrócisz się do jednego ze swoich rodziców i przyprowadzisz mu na rozmowę ze mną. - W podnieceniu popełniała czasami zabawne błędy językowe. - Mam im do powiedzenia coś ważnego o syna, którego wychowali w swoim domu. Będę czekać tutaj.

Jeżeli do czwartej nie przyjdiesz w towarzystwie kogoś z rodziny, pociągnie to bardzo poważne konsekwencje. Zrozumiano?

- Tak jest, proszę pani. Moje uszanowanie pani.

„Moje uszanowanie” wymagało odwagi! Rudolf wyszedł z klasy ani szybciej, ani wolniej niż w normalnych warunkach. Nie zapomniał również o płynnych ruchach. Panna Lenaut sapiała, jak gdyby przed chwilą wbiegła po schodach na co najmniej drugie piętro.

Po zakończeniu lekcji Rudolf wrócił do domu. Nie zajrzał do sklepu, gdzie matka obsługiwała kupujących, lecz poszedł na piętro bo spodziewał się zastać ojca w mieszkaniu. W żadnym wypadku nie chciał, by matka zobaczyła jego dzieło. Ojciec mógł mu przetrzepać skórę, ale nawet to byłoby lepsze od żalosego wyrazu jaki po obejrzeniu takiego rysunku zostałyby w oczach matki do końca jej życia.

Ojca nie było w domu. Gretchen nie wróciła jeszcze z pracy, a Tom nie pokazywał się nigdy wcześniej niż pięć minut przed kolacją.

Rudolf umył ręce i twarz, przyczesał włosy. Zły los chciał spotkać z godnością dżentelmena.

Kiedy zeszedł do sklepu matka obsługiwała starą kobietę cuchnącą jak zmokły na

deszczu pies. Pakowała do papierowej torby dwanaście bułek. Zaczekał, by starucha wyszła. Później podszedł do matki i obdarzył ją pocałunkiem.

- Jak poszło ci dziś w szkole? - zapytała gładząc go po włosach.

- Dobrze, jak zwykle - odpowiedział. - Gdzie może być tata?

- Pewno jest nad rzeką. - Czemu pytasz?

Dwa ostatnie słowa zabrzmiały nutą podejrzliwości. Nieczęsto się zdarzało, by któregoś z dzieci dopytywało się o jej męża bez wyraźnej przyczyny.

- Tak sobie. Bez powodu - rzucił bez troski.

- Nie masz dziś treningu na bieżni? - zapuściła sondę.

- Nie mam.

Dwoje kupujących weszło do sklepu. Nad drzwiami począł brzęczeć mały dzwonek. Rudolf nie miał potrzeby kłamać więcej. Pożegnał ją skinieniem ręki i wyszedł, kiedy matka witała klientów.

Gdy nie mogła go zobaczyć ze sklepu, przyspieszył kroku i ruszył w stronę rzeki. Ojciec przechowywał swoją łódkę w kącie starego magazynu na nadbrzeżu i zazwyczaj poświęcał jej konserwacji jedno, czasami dwa popołudnia w tygodniu. Rudolf domyślał się, że dziś jest takie właśnie popołudnie.

W pobliżu magazynu zobaczył ojca, który papierem ściernym wygładzał dno łódki ustawionej na kozłach, jakimi posługują się traczki. Jordach miał zawinięte rękawy i ze skupieniem polerował gładkie drewno. Węzły mięśni jego ramion naprężyły się i rozluźniały w miarę rytmicznych poruszeń. Rudolf zauważył to, gdy podszedł bliżej. Dzień był ciepły, więc ojciec pociał się mimo rzeńskiego powiewu od rzeki.

- Dobry wieczór, tato - powiedział chłopiec.

Jordach uniósł wzrok, odburknął coś i powrócił do przerwanej roboty. Łódkę w oplakany stan kupił niegdyś prawie za darmo od pobliskiej szkoły dla chłopców, która zbankrutowała. Za tym sprawunkiem kryły się jakieś rzeczne wspomnienia o młodości i dobrym zdrowiu w chłopięcych latach spędzonych nad Renem, więc Jordach doprowadził łódkę do kwitnącego stanu, czyścił ją i raz po raz malował. Obecnie była bez skazy, a mechanizm ruchomego siodełka aż lśnił od oliwy. Gdy w swoim czasie opuścił szpital w Niemczech z jedną nogą właściwie do niczego, wycieńczony i chudy, jął ćwiczyć z fanatyzmem, aby odzyskać siły. Później praca na jeziorowych parowcach dała mu moc olbrzyma, którą utrzymywało teraz stałe i wytrwałe wiosłowanie w górę i w dół rzeki. Z kaleką nogą nie mógł oczywiście dogonić nikogo, lecz sprawiał wrażenie, że w tych swoich owłosionych łapach łatwo zdruzgocze dorosłego mężczyznę.

Rudolf usiłował trzymać na wodzy nerwy.

- Tato... - zaczął.

Ojciec nigdy go dotąd nie uderzył, lecz Rudolf widział rok temu Toma ogłuszonego do nieprzytomności jednym ciosem ojcowskiej pięści.

- O co chodzi?

Jordach sprawdził gładkość drewna grubymi, sękatymi palcami.

Wierzchy jego dłoni i palce jeżyły się szczeciniastym, czarnym włosom.

- Bo w szkole, tato... - zaczął.

- Masz trudności w szkole? Ty?

Spojrzał na syna z niekłamanym zdziwieniem.

- Trudności to może za mocne słowo. Wyniknęła sytuacja...

- Jaka znów sytuacja?

- No bo ta Francuzka, co uczy nas francuskiego... To było na jej lekcji... Ona powiada, że chce pomówić z tobą, ojcze. Dziś.

Zaraz.

- Ze mną?

- No... Mówiła o jednym z rodziców.

- Co na to matka? - zapytał ojciec. - Gadałeś z nią?

- Nie. Myślę, że nie powinna wiedzieć o takiej sprawie - odparł Rudolf.

Jordach z zastanowieniem popatrzał nań ponad kadłubem łódki.

- Francuski... - bąknął. - Zdawało mi się, że jesteś w tym mocny.

- Tak, tato. Jestem mocny. Ale szkoda czasu na rozmowy. I tak musisz się do niej wybrać.

Jordach zmiótł jakiś pyłek z gładkiej powierzchni drewna. Otarł czoło wierzchem dłoni i zabrał się do opuszczania rękawów. Później zarzucił na ramiona wiatrówkę, sięgnął po sukienną czapkę, nacisnął ją na głowę i wyglądał całkiem jak wyrobnik.

Ruszył w stronę szkoły, a syn pośpieszył za nim skromnie. Nie odważył się zaproponować, by przed rozmową z panną Lenaut ojciec wstąpił do domu i przebrał się w garnitur.

Kiedy wprowadził ojca do klasy, panna Lenaut siedziała za nauczycielskim stołem. Poprawiała wypracowania. Budynek szkolny był pusty, lecz przez okna dobiegał gwar z boiska. Po niefortunnej lekcji panna Lenaut malowała usta przynajmniej trzykrotnie. Rudolf uprzytomnił sobie po raz pierwszy, że jej wargi są wąskie, pogrubiłe sztucznie przy pomocy szminki. Kiedy weszli do klasy, spojrzała na nich i zacisnęła usta. Przed budynkiem szkolnym

Jordach wciągnął wiatrówkę i zdjął tę swoją czapkę, lecz w dalszym ciągu sprawiał wrażenie wyrobnika.

Podeszli do nauczycielskiego stołu. Panna Lenaut wstała.

- To mój ojciec, proszę pani - powiedział Rudolf.

- Witam pana - zwróciła się chłodno do Jordacha.

Nic nie odpowiedział. Stojąc przed stołem, przygryzał wąsy, miał czapkę w rękach. Pokorny proletariusz.

- Czy syn wyjaśnił, czemu prosiłam, by pan zechciał zgłosić się do mnie?

- Nie, proszę pani. Nic mi nie mówił.

W jego głosie było też coś z proletariackiej pokory, więc Rudolf pomyślał, że może ojciec boi się tej kobiety.

- Żenuje mnie nawet kilka słów na taki temat - podjęła panna Lenaut z rozdrażnieniem i piskliwym znowu głosem. - Po tylu latach nauczania... To straszne... I to uczeń, którego zawsze miałam za ambitnego i pilnego... Nie powiedział panu, co zrobił?

- Nie, proszę pani.

Jordach stał przed nią cierpliwie, jak gdyby miał przed sobą dzień i noc na omawianie nie wiadomej mu jeszcze sprawy.

- Eh, bien - zaczęła znowu nauczycielka. - Cały ciężar spoczywa na moich barkach.

Pochyliła się i wyciągnawszy szufladę, dobyła z niej ćwiartkę papieru: Nie spojrzała na nią i mówiąc dalej, trzymała rysunek daleko od siebie.

- Wie pan, co on robił w klasie podczas lekcji, kiedy powinien pisać wypracowanie?

- Nie, proszę pani.

- Rysował to!

Dramatycznym gestem podsunęła rysunek przed nos Jordacha. Wziął go z jej rąk i obrócił pod światło, by widzieć lepiej. Rudolf wpatrywał się lękliwie w twarz ojca. Próbował coś z niej wyczytać.

Prawie liczył, że stary odwróci się, by skarcić go potężnym ciosem, więc zastanawiał się, czy zdoła przyjąć karę spokojnie, bez płaczu. Jordach nie zdradzał wyrazem twarzy tego, co myśli.

Sprawiał wrażenie zaciekawionego i po trosze zbitego z tropu.

- Niestety, nie umiem czytać po francusku - odezwał się wreszcie.

- Nie o to przecież chodzi - obruszyła się panna Lenaut.

- Coś tu napisane po francusku.

Dotknął palcem wskazującym zdania: „Je suis folle d'amour „, skreślonego przez

Rudolfa na tablicy, przed którą stała obnażona postać.

- „Szaleję z miłości! Ja szaleję z miłości!”

Panna Lenaut chodziła tam i z powrotem po wąskim podium za nauczycielskim stołem.

- Co proszę?

Jordach marszczył czoło, jak gdyby usiłował coś zrozumieć, lecz znajdował się na wodach zbyt dłań głębokich.

- To tam wypisano! - Z furią wskazała palcem rysunek. - Tak brzmi tłumaczenie tego, co pański utalentowany syn napisał. „Szaleję z miłości! Ja szaleję z miłości!” - Krzyczała przejmująco.

- Aa... Rozumiem - powiedział Jordach tak, jak gdyby doznał nagłego olśnienia. - Czy to, nieprzyzwoite po francusku?

Panna Lenaut panowała nad sobą z widocznym wysiłkiem, lecz znowu przygryzała wargi.

- Panie Jordach! - podjęła. - Chodził pan kiedy do szkoły?

- Tak. Ale w innym kraju.

- Czy w jakiegokolwiek szkole, w jakimkolwiek kraju byłoby czymś właściwym, by młody chłopiec narysował podczas lekcji swoją nauczycielkę nagą?

- Oo! To ma być pani? - zdumiał się Jordach.

- Tak. Ja!

Panna Lenaut rzuciła Rudolfowi miażdżące spojrzenie.

Jordach bacznie przyjrzał się rysunkowi.

- Jak Boga kocham! - zawołał. - Teraz widzę podobieństwo. Czy w dzisiejszych czasach nauczycielki pozują na golasa uczniom?

- Nie pozwolę drwić z siebie, panie Jordach - rzuciła z wyniosłym chłodem. - Nie widzę również celu dalszej rozmowy. Zechce pan oddać mi ten rysunek... - wyciągnęła rękę. - Pożegnaj pana i sprawę przedstawię tam, gdzie powaga sytuacji zostanie oceniona właściwie. Zwrócę się do dyrektora szkoły. Nie widzę innej drogi, chociaż chciałam oszczędzić pana synowi przykrości, na jakie narazi go plugawy rysunek, gdy trafi na biurko dyrektora. A teraz nie chciałabym zajmować panu więcej czasu, więc proszę o rysunek i...

Jordach cofnął się o krok. Nie wypuszczał papieru z ręki.

- Powiada pani, że mój syn to narysował.

- Z całą pewnością - odpowiedziała. - Nawet złożył swój podpis.

Jordach zerknął na rysunek, by się upewnić.

- Słusznie. To jego podpis. A więc Rudi jest właścicielem rysunku.

No nie? Nie trzeba prawnika, by tego dowieść.

- Niech pan oczekuje wiadomości od dyrektora szkoły - podjęła panna Lenaut. - Jestem zajęta. Na tę obrzydliwą historię straciłam już wystarczająco dużo czasu. Proszę mi zwrócić rysunek.

- Myślę, że go zatrzymam - odrzekł flegmatycznie Jordach. - Widać w nim talent, no i podobieństwo jest wcale dobrze utrafiłone. - Z uznaniem pokiwał głową. - Nie podejrzewałem nawet, że Rudi ma takie zdolności. Oprawi się to i zawiesi na ścianie w domu. Trzeba by dać huk forsy za równie dobrą goliznę.

Panna Lenaut przygryzała wargi tak zaciekłe, że przez chwilę nie mogła dobyć głosu. Rudolf przypatrywał się ojcu pełen zdumienia.

Nie miał pojęcia, jak stary może zareagować, ale tego rodzaju przedstawienie w stylu cwane przygłupka ze wsi przerastało wszystko, czego mógłby oczekiwać.

Panna Lenaut przemówiła wreszcie. Pochylona nad blatem stołu rzuciła Jordachowi przejmującym, ochrypłym szeptem:

- Precz stąd! Wynoś się obrzydliwy, wstrętny cudzoziemcze! I zabierz z sobą twojego bezwstydnego syna.

- Ja nie gadałbym tak na pani miejscu - odrzekł Jordach opanowanym nadal tonem. - Podatnicy utrzymują tę szkołę, a ja też płacę podatki, więc wyniosę się, kiedy mi będzie pasowało. No a gdyby pani mniej kręciła zadkiem opiętym ciasną kiecką i nie pokazywała cycków, niczym dwudolarowa dziwka spod latarni, pewno nie kusiłoby chłopców, żeby panią rysować nago. No i okazałoby się, że Rudi pochlebił pani w tym swoim dziele sztuki, gdyby tak panią rozebrać z wszystkich pasów, gorsetów i biustonoszy.

Twarz panny Lenaut była wykrzywiona konwulsyjnie, jej usta ziały nienawiścią.

- Już wiem wszystko o tobie! - syknęła - Sale Boche!

Jordach wyciągnął rękę nad stołem i gdy uderzył w twarz pannę Lenaut, policzek trzasnął niby wystrzał. Gwar na boisku przycichł nagle i w klasie zapanowała straszliwa cisza. Przez moment panna Lenaut siedziała pochylona z brodą wspartą na dłoni. Później skuliła się na krześle i zasłaniając twarz rękoma, wybuchnęła płaczem.

- Nie podoba mi się takie gadanie, ty francuska pindo - powiedział Jordach. - Przyjechałem z Europy taki świat drogi nie po to, żeby czegoś podobnego słuchać. Pomyślałbym dwa razy, zanim obraziłbym kogoś, gdybym był Francuzem z takich, co to wiali jak króliki po pierwszym wystrzale brudnych Szwabów. Na pociechę powiem pani jeszcze, że w 1916 roku zabiłem Francuza bagnetem. No i nie zdziwi się pani, jeżeli dodam,

że dostał sztych w plecy, bo próbował zwać do domu, do mamusi.

Rudolf zaczął drzeć, gdy jego ojciec mówił to wszystko tak spokojnie, jak gdyby rozprawiał o pogodzie lub składał zamówienie na mąkę. Jad słów stawał się nie do zniesienia skutkiem konwersacyjnego, niemal przyjacielskiego tonu, jakim były wymawiane.

- A jeżeli chce pani odgrywać się na moim synu - ciągnął nieubłagalnie Jordach - to i o tym warto pomyśleć dwa razy. Bo widzi pani, ja mieszkam blisko i nie boję się spacerów. Rudi miał przez dwa lata A z francuskiego, więc przyjdę tu zapytać o to i owo, gdyby przypadkiem dostał gorszą ocenę na koniec okresu.

Chodź, Rudi. Idziemy.

Wyszli z klasy. Zapłakana nauczycielka pozostała przy swoim stole.

Bez słowa spieszyli w kierunku domu. U najbliższego skrzyżowania ulic Jordach zatrzymał się przy koszu na śmiecie. Z roztargnioną miną podał rysunek i drobne strzępki wyspał do kosza. Wtedy spojrzał na syna.

- Głupi szczeniak z ciebie, no nie?

Rudolf przytaknął skinieniem głowy. Ruszyli w dalszą drogę.

- Miałeś kiedyś dziwkę? - zapytał Jordach.

- Nie.

- Mówisz prawdę?

- Przecież powiedziałbym tacie.

- Tak. Powiedziałbyś chyba - zgodził się i przez pewien czas kuśtykał w milczeniu. No i na co niby czekasz?

- Nie pilno mi - odparł przyjmując ton obronny.

Ani ojciec, ani matka nie rozmawiali z nim dotąd o seksie, a to popołudnie uważał za najbardziej niewłaściwe na rozpoczęcie takiej rozmowy. Prześladował go obraz panny Lenaut brzydkiej, rozszlochanej, pochylonej bezradnie nad blatem stołu. Wstyd mu też było, że tę głupią kobietę o piskliwym głosie mógł kiedykolwiek uznać za osobę godną jego gorących uczuć.

- Jak wreszcie zaczniesz - podjął ojciec - nie trzymaj się jednej.

Bierz dziwki dziesiątkami. Nie wbijaj sobie do łba, że dla ciebie jest tylko jedna i koniecznie musisz ją dostać. Takie coś może zrujnować życie. Będziesz pamiętał?

- Aha. Będę - powiedział Rudolf przekonany mocno, że ojciec myli się, bardzo myli.

Znowu milczeli aż do skrzyżowania ulic.

- Przykro ci, że dałem jej po gębie? - zapytał wreszcie ojciec.

- Tak.

- Całe życie spędziłeś w tym kraju. Nie masz pojęcia, co to jest prawdziwa nienawiść.
- Tato, czy ty naprawdę zabiłeś Francuza bagnetem? - zapragnął się dowiedzieć.
- Aha. Jednego z dziesięciu milionów poległych Francuzów. Jakież to ma dziś znaczenie?

Znajdowali się blisko domu. Rudolf był przygnębiony, nieszczęśliwy. Winien podziękować ojcu, że stanął w jego obronie w sposób, na jaki potrafiłoby się zdobyć bardzo niewielu rodziców.

Zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

Jordach przystanął przed piekarnią:

- Nie tylko tamtego Francuza zabiłem - powiedział. - Zabiłem też człowieka nie na wojnie. W Hamburgu. W Niemczech. W 1921 roku.

Mówię ci to, bo czas, żebyś wiedział coś niecoś o własnym ojcu.

No, zobaczymy się przy kolacji. Teraz muszę okryć łódkę plandeką.

Odszedł obskurną uliczką, kuśtykając, w swojej sukiennej czapce zsuniętej zawadiacko ku tyłowi głowy.

Na koniec okresu Rudolf otrzymał z francuskiego ocenę A.

ROZDZIAŁ IV

Sala gimnastyczna i boisko szkoły elementarnej położonej w sąsiedztwie domu Jordachów były otwarte do dziesiątej wieczór przez pięć dni w tygodniu. Tom Jordach chodził tam dwa lub trzy razy tygodniowo. Czasami grywał w koszykówkę, najczęściej jednak przestawał z wyrostkami i młodymi mężczyznami, którzy w toalecie dla chłopców uprawiali niedrogi hazard w kości. Nie groziło im zdemaskowanie, gdyż instruktor był z reguły zajęty sędziowaniem w trwającym nieustannie meczu koszykówki.

Tom był jedynym tak młodym chłopcem dopuszczanym do gry w kości.

Drogę utorował sobie pięściami. Pewnego wieczora znalazł miejsce w kręgu pomiędzy dwoma graczami, przyklęknął na podłodze i rzuciwszy dolara do puli powiedział:

- Po twoim banku!

Adresatem tych słów był Sonny Jackson, który miał dziewiętnaście lat i czekał na powołanie do wojska, a na razie przewodził towarzystwu skupiającemu się wokół tej szkoły. Sonny był silny, krępy, skory do bójek i bardzo obraźliwy. Tom celowo wybrał go na swój debiut. Tamten spojrzał nań z niesmakiem i odepchnął w jego stronę jednodolarowy banknot.

- Zmiataj, szczeniaku - rzucił. - To zabawa dla dorosłych.

Tom bez wahania i nie podnosząc się z kolan wziął rozmach i uderzył dziewiętnastolatka szerokim sierpem z lewej. Później, gdy wywiązała się walka, ugruntował swoją reputację. Podbił przeciwnikowi oczy, rozkrwawił wargi, a na zakończenie zaciągnął do kabiny natryskowej i przez pięć minut trzymał pod deszczem zimnej wody. Od tamtej pory gracze w kości robili mu miejsce, ilekroć zechciał.

W wieczór, o którym mowa, nie było puli. Chuderlawy dwudziestolatek, niejaki Pyle, pokazywał towarzystwu miecz samuraja zdobyty - jak powiadał - własnoręcznie na Guadalcanal. Do wojska wstąpił na początku wojny i został zdemobilizowany, gdyż trzy razy chorował na malarię i ledwie wywinał się śmierci. Nawet obecnie miał niepokojąco żółtą cerę.

Tom z niedowierzaniem słuchał opowieści, jak to Pyle rzucił granat ręczny do schronu tak sobie, na wszelki wypadek. No i jak mówił usłyszał wrzask we wnętrzu schronu, więc wczółgał się tam z pistoletem swojego porucznika w garści i znalazł trupa japońskiego kapitana z tym właśnie mieczem u boku. Tom był zdania, że coś podobnego mógł przeżyć raczej Errol Flynn w Hollywood niż ktoś z Port Philip na Południowym Pacyfiku. Nic jednak nie mówił, bo był usposobiony pokojowo i sądził, że trudno bić się z facetem tak chorobliwie chudym i poźółkłym.

- A w dwa tygodnie później - ciągnął Pyle - tym tutaj mieczem uciąłem głowę Japończykowi.

W tym momencie Tom poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. To był Claude z zaślinionymi cokolwiek ustami i jak zawsze w garniturze i krawacie.

- Słuchaj no - szepnął. - Mam ci coś do powiedzenia. Chodź.

- Zaraz - odpowiedział Tom. - Chciałbym tego posłuchać.

- Opanowaliśmy wyspę - mówił Pyle - ale Japończycy kryli się jeszcze tam i ówdzie, wychodzili nocami i w terenie strzelali do naszych chłopców. Naszego dowódcę strach obleciał, więc trzy razy dziennie wysyłał patrole na wszystkie strony. Powtarzał nam, że cały teren trzeba oczyścić od skurwysynów. Wszystkich wyłowić do ostatniego. No i raz, jak poszedłem na taki patrol, zobaczyliśmy jednego, co próbował przepawić się w bród przez strumień. Dostało mu się naturalnie, ale nie bardzo, więc drań przysiadł na ziemi, dłonie splótł na głowie i zaczął coś szwargotać po swojemu. Patrol nie był oficcerski. Składał się tylko z kaprała i nas sześciu.

„Słuchajcie no, chłopaki - powiadam. - Pilnujcie go tutaj, a ja skoczę po mój miecz samuraja. Urządzi się przepisową egzekucję”.

Kapral bał się trochę, bo miał rozkaz, żeby brać jeńców, ale powiedziałem, że nie ma przecież oficerów, a ostatecznie skurwysyny robią wciąż takie rzeczy z naszymi chłopcami. Ucinają im głowy i tyle! Urządziliśmy głosowanie, no i koledzy związali drania, a ja wróciłem do obozu po mój miecz. Jak przyszedłem, kazaliśmy mu uklęknąć, co zrobił w porządku, bo widać był przyzwyczajony do takich rzeczy. Ja odstawiłem robotę, bo przecież miecz należał do mnie. Wziąłem zamach i ciach! Jak orzech kokosowy potoczył się na ziemię łeb z szeroko otwartymi oczami. A krew tryskała, powiadam wam, lekko licząc, dziesięć stóp w górę - kończył Pyle, pieszczotliwie dotykając stalowej klingi. - Taki miecz, chłopcy, to jest coś! No nie?

- Gówno prawda! - rzucił głośno Claude.

- Co takiego? - Pyle wytrzeszczył oczy. - Co powiedziałaś?

- Powiedziałem: gówno prawda - powtórzył tamten. - Nie uciąłeś głowy żadnemu Japończykowi. Na pewno miecz kupiłeś w sklepie z pamiątkami w Honolulu. Mój brat Al zna cię dobrze. Powiada, że nie miałbyś serca zabić nawet królika.

- Uważaj, szczeniaku - powiedział Pyle. - Jestem chory i słaby, ale jeżeli nie przymkniesz się i w mig stąd nie spłyniesz, sprawię ci lanie, jakiego w życiu nie dostałeś.

- Czekam!

Claude zdjął okulary i wsunął do górnej kieszonki marynarki.

Sprawiał wrażenie kompletnie bezradnego.

Tom westchnął. Wysunął się przed przyjaciela.

- Kto chce złać mojego kumpla, najpierw musi się ze mną zmierzyć - powiedział.

- W porządku! - Pyle podał miecz jednemu z chłopców. - Smarkaty jesteś, ale widać, że zuch z ciebie.

- Daj spokój, Pyle - odezwał się chwilowy opiekun miecza. - Ten na śmierć cię zatłucze.

Pyle przebiegł wzrokiem krąg twarzy i wyczytał w nich coś, co go otrzeźwiło.

- Nie po to wróciłem z frontu na Pacyfiku - powiedział głośno - żeby w rodzinnym mieście wojować z dziećmi. Dawaj miecz. Pilno mi do domu.

Jego odwrót był śpieszny. Inni też rozeszli się bez słowa, zostawiając Toma i Claude'a w toalecie.

- Czemu się wygłupiłeś? - zapytał gniewnie Tom. - Co to komu szkodziło? No i wiedziałeś, że nie pozwolą mu bić się ze mną.

- Chciałem tylko popatrzeć na ich miny - odrzekł Claude spocony i uśmiechnięty od ucha do ucha. - Nic więcej. To się nazywa potęga!

Twoja potęga, Tom!

- Zatłucze mnie kto kiedy przez tę twoją gadaninę o mojej potędze - obruszył się tamten. - I co u licha, masz mi do powiedzenia?

- Widziałem twoją siostrę.

- Wielkie rzeczy! Ja widuję ją codziennie. Czasem dwa razy dziennie.

- Widziałem ją przed domem towarowym Bernsteina. Przejeżdżałem tamtędy na motorze, więc zrobiłem małą rundę, żeby zobaczyć, co z tego będzie. No i ona wsiadła do wielkiego Buicka z opuszczonym dachem, jak jeden facet z fasonem otworzył przed nią drzwiczki.

Czekała na niego przed domem towarowym Bernsteina. Murowane!

- Wielkie rzeczy - powtórzył Tom. - Wybrała się na przejażdżkę Buickiem.

- Szlag cię trafi, jak usłyszysz, kto tego Buicka prowadził. - Za szklami okularów oczy chłopca połyskiwały uciechą z posiadania ważnych informacji.

- Szlag mnie nie trafi. Kto?

- Wielce szanowny pan Teodor Boylan. Teraz wiesz kto? A pasowałoby ci, gdybym taką plotkę puścił w klasie?

- Kiedy ich widziałeś?

- Godzinę temu. I od tamtej pory wszędzie cię szukam.

- Pewno odwiózł ją do szpitala. Moja siostra pracuje tam wieczorami.

- Tego wieczora, stary, nie ma jej w szpitalu. Kawalek drogi pojechałem za nimi motorem. Skręcili pod górę w stronę posiadłości Boylana. Zajrzyj tam, stary, jeżeli dziś wieczorem chcesz zobaczyć swoją siostrę.

Tom zastanowił się. Inna sprawa, gdyby Gretchen wybrała się na przejazdkę samochodem z kimś w mniej więcej swoim wieku, gdyby w alejce zakochanych nad rzeką pozwoliła na niezobowiązującą macankę. Później pożartowałyby z niej trochę. Nazywała go kiedyś wstrętnym chłopakiem. Mógłby odegrać się na niej. Ale z takim starym dziadem jak Boylan, który na domiar złego jest największą szyszką w mieście! Nie! - W taką historię nie powinna się wikłać.

Nie wiadomo, jak to się może skończyć.

- Wiesz co? - podjął Claude. - Gdyby chodziło o moją siostrę, zainteresowałbym się tą sprawą. Boylan ma ustaloną reputację. Ty nic nie wiesz, ale ja dowiaduję się w domu tego i owego, kiedy mój ojciec i stryj rozmawiają i nie wiedzą, że słucham. Twoja siostra może łądować się w nie lada kłopot i...

- Masz pod ręką motor? - przerwał Tom.

- Aha. Musimy tylko skombinować benzynę.

Motocykl należał do brata Claude'a, Ala, który przed dwoma tygodniami został powołany do wojska. Przed odjazdem Al zapowiedział młodszemu bratu, że kości mu połamie, jeżeli dowie się, że z motoru korzystał. Mimo to za każdym razem, gdy rodzice wyjeżdżali gdzieś wieczorem, Claude wypychał motor z garażu, napełniwszy wprzód bak benzyną ściągniętą z drugiego rodzinnego wozu. Godzinę albo dłużej zwykł uganiać się po mieście, omijając policję, ponieważ był za młody, by mieć prawo jazdy.

- Dobra - powiedział Tom. - Popatrzmy, co się dzieje na wzgórzu.

Claude miał przy sobie kawałek gumowego węża, więc pojechali za szkołę i wśród ciemności otworzyli bak zaparkowanego Chevroleta.

Claude wsunął tam gumę, posaż ją mocno, a gdy benzyna poczęła cieknąć, napełnił zbiornik swojego pojazdu.

Następnie Tom usadowił się za plecami przyjaciela. Boczny ulicami trafili na krańce miasta i krętą drogą dojechali na grzbiet wzgórza, gdzie rozciągała się posiadłość Boylana.

Główna brama - z żelaza kutego w kształt rozpostartych skrzydeł - była oprawna w kamienny mur wielomilowej, jak wydawać się mogło, długości. Tam chłopcy zaparkowali motor wśród zarośli, a resztę drogi odbyli pieszo, żeby nie zdradzić się hałasem. Przy bramie

stał domek odźwiernego, lecz od początku wojny nikt w nim nie mieszkał. Chłopcy dobrze znali ten teren. Od dawna mieli zwyczaj przesadzać mur i z wiatrówkami polować na ptactwo lub króliki.

Posiadłość była zaniedbywana od lat i obecnie przypominała raczej dżunglę niż dawny park angielski.

Między drzewami ruszyli w kierunku domu. Gdy byli blisko, zobaczyli wielkiego Buicka zaparkowanego na podjeździe. Dom był na pozór ciemny, lecz w wysokich drzwiach balkonowych na piętrze majaczył odbłask światła.

Ostrożnie weszli na rabatę kwiatową pod drzwiami oszklonymi prawie do dołu. Jedno ich skrzydło było uchylone, zasłona zaciągnięta niedbale. Claude przycupnął na czworakach, Tom pochylił się i stanął nad nim okrakiem, więc obydwaj jednocześnie mogli zaglądać do środka.

Z tego, co było widoczne, wywnioskowali, że duży, kwadratowy pokój jest pusty. Stały w nim ciężkie, głębokie fotele, fortepian, długi szezlong, stoliki zarzucone czasopismami. Na kominku płonął ogień.

Mnóstwo książek wypełniało regały pod ścianami. Parę lamp stanowiło oświetlenie. Dwuskrzydłowe drzwi naprzeciw stanowiska podglądających były otwarte, więc Tom widział część hallu i dolne stopnie schodów.

- To się nazywa mieszkać! - szepnął Claude. - Gdybym miał taki lokal, leciałyby na mnie wszystkie dziewczyny z miasta.

- Stul pysk! - ofuknął go Tom. - Nic się tu nie dzieje. Idziemy.

- Zaraz, zaraz, Tom. Spokojnie. Ledwieśmy przyszli.

- Nie tak wyobrażam sobie szampańską noc. To głupiego robota stać na zimnie i oglądać pokój, w którym nikogo nie ma.

- Do diabła! Pozwól, żeby się sytuacja rozwinęła. Oni na pewno są na piętrze. Przecież nie zostaną tam do rana.

Tom zdawał sobie sprawę, że w tym pokoju nie chce zobaczyć nikogo.

Absolutnie nikogo. Chętnie odszedłby od domu Boylana i raz na zawsze trzymałby się z dala. Ale nie zdradziłby za nic, że strach go oblatuje. Odwrócił się od drzwi balkonowych, pozostawiając przed nimi przyjaciela na czworakach.

- Niech będzie. Poczekamy dwie minuty. Zawołaj mnie, jak zacnie się coś dziać - powiedział.

Noc była wyjątkowo cicha. Mgła powstająca z mokradeł gęstniała coraz bardziej. Na niebie nie świeciły gwiazdy. Gdzieś daleko w dole majaczyła niska luna nad oświetlonym

miastem. Posiadłość Boylana rozprzestrzeniała się od domu we wszystkich kierunkach.

Widać było mnóstwo starych drzew, siatkowe ogrodzenie kortu tenisowego, jakieś położone w odległości pięćdziesięciu kroków niskie zabudowania - dawnymi czasy stajnie. I jeden człowiek zajmuje to wszystko! Tom pomyślał o wspólnym z bratem łóżku. Ha!

Tej nocy Boylan też ma wspólne z kimś łóżko! Splunął ze złością.

- Hej! - Claude przyzywał go żywym ruchem ręki. - Chodź no! Chodź prędko!

Bez pośpiechu zbliżył się do drzwi balkonowych.

- Dopiero co zszedł po schodach - szepnął Claude. - Spójrz! Spójrz no tylko!

Tom spojrział. Boylan stał w głębi pokoju, tyłem do ich stanowiska obserwacyjnego. Pochylał się nad stolikiem zastawionym butelkami, szkłem i srebrnym wiaderkiem do lodu. Nalewał whisky do dwu szklanek. Był zupełnie nagi.

- Także metoda spacerowania po domu - burknął Claude.

- Stul pysk! - zgromił go Tom.

Wpatrywał się w Boylana, gdy ten niedbałym ruchem wrzucał lód do szklanek, strzykał wodą sodową z syfonu. Później ruszył w stronę kominka, dorzucił polano i powędrował do stolika pod drzwiami balkonowymi, gdzie z lakowej szkatułki wybrał papierosa i zapalił ogromną srebrną zapalniczką. Przez cały czas uśmiechał się do siebie.

Gdy stał tak blisko, widać go było dokładnie w kręgu światła jednej z lamp. Jasnoblond włosy w nieładzie, pomarszczona szyja, zapadła klatka piersiowa, zwiotczałe mięśnie ramion, wystające kolana, trochę krzywe łydki. Zwisający pod gęstwiną włosów członek był długi, gruby, zaczerwieniony. Tom kipiał szalonym gniewem.

Odczuwał, że zgwałcono go, zmuszono, by został świadkiem niepojętego bezwstydu. Gdyby miał przy sobie broń, zabiłby tego człowieka. Chmielowa tyka! Ten stąpający dumnie, uśmiechnięty, kontent z siebie cherlak, który beztrósco odsłania swoje nędzne, zwiotczałe, obrosłe kłakami ciało, ten długi i gruby, różowawy instrument. Było gorzej, nieporównanie gorzej, niż gdyby on i Claude zobaczyli Gretchen wkraczającą do pokoju nago.

Wlokąc za sobą smugę dymu z papierosa, Boylan przemierzył gruby, puszysty dywan i wyszedł do hallu.

- Gretchen! Przynieść ci whisky, czy zejdiesz i napijesz się tutaj? - zawołał u stóp schodów i zaczął nasłuchiwać.

Tom nie mógł oczywiście usłyszeć odpowiedzi swojej siostry. Boylan skinął głową, wrócił do pokoju po dwie szklanki, które zabrał ze stolika i poniósł na schody.

- Cholerny świat! To był widok! - powiedział Claude. - Facet jest zbudowany jak kurczak. Ale zdaje mi się, że jak kto jest bogaty, może wyglądać gorzej niż ten grubas z

Notre-Dame, a i tak babki będą za nim ganiać.

- Chodźmy - rzucił Tom zdławionym szeptem.

- Po diabła? - Claude spojrział nań ze zdziwieniem; blask zza uchylonej zasłony załamał się w szklach jego okularów. - To dopiero początek.

Tom pochylił się, szarpnął przyjaciela za włosy i raptownie postawił na nogi.

- Z byka spadłeś? Co ty wyrabiasz! - zawołał tamten.

Tom chwycił go za krawat.

- Słyszałeś? Chodźmy stąd. I ani pary z gęby o tym, co widziałeś.

- Nic nie widziałem. Także mi widok! Kościsty łamaga z tym swoim interesem wiszącym jak stary wąż gumowy. Ani pary z gęby! O czym?

- Cicho bądź i tyle - rzucił Tom przybliżając twarz do jego twarzy. - Jeżeli o tym, co tu było, usłyszę kiedy od kogoś, dostaniesz takie wały, że popamiętasz do końca życia. Zrozumiałeś?

- Co ty znów, Tom? - podjął Claude tonem wymówki i potarł głowę obolałą od szarpania za włosy. - Przecież jestem twoim przyjacielem.

- Zrozumiałeś? - powtórzył z furią Tom.

- A pewnie, pewnie. Będzie, jak sobie życzysz. Tylko nie wiem, słowo honoru, czym tu się tak przejmować.

Tom wypuścił krawat z ręki, odwrócił się i przez trawnik zaczął szybko oddalać się od domu. Claude pośpieszył za nim, mamrocząc coś do siebie, a kiedy się zrównali, rozpoczął:

- Różni faceci powiadają, że wariat z ciebie, a ja im zawsze na to, że sami mają kota. Ale dziś zrozumiałem, o co tamtym chodzi.

Jak Boga kocham, zrozumiałem! Krewki z ciebie facet. Cholernie krewki.

Tom milczał. Prawie biegiem dotarł do bramy, a gdy Claude wytoczył z zarośli motor, usadowił się za nim zwinnym skokiem. Ruszyli i nie rozmawiając z sobą dojechali do miasta.

Nasycona i senna Gretchen leżała na szerokim, miękkim łóżku.

Dłonie miała splecione pod głową. Spoglądała w sufit na swawolący odbłask ognia, który Boylan rozpałił, nim ją rozebrał. Tutaj, w domu na wzgórzu, uwodzicielska technika była opracowana drobiazgowo i stosowana z wprawą. W zbytkownie urządzonej domu panowała cisza. Służba nie pojawiała się nigdy, telefon nie dzwonił, nic nie działało się, nie dawało znać o sobie. Nic nie przewidzianego lub nie na miejscu nie miało prawa zakłócić wieczornego rytuału.

Na parterze zegar począł bić cicho. Dziesiąta. O tej porze pustoszeje świetlica, a ranni,

o kulach i na wózkach, powracają do sal. W ostatnich czasach Gretchen chodziła do szpitala tylko dwa lub trzy razy tygodniowo. Jedyne źródło zainteresowań w jej życiu stanowiło łóżko - to łóżko. Oczekiwała go za dnia, a wieczory spędzane z dala od niego poświęcała wspomnieniom. Myślała, że rannym żołnierzom nagrodzi to jakoś, kiedyś, przy sposobności.

Nawet wtedy, gdy otworzyła kopertę i zobaczyła osiem studenckich banknotów, nie wątpiła, że wróci do tego łóżka. Jeżeli jednym z dziwactw Boylana była chęć jej poniżania, godziła się i z tym dziwactwem. Później mu za nie odpłaci. W przyszłości.

Ani ona, ani Boylan nie mówili nigdy o kopercie, którą zastała na swoim stoliku w biurze. We wtorek, kiedy wychodziła z zakładów, Buick stał przed bramą, a on siedział przy kierownicy. Bez słowa otworzył drzwiczki, ona zaś wsiadła do wozu. Pojechali w stronę jego domu. Tam kochali się; a następnie byli na obiedzie w „Farmerskiej Oberży”. Po powrocie kochali się znowu. Gdy około północy odwiózł ją do miasta, zahamował o dwie przecznice przed jej domem i resztę drogi Gretchen musiała odbyć pieszo.

Teddy załatwiał wszystko bez zarzutu. Był dyskretny, bo dyskrecja - nieodzowna dla niej - odpowiadała jego gustom. Nikt nie wiedział o ich związku. Bardzo przezornie zabrał ją do Nowego Jorku; gdzie ginekolog odpowiednio ją zabezpieczył, aby „o takie rzeczy” nie musiała się martwić. W czasie tej samej wyprawy kupił jej przyobiecane czerwone suknie. Na razie wisiały w jego szafie, lecz Gretchen nie wątpiła, że nadejdą czasy, kiedy zacznie ją nosić.

Teddy załatwiał wszystko bez zarzutu, ale ona miała dlań mało sentymentu, a już z całą pewnością go nie kochała. Ciało miał chuderlawe, niepociągające i tylko ubrany po swojemu - cudacznie i elegancko - mógł uchodzić za przystojnego mężczyznę. Był pozbawiony entuzjazmu, wyrozumiały dla siebie; cyniczny, zgorzkniały z racji własnych niepowodzeń, zesłany przez władzę rodzinę do wraku wiktoriańskiego pałacu, którego większa część była zamknięta na stałe. Pusty wewnętrznie człowiek w domu na pół opustoszałym. Łatwo było zrozumieć, dlaczego piękna kobieta, której fotografia zdobi nadal fortepian w parterowej bawialni, uciekła z kimś i rozwiodła się z Boylanem.

Nie był to mężczyzna ukochany i podziwiany, spełniał jednak inne zadania. Zaniechawszy poczynań normalnych dla ludzi z jego sfery - pracy, sportu, wojny - oraz męskiej przyjaźni, poświęcił się wyłącznie jednej sprawie: spółkował, nie oszczędzając zaoszczędzonych gdzie indziej sił i nie wykorzystanego sprytu. Od Gretchen wymagał tylko tyle, by znajdowała się, gdzie trzeba, stanowiła przedmiot jego sztuki. Odnosił triumfy dzięki własnym wyczynom. Walki, od których uchylał się na innym polu, wygrywał, gdy spoglądał na twarz spoczywającą na poduszce obok jego twarzy. A jej nie obchodził rachunek

strat i zysków Boylana. Leżała pod nim biernie, nie obejmowała nawet chuderlawego ciała. Przyjmowała je tylko.

Przyjmowała. Był dla niej anonimem, nikim, czystym elementem męskości, abstrakcyjnym, niezależnym fallusem, na który bezwiednie czekała całe życie. W sferze jej przyjemności stawał się sługą, który uniżenie odmyka przed nią drzwi zamku cudów.

Nie czuła dłoń nawet wdzięczności.

Koperta zawierająca osiem studolarowych banknotów spoczywała w zbiorowym wydaniu dzieł Szekspira - pomiędzy drugim a trzecim aktem „Jak wam się podoba”.

Zegar począł gdzieś bić i do sypialni przypląnął głos z parteru:

- Gretchen! Przynieść ci whisky, czy zejdziesz i napijesz się tutaj?

- Przynieś mi! - zawołała. Jej głos był teraz niższy, bardziej głębszy i zdawała sobie sprawę z jego subtelnych tonów. Gdyby matka nie miała uszu głuchych skutkiem własnej klęski, zorientowałaby się po pierwszym wypowiedzianym przez córkę zdaniu, że Gretchen żegluje w słońcu po niebezpiecznych wodach, na których ona rozbiła się i poszła na dno.

Boylan - nagi w odbłasku ognia na kominku - wszedł do sypialni, niosąc dwie szklanki. Gretchen uniosła się na łokciu, sięgnęła po jedną. On usiadł na brzegu łóżka, popiół z papierosa strzepnął do popielniczki, która stała na szafce nocnej.

Wypili. Gretchen zaczynała gustować w szkockiej whisky. Boylan pochylił się, ucałował jej pierś.

- Chcę sprawdzić - powiedział - jak to smakuje przyprawione whisky.

Ucałował drugą jej pierś. Ona pociągnęła łyk ze szklanki.

- Nie mam ciebie - podjął. - Nie mam. Czuję, że jesteś moja jedynie wtedy, gdy znajduję się w tobie, gdy mnie przyjmujesz.

Umykasz mi w innych momentach, jeżeli nawet leżysz obok naga i mogę cię dotykać. Nie jesteś moja, prawda?

- Nie jestem twoja.

- Boże! Ona ma dziewiętnaście lat! Jaka będzie około trzydziestki?

Uśmiechnęła się. Zapomni o nim do tej pory. Może wcześniej.

Znacznie wcześniej.

- O czym myślałaś, Gretchen, kiedy zeszedłem na parter po whisky?

- O pieprzeniu - padła odpowiedź.

- Musisz tak się wyrażać? - obruszył się Boylan.

Jego mowa była dziwnie powściągliwa, pruderyjna, jak gdyby odzwierciedlała zadawniony strach wobec energicznej niani, skorej do szorowania mydłem jamy ustnej

małych chłopców, którzy używają brudnych wyrazów.

- Nie mówiłam tak nigdy, póki nie spotkałam ciebie.

Z przyjemnością pociągnęła whisky.

- Ja tak nie mówię.

- Hipokryta! Ja mogę nazywać po imieniu to, co robię.

- Nie tak znów wiele robisz - rzucił szorstko.

- Co chcesz? Małomiasteczkowa dziewczyna ze mnie. Głupia. Bez doświadczenia.

Gdyby tamtego dnia nie nawinął się sympatyczny dżentelmen w Buicku, nie spoił mnie, nie wykorzystał sytuacji, pewno żyłabym długo i spokojnie, a umarła jako zwiędnięta, zasuszona stara panna.

- Trzymam zakład - podchwycił - że tamtego dnia poszłabyś do dwu czarnuchów.

- Tego nie dowiemy się nigdy. Prawda? - uśmiechnęła się zagadkowo.

Spojrzał na nią bystro.

- Tak. Przyda ci się trochę edukacji - podjął i zgniótł na popielnicze papierosa ruchem tak stanowczym, jak gdyby coś postanowił. - Przepraszam. - Podniósł się. - Muszę zatelefonować.

Tym razem narzucił szlafrok przed zejściem na parter.

Gretchen usiadła i podparła się poduszką. Z wolna dopijała whisky.

Odpłaciła za chwilę, gdy nieco wcześniej oddawała mu się tak bez reszty. Będzie odpłacać podobnie za każdym razem.

- Ubieraj się! - powiedział wróciwszy do sypialni.

Była zdziwiona. Zwykle pozostawali w łóżku do północy. Jednakże nic nie powiedziała. Podniosła się i zaczęła ubierać.

- Jedziemy dokądś? - zapytała po chwili. - Jak powinnam wyglądać?

- Wyglądaj, jak zechcesz - rzucił.

W ubraniu był znów ważny i władczy, był kimś, komu inni ulegają.

Natomiast Gretchen czuła, że pomniejsza ją ubranie. Teddy krytykuje stale to, co ona ma na sobie - nie surowo, ale z pewnością siebie i znawstwem. Gdyby nie obawiała się kłopotliwych pytań matki, sięgnęłaby pomiędzy drugi a trzeci akt „Jak wam się podoba”, wyjęła te osiemset dolarów, zmieniła całą garderobę.

Przeszli przez cichy dom do samochodu i ruszyli z miejsca.

Gretchen nie pytała o nic. Zostawili za sobą Port Philip i pomknęli na południe. Nadal nie rozmawiali. Za nic nie ukontentowałyby go pytaniem, dokąd się wybierają. W głowie miała tabelę wyników, na której skrupulatnie notowała punkty, jakie zyskują jedno przeciw

drugiemu.

Orientowała się, że jadą aż do Nowego Jorku. Gdyby nawet zabawili tam bardzo krótko, mogłaby wrócić do domu dopiero przed świtem.

Liczyła się z histeryzowaniem matki, ale nie protestowała. Nie chciała okazać Boylanowi, że troszczy się o równie błahe sprawy.

Wóz stanął przed mrocznym, czteropiętrowym domem przy ulicy wytyczonej po obydwu stronach zupełnie podobnymi domami. Gretchen była w Nowym Jorku zaledwie kilka razy - z tego dwukrotnie z Boylanem w ciągu ostatnich dwu tygodni - więc nie miała pojęcia, w jakiej są dzielnicy. Boylan, jak zawsze, podszedł od jej strony i szarmancko otworzył drzwiczki. Po trzech stopniach zstąpili na wybetonowane podwórko otoczone żelaznymi sztachetami. Boylan zadzwonił do drzwi. Oczekiwanie trwało długo. Gretchen miała wrażenie, że ktoś ich obserwuje. Wreszcie drzwi się odemknęły. W progu stała tęga kobieta w białej sukni wieczorowej i z upiętymi wysoko nad czołem, rudo farbowanymi włosami.

- Dobry wieczór, koteczku - powiedziała ochryplym głosem i zamknęła drzwi, gdy weszli.

Światło w przedpokoju było nikłe, a w domu panowała głucha cisza, jak gdyby podłogi wyścielono dywanami, a na ścianach rozwieszono draperie tłumiące dźwięki. Ale zdawać się mogło, że jacyś ludzie poruszają się w tym wnętrzu ukradkiem, bezszelestnie.

- Dobry wieczór, Nellie - odrzekł Boylan.

- Wiek cię nie widziałam - mówiła kobieta, wiodąc gości po schodach do małego, oświetlonego różowo saloniku na pierwszym piętrze.

- Byłem zapracowany.

- O, tak. Rozumiem - odpowiedziała, spoglądając na Gretchen z uznaniem, następnie z podziwem. - Ile masz lat, kochanie?

- Sto osiem - podchwycił żywo Teddy.

Roześmiał się. Kobieta mu zawtórowała. Gretchen stała sztywno pośrodku saloniku obwieszonego olejnymi malowidłami przedstawiającymi nagość. Postanowiła nie okazywać nic, na nic nie reagować. W bierności widziała bezpieczeństwo. Zauważyła, że lampy w tym pokoju są przybrane chwastami, a białą wieczorową suknię kobiety zdobią frędzle przy dekolcie stanika i u rąbka długiej spódnicy. Czy ma to z sobą jakiś związek? Zmuszała się do takich rozważań, by nie odwrócić się, nie uciec z wyciszonego domu, od niepokojącego wrażenia, że jego utajeni mieszkańcy krążą dyskretnie na wyższych piętrach, nad jej głową. Nie wyobrażała sobie, czego będą tu wymagać od niej, co zobaczy, co z nią mogą zrobić.

Boylan miał minę zadowolonego z siebie lowelasa.

- Wszystko prawie gotowe, koteczku - powiedziała kobieta. - Jeszcze tylko parę minut. Może wypijecie coś w czasie oczekiwania?

- Duszko? - zwrócił się Boylan do Gretchen.

- Jak sobie życzysz - odpowiedziała z trudnością.

- Chyba nie zaszkodzi nam kieliszek szampana - zaproponował.

- Przyślę butelkę na górę - podjęła kobieta. - Będzie zimna.

Szampana trzymam na lodzie. A teraz proszę ze mną.

Za przewodniczką weszli na podest i po wyścielonych chodnikiem schodach wspięli się do mrocznego korytarza na drugim piętrze.

Biała suknia gospodyni była uszyta z jakiegoś sztywnego materiału, więc szeleściła niepokojąco głośno. Boylan niósł płaszcz. Gretchen nie zdjęła wierzchniego okrycia.

W głębi korytarza kobieta otworzyła drzwi i przekreśliła wyłącznik.

Weszli do skąpo oświetlonego pokoju. Wielkie łóżko pod jedwabnym baldachimem, kolosalnych rozmiarów fotel klubowy kryty jasnobrązowym aksamitem oraz trzy złożone krzeselka stanowiły umeblowanie. Na stole pośrodku pokoju duży bukiet tulipanów tworzył jaskrawożółtą plamę. Kotary w oknach zaciągnięto, więc odgłos przejeżdżającego ulicą samochodu był bardzo przytłumiony.

Ogromne lustro pokrywało całą jedną ścianę. Wszystko to razem sprawiało wrażenie numeru w staroświeckim hotelu luksusowym niegdyś, dziś zdeklasowanym cokolwiek.

- Za minutkę pokojowa poda wam wino - oznajmiła kobieta i wyszedłszy z szelestem, zamknęła za sobą drzwi cicho, ale stanowczym ruchem.

Boylan rzucił płaszcz na wyścielaną ławę stojącą obok drzwi.

- Pocziwa stara Nellie - powiedział. - Na nią zawsze można liczyć. To sława! - Nie wyjaśnił, w jakiej dziedzinie pocziwa stara Nellie jest sławą. - Nie zdjęłabyś okrycia, duszko?

- A muszę?

Wzruszył ramionami.

- Tu nic nie musisz.

Została w płaszczu, chociaż w pokoju było bardzo ciepło. Cicho zasiadła na brzegu łóżka. Czekwała. Boylan zapalił papierosa, wygodnie rozparł się w kolosalnym fotelu, skrzyżował nogi.

Z ironiczną po trosze miną i z uśmiechem spojrzął na Gretchen.

- To jest burdel - oznajmił rzeczowo. - Nie domyśliłaś się dotąd?

Byłaś już kiedy, duszko, w podobnym zakładzie?

Zdawała sobie sprawę, że ją prowokuje, więc milczała. Sądziła, że głos może odmówić jej posłuszeństwa.

- Raczej nie byłaś - podjął. - A szkoda. Każda dama winna chociaż raz odwiedzić burdel, sprawdzić, jak funkcjonuje konkurencja.

Ktoś zastukał delikatnie. Boylan wstał i drzwi otworzył.

Drobna pokojowa w średnim wieku, ubrana w biały fartuszek na krótkiej czarnej sukni, wniosła srebrną tacę. Na tacy stały dwa kieliszki do szampana oraz wiaderko z lodem i sterzącą z niego, charakterystyczną butelką. Pokojowa ulokowała tacę na stole obok tulipanów. Nic nie mówiła. Jej twarz nic nie wyrażała. Miała pojawiać się w razie potrzeby, a nie być obecną. Zaczęła manipulować przy korku, by otworzyć butelkę. Gretchen zauważyła na jej nogach filcowe pantofle ranne.

Pokojowa mocowała się z korkiem. Jej twarz czerwieniała z wysiłku, kosmyk siwiejących włosów wymykał się i opadał na oczy. Wyglądała z tym wszystkim jak starzejąca się, flegmatyczna, cierpiąca na sklerozę kobiecina - z takich, jakie widuje się w kościele na wczesnej mszy przed rozpoczęciem dnia pracy.

- Ja to załatwię - powiedział Boylan i odebrał pokojowej butelkę.

- Bardzo przepraszam, proszę pana - bąknęła.

Sprzeniewierzyła się obowiązkowi. Była obecna, widoczna z winy swojego niepowodzenia.

Boylan też nie mógł sobie poradzić. Ciągnął korek, popychał kciukiem, butelkę ścisnął między kolanami. Pokojowa patrzyła nań z przeproszającym wyrazem twarzy, a on męczył się i czerwieniał również. Ręce miał drobne, miękkie, przydatne tylko do bardziej subtelnych zajęć.

Gretchen wstała, sięgnęła po butelkę.

- Daj. Ja to zrobię - powiedziała.

- Czy w cegielni często otwiera się szampana? - zapytał.

Nie zwróciła nań uwagi. Ręce miała zwinne, mocne. Pewnie ujęła i obróciła korek. Strzelił, wysunął się z jej palców i trafił w sufit. Płyn zabulgotał, zmoczył dłonie Gretchen. Podążyła Boylanowi butelkę. Oto znowu zyskała punkt na tabeli wyników! Parsknął śmiechem.

- Niższe klasy społeczne przydają się czasami - powiedział Boylan.

Nalał szampana, a pokojowa podała Gretchen ręcznik do wytarcia dłoni. Później wyszła z pokoju i w swoich filcowych pantoflach podreptała korytarzem - jak mysz bezszelestnie.

- Obecnie mamy regularne dostawy z Francji - mówił Teddy wręczając Gretchen kieliszek - chociaż, jak słyhać, Niemcy narobili wiele szkody. Podobno zeszły rok był średni, jeżeli chodzi o zbiory w winnicach.

Najwidoczniej nurtowało go własne niepowodzenie z butelką i drażnił sukces Gretchen.

Pokosztowali szampana. Na etykiecie była ukośna czerwona linia.

Boylan spojrział na nią z uznaniem.

- Bądź pewna, że u Nellie dostaniesz zawsze wszystko, co najlepsze - powiedział. - Byłaby urażona, gdyby słyszała, że jej zakład nazwałem burdelem. Myśli o nim zapewne jako o swojego rodzaju salonie, w którym jej liczni przyjaciele płci męskiej mogą korzystać z nieograniczonej gościnności. Nie wyobrażaj sobie tylko, duszko, że wszystkie domy publiczne są podobne do tego.

Spotkałoby cię bolesne rozczarowanie. - Kwaśno uśmiechnięty nad butelką, nadal odgrywał się na Gretchen. - Nellie to jedna z ostatnich pozostałości bardziej przychylniej epoki poprzedzającej wiek, w którym pospolity człowiek i pospolity seks zdominowały nas wszystkich. Jeżeli zasmakujesz w burdelach, poproś mnie o adresy.

Bo widzisz, w przeciwnym razie mogłabyś trafić do miejsc naprawdę plugawych. A tego nie życzylibyśmy sobie. Prawda? Jak smakuje ci szampan?

- Niezły - odpowiedziała siedząc sztywno na skraju łóżka.

Niespodziewanie lustro zajaśniało światłem. Ktoś przekreślił wyłącznik w przyległym pokoju. Okazało się, że jest to okno z jednostronną widocznością, więc Gretchen i Boylan mogą obserwować to, co dzieje się przez ścianę. Sąsiedni pokój oświetlała zwisająca u sufitu lampa. Abażur z grubego jedwabiu łagodził jej jaskrawy blask.

Boylan spojrział w lustro.

- Aha. Orkiestra zaczyna stroić instrumenty.

Wyjął butelkę z wiaderka, podszedł do łóżka i usiadł obok Gretchen. Butelkę postawił obok swoich stóp na podłodze.

Za lustrem widać było wysoką, smukłą blondynkę o długich włosach.

Jej dosyć ładna twarz miała niezadowolony, chciwy, trochę zdziwiony wyraz rozpieszczonego dziecka. Kiedy jednak zrzuciła przezroczysty, różowy peniuar, zademonstrowała zdumiewająco piękne ciało o długich, wspaniałych nogach. Nie spoglądała w kierunku lustra, chociaż musiała przecież znać dobrze procedurę i zdawać sobie sprawę, że jest pod obserwacją. Odwinęła kołdrę zaścielającą łóżko i położyła się na wznak. Jej ruchy były harmonijne, naturalne. Leżała teraz, jak gdyby zadowolona z siebie, miała pozwalać

mijać godzinom i dobow, leniwie dawać się oglądać z podziwem. Wszystko odbywało się wśród ciszy. Żaden dźwięk nie dobiegał od strony lustra.

- Napijesz się, duszko? - zaproponował Boylan sięgając po butelkę.

- Nie. Dziękuję.

Z trudnością dobywała głosu.

Drzwi otwały się i młody Murzyn wszedł do przyległego pokoju.

- Skurwysyn! Ohydny, mściwy skurwysyn! - pomyślała Gretchen, lecz nie drgnęła nawet.

Młody Murzyn nie odezwał się do dziewczyny na łóżku, która powitała go gestem ręki i uśmiechem przypominającym fotografię malucha, który zdobył nagrodę na konkursie dziecięcej piękności.

Po tamtej stronie lustra wszystko odbywało się w konwencji pantomimy i dla pary widzów z sąsiedniego pokoju było dziwnie odległe, nierealne. Miało to w sobie coś złudnie uspokajającego, jak gdyby tam nie mogło stać się nic serio.

Murzyn był ubrany w granatowy garnitur, białą koszulę, czerwoną muszkę w kropki, a na nogach miał jasnobrązowe półbuty z mocno wydłużonymi noskami. Jego młoda, sympatyczna uśmiechnięta twarz zdawała się mówić wesoło: „Fajno! Robi się!”

- Nellie ma liczne powiązania z klubami nocnymi w Harlemie - mówił Boylan, w czasie gdy Murzyn zaczął się rozbierać i troskliwie powiesił marynarkę na oparciu krzesła. - Ten pewno gra w jakimś zespole na trąbce lub czymś innym, no i nie wzbrania się zabawiać białych ludzi, by wieczorami zarobić coś ekstra. Naprawdę nie masz ochoty się napić?

Gretchen nie odpowiedziała. Murzyn zaczął rozpinać spodnie.

Zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, tamten był nagi. Ciało miał barwy brązu, błyszczącą skórę, szerokie i spadziste, wspaniale umięśnione ramiona. Był cienki w pasie i z tym wszystkim przypominał sportowca w szczytowej formie. Porównanie Murzyna z siedzącym obok niej mężczyzną przywodziło Gretchen do pasji.

Murzyn postąpił parę kroków. Dziewczyna rozpostarła ramiona, aby go przyjąć, a on lekkim, kocim ruchem opadł na smukłe, białe ciało. Zaczęli się całować. Dłonie dziewczyny splotły się na plecach partnera. Następnie Murzyn obrócił się na wznak, ona zaś bez pośpiechu, fachowo jęła całować go najpierw w szyję, później w sutki, a jej zwinne palce pieściły pęczniący, wznoszący się członek. Jasnoblond włosy były coraz niżej i niżej, rozsypywały się na lśniącej płaszczyźnie koloru kawy, gdy dziewczyna lizała napiętą, połyskliwą skórę na mięśniach brzucha mężczyzny, który poczynął drgać konwulsyjnie.

Gretchen patrzyła jak urzeczona. Widowisko było jej zdaniem piękne, harmonijne i jak

gdyby niosło jej jakieś obietnice, których nie potrafiłaby wyrazić w słowach. Ale nie była w stanie oglądać tego w asyście Boylana. niesprawiedliwością, plugawą niesprawiedliwością wydawał się jej fakt, że dwa tak wspaniałe ciała można najmować na godziny - jak konie w stajni - dla przyjemności, zboczonych upodobań czy też zemsty człowieka pokroju Boylana.

Wstała. Odwróciła się plecami do lustra.

- Zaczekam na ciebie w wozie - powiedziała.

- To dopiero początek, duszko - zaprotestował łagodnie. - Popatrz, co ona teraz robi. Ostatecznie chodzi o twoją edukację. Będziesz miała wzięcie, jeżeli...

- Spotkamy się w samochodzie - przerwała i umknąwszy z pokoju, zbiegła po schodach.

Kobieta w białej sukni stała pośrodku hallu. Nie odezwała się do Gretchen, lecz ze złośliwym, ironicznym uśmiechem otworzyła drzwi, by ją wypuścić.

Gretchen wyszła i usadowiła się w samochodzie. Po piętnastu minutach Boylan nadciągnął powolnym krokiem. Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik.

- Szkoda, że nie zostałeś - powiedział. - Uczciwie zarobili swoje sto dolarów.

Bez słowa odbyli całą drogę do Port Philip. Świtało, gdy Boylan zatrzymał wóz przed piekarnią.

- I co? - zapytał po godzinach milczenia. - Poduczyłaś się trochę?

- Tak. Już wiem, że muszę postarać się o młodszego mężczyznę.

Dobranoc.

Kiedy wsuwała klucz do zamku, usłyszała, że samochód zawraca.

Weszła na schody i zobaczyła światło płynące z otwartych drzwi rodzicielskiej sypialni, która znajdowała się naprzeciwko jej pokoju. Matka siedziała sztywno na drewnianym krześle, zapatrzona w stronę korytarza. Gretchen zatrzymała się, popatrzała na matkę, która miała oczy kobiety obłąkanej. Na to nie było rady. Matka i córka przez chwilę wymieniały spojrzenia.

- Idź do łóżka - powiedziała wreszcie matka. - O dziewiątej zatelefonuję do zakładów. Powiem, że jesteś chora i nie przyjdiesz dziś do pracy.

Gretchen poszła do swojego pokoju i drzwi zamknęła - nie na klucz, bo w całym domu drzwi nie miały zamków ani kluczy. Sięgnęła po zbiorowe wydanie dzieł Szekspira. Ośmiu studolarowych banknotów nie znalazła między drugim a trzecim aktem „Jak wam się podoba”.

Porządnie złożone w kopercie spoczywały w połowie piątego aktu „Makbeta”.

ROZDZIAŁ V

W domu Boylana nie było świateł. Wszyscy poszli do miasta celebrować uroczysty dzień. Tom i Claude widzieli rakiety i ognie sztuczne rozjarzające nocne niebo nad rzeką; słyszeli wystrzały małej armatki, której używano podczas szkolnych meczów piłki nożnej, gdy miejscowa drużyna strzeliła gola. Noc była pogodna, ciepła. Rysujące się w dole miasto było rozjaśnione wszystkimi latarniami, oświetlone rześcicie.

Tego dnia w godzinach porannych kapitulowała Trzecia Rzesza.

Tom i Claude snuli się po mieście wraz z tłumami. Przyglądali się dziewczętom całującym na ulicach żołnierzy i marynarzy.

Przyglądali się ludziom, którzy wynosili z domów butelki whisky. Z biegiem czasu Tom odczuwał coraz większy i większy niesmak. Młodzi ludzie, co przez cztery lata migali się od powołania do wojska, umundurowani kanceliści, którzy nigdy nie byli dalej niż sto mil od swoich domów, kupcy wzbogaceni dzięki wojnie - wszyscy tacy wymieniali pocałunki, wrzeszczeli, upijali się, jak gdyby to oni własnoręcznie dopiero co zabili Hitlera.

- Hołota! - powiedział do Claude'a przypatrując się świętującym. - Z chęcią dałbym im szkołę.

- Właśnie! - podchwycił Claude. - Warto byłoby urządzić mały prywatny obchód, nasz własny fajerwerk.

Po tej wymianie zdań zamyślony i milczący obserwował rozbrykanych dorosłych ludzi. Zdejmował okulary i zaczynał ogryzać ich oprawę, co robił zwykle, gdy obmyślał jakąś akcję. Tom zauważył ten znak, ale nie myślał działać pochopnie. W takim dniu nie należało prowokować żołnierzy, a każda bójka, nawet z cywilem, byłaby posunięciem nie na miejscu.

Wreszcie Claude zreferował swój plan na Dzień Zwycięstwa, a Tom musiał przyznać, że to myśl godna wielkiej okazji.

W rezultacie chłopcy znajdowali się na Boylanowskim wzgórzu. Tom niósł kanister z benzyną. Claude torebkę gwoździ, młotek i węzełek szmat i tak uzbrojeni szli poprzez zarośla do miejsca, gdzie na nieporośniętym pagórku, o jakieś pięćset kroków od domu, stała odrapana rudera - niegdyś szklarnia. Tym razem nie przyjechali zwyczajnym szlakiem, lecz drogą gruntową, która od strony pól prowadziła na wzgórze i do bramy ogrodowej położonej na tyłach domu. Przesadzili tę bramę, a motor ukryli poprzednio za murem posiadłości, nie opodal opuszczonej kopalni żwiru.

Stara szklarnia miała szyby bardzo brudne lub powybijane a z jej wnętrza dobywał się cikliwy odór butwiejących roślin. Pod ścianą rudery leżały jakieś długie, suche deski i stał

zardzewiały szpadel. Chłopcy wiedzieli o tym, gdyż szpadel i deski wypatryli przy poprzednich okazjach, gdy penetrowali teren. Tom wziął się do kopania. Claude wybrał dwie deski i począł je zbijać w kształt krzyża. Cały plan omówili w ciągu drogi, więc obchodzili się bez słów.

Kiedy Claude skończył swoją robotę i nasycił deski benzyną, obydwaj dźwignęli gotowy krzyż i ustawili w wykopanym przez Toma dole. Z kolei Tom zasypał dół ziemią, udeptał ją i solidnie uklepał szpadlem, aby cała konstrukcja trzymała się mocno. Claude połał szmaty resztą przyniesionej benzyny i wszystko było gotowe.

Huk wystrzału z armatki nadpłynął od boiska szkolnego. Gdzieś daleko rakiety rozjaśniły na krótko nocne niebo.

Tom był spokojny, ruchy miał opanowane, pewne. Z jego punktu widzenia nie szykowało się nic o jakimś szczególnym znaczeniu. Oto jeszcze raz, na swój własny sposób, zagra na nosie dorosłym błaznom swawolącym tam w dole. Tak myślał, z przyjemnością tym większą, że cała heca miała rozegrać się na gruntach tego nagiego osła, Boylana. Dranie dostaną coś, nad czym będą mogli zastanawiać się między pocałunkami i śpiewaniem „Gwiazdzistego Sztandaru”.

Natomiast Claude był roztrzęsiony. Sapał, jak gdyby odczuwał brak powietrza w płucach, ślinił się, oblizywał wargi i raz po raz musiał ocierać chustką zachodzące mgłą szkła okularów. Dla Claude'a ów czyn miał mieć kolosalną wagę. Jego stryj był przecież księdzem, a ojciec prowadził go na mszę każdej niedzieli, wciąż pouczał o śmiertelnym grzechu i niebezpieczeństwie obcowania z rozwiązłymi protestantkami, wciąż zalecał synowi, by pozostawał czysty w oczach Jezusa.

- Zrobione - powiedział cicho Tom i cofnął się o parę kroków.

Claude drżącymi rękami potarł zapalną, nachylił się i przytknął płomyk do nasyconych benzyną szmat, które spowijały podstawę krzyża. Buchnął ogień. Claude wrzasnął przeraźliwie i rzucił się do ucieczki. Jego rękaw płonął, więc krzyczał ciągle, zbiegał na oślep z nagiego pagórka. Tom biegł za nim, wołał, aby się zatrzymał, lecz Claude umykał dalej jak szalony. Wreszcie Tom dognał go, przewrócił i - by zdusić płomienie - przygniótł jego ramię osłoniętą grubym swetrem klatką piersiową. Uporał się z tym w niespełną minutę. Claude leżał teraz na wznak, jęczał, obmacywał poparzoną rękę i popłakując nie był w stanie wymówić słowa.

Tom wyprostował się, z góry spojrzał na przyjaciela. Wszystkie krople potu na twarzy Claude'a były wyraźne przy blasku ognistego krzyża. Muszą zniknąć stąd jak najprędzej. Wkrótce zaczną się zbierać ludzie.

- Wstawaj! - rzucił Tom rozkazującym tonem.

Jednakże Claude nie posłuchał. Przekreślił się na bok, wytrzeszczył oczy i tyle.

- Wstawaj, głupi skurwysynu!

Tom szarpnął go za ramię, lecz Claude popatrzał nań tylko. Twarz miał wykrzywioną strachem, znieruchomiła, tępą; Wobec tego Tom nachylił się, dźwignął kolegę, zarzucił go sobie na ramiona i depcząc zarośla począł zbiegać z pagórka w kierunku ogrodowej bramy, którą tu wtargnęli. Po drodze starał się nie słuchać żalosego bełkotu.

- O Jezu! Dobry Panie Jezu! Najświętsza Panienko! Jezus, Maria!

Uginał się pod ciężarem przyjaciela i zbiegając ze wzgórza rozpoznawał dobrze znajomy zapach - zapach przypalonego mięsa.

W mieście raz po raz odzywał się huk wystrzału z armatki.

Aksel Jordach wiosłował wolno w poprzek rzeki ku jej środkowi.

Wyraźnie odczuwał nacisk prądu. Tego wieczora nie wiosłował dla utrzymania formy. Był na rzece po to, by uciec od całego rodzaju ludzkiego. Postanowił, że zrobi sobie święta, więc korzystał z tej pierwszej od 1924 roku powszedniej nocy, w czasie której nie pracował. Jutro jego klienci mogą zaopatrzyć się w chleb w piekarni mechanicznej. Ostatecznie armia niemiecka przegrywa wojnę tylko raz na dwadzieścia siedem lat.

Na rzece było zimno, lecz on nie czuł chłodu, bo zabezpieczał go gruby golf - pamiątka z lat, kiedy służył jako majtek na parowcach kursujących po jeziorach. Ponadto zabrał z sobą butelkę, by pokrzepić się na świeżym powietrzu i od czasu do czasu pić zdrowie idiotów, co jeszcze raz przywiedli Niemcy do upadku. Nie był patriotą żadnego kraju, ale całą nienawiścią darzył kraj, w którym się urodził. Ojczyzna okulała go na całe życie, pozbawiła możliwości wykształcenia, wygnała, uzbroiła w bezbrzeżną pogardę wobec wszelkiego pokroju polityk i polityków, generałów, osób duchownych, ministrów, prezydentów, królów, dyktatorów - wobec wszystkich podbojów i klęsk, wszystkich kandydatów wysuwanych przez jakiegokolwiek partię. Był zadowolony, że Niemcy przegrały wojnę, lecz nie cieszyło go amerykańskie zwycięstwo. Miał nadzieję, że nie zmieni zapatrywań za dwadzieścia siedem lat, gdy Niemcy przegrają następną wojnę.

Myślał trochę o swoim ojcu, bogobojnym tyranie, biuraliście z fabrycznego kantoru, który w swoim czasie odmaszerował ze śpiewem i bukietem kwiatów zatkniętym w lufę karabinu. Ten radosny, wojowniczy baran miał paść pod Tannenbergiem, ale odchodząc był dumny, że pozostawia dwu synów, co niebawem będą też mogli walczyć za Vaterland, i żonę, która nawet przez rok nie wytrwa we wdowieństwie po nim. Przynajmniej ona miała głowę na

karku. Wydała się za prawnika, który czas wojny poświęcał administrowaniu nieruchomościami położonymi w okolicy Alexander Platz w Berlinie.

- „Deutschland, Deutschland über alles” - zaśpiewał ironicznie, odłożył wiosła i pozwalając nieść się na południe wodom rzeki Hudson, podniósł do ust butelkę krajowej whisky. Wznosił toast za tę młodzieńczą nienawiść, z jaką odnosił się do Niemiec, gdy - kaleka pośród kalek - został zdemobilizowany, a następnie przepędzony za ocean. Ameryka to także głupi kawał, bądź co bądź on jednak żyje tej nocy, żyją jego synowie, a dom, w którym mieszka, nadal stoi.

Huk wystrzału z armatki nadciągnął po rzece. Odblask rakiet upstrzył wodę iskierkami. Durnie! - myślał Jordach. Z czego się oni cieszą? Nigdy w życiu nie było im tak dobrze. Za siedem lat będą sprzedawać jabłka na rogach ulic, będą bić się pomiędzy sobą w długich kolejkach ludzi czekających na pracę przed bramami fabryk. Gdyby mieli rozum, wszyscy modliliby się dziś w kościołach, żeby Japończycy wytrzymali jeszcze dziesięć lat.

Nagle zobaczył blask na wzgórzu po przeciwnej stronie miasta - drobną, świecąca płamkę, która wnet przybrała kształt ognistego krzyża jaśniejącego na tle widnokregu. Roześmiał się. „Handlujemy jak zawsze - dla zwycięstwa.” „Precz z katolikami, Murzynami, Żydami - o tym niech każdy pamięta.” „Dziś tańce, jutro pożary”.

„Ameryka jest Ameryką.” „Czuwamy i mówimy wam co jest rzeczywiście prawdą.”

Jordach pociągnął znowu łyk. Z przyjemnością przypatrywał się ognistemu krzyżowi górującemu nad miastem. Z góry rozsmakował się w jutrzejszych nieszczerych biadaniach dwu lokalnych dzienników na temat zniewagi, jaką wyrządzono pamięci walecznych wszystkich narodowości i wszystkich wyznań, co oddali życie w obronie ideałów, na których zasadzie powstała i istnieje Ameryka. A niedzielne kazania! Warto byłoby pójść do paru kościołów, posłuchać, co pleść będą świętobliwe skurczybyki.

Gdybym dowiedział się kiedy, kto ten krzyż postawił, myślał Jordach, chętnie uściskałbym mu rękę.

Patrzył dalej i rychło spostrzegł, że ogień się rozprzestrzenia.

Widocznie wiatr przeniósł go na jakiś stojący blisko budynek.

Musiał być dobrze wysuszony, bo w krótkim czasie łuna zaróżowiła całe niebo. Wkrótce Jordach usłyszał syreny samochodów straży ogniowej, które pędziły ulicami miasta w kierunku wzgórza.

Tak jedno do drugiego, pomyślał, noc całkiem niezła.

Napił się jeszcze raz i leniwie począł wiosłować w stronę brzegu.

Rudolf stał na stopniach budynku szkolnego. Czekał, by chłopcy obsługujący armatkę oddali strzał. Setki chłopców i dziewcząt kłębiły się na boisku, wznosiły okrzyki, całowały się, śpiewały.

Nie licząc pocałunków, wszystko to wyglądało bardzo podobnie do jakiegoś sobotniego wieczoru po wygraniu meczu piłki nożnej przez drużynę szkolną.

Armatka wystrzeliła. Podniosły się radosne okrzyki. Rudolf podniósł trąbkę do ust i zaczął grać „Amerykę”. W pierwszej chwili tłum umilkł i muzyka dźwięczała solo, uroczyście, nuta po nucie nad stłoczonymi głowami. Później wszyscy zaczęli śpiewać i wnet rozbrzmiewał chór głosów: „Ameryko, Ameryko! Niech spłynie na cię łaska Boża! Braterstwo niechaj kwitnie od morza do świetlistego morza...”

Po zakończeniu pieśni rozbrzmiały znów radosne okrzyki i Rudolf zagrał: „Gwiazdzisty sztandar na wieki”. Przy tej melodii nie mógł ustać spokojnie, więc zaczął maszerować wokół boiska. Inni podążyli za nim i wnet prowadził pochód chłopców i dziewcząt - najpierw poprzez szkolne tereny, później, wciąż w rytmie trąbki, ulicami miasta. Tuż za nim, na czele korowodu, szli chłopcy obsługujący armatkę i na kolejnych skrzyżowaniach ulic przystawali, by oddać strzały. Młodzież wznosiła wtedy okrzyki, a dorośli na trasie klaskali i powiewali flagami.

Odbывał się triumfalny pochód przez miasto, a Rudolf kroczący na czele swojej armii wygrywał” Gdy jeszcze turkocą na drodze” i „Kolumbia, klejnot oceanu”, i oficjalny hymn szkół średnich:

„Naprzód, żołnierze Chrystusa”. Poprowadził kolegów ku Vanderhoff Street i zatrzymawszy się przed piekarnią zagrał na cześć matki:

„Gdy uśmiechają się irlandzkie oczy”. Po chwili zobaczył matkę, która otworzyła okno na piętrze i niewątpliwie podniosła chusteczkę do oczu. Chłopcom obsługującym armatkę nakazał salut, a gdy strzał huknął, setki chłopców i dziewcząt jęły wiwatować, a pani Jordach rozplakała się szczerze. Przykro mu trochę było, że przed otwarciem okna matka nie poprawiła włosów i że przez cały czas trzymała w ustach papierosa. W oknie sutereny nie jaśniało światło, więc Rudolf zdawał sobie sprawę, że nie ma tam ojca. Nie wiedziałby, co zagrać dla niego. W tę właśnie noc niełatwo byłoby wybrać melodię stosowną do weterana niemieckiej armii.

Chętnie przeszedłby przed szpital i tam urządził serenadę siostrze oraz jej podopiecznym żołnierzom, ale byłaby to droga zbyt daleka.

Po finałowej fanfarze dla matki ruszył na czele korowodu w stronę śródmieścia, wygrywając po drodze „Boola-Boola”. Może pójdzie do Yale, gdy w przyszłym roku skończy

szkołę? W taką noc wszystko wydaje się prawdopodobne.

Nie zamierzył tego świadomie, lecz znalazł się jakoś na ulicy, przy której mieszkała panna Lenaut. Nieraz wystawał dawniej przed tym domem i ukryty w cieniu drzew po przeciwległej stronie jezdni spoglądał w znajome sobie okno na drugim piętrze - w jej okno.

Tego wieczora było oświetlone.

Śmiało ustawił się na środku jezdni naprzeciw domu i zwrócił wzrok w górę ku jej oknu. Za nim dziewczęta i chłopcy wypełniali wąską uliczkę skromnych, dwurodzinnych domków z małymi trawniczkami.

Było mu trochę przykro i współczuł pannie Lenaut, która jest sama i tak daleko od kraju w porze, gdy jej przyjaciele i krewni weselą się na ulicach Paryża. Chciał okupić jakoś winy wobec tej biednej kobiety, dać znak, że jej przebaczył, wykazać, że są w nim głębie, jakich ona nie podejrzewa, że jest czymś więcej niż rozmiłowanym w pornograficznych rysunkach bezwstydnym chłopcem, który za ojca ma grubiańskiego Niemca. Przyłożył do ust trąbkę i zaczął grać „Marsylianę”. Zawiała, bohaterska melodia pełna reminiscencji na temat sztandarów i bitew, upadku ducha i heroizmu rozbrzmiewała w ciasnej uliczce, a chłopcy i dziewczęta śpiewali w takt muzyki bez słów, gdyż słów nie znali. Na Boga! - pomyślał Rudolf. Nigdy dawniej nie przytrafiło się nic podobnego żadnej nauczycielce szkolnej z Port Philip. Zagrał hymn do końca, lecz panna Lenaut nie pojawiła się w oknie. Jakaś dziewczyna z płowym warkoczem na plecach wyszła z drzwi sąsiedniego domu, stanęła obok Rudolfa i przypatrywała mu się, gdy grał dalej. A on rozpoczął Marsylianę od początku, ale tym razem pozwalał sobie na godne solisty popisy, raz grał wolno i cicho, raz donośnie i prędko. Wreszcie otworzyło się okno i stanęła w nim panna Lenaut w szlafroku. Patrzyła w dół, lecz oczywiście nie mógł widzieć wyrazu jej twarzy. Postąpił krok tak, by jasno oświetlał go blask latarni, zwrócił trąbkę w kierunku panny Lenaut i teraz grał bardzo głośno, pompatycznie.

Nie mogła go nie poznać. Przez chwilę słuchała spokojnie, bez ruchu. Później zatrzasnęła okno i opuściła roletę.

Francuska pinda, pomyślał, i zakończył Marsylianę zgrzytliwym, szyderyczym akordem. Opuścił rękę z trąbką. Dziewczyna, która wyszła z drzwi sąsiedniego domu, stała wciąż obok niego. Teraz objęła go za szyję i pocałowała. Młodzież zaczęła znowu wiwatować.

Armatka dała ognia. Rudolf uśmiechnął się. Ten pocałunek był cudowny. No i obecnie zna adres tej dziewczyny. Podniósł znów trąbkę i ruszając ku wylotowi uliczki zaczął grać swinga „Tiger Rag”. Za nim sunęła młodzież roztańczona w gigantycznym kłębówisku i tak pochód zmierzał w stronę głównej ulicy miasta.

Zwycięstwo było wszechobecne.

Zapaliła jeszcze jednego papierosa. Jestem sama w pustym domu, pomyślała. Uprzednio pozamykała wszystkie okna, by stłumić zgiełk dobiegający z miasta - radosne okrzyki, trzask ogni sztucznych, porykiwanie muzyki. Co ona ma do świętowania? W taką noc, gdy nawet ludzie obcy wymieniają uściski na rogach ulic, mężowie winni być bardziej bliscy żonom, dzieci rodzicom, przyjaciele przyjaciołom. Kto był jej dzisiaj bardziej bliski? Kto ją obdarzył uściskiem?

Weszła do pokoju córki, zapaliła światło. Było tu niepokalanie czysto - świeżo wyprasowana kapa na łóżku, stojąca lampa z lśniącego mosiądzu, jasno malowany stolik toaletowy, a na nim słoiki i przybory kosmetyczne. Jej narzędzia pracy, pomyślała z goryczą Mary Jordach.

Przystanąła przed małą biblioteczką z mahoni. Książki stały na swoich miejscach we wzorowym porządku. Wyjęła gruby tom zbiorowych dzieł Szekspira, otworzyła go tam, gdzie koperta rozdzielała stronicę „Makbeta”. Zajrzała do koperty. Pieniądze znajdowały się w niej nadal. Gretchen nie raczyła schować banknotów gdzie indziej, chociaż musiała zdawać sobie sprawę, że jej matka o nich wie. Wyjęła kopertę z dzieł Szekspira, niedbale wcisnęła książkę na półkę. Na chybił trafił wyjęła inny tom - antologię poezji angielskiej, którą Gretchen posługiwała się w ostatniej klasie.

Szlachetny pokarm dla szlachetnego umysłu Gretchen! Otworzyła książkę i włożyła kopertę między jej karty. Niech córka pomartwi się trochę o pieniądze. Gdyby ojciec odkrył jakoś, że w domu znajduje się osiemset dolarów, dziewczyna nie znalazłaby ich, gdyby nawet przetrząsnęła całą swoją biblioteczkę.

Mary Jordach przebiegła wzrokiem kilka linijek.

„Bij, bij, bij, o morze, Bij w te zimne, te szare kamienie!

Gdybyż usta umiały wyrazić Myśli, które znów się budzą we mnie!”* (* Alfred Tennyson, Poezje wybrane, przeł. Zygmunt Kubiak, PIW 1970, s. 28.)

Piękne to! Bardzo piękne.

Odstawiła książkę na półkę i wychodząc z pokoju nie pomyślała o zgaszeniu światła.

Poszła do kuchni. Zlew zapełniały nie zmyte garnki i naczynia, których używała przy samotnie zjedzonym obiedzie. Papierosa zgmiotła na patelni zalanej do połowy tłustą wodą. Miała dzisiaj kotlety wieprzowe. Ordynarne danie. Spojrzała na kuchnię i odkręciła kurek gazu przy piekarniku. Przyciągnęła krzesło, usiadła i odemknąwszy piecyk wsunęła głowę do jego wnętrza.

Siedziała tak przez chwilę, wdychała odrażający zapach. Radosne odgłosy z miasta wciskały się do kuchni przez zamknięte okno.

Czytała gdzieś, że w święta - w Boże Narodzenie, w Nowy Rok - zdarza się więcej samobójstw niż kiedykolwiek. Cóż? Dla niej nie będzie nigdy lepszego święta!

Gaz cuchnął coraz mocniej. W głowie zaczynało jej się kręcić.

Wyjęła głowę z piecyka, przekręciła kurek. Nie ma pośpiechu.

Przeszła do bawialni - ona, pani tego domu. Nikły odór gazu wypełniał mały pokój, w którym, pośrodku zniszczonego, rudego dywanu, stały cztery drewniane krzesła rozmieszczone symetrycznie wokół kwadratowego dębowego stołu. Usiadła przy stole, wyjęła z kieszeni ołówek i zaczęła rozglądać się szukając wzrokiem papieru.

Znalazła tylko szkolny zeszyt, w którym prowadziła codzienne rachunki piekarni. Nigdy nie pisywała i nie otrzymywała listów.

Wydarła parę kartek z końca zeszytu i jęła pisać na liniowanym papierze.

„Kochana Gretchen! Postanowiłam odebrać sobie życie. Wiem, że to grzech śmiertelny, ale dłużej nie mogę wytrzymać. Piszę do Ciebie jak grzesznica do grzesznicy. Nie ma potrzeby mówić więcej. I tak wiesz, do czego piję.

Klątwa ciąży na naszej rodzinie. Na Tobie, na mnie i ojcu, i twoim bracie Tomie. Uniknął jej tylko Rudolf, ale w ostatecznym rezultacie i on może odczuć ją w przyszłości. Szczęśliwa jestem, że tej strasznej pory nie dożyję. Ta klątwa to przekleństwo płci.

Dzisiaj wyznam Ci coś, co ukrywałam starannie przez całe Twoje życie.

Jestem dzieckiem nieślubnym. Nigdy nie znałam ojca ani matki.

Trudno mi ścierpieć myśli o życiu, jakie musiała prowadzić moja matka, o nieprawościach, w jakich musiała się tarzać. Nie dziwi mnie, że Ty podążasz jej śladem, że również staczasz się do rynsztoka. Twój ojciec to zwierzę. Sypiasz w pokoju naprzeciw naszej sypialni, więc rozumiesz na pewno, co mam na myśli. Od lat dwudziestu jego rozpusta jest moim krzyżem. To rozszalała bestia i w swoim czasie nieraz obawiałam się, że mnie zabije. Patrzałam na niego, gdy w sprzeczce o ośmiodolarowy rachunek piekarni omal nie zabił człowieka gołą pięścią. Twój brat Tom wdał się w ojca i nie będę zaskoczona, jeżeli skończy w więzieniu lub jeszcze gorzej.

Przyszło mi żyć w klatce tygrysów.

Ja również jestem winna. Byłam słaba. Pozwoliłam Twojemu ojcu odciągnąć się od kościoła i uczynić poganami nasze dzieci.

Byłam zanadto pogwałcona, przybita, by Ciebie kochać i osłaniać przed dziedzictwem ojca, przed jego wpływem. Wydawałaś mi się zawsze czystą, rozsądną, dobrze wychowaną

dziewczyną, więc usypiałaś moją czujność. A z rezultatów lepiej niż ja sama zdajesz sobie sprawę.”

Przestała pisać i z satysfakcją przebiegła wzrokiem to, co już zostało napisane. Kurwa będzie miała zatrute grzeszne rozkosze, gdy matkę znajdzie martwą i takie posłannictwo z za grobu zostanie na swojej poduszce. Ilekroć tknie ją męska ręka, Gretchen przypomni sobie ostatnie słowa nieżyjącej matki.

„Krew masz skażoną - pisała dalej - a dziś rozumiem jasno, że skażony jest także Twój charakter. Twój pokój jest wymuskany, czysty, ale Twoja dusza to istna chlewnia. Twój ojciec winien się ożenić z kimś podobnym do Ciebie. Bylibyście dla siebie stosownymi partnerami. Opuść ten dom i odejdz jak najdalej. Takie jest moje ostatnie życzenie, abyś złym wpływem nie mogła pokalać swojego brata Rudolfa. Jeżeli ta straszna rodzina wyda bodaj jednego uczciwego człowieka, znajdzie może jakieś odkupienie w rękach Boga.”

Na ulicy począł przybierać na sile bezładny zgiełk muzyki i wiwatów. Po chwili Mary Jordach usłyszała i rozpoznała trąbkę. To Rudi gra przed jej oknami! Wstała i otworzywszy okno, wyjrzała.

Oto on! Na czele chyba tysiąca dziewcząt i chłopców wygrywa „Gdy uśmiechają się irlandzkie oczy”. Dla niej!

Gdy pozdrawiała syna ruchem ręki, czuła łzy napływające do oczu.

Rudolf kazał chłopcom przy armatce oddać honorowy wystrzał ku jej chwale i echo potoczyło się wzdłuż uliczki. Teraz płakała jawnie i była zmuszona sięgnąć po chusteczkę. No i Rudi pomachał ręką na pożegnanie, a następnie ruszył w stronę śródmieścia na czele swojej armii, wygrywając wciąż na trąbce.

Mary Jordach cofnęła się od okna i rozszlochała zasiadłszy znów przy stole. Uratował mi życie, myślała. On, mój śliczny syneczek, uratował mi życie.

Podarła list i w kuchni spaliła strzępki w garnku używanym do gotowania zupy.

Wielu żołnierzy było pijanych. Kiedy radio podało wiadomość, wszyscy, którzy mogli chodzić i ubrać się w mundury, uciekli ze szpitala nie oglądając się na przepustki. Niektórzy z nich wrócili wkrótce z butelkami, więc świetlica cuchnęła niczym szynk i była pełna rozwrzeszczanych, rozśpiewanych, zataczających się ludzi na wózkach i o kulach. Po kolacji uciecha przerodziła się w niszczycielską orgię. Żołnierze wybijali szyby łaskami, zdierali ze ścian plakaty, czasopisma i książki darli na garście konfetti, którymi wiodli karnawałowe boje pośród pijackich bełkotów i śmiechu.

- Jestem generał George Patton! - wrzeszczał pod niczym adresem chłopiec, który nosił na ramionach metalową konstrukcję, utrzymującą nad głową zgruchotaną rękę. - Gdzie twój krawat, żołnierzu? Trzydzieści lat obozu karnego!

Pochwyił Gretchen, objął zdrową ręką i na środku świetlicy zaczął tańczyć przy wtórze pieśni „Chwal Boga i podawaj amunicję”, którą inni pacjenci usłużnie śpiewali. Gretchen musiała podtrzymywać go z całych sił, żeby nie upadł.

- Jestem pierwszy w świecie, najwyższej klasy tancerz salonowy, kaliber sto pięć milimetrów! Jutro pojedę do Hollywood i zatańczę walca z Ginger Rogers. Wyjdź za mnie, mała! Po królewsku będziemy żyć z mojej renty stuprocentowego inwalidy. Wygraliśmy wojnę, mała! Zapewniliśmy światu spokój, bezpieczeństwo i całkowite inwalidztwo!

Biedak musiał usiąść, bo nogi ugięły się pod nim. Przycupnął na podłodze, głowę wcisnął między kolana i odśpiewał kilka taktów „Lili Marlene”.

W ten wieczór Gretchen nie mogła zrobić nic dla swoich podopiecznych. Uśmiechała się tylko i próbowała interweniować tam, gdzie walki na konfetti stawały się zbyt gorące i groziły przeobrażeniem się w prawdziwe bójki.

Pielęgniarka uchyliła drzwi świetlicy i skinęła na Gretchen, która zbliżyła się do niej posłusznie.

- Lepiej poszłabyś stąd, moje dziecko - szepnęła stłumionym, zatroskanym głosem. - Za chwilę może tu być naprawdę groźna sytuacja.

- Nie mam tego za złe chłopcom - powiedziała Gretchen. - A pani?

- Ja również. Ale staram się nie wchodzić im w drogę.

Zabrzącało tłuczone szkło. Ktoś wyrzucił próżną butelkę przez zamknięte okno.

- Strzał na wiwat - wybełkotał.

Sięgnął po metalowy kosz na śmiecie i rzucił nim w stronę drugiego okna.

- Z mózdzierzy do skurwysynów, poruczniku! - wrzasnął. - To wzgórze trzeba opanować.

- Na szczęście odebrano im broń, zanim przyszli do szpitala - powiedziała pielęgniarka. - Inaczej byłoby tu gorzej niż w Normandii.

- Dawać Japończyków! - krzyknął jakiś żołnierz. - Na śmierć zatłukę drani opatrunkiem osobistym. Banzai!

Pielęgniarka pociągnęła Gretchen za rękaw.

- Teraz idź do domu. To nieodpowiednie miejsce dla młodej panienki. Jutro możesz przyjść wcześniej, pomóc przy uprzączeniu rumowiska.

Z tymi słowy pielęgniarka odeszła, a Gretchen pośpieszyła do szatni, żeby się

przebrać. Niebawem jednak przystanęła, zawróciła i ruszyła korytarzem pomiędzy salami chorych. Weszła do tej, w której leżeli ciężko ranni w głowę i w klatkę piersiową. Światła były tam przyćmione i panowała cisza. Łóżka były przeważnie puste, lecz na niektórych Gretchen dostrzegła spoczywające pod kocami kształty ludzkie. Podeszła do ostatniego łóżka w kącie sali, gdzie Talbot Hughes leżał, a glukoza spływała kropelkami do jego żyły z butli zawieszanej na sterczącym tuż obok stojaku. Biedak leżał spokojnie, a jego ogromne, rozgorączkowane oczy były dobrze widoczne na tle wynędzniałej twarzy. Poznał Gretchen i uśmiechnął się do niej. Z odległej świetlicy ryki i śmiechy dochodziły niewyraźnie, niby gwar ze stadionu, na którym odbywa się mecz piłki nożnej. Gretchen odpowiedziała chłopcu uśmiechem i przysiadła na brzegu jego łóżka. Widziała go zaledwie wczoraj, ale wydało się jej, że w ciągu tych dwudziestu czterech godzin Talbot Hughes wychudł zastrasząco. Mocne wydawały się tylko bandaże spowijające mu szyję. Lekarz opiekujący się salą powiedział Gretchen, że Talbot musi umrzeć w ciągu tygodnia. Mówił też, że nie ma wyraźnego powodu, dla którego śmierć jest nieunikniona.

Rana goi się prawidłowo, więc pacjent powinien wyzdrowieć, chociaż, rzecz jasna, nie mówiłby do końca życia. Należałoby jednak oczekiwać, że do tej pory będzie przyjmował pokarmy, a nawet chodził trochę. Tymczasem spokojnie więdnie z dnia na dzień, cicho, ale stanowczo upiera się, by nie żyć, nie naprzykrza się, nikomu nie sprawia kłopotu.

- Chcesz, żeby ci poczytać trochę? - zapytała.

Przecząco poruszył głową na poduszce. Później wyciągnął rękę i mocno ujął dłoń Gretchen, która poczuła jego kruche, jak gdyby ptasie kości. Uśmiechnął się raz jeszcze i zamknął oczy. Gretchen nie poruszała się, trzymała go za rękę i tak bez słowa siedziała dobrych piętnaście minut. Wreszcie zorientowała się, że Talbot śpi. Ostrożnie wysunęła rękę, wstała i cicho wyszła z sali. Jutro zapyta doktora, kiedy, jego zdaniem, Talbot Hughes odejdzie zwycięsko. Chce wtedy stanąć obok jego łóżka, ująć za rękę biedaka jako przedstawicielka żałoby, którą okrył ojczyznę. Niechże nie będzie sam w godzinę śmierci w dwudziestym roku życia, gdy świat nie powiedział mu nic jeszcze.

Prędko przebrała się i opuściła budynek szpitalny. Ale tuż za frontowym wejściem zobaczyła Arnolda Simmsa, który stał oparty o ścianę, palił papierosa. Pierwszy raz spotkała go od czasu nocnej rozmowy w świetlicy. Przystanęła na moment. Później ruszyła w kierunku przystanku autobusowego.

- Dobry wieczór, panno Jordach.

Pamiętała ten głos uprzejmy, opanowany.

Zwróciła się w jego stronę. - Dobry wieczór, Arnoldzie.

Twarz miał bez wyrazu, jak gdyby nic nie pozostało mu w pamięci.

- No, chłopcy znaleźli wreszcie powód do wrzasku, prawda? - powiedział i ruchem głowy wskazał kierunek skrzydła, które mieściło świetlicę.

- Rzeczywiście. Znaleźli - powiedziała.

Chętnie odeszłaby zaraz, ale nie chciała, by Arnold pomyślał, że się go boi.

- Stare, kochane Stany Zjednoczone wzięły się do roboty i zrobiły swoje. Wysilek był ekstra, no nie?

Pomyślała, że Arnold drwi z niej niewątpliwie.

- Wszyscy powinniśmy być dziś bardzo szczęśliwi.

Czemu musi zawsze przemawiać do niego pompatycznie i niemądrze?

- O, ja jestem szczęśliwy - podjął. - Słowo daję. Niezmiernie szczęśliwy. Dziś otrzymałem dobrą wiadomość. Wyjątkowo dobrą wiadomość. Dlatego czekam tutaj na panią. Chciałem to pani powiedzieć.

- Co takiego, Arnoldzie?

- Jutro idę do cywila.

- To naprawdę dobra wiadomość - zawołała. - Winszuję panu, Arnoldzie.

- Aha! Według urzędowej opinii służby zdrowia armii Stanów Zjednoczonych nadają się do chodzenia. Mam już rozkaz wyjazdu do najbliższego obozu przejściowego, gdzie załatwi się formalności demobilizacyjne. Od dziś za tydzień Arnold Simms, nowiutki cywil, znajdzie się znowu w Saint Louis.

- Mam nadzieję, że... - urwała; omal nie powiedziała: „będzie pan szczęśliwy”, ale to zabrzmiałoby zbyt niedorzecznie ...że powodzenie panu dopisze - zakończyła.

Jeszcze gorzej!

- O, tak! Powodzenie mi dopisuje - podchwycił. - Nie ma co martwić się o starego łobuza Arnolda. W tym tygodniu dostałem jeszcze jedną dobrą wiadomość. To wielki tydzień. Można powiedzieć:

tydzień-gigant. Przyszedł list z Kornwalii.

- O! Jak to miło! - (I znowu nonsens!) - Odpowiedziała panu dziewczyna, o której mówił mi pan, Arnoldzie?

Palmy. Adam z Ewą w raj.

- Aha. - Rzucił niedopałek papierosa. - Dowiedziała się właśnie, że jej mąż poległ we Włoszech. No i była zdania, że ja też powinienem się o tym dowiedzieć.

Trudno było coś odpowiedzieć, więc Gretchen milczała.

- Cóż, nie zobaczymy się więcej, panno Jordach, chyba że pani trafi przypadkiem do

Saint Louis. Znajdzie mnie pani w książce telefonicznej. Ma się rozumieć, będę mieszkał w najbardziej luksusowej dzielnicy. No, nie zatrzymuję pani dłużej. Z pewnością wybiera się pani na bal z okazji zwycięstwa, a może na tańce w szykownym klubie zamiejskim. Chciałbym tylko, panno Jordach, podziękować pani za wszystko, co pani robi dla żołnierzyków.

- Szczęścia życzę, Arnoldzie - wtrąciła chłodno.

- Jaka szkoda, że nie znalazła pani czasu, żeby w tamtą sobotę przyjechać do King's Landing - podjął spokojnie, rozwlekł. - Upiękliliśmy dwie okazałe kury, no i mieliśmy piknik, można powiedzieć, pierwsza klasa. Tylko pani nam brakowało.

- Spodziewałam się, że o tym nie wspomni pan, Arnoldzie - powiedziała i dodała w myśli: Hipokrytka ze mnie. Hipokrytka!

- Mój Boże! Jaka pani ładna. Chciałoby się usiąść na ziemi i zapłakać.

Odwrócił się, pchnął drzwi szpitalne i zniknął za nimi utykając.

Gretchen szła wolno w stronę przystanku autobusowego. Była sponiewierana, przygnębiona. Zwycięstwo nie rozwiązało niczego.

Przy świetle ulicznej latarni spoglądała na zegarek, zastanawiała się, czy kierowcy autobusów też świętują tej nocy. W głębi ulicy stał jakiś samochód zaparkowany pod drzewami. Ruszył wolno w jej stronę. Poznała Buicka Boylana. W pierwszej chwili chciała uciec z powrotem do szpitala.

Boylan zahamował przed nią, otworzył drzwiczki.

- Wolno łaskawą panią podwieźć?

- Bardzo dziękuję. Nie skorzystam.

Nie widziała go przeszło miesiąc od tamtej nocy, kiedy pojechali do Nowego Jorku.

- Sądziłem, że razem podziękujemy Bogu za to, że pobłogosławił nasz oręż i dał nam zwycięstwo.

- Dziękuję. Zaczekam na autobus - odpowiedziała.

- Dostałaś moje listy, co? - zapytał.

- Tak.

Dwukrotnie znajdowała na swoim stoliku biurowym listy z propozycjami spotkania przed domem towarowym Bernsteina. Nie poszła tam i na listy nie odpisała.

- Twoja odpowiedź musiała zagać - podjął. - Służba pocztowa fatalnie teraz funkcjonuje.

Odeszła od samochodu. Boylan wysiadł i zbliżywszy się do niej ujął Gretchen pod rękę.

- Pojedziesz ze mną do domu. W tej chwili.

Uspokoilo ją jego dotknięcie. Nienawidzi Boylana, ale nie może zaprzeczyć, że chciałyby być w jego łóżku.

- Puść mnie!

Gwałtownie wyrwała rękę z jego uścisku i odeszła do przystanku autobusów, a on podążył za nią.

- Niech będzie! Powiem to, co mam do powiedzenia. Po to tu przyjechałem. Chcę się z tobą ożenić.

Roześmiała się. Sama nie wiedziała czemu. Chyba ze zdziwienia.

- Słyszałaś? Chcę ożenić się z tobą.

- Wiesz co? Jedź lepiej na Jamajkę, jak miałeś zamiar. Napiszę tam do ciebie. Adres możesz zostawić u mojej sekretarki. Przepraszam.

Jest autobus.

Autobus przystanął i Gretchen wskoczyła do niego, gdy tylko drzwi się otwały. Pokazała bilet kierowcy i w głębi wozu usiadła na pustej ławce. Trzęsła się cała. Gdyby autobus nie nadjechał w porę, odpowiedziałyby: tak - wyszłyby za tego człowieka.

Niedaleko śródmieścia usłyszała syreny wozów straży ogniowej.

Podniosła wzrok i zobaczyła ogień na wzgórzu. Miała nadzieję, że to dom Boylana płonie i spali się do fundamentów.

Claude czepiał się go zdrową ręką, a Tom prowadził motor i zjeżdżał w dół po wyboistej dróżce na tyłach posiadłości Boylana.

Miał mało wprawy, więc jechali wolno i Claude postękiwał żałośnie na każdym wyboju. Tom nie wiedział, czy rany są groźne, nie wątpił jednak, że zaraz trzeba coś z tym zrobić. Cóż, gdyby zawiózł przyjaciela do szpitala, dopytywaliby tam o przyczynę poparzeń i oczywiście nietrudno byłoby bez Sherlocka Holmesa powiązać cierpiącego chłopca z krzyżem, który płonął na wzgórzu Boylana. No a Claude nie weźmie całej winy na siebie. To pewne! Nie jest bohaterem. Nie skona na torturach, i tajemnicy nie zabierze do grobu. Murowane!

- Słuchaj no - powiedział Tom i zwolnił bieg tak, że motocykl ledwie się posuwał. - Macie lekarza domowego?

- Aha. To mój stryjek.

To się nazywa rodzina! Duchowni, lekarze, z pewnością będzie też stryjek adwokat i przyda się w sam raz później, kiedy oni zostaną aresztowani.

- Gdzie mieszka? - zapytał.

Claude wymamrotał adres. Był tak wystraszony że mówił z największą trudnością. Tom dodał gazu, okrążył Port Philip trzymając się bocznych uliczek i bez kłopotu znalazł w podmiejskim osiedlu duży dom, a przed nim ustawioną na trawniku tabliczkę z napisem:

„Robert Tinker, doktor medycyny”.

Zatrzymał motor i pomógł zsiąść przyjacielowi.

- Wejdiesz do domu sam. Rozumiesz? I gadaj, co chcesz, swojemu stryjowi, tylko ani pary z gęby o mnie. Rozumiesz? No i ojciec powinien cię dokądś wyprawić. Dzisiaj! Jutro zrobi się w mieście cholerna draka i jeżeli ktoś zobaczy cię z tą poparzoną łapą, wpadniesz w ciągu dziesięciu sekund.

Claude jęczał tylko i czepiał się ramienia przyjaciela. Tom odepchnął go mocno.

- Stójże na własnych nogach, człowieku - powiedział. - Idź tam teraz i uważaj, żebyś zobaczył tylko stryja. Nikogo więcej! No i zabiję cię, jeżeli dowiem się kiedy, że mnie sypnąłeś.

- Tom... - jęknął tamten.

- Słyszałeś? Zabiję cię. A wiesz, że ja nie strzępię gęby na próżno - powiedział Tom i popchnął go w stronę domu doktora Tinkera.

Claude podszedł chwiejnie do drzwi i wyciągnąwszy zdrową rękę zadzwonił. Tom nie czekał dłużej. Szybko ruszył ulicą. Luna nad miastem wciąż jeszcze barwiła niebo.

Wkrótce znalazł się nad rzeką w sąsiedztwie magazynu, w którym ojciec przechowywał swoją łódkę. Ciemno tam było i powietrze przesycił kwaśny zapach rdzewiejącego metalu. Tom ściągnął sweter cuchnący przypaloną wełną tak, że się na wymioty zbierało. Znalazł odpowiedni kamień, zawinął go w sweter i całą paczkę wrzucił do rzeki. Woda plusnęła i na jej czarnym tle pojawiła się na moment jasna fontanna. Tom był zły. Utracił sweter - swój szczęśliwy sweter. Wygrał w nim wiele, bardzo wiele ciężkich walk. Ale istnieją sytuacje, w których należy się pozbywać różnych rzeczy, i taka właśnie sytuacja wyniknęła.

Oddalając się od rzeki śpieszył ku domowi. Zimno było mu w przewiewnej koszuli i zastanawiał się, czy rzeczywiście będzie musiał zabić Claude'a Tinkera.

ROZDZIAŁ VI

Jest. Z tym swoim niemieckim żarciem. Imigrant! - pomyślała Mary Jordach, gdy Aksel nadszedł z kuchni niosąc na półmisku pieczoną gęś oraz czerwoną kapustę i kluski ziemniaczane.

Nie pamiętała męża w humorze tak doskonałym jak ostatnio.

Kapitulacja Trzeciej Rzeszy odmieniła go w człowieka pogodnego i hojnego. Pochłaniał codzienną prasę, śmiał się oglądając zdjęcia niemieckich generałów, którzy w Reims podpisują akt kapitulacyjny.

Dziś, w niedzielę, przypadała siedemnasta rocznica urodzin Rudolfa i Jordach zarządził uroczyste święto. Inne rodzinne urodziny zbywał zazwyczaj jedynie gniewnym pomrukiem. Jednakże Rudolfowi kupił doskonałą wędkę i Bóg wie, ile na to wydał, a Gretchen powiedział, że od przyszłego tygodnia może oddawać mu tylko połowę pensji zamiast dotychczasowych trzech czwartych. Nawet Tomowi, który - jak powiadał - zgubił sweter, dał trochę pieniędzy na nowy. Gdyby armia niemiecka kapitulowała co tydzień, życie w domu Aksela Jordacha mogłoby być zupełnie znośne.

- Od tej pory - zawyrokował - niedzielne obiady będziemy jadać razem.

Widocznie krwawa klęska ojczystego kraju obudziła w nim uczuciowe zainteresowanie więzami krwi.

A zatem wszyscy zasiadali wokół stołu; Rudolf - świadoma swojej godności postać centralna - w kołnierzyku i krawacie, sztywny na swoim krześle niczym kadet z West Point podczas posiłku; Gretchen w białej koronkowej bluzce i z taką miną (kurwa! - pomyślała matka), jak gdyby miód miała w ustach; Tom z nic nie mówiącym uśmiechem na twarzy, umyty do czysta i uczesany. I ten zmienił się nie do poznania od dnia zwycięstwa. Ze szkoły wracał prosto do domu, wieczorami uczył się w swoim pokoju, a nawet - co uprzednio nie zdarzyło mu się nigdy w życiu - pomagał czasami w sklepie.

Matka pozwalała sobie na pierwsze, nikłe przebłyski nadziei. Być może jakieś niepojęte czary sprawią, że zamknięcie działań w Europie przemieni Jordachów w normalną rodzinę.

Poglądy Mary Jordach na temat normalnej amerykańskiej rodziny wynikały najpierw z nauk mniszek opiekujących się sierocińcem, później z pobieżnie przeglądanych ogłoszeń w najbardziej popularnych czasopismach. Normalna amerykańska rodzina jest z reguły wymyta starannie i pachnąca, a jej członkowie wciąż uśmiechają się jedni do drugich. Wzajemnie obsypują się upominkami z okazji Świąt Bożego Narodzenia, urodzin, ślubów, wszelkich

rocznic i naturalnie Dnia Matki. Rodzina taka ma czerstwych dziadków w podeszłym wieku, którzy zamieszkują na wiejskiej farmie, a ponadto co najmniej jeden samochód. W takiej rodzinie synowie używają zwrotu „proszę ojca”, córki opowiadają matce o swoich randkach, wszyscy zaś używają stale leków reklamowanych odpowiednio. Śniadania, kolacje i niedzielne obiady zawsze jadają wspólnie, dobrowolnie chodzą do kościoła, a wakacje spędzają gromadnie nad morzem. Ojciec jest wysoko ubezpieczony na życie i każdego rana udaje się do pracy ubrany w ciemny garnitur. Mary Jordach nie formułowała ściśle tego wszystkiego, ale według takich mniej więcej wzorców szacowała własną sytuację. Była zbyt nieśmiała i zbyt snobistyczna, aby przyjaźnić się z sąsiadami, a więc realne warunki innych zamieszkujących miasto rodzin stanowiły dla niej niezgłębioną tajemnicę. Ubogimi gardziła, bogacze znajdowali się poza jej zasięgiem. Według jej mglistych, nieusystematyzowanych zapatrywań, ona, Aksel Jordach, Tom i Gretchen nie są rodziną, która dla niej mogłaby być do przyjęcia lub mogłaby ją cieszyć. To raczej coś w rodzaju przypadkowo dobranej grupy współpasażerów, którzy odbywają podróż nie z własnego wyboru i życzą sobie tylko, by ich nieprzyjacielskie działania ograniczały się do minimum.

Ma się rozumieć, Rudolf stanowi wyjątek.

Aksel Jordach z zadowoloną miną postawił gęś na stole. Cały rano poświęcił przygotowaniu kulinarnym i żonę przepędzał z kuchni często, ale bez normalnych w podobnych razach obelg na temat jej gotowania. Ptaka pokrajał bez pretensji do elegancji, lecz prawidłowo i wszystkim wydzielił ogromne porcje rozpoczynając, ku jej zdziwieniu, od matki. Zawczasu kupił dwie butelki kalifornijskiego rieslinga, więc mógł teraz napełnić ceremonialnie wszystkie kieliszki. Swój podniósł i wystąpił z toastem:

- Za zdrowie mojego syna Rudolfa w rocznicę jego urodzin - powiedział ochryłym głosem. - Niechaj ziści nasze nadzieje, wzniesie się na szczyt i nie zapomni o nas, gdy tam już będzie.

Wszyscy wypili z powagą, tylko Tom skrzywił się trochę. Matka pomyślała, że może wino uznał za zbyt cierpkie.

Jordach nie sprecyzował, na jaki szczyt ma się wnieść jego syn Rudolf. Bliższe określenie było zbędne. Istnieje przecież szczyt o wyraźnych granicach i ciężarze gatunkowym - jakieś uprzywilejowane miejsce na górze. Gdy ktoś tam trafi, rozpoznaje niezwłocznie, a wcześniej przybyli powitają go okrzykami „hosanna” wznoszonymi z Cadillaców.

Rudolf jadł gęś ostrożnie. Była trochę za tłusta jak na jego gust, gdyż wiedział, że od tłustego jedzenia przyszcze obsypują twarz. I kapusty jadł mało. Na popołudnie umówił się z dziewczyną o płowym warkoczyku, która pocałowała go przed domem panny Lenaut, więc nie chciał pachnieć kapustą. No i ledwie sączył wino. Postanowił, że nie upije się nigdy, bo zawsze musi władać umysłem i ciałem.

Postanowił również - zapewne dzięki przykładowi rodziców - że się nigdy nie ożeni.

Nazajutrz po Dniu Zwycięstwa poszedł pod dom sąsiadujący z siedzibą panny Lenaut i ostentacyjnie jął kręcić się po przeciwległej stronie ulicy. Jak należało się spodziewać, tamta dziewczyna wyszła po dziesięciu minutach ubrana w szafirowe dżinsy oraz sweter i zaraz pozdrowiła Rudolfa ruchem ręki. Była mniej więcej w jego wieku. Miała jasnoblękitne oczy i szczery, życzliwy ludziom uśmiech kogoś, komu nie przytrafiło się w życiu nic złego.

Przeszli się wzdłuż ulicy i nim minęło pół godziny, Rudolf odnosił wrażenie, że swoją towarzyszkę zna od lat. Niedawno sprowadziła się tutaj z Connecticut. Na imię ma Julia. Ojciec ma coś do czynienia z miejscową spółką energetyczną. Jej brat jest w wojsku we Francji. Dlatego właśnie pocałowała Rudolfa poprzedniego wieczora. Była szczęśliwa, że brat żyje, a wojna skończyła się dlań wreszcie. Rudolf nie dbał o powody. Był rad, że pocałowała go Julia, chociaż wspomnienie pierwszego zetknięcia się warg dwojga ludzi obcych uważał zrazu za nieco krępujące i wstydliwe.

Julia przepada za muzyką i lubi śpiewać, jest zdania, że Rudolf cudownie gra na trąbce, więc prawie jej obiecał, że pogada ze swoim zespołem i chłopcy poproszą ją, by śpiewała z nimi, gdy będą grać na następnym wieczorku klubowym.

Był niewątpliwie poważnym chłopcem, toteż chętnie słuchał, że Julia - jak mówiła - lubi poważnych chłopców. Zdążył już powiedzieć o niej Gretchen i z przyjemnością powtarzał jej imię...

Julia... Julia... Gretchen uśmiechnęła się tylko i, zdaniem brata, była zanadto protekcyjnie dorosła. Na urodziny dostał od niej blezer z jasnogranatowej flaneli.

Matka - dobrze wiedział - będzie zawiedziona, że tego popołudnia nie pójdzie z nią na spacer. Ale ojciec zaczął ostatnio zachowywać się dziwnie, może więc nastąpi cud i on sam poprowadzi matkę na przechadzkę.

Chciałby wierzyć tak mocno jak rodzice, że w swoim czasie zajmie miejsce na górze. Był inteligentny, lecz inteligentny dostatecznie, by zdawać sobie sprawę, że sama inteligencja nic nie gwarantuje. Sukces, jakiego życzą mu matka i ojciec, wymaga czegoś specjalnego - szczęścia, właściwego pochodzenia, talentu. Rudolf nie wiedział, czy jest szczęściarzem. Z pewnością nie mógł liczyć, że pochodzenie ułatwi mu karierę, a o swoich talentach

powątpiewał. Był znawcą cudzych uzdolnień i skrupulatnym badaczem własnych. Taki Ralf Stevens - uczeń z jego klasy - ledwie osiąga ogólną ocenę B, lecz jest genialny w dziedzinie matematyki; zawikłane problemy matematyczne i fizyczne rozwiązuje jak z płatka w czasie, gdy jego koledzy głowią się nad elementarną algebrą. Ma określony talent, który niby igła magnetyczna kieruje jego życiem.

Wie, dokąd pójdzie, bo to jedyna otwarta przed nim droga.

On sam ma różne drobne talenciki bez wyraźnego kierunku. Na przykład nieźle gra na trąbce, ale przecież nie wmawia sobie, że wyrośnie z niego drugi Benny Goodman czy Louis Armstrong. Z pozostałych czterech chłopców grywających w zespole dwaj są lepsi od niego, dwaj mniej więcej równie dobrzy. Słuchając własnej muzyki szacuje chłodno, ile jest warta, i wie, że jest warta niewiele. No i nie będzie znacznie lepsza, żeby nawet pracował nie wiedzieć jak ciężko. Jako sportowiec przoduje tylko w jednej dyscyplinie - w stu dwudziestu jardach przez płotki - nie wątpi jednak, że w jakiejś wielkomiejskiej szkole średniej nigdy nie wytrzymałby konkurencji ze Stanem O'Brienem, gwiazdą drużyny piłki nożnej, który musi liczyć na wyrozumiałość nauczycieli, by mieć oceny upoważniające go do występowania na boiskach. A przecież Stan O'Brien to jeden z najlepszych graczy w całym stanie. Potrafi wykorzystywać ułamki sekund i zawsze robi poruszenie najbardziej właściwe z tym niezawodnym instynktem sportowym, dla którego czysta inteligencja nie jest i nie może być konkurencją. Stan O'Brien otrzymuje propozycje stypendiów z rozmaitych college'ów - nawet z Kalifornii - jeżeli zatem nie spotka go nic złego, wejdzie do kadry narodowej i urządzi się dobrze do końca życia. W zakresie znajomości literatury angielskiej Rudolf jest lepszy niż mały Sandy Hopewood, który redaguje gazetkę szkolną i stale zaniedbuje obowiązkowe wypracowania. Ale wystarczy przeczytać jeden artykuł tego chłopca, by uprzytomnić sobie, że nic nie zdoła mu przeszkodzić i musi zostać pisarzem.

Rudolf ma niewątpliwie jeden dar - umie zyskiwać sympatię. Wie o tym i zdaje sobie sprawę, że to powód, dla którego trzy razy z rzędu wybrano go przewodniczącym klasy. Ale rozumie, że nie jest to dar wrodzony, że musi planować, jak przypodobać się ludziom, być dla nich miłym, udawać, że go naprawdę interesują, zdobywać uznanie dzięki chętnemu podejmowaniu niewdzięcznych prac - takich jak prowadzenie tańców na zabawach szkolnych albo opracowanie graficzne gazetki ściennej. Dar zyskiwania sympatii, przemyśliwał, nie jest wrodzonym darem, ponieważ nie mam bliskich przyjaciół i, prawdę mówiąc, nie bardzo lubię ludzi. Nawet to, że całuje matkę z rana i wieczorem, a w niedzielę dotrzymuje jej towarzystwa na spacerach, jest zaplanowane z góry po to, by utrzymać w jej oczach opinię kochającego i dbałego syna. Niedzielne przechadzki nudzą go, a pieszczoty, jakimi matka

płaci za pocałunki, mierzą, lecz oczywiście za nic nie przyznałby się do tego.

Cóż, zdaje sobie sprawę, że składa się jak gdyby z dwu warstw.

Jedna z nich jest znana tylko jemu, drugą okazuje zewnętrznemu światu. Chciałby być taki, jak wskazują pozory, lecz wątpi, czy kiedykolwiek zdoła to osiągnąć. Wie, że matka, siostra, nawet niektórzy nauczyciele uważają go za ładnego chłopca, lecz osobiście nie jest zadowolony z własnej urody. Odczuwa, że jest zbyt śniady, nos ma za długi, twarz zbyt płaską i surową, oczy zbyt jasne i za małe w porównaniu z oliwkową cerą, a czerni włosów jest zbyt intensywna, prawie po murzyńsku krucza. Dokładnie studiuje zamieszczane w prasie codziennej i w czasopiśmie zdjęcia, by zbadać, jak ubierają się uczniowie pierwszorzędných szkół - takich jak Exeter czy Saint Paul - oraz co noszą studenci z Harvardu lub Princetown. Na miarę własnego stanu garderoby i własnego budżetu usiłuje kopiować ich styl. Nosi zamszowe półbuty na gumowych żelówkach, a teraz ma nawet blezer, lecz odczuwa niemile, że gdyby trafił do naprawdę wytwornego towarzystwa, rozpoznano by w nim natychmiast to, czym jest naprawdę - małomiasteczkowego głupka, który udaje coś i kogoś.

Wobec dziewcząt jest nieśmiały i nie kochał się dotąd, bo idiotycznej historii z panną Lenaut nie można przecież nazwać miłością. Udawał, że nie dba o te rzeczy, gdyż jest zbyt pochłonięty ważniejszymi sprawami, by zaprzętać sobie głowę głupstwami w rodzaju randek, flirtów i macanki. Naprawdę jednak unika towarzystwa dziewcząt, ponieważ lęka się, że ta, z którą zbliżyłby się rzeczywiście, poznałaby niezwłocznie, że za jego wyniosłymi manierami kryje się niedoświadczony i trwożliwy błazen.

W pewnym sensie zazdrości swojemu bratu. Tom nie stosuje się do cudzych ocen na temat własnej osoby, a jego szczególnym darem jest gwałtowność. Ludzie boją się go, nawet nienawidzą, nie jest lubiany przez nikogo, ale nie troszczy się przynajmniej, jaki zawiązać krawat i co powiedzieć na najbliższej lekcji angielskiego. Jest cały z jednej bryły i gdy zamierza coś zrobić, nie dręczy się z góry, jak to zrobić i jaką przyjąć pozę.

A Gretchen jest piękna, znacznie piękniejsza od wielu gwiazd filmowych oglądanych na ekranie. To przecież szczególny dar, który zastępuje talent i każdemu może wystarczyć.

- Doskonała gęś, tato - powiedział, bo zdawał sobie sprawę, że ojciec liczy na jego uznanie. - Coś wybornego!

Zjadł już więcej, niż mógłby sobie życzyć, ale podsunął ojcu talerz i usiłował nie zmarszczyć się na widok rozmiarów porcji, która została mu przydzielona.

Gretchen jadła spokojnie. Kiedy im powiedzieć? - myślała. Kiedy będzie najlepszy moment? W piątek dostała dwutygodniowe wypowiedzenie pracy. Pan Hutchens wezwał ją

do swojego pokoju i najpierw wygłosił przemówienie wstępne. Mówił, że panna Jordach była zawsze sumienna i zaradna, pracowała niezawodnie i dobrze, więc miło było mieć w wydziale taką pracownicę. Później powiedział, co miał do powiedzenia. Dziś z rana polecono mu dać wypowiedzenie jej oraz jeszcze jednej urzędniczce. Poszedł do dyrektora, by jakoś temu przeciwdziałać - mówił pan Hutchens, a jego głos dźwięczał nutą szczerzej troski - ale dyrektor odrzekł, że sprawa przesądzona, więc nic nie poradzi.

Po zakończeniu wojny w Europie muszą zmniejszyć się zamówienia rządowe. Należy oczekiwać złej koniunktury, więc redukcje personelu są nieodzowne. Gretchen i tamta druga zostały przyjęte do jego działu jako ostatnie, a zatem pierwsze muszą odejść.

Pan Hutchens był tak przygnębiony, że w trakcie rozmowy kilkakrotnie sięgał po chustkę i głośno wycierał nos. Widać chciał dowieść Gretchen, że to nie jego robota. Po trzydziestu latach pracy wśród papierów pan Hutchens sam upodobił się do papieru.

Przypominał trzymany długo w archiwum, zapłacony rachunek, który - gdy wyjąć go celem sprawdzenia - ma pozaginane rogi, a brzeżki wystrzępione i żółkłe. Wzruszenie, z jakim mówił, nie pasowało do niego, jak łzy nie pasowałyby do szafki na akta.

Gretchen musiała pocieszać szefa. Nigdy nie zamierzała przecież spędzić całego życia w Zakładach Cegielniczych Boylana i doskonale rozumie, że najpóźniej przyjęci winni odejść pierwsi. Tak mówiła, lecz nie wspomniała słowem o prawdziwej przyczynie swojego zwolnienia i gorąco współczuła koleżance poświęconej, by zamaskować zemstę Teddy'ego Boylana.

Nie wiedziała jeszcze, co zrobi z sobą, ale miała nadzieję, że obmyśli jakiś plan, zanim powie ojcu o utraceniu posady.

Spodziewała się obrzydliwej sceny, więc wołała mieć przygotowany system obrony. Dzisiaj, myślała, stary zachowuje się wreszcie jak człowiek. Może pod koniec obiadu, kiedy rozgrzeje się winem i zadowoleniem z jednego dziecka, dla drugiego okaże się wyrozumiały. Potem, przy deserze, postanowiła.

Jordach upiekł tort urodzinowy i ozdobił osiemnastoma świeczkami - siedemnaście plus jedna na wyrost - oprawionymi w lukrową polewę.

Wniósł go do kuchni i wszyscy zaczęli śpiewać „Sto lat...”, gdy niespodziewanie zabrzączał dzwonek u drzwi wejściowych i przerwał im śpiew w pół słowa. Do domu Jordachów nie dzwoniło prawie nigdy.

Nikt ich nie odwiedzał, a listonosz wrzucał pocztę przez wycięcie w drzwiach.

- Cóż to, u diabła? - zapytał Jordach, który na niespodzianki zwykł reagować

wojowniczo, jak gdyby coś nowego mogło oznaczać jedynie taki bądź inny atak.

- Zejdę otworzyć - powiedziała Gretchen.

Miała instynktowną pewność, że u drzwi zostanie Boylana, a jego Buick będzie stał zaparkowany przed sklepem. Taki wygląd pasowałby w sam raz do jego stylu. Wybiegła na schody, gdy Rudolf zdmuchiwał urodzinowe świece. Była zadowolona, że jest ubrana starannie i z powodu uroczystości rodzinnej rano poświęciła na układanie włosów. Niech Teddy Boylan pożąda tego, czego już nigdy nie dostanie.

Otworzyła drzwi i zobaczyła dwóch mężczyzn stojących przed progiem - pana Tinkera i jego brata, katolickiego księdza. Znała ich obojgu, pierwszy pracował w Zakładach Cegielniczych Boylana, a drugi - tęgi jegomość o rumianej twarzy, wyglądający na robotnika portowego, który minął się z powołaniem - był dobrze znany całemu miastu.

- Dzień dobry pani - powiedział pan Tinker i zdjął kapelusz. Jego głos brzmiał spokojnie, ale podłużna, nalana twarz miała taki wyraz jak gdyby pan Tinker przed chwilą odkrył straszliwy błąd w księgach handlowych firmy.

- Dzień dobry panu. Dzień dobry księdzu - odpowiedziała grzecznie Gretchen.

- Spodziewam się, że nie przeszkadzimy państwu - podjął pan Tinker tonem tak uroczystym kościelnym, jak gdyby był swoim wyświęconym bratem. - Musimy porozmawiać z pani ojcem. Czy zastaliśmy go w domu?

- Tak... Pozwolą panowie na piętro. Jemy właśnie obiad, ale...

- Może zechciałabyś, moje dziecko, poprosić ojca, aby zszedł tutaj - odezwał się ksiądz pewnym siebie głosem kogoś, kto potrafi zyskiwać zaufanie kobiet. - Musimy pomówić z nim na osobności o bardzo ważnej sprawie.

- Zaraz po niego pójde - powiedziała Gretchen.

Goście weszli do ciasnej sionki i zamknęli za sobą drzwi, jak gdyby obawiali się, że ktoś zobaczy ich z ulicy. Gretchen przekreśliła wyłącznik; bo dziwnie byłoby jakoś pozostawić dwu mężczyzn w ciasnocie sionki i pośród ciemności. Szybko wbiegła na schody zdając sobie sprawę, że bracia Tinkerowie gapią się na jej nogi.

Gdy weszła do bawialni, Rudolf krajał swój tort urodzinowy.

Wszyscy zwrócili ku niej pytające spojrzenia.

- Cóż to było, u diabła? - odezwał się Jordach.

- Na dole jest pan Tinker - wyjaśniła - ze swoim bratem księdzem.

Chce porozmawiać z tobą, tato.

- No to czemu nie poprosiłaś ich na piętro? - Jordach wziął z rąk syna talerzyk z porcją tortu i zaraz odgryzł potężny kawał.

- Nie chcieli przyjść - odpowiedziała Gretchen. - Mówią, że muszą porozmawiać z tobą na osobności o bardzo ważnej sprawie.

Tom cmoknął cicho, przesunawszy językiem po zębach tak, jak gdyby w nich utkwiała jakaś drobina jedzenia.

Jordach wstał i odepchnął krzesło.

- Książd, do cholery! A człowiek myślałby, że ci dranie dadzą mu spokój chociaż w niedzielne popołudnie - powiedział z pasją ale wyszedł z pokoju i wnet ze schodów dobiegł odgłos jego ciężkich, utykających kroków.

Nie powitał zwyczajnie gości stojących w sionce przy słabym świetle czterdziestoświecowej żarówki.

- Moi panowie - powiedział - jaka, u licha, sprawa może być aż tak cholernie ważna, że człowieka pracy odrywacie od niedzielnego obiadu?

- Panie Jordach - zabrał głos pan Tinker - czy moglibyśmy porozmawiać z panem na osobności?

- A tu nie starczy? - zapytał Jordach.

W pachnącej gęsią sionce stał wyżej niż goście, na ostatnim stopniu schodów, i nadal przeżuwał kawał urodzinowego tortu.

Tinker spojrzał w górę ku podestowi na piętrze.

- Nie chcę, żeby nas podsłuchano - powiedział.

- Na mój rozum - obruszył się Jordach - nie możemy mieć sobie do powiedzenia nic, czego nie mogłoby usłyszeć całe to cholerne miasto. Żadne pieniądze nie należą się panu ode mnie ani też mnie od pana.

Mimo to zeszedł do sionki z ostatniego stopnia schodów, wyprowadził Tinkerów na ulicę i drzwi piekarni otworzył kluczem, który zawsze nosił w kieszeni.

Trzej mężczyźni wkroczyli do sklepu, którego okno, jak zawsze w niedzielę, było zasłonięte od środka roletą z drelichu.

Na piętrze Mary Jordach czekała na zagotowanie się kawy. Rudolf zmartwiony, że spóźni się na spotkanie z Julią, raz po raz spoglądał na zegarek. Tom siedział rozparty na krześle, nucił coś i w drażniący sposób wybijał takt widelcem o szklanę.

- Daj spokój - powiedziała matka. - Głowa od tego boli.

- Przepraszam. Na drugi raz, jak będę chciał dać koncert, postaram się o trąbkę.

Ani chwili uprzejmości! - pomyślała Mary Jordach i podjęła zaczepnym tonem:

- Co tam się dzieje na dole? Akurat dziś! Kiedy raz jeden zasiedliśmy przy stole jak

normalna rodzina. Ty pracujesz z panem Tinkerem - oskarżycielskim tonem zwróciła się do córki. - Może coś przeskrobałaś?

- Pewno wydało się, że ukradłam cegłę - odburknęła.

- Nawet przez jeden dzień ta rodzina nie potrafi być grzeczna - powiedziała matka i gdy szła do kuchni po kawę, jej grzbiet wyrażał istną tragedię męczeństwa.

Na schodach zadudniły kroki Jordacha, który z twarzą bez wyrazu wszedł do pokoju.

- Tom, chodź ze mną - rzucił krótko.

- Nie mam nic do powiedzenia rodzinie Tinkerów - odparł chłopiec.

- Za to oni mają coś do powiedzenia tobie.

Jordach odwrócił się, wyszedł z bawialni i znowu zeszedł na dół.

Tom wzruszył ramionami. Pośpieszył za ojcem szarpiąc jedną dłonią palce drugiej tak, jak robił to przed bójką.

Gretchen zmarszczyła czoło.

- Wiesz, co z tego wszystkiego wyniknie? - zapytała Rudolfa.

- Zmartwienie - odpowiedział posępnie.

Był już pewien, że nie zdąży na spotkanie z Julią.

W sklepie bracia Tinkerowie - jeden w granatowym garniturze, drugi w błyszczącej czarnej sutannie - stali na tle pustych półek oraz lady z szarego marmuru i żywo przypominali dwa kruki. Tom przestąpił próg. Ojciec zamknął za nim drzwi.

No i będę musiał go zabić, pomyślał Tom i powiedział z przyjemnym, chłopięcym uśmiechem:

- Dzień dobry panu. Dzień dobry księdzu, proszę księdza.

- Pozdrawiam cię, synu - odrzekł z namaszczaniem duchowny.

- Jazda! Powiedźcie mu to, co od was usłyszałem - zabrał głos Jordach.

- My wiemy, synu - podjął ksiądz Tinker. - Claude odbył spowiedź wobec swojego stryja, co jest oczywiście słuszne i naturalne. Ze spowiedzi, synu, wynika pokuta, a z pokuty rozgrzeszenie.

- Zachowaj pan te brednie dla szkółki niedzielnej - rzucił Jordach, który stał oparty plecami o drzwi, jak gdyby chciał przeszkodzić czyjejs ucieczce.

Tom milczał. Na twarzy miał nikły uśmiech - jak przed bójką.

- Haniebne spalenie krzyża - ciągnął duchowny - w dniu poświęconym pamięci walecznych młodzieńców, którzy oddali życie na polu walki.

W dniu, gdy za spokój dusz poległych żołnierzy odprawiłem mszę świętą przed

ołtarzem w moim kościele. W obliczu całej nietolerancji, w obliczu szykan, jakie my, katolicy, musimy znosić w tym kraju; na przekór staraniom, które podejmujemy, by przyjęli nas nasi fanatyczni współziomkowie, dwaj katoliccy chłopcy zdobywają się na czyn tak straszliwy - zawołał i ze smutkiem począł kiwać głową.

- On nie jest katolikiem - wtrącił Jordach.

- Jego matka oraz jego ojciec przyszli na świat jako katolicy - odrzekł ksiądz Tinker. - Udało mi się to sprawdzić.

- Zrobiłeś to, czy nie zrobiłeś? - zapytał Jordach syna.

- Zrobiłem - odpowiedział i pomyślał: Claude! Ten tchórz, zdrajca, skurwysyn!

- Czy wyobrażasz sobie, synu - mówił dalej duchowny - jaki los spotka twoją rodzinę oraz rodzinę Claude'a, jeżeli wyjdzie kiedykolwiek na jaw, kto wznosił ów krzyż ognisty?

- Zostaniemy wygnani z miasta - podchwycił żywo pan Tinker. - Taki los nas spotka. Twój ojciec nie sprzeda w Port Philip ani jednego bochenka chleba. Ludzie pamiętają, że jesteście cudzoziemcami, Niemcami, jeżeli nawet wy zapomnieliście o tym.

- Cholerny świat! - wybuchnął Jordach. - Zaraz zacznie się o czerwono-biało-błękitnym sztandarze!

- Fakty pozostają faktami - podjął Tinker. - Trzeba im spojrzeć w oczy. I jeszcze jedno. Jeżeli Boylan dowie się, kto podpalił jego starą szklarnię, będzie procesował się z nami do upadłego. Weźmie cwanego adwokata, który zrobi z tej rudery najcenniejszą nieruchomość stojącą pomiędzy naszym miastem a Nowym Jorkiem. - Zaczął wygrażać pięścią Tomowi. - Twój ojciec zostanie bez dwu miedziaków, którymi mógłby pobrzękiwać w kieszeni. Obydwa jesteście małoletni. Nas obciążą wasz wybryk. Twojego ojca i mnie.

Oszczędności całego życia...

Tom spostrzegł, że ojcowskie dłonie poruszają się tak, jak gdyby Jordach miał chęć chwycić go za szyję i udusić.

- Daj spokój, John - przerwał bratu ksiądz Tinker. - Nie trzeba chłopca zbyt straszyć. Ocalenie nas wszystkich zależy od jego zdrowego rozsądku. Nie zamierzam pytać - zwrócił się do Toma - jaki szatański pomysł skłonił cię do podmówienia naszego Claude'a...

- On powiedział, że to był mój pomysł?

- Chłopiec pokroju Claude'a - odparł duchowny - wychowany w chrześcijańskim domu, bywający na mszy świętej w każdą niedzielę, nigdy sam nie wymyśliłby czegoś aż tak potwornego.

- Dobrze. Niech będzie - burknął Tom i pomyślał, że jeszcze dziś z pewnością poszuka zdrajcy.

- Na szczęście - podjął ksiądz śpiewnie w iście gregoriańskim rytmie - jego stryj, doktor Tinker, był sam, gdy tamtej strasznej nocy Claude zgłosił się doń z ciężko poparzoną ręką. Opatrzył chłopca, dobył zeń całą prawdę i własnym samochodem odwiózł go do domu. Dzięki Bogu wszechmogącemu nikt go nie widział. Ale oparzenia są ciężkie i Claude pozostanie w bandażach jeszcze przez co najmniej trzy tygodnie. Niepodobieństwem byłoby ukrywanie go w domu aż do całkowitego wyzdrowienia. W służącej mogłyby zbudzić się podejrzenia, jakiś dostawca mógłby przypadkiem zobaczyć rannego, kolega szkolny mógłby odwiedzić go powodując się współczuciem.

- Zejdźże z kazalnicy, Antoni! - przerwał bratu pan Tinker.

Twarz miał bladą i wykrzywioną konwulsyjnie, oczy przekrwione, gdy zamaszystym krokiem podszedł do Toma.

- Wczoraj wieczorem - zaczął - odwieźliśmy małego łobuza samochodem do Nowego Jorku, a dziś z rana odleciał do Kalifornii.

W San Francisco ma ciotkę. Przesiedzi u niej, póki nie pozbędzie się bandaży, a później pójdzie do szkoły wojskowej i do Port Philip może nie wracać do dziewięćdziesiątego roku życia. Mnie na tym nie zależy. No i twój ojciec, jeżeli dba o swoje interesy, powinien także wyprawić cię z miasta. Rozumiesz? Najdalej, jak to możliwe, dokądś, gdzie nikt cię nie zna i nikt nie będzie o nic pytać.

- Nie martw się pan, Tinker - podchwycił Jordach. - Przed wieczorem nie będzie go w mieście.

- Tak bym radził - rzucił Tinker tonem pogróżki.

- Sprawa załatwiona - powiedział Jordach. - Mam całkiem dosyć was obydwu. Zmiatajcie.

- Istotnie, John, możemy już odejść - zabrał głos duchowny. - Z całą pewnością pan Jordach postąpi tak, jak należy.

Jednakże Tinker musiał mieć ostatnie słowo.

- Mało się tym przejmujecie. Wszyscy! - powiedział i wyszedł ze sklepu.

- Oby ci Bóg wybaczyć raczył, synu - dodał ksiądz i pośpieszył śladem brata.

Jordach zamknął drzwi na klucz i zwrócił się w stronę syna.

- Zawiesiłeś mi miecz nad głową, ty gówniarzu! - powiedział. - Oberwiesz za to.

Przykuśtykał bliżej, wziął zamach i jego pięść wylądowała na głowie Toma. Tom zachwiał się, a potem instynktownie odpowiedział ciosem na cios i uderzył ojca w skroń najpotężniejszym swoim sierpem z prawej. Jordach nie upadł, lecz pochylił się i dla osłony wyciągnął przed siebie ręce. Z niedowierzaniem spoglądał na syna, na jego niebieskie oczy

złodowaciałe od nienawiści. Wreszcie Tom uśmiechnął się, opuścił ręce.

- Śmiało. Rób swoje - rzucił z lekceważeniem. - Grzeczny synek nie uderzy więcej dzielnego tatusia.

Jordach zamachnął się znowu. Lewy policzek Toma zaczął puchnąć błyskawicznie, przybierać barwę czerwonego wina, lecz chłopiec stał bez ruchu, uśmiechał się tylko.

Jordach zwiesił bezwładnie ręce. Jeden cios, myślał mętnie. Symbol i nic więcej. Ach, ci synowie!

- Dobra. Niech będzie - powiedział. - Rudolf zabierze cię autobusem do Grafton. Stamtąd pojedziesz pierwszym pociągiem do Albany. W Albany przesiądziesz się do Ohio. Mój brat zajmie się tobą. Dziś zatelefonuję do niego. Będzie na ciebie czekał. Nie zwracaj sobie głowy pakowaniem. Nie chcę, by ktokolwiek widział, że wyjeżdżasz z walizą.

Otworzył drzwi sklepu. Tom wyszedł i w blasku popołudniowego słońca musiał zmrużyć oczy.

- Zaczekaj tutaj - rozkazał ojciec. - Zaraz przyślę twojego brata.

Nie mam chęci na żadne rodzinne sceny pożegnania.

Obrócił klucz w zamku drzwi piekarni i kulejąc wszedł do domu.

Dopiero wtedy Tom dotknął obrzmiałego i bolesnego policzka.

Jordach i Rudolf nadeszli po dziesięciu minutach. Tom stał oparty o sklepowe okno. Spokojnie patrzył na przeciwną stronę ulicy.

Rudolf przyniósł marynarkę od jedyne go garnituru Toma - zielonkawą w prążki. Garnitur kupiony dwa lata temu był obecnie za ciasny, krępował swobodę ruchów w ramionach, a dłonie właściciela sterczały z obcisłych rękawów.

Rudolf był jak gdyby oszołomiony i szeroko otworzył oczy, kiedy zobaczył siniec na policzku brata. Jordach sprawiał wrażenie chorego. Jego śniada z natury cera była teraz szarawozielona, a oczy podpuchnięte. Jeden cios, pomyślał Tom, i co się stało ze starym.

- Rudolf wie, co ma robić - powiedział ojciec. - Dostał ode mnie pieniądze. Kupi ci bilet do Cleveland. A tu masz adres stryja. - Podał mu kartkę.

Awansuję społecznie, pomyślał Tom. W nagłym przypadku mam także stryja. Mógłbym nazywać się Tinker.

- No, zmiataj - podjął Jordach. - I rozumiesz? Gęba na kłódkę.

Chłopcy ruszyli. Ojciec patrzył ich śladem i w skroni, tam gdzie go Tom uderzył, czuł nieprzyjemne pulsowanie, a widział wszystko niewyraźnie. Jego synowie oddalali się pustą, ubogą ulicą - jeden wysoki, smukły, dobrze ubrany, w spodniach z szarej flaneli i

granatowym blezerze, drugi prawie równy mu wzrostem i bardziej barczysty, lecz wyglądający dziecinnie w starej, za ciasnej marynarce. Kiedy zniknęli za najbliższym skrzyżowaniem, Jordach odwrócił się i poszedł w przeciwnym kierunku, w stronę rzeki.

Czuł, że w to popołudnie musi być sam. Do brata zatelefonuje później. Ten brat i jego żona to pataluchy. Z pewnością zaopiekują się synem kogoś, kto przepędził ich z domu i nigdy nie podziękował nawet za karty noworoczne - jedyny dowód, że dwaj ludzie, którzy niegdyś urodzili się pod jednym dachem, a obecnie mieszkają w dwu odległych częściach Ameryki, są w istocie rzeczy braćmi. Prawie słyszał, jak brat przemawia do swojej opasłej żony tym swoim niemożliwym do naśladowania niemieckim akcentem: „Co robić?

Rodzina to rodzina”.

- Co się stało, u licha? - zapytał Rudolf, gdy znaleźli się daleko od ojca.

- Nic.

- Uderzył cię - podjął Rudolf. - Starczy spojrzeć na twój policzek.

- Cios był cholerny - odparł z drwiną Tom. - Stary to pierwszy kandydat do tytułu mistrza boksu.

- Kiedy przyszedł ze sklepu, wyglądał jak chory.

- Raz go stuknąłem - wyjaśnił młodszy brat i uśmiechnął się na samo wspomnienie.

- Uderzyłeś? Jego?

- Aha. Po co człowiek ma ojca?

- Do diabła! I jeszcze żyjesz?

- A żyję!

- Nic dziwnego, że chce się ciebie pozbyć.

Rudolf pokręcił głową. Był zły na brata i nie mógł pokonać złości.

Przez niego nie pójdzie na randkę z Julią. Z chęcią wstąpiłby do jej domu znajdującego się przy pobliskiej ulicy, ale ojciec wyraźnie powiedział, że Tom ma wyjechać z miasta niezwłocznie i tak, by go nikt nie widział.

- Coś ty narozrabiał, u diabła? - podjął.

- Nic. Jestem normalnym amerykańskim chłopcem, odważnym i obdarzonym bujnym temperamentem.

- Hm... Historia musi być poważna, no nie? - ciągnął starszy brat.

- On dał mi pięćdziesiąt dolarów na koszty twojej podróży.

Kapujesz? Sprawa, która potrafi wydusić z niego pięćdziesiątaka, jest chyba niebywała.

- Zdemaskowano mnie jako japońskiego szpiega - odparł z powagą Tom.

- Ha! Cwaniak z ciebie - rzucił Rudolf i resztę drogi do dworca autobusowego odbyli bez słowa.

W Grafton wysiedli z autobusu przed stacją kolejową. Tom zasiadł w małym parku po drugiej stronie placu, Rudolf zajął się biletem dla brata. Kupił go od starego, wymizerowanego kasjera, który nad oczyma miał zielony daszek. Nie poprosił o bilet do Cleveland, bo ojciec powiedział wyraźnie, że nikt nie ma wiedzieć, jaki jest ostateczny cel podróży. Dlatego Tom miał sam zaopatrzyć się w bilet na dalszą drogę już w Albany na dworcu kolejowym.

Rudolf sięgnął po resztę i w tej chwili odczuł nagłą pokusę, by kupić bilet również dla siebie. W przeciwnym kierunku. Do Nowego Jorku. Czemu właśnie Tom ma wyzwolić się pierwszy? Oczywiście jednak takiego biletu nie kupił. Wyszedł ze stacji kolejowej i minął rząd taksówek z 1939 roku, w których drzemali kierowcy oczekujący przybycia najbliższego pociągu. Tom siedział na ławce pod drzewem. Nogi wyciągnął przed siebie w kształt litery V, obcasy zaparł w lichą trawę. Sprawiał wrażenie, że jest spokojny i nie śpieszy się wcale. Jak gdyby nie spotkało go nic złego.

Rudolf rozejrzał się, by sprawdzić, czy ich ktoś nie obserwuje.

- Masz bilet - powiedział i wręczył go bratu, który popatrzył na bilet obojętnie. - Schowaj go dobrze i pilnuj. A tu jest reszta z pięćdziesięciu dolarów. Czterdzieści dwa pięćdziesiąt. To na bilet z Albany, no i z pewnością sporo ci zostanie.

Tom wziął pieniądze, nie trudząc się ich liczeniem.

- Stary musiał srać krwią, jak to wyciągał z jakiejś tam kryjówki - powiedział. - Nie widziałeś przypadkiem, gdzie trzyma forszę?

- Nie widziałem.

- To szkoda. Mógłbym wrócić do domu w jakąś ciemną noc i wygarnąć, co się da. Chociaż i tak nie powiedziałbyś mi, gdybyś nawet wiedział. Taki już jest mój braciszek Rudi.

W tej chwili zwrócił uwagę na zajeżdżający przed stację wóz sportowy. Przy kierownicy siedziała młoda dziewczyna, obok niej porucznik lotnictwa. Wysiedli i przeszli na kryty peron stacyjny.

Tam przystanęli w cieniu i zaczęli się całować. Dziewczyna miała na sobie jasnoniebieską sukienkę, którą ciepły wiatr oblepiał na jej udach. Porucznik był wysoki i bardzo opalony, jak gdyby dłuższy czas spędził na pustyni, jego bluzę mundurową zdobiły skrzydła pilota i medal. Wyładowany worek lotniczy postawił obok siebie. Przypatrując się tej parze, Rudolf odnosił wrażenie, że słyszy ryk tysięcy samolotów, które szybują po jakimś dalekim niebie. Znowu odczuł żal, że urodził się za późno i tę wojnę stracił.

- Pocałuj mnie, kochanie - powiedział Tom. - Ja bombardowałem Tokio.

- Co się wygłupiasz? - ofuknął go brat.

- Miałeś kiedy dziwkę?

Zabrzmiało to jak echo pytania, które zadał mu ojciec w dniu, kiedy panna Lenaut dostała po twarzy.

- Nie twoja sprawa! - zirytował się Rudolf.

Tom wzruszył ramionami. Spojrzał na dziewczynę i porucznika, którzy przez szeroko otwarte drzwi weszli do wnętrza budynku stacyjnego.

- Nie moja. Słusznie. Ale pomyślałem, że pewno wyjadę na długo, więc warto by może od serca pogadać z bratem.

- Jeżeli musisz wiedzieć, to nie miałem.

- Tego byłem pewien - podchwycił Tom. - Widzisz, jest takie miejsce przy McKinley Street w naszym mieście. Nazywa się „U Alicji”. Za pięć dolarów dostaniesz tam, co trzeba. Możesz powiedzieć, że brat cię przysłał.

- Sam to załatwię na swój własny sposób.

Rudolf był o rok starszy od brata, lecz przy nim czuł się małym dzieckiem.

- Nasza kochana siostrzyczka puszcza się na całego - podjął Tom. - Wiesz o tym?

- To jej sprawa.

Rudolf był zaskoczony. Gretchen! Taka czysta, schludna, wysławiająca się ładnie! Nie mógł wyobrazić jej sobie w takiej sytuacji.

- Chcesz wiedzieć z kim?

- Nie chcę.

- Z Teodorem Boylanem - powiedział Tom. - Odpowiada ci taka klasa?

- Skąd wiesz? - Rudolf był pewien, że jego brat zmyśla.

- Raz byłem tam i podglądałem przez okno. On zeszedł do salonu goluteńki, a ten jego interes zwiślał mu do kolan, jak u konia.

Przyrządził dwie whisky no i zawołał na górę: „Gretchen! Przynieść ci whisky, czy tu zejdiesz się napić?” - Tom sepleniał trochę naśladowując głos Boylana.

- A ona zeszła? - Rudolf wolalby nie słuchać dalej.

- Nie. Pewnie dobrze czuła się tam, gdzie była.

- Wynika stąd, że nie widziałeś osoby, do której Boylan się zwracał - powiedział Rudolf uciekając się do logiki, aby bronić siostry. - Mogła to być każda inna...

- Ile dziewcząt w Port Philip ma na imię Gretchen? Znasz może taką? - zapytał Tom. - A zresztą widział ich przedtem Claude Tinker. Wozem Boylana razem jechali na wzgórze.

Spotyka się z nim przed domem towarowym Bernsteina wtedy, kiedy to niby ma być w szpitalu. Może i on został ranny na wojnie. Na wojnie hiszpańsko-amerykańskiej.

- Do diabła! - zawołał Rudolf. - Z takim starym, paskudnym dziadem!

Gretchen byłaby bardziej jego siostrą, gdyby związała się z kimś podobnym do młodego porucznika, który przed chwilą zniknął we wnętrzu stacyjnego budynku.

- Coś z tego musi mieć, no nie? - rzucił beztrasko Tom. - Możesz ją o to spytać.

- Powiedziałeś jej kiedy, że wiesz?

- Nie. Niech się puszcza w spokoju. Nie mój interes. Pod dom Boylana poszedłem tak sobie, dla śmiechu. Ple-ple, mamusi... Skąd biorą się dzieci?

Rudolf zdziwił się, że jego brat potrafi aż tak nienawidzić w swoim młodocianym wieku.

- Gdyby z nas byli Włosi czy jak tam - podjął Tom - albo amerykańscy dżentelmeni z Południa, poszlibyśmy pewno na wzgórze, żeby pomścić honor rodziny. Wyrznelibyśmy gały Boylanowi, zastrzelili drania lub coś takiego. Jestem teraz zajęty, ale jeżeli chcesz to zrobić, masz moje pozwolenie.

- Pewno zdziwisz się - odrzekł Rudolf - ale ja może coś zrobię.

- Aha, właśnie! A jeżeli chcesz wiedzieć, to ja już coś zrobiłem.

- Co? - zapytał starszy brat.

Tom spojrzał nań z wyrazem zastanowienia.

- Zapytaj ojca. On wie. No... - Dźwignął się z ławki. - Czas na nas. Powinien już być pociąg.

Przeszli na peron, gdzie porucznik i dziewczyna całowali się znowu. On może nie wrócić nigdy, pomyślał Rudolf. To mogą być ich ostatnie pocałunki. Ostatecznie wojna na Pacyfiku trwa. Są jeszcze Japończycy. Dziewczyna z płaczem całowała porucznika. On pocieszycielskim gestem głaskał jej plecy jedną ręką. Rudolf zadał sobie pytanie, czy kiedyś jakaś dziewczyna będzie płakać na stacyjnym peronie dlatego, że on się z nią rozstaje?

Pociąg nadjechał wśród kłębow wiejskiego kurzu. Tom wskoczył na stopnie wagonu.

- Słuchaj - powiedział Rudolf. - Jeżeli będzie ci potrzebne coś z domu, napisz do mnie. Postaram się dostarczyć ci to jakoś.

- Nic z domu nie będzie mi potrzebne - odburknął młodszy brat.

Jego bunt był zdecydowany. Dziecinna twarz miała taki wyraz, jak gdyby chłopiec wybierał się do cyrku.

- No... to... powodzenia - bąknął nieporadnie Rudolf.

Ostatecznie, pomyślał, to mój brat i Bóg wie, czy zobaczymy się kiedy.

- Gratuluję ci - podjął tamten. - Teraz będziesz miał dla siebie całe łóżko. Nie martw się. Nie będę ci już śmierział jak dzikie zwierzę. No i nie zapominaj o wkładaniu na noc pidżamy.

Nieustępliwy i zawzięty do samego końca, nie obejrzał się nawet, gdy wsiadł do wagonu i poszedł dalej w jego głąb.

Pociąg ruszył. Rudolf zobaczył młodego porucznika, który stał w otwartym oknie i machaniem ręki zęgnął swoją dziewczynę biegnącą wzdłuż peronu.

Pociąg nabrał szybkości. Dziewczyna stanęła i w tej chwili uprzytomniła sobie, że Rudolf na nią patrzy. Jej twarz jak gdyby się zamknęła, by publicznie nie okazywać miłości, nie okazywać troski. Dziewczyna odwróciła się i odeszła szybko, a wiatr oblepiał jej ciało fałdami letniej sukienki. Kobieta wojownika!

Rudolf wrócił do parku i zasiadł na ławce, by oczekiwać autobusu do Port Philip.

Co za cholerne urodziny!

Gretchen pakowała swoje rzeczy. Pakowała je do dużej prostokątnej walizy z tektury, pogniecionej, kropkowanej żółto i opatrzonej metalowymi okuciami. W tej walizie matka przywiozła swoją wyprawę, gdy niegdyś przybyła do Port Philip. Gretchen nie miała własnej torby podróźnej, ponieważ nigdy w życiu nie spędziła ani jednej nocy poza domem. Decyzję powzięła, gdy ojciec wrócił na piętro po rozmowie z Tomem oraz Tinkerami i oznajmił, że Tom na długi czas wyjeżdża. Wtedy wspięła się na mały stryszek, gdzie przechowywano rozmaite rzeczy niepotrzebne już, a zgromadzone w swoim czasie przez Jordachów. Tam znalazła walizę i ściągnęła do swojego pokoju. Matka widziała ją z tym łupem i musiała domyślać się, co to znaczy, lecz nic nie powiedziała. Nie rozmawiała z córką przez długie tygodnie - od czasu kiedy Gretchen powróciła o świcie z wycieczki do Nowego Jorku z Boylanem. Być może uważała, że taka rozmowa pokala ją zepsuciem, w jakim pogrąża się Gretchen.

Atmosfera kryzysu i tajonych konfliktów rodzinnych, dziwny wyraz oczu ojca, gdy wkroczył do bawialni i kazał Rudolfowi zejść z sobą na parter, wszystko to pobudziło wreszcie Gretchen do działania.

Pomyślała, że nigdy nie znajdzie pory do odejścia stosowniejszej niż to niedzielne popołudnie.

Gretchen pakowała się z rozważą. Waliza była za mała, by pomieścić wszystko, co mogłoby być jej potrzebne, więc dziewczyna wkładała różne rzeczy, by wyjąć je zaraz i zastąpić innymi, bardziej zapewne przydatnymi. Liczyła, że zdąży opuścić dom przed powrotem ojca, ale była gotowa stawić mu czoło, powiedzieć po prostu, że straciła posadę,

więc jedzie do Nowego Jorku, by poszukać innej.

Kiedy z Rudolfem wychodził z bawialni, jego twarz wyrażała jakieś dziwne otępienie - otępienie i bierność - a zatem, Gretchen sądziła, że to może jedyny dzień, w którym zdoła rozstać się z ojcem bez awantury.

Musiała przetrząsnąć prawie całą swoją bibliotekę, zanim znalazła kopertę zawierającą pieniądze. Matka prowadzi wariacką grę, myślała. Zapewne wyląduje ostatecznie w zakładzie dla umysłowo chorych. Cóż, może wtedy nauczę się jakoś jej współczuć.

Przykro jej było, że odjedzie bez kilku słów pożegnania z Rudolfem, ale zaczynało się już ściemniać, a nie chciała przecież trafić do Nowego Jorku po północy. Nie miała pojęcia, dokąd się uda, kiedy tam przybędzie. W Nowym Jorku musi być jakiś dom noclegowy dla kobiet, prowadzony może przez YWCA?* (* Young Women's Christian Association - Chrześcijańskie Zrzeszenie Młodzieży Żeńskiej.) Ostatecznie niejedna dziewczyna w gorszym miejscu spędzała swoją pierwszą noc w wielkim mieście.

Bez wzruszenia rozejrzała się po ogołocnym pokoju. Jej pożegnanie dotychczasowej siedziby było zdawkowe. Sięgnęła po kopertę nie zawierającą już pieniędzy i celowo położyła ją pośrodku swojego wąskiego łóżka.

Zwlokła walizę na podest i stamtąd zobaczyła matkę, która siedząc przy stole paliła papierosa. Resztki obiadu - gęsi szkielet, zimna kapusta, kluski zastygłe w zgalaretowanym sosie, brudne serwetki - nie sprzątnięte od tyłu godzin poniewierały się na stole, przy którym matka siedziała otępiała, zapatrzona w ścianę. Gretchen weszła do bawialni.

- Mamo - powiedziała. - Dziś jest widać dzień rozstań. Ja spakowałam się już i też odchodzę.

Mary Jordach powoli odwróciła głowę, tępo spojrzała na córkę.

- Idź do swojego absztyfikanta - wybełkotała.

Jej słownik obelżywych wyrazów datuje się z początku wieku, pomyślała Gretchen. Matka wykończyła urodzinowe wino i była zupełnie pijana. Córka pierwszy raz widziała ją w takim stanie i miała szczerą chęć parsknąć śmiechem.

- Nie idę do nikogo - podjęła. - Straciłam posadę. Wybieram się do Nowego Jorku szukać innej. Gdy urządzę się jakoś, napiszę, dam znać o sobie.

- Lafirynda!

Gretchen skrzywiła się z niesmakiem. Kto mówi „lafirynda” w roku? Rozstanie z domem wydało się jej mało ważne, niemal komiczne. Zmusiła się jednak, by pocałować matkę w policzek - szorstki, ubarwiony czerwienią podskórnych wylewów.

- Fałszywe pocałunki. Sztylety pośród róż - wybełkotała matka zapatrzona przed

siebie.

Mój Boże! Jakież książki musiała czytywać za młodu!

Mary Jordach odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Zrobiła to wierzchem dłoni - gestem, który musiał świadczyć o przemęczeniu już wtedy, gdy miała dwadzieścia jeden lat. Gretchen uprzytomniła sobie nagle, że jej matka przyszła na świat przemęczona, wyczerpana i dlatego należy traktować ją z pobłażaniem. Przez chwilę wahała się, szukała jakiegoś dowodu przywiązania do pijanej kobiety siedzącej pośród obłoków dymu przy niechlujnym stole.

- Gęś - powiedziała z lekceważeniem matka. - Kto jada gęsi.

Gretchen bezradnie rozłożyła ręce, później wyszła na podest i sięgnąwszy po walizkę zaczęła dźwigać ją do sieni. Otworzyła kluczem drzwi wejściowe i swój bagaż wypchnęła przez próg na ulicę. Słońce zachodziło właśnie, rzucało cienie barwy fioletu i indygo. Gdy sięgała po walizkę, latarnie uliczne zapłonęły cytrynowożółtym, niepotrzebnym jeszcze światłem.

Wtedy zobaczyła Rudolfa idącego szybko w stronę domu. Był sam.

Gretchen postawiła walizkę, aby zaczekać na niego. Kiedy zbliżył się, pomyślała, że jej brat wygląda elegancko i blezer doskonale na nim leży, więc pieniądze wydała właściwie.

Gdy Rudolf zauważył ją, ruszył biegiem.

- A ty dokąd wyjeżdżasz? - zapytał, kiedy zatrzymał się obok niej.

- Do Nowego Jorku - odpowiedziała swobodnie. - Pojedziesz ze mną?

- Ba! Żebym to mógł.

- Odprowadzisz damę do taksówki?

- Najpierw chciałbym z tobą pomówić.

- Nie tutaj - powiedziała spoglądając na okno wystawowe sklepu. - Stąd chcę się jak najprędzej wydostać.

- Aha. - Rudolf dźwignął walizkę. - To miejsce nie do rozmów.

Słusznie.

Rozglądając się za taksówką szli obok siebie ulicą. Gretchen mijała znajome sklepy i warsztaty i bez słów śpiewała im na pożegnanie. Garaż. Pralnia bielizny. Sklep mięsny. Jadalnia.

Drogeria. Sprzedaż farb i artykułów żelaznych. Salon fryzjerski.

Sklep warzywno-owocowy. Śpiewała wesoło piosenkę pożegnalną dla sklepów, warsztatów i znajomych nazwisk ich właścicieli, ale jej śpiew wewnętrzny brzmiał wtórną nutą żalu. Po dziewiętnastu latach nie opuszcza się beztrząsco żadnego miejsca.

Taksówkę znaleźli przy rogu drugiej przecznicy i pojechali na dworzec kolejowy. Gretchen poszła po bilet do okienka kasowego.

Rudolf usiadł na staroświeckiej walizie i pomyślał: Osiemnąstą rocznicę urodzin spędzam żegnając rodzeństwo na rozmaitych stacjach kolejowych. Był trochę urażony swobodą siostry, lekkością jej ruchów, połyskującymi w oczach ognikami radości. Ostatecznie rozstaje się nie tylko z domem. Zostawia także jego - Teodora Boylana. Czuł się z nią teraz obco, ponieważ wiedział, że Gretchen kochała się z tamtym mężczyzną. Niech się puszcza w spokoju.

Pomyślał, że warto by wynaleźć jakiś zwrot bardziej melodyjny.

Gretchen dotknęła jego ramienia.

- Pociąg będę miała dopiero za pół godziny. Chcę się napić.

Rozumiesz? Oblać dzisiejszy dzień. Oddaj walizę do przechowalni.

Pójdziemy naprzeciwko do hotelu „Port Philip”.

- Wezmę walizę - zaproponował. - Przechowalnia kosztuje dziesięć centów.

Roześmiała się swobodnie.

- Nie szkodzi. Raz pozwolimy sobie. Będziemy marnotrawić rodzinną schedę. Rozrzucać beztrąsko dziesiątki.

Chowając pokwitowanie na walizkę Rudolf zastanawiał się, czy Gretchen piła przez całe popołudnie.

Bar hotelowy był pusty. Tylko przy stoliku obok drzwi dwaj żołnierze spoglądali posepnie na kufle piwa produkowanego oszczędnościowo z powodu wojny. W sali było ciemnowo i chłodno.

Gretchen i Rudolf widzieli przez okna oświetlony już budynek dworca. Zajęli stolik w głębi, a gdy bufetowy podszedł do nich ocierając ręce fartuchem, Gretchen rzuciła pewnie:

- Proszę dwie szkockie whisky i wodę sodową.

Bufetowy nie zapytał, czy mają ukończone osiemnaście lat, ponieważ Gretchen zamówiła trunek tak, jak gdyby od dawna przywykła do pijania whisky w barach.

Rudolf wolałby coca-colę. Sądził, że to popołudnie nadmiernie obfituje w niezwykle wydarzenia.

Siostra uszczypnęła go lekko w policzek.

- Nie rób takiej ponurej miny. Przecież to dzień twoich urodzin.

- Aha - bąknął.

- Dlaczego tata wyprawił tak Toma?

- Nie wiem. Nie powiedzieli mi nic. Ani jeden, ani drugi: Wynikła jakaś historia z

Tinkerami. Tom uderzył tatę. To wiem.

- Oo!... - zdziwiła się Gretchen. - To się nazywa wielki dzień, prawda?

- Tak... Pewnie - przyznał i pomyślał, że dzień jest większy, niż sądzi Gretchen, bo nie wie przecież, co Tom mu o niej powiedział.

Bufetowy nadszedł ze szklankami i syfonem.

- Nie za dużo wody, proszę - powiedziała Gretchen.

Bufetowy strzyknął z syfonu do szklanki Gretchen.

- Ile dla pana? - zapytał trzymając syfon nad szklanką Rudolfa.

- Tyle samo - odpowiedział pewnie, jak gdyby miał ukończone osiemnaście lat.

Gretchen uniosła szklankę.

- Za pomyslność najpiękniejszej ozdoby miasta Port Philip - powiedziała - rodziny Jordachów.

Wypili. Jemu nie zasmakowała szkocka whisky. Ona śpieszyła się wyraźnie, jak gdyby chciała skończyć szybko pierwszą szklankę i przed nadejściem pociągu zdążyć zamówić drugą.

- To się nazywa rodzina, prawda? - podjęła. - Słynna Jordachowska kolekcja autentycznych mumii. Nie wsiadłbyś ze mną do pociągu? Nie przeniósł się do Nowego Jorku?

- Wiesz, że tego nie mogę zrobić.

- Ja też myślałam, że nie mogę, a przecież robię - powiedziała.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego wyjeżdżasz? Co się stało?

- Bardzo wiele - odrzekła z wahaniem i pociągnęła długi łyk. - Głównie chodzi o mężczyznę... - wyzywająco spojrzała na brata. - O mężczyznę, który chce się ze mną żenić.

- Czy to Boylan?

Szeroko otworzyła oczy pociemniałe ze zdziwienia.

- Skąd wiesz?

- Tom mi powiedział.

- A on skąd wie?

A niech usłyszysz, pomyślał Rudolf. Sama o to prosi. Wstydził się trochę i był zazdrosny, więc miał ochotę zrobić przykrość siostrze.

- Tom wybrał się raz tam, na wzgórze. Zajrzał do domu przez okno.

- I co zobaczył? - zapytała chłodno.

- Boylana. Całkiem nagiego.

Parsknęła metalicznym śmiechem.

- Biedny Tom! Nieszczęśliwy miał widok. Teddy Boylan, mój drogi, to nic godnego podziwu. A może dopisało mu szczęście? Może i mnie widział całkiem naga?

- Nie.

- Szkoda. Przynajmniej opłaciłaby mu się wyprawa. A skąd wie, że i ja tam byłam?

Pomyślał, że w jego siostrze jest jakaś surowość i dziwna skłonność do pomiatania sobą - coś, czego nigdy dawniej nie zauważył.

- Boylan pytał czy zanieść ci whisky, czy też zjeździesz napić się w salonie.

- Aha. To było wtedy. W tamtą wielką noc. Kiedyś wszystko ci szczegółowo opowiem. - Spojrzała mu w oczy. - Nie bądź taki nastroszony. Widzisz, tak się już dzieje, że siostry dorastają, zaczynają chodzić z facetami.

- Ale Boylan... Stary! Cherlak! - rzucił z goryczą.

- Ani taki stary, ani taki cherlak - odpowiedziała.

- Spodobał ci się? - zapytał oskarżycielskim tonem.

- To mi się spodobało. Spodobało mi się bardziej niż cokolwiek innego w życiu - odrzekła chłodno.

- No to czemu uciekasz?

- Bo w ostatecznym rezultacie wyszłabym za niego. A Teddy Boylan to mąż nieodpowiedni dla twojej czystej, ślicznej siostrzyczki.

Zawikłana historia, prawda? Czy twoje życie jest również zawikłane? Czy i ty kryjesz wstydliwie taką czy inną mroczną, grzeszną pasję? Może to jakaś starsza pani, którą odwiedzasz w godzinach pracy męża? Może...

- Nie kpij ze mnie - przerwał szorstko.

- Przepraszam. - Poglaskała go po rękę i skinęła na bufetowego. - Jeszcze jedną whisky - rzuciła krótko, a gdy bufetowy odszedł, mówiła dalej: - Kiedy wychodziłam z domu, mama była zalana.

Wykończyła twoje urodzinowe wino. Trochę łagodności i rozsądku przydałoby się naszej rodzinie - ciągnęła tonem takim, jak gdyby omawiała dziwactwa ludzi obcych. - Stara, pijana wariatka. Nazwała mnie lafiryndą. - Gretchen parsknęła śmiechem. - Ostatnie czułe słowo pożegnania dla dziewczątka, które odjeżdża do wielkiego miasta. Wydostań się stamtąd - zasyczała - zanim do reszty zrobią z ciebie kalekę. Wydostań się z domu, w którym nikt nie ma przyjaciół, u którego drzwi nie odzywa się nigdy dzwonek.

- Ja nie jestem kaleką - wtrącił.

- Jesteś, braciszku, zlodowaciały, zastygły. Mnie nie zbujasz!

Wszyscy przepadają za tobą, a ty nie dbasz wcale, czy cały świat będzie żył, czy zdechnie. Jeżeli to nie jest kalectwem, możesz mnie posadzić na wózku inwalidzkim.

Bufetowy nadszedł. Postawił przed Gretchen szklanke, którą napełnił wodą sodową do połowy.

- Do diabła! - wybuchnął Rudolf. - Skoro masz o mnie takie zdanie, niepotrzebnie tu siedzę. Nie jestem ci potrzebny, prawda?

- Nie. Chyba nie.

- Masz kwit na swój bagaż. - Podał jej świstek papieru.

- Dziękuję - odrzekła lodowato. - Na dziś spełniłeś swój dobry uczynek. Ja swój spełniłam także.

Zostawił ją przy barowym stoliku nad drugą whisky. Ładną twarz miała zaróżowioną, oczy płonące, te swoje pięknie wykrojone, szerokie usta wykrzywione lekko grymasem łakomej pożądlivosti i goryczy. A wszystko to zdążyło odejść o tysiąc mil od nędznego mieszkania nad piekarnią, od ojca, matki, braci, kochanka, gdyż Gretchen była już w drodze do olbrzymiego miasta, które corocznie pochłania milion dziewcząt.

Rudolf szedł wolno w kierunku domu. Oczy miał pełne łez współczucia dla samego siebie. Mają rację, sądzą go sprawiedliwie - brat, siostra - ich zdanie o nim odpowiada rzeczywistości. Musi się zmienić. Ale jak człowiek się zmienia? Co trzeba zmienić?

Geny? Chromosomy? Znak zodiaku?

Już niedaleko Vanderhoff Street przystanął. Nie mógł się jeszcze zdobyć na powrót do domu. Nie chciał zobaczyć pijanej matki a w oczach ojca wyrazu oszołomienia, wyrazu chorobliwej nienawiści.

Zawrócił w stronę rzeki. Na niebie jaśniała słabo zorza zachodnia, rzeka toczyła wody niby wilgotna stal i miała chłodny, trochę dławiący zapach piwnicy wykopanej w kredowym gruncie. Rudolf usiadł na próchniejącym moło opodal magazynu, w którym jego ojciec przechowywał łódkę. Spojrzał ku przeciwnemu brzegowi. Daleko na rzece zobaczył coś, co się poruszało. To łódka ojca sunęła z wolna pod prąd, miarowymi uderzeniami wiosł w gryzała się w wodę.

Przypomniał sobie nagle, że ojciec zabił dwu ludzi - jednego nożem, drugiego bagnetem.

Czuł się sponiewierany, zgębiony. Wypita whisky piekła go w krtani, w ustach pozostawiła smak goryczy.

Będę pamiętał te urodziny, pomyślał.

Mary Pease Jordach siedziała w bawialni pośród ciemności i gęstych oparów zapachu pieczonej gęsi. Nie zwracała na to uwagi. Nie czuła także kwaśnego odoru kapusty wystygłej na brudnym półmisku. Dwoje dziś poszło, myślała, łobuz i lafirynda. Teraz mam Rudolfa, tylko Rudolfa, roztkliwiała się po pijacku. Gdyby jeszcze sztorm wywrócił łódkę, gdzieś daleko, bardzo daleko na zimnej rzece, dzień byłby naprawdę wielki.

ROZDZIAŁ VII

Klakson zadźwięczał przed stacją obsługi. Tom wygrzebał się spod Forda, przy którym pracował w koszulce, otarł dłonie szmatą i wyszedłszy przed garaż zobaczył Oldsmobile'a stojącego przy jednej z pomp.

- Do pełna - powiedział pan Herbert.

Był to stały klient, właściciel licznych placów położonych w bliskim sąsiedztwie. Kupował je lub brał w wieczystą dzierżawę po cenach z czasu wojny, aby czekać spokojnie na powojenny okres wysokiej koniunktury. Obecnie, po kapitulacji Japonii, często odwiedzał garaż Harolda Jordacha. U niego wyłącznie zaopatrywał się w benzynę. U niego kupował czarnorynkowe bony przydziałowe.

Tom zdjął kapsel baku i naciskając przycisk zaworu węża począł wlewać benzynę. Popołudnie było upalne, więc nad cuchnącą cieczą unosiły się widoczne opary. Tom odwracał głowę, aby ich za dużo nie wdychać. Po dniu pracy miewał każdego wieczora bóle głowy.

Niemcy, medytował, stosują przeciwko mnie broń chemiczną, i to teraz, kiedy skończyła się wojna. O swoim stryju myślał jako o Niemcu, zupełnie inaczej niż o ojcu. Oczywiście w grę wchodziły tu różne rzeczy - akcent, dwie jasnoblond córki, które na święta ubierano w rzekomo ludowe, rzekomo bawarskie stroje, ciężkie posiłki składające się z kiełbasy, wędzonki wieprzowej, kwaszonej kapusty, patefon wyśpiewujący na cały dom Wagnera i pieśni Szuberta, ponieważ pani Jordach uwielbiała muzykę. Tante Elza!

Życzyła sobie, żeby Tom tak ją nazywał.

Tom był sam w garażu. Coyne, mechanik, chorował w tym tygodniu, a jego drugi pomocnik został wezwany dokądś przez klienta.

Dochodziła druga po południu. O tej porze Harold Jordach bywa w domu na lunchu. Sauerbratw mit Spetzli i trzy butelki piwa, a później drzemka na szerokim łóżku u boku spasionej żony. Obydwoje Jordachowie nie przepracowywali się, aby uniknąć przedwczesnych ataków serca. Tom był kontent, że służąca dała mu dwie kanapki i trochę owoców i że lunch zje w garażu. Im mniej widywał stryja i jego rodzinę, tym bardziej mu to odpowiadało. Wystarczy, że musi mieszkać w tamtym domu w maleńkiej izdebce na facjacie, gdzie przez całe noce ocieka potem wśród żaru letniego słońca, nagromadzonego za dnia pod dachem. Piętnaście dolarów tygodniówki.

Stryj Harold robi dobry interes na pewnym krzyżu, który spłonął w Port Philip.

Trochę benzyny przelało się ze zbiornika. Tom powiesił węża, zakręcił kapsel i starannie wytarł tylny zderzak. Obmył też przednią szybę i od pana Herberta zainkasował

cztery dolary trzydzieści, plus dziesięć centów napiwku.

- Dziękuję - powiedział z poprawnie udaną wdzięcznością i przez chwilę patrzył na odjeżdżający samochód.

Przedsiębiorstwo Jordacha znajdowało się na krańcach miasta, więc obsługiwało także znaczny ruch tranzytowy. Tom wszedł do kantoru, wystukał przychód na kasie rejestracyjnej i pieniądze włożył do szufladki. Zakończył oliwienie Forda i chwilowo nie miał nic do roboty, gdyby jednak stryj był na miejscu, z pewnością wymyśliłby coś dla niego. Pewno kazałby mu sprzątać toalety lub czyścić lśniące chromowane części wozów, które stoją na parkingu, gdzie można kupić i sprzedać używane samochody. Tom pomyślał od niechcenia, że zamiast tego lepiej byłoby wyczyścić kasę rejestracyjną i zwiać dokądś z pieniędzmi. Nacisnął odpowiedni klawisz i zajrzał do szufladki, która się otwarła. Wraz z czterema trzydzieści od pana Herberta było tam dokładnie dziesięć dolarów i trzydzieści centów. Stryj Harold zabrał poranne wpływy, gdy wybierał się na lunch do domu. Zostawił tylko pięć jednodolarowych banknotów i dolara drobnymi - na wypadek, gdyby trzeba było wydać komuś resztę. Stryj Harold został właścicielem garażu, stacji obsługi, „Kupna i Sprzedaży Używanych Samochodów” oraz przedstawicielstwa firm motoryzacyjnych prosperującego w mieście nie dlatego, że lekkomyślnie obchodził się z pieniędzmi.

Tom nie jadł jeszcze, więc wziął torbę ze śniadaniem, wyszedł przed kantor i usadowiwszy się w cieniu na kulawym, wspartym o ścianę krześle począł obserwować ruch na szosie. Widok był raczej przyjemny. Różnobarwne proporczyki zachwalające niebywałe okazje, które powiewały nad używanymi samochodami, wystawionymi na parkingu, nasuwały myśl o porcie morskim. Dalej, po przeciwległej stronie szosy, rozciągały się za składem drewna brunatne i zielone plamy farmerskich gruntów. Upał nie dokuczał zbytnio, gdy siedziało się spokojnie, a sama nieobecność stryja Harolda przepelniała Toma miłym błogostanem.

Ogólnie biorąc, nieźle się czuł w tym mieście. Elysium w stanie Ohio było mniejsze niż Port Philip, lecz znacznie bardziej zamożne. Nie widziało się tutaj slumsów ani oznak upadku, które w rodzinnym mieście stanowiły dla Toma naturalną część środowiska.

Niedaleko znajdowało się małe jezioro, a nad nim dwa czynne latem hotele i domki campingowe należące do ludzi, którzy przyjeżdżali z Cleveland. W rezultacie samo Elysium sprawiało wrażenie czegoś w rodzaju miejscowości wypoczynkowej. Miało porządne sklepy, restauracje, odbywały się tu także zawody jeździeckie i regaty małych żaglówek na jeziorze. Zdawać się mogło, że wszyscy mają tu pieniądze, co w porównaniu z Port Philip stanowiło nie lada różnicę.

Tom sięgnął do torby i wydobyl kanapkę zawiniętą porządnie w papier pergaminowy. Bekon z sałatą i pomidorem między dwiema cienkimi kromkami świeżego, żytniego chleba. Ostatnimi czasy Klotylda, służąca Jordachów, robiła dlań wymyślne kanapki, każdego dnia inne, zamiast grubych pająd chleba z kiełbasą, którymi musiał się posilać w ciągu pierwszych tygodni. Był trochę zawstydzony spoglądając na ładną, kawiarnianego typu kanapkę w swoich palcach ubrudzonych smarami i zakończonych czarnymi paznokciami. Dobrze chociaż, że Klotylda nie widzi go przy spożywaniu jej darów.

Przyjemna była ta dwudziestopięcioletnia Kanadyjka francuskiego pochodzenia, która harowała od siódmej rano do dziewiątej wieczorem, a wolne miała tylko co drugie niedzielne popołudnie.

Jej smutne, ciemne oczy, czarne włosy, śniada cera sprawiały wrażenie, że na drabinie społecznej zajmuje szczebel nieporównanie niższy niż agresywnie jasnowłosi Jordachowie. Jak gdyby narodziła się przeznaczona na ich sługę.

Klotylda zaczęła również zostawiać wieczorami coś do jedzenia dla Toma, gdy po kolacji wychodził do miasta na swoją zwykłą włóczęgę.

Stryj Harold i Tante Elza nie potrafili utrzymać go w domu, tak jak nie potrafili tego rodzice. Noc budziła w nim niepokój. Ale nie robił nic złego. Czasami grywał w piłkę przy świetle latarń w parku miejskim albo szedł do kina, a później na wodę sodową. Udało mu się też poderwać kilka dziewczyn. Nie nawiązywał przyjaźni, aby nie narażać się na kłopotliwe pytania o Port Philip, starał się być uprzejmy dla wszystkich i od początku nie wdał się w bójkę ani razu. Chwilowo miał dosyć zmartwień i kłopotów. Ale ogólnie biorąc czuł się nieźle. Samo uwolnienie się od rodziców uważał za niemałą korzyść, a na nerwy jego wpływał kojąco fakt, że nie dzieli pokoju i łóżka z bratem Rudolfem. No i nie musiał chodzić do szkoły - to także coś znaczyło. W garażu pracował bez przykrości, chociaż stryj Harold, który biadał wciąż i zrzędził, był dlań nie lada utrapieniem. Tante Elza dbała o niego i ustawicznie podtykała mu szklanki soku pomarańczowego, gdyż zdawało się jej, że smukła figura Toma to dowód niedożywienia. Stryj i jego żona byli patałachami, ale chęci mieli raczej dobre, a ich córeczki nie wchodziły Tomowi w drogę.

Obydwoje Jordachowie nie wiedzieli, czemu został wyprawiony z Port Philip. Stryj próbował go wybadać, ale Tom tłumaczył się mętnie.

Mówił - zresztą zgodnie z prawdą - że w szkole miał bardzo złe wyniki, więc ojciec sądził, że skorzysta tylko, gdy z dala od domu będzie sam zarabiał na życie. Stryj Harold doceniał zbawienne skutki moralne zarabiania na życie z dala od domu. Dziwił się tylko, że chłopiec nigdy nie otrzymuje listów od rodziny i że po pierwszej rozmowie telefonicznej, gdy

w ów niedzielny wieczór brat zawiadomił go o przyjeździe Toma, nie było żadnych dalszych wiadomości z Port Philip. Harold Jordach był człowiekiem wysoce rodzinnym, przesadnie czułym dla córek i hojnie obsypującym podarunkami żonę, której pieniądzom zawdzięczał w pierwszym rzędzie swoje poczesne miejsce w Elysium. Rozmawiając z Tomem o Akselu Jordachu stryj Harold wzdychał i ubolewał nad charakterem brata.

- Myślę, Tom - powiedział pewnego razu - że wszystkiemu winna jego rana. Aksel strasznie się nią przejął i ona dożyła na jaw wszystkie jego złe cechy. Jak gdyby przed nim nikt nigdy nie był ranny.

Jeden pogląd podzielał z Akselem Jordachem. Był zdania, że Niemcy są infantylni i to właśnie popycha ich wciąż do prowadzenia wojen.

„Niech im zagra orkiestra, a zaraz maszerują - mawiał. - I co w tym zabawnego? Uganiać się po deszczu, słuchać wrzasków sierżanta, spać w błocie zamiast z żoną w wygodnym łóżku, narażać się na kule z broni jakichś ludzi całkiem nieznanymi, no a na koniec, jeżeli człowiek ma szczęście i wyjdzie cało, zostać w starym mundurze i nawet bez nocnika, do którego można się wysikać. Wojny są dobre dla wielkich przemysłowców, jakichś Kruppów, co fabrykują działa i okręty wojenne, ale dla szarego człowieka... - wzruszał ramionami.

- Stalingrad! Po co to komu było?” Mimo całej swojej niemieckości unikał starannie wszelkich organizacji Amerykanów niemieckiego pochodzenia. Odpowiadała mu własna pozycja, odpowiadało miejsce zamieszkania, więc nie myślał zaplątywać się w jakieś kompromitujące akcje. „Nie mam nic przeciwko nikomu - brzmiała jego podstawowa zasada polityczna. - Nie mam nic przeciw Polakom ani Francuzom, Anglikom czy Żydom, przeciw nikomu. Nawet Rosjanom.

Każdy, kto zechce, może się do mnie zgłosić, by kupić używany wóz albo dziesięć galonów benzyny, a jeżeli płaci dobrymi amerykańskimi pieniędzmi, uważam go za przyjaciela”.

Tom żył spokojnie w domu Harolda Jordacha. Przestrzegał obowiązujących tam reguł, chodził własnymi drogami i chociaż drażniła go czasami stryjowska niechęć do najkrótszego odpoczynku w godzinach pracy, był raczej wdzięczny za azyl, którego mu udzielono. Zdawał sobie sprawę, że wszystko to jest chwilowe. I tak zwieje wcześniej lub później. Na razie jednak nie ma do czego się śpieszyć.

Zamierzał właśnie sięgnąć do torby po drugą kanapkę, gdy spostrzegł nadjeżdżający samochód sióstr-bliźniaczek - Chevrolet, model 1938. Wóz zajechał przed pompę benzynową i wtedy Tom zorientował się, że ma przed sobą tylko jedną z nich. Nie miał pojęcia, czy to

może być Ethel, czy Edna. Obrabiał obie - jak znakomita większość chłopców z miasta - lecz nie potrafił odróżnić jednej od drugiej.

Wóz stanął krztuszając się i prychając. Rodzice bliźniaczek byli nadziani forszą, lecz uważali, że taki stary grat wystarczy szesnastolatkom, które w życiu nie zarobiły centa.

- Cześć, bliźniaczka - powiedział Tom unikając przezornie omyłki.

- Cześć, Tom.

Bliźniaczki były ładne i pięknie opalone. Miały proste kasztanowate włosy, zgrabne, jędrne pupki i skórę wyglądającą zawsze tak, jak gdyby dziewczyny dopiero co wyszły z górskiego potoku. Przyjemnie byłoby pokazać się z takimi, gdyby człowiek nie wiedział, że puszczają się z wszystkimi chłopcami z Elysium.

- Powiesz, jak mi na imię? - podjęła bliźniaczka.

- A nie powiedziałaabyś sama?

- Jeżeli nie powiesz, gdzie indziej kupię benzynę.

- Wielkie rzeczy. Przecież to pieniądze mojego stryja.

- Chciałam zaprosić cię na piknik - powiedziała. - Dziś wieczorem chcemy smażyć kiełbaski nad jeziorem. No i mamy trzy skrzynki piwa. Nie zaproszę cię, jeżeli nie powiesz, jak mi na imię.

Tom uśmiechnął się, aby zyskać na czasie. Zajrzał do wnętrza sportowego wozu. Niewątpliwie bliźniaczka jechała popływać w jeziorze, gdyż obok niej leżał na siedzeniu biały kostium kąpielowy.

- Wyglądałem się tylko, Ethel - powiedział. - Od początku wiem, że to ty.

Ethel miała biały kostium kąpielowy, Edna niebieski.

- Daj trzy galony za to, że trafnie zgadłeś.

- Wcale nie zgadłem. Głęboko wryłaś mi się w pamięć.

- Aha. Właśnie! - Spojrzała na garaż i zmarszczyła nos z niesmakiem. - Co za sens pracować w tej wilgotnej norze? Taki chłopak jak ty na pewno znalazłby coś lepszego, gdyby rozejrzał się trochę. Chociażby w jakimś biurze.

Kiedy poznał ją, powiedział, że ma dziewiętnaście lat i skończył szkołę średnią. Sama podeszła do niego nad jeziorem, gdy w pewne sobotnie popołudnie przez piętnaście minut popisywał się na trampolinie.

- Dobrze mi tutaj - powiedział teraz. - Nie nadaję się do siedzenia przy biurku. Wolę być pod gołym niebem.

- Mnie to powiadasz! - parsknęła śmiechem.

Nieraz kochali się w lesie na kocu, który przechowywała w zamkniętym siedzeniu

wozu sportowego. Obrabiał również jej siostrę Ednę - w tych samych zakamarkach leśnych i na tym samym kocu, tyle że w inne wieczory. Bliźniaczki przejawiały solidarność rodzinną.

Rade dzieliły wszystko między sobą, i to dzieliły w równych częściach. Tom ze względu na nie chętnie pozostawał w Elysium i pracował u stryja Harolda. Nie wiedział tylko, co będzie robił zimą, gdy śnieg pokryje lasy.

Zakrył kapturkiem kuferek i powiesił węża. Ethel podała mu banknot jednodolarowy, lecz zapomniała o kuponach.

- Co? - powiedział. - A gdzie kupony?

- Nie ma. - Uśmiechnęła się. - Wszystkie wyszły. To niespodzianka dla ciebie.

- Trudno. Bez nich nie da rady.

Zrobiła nadęsaną minę.

- Po tym, co było między nami? Myślisz, że Antoniusz żądał kuponów benzynowych od Kleopatry?

- Kleopatra nie kupowała od niego benzyny.

- Co za różnica? Mój stary zaopatruje się w kupony u twojego stryja. Kapujesz? Z kieszeni do kieszeni. Ostatecznie jest wojna.

- Już się skończyła.

- Bardzo niedawno.

- Niech będzie. Daruję ci, bo jesteś taka śliczna.

- Twoim zdaniem jestem ładniejsza niż Edna?

- O pełne sto procent.

- Dobrze. Zaraz jej to powtórzę.

- Po co? - obruszył się. - Czy warto robić siostrze przykrość.

Nie życzył sobie, by jego harem zmniejszył się o połowę z przyczyny obiegu niepotrzebnych informacji.

Dziewczyna zerknęła w stronę pustego garażu.

- Myślisz, że ludzie robią to kiedy w garażu? - zapytała.

- Nie śpiesz się, Kleopatro. Poczekaj do wieczora.

- Miło byłoby raz spróbować - zachichotała. - Masz klucz.

- Postaram się. Kiedyś go zdobędę.

Teraz już wiedział, co będzie robił zimą.

- A może zostawisz budę i pojedziesz ze mną nad jezioro? Znam miejsce, gdzie można kąpać się nago.

Rozkosznie przeciągnęła się na poduszce z popękanej skóry.

Zabawne, pomyślał Tom, że w jednej rodzinie są aż dwie takie gorące dziwki. Co też myślały sobie ich rodzice, kiedy w niedzielny rano ruszają z córeczkami do kościoła.

- Jestem człowiekiem pracy, nieodzownym w swoim fachu - powiedział. - Dlatego właśnie nie powołano mnie do wojska.

- Szkoda. Może byłbyś kapitanem - uśmiechnęła się Ethel. - Z przyjemnością rozbierałabym kapitana. Tak jeden mosiężny guzik po drugim. No i odczepiłabym ci szablę.

- Zmiataj stąd, zanim stryj wróci i zapyta, czy wziąłem od ciebie kupony.

- Gdzie spotkamy się wieczorem? - zapytała uruchamiając silnik.

- Przed biblioteką. O ósmej trzydzieści. Pasuje?

- O ósmej trzydzieści, kochanie. Teraz będę leżeć na słońcu, myśleć o tobie przez całe popołudnie i dyszeć.

Pożegnała go gestem ręki i odjechała.

Tom usiadł w cieniu na kulawym krześle. Zastanawiał się przez chwilę, czy jego siostra Gretchen rozmawia w podobny sposób z Teodorem Boylanem.

Sięgnął do torby po drugą kanapkę i rozwinął ją bez pośpiechu. Na kromce chleba leżała złożona we dwoje kartka. Rozwinął ją i przeczytał dwa słowa skreślone ołówkiem, czytelnym, szkolnym charakterem pisma: „Kocham cię.” Z ukosa zerknął na liścik. Dobrze znał to pismo. Klotylda sporządzała codziennie listę zamówień telefonicznych u dostawców i ten rejestr kładła zawsze w tym samym miejscu na kuchennej półce.

Tom gwizdnał przez zęby.

- „Kocham cię” - przeczytał na głos.

Niedawno skończył szesnaście lat, ale głos miał jeszcze po chłopięcu wysoki. Kobieta dwudziestopięcioletnia, z którą nie zamienił nigdy dwu słów! Starannie złożył i schował do kieszeni kartkę, a następnie - zanim zabrał się do suto nasączonej majonezem kanapki z bekonem, sałatą i pomidorem - długo patrzył przed siebie i obserwował ruch samochodów na szosie.

Wiedział, że wieczorem nie wybierze się nad jezioro na żaden głupi piknik.

„Piątka znad Rzeki” grała melodię z „Twój czas jest moim czasem”, a Rudolf wykonywał solo na trąbce i wkładał w to wszystko, na co go było stać, ponieważ Julia znajdowała się na sali - sama siedziała przy stoliku, przyglądała mu się i słuchała jego muzyki.

„Piątka znad Rzeki” to nazwa zespołu, w którym Rudolf grał na trąbce, Kessler na kontrabasie, Westerman na saksofonie, Dailay na perkusji, a Flannery na klarncie. Rudolf

wymyślił tę nazwę, bo wszyscy chłopcy mieszkali w Port Philip nad rzeką Hudson, no i był zdania, że brzmi ona artystycznie i w miarę profesjonalnie.

Ostatnio zespół został zaangażowany na trzy tygodnie - po sześć wieczorów tygodniowo - do pewnego lokalu położonego przy szosie za granicami Port Philip. Lokal nosił nazwę „Jack i Jill”, a mieścił się w wielkiej drewnianej szopie, którą nogi tancerzy wprawiały w drzenie. Oprócz długiego bufetu znajdowało się tam mnóstwo stolików i większość publiczności pijała tylko piwo. W sobotnie wieczory wymagania co do ubioru były łagodniejsze. Chłopcy przychodzili w koszulach rozpiętych pod szyją, a sporo dziewcząt występowało w spodniach. Niektóre z nich przychodziły po kilka, bez męskiej asysty, czekały, by je ktoś poprosił do tańca albo też tańczyły z towarzyszkami. Dla zespołu nie równało się to występom w „Piaza” przy Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy w Nowym Jorku, lecz finansowo sprawa przedstawiała się nieźle.

Grając solo na trąbce Rudolf zauważył z przyjemnością, że Julia odmówiła poruszeniem głowy, gdy podszedł i poprosił ją do tańca jakiś chłopiec w zakiecie i krawacie - niewątpliwie pierwszorzeczny student.

Rodzice pozwolili Julii wracać późno do domu w sobotnie wieczory, ponieważ ufali Rudolfowi. Był urodzonym wielbicielem w guście rodziców. Dlaczego? Bez wyraźnego powodu. Gdyby jednak Julia dostała się w szpony popijającego mocno jednorocznego studenta, który struga waźniaka i okazuje swoją wyższość używając żargonu z jakiegoś college'u - Deerfield czy Choate - cóż, wtedy mogłaby popaść w niebywałe tarapaty. Jej odmowne poruszenie głową było korzystną obietnicą na przyszłość, symbolem stałego związku, nie gorszym niż pierścionek zaręczynowy.

Rudolf zagrał trzy takty przyjęte w zespole jako zapowiedź piętnastominutowej przerwy, odłożył trąbkę i skinieniem ręki zaproponował Julii, by wyszła z nim odetchnąć świeżym powietrzem.

Wszystkie okna pootwierano, ale i tak w szopie było gorąco i wilgotno niczym na dnie rzeki Kongo.

Kiedy pod drzewami szli w stronę placu, na którym stały zaparkowane samochody, Julia ujęła go za rękę. Jej dłoń była sucha, ciepła, miękka i w uścisku jego palców niewypowiedziane droga... Trudno uwierzyć doprawdy, iż można doznawać tak wielu skomplikowanych wrażeń tylko dlatego, że ścisną się rękę dziewczyny!

- Kiedy grałeś to solo - powiedziała - siedziałam przy stoliku cała rozdygotana. Zwijałam się w sobie, jak ostryga pokrapiana cytryną.

Roześmiał się z tego porównania. Julia też parsknęła śmiechem.

Dysponowała całym arsenalem osobliwych zwrotów ilustrujących jej rozmaite nastroje. „Czuję się jak ścigacz” - gdy usiłowała go dopędzić w miejskim basenie pływackim. „Czuję się jak ciemna strona księżycy”, gdy musiała pozostawać w domu i zmywać naczynia, wobec czego nie przyszła na randkę.

Przeszli cały parking, aby znaleźć się możliwie najdalej od okalającej szopę werandy, na której tancerze zażywali świeżego powietrza. Rudolf otworzył drzwi jednego ze stojących tam wozów, by Julia mogła wśliznąć się do środka. Sam wsiadł za nią i drzwi zamknął starannie. W ciemności zwarli się pocałunkiem i całowali długo, spleceni gorącym uściskiem. Jej usta były peonią, miętowym cukierkiem, a skóra na szyi pod dotykiem jego palców - skrzydłem motyla. Całowali się zawsze, ilekroć nadarzała się sposobność, lecz nigdy nie robili nic więcej.

Upojony, szalony sunął i błędził pośród rozprysków z fontanny, pośród dymów i chmur. Był trąbką, która wygrywa dziwną, swoją własną melodię. Cały był miłością i samą tylko miłością. Powoli odjął usta od jej warg i począł całować szyję Julii, a ona odchyliła głowę do tyłu na oparcie samochodowego fotela.

- Kocham cię - powiedział i doznał radosnego wstrząsu, jak gdyby te dwa słowa wymówił po raz pierwszy.

Ona mocno przyciągnęła jego głowę do swojej szyi - przyciągnęła gładkimi, zadziwiająco silnymi rękami wytrawnej pływaczki, pachnącymi niby morele latem.

Nagle otwarły się drzwi samochodu i zabrzmiał męski głos:

- A cóż, u diabła, wy tutaj robicie?

Rudolf wyprostował się, objął Julię opiekuńczym uściskiem.

- Rozmawiamy o bombie atomowej - powiedział chłodno. - A pan co myślał?

Umarłby raczej, niż zdradził wobec Julii ślad zakłopotania.

Obok wozu stał ktoś, kogo w ciemnościach nie dałoby się rozpoznać.

Niespodziewanie roześmiał się głośno.

- Wystarczy zadać głupie pytanie - powiedział - by otrzymać równie głupią odpowiedź.

Cofnął się trochę i stanął w bladej smudze światła jednej z latarni rozmieszczonych pomiędzy drzewami. Rudolf poznał go. Jasne, gładko przyczesane włosy. Para krzaczastych, płowych brwi.

- Bardzo przepraszam, Jordach - powiedział Boylan wesoło i swobodnie.

Zna mnie, pomyślał Rudolf. Skąd?

- To mój wóz - podjął Boylan - ale proszę, czujcie się jak we własnym domu. Nie

chciałbym przeszkadzać artyście w jego krótkich chwilach odpoczynku. No i słyszałem, że damy przepadają za młodymi ludźmi grywającymi na trąbce.

Rudolf wolałby to usłyszeć w innych warunkach i oczywiście z innych ust.

- Nie. Nie miałem zamiaru odjechać - ciągnął Boylan. - Tak naprawdę chciałbym się czegoś napić, a więc poczytam sobie za zaszczyt, jeżeli, gdy skończycie, zechcecie obydwójce spotkać się ze mną przy bufecie, aby kropnąć po jednym do poduszki.

Złożył ledwie widoczny ukłon, zamknął cicho drzwi wozu i odszedł przez plac parkingowy.

Julia siedziała przy drzwiach po przeciwnej stronie sztywne, mocno zażenowana.

- On nas zna - powiedziała niepewnym tonem.

- Mnie zna - poprawił Rudolf.

- Co to za jeden?

- Nazywa się Boylan. Z tych wielkich Boylanów.

- Ho! Ho!

- Właśnie! - podchwycił. - Ho! ho! Jeżeli chcesz odjechać zaraz, autobus będzie za kilka minut.

Próbował chronić ją do końca. Przed czym? Nie bardzo sam wiedział.

- Nie - odpowiedziała innym już, wyzywającym tonem. - Ja nie mam nic do ukrywania. A ty?

- Ja również.

- No to jeszcze jeden pocałunek.

Przysunęła się do niego, wyciągnęła ręce. Ale ten pocałunek był nieciekawym - daleki od poetyckich uniesień.

Wysiedli z wozu i ruszyli w stronę szopy. Kiedy tam weszli, zobaczyli Boylana, który stał przy końcu bufetu odwrócony plecami do lady, wsparty o nią łokciami. Spozrzegł ich również i niewątpliwie poznał, bo z uśmiechem dotknął skroni koniuszkami palców.

Rudolf odprowadził Julię do jej stolika i zamówił dla niej napój imbirowy. Później wrócił na podium dla orkiestry i zaczął wybierać nuty do następnego kawałka.

Wreszcie o drugiej nad ranem, orkiestra odegrała „Dobrej nocy, piękne panie” i wzięła się do pakowania instrumentów, a ostatni goście zaczęli schodzić leniwie z parkietu. Boylan stał nadal przy bufecie. Niewysoki, pewien siebie jegomość w spodniach z szarej flaneli i lnianym blezerze. Niedbałością stroju wyróżniał się wśród białych koszul, paradnych bluz mundurowych żołnierzy i świątecznych, granatowych garniturów, w jakich przychodzili tu młodzi robotnicy.

Niedbałym krokiem ruszył z miejsca, kiedy Julia i Rudolf schodzili z podium.

- I co, dzieci? - zapytał, gdy spotkały się ich drogi. - Macie transport do miasta?

Rudolfowi nie przypadły do gustu te „dzieci”.

- Cóż - odpowiedział - jeden z kolegów jest wozem, w który zwykle wbijamy się wszyscy.

Gdy zespół miewał występy, Buddy Westerman pożyczał od ojca familijny samochód i na jego dachu lokowano kontrabas oraz bębny.

Jeżeli chłopcy mieli z sobą jakieś dziewczęta, odstawiali je najpierw do domów, a później jechali do otwartej przez całą noc jadłodajni „As”, aby po ciężkiej pracy pokrzepić się hamburgerami.

- Ze mną będzie wam wygodniej - powiedział Boylan.

Podał ramię Julii i powiodł ją w kierunku drzwi. Buddy Westerman spostrzegł, że wychodzą, więc uniósł brwi i rzucił im pytające spojrzenie.

- Trafiła się nam okazja do miasta - wyjaśnił mu Rudolf. - Twój autobus i tak jest przepełniony.

Był w tym jakiś cień zdrady.

Boylan wyjechał zręcznie z parkingu na szosę do Port Philip. Julia siedziała pomiędzy nimi na przednim siedzeniu i Rudolf zdawał sobie sprawę, że łydka Boylana lgnie do jej łydki. To samo ciało lgnęło również do nagiego ciała jego siostry. Czuł się trochę nieswojo, myśląc, że oto siedzą stłoczeni w samochodzie, w którym przed ledwie dwiema godzinami on całował się z Julią. Ale postanowił nie dać nic poznać po sobie i udawać starego bywalca.

Odetchnął z ulgą, gdy Boylan zapytał Julię o adres i powiedział, że najprzód ją odwiedzie. Przynajmniej nie będzie musiał urządzić sceny, by nie dopuścić do pozostania Julii sam na sam z tym gościem. Julia była pokorna, jakaś niepodobna do siebie, gdy siedząc pomiędzy nimi patrzyła prosto na jezdnię, która umykała w blasku reflektorów Buicka.

Boylan prowadził szybko i bardzo dobrze. Wspaniałym łukiem, niby na wyścigach, wyprzedzał inne wozy. Rudolf był zbity z tropu, ponieważ nie mógł nie podziwiać go jako kierowcy, a dopatrywał się w tym cienia nielojalności.

- Ładnie graliście tam, chłopcy - powiedział Boylan.

- Dziękuję - odparł Rudolf. - Gralibyśmy lepiej przy jakiej takiej wprawie i nowej aranżacji.

- Gładko trzymacie rytm - podjął tamten, a Rudolf pomyślał: Co za laik! - Kiedy was słucham, żałuję, że moje taneczne dni należą do przeszłości.

Rudolf - nie bez zadowolenia - przyznał mu w duchu słuszość. Był zdania, że tańczący ludzie po trzydziestce są nie tylko komiczni, lecz również bezwstydni. Znowu zrobiło mu się przykro, że musi pochwalać coś, co robi lub mówi Teodor Boylan. Ale pocieszył się myślą, że ten gość nie popisывał się tańcem z Gretchen, nie wystawiał na pośmiewisko jej i siebie. Najgorsi są starsi panowie tańczący z młodymi dziewczętami.

- A pani, panno... - Boylan zrobił pauzę.

- Julia mi na imię - podchwyciła ona.

- Julia... I co dalej?

- Julia Hornberg - odrzekła niechętnie, bo była drażliwa na punkcie własnego nazwiska.

- Hornberg? Czy znam pani ojca?

- Niedawno sprowadziliśmy się do Port Philip.

- Może pracuje u mnie?

- Nie!

Była to chwila triumfu. Przecież pan Hornberg mógłby być jeszcze jednym wasalem. Facet nazywa się Boylan, ale, jak widać, nie wszystko i nie wszyscy są w zasięgu jego ręki.

- A pani, panno Julio, jest również muzykalna? - zapytał Boylan.

- Nie! - odparła nieoczekiwanie, bo chciała utrudnić mu rozmowę możliwie najbardziej, lecz on wcale nie zwrócił na to uwagi.

- Śliczna z pani dziewczyna - podjął. - Kiedy patrzę na panią, jestem szczęśliwy, że moje dni całowania nie należą do przeszłości wraz z tanecznymi dniami.

Stary, paskudny zbereźnik! - pomyślał Rudolf. Nerwowo zaczął bębnić palcami po futerale na trąbkę i miał szczerą ochotę poprosić Boylana, aby zatrzymał wóz, no i niezwłocznie wysiąść wraz z Julią. Jednakże spacer do miasta trwałby długo i przed domem Julii znaleźliby się nie wcześniej niż o czwartej nad ranem.

Zanotował w myśli kolejną przykrą cechę swojego charakteru.

Kierował nim zmysł praktyczny tam, gdzie do głosu winien dochodzić honor.

- A ty, Rudolfie... Na imię ci Rudolf, prawda?

- Tak.

Z ust jego siostry informacje płynęły widać niczym woda z kranu.

- A ty, Rudolfie, chcesz zostać zawodowym muzykiem i grać na trąbce?

- Nie. Nie jestem aż tak dobry.

- Rozsądne słowa - pochwalił go Boylan. - A zresztą to psie życie.

No i trzeba się zadawać z hołotą.

- Nie zgodziłbym się z tym - zaprotestował, bo nie mógł przecież pozwolić, by ten gość był stale górą. - Nie zaliczylibym do hołoty ludzi takich jak Benny Goodman albo Paul Whiteman, albo Louis Armstrong.

- Kto wie? - powiedział Boylan.

- Przecież to wielcy artyści - obruszyła się Julia.

Boylan roześmiał się krótko.

- Jedno nie wyklucza drugiego, moje dziecko - zakończył z nią dyskusję i zwrócił się do Rudolfa. - Więc jakie masz plany na przyszłość?

- To znaczy na dalszy ciąg dzisiejszego wieczora?

Dobrze wiedział, że tamten miał na myśli jego karierę życiową, ale nie chciał udzielać zbyt wielu informacji. Wszelkie wiadomości tego rodzaju - odnosił mgliste wrażenie - mogą być zapamiętane i w swoim czasie wykorzystane przeciwko niemu.

- Mam nadzieję, że dalszy ciąg dzisiejszej nocy spędzisz w domowym łóżku i wyśpisz się porządnie, na co z pewnością wielce sobie zasłużyłeś - odrzekł Boylan, a Rudolf nastroszył się trochę słuchając tak wymyślnej mowy; co za oszukańczy słownik; angielszczyzna z pułapkami. - Nie. Miałem na myśli twoje plany życiowe.

- Jeszcze nie wiem. Najpierw będę musiał pójść do college'u.

- Aa... Wybierasz się do college'u?

Ton głosu Boylana zabrzmiał zdziwieniem i nutą jak gdyby lekceważącą.

- Czemu nie miałby pójść do college'u? - obruszyła się Julia. - Zawsze był uczniem z oceną A, no i ostatnio został przyjęty do koła „Arista”.

- Naprawdę? Bardzo przepraszam za ignorancję, ale co to jest koło „Arista”?

- Takie sobie stowarzyszenie naukowe - uprzedził Rudolf Julię, bo nie chciał być bronionym na dziecinną modłę. - Nic szczególnego.

Jeżeli ktoś potrafi czytać i pisać, to właściwie...

- Doskonale wiesz, że wymagania są znacznie wyższe - podchwyciła Julia z miną niezadowoloną i urażoną. - „Arista” to najzdolniejsi uczniowie z całej szkoły.

- Oczywiście, panno Julio, oczywiście - powiedział gładko Boylan.

- Jestem przekonany, że jest to wyróżnienie rzeczywiście znaczne.

- I ma pan słuszność - rzuciła zawzięcie.

- Rozumiem. Rudolf chciał być skromny. To męska cecha. Wszyscy lubimy udawać skromność.

W wozie zapanowała ciężka atmosfera, gdyż Julia ściśnięta pomiędzy nimi była zła zarówno na jednego, jak i drugiego. Boylan włączył radio, a gdy rozgrzało się, nadpłynął z

głębi nocy głos spikera podający wiadomości. Gdzieś było trzęsienie ziemi - nie zdołali usłyszeć gdzie, ponieważ głos odezwał się za późno. Setki zabitych, tysiące rannych znajdowały się w poświstującym i mrocznym świetle fal radiowych poruszających się z prędkością 000 mil na sekundę.

- Dopiero co skończyła się wojna - westchnęła Julia. - Można by liczyć, że Bóg pofolguje trochę.

Boylan spojrział na nią ze zdziwieniem. Wyłączył radio.

- Bóg nie folguje nigdy - powiedział.

Stary rozpustnik, pomyślał Rudolf. Gada o Bogu po tym wszystkim, co wyczyniał.

- Na jaką chcesz pójść uczelnię? - zapytał Boylan nad wydatnym, kształtnym biustem Julii.

- Nie namyśliłem się jeszcze.

- Tak. To bardzo poważna decyzja. Ludzie, których spotkasz w czasie studiów, mogą ukształtować całe twoje późniejsze życie.

Jeżeli potrzebowałbyś pomocy, mógłbym zapewne pomówić z kimś z mojej Alma Mater. Tłumnie wracają z wojny bohaterowie, więc chłopiec w twoim wieku może napotkać trudności.

- Dziękuję - powiedział Rudolf i pomyślał: To ostatnia protekcja, z jakiej chciałbym skorzystać. - A w jakim college'u pan studiował?

- W Wirginii.

Wirginia! Tam może się dostać każdy. A on tak gada, jak gdyby chodziło o Harvard, Princeton albo przynajmniej Amherst.

Zajechali przed dom Julii. Rudolf automatycznie spojrział na sąsiedni budynek - ku oknu panny Lenaut. Było dziś ciemne.

- No, jesteśmy na miejscu, moje dziecko - mówił Boylan, gdy Rudolf otwierał drzwi po swojej stronie i wysiadał. - Rozmowa z panią była prawdziwą przyjemnością.

- Dziękuję za podwiezienie.

Julia wysiadła z wozu i zmierzając w stronę drzwi swojego domu omal nie potrafiła Rudolfa. Poszedł za nią. Chciał chociaż raz pocałować ją na dobranoc pod cieniem ganku. Szukała klucza w torebce. Pochyliła głowę i jasny warkocz opadł jej na twarz.

Wtedy, z myślą o pocałunku, spróbował ująć ją za podbródek, lecz odepchnęła go gwałtownie.

- Fagas! - syknęła i zaczęła przedrzeźniać go udatnie. - „Nic szczególnego. Jeżeli ktoś potrafi czytać i pisać, to właściwie...”

- Julio...

Twarz miała taką, jakiej nie widział nigdy - bladą, zamkniętą w sobie.

- Podlizuj się bogaczowi! Paskudny stary piernik! Farbuje włosy.

Farbuje także brwi. Ale są ludzie gotowi na wszystko za podwiezienie luksusowym wozem. Są tacy? Prawda, chłopcze?

- Opamiętaj się, Julio, bądź rozsądna.

Rozumiałby jej gniew, gdyby знаła całą prawdę o Boylanie. Ale tylko dlatego, że on był po prostu uprzejmy...

- Ręce przy sobie!

Znalazła klucz i próbowała drzwi otworzyć. Jej ramiona nadal pachniały morelami.

- Jutro przyjdę około czwartej i...

- Przyjdiesz? Tak ci się zdaje? Lepiej zaczekaj, aż będę miała Buicka. Szybkość takiego wozu jest bardziej w twoim guście.

W tej chwili obróciła klucz w zamku i - rozgniewana, pachnąca, złośliwa - zniknęła zatrzaskawszy drzwi za sobą.

Rudolf odszedł powoli. Jeżeli miłość ma tak wyglądać, to do diabła z miłością. Wsiadł do samochodu i zamknął drzwi.

- To było błyskawiczne pożegnanie - powiedział Boylan ruszając z miejsca. - Za moich czasów marudziło się w takich przypadkach.

- Jej rodzice życzą sobie, żeby wracała do domu możliwie wcześnie.

Boylan jechał przez miasto w kierunku Vanderhoff Street.

Naturalnie wie, gdzie mieszkam, myśli Rudolf. Nawet nie stara się tego ukrywać.

- Czarująca dziewczyna z tej małej Julii - podjął Boylan.

- Aha.

- Robicie więcej, czy ograniczacie się do pocałunków?

- To moja sprawa, proszę pana!

Mimo autentycznego gniewu pomyślał z uznaniem o tonie, jakim wypowiedział te słowa - chłodno, wyniosłe. Nikt nie będzie traktował Rudolfa Jordacha tak, jak gdyby Rudolf Jordach był szczeniakiem.

- Ma się rozumieć. To twoja sprawa - powiedział tamten i westchnął. - Pokusa musi być wielka. Kiedy ja byłem w twoim wieku... - urwał, jak gdyby wolał nie wspominać długiego korowodu dziewic, które przestały być dziewicami. - Aha - zmienił temat i przyjął ton rozmowy towarzyskiej. - Miewasz czasami wiadomości od swojej siostry?

- Czasami - odpowiedział z rezerwą.

Gretchen pisywała do niego na adres Buddy'ego Westermana.

Nie chciała, aby matka czytywała jej listy. Mieszka na peryferiach Nowego Jorku w domu prowadzonym przez YWCA. Odbywa pielgrzymki po licznych agencjach teatralnych i szuka pracy jako aktorka, ale reżyserzy nie kwapią się do zaangażowania dziewczyny, która grywała Rozalindę w przedstawieniach szkolnych. Chwilowo nie ma pracy, lecz Nowym Jorkiem jest oczarowana. W pierwszym liście przepraszała brata za opryskliwe potraktowanie go w hotelu „Port Philip” w dzień jej odjazdu. Była wtedy roztrzęsiona, zdenerwowana i w gruncie rzeczy nieodpowiedzialna za swoje postępowanie. Nadal jest zdania - jak pisała - że Rudolf nie powinien zostawać w domu.

Rodzina Jordachów to ruchome piaski, i takiej jej opinii o nich nic nie odmieni.

- Dobrze się czuje? - zapytał Boylan.

- Nieźle.

- Wiesz, że ją znam?

- Wiem.

- Rozmawiała z tobą o mnie?

- Nie przypominam sobie.

- Aha... - Nie sposób było odgadnąć, co Boylan chciał wyrazić tym słówkiem. - Masz jej adres? Czasami bywam w Nowym Jorku i może udałoby mi się znaleźć czas, aby zafundować małej dobry obiad.

- Nie. Nie mam jej adresu - odparł Rudolf. - Siostra przenosi się często.

- Rozumiem... - Oczywiście na wskroś przejrzał Rudolfa, ale wolał go nie naciskać. - Daj mi znać, jeżeli odezwie się do ciebie. Mam w domu coś, co stanowi jej własność i teraz przydałoby się może.

- Dobrze.

Boylan skręcił w Vanderhoff Street i zatrzymał wóz przed piekarnią.

- No, jesteśmy na miejscu, przed przybytkiem rzetelnej pracy - podjął z wyraźną drwiną. - Życzę ci dobrej nocy, młodzieńcze.

Spędziłem z wami uroczy wieczór.

- Dobranoc. I dziękuję.

Rudolf wysiadł z Buicka.

- Wiem od twojej siostry, że jesteś zamilowanym wędkarzem. Przez moje grunty płynie zupełnie niezły strumień. Co roku go się zarybia, lichy wie czemu, bo nikt tam nigdy nie chodzi. Jeżeli masz ochotę popróbować szczęścia, proszę. Zawsze będziesz mile widziany.

- Bardzo dziękuję.

Przekupstwo, pomyślał Rudolf i uprzytomnił sobie, że je przyjmie.

Pstrąg to duża pokusa.

- Bardzo dziękuję - powtórzył. - Postaram się przyjść.

- Doskonale - podchwycił Boylan. - Każę kucharce przyrządzić rybę, którą złowisz, i we dwóch wyprawimy wspaniałą ucztę. Jesteś interesującym chłopcem, a rozmowa z tobą to prawdziwa przyjemność.

Może, jak pokażesz się u mnie, będziesz już miał świeże wiadomości o siostrze i jej aktualny adres.

- Może. Jeszcze raz dziękuję panu.

Boylan pożegnał go skinieniem ręki i odjechał.

Rudolf wszedł do sieni i przez ciemny dom powędrował do swojego pokoju. Po drodze słyszał chrapanie ojca. W sobotnie noce Jordach nie pracował w suterenie. Rudolf minął cichaczem drzwi pokoju rodziców i ostrożnie wstąpił na schody wiodące na górne piętro.

Nie chciał obudzić matki i narazić się na prowadzenie z nią rozmowy.

- Zacznę handlować własnym ciałem. Słowo daję! - powiedziała pochodząca z Kentucky Mary Jane Hackett. - Nikt nie chce dziś talentu. Liczy się tylko gołe, jędrne ciało. Jak będzie następne zapotrzebowanie na girlsy, powiem: „Cześć, panie Stanisławski”, i wezmę się do kręcenia kuprem za forsz.

Gretchen i Mary Jane Hackett siedziały w zatłoczonej, obwieszanej afiszami teatralnymi poczekalni w biurze Nicholasa przy Czterdziestej Szóstej Ulicy. Wraz z całym zgromadzeniem innych dziewcząt i młodych mężczyzn oczekiwały audiencji u Bayarda Nicholasa. Tylko trzy krzesła stały za balustradą oddzielającą petentów od biurka sekretarki Nicholasa, która zawzięcie pisała na maszynie i klawisze atakowała palcami tak gwałtownie, jak gdyby język angielski był jej osobistym wrogiem i usiłowała rozprawić się z nim możliwie najspieszniej.

Trzecie krzesło zajmowała aktorka charakterystyczna wystrojona w futrzaną etolę, chociaż na dworze panował upał nie do zniesienia.

Sekretarka przy swojej maszynie nie traciła ni jednej sylaby, gdy mówiła: „Dzień dobry, kochanie”, ilekroć drzwi otwierały się, by wpuścić kogoś - aktora lub aktorkę. Szybko rozeszła się pogłoska, że Nichols obsadza nową sztukę - potrzebuje czterech mężczyzn i dwie kobiety.

Mary Jane Hackett - wysoka, smukła dziewczyna prawie bez biustu - naprawdę

zarabiała jako modelka. Gretchen nie nadawała się do tego fachu, bo była zbyt okrągła. Mary Jane Hackett występowała w jakichś dwu szmirach przy Broadwayu i pół sezonu letniego spędziła w teatrze objazdowym, ale mówiła jak zasłużona weteranka sceny.

Teraz spoglądała na aktorów upozowanych z wdziękiem pod ścianą, na tle afiszów sztuk, które Bayard Nichols reżyserował w przeszłości.

- Myślałby człowiek - mówiła - że po tylu sukcesach sięgających zamierzchłej ery 1935 roku facet mógłby postarać się o lokal lepszy niż ta cuchnąca szczurza nora. Żeby choć była tu klimatyzacja, na miłosierdzie Boże! Ale nie! Nichols musi mieć chyba do tej pory pierwsze dwadzieścia pięć centów, jakie zarobił w życiu. Nie wiem, po co tu siedzę. Słowo daję! Facet umarłby, gdyby przyszło mu zapłacić komuś więcej niż minimum, a i w takich przypadkach wygłasza zawsze długi referat, jak to Franklin D.

Roosevelt zrujnował kraj.

Gretchen spojrziała z zakłopotaniem w stronę sekretarki. Pokój był bardzo mały, a więc tamta musiała słyszeć słowa Mary Jane. Ale sekretarka pisała dalej prowadząc walkę z językiem angielskim.

- Popatrz no na ich wzrost - podjęła Mary Jane i zamaszystym ruchem głowy wskazała młodych mężczyzn. - Nie sięgają mi nawet do ramienia. Gdyby ktoś napisał rolę dla kobiety, która przez pełne trzy akty gra na klęczkach, może dostałabym robotę. Amerykański teatr, bodaj go diabli! Mężczyźni to kurduple albo pedzie, jeżeli który ma ponad pięć stóp wzrostu.

- Nieznośna Mary Jane. Nieznośna! - odezwał się jakiś wysoki chłopiec.

- Kiedy ostatni raz pocałowałaś dziewczynę? - zapytała Mary Jane.

- W 1928 roku - padła odpowiedź. - Z radości po wyborze prezydenta Herberta Hoovera.

Wszyscy w poczekalni roześmieli się dobrotliwie. Z wyjątkiem sekretarki. Ta pisała na maszynie.

Gretchen szukała wciąż pierwszej pracy, mimo to jednak była oczarowana światem, do którego trafiła. W tym świecie wszyscy rozmawiali z wszystkimi, wszyscy zwracali się do wszystkich po imieniu. Alfred Lunt był po prostu Alfredem dla każdego, kto chociaż raz grał z nim w jakiejś sztuce, jeżeli nawet jego rola ograniczała się do dwu zdań na początku pierwszego aktu. Wszyscy też pomagali wszystkim. Jeżeli jakiejś dziewczynie kłuła się rola, opowiadała o tym przyjaciółkom i mogła nawet pożyczyć od jednej z nich suknię odpowiednią na pierwszą rozmowę z reżyserem. Był to jak gdyby klub szlachetnych, a o przynależności do niego decydowały nie pieniądze i nie pochodzenie, lecz młodość, ambicje życiowe i wzajemna wiara w swoje talenty.

Ten klub odbywał zebrania w podziemiu drogerii Walgreena, aby przy niezliczonych filiżankach kawy wymieniać poglądy, wyśmiewać przejściowe sukcesy, przedrzeźniać bożyszczą jednego dnia, oplakiwać śmierć jakiegoś eksperymentalnego teatru. Gretchen została przyjęta do owego grona i z nie mniejszą niż inni swobodą rozprawiała, że wszyscy krytycy to idioci, że ktoś powinien występować w takiej czy innej sztuce, że nikt nie gra dziś tak jak Laurette Taylor, że pewni reżyserzy dobierają się do każdej dziewczyny, która przestąpi próg ich biura. W ciągu dwu miesięcy i wśród powodzi młodych głosów o akcencie z Georgii, Main, Teksasu, Oklahomy, nędzne ulice Port Philip zatarły się prawie, zmieniły w małą plamkę na łuku widnokregu pamięci.

Gretchen sypiała do dziesiątej bez poczucia winy. Odwiedzała mieszkania młodych ludzi, przesiadywała tam do późnej nocy, odbywała próby rozmaitych scen i wcale nie troszczyła się, co ludzie powiedzą. W domu YWCA, gdzie postanowiła mieszkać, póki nie znajdzie zajęcia, młoda lesbijka czyniła jej awanse, co nie zaszkodziło ich przyjaźni i Gretchen nadal bywała z nią czasami w kinie lub na wspólnej kolacji. Trzy godziny tygodniowo pracowała ciężko w szkole baletowej; aby nauczyć się poruszać z wdziękiem na scenie. Dzięki temu chodziła teraz zupełnie inaczej i głowę trzymała tak spokojnie, że ze szklanką wody na niej mogłaby przejść po schodach w górę lub w dół. Prymitywne dostojeństwo - tak nazywała to była balerina, która prowadziła szkołę.

Sądziła, że ktoś, kto patrzy na nią, nie wątpi w jej wielkowiejskie pochodzenie. Nie była już nieśmiała - albo tak się jej przynajmniej wydawało. Chodziła na kolacje z młodymi aktorami czy przyszłymi dyrektorami teatrów, których poznawała u Walgreena albo w biurach reżyserów, albo w salach prób, i z reguły płaciła za siebie. Nie przeszkadzał już jej dym papierosów. Kochanków nie miała. Zadecydowała, że poczeka z tym do czasu, gdy znajdzie pracę. Uważała, że lepiej jest mieć jeden problem na raz.

Zamierzała nawet napisać do Boylana, poprosić, by przysłał jej czerwoną suknię. Nie umiała powiedzieć, kiedy i na jakie przyjęcie zostanie zaproszona w tym nowym, dziwnym świecie.

Drzwi drugiego pokoju otwarły się i do poczekalni wkroczył Bayard Nichols w towarzystwie niskiego, szczupłego mężczyzny w mundurze kapitana lotnictwa.

- ...jeżeli oczywiście coś się nawinie, Willie - kończył zdanie Nichols. - Natychmiast dam ci znać.

Głos miał pełen rezygnacji i smutku. Widać pamiętał tylko swoje niepowodzenia. Czekających nań ludzi objął spojrzeniem podobnym do smugi blasku latarni morskiej - światła, które nie widzi, lecz rzuca cienie.

` - Wpadnę któregoś dnia w przyszłym tygodniu i naciągnę cię na obiad - powiedział kapitan.

Głos miał w dolnych rejestrach tenorowych, zaskakująco niski u kogoś, kto nie waży więcej niż sto trzydzieści funtów i ma wzrost co najwyżej pięć stóp i sześć cali. Trzymał się prosto, jak gdyby nadal był w oficerskiej szkole lotniczej. Ale twarz miał niewojskową, a jego nieprzepisowo długie jak na żołnierza, kasztanowate włosy, budziły nieufność wobec munduru. Miał jasnoniebieskie oczy i wysokie, zbyt wypukłe czoło przypominające po trosze moc i melancholię Beethovena.

- Tobie Wuj Sam wciąż płaci - odpowiedział kapitanowi Nichols. - A te moje podatki! Dobry Boże! Myślę, że to ja ciebie naciągnę na obiad.

Sprawiał wrażenie kogoś, czyj posiłek nie kosztowałby wiele.

Zdawać się mogło, że elżbietańska tragedia rozgrywa się codziennie w jego przewodzie pokarmowym. Straszne morderstwa czyhają w dwunastnicy. Czają się złośliwe wrzody. Wyglądał tak, jak gdyby w najbliższy poniedziałek miał dokonać żywota. Pomóc mógłby mu tylko psychiatra. Lub nowa żona.

- Proszę pana...

Wysoki chłopiec, który miał pojedynek słowny z Mary Jane, odstąpił krok od ściany.

- W przyszłym tygodniu, Bernie - podchwycił pan Nichols i jeszcze raz rzucił w kierunku obecnych smugę blasku latarni morskiej. - Panno Saunders! - zwrócił się do sekretarki - pozwoli pani do mnie na momencik.

Jeden miękki, niepewny gest ręki i pan Nichols znika za drzwiami swojego pokoju. Sekretarka oddaje ostatnią salwę maszyną do pisania, następnie wstaje i z blokiem stenotypistki w ręku śpieszy śladem szefa. Drzwi zamykają się za nią.

- Panie! Panowie! - przemówił kapitan do ogółu zgromadzonych. - Wszyscy trafiliśmy do złego fachu. Lepszy będzie handel remanentami sprzętu wojskowego z demobilu. Należy liczyć się z kolosalnym zapotrzebowaniem na używane rusznice przeciwczołgowe.

Oo... Jak się masz, Kruszyńko!

Adresatką ostatniego zdania była Mary Jane, która górując nad nim niby wieża, nachyliła się i pocałowała kapitana w policzek.

- Cieszę się, Willie, że z tamtego przyjęcia wyszedłeś z życiem - powiedziała.

- Przyznaję. Byłem w dym zalany - odrzekł kapitan. - Cóż, ponure wspomnienia bojowe wyplakaliśmy z naszych dusz.

- Raczej topiliście je w alkoholu - poprawiła.

- Nie skąp nam, Mary Jane, skromnej, nieszkodliwej rozrywki.

Pamiętaj, że ty zajmowałaś się szyciem pasów elastycznych, w czasie gdy my wśród ognia artylerii przeciwlotniczej odbywaliśmy spacer po groźnym niebie nad Berlinem.

- Byłeś kiedy nad Berlinem, Willie? - zapytała Mary Jane.

- Ma się rozumieć, że nie byłem - uśmiechnął się do Gretchen; jak gdyby z lekceważeniem dla czynów bojowych. - No a teraz stoję tu cierpliwie, Kruszyńko, i...

- Przepraszam... Gretchen Jordach, Willie Abbott - dokonała prezentacji Kruszyńka.

- Miałem szczęście, że akurat dziś zabłądziłem na Czterdziestą Szóstą Ulicę - powiedział Abbott.

- Miło mi pana poznać. - Gretchen omal nie wstała; ostatecznie to był kapitan.

- Podejrzewam, że pani jest aktorką - powiedział.

- O to się staram.

- Nikczemne rzemiosło! Czy to cytat z Szekspira o koprze wodnym?* (* Aluzja do kwestii z Króla Lira, akt IV, sc. 6.)

- Nie popisuj się, Willie - wtrąciła Mary Jane.

- Kiedyś będzie pani dla kogoś doskonałą żoną, a także bardzo dobrą matką - podjął Abbott. - Naprawdę! Wspomni pani moje słowa, panno Gretchen. Czemu nie widywałem pani dotąd?

- Ona dopiero co przyjechała do Nowego Jorku - wyjaśniła Mary Jane, nim Gretchen zdążyła się odezwać.

Co to było? Znak ostrzegawczy? Zazdrość?

- Ach, te dziewczęta, które dopiero co przyjechały do Nowego Jorku! - zawołał Abbott i zwrócił się do Gretchen: - Można na kolanka?

- Willie! - zgromiła go Mary Jane.

Gretchen parsknęła śmiechem, on jej zawtórował. Miał bardzo białe, równe, drobne zęby.

- W dzieciństwie byłem nie dopieszczony przez mamę - powiedział.

Panna Saunders wyszła z pokoju szefa.

- Panno Jordach. Pan Nichols panią prosi.

Gretchen stała zdziwiona tym, że sekretarka pamięta jej nazwisko.

Była tu zaledwie trzeci raz, a z Nicholsem nie rozmawiała nigdy.

Nerwowym ruchem wygładziła fałdy sukni, a panna Saunders przytrzymała wahadłowe drzwiczki w balustradzie rozdzielającej poczekalnię na dwie części.

- Trzeba żądać tysiąca tygodniowo, plus dziesięć procent od kasy - powiedział Abbott.

Gretchen szła w stronę drzwi pokoju Nicholosa.

- Wszyscy inni mogą nie czekać - oznajmiła sekretarka. - Pan Nichols ma umówiony lunch za piętnaście minut.

- Nędznica! - warknęła aktorka charakterystyczna w futrzanej etoli.

- Po prostu pracuję tutaj - odrzekła panna Saunders.

Dziwne pomieszanie uczuć. Radość i lęk przed próbną rozmową na temat pracy. Skrupuły, ponieważ wszyscy inni zostali odprawieni, a ona wybrana. Poczucie straty, bo Willie Abbott wyjdzie teraz z Mary Jane. Ogień artylerii lotniczej nad Berlinem!

- Później się zobaczymy.

Mary Jane nie powiedziała gdzie i kiedy. Abbott wcale się nie odezwał.

Pokój Nicholosa był trochę większy niż poczekalnia. Ściany były nagie, a biurko zarzucone stosami scenopisów w oprawach z imitacji skóry. Stały tam trzy fotele z żółtawego drewna, a szyby okien pokrywała gruba warstwa kurzu. Wyglądało to wszystko na biuro kogoś, kto prowadzi raczej mętne interesy, a na pierwszego ma trudności z płaceniem czynszu.

Nichols wstał, gdy Gretchen weszła do pokoju.

- Dziękuję, że pani zechciała poczekać na mnie - zaczął wskazując ręką krzesło obok biurka i sam usiadł, dopiero gdy ona zajęła to miejsce.

Przez długi czas przyglądał się jej bez słowa i z cierpką miną kogoś, komu zaoferowano obraz z mocno wątpliwym podpisem. Gretchen była zdenerwowana, obawiała się, że drżą jej kolana.

- Zapewne - odezwała się - chciałby pan usłyszeć, jakie mam doświadczenie. Otóż jak dotąd...

- Nie - przerwał. - Na razie obejdziemy się bez żadnego doświadczenia. Rola, którą ewentualnie mógłbym pani powierzyć, jest, mówiąc szczerze niedorzeczna.

Żałośnie pokiwał głową, jak gdyby współczuł sobie z powodu groteskowego zachowania, jakie narzuca jego zawód.

- Proszę powiedzieć, czy ma pani coś przeciwko występom w kostiumie kąpielowym? Dla ścisłości, w trzech kostiumach kąpielowych.

- Cóż... - roześmiała się niepewnie. - To zależy.

Idiotka! Od czego zależy? Od wielkości kostiumu kąpielowego?

Długości roli? Miary jej biustu? Pomyślała o matce. Ta nigdy nie bywa w teatrze. Szczęśliwa!

- Muszę zaznaczyć, że nie jest to rola mówiona - ciągnął Nichols.

- Dziewczyna przechodzi trzy razy przez scenę. Raz w każdym akcie.

Za każdym razem w innym kostiumie. Cała sztuka rozgrywa się w klubie na plaży.

- Aa... Rozumiem.

Była zła na Nicholasa. Przez niego pozwoliła, by Willie Abbott poszedł do miasta z Mary Jane. Kapitan... Kapitan... Sześć milionów ludzi. Wystarczy wejść do windy, by przepaść raz na zawsze. No i statystowanie. Praktycznie biorąc, statystowanie - Ta dziewczyna to symbol. Tak przynajmniej powiada scenopis - mówił Nichols, a niezliczone godziny kazuistycznych rozmów z artystami brzmiały w tym zdaniu niby dzwon okrętowy podczas groźnej katastrofy. - „Młodość. Zmysłowa piękność. Zagadka kobiecości. Tragiczna efemeryczność ciała”. Nadal cytuję autora.

Gdy dziewczyna pojawia się na scenie, każdy widz płci męskiej winien pomyśleć: „Do licha! Czemu jestem żonaty?” Cytuję w dalszym ciągu. Ma pani kostium kąpielowy?

- Chyba mam... - Zła teraz na siebie przytaknęła skinieniem głowy.

- Mam. Oczywiście.

- Czy z tym kostiumem może pani przyjść dzisiaj o piątej do „Belasco”? Będzie tam autor i dyrektor teatru.

- O piątej.

Znów skinęła głową. Żegnaj, panie Stanisławski! Poczowała, że zaczyna się rumienić. Idiotka! Praca to zawsze praca.

- Bardzo dziękuję, panno Jordach.

Nichols wstał i zrobił grobową minę. Gretchen wstała również.

Odprowadził ją i otworzył przed nią drzwi. Poczekalnia była pusta.

Została tylko panna Saunders zajęta pisaniem.

- Proszę mi wybaczyć - szepnął nie wiedząc czemu Nichols i cofnął się do swojego pokoju.

- Do widzenia - rzuciła Gretchen mijając sekretarkę.

- Do widzenia, kochanie - odpowiedziała nie podnosząc wzroku.

Czuć ją było potem. „Tragiczna efemeryczność ciała. Nadal cytuję”.

Gretchen wyszła na korytarz i zadzwoniła na windę dopiero, gdy poczuła, że rumieńce ustępują z jej twarzy.

Winda nadjechała wreszcie i Gretchen zastała w niej młodego mężczyznę w mundurze oficera armii konfederatów z kawaleryjską szablą u boku. Na głowie miał kapelusz odpowiadający mundurowi - zawadiacki, szerokoskrzydły kapelusz filcowy z piórami. Jego z gruba ciosana, zawzięta twarz typowa dla Nowego Jorku w 1945 roku zakrawała przy tym wszystkim na nieporozumienie.

- Czy wojny nie skończą się nigdy? - zagadnął uprzejmie Gretchen.

Duszno było w ciasnej, okratowanej kabinie. Krople potu wystąpiły na czoło Gretchen. Otarła je ligninową chusteczką do nosa.

Wyszła na ulicę geometrycznych bloków z gorącego szkła i nie mniej gorącego ciemnego betonu. Abbott i Mary Jane stali przed frontem domu. Czekali na nią. Uśmiechnęła się... Sześć milionów ludzi w tym mieście. Niech sobie będzie sześć milionów! Oni czekają na nią!

- Właśnie medytuję o lunchu - powiedział Abbott.

- Umieram z głodu - uśmiechnęła się Gretchen.

Ruszyli na ów lunch po cienistej stronie ulicy - dwie wysokie dziewczyny, a pomiędzy nimi mały i szczupły żołnierz. Szedł zamasyżycie. Może przypomniawszy sobie, że inni wojownicy też bywali niscy - Napoleon, Cezar, chyba także Tamerlan.

Gretchen stanęła naga przed lustrem w garderobie teatralnej, spojrzała na swoje odbicie. Ubiegłej niedzieli była z Mary Jane i dwoma chłopcami na plaży w Jones Beach, więc skórę na rękach i nogach miała delikatnie różowawą. Podczas letnich upałów nie nosiła pasa elastycznego ani pończoch i nie miała prozaicznych wgłębień na gładkim łuku bioder. Spojrzała na swoje piersi. „Chcę sprawdzić, jak to smakuje przyprawione whisky”. Przy lunchu z Mary Jane i Abbottem wypła dwa coctails z soku pomidorowego i spirytusu, a później towarzystwo opróżniło butelkę wina. Willie lubi wypić...

Naciągnęła jednoczęściowy kostium kąpielowy. W kroku poczuła ziarnka piasku z Jones Beach. Oddaliła się od lustra i znów podeszła bliżej. Oceniała się krytycznie. „Zagadka kobiecości”.

Stanowczo spaceruje zbyt skromnie. „Prymitywne dostojęństwo”. O tym należy pamiętać. Willie i Mary Jane czekali na nią w barze „Algonquin”, aby dowiedzieć się, jak poszło. Przeszła kilka kroków mniej skromnie. Ktoś zastukał do drzwi garderoby.

- Panno Jordach - powiedział inspicjent - jeżeli pani gotowa, to czekamy.

Zarumieniła się otwierając drzwi, czego, na szczęście, nikt nie mógł zauważyć przy słabych światłach roboczych za kulisami.

- Proszę tylko dwa razy przejść się po scenie tam i z powrotem - powiedział inspicjent, który szedł przed nią.

W głębi ciemnej widowni, gdzieś w okolicy dziesiątego rzędu, majaczyły jakieś niewyraźne sylwetki. Podłoga na scenie była nie zamieciona, a goła tylna ściana z nie otynkowanej cegły przypominała ruiny starożytnego Rzymu. Gretchen miała wrażenie, że jej

rumieńce muszą być widoczne nawet z ulicy.

- Panna Gretchen Jordach! - zawołał inspicjent zwracając się do piwnicznych mroków. Kartka w butelce rzucona na nocne fale próżnych foteli. „Dryfuję!” Miała szczerą ochotę uciec.

Przemierzając scenę miała złudzenie, że potyka się o niebotyczne góry. Trup w kostiumie kąpielowym. Trup przywrócony do życia za pomocą praktyk czarnoksiężskich.

Na widowni panowało milczenie. Gretchen zawróciła. Nadal nikt się nie odzywał. Przeszła jeszcze dwa razy tam i z powrotem, myśląc z niepokojem o drzazgach zagrażających jej bosym stopom.

- Bardzo dziękuję, panno Jordach - zabrzmiał wreszcie głos Nicholasa, żalony i bardzo cienki w pustce teatralnej sali.

- Doskonale wypadło. Zechce pani wstąpić jutro do mojego biura.

Załatwimy sprawę kontraktu.

To aż tak proste! Nagle przestała się rumienić.

W „Algonquin” Willie siedział sam przy małym bufecie. Wyprostowany na wysokim stołku niańczył szklankę z whisky w tym zielonawym, jak gdyby podmorskim półmroku, który stanowił lokalną atmosferę.

Odwrócił się, by ją powitać gdy Gretchen weszła niosąc małą, gumowaną torbę plażową, która zawierała jej kostium kąpielowy.

- Piękna dziewczyna - powiedział - wygląda mi coś na piękną dziewczynę, która przed chwilą znalazła w teatrze „Belasco” posadę w charakterze tajemnicy kobiecości. - I dodał zaraz: - Cytuję autora.

Podczas lunchu śmieli się serdecznie, gdy Gretchen relacjonowała swoją rozmowę z Nicholsem.

Usiadła na sąsiednim stołku.

- Tak jest! - oznajmiła. - Sarah Bernhardt już w drodze.

- Nie poradziłaby sobie z tą rolą. Miała drewnianą nogę. Kropniemy szampana?

- Gdzie Mary Jane?

- Poszła. Na randkę.

- Kropniemy szampana.

Roześmieli się obydwój.

Gdy bufetowy postawił przed nimi kieliszki, wypili zdrowie Mary Jane. Za jej czarującą nieobecność! Gretchen piła szampana drugi raz w życiu. Wyciszony, paradny pokój

w czteropiętrowym domu przy bocznej ulicy. Jednokierunkowe lustro. Wspaniale zbudowana kurwa o twarzy małego dziecka rozciągnięta triumfalnie na szerokim łożu.

- Mamy rozległy wybór - mówił Willie. - Możemy zostać tutaj i przez cały wieczór pić wino. Możemy pójść na kolację.

Możemy się kochać. Możemy wybrać się na jedno przyjęcie przy Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy. Pani... Jesteś amatorką przyjęć, Gretchen?

- Byłabym chętnie - odpowiedziała nie zwróciwszy uwagi na „możemy się kochać”.

Niewątpliwie Willie żartował. Wszystko w tym chłopcu zdawało się żartem. Sądziła, że podczas wojny, nawet w najgorszych sytuacjach, Abbott kpił sobie z pękających szrapneli, nurkujących myśliwców, skrzydeł w płomieniach. Obrazki z kroniki filmowej z wojennych filmów fabularnych. „Stary Johnny oberwał dziś, chłopcy. Teraz moja kolej”. Czy to tak było? Zapyta go później, kiedy poznają się lepiej.

- Przyjęcie mamy w odwodzie i nie ma co się śpieszyć - ciągnął Willie. - Potrwa do rana. A więc, zanim rzucimy się w obłąkany wir rozrywek, pragnę zapytać, czy jest coś, co powinienem o tobie wiedzieć?

Nalał sobie szampana. Rękę miał trochę niepewną. Szyjka butelki pobrzękiwała melodyjnie o rąbek kieliszka.

- Co chciałbyś wiedzieć?

- Zaczniemy od początku. Miejsce zamieszkania?

- Dom YWCA - odpowiedziała.

- Bogowie! - jęknął. - Czy gdybym przebrał się chytrze, mógłbym uchodzić za młodą chrześcijańską kobietę i dostać pokój sąsiadujący z twoim? Jestem malutki i mam bardzo jasny zarost. No i mógłbym pożyczyć od kogoś perukę. Mój ojciec zawsze marzył o córkach.

- Wątpię - uśmiechnęła się Gretchen. - Starsza pani urzędująca w recepcji odróżni chłopca od dziewczyny z odległości stu kroków.

- Następny punkt. Chłopcy na tapecie?

- W tej chwili nie - odparła po krótkim wahaniu. - A co ty powiesz mi o sobie?

- Według konwencji genewskiej żołnierz, który dostał się do niewoli, ma obowiązek podać jedynie nazwisko, stopień oraz numer ewidencyjny. - Uśmiechnął się, położył dłoń na jej dłoni. - Ale nie! Tobie wyznam wszystko. Obnażę całą duszę. Powiem, że jako niemowlę w kołysce usiłowałem zamordować rodzzonego ojca. Powiem, że od matczynej piersi zostałem odstawiony dopiero wtedy, kiedy miałem trzy lata. Powiem, co my, chłopcy, robiliśmy za stodołą z córkami sąsiadów w sprzyjającą pogodę dni lata. - Twarz mu spoważniała; dłonią odgarnął włosy z wypukłego czoła. - Mogę także powiedzieć, równie dobrze teraz jak

później, że jestem żonaty.

Gretchen poczuła, że szampan piecze ją w gardle.

- Podobałeś mi się bardziej, kiedy żartowałeś - powiedziała.

- I sobie podobałem się bardziej - podjął. - Ale ten medal ma również jasną stronę. Moja sprawa rozwodowa jest w toku. Pani znalazła sobie kogoś innego, kiedy tatuś bawił się w wojsko za morzami.

- Gdzie ona jest teraz? Twoja żona?

Słowa padały ciężko, jak z ołowiu. Niedorzeczność! - pomyślała Gretchen. - Przecież znam go ledwie od paru godzin.

- W Kalifornii - odpowiedział. - W Hollywood. Wygląda na to, że mam szczęście do aktorek.

Odległość całego kontynentu. Spalone słońcem pustynie. Góry nie do przebycia. Równiny pokryte sadami. Piękna, rozległa Ameryka.

- Jak długo jesteś żonaty?

- Pięć lat.

- Aha! W jakim właściwie jesteś wieku?

- Przrzekniesz, że nie wzgardzisz mną, jeżeli wyznam prawdę?

- Nie bądź śmieszny. Mów.

- Mam, cholerny świat, dwadzieścia dziewięć lat.

Gretchen pokiwała głową ze zdziwieniem.

- Na oko dałabym ci dwadzieścia trzy. Dlaczego robisz z tego sekret?

- Wiodę żywot niecny i pijacki - odparł Willy - a twarz jest moim przekleństwem. To twarz z reklamy działu ubiorów chłopięcych jakiegoś domu towarowego. Dwudziestodwuletnim dziewczynom wstyd pokazywać się ze mną w miejscach publicznych. Kiedy awansowałem na kapitana, pułkownik powiedział: „Willie, dostałeś złotą gwiazdkę za to, że przez ostatni miesiąc wzorowo sprawowałeś się w szkole”.

Chyba powinienem zapuścić wąsy.

- Maciupki Willie Abbott - powiedziała Gretchen.

Ujmowała ją ta pozorna młodość. Stanowiła miły kontrast wobec surowej, władczej dojrzałości Boylana.

- Co robiłeś przed wojną? - zapytała, gdyż chciała wiedzieć o nim wszystko. - Skąd znasz Bayarda Nicholisa?

- Pracowałem dla niego przy paru sztukach. Pełniłem funkcje artylerii przeciwlotniczej. Kapujesz? Mam najgorszy pod słońcem zawód. Jestem facetem od reklamy.

Życzy sobie panienka, żeby jej zdjęcie trafiło do prasy?

Abbott nie taił odrazy. Nie potrzebował zapuszczać wąsów, żeby wyglądać starzej. Wystarczało, że mówił o swoim zawodzie.

- Kiedy znalazłem się w wojsku, myślałem, że wreszcie będzie z tym koniec. Gdzie tam! Przejrzeli moje dane personalne i wpakowali mnie do prasy i propagandy. Powinienem siedzieć w kryminale za podszywanie się pod oficera. Kropniemy szampana?

Nalał obydwojgu. Jego poślótkę od nikotyny palce drżały lekko.

Szyjka butelki wydzwaniała o kieliszki lodowaty kod przygnębienia.

- Przecież byłeś w Europie. Latałeś - wtrąciła Gretchen.

Wiedziała o tym, gdyż podczas lunchu Willie opowiadał o Anglii.

- Ledwie kilka lotów. Tyle, by dostać medal lotniczy i w Londynie nie sprawiać wrażenia nagusa. Podziwiałem wojnę innych ludzi.

- W każdym razie mogłeś polec.

Zbijało ją z tropu jego rozzalenie. Chciała wyrwać go jakoś z tego nastroju.

- Jestem za młody, by umierać, pułkowniku - uśmiechnął się. - No, komu szampitra. Czeka na nas cały Nowy Jork.

- Kiedy zwolnisz się z wojska?

- Jestem właśnie na urlopie demobilizacyjnym - odpowiedział. - Noszę mundur, żeby darmo chodzić do kin i teatrów. No i dwa razy tygodniowo bywam w szpitalu na Staten Island. Leczą mi tam kręgosłup, a nikt nie uwierzyłby przecież, że jestem kapitanem, gdybym był po cywilnemu.

- Leczą ci kręgosłup? Byłeś ranny?

- Tak naprawdę to nie. Lądowaliśmy przymusowo i maszyna skapotowała. Przeszedłem lekką operację kręgosłupa. Za dwadzieścia lat będę gadał, że są to blizny od szrapnela. Pij, Gretchen!

Bądźże grzeczną dziewczynką.

- Aha...

Ranni... Wszędzie są ranni. Ubrany w brunatny szlafrok Arnold Simms, który siedział na stole, patrzył z góry na nogę nie nadającą się do biegania. Talbot Hughes, chłopiec z wypatroszonym gardłem, dogorywający cicho w swoim kącie szpitalnej sali. Jej własny ojciec kulawy po tamtej wojnie.

Willie zapłacił rachunek i wyszli z baru. Gretchen zastanawiała się, jakim sposobem on może trzymać się tak prosto mając uszkodzony kręgosłup.

Kiedy z baru wyszli na ulicę, zaskoczył ich nowojorski lawendowy zmierzch.

Skamieniały skwar dnia ustąpił miejsca balsamicznemu ciepłu, a gdy ruszyli przed siebie ręka w rękę, powiał łagodny wiaterek. Powietrze było jak gdyby zbiorowiskiem smug pyłku kwiatowego. Księżyc w trzeciej kwadrze - bładny i porcelanowy - żeglował po wieczornym niebie nad biurowymi wieżowcami.

- Wiesz, co podobało mi się w tobie? - zapytał Willie.

- Co?

- Nie powiedziałaś, że musisz pójść do domu, by się przebrać, gdy napomknąłem, że moglibyśmy pójść na przyjęcie.

Gretchen wolała nie wyjaśniać mu, że jest w swoim najbardziej paradnym stroju i w domu nie ma nic, w co mogłaby się przebrać.

Była to lniana suknia w chabrowym kolorze z krótkimi rękawami i czerwonym paskiem, zapinana z przodu na guziki od góry do dołu.

Przebrała się w nią, kiedy po lunchu wstąpiła do YWCA, aby wziąć kostium kąpielowy. Sześć dziewięćdziesiąt pięć u Ohrbacha. Jedyna sztuka garderoby, jaką kupiła po przyjeździe do Nowego Jorku.

- Narobię ci wstydu wobec twoich wytwornych przyjaciół? - zapytała.

- Tuzin moich wytwornych przyjaciół poprosi cię dziś o numer telefonu - odpowiedział.

- Mam go podawać?

- Nie! Pod karą śmierci.

Wolno szli Piątą Aleją, zaglądali do wystaw sklepowych. Finchley prezentował sportowe marynarki z tweedu.

- Widzę siebie w czymś takim - powiedział Willie. - Trochę więcej ciała, a byłby ze mnie dziedzic wiejski, kosmaty Abbott w tweedach.

- Kosmaty? - obruszyła się Gretchen. - Nie! Dla mnie jesteś bardzo gładki.

- Zgoda. Będę dla ciebie gładki.

Długo stali przed księgarnią domu wydawniczego Bretano, przyglądali się książkom. Na wystawie znajdowało się wiele najnowszych sztuk teatralnych. Odets, Hellman, Sherwood, Kaufman i Hart.

- Życie literackie - westchnął Willie. - Muszę zwierzyć ci się z czegoś. Pisze sztukę. Jak każdy taki, co pęta się przy teatrach.

- Trafi do tego okna?

- Jak Bóg pozwoli, trafi - odpowiedział. - Potrafisz w niej zagrać?

- Jednostronna aktorka ze mnie. „Zagadka kobiecości”.

- Naturalnie, cytujesz.

Roześmieli się obydwój. Zdawali sobie sprawę, że jest to śmiech niemądry, lecz był im drogi, ponieważ wywołał go żart ich własny, bardzo osobisty.

U skrzyżowania z Pięćdziesiątą Piątą Ulicą skręcili w bok z Piątej Alei. Pod portykiem kościoła Świętego Regisa orszak ślubny wyładowywał się z taksówek. Bardzo młoda i bardzo smukła panna młoda przypominała biały tulipan. Oblubieniec - młody porucznik piechoty, bez naszywek za lata służby, bez baretek za udział w kampaniach - był różanoliczy, starannie wygolony, niepokalanie świeży.

- Niech was Bóg błogosławi, dziatki - powiedział Willie omijając tę parę.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, posłała im od ust pocałunek.

- Dziękuję, panie kapitanie - odrzekł porucznik i ledwie powstrzymał się od zasalutowania.

- Wieczór sprzyjający zaślubinom - podjął Willie w dalszej drodze.

- Temperatura umiarkowana, widoczność nieograniczona, na razie nie ma wojny w toku.

Przyjęcie, na które zmierzali, odbywało się pomiędzy Park Avenue a Lexingtonem. Gdy wyszli z Park Avenue i znaleźli się na Pięćdziesiątej Piątej Ulicy, jakaś taksówka ostro wzięła zakręt i pomknęła wzdłuż Lexingtonu. Mary Jane siedziała w niej sama.

Taksówka zatrzymała się w połowie ulicy. Mary Jane wysiadła i szybko weszła do pięciopiętrowej kamienicy.

- Mary Jane - odezwał się Willie. - Widziałas ją?

- Aha.

Szli teraz bardzo wolno - jeszcze wolniej niż uprzednio.

Willie spojrzął na Gretchen, uważnie przypatrzył się jej twarzy.

- Mam pomysł, Gretchen. Urządźmy nasze własne przyjęcie.

- Miałam nadzieję, że właśnie to zaproponujesz.

- Kompania! W tył zwrot! - zakomenderował i gracko wykonał wojskowy zwrot z trzaśnięciem obcasami.

Ruszyli z powrotem w kierunku Piątej Alei.

- Nie uśmiechała mi się perspektywa, że różni faceci będą dopytywali o twój numer telefonu - podjął Willie.

Mocno ścisnęła jego rękę. Była już prawie pewna, że Abbott sypiał z Mary Jane, lecz mimo to mocno ścisnęła jego rękę.

W hotelu „Plaza” weszli do baru noszącego nazwę „Dębowa Komnata”, Willie zamówił coctaille z peppermintem w kufelkach z mrożonego szkła.

- To na cześć Kentucky - wyjaśnił.

Nie miał zastrzeżeń przeciwko mieszaniu trunków. Whisky szkocka i krajowa, szampan, coctaille.

- Jestem pogromcą przesądów - powiedział.

Po coctailach opuścili hotel „Plaza” i przy Piątej Alei wsiedli do autobusu. Zajęli miejsca na odkrytym górnym pomoście. Willie zdjął czapkę polową z dwoma srebrnymi prostokątami i oficerskim haftem na daszku. Z włosami rozwianymi od pędu wozu wyglądał jeszcze młodziej. Gretchen chciała ująć jego głowę, przycisnąć do piersi i całować włosy na ciemieniu. Ale dokoła byli ludzie, więc poprzestając na trzymaniu czapki kapitana, gładziła te dwa srebrne prostokąty i oficerski haft na daszku.

Z autobusu wysiedli przy Ósmej Ulicy i znaleźli stolik na chodniku przed Brevoortem. Willie zamówił martini.

- Dla pobudzenia apetytu - wytłumaczył. - Sygnał dla soków żołądkowych. Czerwone światło alarmowe.

„Algonquin”, hotel „Plaza”, Brevoort, praca, kapitan. Wszystko to jednego dnia! Istna nawała pierwszych przeżyć!

Kolacja składała się z melona, pieczonego kurczęcia i butelki czerwonego wina kalifornijskiego z Napa Valley.

- Przez patriotyzm - powiedział Willie. - I dlatego, że wygraliśmy wojnę.

Sam wypił prawie całą butelkę, lecz wszystkie trunki jak gdyby wcale nań nie działały. Wzrok miał klarowny, mowę gładką i dźwięczną. Zresztą nie mówili wiele. Głównie wymieniali spojrzenia nad stolikiem. Gretchen myślała, że jeżeli nie pocałuje go wkrótce, zostanie odwieziona do zakładu dla umysłowo chorych.

Przy kawie Willie kazał podać koniak dla obydwojga. Płacił za lunch i za wszystko, co jedli i pili później. Gretchen liczyła, że od południa Willie wydał co najmniej pięćdziesiąt dolarów.

- Jesteś bogaty? - zapytała, gdy regulował ostatni rachunek.

- Wyłącznie duchem - odparł i rozłożywszy portfel wytrząsnął na stolik sześć banknotów: dwie setki i cztery piątki. - Oto cała fortuna Abbotta. Czy mam wymienić cię w testamencie?

Dwieście dwadzieścia dolarów! Ona ma w banku więcej z tamtych ośmiu setek Boylana, a za posiłek nie płaci nigdy więcej niż dziewięćdziesiąt pięć centów. Może to krew

ojcowska? Na tę myśl zrobiło się jej przykro.

Patrzyła na Abbotta, gdy ten zbierał banknoty i beztrosko wpychał do kieszeni.

- Wojna nauczyła mnie oceniać wartość pieniędzy - powiedział.

- Wychowałeś się w zamożnym domu? - zapytała Gretchen.

- Ojciec był inspektorem celnym na kanadyjskiej granicy - odrzekł - i człowiekiem uczciwym. Miał sześcioro dzieci. Oczywiście wiedliśmy królewski żywot. Mięso trzy razy w każdym tygodniu.

- Troszczyć się o pieniądze - podjęła - bo widziałam, na co ich brak narażał moją matkę.

- Pij śmiało! - powiedział. - Nie będziesz córką swojej matki. W najbliższej przyszłości sięgnę po moją złotonośną maszynę do pisania.

Skończyli koniak. Gretchen miała dziwnie lekką głowę, ale nie była pijana. Z całą pewnością nie była pijana.

Wstali od stolika i między obsadzonymi bukszpanem zieleńcami ruszyli w stronę alei.

- Czy uczestnicy zgromadzenia żądają, by dalsze picie włączyć do porządku dziennego? - zapytał Willie.

- Ja nie piję dziś więcej - odpowiedziała.

- Do kobiety po rozum! - zawołał. - Matka ziemia. Kapłanki rozmaitych wyroczeni. Delfickie wypowiedzi przemyślnie ukryte wśród zagadek. Dzisiaj nie będzie więcej picia. Taxi!

- Do YWCA możemy pójść pieszo - powiedziała. - To ledwie piętnaście minut, a...

Taksówka zahamowała raptownie. Willie otworzył drzwi, więc wsiadła bez oporu.

- Hotel „Stanley” - rzucił kierowcy. - Przy Siódmej Alei.

Pocałowali się. Oaza gorących warg. Szampan, whisky, coctaille, koniak - dar Francji. Przygarnęła do piersi jego głowę. Utopiła usta w jedwabistej gęstwinie włosów, pod którymi wyczuła twarde kości czaszki.

- Przez cały dzień marzyłam o tym - powiedziała tuląc do siebie tego żołnierza-dziecko.

Zwinnymi palcami odpiął dwa górne guziki jej sukienki. Zaczął całować przełęcz pomiędzy piersiami. Nad jego utuloną głowę Gretchen widziała kierowcę. Odwrócony tyłem, zajęty czerwonymi światłami, zielonymi światłami, bieganiną przechodniów, najwyraźniej był zdania, że to, co robią pasażerowie, jest wyłącznie ich sprawą. Jego fotografia spoglądała ku Gretchen z oświetlonej tabliczki. Mężczyzna około czterdziestki o złych, podpuchniętych oczach, świadczących o niedomaganiach nerek.

Człowiek który widział wszystko i na wskroś poznał całe ogromne miasto. Pod fotografią - zgodnie z policyjnym zarządzeniem - widniało czytelnie wypisane nazwisko: Eli Lefkowitz. Gretchen zapamięta je na zawsze. Eli Lefkowitz, niespostrzegawczy, woźnica rydwanu miłości.

O tej porze ruch był niewielki, więc taksówka sunęła szybko.

Samolot na szparko poruszającym się niebie.

Ostatni pocałunek dla Eliego Lefkowitza i Gretchen zapięła sukienkę, która mogłaby się nadawać na strój panny młodej.

Fasada hotelu „Stanley” prezentowała się okazale. Architekt musiał być we Włoszech albo oglądać fotografie. Pałac Dożów plus gmach Walgreena. Adriatyckie wybrzeże przy Siódmej Alei.

W hallu stanęła na uboczu, a Willie poszedł po klucz do recepcji.

Palmy w donicach, robione na włoski styl krzesła z ciemnego drewna, jaskrawe światła. Procesja kobiet o twarzach policjantek i fryzowanych, jasnoblonde włosach tanich lalek. Po kątach gracze w totalizatora, szeregowi z rozkazami wyjazdu, dwie modelki o krągłych zadkach i sztucznie przedłużonych rękach, starsza pani w męskich butach roboczych zajęta czytaniem książki - zapewne czyjaś matka - komiwojażerowie po dniu kiepskich interesów i sygnał alarmowy dla występku: - detektywi.

Gretchen zmierzała wolno w stronę szybu windy i nie spojrzała nawet na Abbotta, gdy nadszedł z kluczem. Łatwo było nauczyć się tego podstępu. W kabinie nie rozmawiali z sobą.

- Siódme - rzucił Willie windziarzowi.

Na siódmym piętrze nie było włoskich aluzji. Natchnienie architekta musiało wyczerpać się po drodze. Wąskie korytarze, drzwi obite czarną blachą, nie pokryta chodnikiem posadzka z terakoty, która niegdyś była zapewne biała. Wszystko to zdawało się mówić: „Bardzo przepraszamy, ale nie chcemy bujać państwa dłużej. Spójrzcie w oczy konkretnym faktom - jesteście w Ameryce”.

Kiedy szli wąskim korytarzem, obcasy Gretchen stukały niby kopytka biegnącego truchtem kuca. Po ścianach snuły się ich cienie - niedobre duchy z okresu wielkiej koniunktury w 1925 roku.

Zatrzymali się przed drzwiami takimi, jak wszystkie inne. 777.

Przy Siódmej Alei, na siódmym piętrze. Magiczny porządek liczb!

Willie posłużył się kluczem i wkroczyli do pokoju numer 777 w hotelu „Stanley” przy Siódmej Alei.

- Będziesz czuła się lepiej, jeżeli nie włączę światła - powiedział Willie. - To straszna

nora. Cóż, tylko taki pokój udało mi się dostać, i to na pięć dni, nie dłużej. Nowy Jork jest przepełniony.

Jednakże nędzne żaluzje z blachy wpuszczały dosyć nocnych światła miasta, więc Gretchen mogła widzieć, jaki to pokój. Ciasna cela, wąskie pojedyncze łóżko, jedno drewniane krzesło bez obicia, umywalka, ani śladu drzwi do łazienki, a na komodzie rysuje się mętnie stos oficerskich koszul.

Willie zaczął rozbierać ją metodycznie. Najpierw pasek z czerwonego sukna, później najwyższy guzik sukienki, później następne - jeden po drugim, aż do samego dołu. Klęczał przed nią, a ona liczyła jego poruszenia.

- ...siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście...

Ilu konferencji w pracowni może przy tejże Siódmej Alei, ilu narad i dociekań potrzeba było, aby wreszcie powziąć ostateczną decyzję: nie dziesięć guzików, nie dwanaście. Jedenaście!

- To solidny dzień pracy - powiedział Willie.

Zdjął sukienkę z jej ramion i porządnie ułożył ją na oparciu krzesła. Oficer i dżentelmen! Odwróciła się - szkoła Boylana - by ułatwić mu rozpięcie biustonosza. Światło przedostające się szparami w żaluzji pomalowało ją w tygrysie pręgi. Willie mocował się z haftkami na jej plecach.

- Ostatecznie ludzie muszą wynaleźć coś lepszego - powiedział.

Roześmiała się i pośpieszyła mu z pomocą. Biustonosz upadł na podłogę. Odwróciła się znowu, a on delikatnie zsunął do jej kostek skromne figi z białej bawełny. Gretchen zrzuciła pantofle.

Podeszła do łóżka i jednym ruchem odwinęła kapę, koc i wierzchnie prześcieradło. Bielizna nie była czysta. Czy spała tu Mary Jane?

Mniejsza o to.

Położyła się na wznak... Wyprostowała nogi, piętą dotknęła pięty.

Ręce wyciągnęła wzdłuż boków. Willie pochylił się nad nią, wsunął rękę pomiędzy jej uda. Miał zręczne palce.

- Dolina rozkoszy - szepnął.

- Rozbierz się - powiedziała.

Przyglądała się, jak rozwiązuje krawat i rozpina guziki koszuli.

Gdy zdjął koszulę, okazało się, że nosi ortopedyczny gorset z haczykami i sznurówką, który u góry sięga ramion, w dole niknie pod satynowym pasem spodni. Oto dlaczego młody kapitan trzyma się tak prosto. „Łądowaliśmy przymusowo i maszyna skapotowała”.

Udręczone wiecznie ciało żołnierzy.

- Kochałaś się kiedy z facetem w gorsecie? - zapytał Willie rozplątując węzły sznurówki.

- Nie przypominam sobie.

- To tylko chwilowo - podjął najwyraźniej zażenowany. - Dwa miesiące, nie dłużej.

Tak przynajmniej mówią w szpitalu.

Dalej szamotał się ze sznurówką.

- Zapalić światło? - powiedziała.

- Nie, nie. Poradzę sobie.

W tej chwili zadzwonił telefon.

Spojrzeli na siebie i nie ruszyło się ani jedno, ani drugie.

Jeżeli będą cicho, może nie odezwie się znowu?

Ponowny dzwonek.

- Trzeba przyjąć - szepnął Willie.

- Tak mi się zdaje - przyznała.

Podniósł słuchawkę aparatu stojącego na stoliku nocnym tuż obok głowy Gretchen.

- Słucham?

- Pan kapitan Abbott?

Willie trzymał słuchawkę z dala od ucha, więc Gretchen wyraźnie słyszała słowa.

Głos był męski, jak gdyby urażony.

- Tak.

- Wydaje nam się, że w pańskim pokoju przebywa młoda osoba płci żeńskiej.

Monarsza liczba mnoga z śródziemnomorskiego tronu w hallu!

- I mnie się tak wydaje - odpowiedział Willie. - Co z tego?

- Zajmuje pan pojedynczy pokój - podjął głos - przewidziany tylko dla jednej osoby.

- Aha... W takim razie proszę o podwójny pokój. Jaki to będzie numer?

- Niestety wszystkie pokoje mamy zajęte. Zamówione aż do listopada.

- No to udawajmy obydwaj, że mój pokój jest podwójny - powiedział Willie. - Może pan to uwzględnić w rachunku.

- Obawiam się, że to wykluczone - zabrzmiał znów głos. - Numer jest stanowczo pojedynczy, przeznaczony tylko dla jednej osoby. W tej sytuacji młoda osoba płci żeńskiej będzie zmuszona opuścić pokój.

- Młoda osoba, o której mowa, nie mieszka tutaj i miejsca hotelowego nie zajmuje. Jest u mnie z wizytą. Zresztą to moja żona.

- Czy pan kapitan ma przy sobie świadectwo ślubu?

- Kochanie - powiedział głośno Willie i przybliżył słuchawkę do głowy Gretchen - czy masz przy sobie nasze świadectwo ślubu?

- Zostawiłam w domu - powiedziała możliwie najbliżej słuchawki.

- Przecież mówiłem, żebyś nigdy nie wybierała się w podróż bez tego dokumentu - padły słowa mężowskiej przygany.

- Bardzo przepraszam, kochanie - odrzekła potulnie Gretchen.

- Moja żona zostawiła w domu świadectwo ślubu - podjął Willie do telefonu. - Jutro je okażemy. Polecę przysłać je ekspresem.

- Panie kapitanie, nasz regulamin nie pozwala na wizyty młodych osób płci żeńskiej - odpowiedział głos.

- Od kiedy to? - Willie był naprawdę zły. - Ta dziura słynie stąd do Bangkoku jako melina pedziów, bukmacherów, handlarzy narkotyków, alfonsów i paserów. Jeden uczciwy policjant zapełniłby cały kryminal facetami z rejestru waszych gości...

- Obecnie znajdujemy się pod nowym zarządem - wyjaśnił głos.

Należymy do całego łańcucha pierwszorzędných hoteli, więc zależy nam na innej atmosferze. Panie kapitanie, jeżeli ta młoda osoba nie opuści pokoju w ciągu pięciu minut, będę zmuszony udać się na górę.

Gretchen wstała już z łóżka i naciągała figi.

- Nie - zwrócił się do niej Willie z nutą prośby.

Uśmiechnęła się doń z pobłażaniem.

- Niech cię szlag trafi, łobuzie! - krzyknął Willie i z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Zaczął mocować się znów z gorsetem, szarpać sznurówkę.

- I człowiek bił się za takich skurwysynów - mówił. - O tej porze za żadne skarby świata nie dostanę innego pokoju w tym przeklętym mieście.

Gretchen parsknęła śmiechem. On popatrzył na nią i po chwili roześmiał się również.

- Następnym razem, kochanie - powiedział - pamiętaj, na miłość boską, o świadectwie ślubu.

Przez hall przeszli z godnością, ostentacyjnie pod rękę, udając, że nie ponieśli porażki. Połowa obecnych w hallu mężczyzn wyglądała na detektywów hotelowych, więc niepodobna było zorientować się, do którego z nich należał głos z telefonu.

Nie chcieli rozstać się zaraz, więc ruszyli w stronę Broadwayu i u Nedicka wypili oranżadę, co dało im delikatny posmak tropików na północnej szerokości geograficznej. Później na Czterdziestej Drugiej Ulicy weszli do całonocnego kina, gdzie siedząc pośród

wykolejenców, ludzi dotkniętych bezsennością, zbrojenców i żołnierzy, którzy czekali na poranne autobusy, oglądali film „Skamieniały las” z Humphreym Bogartem w roli Księcia Mantee.

Kiedy film dobiegł końca, nadal nie chcieli rozstać się zaraz, więc po raz drugi obejrzeli „Skamieniały las”.

Po wyjściu z kina w dalszym ciągu nie chcieli rozstać się zaraz, wobec czego Willie odprowadził Gretchen aż do YWCA ulicami pośród milczących, opustoszałych budowli, sprawiających wrażenie zdobytych fortec, w których nie darowano życia nikomu z obrońców.

Świtało, gdy pocałowali się przed frontem domu YWCA. Willie spojrzał z odrazą na mroczny masyw budynku oraz jedyną latarnię nad wejściem wskazującą przyzwoitym młodym kobietom drogę z miasta do ich przyzwoitych łóżek.

- Jak sądzisz? - zapytał. - Czy na przestrzeni świetlnych dziejów tego gmachu pieprzył się tu kto kiedy?

- Bardzo wątpię - odpowiedziała.

- Wzdrygasz się na myśl o tym wszystkim, prawda - podjął posepnie i pokiwał głową.

- Donżuan w gorsecie! Zawiedziony amant! Możesz nazywać mnie patałachem.

- Nie bierz tak tego do serca - podchwyciła. - Przed nami inne noce.

- Jakie?

- Takie, jak miała być dzisiejsza.

- Jak miała być dzisiejsza - podjął wolno. - Chyba dnia nie przeżyję. Długie godziny poświęcę ciężkiej pracy. Będę szukał pokoju hotelowego. Może być na Coney Island albo w Babylon, albo w Pelham Bay, ale pokój znaleźć muszę. Dla kapitana Abbotta z małżonką. Weźmiesz z sobą walizę, co? Możesz napełnić ją starymi numerami „Time'u”, żebyśmy mieli coś do czytania, gdy dokuczy nam nuda.

Ostatni pocałunek i Willie odszedł - mały i pognębiony w mdłym świetle brzasku. Dobrze że dziś wieczorem będzie w mundurze, pomyślała Gretchen. Gdyby pokazał się po cywilnemu, żaden portier hotelowy nie uwierzyłby chyba, że tak młody chłopak może mieć żonę.

Kiedy zniknął jej z oczu, weszła na kilka stopni i śmiało wkroczyła do domu YWCA. Starsza pani z recepcji zmierzyła ją złym wzrokiem, lecz Gretchen sięgnęła po klucz i powiedziała „dobranoc” tonem tak naturalnym, jak gdyby poranek zaglądnący przez okna był jedynie złudzeniem optycznym.

ROZDZIAŁ VIII

Klotylda myła włosy Tomowi, który siedział wśród obłoków pary w wielkiej wannie stryja Harolda i Tante Elzy, oczy miał zamknięte i prawie drzemał, jak zwierzę wygrzewające się na skale w promieniach słońca. Stryj Harold i Tante Elza z obydwoma córeczkami byli na dorocznym, dwutygodniowym urlopie w Saratodze, więc Tom i Klotylda mieli cały dom na swój wyłączny użytek. W niedzielę stacja obsługi była nieczynna. Skądś z daleka dobiegał głos kościelnego dzwonu.

Zwinne palce masowały skórę na głowie Toma, pieściły jego kark pokryty pachnącą mydlaną pianą. Klotylda za swoje własne pieniądze kupiła dlań w drogerii specjalne mydło. Nazywało się „Sandałowe”.

Gdy przyjedzie stryj Harold, Tom będzie musiał wrócić do starej, poczciwej „Kości słoniowej” po pięć centów kawałek. Stryj Harold podejrzewałby coś niedobrego, gdyby przypadkiem zwietrzył zapach „Sandałowego”.

- Teraz wypłuczę ci włosy, Tommy - powiedziała Klotylda.

Położył się w wodzie, zanurzył głowę, a jej palce poczęły pracować gorliwie wśród jego włosów, wypłukiwać z nich mydlaną pianę.

Później wyprostował się prychając i parszcząc.

- Teraz paznokcie - oznajmiła.

Przykłękła obok wanny i szczotką jęła szorować czerń smarów, które wżarły się w palce Toma, osiadły pod paznokciami. Klotylda była naga, a jej ciemne włosy opadały kaskadą na nisko osadzone, pełne piersi. Nawet klęcząc pokornie nie wyglądała bynajmniej na czyjąkolwiek służkę.

Tom miał różowe dłonie i paznokcie, gdy po ostatnim, dokładnym przeglądzie Klotylda odłożyła szczotkę na obudowę wanny. Jej obrączka ślubna połyskiwała wśród białej piany.

- Teraz reszta - zakomenderowała.

Stała w wannie. Ona podniosła się z klęczek, by mydlić go dokładnie od ramion ku dołowi. Miała szerokie biodra i masywne, mocne nogi. Jej śniada skóra, nos trochę przypłaszczony, wystające kości policzkowe i długie proste włosy przypominały Tomowi widywane w podręcznikach historii rysunki, które przedstawiały młode Indianki witające w puszczy pierwszych białych osadników. Na prawym ramieniu miała bliznę - białawy półksiężyc o postrzępionych brzegach. To mąż uderzył ją polanem drewna. Dawno temu. W Kanadzie. Nie chciała mówić o swoim mężu. Tom patrzył na nią i czuł, że coś dziwnego

dzieje się w jego gardle. Nie zdawał sobie sprawy, czy jest bliski śmiechu, czy płaczu.

Macierzyńskie dłonie dotykały go lekko, czule, robiły rzeczy całkiem niemacierzyńskie. Były śliskie wśród perfumowanego mydła między pośladkami - między udami obiecujące. Tom czuł całą orkiestrę w genitaliach. Drewno i mosiądz. Słuchając wciąż beczenia gramofonu ciotki nauczył się lubić Wagnera. „Nareszcie cywilizujemy dzikiego liska.” Tak powiedziała raz Tante Elza dumna z nieoczekiwanego osiągnięcia kulturalnego.

- Teraz nogi - powiedziała Klotylda.

Posłusznie wsparł stopę o brzeg wanny, jak podkuwany koń.

Klotylda, nie dbając o swoje włosy, mydliła ją z nabożeństwem, jak gdyby czyściła do połysku kościelne srebra. Tom uprzytomnił sobie, że nawet palce u nóg mogą stanowić źródło przyjemności.

Uporała się z drugą nogą, a on wyprostował się stojąc w wannie - lśniący, spowity parą. Spojrzała nań, przypatrzyła mu się z uwagą.

- Chłopięce ciało - powiedziała. - Wyglądasz jak święty Sebastian.

Bez strzał.

Nie był to żart. Klotylda nie żartowała nigdy. W tej chwili Tom uprzytomnił sobie po raz pierwszy w życiu, że jego ciało może mieć jakąś wartość, niezależnie od swoich funkcji. Ma się rozumieć, wiedział że jest silny i zwinny, a jego ciało jest sprawne w sporcie i w bójkach, lecz nigdy nie powstało mu w głowie, że samo przypatrywanie się temu ciału jest w stanie wywołać czyjś zachwyt.

Zawstydził się trochę że nie ma jeszcze włosów na piersi, a niżej jego owłosienie przedstawia się bardzo mizernie.

Szybkim ruchem obydwu rąk Klotylda upięła włosy w węzeł na czubku głowy. Później weszła też do wanny, sięgnęła po mydło i piana ją wnet połyskiwać na jej skórze. Mydliła się cała metodycznie, bez kokieterii. Później obydwójce osunęli się do wody i przez czas pewien leżeli spokojnie.

Gdyby stryj Harold zachorował i umarł w Saratodze, gdyby to samo przytrafiło się jego żonie i córkom, Tom z chęcią pozostałby na zawsze w Elysium i w tym domu.

Kiedy woda zaczęła stygnąć, wyszli z wanny. Klotylda sięgnęła po jeden z ulubionych, wielkich ręczników Tante Elzy i starannie wytarła Toma. Później zajęła się szorowaniem wanny, a on poszedł do sypialnego pokoju Jordachów i tam położył się na czystym, świeżo posłanym łóżku.

Za oknami brzęczały pszczoły, a światło sączące się przez szpary w zielonych żaluzjach odmieniało sypialnię w tajemniczą grootę.

Komoda stojąca pod ścianą sprawiała wrażenie okrętu na szmaragdowym morzu. Za jedno takie popołudnie chętnie spaliłby tysiące krzyżów.

Ona nadeszła cicho z włosami rozpuszczonymi znowu, na inną teraz okazję. Jej twarz miała ten delikatny, jak gdyby daleki wyraz pełen zagadkowego skupienia - wyraz, którego Tom oczekiwał; do którego tęsknił.

Z falą zapachu sandałowego drzewa położyła się obok niego.

Dotknęła go ostrożnie, pieszczotliwie. Było to dotknięcie pełne uwielbienia, akt miłosny różny od wszystkich innych, zupełnie niepodobny do chichotliwego po pensjonarsku wyuzdania bliźniaczek lub do zawodowego podniecenia kobiety z McKinley Street w Port Philip. Trudno było uwierzyć, że ktoś może naprawdę chcieć dotykać go w taki sposób.

Czule, łagodnie wziął ją przy akompaniamencie pszczoł, które zbierały nektar z kwiatów rosnących w korytkach za oknem. Był teraz sprawny, wyszkolony, szybko i dobrze wyszkolony przez to rozrosłe, indiańskie ciało. Zaczekał na nią, a gdy było po wszystkim, leżeli na wznak obok siebie i Tom zdawał sobie sprawę że w każdej chwili zrobiłby dla niej wszystko, absolutnie wszystko, czego by zażądała.

Pożegnała go ostatnim pocałunkiem w szyję.

- Zostań tu. Zawołam cię, jak będę gotowa.

Wysunęła się z łóżka i słychać było, że ubiera się w łazience, a następnie cicho, powoli zstępuje po schodach do kuchni. Tom leżał zapatrzony w sufit pełen szczęścia i pełen goryczy. Z odrazą myślał, że ma dopiero szesnaście lat, więc nic kompletnie nie zdoła dla niej zrobić. Może przyjmować bezcenny dar, jaki Klotylda składa mu z samej siebie, może nocami zakradać się do jej pokoju, ale nie może zabrać jej na spacer do parku albo dać jej apaszki w prezencie, bo poszedłby w ruch jakiś język, czy też bystry wzrok ciotki wypatrzyłby nowy kolor w szufladzie obskurnej komody, która stoi w pokoiku za kuchnią. Nie może zabrać jej z tego piekielnego domu, gdzie biedna haruje niby niewolnica. Ach, gdyby miał dwadzieścia lat.

Święty Sebastian!

Cicho weszła do pokoju.

- Chodź jeść - powiedziała.

- Jak będę miał dwadzieścia lat - odezwał się z łóżka - przyjadę tutaj, żeby cię zabrać.

- Mój mężczyzna - uśmiechnęła się i odruchowo obróciła na palcu obrączkę ślubną. -

Tylko nie marudź. Jedzenie jest gorące.

Pośpieszył do łazienki, ubrał się prędko i zszedł na dół do kuchni.

Na kuchennym stole stały kwiaty pomiędzy dwoma nakryciami. Floksy.

Niebieskofiołkowe. Klotylda zajmowała się również ogrodem. Miała do tego zręczną rękę: „Moja Klotylda to perła - usłyszał raz Tom od ciotki. - W tym roku róże są dwa razy większe.”

- Powinnaś mieć własny ogród - powiedział sadowiąc się na krześle.

W intencjach ofiarowywał jej to, czego nie mógł dać w rzeczywistości. Był boso. Pod podeszwami czuł gładkie, chłodne linoleum. Wilgotne jeszcze włosy miał uczesane starannie - jasnoblonde drobne loczki i połyskujące ciemnowo. Ona lubiła wszystko schludne i lśniąco czyste - rondle i patelnie, mahoniowe meble, posadzkę w hallu od frontu, chłopców. Tyle przynajmniej był w stanie dla niej zrobić.

Postawiła przed nim miseczkę rybnego bulionu.

- Mówiłem, że powinnaś mieć własny ogród - powtórzył.

- Pij zupę - odrzekła i usiadła naprzeciw niego przed swoim nakryciem.

Na drugie danie był wyśmienity udziec jagnięcy, soczysty i miękki, z młodymi kartoflami z zieloną pietruszką, pieczonymi na tej samej co mięso brytfannie. Była też salaterka młodej fasolki z masłem i chrupka sałata rzymska przybrana pomidorami. Z boku stał talerz świeżych, gorących jeszcze wafli, spora osełka masła oraz dzbanek mleka prosto z lodówki.

Klotylda patrzyła z powagą na zajadającego chłopca, uśmiechała się, ilekroć podawał jej talerz, prosił o więcej. W czasie rodzinnego urlopu każdego rana jeździła autobusem do pobliskiego miasteczka i tam robiła zakupy za własne pieniądze. Sklepikarze z Elysium z pewnością donieśliby pani Jordach, że jej służąca kupowała wyborowe gatunki mięsa oraz nowalijki w postaci jarzyn i owoców na biesiady urządzone w kuchni, gdy pani domu była nieobecna.

Klotylda postarała się również o deser - lody waniliowe, które zrobiła tego rana, podane z gorącym czekoladowym sosem. Znała apetyt swojego kochanka. Miłość wyznała mu za pomocą dwu kanapek z bekonem i pomidorami. Dalszy ciąg wymagał bardziej wystawnego jadłospisu.

- Klotyldo - odezwał się Tom - dlaczego pracujesz tutaj?

- A gdzie miałabym pracować?

Była wyraźnie zdziwiona. Mówiła zawsze cicho, bez wyraźnej intonacji - wolno, wyraźnie i z lekkim, francusko-kanadyjskim akcentem.

- Gdziekolwiek. W sklepie. W fabryce. Nie jako służąca.

- Odpowiada mi praca w domu - odparła. - Lubię gotować. Nie tak tu źle, mój chłopcze. Twoja ciotka traktuje mnie przyzwoicie.

Docenia. To bardzo ładnie, że przyjęła mnie do pracy. Przyjechałam tu dwa lata temu. Nie znałam żywej duszy. Byłam bez centa. Bardzo lubię dwie małe dziewczuszki. Zawsze są takie czyste. I co mogłabym robić w sklepie albo fabryce? Jestem słaba w rachunkach i boję się maszyn. Odpowiada mi praca w domu.

- W cudzym domu! - obruszył się Tom, który nie mógł znieść myśli, że para spasionych głupców ma prawo rozkazywać Klotyldzie.

- W tym tygodniu to jest nasz dom - powiedziała i pieszczotliwie dotknęła jego dłoni opartej o blat stołu.

- Nigdy nie możemy pójść nigdzie razem.

- To co? - Wzruszyła ramionami. - Brak nam tu czego?

- Musimy się ukrywać! - zawołał, bo zaczynał już być zły na nią.

- To co? - Znowu wzruszyła ramionami. - Jest wiele rzeczy, dla których warto się ukrywać. Nie wszystko można robić otwarcie. Może ja lubię sekrety. - Jej twarz rozjaśnił rzadko tam widywany, łagodny uśmiech.

- Dzisiaj... - podjął z uporem, jak gdyby pragnął zasiać ziarno buntu, przemóc cierpliwą, wieśniaczą bierność. - Dzisiaj... Po takim bankiecie... - Szerokim gestem przesunął dłoń nad stołem. - Tak nie można! Powinniśmy pójść dokądś, coś zrobić, nie tylko siedzieć i siedzieć na miejscu.

- A co mielibyśmy robić? - zapytała z powagą.

- W parku jest niedzielny koncert orkiestry. I mecz baseballu.

- Wystarcza mi aż nadto gramofon twojej ciotki - odpowiedziała. - A na mecz możesz pójść sam i powiedzieć mi później, kto wygrał.

Mnie tutaj będzie dobrze. Zajmę się zmywaniem i zaczekam na ciebie, aż wrócisz do domu. Póki wracasz do domu, Tommy, mnie nie trzeba nic więcej.

- Dziś nie pójde nigdzie bez ciebie - poszedł na częściowe ustępstwo i wstał od stołu. - Będę wycierał naczynia.

- Nie ma potrzeby - odpowiedziała.

- Będę wycierał naczynia - powtórzył tonem pełnym autorytetu..

- Mój mężczyzna.

Uśmiechnęła się znowu - bez poczucia dumy, ufnie w swojej prostocie.

Następnego wieczora, gdy Tom wracał na swoim rozklekotanym Iver Johnsonie z pracy do domu, musiał przejechać obok biblioteki miejskiej. Pod działaniem nagłego impulsu zahamował, rower oparł o żelazne sztachety i wszedł do wnętrza budynku. Prawie nic nie

czytywał, nie interesowały go nawet sportowe kolumny dzienników, więc nie należał do bywalców bibliotek publicznych. Zapewne był to protest przeciwko siostrze i bratu, którzy tkwili wciąż nosem w książkach i głowy mieli pełne dziwacznych, fantastycznych pomysłów.

Onieśmiałą go cokolwiek biblioteczna cisza i nieprzychylnie badawcze spojrzenie, jakim pani bibliotekarka zmierzyła jego pomazane smarami ubranie. Zaczął przechadzać się pomiędzy regałami, nie mając pojęcia, który z tysięcy tomów mógłby zawierać poszukiwane przezeń informacje. Wreszcie podszedł do biurka i uprzejmie zwrócił się do zasiadającej tam damy.

- Bardzo panią przepraszam...

Była zajęta stemplowaniem kart bibliotecznych - jak gdyby zaledwie dostrzegalnymi, szybkimi poruszeniami dłoni przypieczętowała wyroki więzienia dla książek.

- Słucham? - rzuciła nieprzyjaźnie, bo na pierwszy rzut oka umiała poznać klienta nie obytego z książkami.

- Chciałbym, proszę pani, znaleźć coś o świętym Sebastianie.

- Co mianowicie?

- No... Tak wszystko...

Poszukaj chłopcze w Encyclopaedia Britannica. Jest w bibliotece podręcznej. Tom od SARS do SORC.

Zna swoje książki ta pani zza biurka!

- Bardzo dziękuję, proszę pani.

Postanowił, że od jutra będzie przebierał się w garażu i używał specjalnego mydła, by zmyć ze skóry przynajmniej wierzchnią warstwę tłustego brudu. Kłotyldzie też się to spodoba. No i dlaczego mają go traktować jak psa, skoro można tego uniknąć?

Odnalezienie encyklopedii zajęło mu dziesięć minut. Wreszcie jednak wyciągnął tom od SARS do SORC, zaniósł go do stolika i usiadł nad księgą. Przebiegł wzrokiem nagłówki kilku haseł. Wydały mu się dziwne. Czym też się ludzie nie zajmują!

Jest! „Sebastian św., męczennik chrześcijański, którego święto przypada 20 stycznia”.

Krótki artykuł. Nie mógł to znów być ktoś tak cholernie ważny.

„Gdy łucznicy pozostawili go jako martwego - czytał dalej - świątobliwa niewiasta, Irena, przyszła nocą, by zwłoki zabrać i uczcić pogrzebem, ale stwierdziwszy, że męczennik żyje, zaniósła go do swojego domu i opatrzyła mu rany. Powróciwszy do zdrowia święty Sebastian udał się do cezara i rzucił mu wyzwanie, ten zaś rozkazał uprowadzić go niezwłocznie i na śmierć zatłuc kijami”.

Dwa razy w imię Chrystusa. Katolicy to wariaci, pomyślał Tom, ale nadal nie

wiedział, czemu Klotylda nazwała go świętym Sebastianem, kiedy nagi stał w wannie.

Powrócił do lektury. „Święty Sebastian jest uważany za patrona chroniącego od zarazy. Jako młody i piękny żołnierz stanowi ulubiony temat sztuki sakralnej. Zazwyczaj bywa przedstawiany bez odzienia i ciężko, lecz nie śmiertelnie raniony strzałami”.

Tom zamknął książkę. Miał pełen zastanowienia wyraz twarzy. „Młody i piękny żołnierz... Zazwyczaj bywa przedstawiany bez odzienia...”

Teraz już wiedział. Klotylda. Cudowna Klotylda. Kocha go bez słów, lecz o miłości mówi swoją wiarą, swoim dobrem potraw i własnym ciałem, i wszystkim.

Dotychczas widział siebie jako komicznie wyglądającego smarkacza o aroganckim wyrazie płaskiej twarzy. Święty Sebastian! Kiedy następnym razem zobaczy te dwie piękności, Rudolfa i Gretchen, spojrzy im śmiało prosto w oczy. Starsza, doświadczona kobieta porównała go przecież do świętego Sebastiana, młodego i pięknego żołnierza! Pierwszy raz od rozstania z domem żałował, że tego wieczora nie spotka się z siostrą i bratem.

Wstał i książkę odniósł na miejsce. Zamierzał już wyjść z pokoju mieszczącego bibliotekę podręczną gdy przypomniał sobie, że musi też być jakaś święta Klotylda. Miał teraz wprawę, więc bez trudności trafił na właściwy tom i łatwo znalazł to, czego poszukiwał.

„Klotylda, św. (zm. 544), córka króla burgundzkiego Chilperyka i żona Klodoweusza, króla Franków”.

Pomyślał o Klotyldzie, która poci się przy płycie kuchennej Jordachów i pierze gacie stryja Harolda. Posmutniał. Córka króla burgundzkiego Chilperyka i żona Klodoweusza, króla Franków. Ludzie nie myślą o przyszłości, kiedy dają imiona niemowlętom.

Przeczytał hasło do końca, lecz nie znalazł tam nic szczególnie ciekawego. Klotylda nawróciła swojego małżonka, budowała kościoły takie rzeczy. Popadała też często w waśnie z rodziną. W encyklopedii nie napisano wyraźnie, czym się tak zasłużyła, by zostać świętą.

Tom odłożył książkę na miejsce, bo pilno było mu do domu, do Klotyldy. Ale zatrzymał się przed biurkiem, by podziękować pani bibliotekarce. W tym momencie poczuł słodki zapach i spostrzegł stojący na biurku bukiet narcyzów. Zielone włócznie uwieńczone białymi kwiatami w przezroczystym wazonie wypełnionym na dnie wielobarwnymi kamykami.

- Czy mógłbym, proszę pani, dostać kartę abonamentową? - zapytał nie pomyślawszy wprzód.

Spojrzała nań nie bez zdziwienia.

- Miałeś już kiedy taką kartę w innej bibliotece?

- Nie, proszę pani. Dawniej nigdy nie miałem czasu na czytanie.

Bibliotekarka przyjrzała mu się podejrzliwie, ale sięgnęła po czystą kartę i zapytała o jego imię, nazwisko, wiek oraz adres.

Wypełniła to wszystko osobliwym, przypominającym druk pismem, przystemplowała datę i kartę wręczyła Tomowi.

- Można zaraz wziąć książkę? - zapytał.

- Jak sobie życzysz.

Poszedł do biblioteki podręcznej i wrócił z tomem encyklopedii - od SARS do SORC. Chciał przestudiować dokładnie interesujące go hasło - być może nauczyć się tego na pamięć. Kiedy jednak zatrzymał się przed biurkiem i podał swoją kartę bibliotekarce, ta odprawiła go niecierpliwym gestem ręki.

- Proszę to odnieść na miejsce - powiedziała. - Książek z biblioteki podręcznej nie wypożyczamy.

Wrócił raz jeszcze i tom odstawił na regał. Wszyscy warczą na ciebie, żebyś czytał, pomyślał z urazą, a jak powiesz wreszcie:

„No dobrze, będę czytał”, zaraz częstują cię jakimś głupim przepisem.

Mimo to wychodząc z biblioteki kilkakrotnie pogłaskał tylną kieszeń spodni i z zadowoleniem namacał przyjemnie sztywną kartę abonamentową.

Obiad składał się ze smażonego kurczęcia z tłuczonymi kartoflami i jabłkowym sosem, a na deser był placek z czarnymi jagodami. Jedli to wszystko w kuchni, nie rozmawiając wiele.

Kiedy skończyli i Klotylda przystąpiła do zmywania, Tom podszedł do niej, wziął ją w objęcia i powiedział:

- Klotylda, córka burgundzkiego króla Chilperyka i żona Klodoweusza, króla Franków.

Szeroko otworzyła oczy.

- Co takiego?

- Chciałem sprawdzić, skąd się wzięło twoje imię - wyjaśnił. - Po drodze wstąpiłem do biblioteki. Ty jesteś córką króla i żoną króla.

Objęła Toma w pół i przypatrywała mu się długo. Później pocałowała go w czoło pełną wdzięczności, jak gdyby przyniósł jej cenny upominek.

W wędkarskim koszyku znajdowały się już dwie ryby. Upstrzone cętkami leżały na posłaniu w wilgotnej paproci. Potok był rzeczywiście rybny, jak w swoim czasie twierdził

Boylan. Po jednej stronie posiadłości był przepust i tamtędy wpływały wody, aby więc się poprzez tereny Boylana ku drugiemu przepustowi, umieszczonemu po przeciwległej stronie posiadłości i zaopatrzonemu w drucianą siatkę, która nie wypuszczała ryb dalej. Następnie potok spadał licznymi kaskadami zniżając ku rzece Hudson.

Rudolf miał na sobie stare ubranie ze sztruksu i kupione okazjnie strażackie buty gumowe. Tak ubrany przedzierał się wzdłuż brzegu pośród tarniny i poplątanych zawile gałęzi. Od ostatniego przystanku lokalnej linii autobusowej musiał odbyć długi spacer pod górę, ale gra warta była świeczki. Miał przecież własny, prywatny potok z pstrągami. Przychodził tu już kilkakrotnie, ale nigdy nie widział ani Boylana, ani nikogo innego. Potok przecinał całą posiadłość, lecz w żadnym miejscu nie płynął bliżej domu niż pięćset kroków.

Ostatniej nocy padało i deszcz wisiał znowu w szarym powietrzu późnego popołudnia. U brzegu grunt był rozmiękły, a pstrągi bardzo płochliwe. Ale przyjemnie było wolno posuwać się pod prąd, ostrożnie, bardzo ostrożnie poruszać muszką w miarę potrzeby, nie widzieć wokół nikogo i słyszeć tylko szmer wartkiego nurtu na kamieniach. Szkoła miała rozpocząć się za tydzień, więc Rudolf wykorzystywał, jak mógł, ostatnie dni wakacji.

Brodząc w wodzie zbliżał się do jednego z dwu ozdobnych mostków rozpiętych nad potokiem, gdy posłyszał odgłos kroków na żwirze.

Wąska alejka porośnięta zieliskiem wiodła do mostku i tą właśnie drogą nadchodził Boylan w zamszowej kurtce, kolorowej chustce na szyi i sportowych trzewikach. Rudolf zatrzymał się, zwinął kołowrotkiem linkę wędki. Czekał.

- Dzień dobry panu - powiedział wreszcie, gdy tamten przystanął na mostku.

Czuł się trochę niepewnie. Był w strachu, że Boylan nie pamięta o zaprosinach albo zaproponował mu łowienie pstrągów w potoku tylko tak sobie, przez uprzejmość, nie mówiąc tego serio.

- Szczęście sprzyja? - zapytał Boylan.

- Mam dwie sztuki w koszyku.

- Wcale nieźle jak na taki dzień - podjął Boylan spoglądając na zmaconą wodę. - Na muszki, jak widzę.

- Pan jest wędkarzem? - zapytał Rudolf i zbliżył się do mostku, gdyż nie chciał mówić tak głośno.

- Byłem. Niegdyś. Ale nie będę ci przeszkadzał. Po prostu wybrałem się na spacer i wkrótce wrócę tą samą drogą. Jeżeli zastanę cię tutaj, może zechciałbyś zrobić mi przyjemność i pójść ze mną do domu, żeby coś wypić.

- Bardzo panu dziękuję - odparł Rudolf nie obiecując wcale, że zaczeka.

Tamten pożegnał go gestem ręki i odszedł, aby kontynuować spacer.

Rudolf przystąpił do zmieniania muszki. Nową dobił zza wstążki opasującej stary kapelusz z brązowego filcu, który nosił na deszczu albo wtedy, gdy wybierał się na ryby. Węzłki zrobił sprawnie, nie tracąc czasu. Może kiedyś zostanie chirurgiem, będzie zaszywał cięcia. „Myślę, siostrze, że pacjent wyżyje”. Ile to lat? Trzy w szkole przygotowawczej, cztery w akademii medycznej i dalsze dwa na stażu. Kto miałby na to dać pieniądze? Lepiej nie ludzić się, zapomnieć.

Za trzecim zarzuceniem ryba wzięła. Na ciemnym nurcie zarysowała się brudnobiaława smuga. Rudolf odniósł wrażenie, iż to duża sztuka. Uważnie poruszał korbką kołowrotka, starał się trzymać pstrąga z dala od kamieni i gałęzi zakotwiczonych na dnie potoku.

Nie miał pojęcia jak to długo trwało. Dwukrotnie zdobycz zdawała się już jego. Dwukrotnie umykała pociągając za sobą linkę. Kiedy poczuł że ryba zaczyna słabnąć, ruszył z siatką w bród ku środkowi potoku i przy okazji nabrał do strażackich butów wody naprawdę lodowato zimnej. Dopiero wówczas, gdy pstrąga miał w siatce, uprzytomnił sobie, że Boylan wrócił i obserwuje go z mostku.

- Bravo! - zawołał, gdy Rudolf wygramolił się na brzeg, tryskając z cholew brudną wodą. - Piękna robota.

Rudolf zabił pstrąga a Boylan podszedł doń i patrzył na rybę ułożoną już w koszyku obok dwu poprzednich.

- Za nic nie mógłbym tego zrobić - podjął. - Coś żywego zabić własnymi rękami! - (Na dłoniach miał rękawiczki.) - Wyglądają jak rekiny w miniaturze, prawda?

Dla Rudolfa wyglądały po prostu jak pstrągi.

- Nigdy nie widziałem rekina - powiedział.

Zerwał trochę paproci i obłożył nimi rybę spoczywającą w koszyku.

Ojciec zje pstrąga na śniadanie. Bardzo lubi pstrągi. Należy mu się słusznie za urodzinowe wędzisko z kołowrotkiem.

- Łowisz kiedy w Hudsonie? - zapytał Boylan.

- Bardzo rzadko. Czasami w sezonie zapędza się aż tam złotośledź.

- Kiedy mój ojciec był wyrostkiem, łowił w Hudsonie łososie - podjął tamten. - Wyobrazasz sobie, chłopcze, jak rzeka musiała wyglądać, gdy byli tutaj Indianie? Niedźwiedzie i rysie na brzegach. Jelenie przychodziły do wodopoju.

- Raz widziałem jelenia - powiedział Rudolf, który nigdy nie zastanawiał się, jak mogła wyglądać rzeka Hudson w czasach, gdy czółna Irokezów pręły jej wody.

- Jeleń to szkodnik na polach. Wielki szkodnik - podjął Boylan.

Rudolf chciałby usiąść i ściągnąć buty, pozbyć się z nich wody.

Pamiętał jednak, że ma reperowane skarpety, wolał więc nie demonstrować grubych cer matczynej roboty.

- Powinieneś chyba wylać wodę z butów - powiedział Boylan, jak gdyby odczytał jego myśli. - Musi być diablo zimna.

- Rzeczywiście. Jest zimna. - Ściągnął jednak but, później drugi, na co Boylan zdawał się nie zwracać uwagi.

Rozglądał się po zarosłym dziko lesie, który stanowił własność jego rodziny od czasów wojny secesyjnej.

- Dawniej widziałbyś dom z tego miejsca - mówił. - Nie było tych wszystkich krzaków. Dziesięciu ogrodników pracowało stale na tym terenie. Latem i zimą. Teraz tylko raz do roku przychodzą ludzie ze stanowego nadzoru rybołówstwa. Nikt więcej. Niepodobna dostać nikogo do pracy. Cóż? To wszystko nie ma sensu. - Powiódł wzrokiem po gęstych liściach krzaczastych dębów, po olchach i dereniu nie kwitnącym o tej porze roku. - Wszystko to dziki samosiew.

Pierwotna puszcza, a wśród niej zły jest tylko człowiek. Kto to powiedział?

- Longfellow.

Rudolf wciągnął buty na do cna przymiękłe skarpety.

- Dużo czytujesz? - zapytał Boylan.

- Ta lektura obowiązuje w szkole - odpowiedział, bo nie chciał się chwalić.

- Miło mi, że nasze programy szkolne nie pomijają rodzimych piewców, jeżeli nawet są to piewcy o cokolwiek drewnianym głosie.

Znów ta cudaczna gadanina, pomyślał Rudolf. Komu on chce imponować? Sam nie bardzo lubił Longfellowa, ale skąd taki ton wyższości u Boylana. Jakie to wiersze sam napisałeś, bratku?

- Aha! - zmienił tamten temat. - Mam chyba w domu stare wadery po biodra. Bóg wie, kiedy je kupiłem. Mógłbyś je dostać, jeżeli będą pasować. I co? Nie poszedłbyś ze mną, żeby te wadery przymierzyć?

Rudolf zamierzał pojechać prosto do domu. Czekala go długa droga do przystanku autobusowego, a wieczorem miał być na obiedzie w domu Julii i później wybrać się z nią do kina. Ale wadery... Nowe kosztują przeszło dwadzieścia dolarów.

- Bardzo dziękuję, panie prezesie - powiedział.

- Nie tytułuj mnie panem prezesem - obruszył się Boylan. - I bez tego czuję się

wystarczająco stary.

Zarosłą ścieżką ruszyli w kierunku domu.

- Pozwól, że ja poniosę koszyk - podjął Boylan.

- Nie, jest ciężki.

- To nic. Będę miał wrażenie, że zrobiłem dzisiaj coś pożytecznego.

Jest smutny, pomyślał chłopiec ze zdziwieniem. Czemu jest równie smutny jak moja matka?

Podał Boylanowi koszyk, a ten zarzucił sobie ramię na ramię.

Stojący na wzgórzu dom - nieprzydatna na nic warownia z gotyckiego kamienia - był olbrzymi, odporny wobec szturmów rycerstwa w zbrojach i wszelkich depresji gospodarczych.

- Śmieszna budowla, co? - bąknął Boylan.

- Istotnie - zgodził się Rudolf.

- Zgodny jesteś, mój chłopcze, układny - roześmiał się pan domu. - Wejdz, proszę. -

Otworzył masywne dębowe drzwi.

Tędy wchodziła tutaj moja siostra, pomyślał Rudolf. Powinienem zawrócić.

Ale nie zrobił tego.

Znaleźli się w przestronnym, mrocznym hallu o marmurowej posadzce, z widoczną w głębi szeroką klatką schodową. Stary mężczyzna w alpagowej kurtce i muszce pojawił się niezwłocznie, jak gdyby samo wkroczenie do domu jego pana działało - niczym magnes na służbę.

- Dobry wieczór, Perkins - zwrócił się doń Boylan. - To pan Jordach, młody przyjaciel rodziny.

Perkins zdobył się na nikły cień ukłonu. Wyglądał na Anglika.

Wyraz jego twarzy zdawał się mówić: „Za króla i ojczyznę”. Wziął zniszczony kapelusz młodego przyjaciela rodziny i położył na stole pod ścianą gestem takim, jak gdyby składał wieniec na monarszym grobowcu.

- Bądź tak dobry, Perkins - podjął Boylan - i pójdz do zbrojowni, gdzie powinieneś znaleźć moje stare wadery. Pan Jordach jest wędkarzem, co nietrudno stwierdzić - dodał i otworzył koszyk.

- Ryby dobrej miary, proszę pana prezesa - powiedział Perkins oceniając pstrągi wzrokiem szafarza królewskiego dworu.

- Rzeczywiście, dobrej miary.

Ci dwaj prowadzili jakąś etykietalną grę, której zasady były obce Rudolfowi.

- Zanieś je kucharce - mówił dalej pan do sługi. - Zapytaj, czy mogłaby zrobić z nich coś na obiad. Zostaniesz na obiedzie, prawda, Rudolfie?

Zawahał się. Znowu sprawi zawód Julii. Ale cóż? Łowił przecież pstrągi w potoku Boylana i ma dostać od niego wadery.

- Jeżeli mógłbym zatelefonować - powiedział i pomyślał, że Aksel Jordach nie zje pstrąga na śniadanie.

- Oczywiście - zawołał Boylan i zwrócił się znów do Perkinsa: - Powiedz kucharce, że obiad będzie na dwie osoby. Aha! I przy okazji bądź łaskaw przynieść dla pana Jordacha porządne, ciepłe skarpetki, a także ręcznik. Pan Jordach przemoczył nogi. Nie czuje tego teraz, bo jest bardzo młody ale za czterdzieści lat, gdy będzie w naszym wieku i z trudem pokuśtyka do kominka, reumatyzm przypomni mu dzisiejsze popołudnie.

- Słucham panie prezesie - odrzekł Perkins i ruszył do kuchni czy też zbrojowni; czy jaka tam miała być kolejność.

- Myślę, że poczujesz się lepiej, jeżeli tutaj zdejmiesz buty - powiedział Boylan.

Było to wyrażone uprzejmie napomnienie, że nie życzy sobie, by gość zostawiał ślady błota w całym domu. Rudolf zrzucił buty i znów zrobiło mu się głupio z powodu cerowanych skarpet.

- Tutaj wejdziemy. Proszę. - Boylan pchnął dwuskrzydłowe drzwi z rzeźbionego drewna. - Mam nadzieję, że Perkins był łaskaw rozniecić ogień. Ten dom jest chłodny nawet przy dobrej pogodzie.

W najpiękniejsze dni mamy tu listopad. A dzisiaj kiedy deszcz wisi w powietrzu, człowiek lodowacieje do szpiku kości.

Raz, dwa. Raz, dwa, myślał Rudolf człapiąc bez butów w stronę drzwi, które Boylan trzymał dlań otwarte. Niech będzie, co ma być.

Wszedł do największego prywatnego pokoju, jaki widział w życiu - do pokoju, w którym nic nie przypominało listopada. Wysokie okna były zasłonięte kotarami z ciemnopurpurowego aksamitu. Rzędy regałów pełnych książek stały pod ścianami obwieszonymi licznymi malowidłami. Były to przeważnie bardzo barwne portrety dam w dziewiętnastowiecznych strojach i solidnych, starszawych panów z brodami, a także olejno malowane krajobrazy o spękany werniksie, przedstawiające - co Rudolf poznał łatwo - dolinę rzeki Hudson z czasów gdy były tam wyłącznie pola uprawne i lasy. Na fortepianie leżały stopy nut w oprawnych albumach, a pod ścianą znajdował się stolik zastawiony butelkami. Widać też było olbrzymi tapczan tapicerski, głębokie, kryte skórą fotele i biblioteczne biurko zarzucone czasopismami. Olbrzymi perski dywan w pastelowych barwach

sprawił wrażenie stuletniego, a niedoświadczonym oczom Rudolfa wydawał się lichy i bardzo zniszczony. Perkins był łaskaw rozniecić ogień na kominku. Trzy polana trzaskały za grubą kratą, a kilka lamp rozjaśniało pokój łagodnym, wieczornym światłem.

Rudolf postanowił w jednej chwili, że kiedyś w przyszłości będzie właśnie tak mieszkał.

- Cudowny pokój - powiedział całkiem szczerze.

- Za duży dla samotnika. Człowiek błąka się tutaj i objaja - uśmiechnął się gospodarz. - Należę whisky, dobrze?

- Bardzo dziękuję - zgodził się chłopiec.

Jego siostra zamawiała whisky w barze hotelu „Port Philip”.

Obecnie jest w Nowym Jorku z powodu tego mężczyzny. To źle czy dobrze? Znalazła już pracę, jak pisze. Jest aktorką. Da mu znać o dniu premiery sztuki. Wyprowadziła się też z domu YWCA. Zmienia adres. Nie trzeba mówić o tym mamusi ani tacie, ale zarabia sześćdziesiąt dolarów tygodniowo.

- Chciałeś zatelefonować do kogoś - podjął Boylan zajęty nalewaniem whisky. - Aparat jest na tym stoliku pod oknem.

Rudolf podniósł słuchawkę, czekał na głos telefonistki. Ze srebrnej ramki stojącej na fortepianie uśmiechała się doń bardzo piękna blondynka o włosach uczesanych niemodnie.

- Numer proszę - usłyszał.

Podał numer Julii. Miał nadzieję, że nie zastanie jej w domu, więc będzie mógł tylko zostawić wiadomość. Tchórzostwo. Jeszcze jeden minus w rachunku własnych wad i zalet.

Po dwu dzwonekach odezwał się głos Julii.

- Julio... - rozpoczął niepewnie.

- Rudi!

Radosny ton zabrzmiał niby wymówka. Wolałby, żeby Boylana nie było w pobliżu.

- Bo widzisz, Julio... Chodzi o dzisiejszy wieczór. Coś wyniknęło...

- Co znowu wyniknęło?

Ton był kamienny. To dziwne że śliczna, młodzietka dziewczyna, która potrafi śpiewać jak skowronek, potrafi również jak gdyby zatrzaskać wrota w brzmieniu swojego głosu pomiędzy jednym zdaniem, a drugim.

- Nie mogę wyjaśnić ci teraz, ale...

- Czemu nie możesz wyjaśnić mi teraz?

Przez ramię spojrział w stronę Boylana.

- Po prostu nie mogę. Ale możemy przecież odłożyć to na jutro.

Będzie ten sam film i...

- Idź do diabła! - Odłożyła słuchawkę.

Rudolf czekał przez chwilę cały rozdygotany. Że też dziewczyna może być taka... taka stanowcza.

- To świetnie, Julio - podjął do głuchego telefonu. - Zobaczymy się jutro. Do widzenia.

Osądził, że przedstawienie wypadło nie najgorzej i on z kolei odłożył słuchawkę.

- Masz tutaj swoją whisky - zawołał Boylan z drugiego końca pokoju, zostawiając rozmowę telefoniczną bez komentarzy. - Nasze kawalerskie! - dodał, kiedy jego gość podszedł i sięgnął po szklanę.

Rudolf nie mógł się zdobyć na „nasze kawalerskie”, lecz trunek rozgrzał go, a nawet smak miał wcale niezły.

- Pierwszy łyk dzisiaj - podjął gospodarz pobrzękując kostkami lodu w szklance. - Dzięki, żeś przyjął zaproszenie. Nie pijam sam, a bardzo było mi tego potrzeba. Miałem piekielnie nudne popołudnie. Proszę cię, siadaj.

Wskazał wielki fotel w bliskości ognia. Rudolf usiadł, a on stanął wsparty o półkę nad kominkiem, którą zdobiła chińska figurka z gliny - koń bardzo krępy i o bojowym wyglądem.

- Przez całe popołudnie byli tu faceci z towarzystwa ubezpieczeń - ciągnął Boylan. - W kwestii tego idiotycznego pożaru w dzień...

raczej w noc zwycięstwa. Widziałeś wtedy płonący krzyż?

- Słyszałem o tym.

- Ciekaw jestem, dlaczego podpalacze wybrali właśnie moją posiadłość. Nie jestem katolikiem ani z całą pewnością Murzynem, ani Żydem. Ku-Klux-Klan w naszych stronach ma chyba wyjątkowo kiepski wywiad. Faceci z towarzystwa ubezpieczeń wypytywali mnie, czy mam jakichś osobistych wrogów. Może ty, Rudolfie, słyszałeś o kimś w mieście?

- Nie słyszałem - odpowiedział przezornie.

- Z całą pewnością mam - podjął Boylan. - Mówię o wrogach. Tyle że wrogowie unikają zazwyczaj rozgłosu. Szkoda że nie spalili krzyża bliżej domu. Całe to mauzoleum mogłoby wtedy pójść z dymem. Prawie nie tknąłeś whisky.

- Pijam bardzo powoli.

- Mój dziad budował na wieczność i akurat mnie przyszło tu mieszkać. - Boylan parsknął śmiechem. - Wybaczże tyle gadam.

Rzadko zdarza się tu okazja pogawędki z kimś, kto rozumie co się do niego mówi.

- Więc czemu pan tu mieszka? - zapytał Rudolf z istic młodzieńczą logiką.

- Taki mój los - odrzekł tamten w szyderczo melodramatycznym tonie. - Jestem przykuty do skały i ptak drapieżny wyżera mi wątrobę. Wiesz i tym razem, kogo mam na myśli?

- Prometeusza.

- Czy to też wiadomość ze szkoły?

- Tak - odpowiedział i omal nie dodał: „Ja, mój panie, wiem o bardzo rozmaitych sprawach”.

- Wystrzegaj się starych rodzin - ciągnął gospodarz, który szybko opróżnił szklanę i odszedł od kominka, żeby napełnić ją ponownie.

- Często trzeba płacić za ich wygórowane ambicje. Jesteś obarczony rodziną, Rudolffie? Masz jakichś przodków, którym nie wolno sprawiać zawodu?

- Nie mam żadnych przodków.

- Prawdziwy Amerykanin - rzucił gospodarz. - Aha! Są wadery.

Perkins wkroczył do pokoju niosąc długie po biodra, gumowe buty, ręcznik oraz parę jasnyniebieskich wełnianych skarpet.

- Bądź łaskaw, Perkins, połóż gdzieś tu to wszystko - zwrócił się doń pan domu.

- Słucham, panie prezesie.

Perkins ustawił wadery w zasięgu ręki Rudolfa, ręcznik przerzucił przez poręcz fotela, skarpetki położył na znajdującym się obok stoliku.

Rudolf zdjął i zamierzał schować do kieszeni swoje skarpetki, lecz Perkins odebrał mu je niezwłocznie. Nie miał wyobrażenia, co taki służący i w takim domu może uczynić z parą przemiękłych do cna, pocerowanych, bawełnianych skarpet. Osuszył stopy pachnącym lawendą ręcznikiem i naciągnął skarpetki z delikatnej, miękkiej wełny. Później wstał, aby przymierzyć wadery. Od razu zauważył małe, trójkątne rozdarcie na kolanie jednego, sądził jednak, że nieuprzejmie byłoby napomknąć o tym.

- Pasują, jak ulał - powiedział i dodał w myśli: „Pięćdziesiąt dolarów. Co najmniej pięćdziesiąt dolarów. W takim obuwiu czuję się jak D'Artagnan”.

- Kupiłem je chyba przed wojną - podjął Boylan. - Kiedy porzuciła mnie żona. Myślałem wtedy, że zajmę się wędkarstwem.

Rudolf spojrział nań szybko. Chciał przekonać się, czy Boylan żartuje, lecz w jego oczach nie dostrzegł błysku dobrego humoru.

- Próbowałem też towarzystwa psa. To był duży wilczur irlandzki.

Brutus. Cudowne psisko! Miałem go pięć lat i przywiązaliśmy się do siebie. Później ktoś otrul ten mój surogat. - Roześmiał się krótko. - Wiesz, Rudolffie, co to znaczy surogat?

- Wiem - odpowiedział rozdrażniony pytaniami na wzór szkolny.

- Ma się rozumieć - powiedział tamten nie pytając o definicję. - Tak. Bez wątplenia muszę mieć wrogów. Albo po prostu mój Brutus gonił czyjeś kury.

Rudolf ściągnął i trzymał w ręku buty nie wiedząc, co z nimi robić.

- Postaw to gdziekolwiek - powiedział gospodarz. - Perkins włoży wadery do samochodu, jak będę cię odwoził do domu. Do licha! - Zauważył drobne rozdarcie. - Są uszkodzone, słowo daję!

- To drobiazg. Odda się je do wulkanizacji.

- Nie, nie. Perkins się tym zajmie. On przepada za reperowaniem rozmaitych rzeczy.

Boylan powiedział to takim tonem, jak gdyby Rudolf miał pozbawić Perkinsa największej przyjemności, gdyby reperację waderów wziął na siebie. Z tymi słowami ruszył w stronę stolika barowego. Uznał trunek za nazbyt rozcieńczony wodą, więc do swojej szklanki dolał whisky.

- Chciałbyś obejrzeć dom, Rudolfie? - Uparcie zwracał się doń po imieniu.

- O, tak.

Bardzo był ciekaw, jak może wyglądać zbrojownia. Takie muzeum widział tylko raz w życiu. W Brooklynie, kiedy pojechał tam na zawody lekkoatletyczne.

- To dobrze. Będzie ci to pomocne, kiedy sam zostaniesz przodkiem.

Zorientujesz się, jaką krzywdę można wyrządzić przyszłym potomkom.

Szklankę weź z sobą.

W hallu stała duża rzeźba z brązu przedstawiająca tygrysięcę, która rozdziera pazurami grzbiet bawołu.

- Dzieło sztuki - mruknął Boylan. - Gdybym był patriotą, oddałbym to w czasie wojny do przetopienia na armaty.

Otworzył kolosalne, dwuskrzydłowe drzwi rzeźbione w kupidynki i girlandy.

- Sala balowa - oznajmił i przycisnął wyłącznik na ścianie.

Pokój był ogromny - prawie tak duży jak sala gimnastyczna w szkole. U wysokiego na dwa piętra sufitu wisiał wielki kryształowy żyrandol cały spowity w płótna. Było w nim ledwie kilka żarówek, które przez zabezpieczającą osłonę świeciły mętnie, anemicznie.

Pod ścianami stały szeregami dziesiątki drewnianych krzeseł w pokrowcach.

- Mój ojciec mówił - ciągnął pan domu - że jego matka podejmowała tu raz siedemset osób. Orkiestra grała walce. Dwadzieścia pięć instrumentów! Istny wieczór klubowy. Prawda, Rudolfie. Grywasz nadal w „Jack i Jill”?

- Nie. Skończył się nasz trzytygodniowy kontrakt.

- Uroczą dziewczyną z tej małej... - Jakże jej na imię?

- Julia.

- Oczywiście! Julia. Nie spodobałem się jej, prawda?

- Nic nie mówiła na ten temat.

- Powtórz jej, że moim zdaniem jest uroczą. Może to udobrucha małą Julię.

- Dobrze. Powtórzę.

- Siedemset osób! - Boylan podniósł ręce tak, jak gdyby obejmował partnerkę i zaskakująco lekko wykonał parę walcowych kroków; whisky przysnęła ze szklanki na jego dłoń. - Miałem niegdyś wielkie wzięcie na wieczorkach tanecznych z okazji towarzyskiego debiutu młodych panienek. - Sięgnął po chustkę do nosa i wytarł rękę. - Może sam wydam tu bal. Bal w wigilię Waterloo. Wiesz coś i o tym?

- Tak. Chodzi o oficerów Wellingtona. Widziałem w kinie Becky Sharp.

Czytał również Byrona, lecz nie zamierzał się popisywać przed Boylanem.

- A znasz „Pustelnię Parmeńską”?

- Nie.

- Przeczytaj, kiedy będziesz trochę starszy - powiedział Boylan obiegając salę balową ostatnim spojrzeniem. - Biedny Stendhal!

Marniał w Civitavecchia, później umarł w zapomnieniu, lecz został wierzycielem potomności.

Aha, pomyślał Rudolf. Widać, że przeczytałeś tę książkę. Zarazem jednak był zadowolony. Bądź co bądź uczestniczył w rozmowie literackiej.

- Port Philip to dla mnie Civitavecchia - zakończył gospodarz.

Byli znów w hallu i Boylan zgasił żyrandol. Jeszcze raz zajrzał do przestrzennej, spowitej w płótna ciemności.

- Przybytek godny sów - powiedział.

Drzwi zostawił otwarte i poprowadził gościa w głąb domu.

- Biblioteka - rzucił zwięźle, uchylając następne drzwi, za którymi znajdował się bardzo duży pokój, cały obstawiony książkami, pachnący skórą i kurzem.

- Oprawne komplety dzieł - wyjaśnił i drzwi zamknął. - Cały Wolter. Takie rzeczy. Kipling.

Otworzył następne drzwi i włączył światła.

- Zbrojownia. Każdy inny nazwałby to gabinetem myśliwskim, ale mój dziad miał gest i rozmach.

Pokój miał boazerię z mahoniem na wysoki połysk, a na oszklonych szaragach stały

rzędami fuzje myśliwskie i sztucery. Ściany zdobiły trofea - poroża i wypchane bażanty o długich, lśniących wielobarwnie ogonach. Broń połyskiwała od oliwy. Wszystko było idealnie odkurzone, a mahoniowe komody z błyszczącymi okuciami z brązu przywodziły na myśl kabinę okrętową.

- Jesteś strzelcem, Rudolfie? - zapytał Boylan sadowiąc się okrakiem na krytym skórą stołku w kształcie siodła.

- Nie - odrzekł chłopiec, którego ręce aż świerzbiały, by dotknąć pięknej broni.

- Jeżeli chcesz, mogę cię nauczyć strzelać. Jest gdzieś w parku stare urządzenie do strzelania do rzutków. No a zwierzyny pozostało bardzo niewiele. Trochę królików. Czasami trafia się jeleni. W sezonie słyszę często wystrzały w bliskości domu.

Kłusownicy na których nie ma żadnej rady. - Rozejrzał się dokoła.

- Poręczne miejsce dla samobójców, prawda? Ha! Niegdyś było w tych stronach pełno zwierzyny. Przepiórki, kuropatwy, dzikie gołębie, jelenie. Od lat nie wystrzeliłem z broni myśliwskiej. Może uczenie ciebie wzbudzi znów moje zainteresowania. To męski sport.

Mężczyzna-łowca - dodał tonem wskazującym dokładnie, co myśli o takim określeniu własnej osoby. - Kiedy zaczniesz torować sobie drogę w świecie, może pomóc ci kiedyś opinia celnego strzelca.

Pewien chłopiec, z którym byłem w college'u, wzenił się w jedną z największych fortun Północnej Karoliny tylko dlatego, że miał niezawodną rękę i dobre oko. Przędzalnie bawełny. Grube pieniądze.

Nazywał się Reeves. Ubogi chłopiec, ale maniery miał doskonałe i to właśnie pomogło mu. Chciałbyś być bogaty, Rudolfie?

- Tak.

- A co myślisz robić po ukończeniu college'u?

- Nie wiem - odrzekł Rudolf. - To zależy od różnych okoliczności.

- Zaleciłbym prawo - podjął Boylan. - Stany to kraj dla prawników.

Słyszałem, że w szkole jesteś przewodniczącym kółka dyskusyjnego.

Czy to nie twoja siostra mówiła mi o tym?

- Istotnie należę do kółka dyskusyjnego - odparł Rudolf nastroszony na wzmiankę o siostrze.

- Któregoś popołudnia moglibyśmy wyskoczyć moim wozem do Nowego Jorku, złożyć jej krótką wizytę - powiedział gospodarz i dodał wychodząc z gabinetu myśliwskiego:

- Polecę Perkinsonowi, żeby w tym tygodniu naprawił urządzenie do strzelania do rzutków i postarał się o kilka gołębi. Jak to będzie gotowe, zadzwonię do ciebie.

- My nie mamy telefonu.

- Prawda! Raz, zdaje się, szukałem waszego numeru w spisie abonentów. Ale adres pamiętam. - Spojrzał niepewnie w stronę marmurowych schodów. - Na piętrze nie ma nic szczególnie ciekawego. Pokoje sypialne przeważnie zamknięte na głucho.

Bawialnia mojej matki, gdzie nikt nikogo dziś nie zabawia.

Przepraszam na chwilę. Pójdę się przebrać do obiadu. Czuj się, Rudolfie, jak we własnym domu. Przygotuj sobie coś do wypicia, jeżeli zechcesz.

Boylan wyglądał bardzo niepozornie, gdy szerokimi schodami szedł na piętro, gdzie nie widział nic szczególnie interesującego dla swojego młodego gościa - chyba że ten młody gość zechciałby zainteresować się łóżkiem, na którym jego siostra straciła cnotę.

Rudolf wrócił do wielkiej bawialni i zaczął obserwować Perkinsa, który nakrywał do stołu przed kominkiem. Ręce kapłana dotykające kielicha i ampulek. Opactwo Westminsterskie. Nagrobki poetów.

Butelka wina wychylała się ze srebrnego wiaderka z lodem. Druga butelka czerwonego wina stała nie odkorkowana na jednej z serwantek.

- Sprawę butów, proszę szanownego pana, załatwiłem telefonicznie - odezwał się Perkins. - Będą gotowe w najbliższą środę.

- Dziękuję panu.

- Miło mi było przysłużyć się szanownemu panu.

Dwu szanownych panów w ciągu dwudziestu sekund! Perkins powrócił do swoich obrzędów.

Rudolfowi chciało się siusiać, ale o czymś takim nie mógł przecież napomknąć osobistości pokroju Perkinsa. Wreszcie Perkins opuścił pokój - można by rzec - szeptem. Istny Rolls-Royce w ludzkim ciele. Rudolf podszedł do okna i uchylwszy kotary wyjrzał na świat. Z głębi doliny mgły podnosiły się wśród zmroku. Pomyślał o swoim bracie Tomie, który może przez to samo okno podglądał nagiego faceta z dwiema szklankami w rękach.

Pociągnął łyk ze szklanki. Szkocka whisky dodawała mu ducha. Być może kiedyś powróci tutaj i kupi tę posiadłość - z Perkinsem i całym krajem: Przecież to Ameryka.

Boylan wszedł do pokoju. Przebrał się tylko o tyle, że kurtkę z zamszu zmienił na sztruksową. Wełniana koszula w kratę oraz barwna chustka na szyję pozostały.

- Nie traciłem czasu na kąpiel - powiedział - ale spodziewam się, że mnie rozgrzieszysz.

Podszedł do barowego stolika i skropił się wodą kolońską. W powietrzu powiało

delikatnym aromatem.

- Jadalnia jest lodowata - podjął i spojrzawszy w stronę stołu przed kominkiem nalał sobie whisky. - Raz zasiadał tam do stołu prezydent Taft. Obiad był wtedy na sześćdziesiąt osób. Na sześćdziesięciu notablów. - Podszedł do fortepianu, usadowił się na taborecie i szklankę postawił pod ręką; później uderzył kilka przypadkowych akordów. - Grasz może na skrzypcach, Rudolfie?

- Nie.

- Na żadnym innym instrumencie oprócz trąbki?

- Właściwie nie... Potrafię wygrać to i owo na pianinie.

- Szkoda. Popróbowalibyśmy duetu. Ale nie słyszałem o duetach na fortepian i trąbkę.

- Boylan zaczął grać dobrze, co Rudolf musiał przyznać. - Czasami człowiek ma dosyć muzyki z puszki. Poznajesz to, Rudolfie? - zapytał i grał dalej.

- Nie.

- Chopin. Nokturn d-moll. Wiesz, co Schumann powiedział o twórczości Chopina?

- Nie wiem.

Rudolf pomyślał, że Boylan mógłby dać spokój gadaniu i tylko grać. Muzyka bardzo mu się podobała.

- Działo zdławione kwiatami. Coś mniej więcej takiego powiedział.

I chyba Schumann. Ostatecznie to określenie czyjejs twórczości muzycznej nie gorsze niż każde inne.

- Podano do stołu, panie prezesie - oznajmił Perkins wkroczywszy do pokoju.

Boylan przestał grać, podniósł się z taboretu.

- Może, Rudolfie, życzyłybyś sobie umyć ręce, spłacić dług naturze, coś podobnego.

- Tak. Bardzo panu dziękuję.

- Perkins - powiedział Boylan - zaprowadź pana Jordacha, dokąd trzeba.

- Tędy, proszę szanownego pana - przemówił Perkins, a gdy wyprowadził Rudolfa z bawialni, Boylan zasiadł znowu do fortepianu i zaczął grać od miejsca, na którym urwał.

Łazienka znajdowała się blisko frontowego wejścia. Była ogromna i miała witrażowe okno, co nadawało jej kościelny charakter. Klozet przywodził na myśl tron. Armatura nad wanną sprawiała wrażenie złotej. Rudolf siusiał przy wtórce muzyki Chopina. Żałował teraz, że przyjął zaproszenie na obiad. Miał uczucie, że Boylan zastawia nań jakieś sidła. To człowiek nad wyraz skomplikowany z tą swoją grą na fortepianie, z waderami, whisky, z gadaniną o literaturze, z gorejącym krzyżem i otrutym psem. Młody chłopiec nie czuł się na siłach, by mu sprostać. Rozumiem teraz, czemu Gretchen wołała wymknąć się komuś

takiemu.

Kiedy wrócił do hallu, musiał przemóc nagłą pokusę, by cichaczem wymknąć się frontowymi drzwiami. Może postąpiłby tak, gdyby niepostrzeżenie mógł znaleźć gdzieś swoje stare buty. Ale nie sposób było odbyć drogę do przystanku i wsiąść do autobusu tylko w skarpetkach. W skarpetkach Boylana.

Wracając do bawialni słuchał Chopina z przyjemnością. Gospodarz przestał znów grać, podniósł się z taboretu i gościnnie ująwszy Rudolfa za łokieć powiódł go do stołu, przy którym Perkins nalewał właśnie białe wino. Pstrąg pływał w głębokim naczyniu z miedzi w czymś podobnym do barszczu. Rudolf był rozczarowany. Najbardziej lubił smażone pstrągi.

Do stołu siedli naprzeciwko siebie. Przed każdym nakryciem stały trzy kieliszki, a obok talerza leżały liczne sztuce. Perkins przeniósł pstrąga na srebrny półmisek obłożony małymi gotowanymi ziemniaczkami. Stał obok młodego gościa i młody gość ostrożnie nałożył sobie rybę na talerz. Czuł się niepewnie pośród masy przyborów do jedzenia, lecz postanowił udawać naturalną swobodę.

Pstrąg był jaskrawoniebieski.

- Truite au bleu. - Rudolf uprzytomnił sobie, że Boylan ma akcent zły, a w każdym razie inny niż panna Lenaut. - Kucharka nieźle przyrządza to danie.

- Pstrąg na niebiesko - powiedział Rudolf. - Tak podają tę rybę we Francji.

Po fatalnym akcencie Boylana nie był w stanie odmówić sobie małego popisu.

- Skąd wiesz? - Gospodarz spojrzał nań dociekliwie. - Byłeś kiedy we Francji?

- Nie. Dowiedziałem się w szkole. Raz na tydzień dostawaliśmy francuską gazetę, kiedyś był tam artykuł na temat kuchni.

Boylan nałożył sobie sutą porcję. Widać miał dobry apetyt.

- Tu parles francais?* - zapytał. (* Czy mówisz po francusku? [fr.]

Rudolf zwrócił uwagę na tu. W starej gramatyce francuskiej, którą przeglądał w swoim czasie, wyczytał, że drugą osobę liczby pojedynczej stosuje się wobec służby, dzieci, szeregowych oraz osób na niskim szczeblu społecznym.

- Un petit peu.* (* Trochę [fr.]

- Moi, j'étais en France quand j'étais jeune - podjął Boylan z szarpiącym słuch akcentem. - Avec mes parents. J'ai vecu mon premier amour a Paris. Quand c'était? Mille neuf cent vingt-huit, vingt-neuf. Comment s'appelait-elle? Anne? Annette? Elle était délicieuse. * (* Ja byłem we Francji, kiedy byłem młody. Z rodzicami. W Paryżu przeżyłem pierwszą miłość. Kiedy to było? W tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym, dwudziestym dziewiątym roku.

Jak ona miała na imię? Anne? Anette? Była urocza. [fr.]

Mogła być sobie urocza, ta jego pierwsza miłość, pomyślał Rudolf, snobując się z wielką satysfakcją, ale nad akcentem Boylana nie pracowała.

- Tu as l'envie d'y aller? En France?* (* Miałbyś ochotę tam pojechać? Do Francji? [fr.]) - zapytał Boylan sondując go cierpliwie, przecież Rudolf powiedział, że mówi po francusku tylko trochę; to należało sprawdzić.

- J'irai, je suis sur - odparł przypominając sobie pracowicie, jak powiedziałyby to panna Lenaut; był dobrym naśladowcą. - Peut-etre apres l'Universite. Quand le pays sera retabli.* (* Pojadę, jestem pewien. Może po uniwersytecie, gdy tamten kraj wróci do równowagi. [fr.]

- Na Boga! - zawołał Boylan. - Mówisz jak rodowity Francuz.

- Miałem dobrą nauczycielkę.

To była ostatnia wiązanka kwiatów dla biednej panny Lenaut, francuskiej pindy.

- Mógłbyś może popróbować szczęścia w służbie dyplomatycznej.

Potrzeba tam uzdolnionych młodych ludzi - podjął gospodarz. - Tylko najpierw poszukaj bogatej żony, bo pensje są przerażająco niskie. - Pociągnął łyk wina. - Wtedy chciałem zostać tam na stałe. W Paryżu moja rodzina była odmiennego zdania. Mam kiepski akcent, prawda?

- Okropny - przyznał Rudolf.

- Młodzieńcza szczerość! - Boylan roześmiał się i spoważniał zaraz. - Albo cecha rodzinna. Siostra dorównuje ci pod tym względem.

Przez pewien czas jedli w milczeniu. Rudolf obserwował bacznie, jak Boylan posługuje się nożem i widelcem. Celny strzelec o doskonałych manierach.

Perkins sprzątał nakrycia po rybie i podał szynclę z pieczonymi ziemniakami i zielonym groszkiem. Rudolf pomyślał, że warto byłoby wyprawić matkę na naukę do takiej kuchni. Tymczasem Perkins raczej prezydował nad czerwonym winem, niż je nalewał. Ile ten fagas wie o Gretchen? Zapewne wszystko. Kto ściele łóżko w sypialnym pokoju na piętrze?

- Znalazła już pracę? - podjął Boylan, jak gdyby w rozmowie nie było żadnej przerwy. - Mówiła mi, że ma zamiar zostać aktorką.

- Nie wiem - odrzekł Rudolf, bo informacje wołał zachowywać dla siebie. - Ostatnio nie miałem wiadomości od siostry.

- Sądziś, że się jej powiedzie? Widziałeś ją kiedy na scenie?

- Tylko raz. W przedstawieniu szkolnym.

Szekspir był wtedy dręczony i poniewierany w kostiumach domowej roboty. Siedem

plag egipskich! Uczeń, który grał Jakuba, raz po raz nerwowo dotykał brody, by sprawdzić, czy się przypadkiem nie odkleiła. Gretchen wyglądała obco i ślicznie i w obcisłych spodenkach wcale nie przypominała młodego mężczyzny. Ale słowa wymawiała czysto.

- Ona ma talent? - zapytał znów gospodarz.

- Chyba tak. W każdym razie ma coś. Ile razy wchodziła na scenę, wszyscy przestawali kasłać.

Boylan parsknął śmiechem. Rudolf uprzytomnił sobie, że sformułował to jak dzieciuch.

- Miałem na myśli... - spróbował odzyskać grunt. - To znaczy, czuło się, że publiczność na niej koncentruje uwagę, interesuje się nią zupełnie inaczej niż kimkolwiek innym wśród aktorów. Chyba to można uznać za talent.

- Z całą pewnością - zgodził się tamten. - To wyjątkowo piękna dziewczyna. Myślę, że jako brat nie zauważyłeś tego.

- Owszem. Zauważyłem.

- Naprawdę?

Boylan powiedział to z roztargnieniem, jak gdyby temat przestał go interesować. Gestem polecił Perkinsowi sprzątnąć ze stołu, wstał i podszedłszy do wielkiego patefonu nastawił II koncert fortepianowy Brahmsa tak głośno, że do końca obiadu rozmowa była wykluczona.

Pięć odmian sera na drewnianej paterze. Sałata. Tort śliwkowy. Nic dziwnego, że Boylan robi się brzuchaczem.

Rudolf zerknął ukradkiem na zegarek. Gdyby wyrwał się dość wcześnie, udałoby mu się pewno odwiedzić Julię. Do kina byłoby za późno. Oczywiście. Ale mógłby pogodzić się z nią, wytłumaczyć jakoś zawód, który sprawił.

Po obiedzie Boylan pił koniak z małą filiżaneczką kawy i postawił na stoliku syfon. Rudolf był zmęczony po długim wędkarskim popołudniu. Dwa kieliszki wina zamroczyły go trochę i usposobiły sennie. Bardzo głośna muzyka działała nań przytłaczająco. Boylan zachowywał się uprzejmie, lecz obojętnie, co sprawiało wrażenie, że jest zawiedziony, ponieważ nie mógł dowiedzieć się nic o Gretchen.

Siedział rozparty w głębokim fotelu, powieki miał opuszczone i koncentrując całą uwagę na muzyce od czasu do czasu pociągał mały łyk koniaku. Z równym powodzeniem mógłby być sam lub w towarzystwie swojego irlandzkiego wilczura, pomyślał z urazą Rudolf. Pewno ci dwaj mile spędzali wieczory, zanim sąsiedzi otruli Brutusa. A może mnie chciałby zaproponować posadę domowego psa?

Okazało się, że na płycie jest skaza, więc Boylan niecierpliwie machnął ręką, gdy rozległy się zgrzyty. Wstał i zatrzymał patefon.

- Przepraszam - zwrócił się do Rudolfa. - To pomsta wieku maszyn nad Schumannem. Odwieźć cię teraz do miasta?

- Tak. Dziękuję.

Gość wstał pełen wdzięczności. Gospodarz spojrzał przelotnie na jego stopy.

- Przecież tak nie mogę cię wypuścić.

- Jeżeli odzyskam swoje buty...

- Na pewno są wewnątrz zupełnie mokre - przerwał mu tamten. - Poczekaj chwilę. Zaraz znajdę coś dla ciebie. - Wyszedł z bawialni i ruszył ku schodom.

Rudolf rozejrzał się dokoła z uwagą, bez pośpiechu. Jak dobrze być bogaczem! Zadał sobie pytanie, czy jeszcze kiedyś zobaczy ten pokój. Tom widział go raz, chociaż nie był zaproszony. „On zeszedł do salonu goluteńki, a ten jego interes zwiślał mu do kolan, jak u konia. Przyrządził dwie whisky, no i zawołał na górę: Gretchen!

Przynieść ci whisky, czy tu zejdziesz się napić?”

Po dłuższej rozmowie z Boylanem uprzytomnił sobie, że Tom wybornie naśladował głos człowieka wykształconego i dobrze wychowanego, a zwłaszcza dziwny sposób, w jaki tamten zadawał pytania tonem wcale nie pytającym.

Rudolf pokręcił głową. Co Gretchen mogła myśleć o tym wszystkim?

Wydało mu się, że jest w barze hotelu „Port Philip” i w tejże chwili słyszy głos siostry. „To mi się spodobało. Spodobało mi się bardziej niż cokolwiek innego w życiu”.

Zaczął spacerować nerwowo tam i z powrotem. Spojrzał na płytę, którą Boylan zatrzymał tak niedawno. Schumann. III Symfonia Reńska. Przynajmniej nauczył się dziś czegoś. Pozna to, kiedy usłyszysz znowu. Wziął do ręki długą na stopę, srebrną zapalniczkę.

Obejrzał ją z uwagą. Zdobił ją monogram: „T.B.” Jedno z celowo kosztownych cacek do załatwiania czynności, które ubogich nic nie kosztują. Za pociśnięciem guzika zapalniczka otworzyła się.

Wykwitł z niej płomyk. Krzyż gorejący, wrogowie. Z marmurowych schodów dobiegł odgłos kroków, więc śpiesznie zdmuchnął płomyk i zapalniczkę odłożył.

Boylan wszedł do pokoju niosąc małą torbę podróżną i parę mokasynów w kolorze mahoniu.

- Przymierz to, Rudolfie - powiedział.

Mokasyny były stare, lecz wyczyszczone starannie. Miały grube zelówki i skórkowe chwasty. Pasowały jak ulał.

- Widzę, że ty masz również wąską stopę - powiedział Boylan niby jeden arystokrata do drugiego.

- Odniosę mokasyny jutro albo pojutrze - obiecał chłopiec, gdy wychodzili z pokoju.

- Nie kłopotz się o nie. Są stare jak okoliczne wzgórza. Nie noszę ich nigdy.

Porządnie złożona wędka Rudolfa, koszyk i siatka leżały na tylnym siedzeniu Buicka. Przed przednim stały na podłodze wozu mokre jeszcze od środka strażackie buty. Boylan wrzucił do wnętrza małą torbę podróżną i obydwaj zajęli miejsca. Rudolf zabrał ze stołu w hallu swój stary filcowy kapelusz, ale nie miał odwagi włożyć go na głowę pod czujną obserwacją Perkinsa. Boylan włączył radio.

Ryknął jazz z Nowego Jorku, więc nie mogli rozmawiać aż do Vanderhoff Street. Wreszcie Boylan zahamował przed piekarnią i wyłączył radio.

- No, jesteśmy na miejscu - powiedział.

- Bardzo panu dziękuję - odparł Rudolf. - Za wszystko!

- To ja dziękuję tobie, Rudolfie. Miałem krzepiące popołudnie.

Rudolf sięgnął do klamki, lecz tamten delikatnie przytrzymał go za łokieć.

- Czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę? - zapytał.

- Oczywiście.

- W tej torbie... - Boylan odwrócił się nie odrywając rąk od kierownicy, by wskazać wzrokiem skórzaną torbę podróżną. - W tej torbie jest coś, co bardzo chciałbym przekazać twojej siostrze.

Zechciałbyś się tym zająć?

- Cóż... Nie wiem, kiedy ją znów zobaczę - bąknął Rudolf.

- Nie śpiesz się. W torbie jest coś, na czym jej może zależeć. Ale to nic pilnego.

- Dobrze - zgodził się chłopiec; nie było to przecież zdradzenie adresu Gretchen lub coś podobnego. - Przy pierwszej sposobności załatwię sprawę. Z pewnością.

- Bardzo jesteś miły, Rudolfie - podziękował mu tamten i spojrział na zegarek. - Jeszcze nie bardzo późno. Może wybralibyśmy się dokądś na jednego? Nie mam ochoty wracać już samotnie do tego posępnego domu.

- Jutro muszę wstać bardzo wcześnie - odrzekł Rudolf.

Wolał być sam, aby uporządkować swoje wiadomości o Boylanie, zrobić rachunek niebezpieczeństw oraz prawdopodobnych korzyści, jakie mogą wyniknąć z tej znajomości. Nie chciał odbierać nowych wrażeń. Boylan podпиты. Boylan w barze wśród obcych ludzi. Boylan flirtujący z jakąś kobietą, może umizgujący się do młodego marynarza. Doznał nagłego olśnienia. Czy Boylan to pedał? Czy może umizga się do niego? Smukłe dłonie na

klawiaturze fortepianu, podarki, ubiory przypominające kostiumy teatralne, delikatne dotknięcia jego rąk.

- Co to znaczy bardzo wcześnie? - zapytał tamten.

- O piątej.

- Dobry Boże! Co, u licha, można robić o piątej nad ranem?

- Ja, na przykład, siadam na rower i rozwożę bułki, które wypieka ojciec.

- Rzeczywiście - podjął Boylan. - Przecież ktoś musi rozwozić bułki. Ale ty nie wyglądasz wcale na dostawcę pieczywa.

- Nie jest to moja główna funkcja w życiu.

- Co uważasz, Rudolfie, za swoją główną funkcję?

Boylan włączył światła postojowe. W samochodzie zrobiło się zupełnie ciemno, ponieważ stał tuż obok słupa latarni ulicznej. W piwnicy także nie było światła. Ojciec nie przystąpił dotychczas do nocnej pracy. Co odpowiedziałby, gdyby jemu zadać takie pytanie? Że jego główna funkcja życiowa to wypiekanie bułek?

- Jeszcze nie wiem - odpowiedział i dodał zaczepnie: - A pan?

- Nie wiem. Jeszcze. Może ty masz na to jakiś pogląd?

- Nie mam.

Facet jest podzielony na milion rozmaitych fragmentów, pomyślał.

Gdybym był starszy, może potrafiłbym ułożyć Boylana w jakąś dorzeczną całość.

- Szkoda - westchnął tamten. - Sądziłem, że może bystre oko młodości widzi coś, czego sam nie jestem w stanie dostrzec.

- Ile pan ma właściwie lat? - zapytał Rudolf.

Boylan mówił o przeszłości tak wiele, jak gdyby pamiętał czasy Indian, prezydenta Tafta, bardziej zielonych krajobrazów. Zapewne jednak jest bardziej staroświecki niż stary.

- Jak ci się zdaje, Rudolfie? - padło pytanie zadane swobodnym tonem.

- Nie wiem - odpowiedział z wahaniem, gdyż wszyscy ludzie powyżej trzydziestu pięciu lat, z wyjątkiem naprawdę zgrzybiałych starców utykających o lasce, wydawali mu się plus minus w jednym wieku; nigdy nie dziwił się, gdy przeczytał w gazecie, że umarł ktoś trzydziestopięcioletni. - Nie wiem... Pięćdziesiąt, co?

- Twoja siostra była dla mnie łaskawsza - roześmiał się Boylan. - Znacznie łaskawsza.

Wszystkie drogi prowadzą do Gretchen, pomyślał Rudolf. Facet nie może przestać mówić o niej.

- Więc ile ma pan lat? - zapytał.

- Czterdzieści - odparł tamten. - Bardzo niedawno stuknęła mi czterdziestka. Przede

mną widzisz, chłopcze, prawie całe życie.

Niestety! - dodał z ironią.

Musisz być, bratku, diabło pewny siebie, pomyślał Rudolf, skoro w tym kontekście używasz słowa „niestety”.

- Jak ci się zdaje, Rudolfie? Jaki będziesz w moim wieku? Podobny do mnie?

- Nie.

- Rozumny młodzieniec! Wygląda na to, że nie chciałbyś być do mnie podobny.

Prawda?

- Prawda! - odrzekł Rudolf dobitnie i pomyślał: Sam prosiłeś o to, więc masz.

- Dlaczego? Masz wobec mnie zastrzeżenia?

- Drobne. Ale nie w tym sedno sprawy.

- Więc czemu nie chciałbyś być do mnie podobny?

- Chciałbym mieszkać tak jak pan i mieć tyle pieniędzy i książek, i akurat taki samochód. Chciałbym potrafić mówić tak jak pan...

Przynajmniej czasami... I wiedzieć tyle, ile pan wie, i jak pan podróżować po Europie...

- Ale... - wtrącił Boylan.

- Pan jest osamotniony. Pan jest smutny - dokończył chłopiec.

- A ty około czterdziestki nie zamierzasz być osamotniony i smutny.

- Tak.

- Będziesz miał wtedy kochającą, śliczną żonkę - podjął Boylan tonem, kogoś, kto opowiada dzieciom bajkę - i każdego wieczora żonka będzie cię oczekiwać na stacji i samochodem zawozić do domu po ciężkim dniu pracy w mieście. Będziesz miał ładne, radosne dzieci i dzieci będą cię kochać, a ty kiedyś wyprawisz je na kolejną wojnę. Będziesz miał...

- Nie zamierzam się żenić - przerwał Rudolf.

- Aha. Przystudiowałeś instytucję małżeństwa. Ja w twoim wieku byłem odmiennego zdania. Zamierzałem się żenić. I ożeniłem się wkrótce. Liczyłem też, że ponure, dźwięczące echemi zamczysko tam na wzgórzu wypełnią śmiechem dzieci. Ale jak miałeś sposobność zauważyć, nie jestem żonaty i nikt nie śmieje się w moim domu.

Cóż... Jeszcze nie za późno... - Ze złotej papierošnicy wydobyl papierosa, pstryknal zapalniczką, w której nikłym świetle zdawać się mogło, że Boylan ma siwe włosy i twarz głęboko przeoraną zmarszczkami. - Mówiła ci siostra, że proponowałem jej małżeństwo?

- Tak.

- A może wiesz, czemu odrzuciła tę propozycję?

- Nie wiem.

- Mówiła ci, że była moją kochanką?

Ten zwrot wydał się Rudolfowi plugawy. Gdyby pytanie brzmiało:

„Mówiła ci, że ją obrabiałem?” - poczułby się mniej dotknięty. Nie wyglądałoby wtedy przynajmniej, że facet uważa Gretchen za jedną z bardzo licznych rzeczy stanowiących własność Teodora Boylana.

- Mówiła mi - odrzekł.

- A ty nie pochwalaleś tej sytuacji? - zapytał Boylan bardziej obcesowo.

- Nie pochwalalem.

- Dlaczego?

- Jest pan dla niej za stary.

- To moja strata, nie jej. Czy, kiedy zobaczysz siostrę, powtórzysz, że moja propozycja jest nadal aktualna?

- Nie.

- Powiedz - ciągnął Boylan, jak gdyby tego „nie” nie usłyszał - że bez niej nie mogę wyleżeć w łóżku. Zdradzę ci pewien sekret, Rudolfie. Tamtego wieczora nie trafiłem do „Jack i Jill” przypadkowo. Nigdy nie bywam w lokalach takiego pokroju, co chyba łatwo zrozumiesz. Postanowiłem wyśledzić, gdzie grywasz.

Pojechałem za tobą wozem. Chodziło mi o Gretchen. Żywiłem niedorzeczne zapewne nadzieje, że być może od brata dowiem się czegoś o siostrze.

- Pójdę już spać - rzucił bezlitośnie Rudolf.

Otworzył drzwi i wysiadł, następnie zaś wydobył z samochodu wędkę, koszyk i siatkę, a także strażackie buty. Nakrył głowę tym swoim komicznym kapeluszem z filcu. Boylan siedział bez ruchu, palił.

Przez dym spoglądał na prostą linię świateł Vanderhoff Street, przypominającą rysunek szkolny z lekcji perspektywy. Dwie proste równoległe spotykają się w nieskończoności. Albo nie spotykają?

Tego nikt nie wie.

- Nie zapomnij torby - powiedział Boylan.

Rudolf sięgnął po torbę. Była zadziwiająco lekka, jak gdyby nic nie zawierała. Może to jakaś nowa, bardzo naukowa maszyna piekielna?

- Jeszcze raz dziękuję za miłą wizytę - podjął Boylan. - Zyskałem bardzo wiele kosztem starych waderów, których i tak nie nosiłbym nigdy. Dam ci znać, gdy urządzenie do

strzelania do rzutków będzie gotowe. Dobrej nocy. Idź swoją drogą, młody przeciwniku małżeństwa i dostarczycielu bułek. O piątej nad ranem pomyślę o tobie.

Zapalił silnik i odjechał szybko. Rudolf patrzył przez chwilę na oddalające się ku nieskończoności tylne światła wozu - bliźniacze sygnały komenderujące „stop!”. Później otworzył kluczem drzwi sąsiadujące z piekarnią i wepchnął do sieni cały swój bagaż.

Zapalił światło i obejrzał torbę podróżną. Nie była zamknięta na klucz, który zwisał u rączki na rzemyku. Otworzył torbę pełen nadziei, że matka nie złowiła uchem jego powrotu. Była tam jasnoczerwona suknia zwinięta nieporządnie, jak popadło. Wydobyl ją i obejrzał z uwagą. Koronki. Głęboki dekolt z przodu. Spróbował wyobrazić sobie siostrę w tej toalecie odsłaniającej właściwie wszystko.

- To Rudolf? - dobiegł z piętra matczyiny głos w kłótlwym tonie.

- Tak, mamu. - Śpiesznie zgasił światło. - Zaraz wrócę.

Zapomniałem o wieczornych gazetach.

Chwycił torbę i umknął na ulicę, zanim matka zdążyła zejść z piętra. Sam nie wiedział, kogo pragnie bronić - Gretchen czy siebie. A może po prostu matkę?

Pobiegł do sąsiedniego domu, w którym mieszkał Buddy Westerman. Na szczęście w oknach połyskiwało jeszcze światło. Dom Westermanów był stary i duży. Matka Buddy'ego pozwalała tam ćwiczyć „Piątce znad Rzeki”. Rudolf zagwizdał. Pani Westerman - pogodna, trochę rubaszna kobieta - lubiła chłopców i po próbach częstowała ich zawsze mlekiem i ciastem, ale tej nocy wołał z nią nie rozmawiać.

Odczepił klucz od torby, zamknął ją i klucz schował do kieszeni.

Niebawem Buddy wyszedł z domu.

- Co się stało? O takiej porze?

- Posłuchaj, Buddy - zaczął Rudolf. - Przechowasz to przez jakieś dwa dni? - podał torbę koledze. - To prezent dla Julii. Kapujesz?

Nie chcę, żeby go zobaczyła moja stara. - Natchnione kłamstwo, bo wszyscy wiedzieli, że Jordachowie to skąpcy nad skąpcami; Buddy wiedział również, że pani Jordach nie życzy sobie, by Rudi chodził z dziewczętami.

- W porządeczku - zgodził się beztrasko i wziął torbę.

- Kiedyś odpłacę ci podobną przysługą - powiedział Rudolf.

- Tak mówisz? No to nie obniżaj tonacji, kiedy gramy „Pył gwiezdny”.

Buddy - najlepszy muzyk w zespole - miał prawo mówić podobne rzeczy.

- Życzysz sobie coś jeszcze?

- Nie. Dziękuję.

- Aha - podjął Buddy. - Widziałem dziś wieczór Julię. Mijałem kino, a ona właśnie tam wchodziła. Z jakimś facetem, którego nie znam. To starszy gość. Ma co najmniej dwadzieścia dwa lata.

Zapytałem, gdzie ty się obracasz, a ona na to; że nie wie i nic ją to nie obchodzi.

- Dobry kumpel z ciebie.

- Cóż, nie oplaca się żyć w nieświadomości - odrzekł Buddy. - Do jutra, stary. - Z torbą podróżną w ręku zniknął za drzwiami domu.

Rudolf poszedł do jadalni „As”, by kupić tam wieczorną gazetę.

Usiadł przy bufecie i zamówił mleko z dwoma rogalikami. Posiłając się przeglądał kolumnę z wiadomościami sportowymi. „Giants” wygrali tego popołudnia. A Rudolf nie potrafił rozstrzygnąć, czy ma za sobą zły dzień, czy też dobry.

Tom pocałował Klotyldę na dobranoc. Leżała pod kocami, włosy miała rozrzucone na poduszce. Zapaliła lampę, aby mógł wyjść cicho nie zderzając się z niczym po drodze. Miała na twarzy nikły cień uśmiechu, gdy musnęła jego policzek. Tom bezszelestnie otworzył drzwi i zamknął je za sobą. Jasna szpara pod nimi zniknęła, gdy Klotylda zgasła światło.

Minął kuchnię i hall i niosąc sweter w ręku, ostrożnie wstąpił na schody. W sypialnym pokoju stryjkostwa panowała cisza. Zazwyczaj dobywało się stamtąd chrapanie, od którego cały dom dygotał. Widać tej nocy stryj Harold spał na boku. Nikt nie umarł w Saratodze.

Popijając tamtejsze wody stryj Harold stracił trzy funty nadwagi.

Tom wspiął się na poddasze wąskimi schodami, otworzył drzwi swojego pokoju i zapalił lampę. Na jego łóżku siedział stryj Harold ubrany w pasiastą piżamę.

Przymrużył oczy w jasnym świetle, dziwnie uśmiechnął się do bratanka. Brakowało mu czterech przednich zębów. Miał dostawkę, którą wyjmował na noc.

- Dobry wieczór, Tommy - zaseplenił z powodu braku wspomnianej dostawki.

- Dobry wieczór, stryju Haroldzie - odpowiedział chłopiec.

Zdawał sobie sprawę, że włosy ma w nieładzie i niewątpliwie pachnie jeszcze Klotyldą. Nie miał pojęcia, co może robić tu pan domu, gdyż pierwszy raz pojawił się na poddaszu. Ale wiedział doskonale, że musi bardzo uważać, co będzie mówił i jak to powie.

- Jest dosyć późno. Prawda, Tommy? - zaczął stryj Harold przytłumionym głosem.

- Naprawdę? Nie patrzyłem na zegar.

Tom stał w pobliżu drzwi, jak najdalej od stryja Harolda. Pokój był pusty. Znajdowały się w nim tylko niezbędne meble. Na komodzie leżała książka z biblioteki. „Jeźdźcy purpurowego szlaku”. Pani bibliotekarka powiedziała, że to spodoba mu się na pewno. Stryj

Harold w swojej pasiastej pidżamie zdawał się wypełniać pokoik.

Łóżko ugięło się pod nim na środku - w miejscu, na którym siedział.

- Dochodzi pierwsza - podjął śliniąc się trochę z racji brakujących zębów. - To bardzo późno dla dorastającego chłopca, który musi wstać wcześniej i ma przed sobą dzień pracy.

Dorastający chłopcy potrzebują dużo snu, Tommy.

- Nie zorientowałem się, że już tak późno - powiedział Tom.

- Jakież to rozrywki, Tommy, zatrzymały dorastającego chłopca aż do pierwszej w nocy?

- Tak sobie spacerowałem, i tyle.

- Podziwiałeś jasne światła - podjął stryj Harold. - Jasne światła miasta Elysium w stanie Ohio.

Tom przeciągnął się, udał, że ziewa. Sweter rzucił na krzesło.

- Teraz czuję, że jestem śpiący. Chyba najlepiej pójdę zaraz do łóżka.

- Tommy - podjął tamten zaślinionym szeptem. - Znalazłeś tutaj dobry dom rodzinny, prawda?

- Ma się rozumieć.

- Jadasz przyzwoicie jak u mamy, no nie?

- Aha. Jadam jak trzeba.

- Masz dom i pewny dach nad głową. - Przez lukę między zębami „dach” zabrzmiał mniej więcej tak, jak „zdech”

- Na nic się nie skarżę.

Tom mówił cicho. Nie chciał, by Tante Elza obudziła się i wzięła udział w konferencji.

- Mieszkasz w przyjemnym, czystym domu - obstawał przy swoim stryj Harold. - Wszyscy traktują cię jak członka rodziny. Masz rower wyłącznie do własnego użytku.

- Na nic się nie skarżę.

- Masz dobrą pracę i płacę dorosłego mężczyzny. Pomału uczysz się zawodu. Niedługo wrócą do kraju miliony żołnierzy. Nastanie wielkie bezrobocie. Ale mechanik samochodowy zawsze znajdzie robotę. Nie myślę się, prawda?

- Jakoś sobie poradzę.

- Aha. Jakoś sobie poradzisz. Mam nadzieję. Jesteś moim krewnym, Tommy. Nie dopytując o nic przyjąłem cię do domu, kiedy zatelefonował twój ojciec. Tak było, co? Miałeś jakieś kłopoty w Port Philip, no i stryj Harold nie dopytywał o nic. Ani stryj Harold, ani Tante Elza. Przyjeliśmy cię do domu.

- W Port Philip nabroiłem trochę - powiedział Tom. - Nic straszego.

- Dziś też nie dopytuję o nic. - Wspaniałomyślnym gestem odpędził wszelką myśl o śledztwie; bluza pidżamy rozchyliła mu się, ukazała różowy walec sadła nad tasiemką spodni.

- I czegoż żądam w zamian za to wszystko? Rzeczy niemożliwych? Jakiejś wygórowanej wdzięczności? Nic podobnego! Chodzi tylko o drobiazg. Chcę, żeby młody chłopiec prowadził się porządnie, żeby o rozsądnej godzinie był w łóżku. W swoim własnym łóżku.

Aha! Skurwysyn wie, pomyślał Tom i nic nie odpowiedział.

- To przyzwoity dom, Tommy - podjął stryj Harold. - Nasza rodzina jest szanowana. Twoją ciotkę przyjmują w najlepszych domach.

Zdziwiłbyś się, Tommy, gdybym ci powiedział, ile wynosi mój kredyt w banku. Chociaż nie urodziłem się w tym kraju, proponowano mi, abym z ramienia partii republikańskiej kandydował w Columbus do legislatury stanowej. Moje córki są zawsze dobrze ubrane...

Tak... Garderobą mogą śmiało konkurować z każdymi dwiema młodymi panienkami. To wzorowe uczennice. W każdej chwili mógłbym ci pokazać ich cenzurki, opinie wystawiane im przez nauczycieli.

Każdej niedzieli uczą się w katolickiej szkole parafialnej.

Osobiście odwożę je tam samochodem. Wyobraź sobie, Tommy, że te czyste młodociane duszyczki śpią teraz jak aniołki pod tym dachem.

Pod tym samym dachem, Tommy!

- To sobie wyobrażam - powiedział Tom i dodał w myśli: Niechże stary idiota wygarnie wreszcie swoje.

- Nie spacerowałeś tak sobie do pierwszej w nocy - podjął stryj Harold z nutą ubolewania. - Wiem, gdzie byłeś. Pić mi się chciało.

Poszedłem po butelkę piwa do lodówki. Słyszałem odgłosy, Tommy, o których wstyd byłoby mi mówić. Chłopiec w twoim wieku! W tym samym domu, gdzie przebywają moje córki!

- I co? - rzucił posepnie Tom, któremu mdło się robiło na myśl o stryju Haroldzie podsłuchującym u drzwi pokoiku Klotyldy.

- Jak to: i co? Tylko tyle masz mi do powiedzenia, Tommy? I co?

- A co stryj chce, żebym powiedział?

Gdyby mógł, powiedziałby najchętniej, że kocha Klotyldę i nic bardziej pomyślnego nie spotkało go nigdy w całym parszywym życiu.

Powiedziałby, że ona kocha go również, że gdyby był starszy, zabrałby ją z tego

czystego, przeklętego domu, od szanownej rodziny, od dwu wzorowych uczennic, jasnoblonde córki stryja Harolda. Ma się rozumieć, nie mógł jednak powiedzieć tego wszystkiego, nie był w stanie powiedzieć. Język stawał mu kołkiem w ustach.

- Chcę, abyś powiedział, że ubolewasz z powodu krzywdy, jaką wyrządziła ci ta przebiegła, ciemna chłopka - odparł szeptem stryj Harold. - Chcę, abyś obiecał, że nie dotkniesz jej więcej. Ani w moim domu, ani w żadnym innym miejscu.

- Nic nie obiecuję.

- Jestem uprzejmy. Jestem delikatny. Mówię do ciebie spokojnie jak rozsądny, wyrozumiały człowiek. Nie chcę skandalu, Tommy. Nie chcę, by twoja ciotka dowiedziała się, że ten dom został zbezczeszczone, a jej dziewczynki narażone na... na... Brak mi stosownych słów, Tommy.

- Nic nie obiecuję - powtórzył Tom.

- Niech będzie! Nic nie obiecujesz. Nie musisz obiecywać. Prosto stąd pójde do pokoju za kuchnią. Ona obieca mi wiele. Możesz być pewien.

- Tak się stryjowi zdaje - powiedział Tom i nawet w jego uszach zabrzmiało to niemądrze, po dziecinnemu.

- Nie. Wiem na pewno - podjął szeptem stryj Harold. - Ona obieca mi wszystko. Jest w trudnym położeniu. Jeżeli ją przepędzę, dokąd ma pójść? Wrócić do Kanady do swojego męża pijaka, który szuka jej od dwu lat, żeby ją zbić na kwaśne jabłko?

- Pracy tu nie brak. Nie musiałaby wrócić do Kanady.

- Tak ci się zdaje. A prawo międzynarodowe! Myślisz, że z tym prosta sprawa? Myślisz, że nie zwrócę się do policji?

- Co policja ma z tym wspólnego?

- Dzieciak z ciebie, Tommy - podjął stryj Harold. - Jak dorosły mężczyzna pchasz się między nogi zamężnej kobiety, ale masz pomysłu dziecka. Ona zdemoralizowała małego, Tommy. Ty jesteś mały. Masz szesnaście lat. To jest przestępstwo, Tommy. Poważne przestępstwo. Żyjemy w cywilizowanym kraju, który roztacza opiekę nad dziećmi. Jeżeli ona nie pójdzie do więzienia, zostanie wydalona jako niepożądana cudzoziemka, która demoralizuje małych. Nie jest obywatelką Stanów Zjednoczonych. Odnotuje się to w jej dokumentach no i pojedzie do Kanady, gdzie mąż tylko na nią czeka. No tak... - Stryj Harold dźwignął się z łóżka.

- Ona wszystko obieca. Żal mi cię Tommy. Ty nie jesteś winien.

Masz to we krwi. Twój ojciec też był wielkim kurwiarzem. Czasami wstyd mi było poznawać go na ulicy. A twoja matka, jeżeli chcesz wiedzieć, jest bękartem. Wychowywały

ją zakonnice. Zapytaj ją kiedy, kim był jej ojciec. Zapytaj nawet, kim była matka. No, idź spać, Tommy - opiekuńczym gestem pogładził go po ramieniu. - Lubię cię, chłopcze. Chcę, żeby wyrósł z ciebie przyzwoity człowiek, prawdziwy zaszczyt dla rodziny. Zrobię dziś to, co będzie dla ciebie najlepsze. No idź już spać.

Stryj Harold poczłapał boso w stronę drzwi - napompowany piwem mastodont w bezkształtnej pidżamie, który ma w ręku wszystkie atuty.

Tom zgasił światło. Położył się twarzą do poduszki i raz zadał jej pięścią cios z całej siły.

Rano zszedł na parter wcześniej, aby spróbować porozmawiać z Klotyldą. Ale stryj Harold siedział już przy stole, czytał gazetę.

- Dzień dobry, Tommy - powiedział spoglądając nań przelotnie.

Zęby miał teraz na miejscu. Hałaśliwie siorbał kawę.

Klotylda weszła do pokoju z sokiem pomarańczowym dla Toma. Nie spojrzała w jego stronę. Twarz miała ponurą, kamienną. Stryj Harold nie spojrzał na nią.

- Okropne rzeczy dzieją się w Niemczech - powiedział. - Nędza.

Ludzie gnieźdzą się w piwnicach. Gdybym nie spotkał w porę mojej żony, nie przyjechał do Ameryki za młodu, Bóg wie, gdzie byłbym teraz.

Klotylda przyniosła Tomowi jaja na bekonie. Usiłował wyczytać coś z jej twarzy, ale nie było tam żadnego znaku. Skończył śniadanie i wstał od stołu. Myślał, że wróci później w ciągu dnia, kiedy dom będzie pusty. Stryj Harold spojrzał nań znad gazety.

- Powiedz Coyne'owi, że będę o pół do dziesiątej. Mam coś do załatwienia w banku. Powiedz mu też, że wóz pana Duncana ma być umyty na dwunastą. Obiecałem to panu Duncanowi.

Tom skinął głową i wyszedł z pokoju w chwili, gdy wkraczały tam dwie spasioone córeczki o bladej cerze.

- Moje aniołki! - zawołał stryj Harold, kiedy dziewczęta pocałowały go na dzień dobry.

Sposobność znalazł o czwartej po południu. W tym dniu tygodnia Tante Elza ładowała córeczki do drugiego samochodu i wiozła do dentysty, który doglądał ich aparatów do regulacji wystających zębów. Stryj Harold, o czym Tom wiedział, był o tej porze w mieście w swoim przedstawicielstwie samochodowym. Klotylda powinna być sama.

- Wrócę za pół godziny - powiedział Coyne'owi. - Muszę się z kimś zobaczyć.

Coyne nie był kontent, ale nie miał nic do gadania.

Kiedy Tom nadjechał na rowerze, Klotylda polewała trawnik. W słoneczny dzień woda rozpylana z węża połyskiwała barwami tęczy.

Trawnik był mały i ocieniony lipami. Klotylda miała na sobie biały fartuch. Tante Elza lubiła, by jej służące przypominały wyglądem pielęgniarce. Świadczyło to o pedantycznej czystości. „W moim domu można jeść z podłogi” - mawiała Tante Elza.

Klotylda spojrzała raz na Toma, gdy zsiadł z roweru, później dalej robiła swoje.

- Klotyldo - powiedział. - Wejdźmy do domu. Muszę z tobą porozmawiać.

- Polewam trawnik.

Obróciła pierścień przy wylocie węża i rozpylone krople wody zmieniły się w strumień, który skierowała na rabatę petunii ciągnącą się wzdłuż fasady domu.

- Spójrz na mnie - powiedział Tom.

- Czy o tej godzinie nie powinieneś być w pracy? - zapytała nie odwracając ku niemu twarzy.

- On... Mój stryj przyszedł w nocy pod drzwi twojego pokoju?

- Aha.

- I co? Wpuściłaś go?

- Przecież to jego dom - odpowiedziała głucho.

- Obiecałaś mu coś?

Tom zdawał sobie sprawę, że mówi piskliwie, lecz nie panował nad głosem.

- Co za różnica? Wracaj do pracy. Jeszcze nas kto zobaczy.

- Obiecałaś mu coś?

- Powiedziałam, że więcej nie zobaczę się z tobą sam na sam.

- Ale nie powiedziałaś tego serio, prawda?

- Całkiem serio. - Zaczęła znów manipulować przy wylocie węża; obrączka ślubna błysnęła na jej palcu. - Między nami wszystko skończone.

- Nie! Nie skończone! - Chciałby chwycić ją za ramiona, potrząsnąć. - Idź do diabła z tego domu. Poszukaj innego zajęcia.

Ja też się wyprowadzę i...

- Nie gadaj głupstw - przerwała szorstko. - On mówił ci o moim przestępstwie. - Słowo „przestępstwo” wypowiedziała szyderczo. - Postara się, żeby mnie wydalono z tego kraju. Nie Romeo i Julia z nas, prawda? Ale niedorostek i kucharka. Jedź z powrotem do pracy.

- Nie mogłaś mu powiedzieć... powiedzieć czegoś.

Tom był zrozpaczony. Obawiał się, że nie wytrzyma dłużej, wybuchnie płaczem tu, na

trawniku przed domem, wobec Klotyldy.

- Nie miałam nic do powiedzenia. To człowiek szalony. Jest zazdrosny. Równie dobrze można mówić do drzewa czy ściany jak do mężczyzny, który jest zazdrosny.

- Zazdrosny? Co ty opowiadasz? - zdziwił się chłopiec.

- Od dwu lat próbuje dostać się do mojego łóżka - odpowiedziała spokojnie. - W nocy, kiedy śpi jego żona, schodzi na dół i drapie w drzwi jak mały kociak.

- Spasiony skurczybyk! - wybuchnął Tom. - Poczekam tam na niego następnym razem.

- Nie poczekasz - odpowiedziała. - Jeżeli chcesz wiedzieć, to on następnym razem wejdzie.

- Co? Chcesz go wpuścić?

- Jestem służącą. Prowadzę życie służącej. Nie chcę stracić zajęcia ani pójść do więzienia, ani wrócić do Kanady. Zapomnij Tom. Alles, kaput. Przyjemnie było przez tamte dwa tygodnie. I przyjemny z ciebie chłopak. Bardzo żałuję, że narobiłam ci kłopotów.

- Niech będzie! - zawołał. - Niech będzie! Nie tknę żadnej innej kobiety, póki...

Miał gardło zbyt ściśnięte, by dodać coś więcej. Pobiegł do swojego roweru i odjechał na oślep, pozostawiając Klotyldę zajęta polewaniem róż. Nie oglądał się. Nie widział łez na kamiennej, pełnej rozpaczony twarzy.

Święty Sebastian przeszyty wieloma strzałami zmierzał w kierunku stacji obsługi. Na kije miał przyjść czas później.

ROZDZIAŁ IX

Gretchen wyszła ze stacji kolei podziemnej przy Ósmej Ulicy.

Wstąpiła po sześć butelek piwa do sklepu i do pralni po garnitur Willie'ego. Był zmierzch - wczesny listopadowy zmierzch - i mróz wisiał w powietrzu. Ludzie mieli na sobie wierzchnie okrycia, poruszali się żwawo. Obok niej szła leniwym krokiem jakaś dziewczyna w spodniach i płaszczu nieprzemakalnym, z włosami owiązаныmi apaszką. Wyglądała tak, jak gdyby dopiero co wstała z łóżka, chociaż minęła piąta po południu. Cóż, w Greenwich Village ludzie mogą wstawać z łóżka o wszelkich porach dnia - i wszelkich porach nocy. To jeden z uroków tej dzielnicy. To, a także fakt, że znakomita większość ludności jest młoda. Często idąc ulicą wśród młodzieży Gretchen myślała: Tu jestem w swoim kraju.

Dziewczyna w płaszczu nieprzemakalnym weszła do baru z jadłodajnią, który nazywał się „Corcoran”. Gretchen dobrze знаła ten lokal. Ostatnio uczęszczała do kilkunastu okolicznych barów. W knajpach spędzała pokaźną część życia.

Szła szybko w stronę Jedenastej Ulicy. Ciężyły jej butelki piwa w dużej torbie z grubego papieru. Porządnie złożony garnitur niosła przerzucony przez rękę. Miała nadzieję, że Willie będzie w domu, czego z góry nie mogła nigdy przewidzieć. Wraciała właśnie z próby czytanej w teatrze i musiała tam być z powrotem o ósmej, kiedy rozpoczyna się przedstawienie. Nichols i dyrektor wybrali ją na dublerkę jednej z aktorek i twierdzili, że panna Jordach ma talent. Sztuka cieszyła się jakim takim powodzeniem, więc wydawało się pewne, że przed czerwcem nie zejdzie z afisza. Gretchen trzykrotnie przechodziła przez scenę ubrana w kostium kąpielowy.

Publiczność śmiała się za każdym razem, lecz był to śmiech nerwowy. Autor wściekał się na premierze i chciał ten fragment skreślić, lecz Nichols i dyrektor wytłumaczyli mu, że śmiech na widowni jest korzystny dla sztuki. Za kulisami Gretchen otrzymywała rozmaite bileciki lub telegramy z zapytaniem, czy nie przyjęłaby zaproszenia na kolację, a dwa razy dostała nawet róże.

Nie odpowiadała nikomu. Po przedstawieniu Willie był zawsze w jej garderobie. Patrzył, jak zmywa z ciała sceniczne szminki, a gdy miał ochotę droczyć się z nią, wzdychał: „Do licha, czemu jestem żonaty!” I dodawał zaraz: „To cytat.”

Jego sprawa rozwodowa wlokła się opieszale, jak powiadał.

Z przedsionka weszła do hallu kamienicy i popatrzyła, czy nie ma poczty w skrytce Abbott-Jordach. Sama to wykaligrafowała na małym kartoniku.

Własnym kluczem otworzyła drzwi na parterze i co tchu wbiegła na trzecie piętro.

Zawsze jej było pilno, gdy już wylądowała w domu.

Lekko zdyszana otworzyła drzwi mieszkania, które wiodły prosto do pierwszego pokoju.

- Willie! - zawołała. - Willie!

W dwu małych pokojkach nie trzeba się było nawoływać, lecz Gretchen korzystała z pretekstu, by wymawiać jego imię.

Rudolf siedział na podniszczonym tapczanie. W ręku trzymał szklanę piwa.

- Oo!... - zdziwiła się Gretchen.

Jej brat wstał.

- Jak się masz, Gretchen? - powiedział.

Odstawił szklanę piwa i pocałował siostrę w policzek - nad torbą z butelkami i świeżo wyczyszczonym garniturem.

- Rudi! - Pozbyła się torby, a garnitur rzuciła na oparcie krzesła. - Skąd się tu wzięłeś?

- Nacisnąłem guzik dzwonka i twój przyjaciel mnie wpuścił.

- Twój przyjaciel ubiera się właśnie - zawołał Willie z drugiego pokoju.

Często przesiadywał całymi dniami w szlafroku. Teraz odezwał się, bo mieszkanie było tak małe, że słyszało się w nim każde słowo wymówione gdziekolwiek. Kuchenka mieściła się za przepierzeniem w pierwszym pokoju.

- Zaraz będę gotów - wołał Willie z sypialni. - Na razie ślę ci pocałunek.

- Taka jestem szczęśliwa, że cię widzę, Rudi!

Gretchen zdjęła płaszcz i mocno uściśnęła brata. W czasach, gdy widywała go codziennie, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest przystojny. Śniady, ciemnowłosey, prosty. Ubrany w elegancką niebieską koszulę i blezer, który dostał od niej na urodziny. I te jego oczy - czyste, smutne, zielonawe oczy!

- Czy to możliwe, żebyś tak dorósł w ciągu ledwie paru miesięcy?

- Blisko sześciu miesięcy - poprawił; czy zabrzmiało w tym zarzut?

- Siadajże! Siadaj, proszę.

Pociągnęła go na tapczan obok siebie. Opodal drzwi stała niewielka torba podróżna ze skóry. Nie należała do Willie'ego ani do niej, lecz Gretchen miała wrażenie, że gdzieś widziała ją już dawniej.

- Opowiedz mi wszystko - ciągnęła. - Co dzieje się w domu? Mój Boże! Jakże się cieszę, że widzę cię, Rudi.

Własny głos brzmiał w jej uszach niezupełnie naturalnie. Gdyby wiedziała, że Rudolf wybiera się do niej, uprzedziłaby go, kim jest dla niej Willie. Ostatecznie chłopiec ma tylko

siedemnaście lat. Jak gdyby nigdy nic, przyszedł do niej i odkrył nagle, że siostra mieszka z jakimś mężczyzną... Abbott-Jordach!

- Niewiele dzieje się w domu - zaczął Rudolf. Jeżeli był zakłopotany, nie zdradzał tego. Ona winna uczyć się opanowania od brata; oto spokojnie pociąga piwo. - Tylko ja tam pozostałem, więc zbieram wszystkie plony miłości rodzicielskiej.

Gretchen roześmiała się swobodnie. Bez potrzeby była zażenowana.

Nie zdawała sobie sprawy, jaki to już dorosły mężczyzna.

- Co porabia mamusia? - zapytała.

- W dalszym ciągu czyta „Przeminęło z wiatrem”. Była chora.

Podobno doktor jej powiedział, że to zapalenie żyły.

Radosne, pocieszające wieści z rodzinnego domu, pomyślała Gretchen.

- Kto zajmuje się sklepem? - zapytała.

- Taka pani Cudahy. Wdowa. Żąda trzydzieści dolarów tygodniowo.

- Tata musi być zachwycony.

- Nie bardzo.

- A on jak się czuje?

- Prawdę mówiąc - powiedział Rudolf - nie zdziwiłbym się wcale, gdybym usłyszał, że jest poważniej chory niż mama. Od miesięcy nie trenował na podwórku przy swoim worku i po twoim odjeździe nie był chyba na rzece.

- Co mu dolega? - Gretchen zdziwiła się, że jest zaniepokojona naprawdę i szczerze.

- Nie wiem. Po prostu zachowuje się jakoś dziwnie. Wiesz, jaki jest tata. Nigdy nic nie powie.

- O mnie mówią kiedy? - zapytała dyplomatycznie.

- Nigdy. Ani słowa.

- A co z Tomem?

- Odszedł i został zapomniany - odparł Rudolf. - Nie mogłem wybadać, co się właściwie stało. Oczywiście nie pisuje wcale.

- Oto nasza rodzinka - westchnęła Gretchen.

Milczeli przez chwilę, jak gdyby minutą ciszy składali hołd rodowi Jordachów.

- I co? - ocknęła się Gretchen. - Jak ci się podoba nasze lokum?

Gestem ręki wskazała mieszkankę wynajęte razem z umeblowaniem.

Umeblowanie wyglądało tak, jak gdyby pochodziło z czyjś strychu, ale Gretchen kupiła kilka roślin doniczkowych, a ściany ozdobiła rycinami i plakatami. Na jednym z nich Indianin w sombrero stał przed szaląsem. „Nowy Meksyk zaprasza!”

- Całkiem tu przyjemnie - odrzekł Rudolf z powagą.

- Ciasnota, prawda. Ale mieszkanie ma jedną wielką zaletę. Nie znajduje się w Port Philip.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedział Rudolf.

Gretchen wołałaby, żeby jej brat miał minę trochę mniej serio.

Zastanawiała się, co mogło go do niej sprowadzić.

- Co słyhać u tej ślicznej dziewczyny? - zapytała sztucznie pogodnym tonem. - U Julii?

- Po staremu. Miewamy swoje wzloty i upadki.

Willie wszedł do pokoju przeczesując włosy grzebieniem: Nie miał na sobie marynarki. Gretchen widziała go zaledwie przed pięcioma godzinami, lecz gdyby byli sami, porwałaby go w ramiona tak czule, jak gdyby spotykali się po wieloletniej rozłące. Pocałował ją szybko, schyliwszy się nad tapczanem. Rudolf wstał uprzejmie.

- Siadaj, Rudi, siadaj - uśmiechnął się Willie. - Nie jestem twoim przełożonym w wojsku.

Na moment zrobiło się Gretchen przykro, że Willie jest aż tak niski.

- Aha! - podjął spoglądając na piwo i starannie wyprasowany garnitur. - W dzień, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, powiedziałem, że kiedyś będzie dla kogoś bardzo dobrą żoną. I bardzo dobrą matką. Zimno na dworze?

- Brrr!

Willie zabrał się do otwierania butelki.

- Rudi? - zapytał.

- Dziękuję. Na razie mam dosyć - odpowiedział Rudolf i usiadł.

Willie nalał piwa do szklanki, która była już używana i wokół rąbka miała ślady piany. Pijał bardzo dużo piwa.

- Możemy rozmawiać szczerze - powiedział z uśmiechem. - Wszystko wyjaśniłem twojemu bratu. Powiedziałem mu, że tylko formalnie żyjemy w konkubinacie. Powiedziałem, że prosiłem cię o rękę i dostałem kosza. No, nie na długo, co prawda.

- Powiedziałeś też, że jesteś żonaty? - zapytała Gretchen, bo zależało jej, by Rudi otrzymał odpowiedzi na wszelkie możliwe pytania.

- Powiedziałem. Nigdy nic nie taję przed braćmi kobiet, które kocham. Moje małżeństwo było młodzieńczym wybrykiem, przelotną chmurką nie większą niż dłoń dorosłego mężczyzny. Rudi to inteligentny młodzian. Zrozumiał wszystko. Daleko zajdzie. Będzie tańczył na naszym weselu. Będzie naszą ostoją na starość.

Gretchen poczuła nagle, że dowcipkujący jak zwykle Willie wprawia ją w zakłopotanie. Naturalnie mówiła mu o Rudolffie i Tomie, i o rodzicach, lecz dzisiaj pierwszy raz nastąpiło osobiste spotkanie z jej rodziną, obawiała się więc, że Willie'ego może ono wytrącić z równowagi. Spróbowała go wesprzeć, więc zapytała:

- Co robisz w Nowym Jorku, Rudi?

- Trafiła mi się okazja samochodem - odrzekł. Niewątpliwie miał jej coś do powiedzenia i wolałby powiedzieć to w cztery oczy. - Mamy dziś wolny dzień.

- A jak ci idzie w szkole? - zapytała znowu i w tejże chwili uprzytomniła sobie, że mogło to zabrzmieć protekcyjnie, niby coś, co mówi się cudzym dzieciom, którym nie ma się do powiedzenia nic więcej.

- Ujdzie - rozprawił się zwięźle ze szkołą.

- Rudi - zabrał głos Willie - jak podobałbym ci się w roli szwagra?

Chłopiec zmierzył go trzeźwo spojrzeniem zielonawych, myślących oczu.

- Nie znam cię jeszcze.

- Słusznie, Rudi! Nie należy puszczać farby. Nigdy! Szczerość to moja główna wada.

Co w myśli, to na języku.

Willie wstał, dolał sobie piwa. Nie był w stanie usiedzieć na miejscu. Prawem kontrastu Rudolf wydawał się kimś zrównoważonym, pewnym siebie, krytycznym.

- Obiecałem Rudolfowi, że wieczorem zaprowadzę go na tę twoją sztukę, temat dnia Nowego Jorku.

- To idiotyczne widowisko - powiedziała Gretchen, której nie odpowiadała myśl, że brat zobaczy ją parującą prawie nago przed tysiącem widzów. - Zaczekaj lepiej, aż będę grała świętą Joannę.

- Tak czy inaczej, mam zajęty wieczór - powiedział Rudolf.

- Zapraszałem go także na kolację po teatrze - podjął Willie. - Usprawiedliwił się wcześniejszym zobowiązaniem towarzyskim. Może ty jakoś sobie z nim poradzisz? Chłopak bardzo mi się podoba.

Czuję, że łączą mnie z nim mocne więzy.

- Dziękuję, Willie. Może któregoś innego wieczora skorzystam z zaproszenia. Gretchen - wskazał małą torbę podróżną - tu jest coś dla ciebie. Proszono mnie o doręczenie tego.

- Cóż to takiego? Od kogo? - zapytała.

- Ten ktoś nazywa się Boylan - wyjaśnił Rudolf.

- Oo!... - Gretchen dotknęła ramienia Willie'ego. - Chyba też napiję się piwa. - Wstała,

poszła po torbę, otworzyła ją i postawiła ją na stoliku. - Prezent. Jak to miło ze strony pana Boylana, prawda? - Otworzyła torbę i w chwili gdy ujrzała, co zawiera, przyznała wobec samej siebie, że wiedziała o tym od początku; przyłożyła suknię do siebie. - Zapomniałam, że jest aż tak czerwona - powiedziała spokojnie.

- Słowo daję! - zawołał Willie. - Co za toaleta!

Rudolf obserwował ich pilnie - najpierw jedno, później drugie.

Gretchen pogłaskała go po ramieniu.

- Oto pamiątka z dni mojej rozwiązej młodości - powiedziała. - W porządku, Rudi.

Willie wie o panu Boylanie. Wie wszystko.

- Zabiłbym go jak psa - podchwycił Willie. - Jednym strzałem.

Żałuję, że musiałem zwrócić mój pistolet służbowy.

- Mam to zatrzymać, Willie? - zapytała z nutą powątpiewania.

- Ma się rozumieć! Chyba że w tym stroju Boylanowi będzie bardziej do twarzy niż tobie.

Gretchen odłożyła suknię i zwróciła się do brata.

- Jak to się stało, Rudi, że ciebie wybrał na doręczyciela?

- Poznałem go przypadkowo i teraz widzujemy się od czasu do czasu.

Nie podałem mu twojego adresu, więc poprosił...

- Powiedz mu, że jestem szczerze wdzięczna - przerwała bratu. - Powiedz, że pomyślę o nim, ilekroć będę wkładać tę suknię.

- Jeżeli chcesz, możesz mu to powiedzieć sama. Podwiózł mnie tutaj. Obecnie czeka w barze przy Ósmej Ulicy.

- I co? - podchwycił Willie. - Moglibyśmy pójść tam wszyscy, kropnąć jednego z facetem.

- Nie mam ochoty na jednego z tym facetem - obruszyła się Gretchen.

- Powiedzieć mu to także? - zapytał Rudolf.

- Tak.

Rudolf wstał.

- No, pora na mnie. Obiecałem panu Boylanowi, że wkrótce wrócę.

Gretchen podniosła się również.

- Nie zapomnij o torbie podróżnej - zwróciła się do brata.

- Mówił, że możesz ją zatrzymać.

- Nie chcę! - Elegancką torbę ze skóry podała bratu, który przyjął ją jak gdyby z oporem. - Rudi - podjęła z nutą zaciekawienia - często widzisz Boylana?

- Dwa razy tygodniowo.
- Podoba ci się?
- Czy ja wiem? W każdym razie uczę się od niego wielu rzeczy.
- Bądź ostrożny - przestrzegła go Gretchen.
- Nie martw się o mnie. - Wyciągnął rękę do Abbotta. - Do zobaczenia, Willie.

Dziękuję za piwo.

Willie gorąco uściśnął dłoń chłopca.

- Teraz znasz drogę - powiedział - więc odwiedzaj nas często.

Mówię serio.

- Dziękuję i skorzystam.

Gretchen pocałowała brata.

- Strasznie żałuję, że odchodzisz tak wcześnie.
- Niedługo przyjadę znów do Nowego Jorku. Przyrzekam.

Otworzyła drzwi wiodące na podest. Miała wrażenie, że brat chce jej powiedzieć coś więcej, lecz zrezygnował widocznie, bo pożegnał ją tylko niepewnym ruchem ręki i ruszył w dół po schodach.

Gretchen zamknęła drzwi bardzo powoli.

- Udany ten twój brat - odezwał się Willie. - Chciałbym wyglądać tak jak on.
- Wyglądasz wcale nieźle. - Obdarzyła go pocałunkiem. - Nie całowałam cię od wieków.

- Od całych długich sześciu godzin - podchwycił i pocałowali się znowu.

- Od całych długich sześciu godzin - powtórzyła z uśmiechem. - Proszę cię, bądź zawsze w domu, kiedy ja wracam.

- Będę to poczytywał za punkt honoru - powiedział i sięgnąwszy po czerwoną suknię zaczął oglądać ją z uwagą. - Twój brat jest diablo dorosły jak na chłopca w tym wieku.

- Chyba za dorosły.

- Tak? Czemu tak sądzisz?

- Nie wiem. - Pociągnęła łyk piwa. - Widzisz, on wszystko bierze na rozum, oblicza dokładnie. - Pomyślała o niezwykłej hojności ojca wobec Rudolfa, o matce, która w nocy staje nad deską do prasowania, by jej faworyt miał świeżą koszulę. - Dyskontuje swoją inteligencję.

- To z korzyścią dla niego - uśmiechnął się Willie. - Chętnie dyskutowałbym moją.
- O czym rozmawialiście, nim przyszłam? - zapytała.
- Wychwalaliśmy cię.

- Niech będzie. I co więcej?

- Rudi dopytywał o moją pracę. Zastanawiał się chyba trochę, co przyjaciel jego siostry może robić w domu wczesnym popołudniem, w czasie, kiedy siostra zarabia ciężką pracą na chleb powszedni.

Łatwo rozproszyłem jego obawy.

Willie znalazł zajęcie w nowym czasopiśmie, które jego przyjaciel wydawał od niedawna. Był to tygodnik zajmujący się sprawami radia, a praca Willie'ego polegała przede wszystkim na słuchaniu dziennych programów. Ma się rozumieć, wolał robić to w domu niż w ciasnej, zatłoczonej redakcji. Zarabiał dziewięćdziesiąt dolarów tygodniowo, więc z jej sześćdziesięcioma radzili sobie nieźle. Ale pod koniec tygodnia bywało nieraz krucho z pieniędzmi, bo Willie lubił jadać w restauracjach i włóczyć się po barach do późnej nocy.

- Powiedziałaś mu, że piszesz także sztukę? - podjęła Gretchen.

- Nie! Niech sam dowie się o tym. W swoim czasie - powiedział Willie.

Nigdy nie pokazał jej tej swojej sztuki. Napisał tylko pierwszy akt i pół drugiego, a i to wszystko zamierzał zupełnie przerobić.

Na razie udrapował na sobie czerwoną suknię i jak modelka począł przechadzać się poruszając biodrami z przesadą.

- Czasami zastanawiam się, jaka byłaby ze mnie dziewczyna - powiedział. - Co o tym sądzisz?

- Nic.

- Przymierz tę szatę: Zobaczymy, jak wygląda naprawdę - zaproponował.

Podał jej suknię i Gretchen wyszła do pokoju sypialnego, gdzie na drzwiach szafy w ścianie było duże lustro. Przed wyjściem z domu porządnie zaślała łóżko, teraz jednak kapa była pognieciona.

Willie urządził sobie małą drzemkę po lunchu. Mieszkali razem ledwie od dwóch miesięcy, lecz Gretchen zdążyła poznać i polubić obyczaje współlokatora. Jego garderoba była rozrzucona po całym pokoju, gorset leżał na podłodze pod oknem. Uśmiechała się zdejmując sweter i spódnicę. Rozczulał ją Willie i ta jego dziecinna skłonność do bałaganu. Lubiała robić po nim porządki.

Nie bez trudności zapięła zamek błyskawiczny. Tę suknię miała na sobie uprzednio tylko dwukrotnie. Raz w salonie mody, raz w sypialni Boylana, aby zademonstrować mu się jako modelka.

Właściwie nie nosiła jej nigdy. Teraz krytycznie oglądała się w lustrze. Była zdania, że stanik z koronki zanadto odsłania piersi.

Kobieta w czerwonej sukni, na której odbicie patrzyła, sprawiała wrażenie dużo starszej, w bardzo nowojorskim stylu i pewnej własnych wdzięków - kobiety, która może wejść do każdego salonu lekceważąc wszelką konkurencję. Rozpuściła włosy, które ciemną kaskadą spłynęły na ramiona. W ciągu dnia pracy były upięte w wygodny kok na czubku głowy.

Jeszcze raz obejrzała się dokładnie i weszła do pierwszego pokoju.

Willie otwierał kolejną butelkę piwa. Na widok Gretchen zagwizdał przez zęby.

- Oszłamiasz mnie - powiedział. - Przerażasz!

Zrobiła piruet i spódnica przybrała kształt pełnego klosza.

- Można ją nosić? - zapytała Gretchen. - Nie za dużo odsłania?

- Jest boska! - zawołał Willie. - Toaleta zaprojektowana doskonale. Zaprojektowana tak, że każdy mężczyzna pragnie natychmiast uwolnić cię od niej. - Zbliżył się do Gretchen. - A więc - podjął wcielając w czyn słowa - dżentelmen przystępuje do rozbierania damy.

Pociągnął za uchwyt zamka błyskawicznego i suknię zdjął z niej przez głowę. Wzdrygnęła się, bo ręce miał zimne od butelki piwa.

- Co my właściwie robimy tutaj? - zapytał.

Przeszli do pokoju sypialnego. Wszystko potoczyło się tak samo jak wtedy, kiedy w tej sukni zaprezentowała się Boylanowi. Nie sposób było uniknąć ech przeszłości.

Willie brał ją łagodnie, delikatnie, jak gdyby była krucha, i łatwa do uszkodzenia. Raz, w trakcie stosunku, nagle przyszedł jej na myśl zwrot: „z całym respektem”. Roześmiała się wtedy - jemu nie powiedziała oczywiście dlaczego. Z Boylanem te rzeczy przedstawiały się całkiem inaczej. Miał w sobie coś z zażartej, unicestwiającej walki, w której nie brak zwycięzców i zwyciężonych. Po Boylanie przychodziła do siebie niby ktoś powracający z dalekiej podróży, świadomy, że jego osobowość została pogwałcona. Natomiast stosunek z Williem był czuły, miły, niewinny. Stanowił część normalnego toku ich życia. Nie miał w sobie nic z poczucia oderwania od rzeczywistości, udręczenia - z poczucia, jakie Boylan budził w niej zawsze i do jakiego tak tęskniła.

- Najdroższy - szepnęła i przez czas pewien leżeli bez słowa.

Po chwili on odwrócił się ostrożnie na wznak i spoczywali obok siebie nie dotykając się - tylko dłonie splecione po dziecięcemu znajdowały się pomiędzy nimi.

- Taka jestem szczęśliwa, że zastałam cię w domu - powiedziała Gretchen.

- Zawsze mnie zastaniesz - obiecał.

Czule ścisnęła jego palce.

Drugą ręką sięgnął po leżącą na stoliku nocnym paczkę papierosów i uwolnił dłoń z

uścisku Gretchen, aby zapalić. Później leżał płasko z głową na cienkiej poduszce. Wyglądał jak mały chłopczyk, który zostałby ukarany, gdyby go przyłapano na paleniu.

- Teraz - odezwał się - kiedy już dokonałaś na mnie gwałtu, możemy chyba pogawędzić. Jak ci się udał dzień?

Po chwili wahania zdecydowała, że to, co ma do powiedzenia, powie później.

- Normalnie - odparła. - Tyle że Gaspard znów mnie napastował.

Stało się to w przerwie podczas próby. Gaspard, który grał główną rolę w sztuce, zaprosił Gretchen do swojej garderoby pod pretekstem powtórzenia jakiejś krótkiej kwestii i tam rzucił ją na kanapę.

- Cwaniak ze starego Gasparda - powiedział Willie pocieszającym tonem. - Spójrzy tylko na coś dobrego i już wie, że to dobre.

- Chyba powinien byś rozmówić się z nim, powiedzieć, żeby twoją dziewczynę zostawił w spokoju? - podjęła. - Albo dać mu po gębie.

- Zabiłby mnie. Jest dwa razy wyższy ode mnie - odpowiedział Willie bez zażenowania.

- Jestem zakochana w tchórze - uśmiechnęła się Gretchen i pocałowała go w ucho.

- Coś podobnego trafia się często naiwnym panienkom z prowincji.

Zresztą w tym zakresie dziewczyna powinna być samodzielna. Jesteś wystarczająco dorosła, by nocą spacerować samotnie po metropolii.

Bądź wystarczająco dorosła, by bronić się osobiście.

- Ja pobijałabym każdą, która próbowałaby napastować ciebie - powiedziała.

- O tym nie wątpię - roześmiał się Willie.

- Nichols był dziś w teatrze - podjęła. - Powiedział, że w przyszłym roku zapewne będzie miał dla mnie rolę. Dużą rolę, jak się wyraził.

- Zostaniesz gwiazdą! Twoje nazwisko pojawi się w reklamach świetlnych. Wtedy pozbędziesz się mnie, jak znoszonych trzewików.

Teraz czy później, wszystko jedno, pomyślała.

- Obawiam się, że w przyszłym sezonie nie będę mogła występować.

- Dlaczego? - podźwignął się na łokciu i spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Byłam dziś z rana u ginekologa - odparła. - Jestem w ciąży.

Przez chwilę patrzył bystro w jej twarz. Później usiadł, zgniótł papierosa w popielniczce.

- Pić mi się chce - powiedział.

Sztywny wstał z łóżka odsłaniając długą bliznę, biegnącą wzdłuż dolnej części

kręgosłupa. Narzucił stary bawełniany szlafrok i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Gretchen usłyszała, że nalewa piwo do szklanki. Leżąc cicho w ciemnościach czuła się opuszczona. Nie trzeba było mu mówić. Teraz wszystko przepadło. Dobrze pamiętała noc, kiedy to musiało się zdarzyć. Wrócili bardzo późno, krótko przed czwartą. W czyimś domu toczyła się zażarta dyskusja i to na temat cesarza Hirohito! Wszyscy pili potężnie. Kręciło się jej w głowie, więc zaniedbała środków ostrożności. Zwykle po powrocie do domu byli zanadto zmęczeni, żeby się kochać. Tamtej cholernej nocy nie byli zanadto zmęczeni. Pozwolili sobie na jeden raz - ku chwale cesarza Japonii. Jeżeli będzie biadał, pomyślała, powiem mu, że zrobię skrobankę. Nigdy nie zdobyłabym się na to, ale tak mu powiem.

Gdy Willie wrócił do pokoju, włączyła lampkę nocną. Taka rozmowa powinna odbywać się przy świetle. Ważniejsze od słów będzie to, co wyrazi jego twarz. Okryła się prześcieradłem. Willie podszedł bliżej. Stary bawełniany szlafrok - wyblakły po niezliczonych praniach - zwisał luźno na jego szczupłej figurze.

- Słuchaj! - zaczął Willie. - Słuchaj z całą uwagą. Uzyskam rozwód albo zamorduję tę kurwę. Później pobierzemy się i pójdę na kurs pielęgnacji i żywienia niemowląt. Zrozumiałaś, panno Jordach?

Bystro spojrzała mu w oczy. Miał twarz jak trzeba. Bardziej niż jak trzeba.

- Dokładnie zrozumiałam - odszepnęła.

Nachylił się, pocałował ją w policzek, a ona uczepiła się rękawa jego szlafroka. Na Boże Narodzenie dostanie ode mnie nowy, pomyślała. Jedwabny.

Rudolf z torbą podróżną w rękę zeszedł po paru schodkach z chodnika Ósmej Ulicy. Boylan w tweedowym płaszczu stał przy bufecie zaopatrzonej w swoją szklankę. W barze byli sami mężczyźni i w większości sprawiali wrażenie pederastów.

- Widzę, że przyniosłeś torbę - odezwał się Boylan.

- Nie chciała jej.

- A suknia?

- Suknię przyjęła.

- Czego się napijesz?

- Poproszę o piwo.

- Jedno piwo - zwrócił się Boylan do bufetowego. - Ja pozostanę przy whisky.

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze znajdującym się za ladą bufetu. Brwi miał jeszcze jaśniejsze niż w poprzednim tygodniu, twarz opaloną tak, jak gdyby miesiącami wylegiwał się na jakiejś południowej plaży. Niektórzy pederastci byli tak samo opaleni.

Rudolf wiedział już o lampie kwarcowej. Pewnego dnia Boylan wytłumaczył mu swoje stanowisko.

- Chcę wyglądać zawsze zdrowo i możliwie przystojnie - powiedział.

- Uważam to za punkt honoru, jeżeli nawet nie widuję ludzi przez długie tygodnie. Chodzi mi o szacunek dla samego siebie.

Rudolf był tak śniady, że mógł szanować samego siebie bez pomocy lampy kwarcowej.

Bufetowy postawił przed nimi szklanki. Boylan sięgnął po swoją i Rudolf spostrzegł, że palce drżą mu lekko. Zastanowił się, ile tamten zdążył już wypić.

- Powiedziałaś jej, że jestem tutaj? - zapytał Boylan.

- Tak.

- Przyjdzie?

- Nie. Facet, z którym jest teraz, chciał przyjść, poznać się z tobą. Ona nie chciała.

- Aha. Jest teraz z jakimś facetem?

- Tak. Mieszka z nim.

- Rozumiem. Prędko się urządziła, co?

Rudolf pociągnął łyk piwa.

- Twoja siostra - podjął Boylan - jest kobietą wyjątkowo zmyslową.

Obawiam się, że właśnie to zaprowadzi ją diabli wiedzą dokąd.

Rudolf pociągnął drugi łyk piwa.

- Nie pobrali się przypadkiem?

- Nie. On jest jeszcze żonaty z kimś innym.

Boylan popatrzył znowu w lustro. Przez chwilę przyglądał się własnemu odbiciu. Jakiś barczysty młody mężczyzna w czarnym golfie napotkał wzrokiem jego spojrzenie, uśmiechnął się zalotnie. Boylan zwrócił wzrok ku Rudolfowi.

- Co to za typ, Rudolfie? Spodobał ci się?

- Młody. Robi dosyć sympatyczne wrażenie. Wciąż dowcipkuje.

- Wciąż dowcipkuje - powtórzył Boylan. - Ha! Nic dziwnego. A jak mieszkają?

- Zajmują dwa umeblowane pokoje.

- Twoja siostra to romantyczka. Lekceważy korzyści wynikające z posiadania pieniędzy. Kiedyś pożałuje tego. Między innymi pożałuje i tego.

- Wygląda na szczęśliwą - powiedział Rudolf.

Wróżby Boylana uważał za niesmaczne. Nie życzył sobie, by Gretchen miała kiedyś żałować czegośkolwiek.

- Co robi ten jej młody człowiek? Gdzie pracuje? Dowiedziałeś się tego?

- Coś pisze dla jakiegoś magazynu radiowego.

- Aha. To jeden z takich.

- Teddy - powiedział Rudolf - posłuchaj mojej rady. Zapomnij o niej.

- Z przepastnych głębi swojego doświadczenia radzisz mi, abym zapomniał o niej.

- Oczywiście nie mam żadnego doświadczenia - odpowiedział Rudolf.

- Ale widziałem Gretchen. Widziałem, jak ona patrzy na tamtego.

- Mówiłeś jej, że nadal chcę się z nią ożenić?

- Nie. To coś, co sam powinienes jej powiedzieć. A zresztą trudno wymagać, abym o czymś takim mówił w obecności tego faceta.

- Dlaczego?

- Teddy! Stanowczo za dużo pijesz.

- Tak sądzisz? Może to i racja - powiedział Boylan. - Myślę że nie zgodziłbyś się wrócić tam ze mną i złożyć twojej siostrze krótkiej wizyty. Nie mylę się, prawda?

- Wiesz, że czegoś takiego nie mogę zrobić.

- Nie możesz. Rzeczywiście! - obruszył się Boylan. - Jesteś podobny do reszty swojej rodziny. Nie możesz zrobić ni cholery!

- Jedno na pewno mogę zrobić. Wsiąść w pociąg i wrócić do domu.

Zaraz! Rozumiesz?

- Przepraszam, Rudolfie - powiedział Boylan i palcami dotknął jego ramienia. - Widzisz, stałem tu i wciąż mówiłem sobie, że za chwilę ona wejdzie z tobą tymi drzwiami. No i nie weszła. Z rozczarowań wynikają złe maniery. To ważki powód, by za wszelką cenę wystrzegać się rozczarowań. Wybacz mi. Oczywiście nie pojedziesz do domu. Skorzystamy z wolności i wyprawimy sobie szampańską noc w wielkim mieście. Niedaleko stąd jest całkiem dobra restauracja.

Tam zrobimy początek. Rachunek proszę! - zwrócił się do bufetowego.

Położył na ladzie kilka banknotów. W tej chwili podszedł do nich barczysty młody mężczyzna w czarnym golfie.

- Panowie! - powiedział uśmiechając się do Rudolfa - czy wolno mi zaprosić was na jednego?

- Dureń - rzucił Boylan bez nuty rozdrażnienia.

- Do kogo ta mowa, kochasiu - podjął tamten.

Bez ostrzeżenia Boylan uderzył go w nos pięścią. Bardzo mocno.

Młody mężczyzna w czarnym golfie zachwiał się, oparł plecami o bufet. Krew

pociekła mu z nosa.

- Idziemy, Rudolffie - powiedział Boylan z całym spokojem i wyszli z baru, nim bufetowy lub ktokolwiek inny zdążył zareagować.

- Ostatni raz byłem tam przed wojną - powiedział Boylan, gdy zmierzali w stronę Szóstej Alei. - Zmieniła się klientela.

Gdyby Gretchen weszła ze mną tymi drzwiami, pomyślał Rudolf, jeden nos mniej krwawiłby dzisiejszej nocy w wielkim mieście Nowym Jorku.

Po obiedzie w restauracji, gdzie - jak zauważył Rudolf - rachunek przekroczył dwanaście dolarów, poszli do klubu nocnego, który znajdował się w podziemiu i nosił nazwę „Cafe Society”.

- Pewno znajdziesz tam jakieś pomysły dla „Piątki znad Rzeki” - powiedział Boylan. - W „Cafe Society” gra jeden z najlepszych zespołów w mieście. No i towarzyszy mu zwykle jakaś młoda Murzynka, która rzeczywiście potrafi śpiewać.

Sala była przepelniona publicznością przeważnie młodą i w znacznej części czarną, ale dzięki stosownemu napiwkowi znalazł się dla nich stolik tuż koło małego parkietu. Muzyka była ogłuszająca i cudowna. „Piątka znad Rzeki” mogłaby nauczyć się od tego zespołu tylko jednego - że swoje instrumenty powinna wrzucić do rzeki.

Rudolf przytłoczony wspaniałością muzyki pochylał się do przodu, nie odrywał wzroku od Murzyna grającego na trąbce. Boylan siedział rozparty na krześle i popijał whisky w swojej własnej prywatnej strefie ciszy. Rudolf również zamówił whisky, bo coś zamówić musiał, ale szklanka stała nietknięta na stoliku.

Boylan wypił tak dużo po południu i wieczorem, że najprawdopodobniej nie będzie w stanie prowadzić wozu, więc on zdawał sobie sprawę, że musi być trzeźwy, by w razie potrzeby móc przejąć kierownicę. Boylan nauczył go szoferki na rozmaitych bocznych drogach w okolicy Port Philip.

- Teddy! - Obok stolika stała kobieta w głęboko dekolowanej krótkiej sukni wieczorowej. - Teddy Boylan. Myślałam, że umarłeś.

Boylan wstał.

- Jak się masz, Cissy - powiedział. - Nie umarłem.

Kobieta objęła go za szyję, pocałowała w usta. Był wyraźnie niezadowolony, odwrócił głowę. Rudolf wstał również, bo nie bardzo wiedział, jak się zachować. Kobieta cofnęła się nieco, lecz uparcie trzymała Boylana za rękaw. Była obwieszona biżuterią - Rudolf nie miał pojęcia: prawdziwą czy sztuczną - która połyskiwała w świetle reflektora załamującym się na trąbce. Twarz miała umalowaną: mocno podcieniowane oczy i jaskrawokarminowe usta.

Uśmiechając się spoglądała na Rudolfa, który nie wiedział, czy ma stać dalej, czy usiąść, ponieważ Boylan nie przedstawił go tej osobie.

- Gdzie się ukrywałeś, w jakim zakątku ziemi? - ciągnęła nie czekając na odpowiedzi; w dalszym ciągu wyzywająco przyglądała się Rudolfowi, - Przecież to wieki, długie wieki. Krążyły najbardziej fantastyczne pogłoski. To straszne, jak najbliżsi i najmilsi nikną z oczu w dzisiejszych czasach. Przysiądziesz się do naszego stolika, co? Jest cała paczka. Susie, Jack, Karen.. Wszyscy tęsknią do ciebie, marzą, żeby z tobą pogadać. Kochanie! Wyglądasz cudownie! Jak gdyby lata wcale nie płynęły. Że też odnalazłam ciebie. Akurat w tym miejscu. To zmartwychwstanie! Po prostu zmartwychwstanie! - Wciąż uśmiechała się prowokacyjnie do Rudolfa.

- Chodź do nas, najdroższy, chodź! I weź z sobą swojego ślicznego młodego przyjaciela. Nie dosłyszałam chyba jego nazwiska.

- Pan Rudolf Jordach - zaprezentował go formalnie Boylan. - Pani Alfredowa Sykes.

- Cissy dla przyjaciół - podchwyciła. - Chłopiec jest uroczy! Nie dziwię się, że wolisz go nie pokazywać dawnym znajomym.

- Nie bądź, Cissy, idiotką większą, niż Bóg zamierzał cię stworzyć - powiedział Boylan.

Wybuchnęła śmiechem.

- Taki sam gówniarz z ciebie, Teddy, jak byłeś. Chodź. Przysiądź się do naszego stolika. Przywitaj się ze starą paczką.

Wskazała kierunek ręką, odwróciła się i ruszyła w głąb sali torując sobie drogę wśród dżungli stolików.

Boylan usiadł i dał znak Rudolfowi, by usiadł również. Rudolf czuł, że się rumieni. Na szczęście było za ciemno, by ktoś mógł to zauważyć. Boylan napił się whisky.

- Głupia baba - powiedział nie spoglądając na Rudolfa. - Przed wojną miałem z nią romans. Diabło się zestarzała. No, chodźmy z tej nory. Zbyt tu hałaśliwie i jak na mój gust trochę za dużo naszych czarnych braci. Lokal przypomina statek niewolniczy po udanym buncie.

Skinął na kelnera, zapłacił i po odebraniu płaszczy z szatni wyszli z „Cafe Society”. Pani Sykes (Cissy dla przyjaciół) była pierwszą osobą, której Boylan przedstawił Rudolfa - nie licząc, ma się rozumieć, Perkinsa. Jeżeli inni jego przyjaciele są podobni, trudno się dziwić, że Boylan woli przesiadywać sam w wielkim domu na wzgórzu. Rudolf żałował, że ta kobieta podeszła do stolika.

Rumieniec przypominał mu, jak bardzo jest młody. Chętnie słuchałby do rana tego

cudownego trębacza.

Szli Czwartą Ulicą ku wschodowi w stronę miejsca, na którym zaparkowali samochód. Po drodze mijali ciemne wystawy sklepów i smugi światła, muzyki, głośnych rozmów, tam gdzie znajdowały się bary.

- Nowy Jork jest neurasteniczny - mówił Boylan. - Przypomina nie miasto, lecz nie dopieszczoną, podstarzałą nimfomankę. Na Boga!

Ile zmarnowałem tu czasu! - Pojawienie się pani Sykes najwyraźniej wytrąciło go z równowagi. - Przykro mi z powodu tej kurwy.

- Nie szkodzi - powiedział Rudolf.

Szkodziło! Ale wolał, by Boylan nie wiedział o tym.

- Ludzie są obrzydliwi - ciągnął tamten. - Obleśny uśmiech to normalny wyraz amerykańskiej gęby. Kiedy następnym razem wybierzemy się do Nowego Jorku, zabierz swoją dziewczynę. Jesteś zbyt wrażliwy, by narażać cię na spotkania z takim draństwem.

- Pomówię z nią - obiecał, chociaż był pewien, że Julia nie przyjmie propozycji. Nie pochwalala jego przyjaźni z Boylanem, któremu dała przyzwiska: Drapieżny Ptak i Utleniony.

- Moglibyśmy zaprosić Gretchen z jej młodym przyjacielem - ciągnął Boylan - no i przejrzałbym mój stary notatnik z adresami. Może znalazłaby się jakaś dziewczyna, moja dawna znajoma. Co?

Urządzilibyśmy zabawę pierwsza klasa.

- Właśnie! Wesoło byłoby, jak podczas tonięcia „Titanica”.

- Oto młodzieńcza bystrość przewidywania! - roześmiał się Boylan i podjął zaraz serdecznym tonem - Udany z ciebie chłopiec. Przy odrobinie szczęścia wyrośniesz na udanego mężczyznę.

Byli już przy samochodzie. Za przednią szybą tkwił bilet parkingowy. Boylan podarł go nie czytając.

- Poprowadzę, jeżeli sobie życzysz - zaproponował Rudolf.

- Nie jestem pijany - rzucił krótko Boylan i usiadł przy kierownicy.

Tom siedział na kulawym krześle, wsparty plecami o ścianę garażu.

W zębach trzymał źdźbło trawy i patrzył prosto przed siebie na skład drewna znajdujący się po przeciwległej stronie drogi. Dzień był słoneczny. Światło załamywało się metalicznie na resztkach liści drzew, którymi była obsadzona szosa. W jednym wozie trzeba było zmienić olej przed drugą po południu, ale Tom nie śpieszył się wcale. Ubiegłego wieczora wdał się w bójkę podczas zabawy szkolnej, więc był obolały i ręce miał spuchnięte.

Uparcie odbijał tancerkę chłopcu który grał na obronie w szkolnej drużynie piłki nożnej, ponieważ dziewczyna obrońcy robiła doń oko przez cały wieczór. Obrońca ostrzegał go, mówił, żeby się odczepił, ale Tom w dalszym ciągu odbijał mu tancerkę. Wiedział, że w końcu wyniknie z tego bójka, więc jak za dawnych czasów odczuwał lęk i zadowolenie, był podniecony i świadom własnej siły. A tymczasem z gruba ciosana twarz obrońcy była coraz to bardziej pochmurna, gdy Tom obtańcowywał jego dziewczynę. Wreszcie obydwaj wyszli przed salę gimnastyczną, gdzie odbywały się tańce. Obrońca był groźny - nad wyraz zwinny i miał ogromne, ciężkie pięści. Ten skurczybyk Claude - gdyby był przy tym - posikałby się w majtki z ukontentowania.

W rezultacie Tom rozłożył przeciwnika, ale żebra dokuczały mu jak połamane. Była to jego czwarta bójka w Elysium od początku lata.

Wieczorem wybierał się na randkę z dziewczyną obrońcy.

Stryj Harold wyszedł z małego kantorku stacji obsługi. Tom zdawał sobie sprawę, że ludzie skarżą się przed stryjem Haroldem na niego i jego bójki, ale stryj Harold nie mówił nic na ten temat. Nie mówił również nic o samochodzie, w którym olej miał być zmieniony do drugiej po południu, chociaż Tom czytał w jego twarzy, że z przykrością patrzy na bratanka rozpartego na kulawym krześle i leniwie gryzącego źdźbło trawy. Ostatnimi czasy stryj Harold nie mówił nic na żaden temat. Wyglądał źle. Jego puciołowata różowa twarz pozołkła jakoś, zapadła, i miała wyraz napięcia jakby stryj oczekiwał wybuchu bomby. Tą bombą był Tom. Gdyby napomknął tylko Tante Elzie o tym, co dzieje się między jej małżonkiem a Klotyldą, śpiew Tristana i Izoldy na długi czas zamilkłby w domu Jordachów.

Tom nie zamierzał napomykać o niczym, ale nie informował o tym stryja Harolda. Niech się łajdak gryzie.

Tom nie zabierał teraz śniadań z domu. Przez trzy dni z rzędu zostawiał na kuchennym stole torbę z owocami i kanapkami, które Klotylda przygotowywała dla niego. Klotylda nic nie mówiła. Po trzech dniach zrozumiała, i kanapki przestały czekać na Toma.

Stołował się w pobliskiej jadłodajni. Mógł sobie na to pozwolić.

Stryj Harold dorzucił mu dziesięć dolarów tygodniowo. Stary kutwa!

- Jak kto o mnie zapyta - powiedział stryj Harold - będę w mieście w agencji samochodowej.

Tom siedział nadal zapatrzony przed siebie. W zębach trzymał źdźbło trawy. Stryj Harold westchnął, załadował się do samochodu i odjechał.

Z wnętrza garażu dobiegały głosy świadczące, że Coyne pracuje przy tokarce. Którejś niedzieli Coyne widział bójkę Toma nad jeziorem.

Od tego czasu był dlań bardzo uprzejmy i często brał na siebie robotę, którą Tom zaniedbywał. Obecnie Tom zastanawiał się leniwie, czy zmiany oleju, z czym mieli się uporać do drugiej, nie przekazać Coyne'owi.

Pani Dornfeld nadjechała swoim Fordem, model 1940, i zahamowała przy pompie benzynowej. Tom wstał i nie śpiesząc się bynajmniej podszedł do wozu.

- Dzień dobry, Tommy - powiedziała pani Dornfeld.

- Dzień dobry.

- Do pełna, Tommy, bardzo proszę.

Pani Dornfeld - trzydziestoletnia, pulchna blondynka - miała po dziecięcemu naiwne, niebieskie oczy z wyrazem jak gdyby rozczarowania. Jej mąż pracował w banku jako kasjer, co było bardzo dogodne, ponieważ pani Dornfeld wiedziała zawsze, gdzie on znajduje się w godzinach urzędowych.

Tom powiesił węża, zakręcił pokrywkę zbiornika na benzynę i przystąpił do czyszczenia przedniej szyby.

- Miło byłoby, Tommy, gdybyś dziś złożył mi wizytkę - powiedziała pani Dornfeld. Z reguły nazywała to „wizytką”. Miała zwyczaj mówić pruderyjnie, pomagając sobie trzepotaniem rzęs, układem ust, delikatnymi poruszeniami dłoni.

- Może uda mi się wyrwać około drugiej - odparł Tom.

- Byłaby to przyjemna, długa wizytka - podjęła pani Dornfeld, gdyż wiedziała, że tego dnia jej mąż siedzi w kasjerskiej klatce od pół do drugiej.

- Jeżeli uda mi się wyrwać - podchwycił Tom, bo nie wiedział, jak będzie się czuł po lunchu.

Podowała mu pięciodolarowy banknot i ścisnęła jego rękę, gdy chciał jej zwrócić resztę. Od czasu do czasu, po wizytce, dostawał od niej dziesięć dolarów. Widać pan Dornfeld nie wystarczał małżonce, absolutnie nie wystarczał.

Wracając z takich wizyt Tom miał zawsze ślady szminki na kołnierzyku koszuli. Nie usuwał ich celowo, bo chciał, żeby nie uszły uwagi Klotyldy, gdy ta weźmie jego bieliznę do prania.

Klotylda nigdy nie wspomniała nic o szmince. Koszula - wyprana i wyprasowana starannie - znajdowała się następnego dnia na łóżku Toma.

Wszystkie środki zastępcze nie działały. Pani Dornfeld ani pani Berryman, bliźniaczki ani nikt inny. Wszystko to świnie! Żadna nie zastąpi mu Klotyldy. Był pewien, że Klotylda wie o wszystkim - nie sposób przecież ukryć czegoś w takiej parszywej mieścinie - i miał nadzieję, że czuje się źle z tego powodu. Przynajmniej równie źle, jak on. Ale jeżeli nawet tak

było, Klottylda niczym się nie zdradzała.

- Godzina druga to pora bardzo szczęśliwa - powiedziała pani Dornfeld, a Tom pomyślał, że to starczy, by zwymiotować.

Pani Dornfeld uruchomiła silnik i odjechała. Tom wrócił na swoje krzesło oparte o ścianę. Po chwili Coyne wyszedł z garażu wycierając dłonie.

- Jak byłem w twoim wieku - powiedział spoglądając na Forda, który się oddalał - myślałem, że świat by się zawalił, gdybym pozwolił sobie na takie rzeczy z mężatką.

- Nie zawalił się jakoś - rzucił Tom.

- Ano widzę.

Ten Coyne to całkiem niezły facet. Kiedy Tom obchodził siedemnaste urodziny, postawił całą butelkę krajowej whisky i we dwu wypili ją w ciągu jednego popołudnia.

Tom zjadł hamburgera i resztki sosu wymazywał z talerza skórką chleba, gdy do jadłodajni wszedł Joe Kuntz, policjant. O godzinie za dziesięć druga salka była prawie pusta. Tylko dwaj robotnicy ze składu drewna kończyli lunch, a bufetowy Eliaz wycierał ladę. Tom nie postanowił jeszcze, czy wybierze się z wizytką do Bertie Dornfeld, czy nie.

- Tomasz Jordach? - zapytał Kuntz podszedłszy do stołka, na którym Tom siedział przy bufecie.

- Się masz, Joe - odpowiedział mu Tom.

Kuntz przychodził do garażu przynajmniej dwa razy w tygodniu, żeby pobiadać trochę. Zapowiadał wciąż, że wystąpi z policji, bo płaca jest diabelnie niska.

- Przyznajesz, że twoje imię i nazwisko brzmi Tomasz Jordach? - podjął teraz urzędowym tonem policjanta.

- Co ty gadasz, Joe?

- Zadaję ci urzędowe pytanie - padła odpowiedź.

- Nie żartuj, Joe. Znasz moje imię i nazwisko.

- Pozwól no ze mną, synku. Mam nakaz aresztowania.

Mocno ujął Toma za rękę tuż nad łokciem. Eliaz przestał wycierać ladę. Ludzie ze składu drewna dali spokój jedzeniu. Zapanowała absolutna cisza.

- Zamówiłem kawałek ciasta i kawę - powiedział Tom. - Łapy przy sobie, Joe. Nie szarp mnie!

- Eliaz! Ile on ci winien? - zapytał Kuntz i mocniej ścisnął palcami rękę Toma.

- Z kawą i ciastem, czy bez kawy i ciasta?

- Bez.

- Siedemdziesiąt pięć centów - powiedział bufetowy.

- Zapłać zaraz, synku i chodź ze mną. Tylko spokojnie - rzucił Kuntz.

Dokonywał nie więcej niż dwudziestu aresztowań rocznie, więc tym się specjalnie delectował.

- Dobrze. Już idę. - Tom położył na ladzie osiemdziesiąt pięć centów. - Rękę mi złamiesz, Joe.

Kuntz wyprowadził go szybko z jadłodajni. Spinelli, drugi policjant, siedział przy kierownicy wozu terenowego z włączonym silnikiem.

- Pete - zwrócił się Tom do niego. - Powiedz no Joe'emu, żeby mnie puścił.

- Stul pysk, szczeniaku - odburknął Spinelli.

Kuntz wepchnął go na tylne siedzenie, sam usiadł obok i samochód ruszył w kierunku miasta.

- Jesteś aresztowany pod zarzutem gwałtu w pojęciu prawa - powiedział sierżant Horvath. - Wpłynęła skarga poparta zeznaniami pod przysięgą. Zawiadomię twojego stryja. Będzie mógł wziąć ci adwokata. Wyprowadzić go, chłopcy.

Tom stał pomiędzy Kuntzem a Spinellim, którzy z dwu stron trzymali go za ręce. Został wyprowadzony i zamknięty w areszcie. Spojrzał na zegarek. Druga dwadzieścia. Berta Dornfeld obejdzie się dziś bez oczekiwanej wizyty.

W jedynej celi aresztu znajdował się drugi więzień - wymizerowany obdartus około pięćdziesiątki, z zarostem nie golonym przynajmniej od tygodnia. Siedział dwudziesty trzeci raz za to samo, jak powiedział Tomowi. Za kłusownictwo. Upolował jelenia.

Harold Jordach spacerował nerwowo po peronie stacyjnym - tam i z powrotem. Akurat dziś pociąg musi się spóźnić, myślał. Dokuczala mu zgaga, więc niespokojnie dotykał ręką brzucha. Ilekroć miewał zmartwienie, odczuwał je przede wszystkim w żołądku. A od wczorajszego popołudnia, od drugiej trzydzieści, gdy sierżant Horvath zatelefonował do niego, martwił się nieustannie. Nawet nie zmrużył oka, bo Elza płakała przez całą noc, a w przerwach mówiła, że są zhańbieni do końca życia, że ona nie odważy się pokazać twarzy w mieście, że tylko dureń mógł przyjąć pod dach takie dzikie zwierzę. Miała słuszość, przyznawał, bo tamtego dnia, gdy Aksel zatelefonował z Port Philip, winien stanowczo odpowiedzieć: nie! Rodzina czy nie rodzina.

Myślał o Tomie, który w areszcie policyjnym plecie jak nieprzytomny, przyznaje się do winy, nie okazuje wstydu ani skruchy, nazwiskami sypie niby z rękawa. Kto może przewidzieć, co taki nagada, skoro już raz zacznie mówić? Co go powstrzyma od zeznań na temat czarnorynkowych kuponów benzynowych, używanych wozów wyszykowanych tak, że

skrzynka biegów nie wytrzyma nawet stu mil, cen nowych samochodów obniżanych sztucznie, aby oszukać władze podatkowe, rachunków za szlifowanie tłoków i zaworów tam, gdzie należało jedynie oczyścić przewody paliwa? Ba! Tom może powiedzieć nawet o Klotyldzie. Takiego chłopca wpuszcza się do domu po to, by z miejsca zostać jego więźniem. Zgaga kłuła jak nożem i stryj Harold zaczynał się pocić, chociaż na peronie stacyjnym dął wiatr i było zimno.

Spodziewał się, że Aksel przywiezie huk pieniędzy. No i metrykę urodzenia Toma. Poprzedniego dnia wysłał depeszę z prośbą, by Aksel zadzwonił ponieważ jego brat nie miał telefonu. W dzisiejszych czasach! Depeszę zrehabilitował najbardziej zastraszająco, aby skłonić brata do zadeszowania, ale i tak był bliski zdziwienia, kiedy dzwonek zabrzączał w jego domu i w słuchawce rozpoznał głos brata.

Usłyszał pociąg, który zza zakrętu zbliżał się ku stacji więc odstał nerwowo od toru. W takim stanie może przecież dostać ataku sercowego i jak nic upaść niespodziewanie.

Pociąg zwolnił, zatrzymał się i kilka osób umknęło śpiesznie ze smaganego wiatrem peronu. Harold Jordach przeżył chwilę paniki.

Nie zobaczył brata. To wygląda na Aksela, zostawić go samego z całym zawiłym problemem. Wyrodney ojciec! Nie napisał nigdy ani do syna, ani też do niego przez cały czas pobytu Toma w Elysium. Nie odezwała się też matka, ta koścista, pomyłona córka jakiejś tam kurwy. Ani żadne z rodzeństwa. Czego można się spodziewać po takiej rodzinie?

Nagle spostrzegł tęgiego mężczyznę w robotniczej czapce i krótkiej kurtce, który powoli kuśtykał peronem w jego stronę. Ale się ubrał! - pomyślał Harold Jordach. Dobrze, że jest ciemno i w pobliżu nie widać nikogo. Chyba byłem szalony, kiedy w Port Philip proponowałem mu spółkę!

- No jestem - powiedział Aksel nie kwapiąc się z podaniem ręki.

- Dobry wieczór, Akselu - powitał go Harold. - Niepokoiłem się już, że nie przyjedziesz. Ile pieniędzy masz z sobą?

- Pięć tysięcy dolarów.

- Mam nadzieję, że to starczy.

- Musi starczyć - odburknął tamten - bo więcej nie ma.

Wygląda na człowieka starego i schorowanego, pomyślał Harold. No i kuleje mocniej, niż przypominam sobie z dawnych czasów.

Minęli budynek stacyjny zmierzając w stronę zaparkowanego samochodu.

- Jeżeli chcesz zobaczyć Toma - odezwał się Harold - będziesz musiał poczekać do jutra. Po szóstej nie wpuszczają tam nikogo.

- Nie chcę zobaczyć tego skurwysyna - padła odpowiedź.

Harold pomyślał, że to bardzo nieładnie nazywać skurwysynem własne dziecko nawet w takiej sytuacji, ale nic nie powiedział.

- Jadłeś obiad, Akselu? - zapytał. - Jeżeli nie, to Elza na pewno znajdzie coś w lodówce.

- Nie traćmy czasu - odparł Aksel. - Kogo mam przekupić?

- Ojca pokrzywdzonych. Nazywa się Abraham Chase. To jedna z najgrubszych ryb w mieście. I twój syn musiał wybrać akurat kogoś takiego - ciągnął Harold tonem wyrzutu. - Nie wystarczyłaby mu robotnica z fabryki?

- To Żyd? - zapytał Aksel, gdy usadowili się w samochodzie.

- Żyd? Dlaczego? - obruszył się Harold.

Tego by jeszcze brakowało! Aksel na domiar złego może się okazać hitlerowcem.

- No bo Abraham.

- Nie. To jedna z najstarszych rodzin w naszym mieście, która praktycznie biorąc, ma w kieszeni wszystko i wszystkich. Będziesz miał szczęście, jeżeli weźmie od ciebie pieniądze.

- Właśnie - odburknął Aksel. - Szczęście.

Harold wycofał wóz z parkingu i ruszył w stronę domu Chase'ów, położonego w dobrej dzielnicy miasta, niedaleko od siedziby Jordachów.

- Rozmawiałem z nim przez telefon - mówił. - Uprzedziłem go, że przyjedziesz. Był wściekły. Cóż, trudno się dziwić. To przykro przyjść do domu i usłyszeć że córka jest w ciąży. Ale dwie córki!

I na domiar złego bliźniaczki.

- Dostaną niemowlęce wyprawki po hurtowej cenie - roześmiał się Aksel, a jego śmiech zadźwięczał tak, jak gdyby ktoś wrzucił do zlewu blaszany kubek. - Bliźniaczki, powiadasz? Tommy miał ciężką robotę, no nie.

- Ty nie wiesz nawet połowy. On pobił tu kilkunastu ludzi, od czasu jak przyjechał - podjął Harold, gdyż plotki o bójkach Toma urosły, zanim dosięgły stryjowskich uszu. - To cud, że już dawniej nie trafił do kryminału. Boją się go wszyscy. Rzecz całkiem zrozumiała, że jak zdarzyło się coś takiego, przypisano to jemu. A kto ucierpi ostatecznie? Ja. Ja i Elza.

Aksel nie podjął tematu krzywd brata oraz bratowej.

- Skąd wiadomo, że to zrobił mój smarkacz? - zapytał.

- Bliźniaczki tak powiedziały ojcu. - Harold zwolnił, niepilno mu było do spotkania z Abrahamem Chase'em. - One, znaczy bliźniaczki, puszczały się z wszystkimi chłopakami w mieście i na dokładkę z całą kupą dorosłych mężczyzn. O tym wiedzą wszyscy, ale jak

przyszło do wymieniania nazwisk, to pierwszy, kto każdemu się przypomniał, był, ma się rozumieć, twój Tommy. Nikt nie pomyślał o przystojnym chłopcu z sąsiedniego domu ani o policjancie Kuntzu, ani o studencie z Harvard, którego rodzice dwa razy tygodniowo grywają w brydża z państwem Chase. Wybór padł na czarną owcę. Te dwie małe kurewki to cwaniary. No i twój syn musiał im gadać, że ma dziewiętnaście lat. Taki waśniak! Nie można skazać za gwałt chłopca, który nie ukończył osiemnastego roku życia. Tak twierdzi mój adwokat.

- Więc o co tyle hałasu? - zapytał Aksel. - Mam przy sobie jego metrykę.

- Nie takie to znów proste - podjął Harold. - Pan Chase zaklina się, że każe go zamknąć do czasu pełnoletności jako młodocianego przestępcę. Na cztery lata, rozumiesz? To może zrobić. Niech ci się też nie zdaje, że Tom upraszcza sytuację, gdy gada glinom o co najmniej dwudziestu facetach, którzy obrabiali bliźniaczki i wymienia liczne nazwiska. To tylko drażni wszystkich. Tom kompromituje całe miasto, no i każą mu za to zapłacić. A także mnie i Elzie. To moja buda - powiedział automatycznie, bo mijali właśnie przedstawicielstwo samochodowe. - Będę miał szczęście, jeżeli nie powybijają mi szyb cegłami.

- Dobrze jesteś z Abrahamem?

- Pan Chase bywa moim klientem - odparł Harold. - Sprzedałem mu Lincolna. Ale nie mogę powiedzieć, że obracamy się w tych samych kręgach. Jest też na liście oczekujących na nowy model Merkurego.

Do licha! Z miejsca sprzedałbym setkę takich wozów, gdybym je mógł dostać. Wszystko przez tę przeklętą wojnę. Nie wyobrażasz sobie, co musiałem wyczyniać przez cztery lata po to, by jako tako utrzymać się na powierzchni. A teraz, kiedy lepsze czasy zaczynają świtać, musiała na mnie spaść taka historia.

- Nie wyglądasz na kogoś, komu powodzi się kiepsko - wtrącił Aksel.

- Cóż, trzeba zachowywać pozory - bąknął Harold i pomyślał: Jedno jest pewne, jeżeli Aksel myśli pożyczyć ode mnie pieniędzy, to obrał niewłaściwy adres.

- Skąd mogę wiedzieć, że Abraham nie każe zamknąć mojego smarkacza, chociaż weźmie ode mnie pieniądze?

- Pan Chase ma zwyczaj dotrzymywać słowa - odrzekł Harold i uległ nagłej panice na myśl, że Aksel może nazwać pana Chase'a Abrahamem w oczy i w jego własnym domu. - W kieszeni ma całe miasto.

Policjantów, sędziego, burmistrza, organizacje partyjne. Jeżeli powie, że sprawa zostanie umorzona, to będzie umorzona.

- Tak będzie lepiej dla niego.

Głos Aksela zabrzmiał tonem pogroźki. Harold przypomniał sobie nagle, jakim

porywczym chłopcem był jego brat za młodu, nim obydwaj wyemigrowali z Niemiec. Poszedł na wojnę. Zabijał ludzi.

Trudno powiedzieć, że to człowiek cywilizowany. Ma twarz tępą, zawziętą i nienawidzi wszystkiego i wszystkich, nie wyłączając najbliższej rodziny. Harold zląkł się, iż popełnił błąd, gdy zwrócił się do brata i wezwał go do Elysium: Może postąpiłby rozsądniej, gdyby próbował załatwić sprawę we własnym zakresie?

Ale wiedział, że to musi kosztować pieniądze, więc się wystraszył.

Zgaga zaczęła go znów dręczyć, gdy zajechali przed biały dom z kolumnadą, który zamieszkiwała rodzina Chase'ów.

Wysiedli i alejką podeszli do drzwi frontowych. Harold nacisnął guzik dzwonka. Odsłonił głowę i kapelusz przycisnął do piersi - prawie tak, jak gdyby oddawał pokłon fladze narodowej. Aksel nie zdjął czapki.

Pokojówka, która otworzyła drzwi, powiedziała, że pan Chase ich oczekuje.

- Biorą miliony zdrowych, młodych chłopców - rozprawiał kłusownik; a że zuł prymkę, spluwał od czasu do czasu do blaszanej puszki, która stała obok niego na podłodze. - Biorą miliony zdrowych, młodych chłopców i wysyłają w świat, by mordowali się nawzajem i okaleczali nieludzkimi narzędziami zniszczenia, a sami składają sobie gratulacje, własne piersi obwieszają medalami, odbywają parady na głównych wielkomiejskich ulicach, mnie atoli zamykają do lochu i piętnują jako wroga społeczności tylko dlatego, że wybiorę się czasami do lasów naszej Ameryki i ustrzelę jelenia ze starego Winchestera 1910, kaliber 22. - Kłusownik pochodził z wyżyny Ozark i wysławiał się jak wiejski kaznodzieja.

W celi były cztery prycze - dwie po jednej stronie, dwie po drugiej. Kłusownik, który miał na imię Dave, leżał na swoim miejscu, a Tom zajął dolne piętro pryczy pod przeciwległą ścianą.

Dave cuchnął nieprzyjemnie, więc jego młody towarzysz niedoli wołał znajdować się w możliwie znacznej odległości. Od dwu dni znajdowali się razem w celi, więc Tom wiedział niemało o kłusowniku, który mieszkał sam w szałasie opodal jeziora, więc należycie sobie cenił stałego słuchacza. Dave porzucił wyżynę Ozark, aby w Detroit pracować w przemyśle samochodowym, lecz po piętnastu latach miał dosyć.

- Czas trawiłem tam w lakierni - mówił - wśród smrodu chemikalii i żaru bijącego od kotłów, a swoje dni wyliczone na naszej ziemi poświęcałem opryskiwaniu farbą samochodów przeznaczonych dla ludzi, którzy nie obchodzili mnie nic zgoła. Przychodziła wiosna i na drzewach rozwijały się liście, przychodziło lato i na polach odbywały się żniwa, przychodziła jesień i ludzie z miasta posiadający pozwolenie na broń, w wymyślnych czapkach na głowie i

z wymyślnymi strzelbami, szli w lasy i polowali na jelenie, a ja wiedziałem o zmianach pór roku tyle, ile wiedziałbym, gdybym w najczarniejszej otchłani był przykuty łańcuchami do Słupa. Jestem człowiekiem z gór, więc cierpiałem i tęskniłem, aż wreszcie pewnego dnia wyraźnie dostrzegłem biegnącą przede mną prostą drogę i tą drogą poszedłem do lasów. Człowiek, mój synu, winien cenić sobie dni, które ma wyliczone na naszej ziemi. Działa, mój synu, spisek zmierzający ku temu, by każde żywe dziecko rodzaju ludzkiego wtrącić do najczarniejszej otchłani i tam łańcuchami przykuć do żelaznego słupa. Nigdy nie pozwól się omamić, mój synu, chociaż spiskowcy malują wszystko jasnymi barwami tęczy i wymyślają rozliczne podstępny, aby ci wmówić, że to wcale nie otchłań, wcale nie żelazny słup, wcale nie łańcuchy. Prezes General Motors zasiadający gdzieś wysoko w swym wspaniałym gabinecie był w takich samych okowach, jakie ja nosiłem, głęboko na dnie otchłani, kiedy w lakierni siniałem na twarzy od kaszlu.

Dave strzyknął sosem z prymki, aż zadźwięczała blaszana puszka stojąca obok niego na podłodze.

- Wymagam niewiele - ciągnął. - Chcę wciągać w nozdrza leśne powietrze i przy sposobności móc niekiedy ustrzelić jelenia. Nie mam pretensji do tych, co od czasu do czasu zamykają mnie do więzienia, bo to przecież ich zawód, tak samo jak łowiectwo jest moim zawodem. Nie żywię do nich urazy za to, że raz po raz muszę spędzać parę miesięcy za kratami. Tak się szczęśliwie składa, że zazwyczaj łapią mnie w porze, gdy nadciągają zimowe miesiące, a więc to nie udręka. Atoli nic, co oni mówią, przekonać mnie nie zdoła, że ja jestem przestępcą. Nie, mój synu! Jestem Amerykaninem, który wchodzi do amerykańskich lasów i utrzymuje się z polowania na amerykańskie jelenie. Niechaj sobie wydają rozmaite przepisy i regulaminy dla ludzi z miasta należących do kółek myśliwskich. Nie mam im tego za złe, bo do mnie, mój synu, nie stosują się takie rzeczy. Po prostu nie stosują.

Dave splunął znowu i podjął zaraz:

- Tylko jedno drażni mnie i zbija z tropu. To obłuda, mój synu.

Razu jednego ten sam akurat sędzia, który mnie skazał, jadł przed tygodniem zwierzynę upolowaną przeze mnie. Przy własnym stole, we własnej jadalni i własnym domu jadł zwierzynę, którą jego własna kucharka, za jego własne pieniądze, kupiła ode mnie. Obłuda, mój synu, to rak toczący dusze mieszkańców Ameryki. Popatrz chociażby na swój przypadek. Co uczyniłeś złego? To, co uczyniłby każdy, gdyby trafiła mu się sposobność. Nawinęła ci się dziewczuszka do rzeczy, no to z niej skorzystałeś. W twoim wieku, mój synu, żądze kęsażą, więc nic nie znaczą wszelakie przepisy zawarte we wszelakich księgach. Trzymam zakład, że ten sam sędzia, który zamknie cię może na długie lata twójego młodego

życia, pieprzyłby jak dziki kozioł, gdyby nawinęły mu się takie dwie dorzeczne dziewczuszki o jakich mówiłeś, i gdyby był pewien, że w bliskości nie ma nikogo, kto mógłby go podpatrzeć. Całkiem jak tamten sędzia, który wcinał upolowaną przeze mnie zwierzynę. Pojęcie prawa. - Dave splunął z obrzydzeniem. - Prawa są dla ludzi starych. Co taki młody szpic, któremu koniec wciąż dryga, może wiedzieć o gwałcie w pojęciu prawa? Obłuda, powiadam ci, mój synu.

Zawsze i wszędzie nic tylko obłuda.

Joe Kuntz stanął w drzwiach celi.

- Chodź ze mną, Jordach - powiedział.

Od czasu gdy Tom powiedział adwokatowi zaangażowanemu przez stryja Harolda, że Joe Kuntz miał również do czynienia z bliźniaczkami, a wiadomość o tym doszła do Kuntza, policjant odnosił się do Toma nader niezyczliwie. Był człowiekiem żonatym i miał trójkę dzieci.

Aksel Jordach czekał w pokoju Horvatha. Był tam również stryj Harold i adwokat - młody człowiek o zatroskanej minie i niezdrowej cerze, w okularach z grubymi szklami. Tom nie pamiętał, by ojciec wyglądał tak źle kiedykolwiek, nawet w dniu, gdy on go uderzył.

Czekał na słowo powitania, ale Aksel milczał, więc też się nie odzywał.

- Tom - rozpoczął adwokat - z prawdziwą przyjemnością, mogę powiedzieć, że sprawa została załatwiona ku ogólnemu zadowoleniu.

- Aha - bąknął zza swojego biurka Horvath, który nie sprawiał wrażenia kogoś szczególnie zadowolonego.

- Jesteś wolny, Tom - podjął adwokat.

Tom spojrzał niepewnie na pięciu mężczyzn obecnych w pokoju. Ich twarze nie promieniały radością.

- To znaczy, że mogę stąd wyjść, co? - zapytał.

- Oczywiście - potwierdził adwokat.

- Idziemy! - zabrał głos Aksel Jordach. - I tak straciłem dosyć czasu w tym cholernym mieście.

Odwrócił się szybko i pokuśtykał w stronę drzwi.

Tom zmusił się, by pójść wolno za ojcem. Miał pokusę, by się poderwać, umknąć, zanim decyzja zdąży ulec zmianie.

Na dworze było słoneczne popołudnie. Cella nie miała okna, więc nikt nie potrafiłby rozpoznać stamtąd, jaka właściwie jest pogoda.

Stryj Harold maszerował po jednej stronie Toma, ojciec po drugiej.

Sprawiało to wrażenie następnego aresztowania.

Wsiadli do samochodu. Ojciec zajął miejsce obok stryja Harolda.

Tom miał na własny użytek całe tylne siedzenie. Nie odzywał się, o nic nie pytał.

- Jeżeli jesteś ciekaw - rozpoczął Aksel i mówił dalej prosto do przedniej szyby, nie odwracając głowy - to kupiłem twoją wolność.

Ten stary kutwa dostał pięć tysięcy dolarów za ciało swoich córek.

Myślę, że miałaś najkosztowniejszą w historii obłapkę. I spodziewam się, że warta była tyle.

Tom chciał powiedzieć, że mu bardzo przykro, że kiedyś zwróci ten dług ojcu. Jednakże słowa więzły mu w gardle.

- Nie wyobrażaj sobie, że zrobiłem to dla ciebie - podjął Aksel - albo też dla Harolda...

- Mój Akselu - zaczął jego brat i umilkł.

- Wy dwaj możecie dziś zdechnąć. Nie zepsuje mi to apetytu.

Zrobiłem to dla jedynego z rodziny, który jest coś wart. Dla Rudolfa. Nie mogłem pozwolić, żeby rozpoczynał życie z bratem kryminalistą na karku. Więcej nie chcę cię widzieć ani słyszeć o tobie. Najbliższym pociągiem odjeżdżam do domu i między nami wszystko skończone. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - padła zwięzła odpowiedź.

- Ty też wyjedziesz z miasta - powiedział drżącym głosem stryj Harold. - Taki warunek postawił pan Chase, a ja musiałem przyznać mu słuszność. Zabiorę cię do domu, spakujesz swoje rzeczy i ani nocy więcej nie prześpisz pod moim dachem. I to zrozumiałeś?

- Aha. I to zrozumiałem - odrzekł Tom i pomyślał: Mogą mieć dla siebie to miasto. Po co ono komu?

Więcej rozmów nie było. Stryj Harold zatrzymał wóz przed budynkiem stacyjnym. Ojciec wysiadł bez słowa i odszedł utykając. Drzwi samochodu zostawił otwarte, więc Harold musiał pochylić się, aby je zamknąć.

W pokoiku na poddaszu stała na łóżku mała zniszczona walizka. Tom poznał ją. Należała do Klotyldy. Pościel była sprzątnięta i materac zwinięty, jak gdyby Tante Elza obawiała się, że Tom może ukradkiem uciąć sobie krótką drzemkę. Pani domu oraz jej córki wyszły, aby uniknąć splugawienia. Tante Elza zabrała dziewczynki do kina.

Tom szybko wrzucił do walizki swoje rzeczy. Nie było tego dużo.

Koszule, kalesony, skarpetki, druga para butów i jeden sweter.

Zdjął kombinezon roboczy, w którym został aresztowany, i przebrał się w zupełnie nowy szary garnitur. Tante Elza podarowała mu go na urodziny.

Rozejrzał się po pokoju. Na stoliku leżała książka: „Jeźdźcy purpurowego szlaku”. Z biblioteki miejskiej dostawał raz po raz karty pocztowe z upomnieniem, że książkę przetrzymuje, co będzie kosztowało po dwa centy dziennie. Do tej pory uzbierało się chyba dobrych dziesięć dolarów. Książkę wrzucił do walizki. Będzie miał pamiątkę z Elysium w stanie Ohio.

Zeszedł na dół zamknawszy wpierw walizkę. Chciał podziękować za nią Klotyldzie. Ale Klotyldy nie zastał w kuchni.

Wrócił do hallu. W pokoju stołowym stryj Harold stał i jadł ogromny kawał placka z jabłkami. Ręce mu drżały, gdy go podnosił do ust. Zawsze coś jadł, kiedy był zdenerwowany.

- Jeżeli szukasz Klotyldy - powiedział - to szkoda czasu.

Wyprawiłem ją do kina z twoją ciotką i dziewczątkami.

Cóż, pomyślał Tom, dzięki mnie zarobiła kino. Przynajmniej raz skorzysta.

- Masz pieniądze? - zapytał stryj Harold. - Nie chcę, żeby cię przymknęli za włóczęgostwo. Wtedy wszystko zaczęłoby się od nowa.

- Mam - odpowiedział chłopiec, bo istotnie miał dwadzieścia jeden dolarów i trochę drobnych.

- To dobrze. Zwróć mi klucz.

Tom wyjął klucz z kieszeni i położył na stole. Doznał pokusy, by resztę placka z jabłkami rzucić w twarz stryjowi. Ale po co? Jaka wynikłaby stąd korzyść?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Do podbródka stryja Harolda przyczepiła się okruszyna ciasta.

- Ucałuj ode mnie Klotyldę - odezwał się wreszcie chłopiec i z walizką Klotyldy w ręku opuścił dom stryja Harolda.

Poszedł prosto na stację kolejową i za dwadzieścia dolarów kupił prawo ucieczki z Elysium w stanie Ohio.

ROZDZIAŁ X

Kot przypatrywał mu się z kąta - wrogo, nieruchomymi ślepiami. Na każdego, kto nocą schodził do piwnicy, by pracować tam w przytłaczającym żarze, kot spoglądał z tą samą nienawiścią, z tą samą topazową żądzą mordy w wyrazie żółtych oczu. Ta całonocna obserwacja wytrącała z równowagi Rudolfa, gdy wkładał bułki do piekarniczego pieca. Czuł się nieswojo, jeżeli był nie lubiany - nawet przez zwierzę. Usiłował przejednać kota dodatkową miseczką mleka, pieszczotą, powtarzanymi od czasu do czasu słowami: „Śliczny kiciuś”. Nic z tego. Kot dobrze wiedział, że nie jest ślicznym kiciusiem, więc nieruchomo leżał owinięty ogonem i medytował o morderstwie.

Aksel wyjechał na trzy dni. Nie było wiadomości z Elysium, kto zatem mógł przewidzieć, jak wiele jeszcze nocy Rudolf spędzi w suterenie wśród gorąca, mącznego pyłu, ciężkiej pracy, od której drętwieją ręce. Dziwił się, że ojciec to wytrzymuje. Dzień w dzień - przez tyle lat. On był kompletnie wyczerpany po zaledwie trzech nocach: pod oczyma miał sine kręgi, twarz mizerną. A o piątej nad ranem musiał siadać na rower, rozwozić bułki. Później była szkoła.

Nazajutrz czekał go ważny egzamin z matematyki. Nie przygotował się jak trzeba, a w matematyce nigdy przecież nie był mocny.

Oblany potem, mocując się z utłuszczonymi ogromnymi blachami, z twarzą i obnażonymi ramionami umazanymi mąką niby kredą - po zaledwie trzech nocach wyglądał jak upiór ojca, uginał się pod brzemieniem męki, którą ojciec wycierpiał przez sześć tysięcy nocy. Dobry syn, wierny swoim obowiązkom. Zawracanie głowy! Z goryczą wyrzucał sobie, że w okresach świątecznych, gdy ruch był wzmożony, przychodził do piekarni, pomagał ojcu i w ten sposób wyuczył się z grubsza jego zawodu. Tom był mądrzejszy. Niech diabli porwą rodzinę. Tom jest znów w tarapatach - nie wiadomo w jakich, bo Aksel nie powiedział nic Rudolfowi, gdy otrzymał telegram z Elysium. Mniejsza z tym. I tak Tomowi lepiej niż obowiązkowemu synowi w piekielnej piwnicy.

Albo Gretchen. Każdego wieczora przechodzi trzy razy przez scenę i dostaje za to sześćdziesiąt dolarów tygodniowo!

W ciągu trzech ostatnich nocy Rudolf obliczył w przybliżeniu, ile piekarnia przynosi Jordachom. Przeciętnie jakieś sześćdziesiąt dolarów na tydzień po odliczeniu renty dzierżawnej, kosztów i trzydziestodolarowej tygodniówki wdowy, która zajmuje się sklepem podczas choroby matki.

Przypomniał sobie nowojorską restaurację i rachunek przekraczający dwanaście

dolarów, i moc pieniędzy, jakie tamtej jednej nocy Boylan wydał na trunki.

Boylan wyjechał do Hobe Sound na Florydzie - na dwa miesiące.

Skończyła się wojna, życie zaczyna wracać na normalne tory.

Kolejną blachę bułek wsunął do pieca.

Obudził go dźwięk głosów. Rudolf westchnął. Piąta rano? Tak prędko? Odruchowo wstał z łóżka i zorientował się, że jest ubrany.

Niemrawo pokręcił głową. Dlaczego ma na sobie ubranie. Spojrzał na zegarek. Trzy kwadranse na szóstą. Wtedy uprzytomnił sobie, że to nie rano. Przyszedł ze szkoły i położył się, aby odpocząć trochę przed nocną pracą. Złowił uchem głos ojca. Widocznie stary wrócił w czasie, kiedy on spał. Pierwsza jego myśl była samolubna: nie będę musiał harować dziś w nocy.

Położył się z powrotem.

Dwa głosy - jeden wysoki, pełen podniecenia, drugi niski, z nutą perswazji - dobiegały z niższego piętra. Rodzice klócili się niewątpliwie. Był zbyt zmęczony, by się tym przejmować. Ale przy hałasie nie mógł zasnąć, więc leżał spokojnie i nasłuchiwał.

O piętro niżej przeprowadzała się Mary Pease Jordach.

Przeprowadzała się niedaleko. Do pokoju Gretchen po przeciwległej stronie korytarza. Na obolałych od zapalenia żył nogach dreptała tam i z powrotem. Przenosiła suknie, bieliznę swetry, obuwie, grzebienie, fotografie dzieci z lat, kiedy były małe, zeszyt z wycinkami z gazet należący do Rudolfa, przybory do szycia, „Przeminęło z wiatrem”, napoczętą paczkę Cameli, jakieś stare torebki. To, co stanowiło jej własność, uprzętała z pokoju znienawidzonego od lat dwudziestu i rzucała na nie posłane łóżko Gretchen, podnosząc kłęby kurzu za każdym razem, gdy przynosiła nowe naręcza.

Wędrując tam i z powrotem wygłaszała gromki monolog.

- Dostyc mam tego pokoju - mówiła. - O dwadzieścia lat za późno, ale na koniec mam go dostyc. Nikt mnie nie szanuje, ani trochę nie szanuje no to zacznę od nowa własne życie. Nie mam zamiaru być wciąż do dyspozycji wariata, człowieka, który odbywa podróż przez pół kraju po to, żeby dać pięć tysięcy dolarów komuś zupełnie obcemu. To oszczędności całego życia. Mojego życia! Dzień po dniu tyrałam jak niewolnica, odmawiałam sobie wszystkiego, zestarzałam się przedwcześnie, żeby te pieniądze zaoszczędzić. Mój syn miał pójść do college'u, mój syn miał zostać dżentelmenem. Ale nie pójdzie nigdzie i nie zostanie niczym, bo mój dowcipny mąż musiał pokazać, jaki to z niego wielki człowiek. Musiał ofiarować tysiąc dolarowe banknoty milionerowi z Ohio, bo nie chciał, żeby jego szacowny braciszek i opasła bratowa mieli zakłopotane miny, kiedy zajadą przed operę swoim

Lincolnem.

- Nie chodziło mi przecież o brata ani o opasłą bratową - powiedział Aksel Jordach, który siedział na łóżku i ręce miał zwieszane pomiędzy kolanami. - Tłumaczyłem ci przecież, że ważny w tej sprawie jest Rudi. Co przysłoby mu z college'u, gdyby pewnego dnia wyszło nagle na jaw, że ma brata w kryminale.

- Kryminał to w sam raz miejsce dla niego - zawołała Mary Pease Jordach. - Dla Toma. On pasuje do kryminału. Jeżeli myślisz tracić pięć tysięcy dolarów za każdym razem, kiedy mu będzie groził kryminał, lepiej zlikwiduj zaraz piekarnię i zostań potentatem naftowym albo bankierem. Na pewno czułeś się doskonale, kiedy wręczałeś pieniądze tamtemu człowiekowi. Byłeś dumny. Z powodu nieodrodnego syna. Udany chłopak. Robotny. Do rzeczy! Nie wystarczyło mu zapędzić w ciążę jedną dziewczynę. To nie dla syna Aksela Jordacha. Dwie na raz pasują jak ulał do rodziny, z której on pochodzi. Cóż, jeżeli Aksel Jordach chce też pokazać jaki z niego samiec w łóżku, niech zacznie się rozglądać za jakimiś bliźniaczkami dla siebie. Nic z tych rzeczy pomiędzy nami. Moja Kalwaria skończona.

- Jej Kalwaria, do licha - westchnął Aksel Jordach.

- Brudy! Plugastwo! - krzyczała Mary Jordach. - Z pokolenia na pokolenie. Twoja córka to kurwa. Widziałam pieniądze, które brała od mężczyzn za swoje usługi. Osiemset dolarów! Na własne oczy widziałam w tym domu osiemset dolarów przechowywane w książce.

Twoje dzieci wysoko się cenią. W porządku! Ja także będę się wysoko ceniła. Jeżeli zażadasz czegoś ode mnie, zechcesz, abym zeszła do sklepu, zechcesz dostać się do mojego łóżka, to będziesz musiał płacić. Tamtej kobiecie dajesz trzydzieści dolarów na tydzień. Za pół roboty. Bo ona wieczorami wraca do domu.

Trzydzieści dolarów na tydzień to również moja cena. Tanio. Pół darmo. Ale najpierw uregulujesz zaległości. Trzydzieści dolarów na tydzień za dwadzieścia lat. Zrobiłam obliczenie. To wynosi trzydzieści tysięcy. Wyłóż na stół trzydzieści tysięcy dolarów, a będę z tobą gadać. Wcześniej nic z tego.

Chwyliła ostatnie naręcze swojej garderoby, wybiegła na korytarz i z łoskotem zatrzasnęła za sobą drzwi pokoju Gretchen.

Jordach pokiwał głową i pokuśtykał schodami do pokoju syna.

Rudolf leżał na łóżku. Oczy miał otwarte.

- Słyszałeś wszystko, co?

- Słyszałem - bąknął chłopiec.

- Bardzo mi przykro.
- Rozumiem.
- Cóż, zejdę do piekarni, zobaczę, co tam słyhać - powiedział odwracając się Jordach.
- Ja także zejdę. Dzisiejszej nocy pomogę tacie.
- Ty się wyśpij. Nie chcę cię widzieć na dole - powiedział Jordach i wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ XI

W półsuterenie Westermanów światła były przyćmione.

Chłopcy urządzali tam coś w rodzaju klubu i wydawali przyjęcia.

Jedno z nich właśnie się odbywało. Około dwudziestu dziewcząt i chłopców. Jedni tańczyli, inni obcałowywali się w bardziej mrocznych kątach, reszta słuchała płyty, na której Benny Goodman grał „Lalkę z papieru”.

„Piątka znad Rzeki” nie miała ostatnio prób, ponieważ kilku zdemobilizowanych żołnierzy utworzyło nowy zespół i ten zagarnął prawie wszystkie kontrakty. Rudolf nie miał pretensji do ludzi, którzy tamten zespół angażowali. Zdemobilizowani żołnierze byli starsi i niewątpliwie grali o wiele lepiej niż „Piątka znad Rzeki”.

Pośrodku pokoju Aleks Dailey tańczył z Lilą Belkamp. Ci dwoje opowiadali wszystkim, że pobiorą się zaraz po ukończeniu szkoły - w czerwcu. Aleks miał dziewiętnaście lat i nieszczęśliwie mu się wiodło w szkole. Lila była bardziej udana - trzpiotowata trochę i niemądra, ale z pewnością udana. Rudolf zastanawiał się właśnie, czy jego matka wyglądała podobnie w dziewiętnastym roku życia.

Żałował, że nie nagrał mowy, jaką matka wygłosiła w wieczór, gdy ojciec wrócił z Elysium. Zapoznałby z tym nagraniem Aleksa.

Wysłuchanie czegoś takiego mogłoby być wysoce pouczające dla wszystkich przyszyłych oblubieńców. Może zmałałby wtedy pęd do ołtarza.

Rudolf siedział na starym fotelu w kącie półsuterenu z Julią na kolanach. Inne dziewczęta siedziały również na kolanach swoich chłopców, lecz on wolałby, żeby Julia tak się nie zachowywała. Nie odpowiadała mu myśl, że inni patrzą nań i odgadują łatwo, co czuje. Pewne sprawy należy załatwiać dyskretnie. Nie wyobrażał sobie, by Teddy Boylan - w młodszym czy starszym wieku - pozwolił kiedykolwiek, by jego dziewczyna siedziała na jego kolanach.

Publicznie! Ale gdyby napomknął o tym słowem, Julia wybuchnęłaby zaraz gniewem.

Julia odwróciła głowę, pocałowała go. Ma się rozumieć, oddał pocałunek - nawet z przyjemnością - lecz rad byłby, gdyby Julia dała spokój.

Złożyła papiery w college'u Barnard i była prawie pewna, że jesienią zostanie przyjęta. Chciała, by Rudolf starał się dostać do Columbii, bo tym sposobem obydwójce znaleźliby się w Nowym Jorku. Rudolf udawał, że zastanawia się nad Harvard albo Yale. Za nic nie wyznałby Julii, że na żadne studia nie pójdzie.

Julia przytuliła się mocniej, wsunęła głowę pod jego podbródek.

Zaczęła mruzczyć rozkosznie w sposób, jaki go zazwyczaj bawił. Nad jej głową patrzył na młodzież uczestniczącą w zabawie. Pośród chłopców zapewne tylko on jeden był prawiczką. Buddy Westerman Dailey, Kessler, prawie cała reszta miała już do czynienia z kobietami. O tym wiedział na pewno, chociaż być może niektórzy z nich kłamali, gdy poruszano tę kwestię. Nie tylko pod tym względem różnił się od innych. Ciekaw był, czy otrzymywałby zaproszenia na zabawy, gdyby ludzie wiedzieli, że jego ojciec zabił dwu ludzi, brat siedział w areszcie pod zarzutem gwałtu, siostra jest w ciąży (napisała doń o tym, aby - jak się wyraziła - nie nastąpiła katastrofalna niespodzianka) z człowiekiem żonatym, matka domaga się od ojca trzydziestu tysięcy dolarów za wpuszczenie go do swojego łóżka.

Jordachowie to wyjątkowa rodzina. To nie ulega wątpliwości.

Buddy Westerman podszedł do nich.

- Słuchajcie, dzieci. Na górze jest poncz i kanapki, i ciasto.

- Dziękuję, Buddy - powiedział Rudolf; bardzo pragnął, by Julia zeszła wreszcie z jego kolan.

Buddy oddalił się i o poczęstunku jął informować inne pary.

Porządny z niego chłopak. Wybiera się do college'u Cornell, a później na prawo, bo jego ojciec, adwokat, ma rozległą praktykę w mieście. Nowy zespół muzyczny zaproponował mu kontrabas, ale Buddy odmówił przez lojalność dla „Piątki znad Rzeki”. Na jak długo starczy mu lojalności? Rudolf sądził, że na jakieś trzy tygodnie.

Buddy, urodzony muzyk, mówił że „ci faceci robią naprawdę dobrą muzykę”, trudno wymagać, by opierał się długo, zwłaszcza że „Piątka znad Rzeki” grywała teraz nie częściej niż raz w miesiącu.

Patrzył na innych chłopców i uprzytamniał sobie, że prawie wszyscy wiedzą, co ich czeka. Ojciec Kesslera ma aptekę, więc Kessler po college'u pójdzie na farmację i obejmie firmę po swoim starym.

Ojciec Starretta prowadzi biuro pośrednictwa nieruchomości, więc Starrett pójdzie do Harvardu na tamtejszy wydział handlowy, żeby móc radzić ojcu, jak obracać kapitałem. Rodzina Lawsona prowadzi zakłady mechaniczne, więc Lawson zostanie inżynierem. Nawet Dailey - zapewne zbyt tępy, by pójść do college'u - wyląduje w przedsiębiorstwie hydraulicznym swojego ojca.

On natomiast ma szerokie możliwości związane z piecem piekarniczym swoich przodków! „Zostanę kupcem zbożowym.” Albo: „Wstąpię do niemieckiej armii. Mój ojciec to wychowanek tej uczelni.”

Odczuwał palącą zazdrość wobec kolegów. Benny Goodman z gramofonowej płyty

grał na klarncie koronkowo, srebrzyście. Jemu zazdrościł również. Chyba jemu najbardziej.

W taki wieczór łatwo zrozumieć, dlaczego ludzie urządzają napady rabunkowe na banki.

Koniec! Nie będzie chodził na żadne przyjęcia. Nie należy do tego towarzystwa, chociaż tylko on jeden zdaje sobie z tego sprawę.

Chciał iść do domu. Był zmęczony. Ostatnio czuł się stale zmęczony. Musiał odbywać poranne rundy na rowerze, a ponadto codziennie po zakończeniu szkoły przesiadywał w sklepie od czwartej do siódmej po południu. Wdowa oznajmiła, że cały dzień nie może pracować; w domu ma dzieci i musi się nimi zajmować. W tych warunkach Rudolf zrezygnował z treningów w drużynie lekkoatletycznej, z zebrań kółka dyskusyjnego, no i oceny otrzymywał coraz gorsze, gdyż nigdy nie miał energii i czasu na odrabianie lekcji. Na domiar złego niedomagał ciągle. Przewlekłe przeziębienie, którego nabawił się w okresie Świąt Bożego Narodzenia, nie ustępowało jakoś przez całą zimę.

- Julio - powiedział - chodźmy do domu.

Wyprostowała się na jego kolanach, zrobiła zdziwioną minę.

- Tak wcześnie? Przecież to całkiem przyjemna zabawa.

- Wiem, wiem - odpowiedział cokolwiek bardziej niecierpliwie, niż zamierzał. - Po prostu chcę się stąd zlikwidować.

- U mnie nic nie będziemy mogli robić - podjęła. - Dziś piątek.

Rodzice mają gości na brydżu.

- Chcę pójść do domu.

Zeskoczyła z jego kolan. Stała przed nim zagniewana.

- To idź! Znajdę kogoś innego, kto mnie odprowadzi.

Przez chwilę miał pokusę, by wypaplać wszystko, o czym ostatnio medytował. Może zrozumiałaby wtedy?

- Co za chłopak! - Julia miała łzy w oczach. - Pierwszy raz od miesiący jesteśmy na przyjęciu, a on chce pójść do domu, ledwieśmy tu przyszli.

- Fatalnie się czuję - odpowiedział i wstał z fotela.

- Dziwna historia! W wieczory, które spędzamy razem, zawsze czujesz się fatalnie. Z pewnością czujesz się znacznie lepiej w wieczory, kiedy twoim kompanem jest Teddy Boylan.

- Daj spokój Boylanowi - obruszył się gniewnie. - Nie widziałem go od kilku tygodni.

- Co mu się stało? Wyczerpał zapas wody utlenionej?

- Niemądre żarty - westchnął Rudolf.

Julia odwróciła się na pięcie i kręcąc kuperkiem ruszyła w stronę grupki otaczającej patefon. Stanowczo to najładniejsza dziewczyna w tym towarzystwie. Ma noskę trochę zadarty, jest zadbana, smukła, kochana! Rudolf zapragnął, by wyjechała dokądś na pół roku, na rok, a następnie wróciła, gdy on przestanie być wciąż zmęczony, zdąży przemyśleć wszystko w samotności i spokoju. Wtedy mogliby znów zacząć od nowa.

Poszedł do hallu po swoje palto i nie żegnając się z nikim opuścił dom Westermanów. Dobiegł go głos patefonu. Trolley Song w wykonaniu Judy Garland.

Na dworze lało. Zimny przyjmujący deszcz ciągnął falami z wiatrem od rzeki. Rudolf kasłał, zasłaniał usta podniesionym kołnierzem płaszcza, dobrze wilgotnym już od środka. Wolno szedł w stronę domu i na płacz mu się zbierało. Nie cierpiał podobnych starców z Julią, które ostatnio trafiały się coraz częściej i częściej. Z pewnością nie warczeliby wciąż na siebie, gdyby żyli z sobą, gdyby realna miłość zastąpiła niedorzeczną, przygnębiającą macankę, po której wstyd im było obydwójgu. Jednakże na to Rudolf nie potrafił się zdobyć. Musieliby uprawiać miłość w tajemnicy, ukrywać się, kłamać. Postanowił już od dawna, że będzie to albo doskonałe, albo nie spełni się nigdy.

„Dyrektor hotelu szeroko otworzył drzwi apartamentu, który miał balkon z widokiem na Morze Śródziemne. Powietrze woniało jaśminami i tymiankiem. Dwoje opalonych młodych ludzi chłodnym wzrokiem oszacowało pokój, spojrzawszy na Morze Śródziemne. Umundurowana służba wniosła liczne walizy ze skóry i poczęła je rozstawiać w pokojach.

- Ca vous plait, Monsieur? * (* Podoba się to panu? [fr.]) - zapytał dyrektor hotelu.

- Ca va * (* ujdzie. [fr.]) - odrzekł opalony młody mężczyzna.

- Merci, Monsieur. - Dyrektor hotelu, cały w ukłonach, wycofał się z apartamentu.

Dwoje opalonych młodych ludzi wyszło na balkon, popatrzało na morze. Później pocałowali się na tle lazurów. Woń jaśminów i tymianku była teraz silniejsza.”

Albo:

„Była to mała chata zbudowana z okrągłaków, prawie zagrzebana w śniegu. Za nią strzelały w niebo góry. Do chaty weszli oni - dwoje opalonych młodych ludzi. Śmieli się, otrzepywali śnieg z odzieży.

Na kominku huczał ogień. Śnieg sięgał tak wysoko, że przesłaniał okna. Byli sami w tym świecie wielkich gór. Powoli osunęli się na podłogę przed gorejącym ogniem.”

Albo:

„Dwoje opalonych młodych ludzi kroczyło wzdłuż peronu po rozpostartym tam, szkarłatnym dywanie. Lśniący wspaniale, błyskawiczny pociąg do Chicago stał już na torze. Minęli stewarda w białej kurtce. Weszli do wagonu. Salonka była pełna kwiatów.

Pachniała różami. Oni - dwoje opalonych młodych ludzi - wymienili uśmiechy i przez korytarze ruszyli do wagonu restauracyjnego, by wypić za pomyślną podróż.”

Albo...

Rudolf zakasłał się okropnie, kiedy wśród deszczu skręcił w Wanderhoff Street. Za dużo oglądał filmów, pomyślał. Diabło za dużo.

Światło z piwnicy było widać przez kraty w oknie wystawowym sklepu. Wieczysty ogień. Aksel Jordach - żołnierz nieznany. Gdyby tak ojciec umarł, pomyślał Rudolf, czy ktoś pamiętałby o wyłączeniu tych świateł?

Zawahał się. Przez chwilę stał z kluczami w ręku. Od tamtego wieczora, gdy matka wygłosiła szaleńcze przemówienie o trzydziestu tysiącach dolarów, litował się nad ojcem. Ojciec chodził teraz po domu wolno i cicho niby ktoś, kto wrócił ze szpitala po ciężkiej operacji - ktoś, kto poczuł na ramieniu ostrzegawcze dotknięcie śmierci.

Aksel Jordach wydawał się dawniej Rudolfowi człowiekiem silnym, przerażająco silnym. Głos miał tubalny, ruchy gwałtowane, nieopanowane. Obecnie niepokojące były jego długie okresy milczenia niezdecydowane gesty, powolny, jak gdyby przepraszący sposób, w jaki rozkładał gazetę albo naparzał sobie kubek kawy, unikając troskliwie wszelkiego zbytecznego hałasu. Rudolf odniósł nagle wrażenie, że Aksel Jordach sposobi się do grobu. Stał w ciemnej sieni, z ręką na poręczy schodów, i po raz pierwszy od czasu, gdy był małym chłopcem, zadawał sobie pytanie, czy tak naprawdę kocha ojca, czy nie kocha?

Wrócił do drzwi piekarni, otworzył je kluczem i przez pokój za sklepem zeszedł po schodach do piwnicy.

Aksel Jordach nie robił nic. Siedział na ławie zapatrzony w piec piekarniczy. Obok niego stała na podłodze butelka whisky. Kot, jak zawsze, leżał zwinięty w kącie.

- Dobry wieczór tato - odezwał się Rudolf.

Aksel odwrócił się powoli, spojrzał na syna, odpowiedział mu skinieniem głowy.

- Przyszedłem zobaczyć, czy nie mógłbym ci w czymś pomóc?

- Nie.

Ojciec pochylił się, sięgnął po butelkę, wypił trochę. Później butelkę podał Rudolfowi.

- Pociągniesz?

- Dziękuję, tato - odpowiedział.

Nie nęciła go whisky, ale zdawał sobie sprawę, że ojciec życzy sobie, aby on pociągnął. Alkohol zapiekł go w ustach i w gardle.

- Przemokłeś do nitki - powiedział Aksel.

- Tak. Deszcz pada.

- Zdejm palto, nie siedź tak w mokrym.

Rudolf zdjął palto, powiesił na haku wbitym w ścianę.

- Jak się czujesz tato? - zadał pytanie, jakiego nigdy dawniej nie zadawał.

Ojciec roześmiał się cicho, ale nic nie odpowiedział. Znowu napił się whisky.

- Co robiłeś dziś wieczór? - zapytał po chwili.

- Byłem na zabawie.

- Na zabawie... Grałeś na trąbce, co?

- Nie.

- Co ludzie robią teraz na zabawach?

- Czy ja wiem... Tańczą. Słuchają muzyki. Niektórzy się wygłupiają.

- Mówiłem ci kiedy, że jak byłem młodym chłopcem, chodziłem na lekcje tańca? W Kolonii. Nosilem białe rękawiczki i uczyli mnie, jak trzeba się kłaniać. Kolonia była przyjemna latem. Cóż, może powinienem tam wrócić. W Kolonii wszystko będzie odbudowywać się z ruin, od fundamentów. To w sam raz pasuje do mnie. Ruiny dla ruiny.

- Ojczy! Nie opowiadaj takich rzeczy - obruszył się Rudolf.

Aksel pociągnął znowu łyk.

- Był ktoś u mnie dzisiaj - podjął. - Pan Harrison.

Pan Harrison - właściciel domu - zgłaszał się po czynsz trzeciego w każdym miesiącu. Miał co najmniej osiemdziesiąt lat, ale inkaso załatwiał zawsze punktualnie. I osobiście. Nie był to trzeci miesiąc, więc Rudolf łatwo pojął, że wizyta miała jakieś istotne znaczenie.

- Czego chciał? - zapytał.

- Będą burzyć ten dom - padła odpowiedź. - Stanie tu duży blok mieszkalny z lokalami handlowymi na parterze. Rozbudowuje się Port Philip. Pan Harrison powiada: „Trudno. Jak postęp, to postęp.”

Facet ma osiemdziesiątkę, ale jest diablo postępowy. No i musi lokować pieniądze. W Kolonii burzą domy bombami. W Ameryce pieniędzmi.

- Kiedy będziemy musieli się wynieść?

- Nie prędzej niż w październiku. Pan Harrison powiada, że uprzedził mnie wcześniej, abym miał czas rozejrzeć się za czymś innym. Ludzki facet z tego dziadygi.

Rudolf rozejrzał się dokoła. Popatrzał na dobrze znajome szpary w ścianach, żelazne drzwi pieca, okratowane okno z widokiem na chodnik. Dziwnie było pomyśleć, że dom całego jego życia zniknie, przestanie istnieć. Często przemyślał, że kiedyś dom opuści.

Nigdy nie powstało mu w głowie, że dom może opuścić jego.

- Co myślisz robić, ojczy? - zapytał.

Aksel wzruszył ramionami.

- Może w Kolonii potrzebują piekarza. Gdybym w jaką deszczową noc natknął się nad rzeką na pijanego Anglika, może miałbym za co kupić bilet powrotny do Niemiec.

- Co ty wygadujesz, ojcze? - zapytał szorstko Rudolf.

- Właśnie tak przyjechałem do Ameryki - wyjaśnił spokojnie Aksel.

- Poszedłem za pijanym Anglikiem, który w jednej knajpie w hamburskiej dzielnicy Sankt Pauli wymachiwał harmonią pieniędzy.

No i pchnąłem go nożem. Próbował się bronić. Anglicy nie oddają niczego bez walki. Pchnąłem nożem faceta i zabrałem mu portfel, a jego wrzuciłem do kanału. Powiedziałem ci raz, że zabiłem człowieka nożem. Tego dnia, kiedy była awantura z twoją nauczycielką francuskiego, prawda?

- Tak - bąknął Rudolf.

- Od dawna miałem chęć opowiedzieć ci tę historię - podjął Aksel.

- Bo widzisz, jak ktoś z kolegów będzie ci gadał, że jego przodkowie przyплыnęli do Ameryki na „Maytlower”, odpowiesz mu, że twoi przodkowie przyплыnęli na portfelu wypchanym pięciofuntowymi banknotami. Tamten Anglik musiał mieć fioła, bo inaczej nie włożyłby się z grubą forszą po takiej dzielnicy jak Sankt Pauli.

Może chciał obrobić wszystkie tamtejsze kurwy i bał się, że mu gotówki zbraknie? Rozumiesz teraz, dlaczego powiedziałem, iż gdybym natknął się na pijanego Anglika, może miałbym za co kupić bilet powrotny do Niemiec.

- Do licha! - pomyślał z goryczą Rudolf. - I wstąp tu, człowieku, do biura swojego staruszka na miłą, szczerą pogawędkę.

- Jeżeli zdarzy ci się kiedy zabić Anglika - podjął Aksel - będziesz miał także chęć powiedzieć o tym swojemu synowi. Będziesz miał chęć powiedzieć, prawda?

- Mam chęć, żebyś ty, tato, przestał o tym mówić.

- Bo co? Myślisz donieść o mnie policji. Zapomniałem, że jesteś człowiekiem wzniosłych zasad.

- Powinieneś zapomnieć, ojcze. Po co wciąż myśleć o tym po tylu latach? Jaka stąd korzyść?

Aksel nie odpowiedział. Wolno, z zastanowieniem pociągnął długi łyk z butelki.

- O, ja mam do pamiętania wiele - zaczął znowu. - No i nocami nie brak mi czasu na wspomnienia. Pamiętam, że narobiłem w spodnie nad Mozą. Pamiętam, jak moja noga śmierdziała po dwu tygodniach w szpitalu. Pamiętam, że w hamburskich dokach dźwigałem dwustufuntowe worki kakao, a rana otwierała mi się i każdego dnia krwawiła. Pamiętam, co

mi powiedział ten Anglik, zanim wrzuciłem go do kanału. Powiedział: „Człowieku! Tego nie możesz mi zrobić”.

Pamiętam dzień mojego ślubu. O tym mógłbym ci też opowiedzieć, ale wydaje mi się, że relacja twojej matki będzie ciekawsza. Pamiętam, jaką minę miał taki jeden z Ohio, Abraham Chase, kiedy na stół wykladałem pięć tysięcy dolarów, żeby facet poczuł się trochę lepiej po zerznieniu mu córek. - Napił się znowu whisky. - Dwadzieścia lat harowałem po to, żeby twojego braciszka wykupić z kryminału. Matka jest zdania, że postąpiłem niewłaściwie. Czy się z nią zgadzasz?

- Nie.

- Ciężko ci teraz będzie, Rudi. Przepraszam. Przecież chciałem jak najlepiej.

- Dam sobie radę - powiedział Rudolf, jakkolwiek wcale nie był tego pewien.

- Dbaj tylko o pieniądze. Nie pozwól się nikomu otumanić. O nic innego nie dbaj. Nie dawaj wiary żadnym wypisywanym w gazetach bredniom o jakichś tam wyższych wartościach. Takich nauk bogacze udzielają ubogim, żeby sami mogli spać na pieniądzach, nie ryzykując, że im ktoś poderżnie gardło. Bądź jak Abraham Chase, który z dobrą miną zgarniał moje pieniądze. Ile masz w banku?

- Sto sześćdziesiąt dolarów - odpowiedział Rudolf.

- Trzymaj to. Nie zmarnuj ani centa. Gdybym nawet ja przywłókł się pod twoje drzwi, gdybym zdychał z głodu i zebrał o pieniądze, na żarcie, nie daj mi nic. Nawet dziesiątki.

- Ojczy, jesteś zmęczony. Rozstrajasz się niepotrzebnie. Idź do domu, połóż się. Ja zostanę tu na kilka godzin.

- Nie. Możesz tu przyjść, pogadać ze mną, jeżeli masz ochotę. Ale do pracy się nie pchaj. Masz coś lepszego do roboty. Ucz się.

Odrabiaj wszystkie lekcje. I bądź ostrożny. Rozumiesz? Grzechy ojców. Jak wiele obarczają pokoleń? Mój ojciec czytywał nam Biblię. Po kolacji. W naszej bawialni. Nie odziedziczysz po mnie wiele, ale na pewno grzechów nie braknie w tej schedzie. Dwa zabójstwa. Całe moje kurestwo. I to, co zrobiłem twojej matce. I że Tomowi pozwoliłem rosnać jak zielsku. I diabli wiedzą, co dzieje się z Gretchen. Matka ma, zdaje się, jakieś wiadomości. A ty? Widziałeś ją kiedy?

- Tak - przyznał Rudolf. - Wolałbym o tym nie mówić.

- Właśnie! Bóg czuwa. Ja nie chodzę do kościoła, ale wiem, że Bóg czuwa. Obarczył klątwą Aksela Jordacha z całym jego potomstwem.

- Nie opowiadaj, ojczy, takich rzeczy - obruszył się Rudolf. - Bóg nie czuwa nad niczym. - Jego ateizm był niezachwiany. - Miałeś pecha w życiu, i tyle. Jutro może odmienić

wszystko.

- Płać, Bóg powiada! - Rudolf miał wrażenie, że ojciec nie zwraca się już do niego, że to samo mówiłby jak przez sen, gdyby był sam w piwnicy. - Płać, grzeszniku, a za twe postęпки pokarane zostaną twoje syny. - Pociągnął długi łyk, otrząsnął się, jak gdyby lodowaty dreszcz przebiegł jego ciało. - Ty idź do łóżka - podjął.

- Ja mam tutaj robotę.

- Dobranoc, ojcze.

Rudolf zdjął palto z haka wbitego w ścianę. Aksel nie odpowiedział mu. Siedział zapatrzone przed siebie, z butelką w ręku.

Rudolf myślał wchodząc na piętro: Do licha! A mnie się zdawało, że to matka jest pomyłona.

Aksel łyknął z butelki i wziął się do roboty. Przez całą noc pracował wytrwale. W pewnym momencie zauważył, że nuci poruszając się po piwnicy. Z początku nie mógł poznać melodii i to niepokoiło go, drażniło. Później przypomniał sobie piosenkę, którą jego matka śpiewała zwykle w kuchni.

Cicho zaśpiewał słowa:

Schlaf, Kindlein, schlaf'

Dein Vater hut' die Schlaf'

Die Mutter hut die Ziegen, Wir wollen das Kindlein wiegen?

Jego macierzysty język. Odjechał za daleko. Albo nie dosyć daleko.

Ostatnią blachę bułek miał gotową do pieca. Zostawił ją na stole i podszedłszy do półki zdjął z niej blaszaną puszkę. Na jej etykiecie był znak ostrzegawczy. Czaszka i piszczele. Aksel otworzył puszkę, odmierzył małą łyżeczkę proszku, wrócił do stołu i na chybił trafił wybrał jedną z surowych bułek. Dokładnie wgniótł truciznę w ciasto, ukształtował je z powrotem i położył na dawnym miejscu. Moje orędzie do świata, pomyślał.

Kot przypatrywał mu się uważnie. Aksel wsunął do pieca blachę z bułkami, a następnie podszedł do zlewu. Tam ściągnął koszulę i umył ręce, ramiona, tors. Osuszył się workiem od mąki, ubrał z powrotem i zasiadłszy naprzeciwko pieca podniósł do ust prawie próżną już butelkę.

Zaczął znów nucić melodię, którą jego matka zwykła śpiewać w kuchni, kiedy był małym chłopcem.

Gdy bułki się upiekły, wydobyl blachę z pieca i zostawił na stole, żeby ostygła. Wszystkie bułki wyglądały tak samo.

Aksel wyłączył gaz w piecu, ubrał się w kurtkę i czapkę. Wspiął się po kilku stopniach i wyszedł z piekarni. Kot ruszył za nim. Na dworze było ciemno, deszcz nadal padał. Kopnął kota i ten odskoczył zwinnie.

Aksel Jordach pokuśtykał w stronę rzeki.

Otworzył zardzewiałą kłódkę magazynu, wszedł i włączył światło.

Dźwignął swoją łódkę i zaniósł ją na chwiejny pomost przystani.

Rzeka była wzburzona, niosła białe kłaki piany. Szemrała i chlupotała groźnie. Łukowate moło chroniło przystań, więc tam woda była spokojna. Jordach postawił łódkę na pomoście, wrócił po wiosła i wyłączywszy światło w magazynie, zamknął drzwi i zatrzasnął kłódkę. Z wiosłami przyszedł na pomost, ułożył je w łódce wzdłuż burty i spuścił ją na wodę. Następnie zeskoczył do niej zwinnie i wiosła wsunął w dulki.

Odbił od pomostu, a gdy łódź wypłynęła z przystani i porwał ją prąd, począł wiosłować rytmicznie w kierunku środka rzeki. Płynął teraz z nurtem. Deszcz siekł go po twarzy. Fale przelewały się przez burty. Łódka zanurzała się szybko, coraz głębiej, a on nadal wiosłował rytmicznie, zmierzając wraz z rzeką ku Nowemu Jorkowi, zatokom, oceanowi.

Kiedy łódka znalazła się na głównym nurcie, była już prawie pod wodą.

Następnego dnia łódkę wywróconą dnem do góry odnaleziono w okolicy Góry Niedźwiedziej. Aksela Jordacha nie odnaleziono nigdy.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ I

Dominik Józef Agostino siedział przy stoliku w swoim kantorze za salą gimnastyczną. Czytał artykuł o sobie ze sportowej kolumny rozłożonej przed nim gazety. Do czytania używał okularów w drucianej oprawie, co nadawało łagodny, myślący wyraz okrągłej twarzy byłego boksera - twarzy ze złamanym nosem i małymi, ciemnymi oczkami pod deseniem z blizn na miejscu brwi.

Dochodziła trzecia, więc o tej najmilszej porze popołudniowej ciszy sala gimnastyczna była pusta. Niewiele też będzie do roboty do piątej, kiedy Agostino rozpocznie lekcję rytmiki z grupą członków klubu - przeważnie panów w średnim wieku, którzy wojują z otyłością. Później przyjdzie zapewne kilka rund sparringu z bardziej ambitnymi członkami i oczywiście instruktor będzie uważał, by zanadto nie uszkodzić nikogo.

Artykuł o nim ukazał się poprzedniego wieczora w specjalnej obwódce na sportowej kolumnie gazety. Drużyna „Red Sox” była nieobecna w mieście i nigdzie indziej nie prowadziła rozgrywek, a zatem w dniu tak mało interesującym należało zapełnić czymś stronę poświęconą sportowi.

Dominik urodził się w Bostonie i na ring został wprowadzony jako Joe Agos. Nazywano go też „Pięknisiem z Bostonu”, ponieważ brakowało mu potężnego ciosu, musiał więc tańczyć na deskach, aby nie pozwolić się zabić. W dwudziestych i trzydziestych latach miał trochę dobrych walk w wadze lekkiej, więc komentator sportowy - zbyt młody, by go mógł widzieć w akcji - dawał wstrząsające opisy jego meczów z takimi gwiazdami jak Canzoneri lub McLarnin z okresu ich pięcia się w górę. Komentator sportowy pisał również, że Dominik Józef Agostino jest nadal w doskonałej formie, co bynajmniej nie odpowiadało prawdzie. Wkładał też w jego usta żartobliwe słowa, że niektórzy co młodsi członkowie ekskluzywnego klubu „Revere” zaczynają brać nad nim górę podczas sparringów w sali gimnastycznej, wobec czego zastanawia się, czy nie zaangażować pomocnika lub nie używać maski ochronnej, by w najbliższej przyszłości nie narażać na szwank swojej urody. Nic podobnego nie powiedział nawet w żartach. Ogólnie biorąc, artykuł był życzliwy i robił z Dominika mądrego, sędziwego weterana, który w złotych dniach sportu nauczył się na licznych ringach podchodzić do życia filozoficznie. Agostino stracił wszystko, co kiedykolwiek zarobił - do ostatniego centa - więc pozostało mu w życiu niewiele więcej niż sama filozofia. O tym nie powiedział nic komentatorowi sportowemu, więc informacja nie trafiła do artykułu.

Na stoliku zabręczał telefon. Dzwonił portier z wiadomością, że jakiś młodzik przyszedł i chce widzieć się z Dominikiem.

Odpowiedział portierowi, aby go przysłał.

Dzieciak - ubrany w spłowiały granatowy sweter i pantofle na gumowych podszewkach - mógł liczyć dziewiętnaście albo dwadzieścia lat. Był blondynem o niebieskich oczach i okrągłej, raczej dziecięcej twarzy. Na jego widok Dominikowi przypomniał się Jimmy McLarnin, który raz prawie rozdarł go na sztuki podczas walki w Nowym Jorku. Chłopak miał czarne od smarów dłonie, chociaż bez wątpienia usiłował zmyć to wszystko bardzo starannie. Z całą pewnością nikt z członków klubu nie mógł zaprosić go na walkę treningową ani na partię gry w squash *. (* Squash - amerykańska gra polegająca na odbijaniu piłki o mur raketami tenisowymi.)

- O co chodzi? - zapytał Dominik spoglądając znad okularów w drucianej oprawie.

- Wczoraj wieczór czytałem o panu w gazecie - odpowiedział chłopiec.

- Czytałeś? To dobrze.

Dominik był zawsze uprzejmy dla członków klubu i miał dla nich uśmiech na zawołanie, więc do podobnych manier przywykł nawet wobec nie-członków.

- Przeczytałem, że w pańskim wieku, proszę pana, nie bardzo radzi pan sobie z co młodszymi członkami klubu i... No, takie rzeczy - powiedział przybysz.

- I co?

- Pomyślałem, że może wzięłyby mnie pan na pomocnika.

- Jesteś bokserem?

- Niezupełnie. Może kiedyś będę... Widzi pan, wiele bójek stoczyłem w życiu, no to...

- Chłopiec uśmiechnął się. - No to pomyślałem, że mógłbym za to brać forszę.

- Chodź ze mną.

Dominik wstał, zdjął okulary i ze swojego kantoru poszedł przez salę gimnastyczną do garderoby. Chłopak pośpieszył za nim.

Garderoba była pusta. Tylko posługacz Charley drzemał siedząc opodal drzwi z głową na stosie ręczników.

- Masz z sobą to, co trzeba? - zapytał Dominik.

- Nie - odpowiedział, wobec czego dostał stary dres i bokserskie trzewiki.

Dominik spoglądał nań, gdy młodzik się rozbierał. Długie nogi.

Mocne, spadziste ramiona, gruba szyja. Jakieś sto pięćdziesiąt, może sto pięćdziesiąt pięć funtów wagi. Ręce jak trzeba. Ani krzty tłuszczu.

Zaprowadził chłopca w kąt sali gimnastycznej - tam gdzie leżały maty - i rzucił mu

szesnastuncyjne rękawice. Pojawił się Charley i zasnuował rękawice obydwu zawodnikom.

- No, zobaczymy, co potrafisz, chłopcze - powiedział Dominik i bez wysiłku puścił w ruch ręce.

Charley jął obserwować spotkanie z nie lada zaciekawieniem.

Ma się rozumieć, chłopak trzymał ręce za nisko i wnet dostał dwa ciosy z lewej. Jednakże później zaczął ruszać się i bronić lepiej.

Po trzech minutach Dominik opuścił ręce.

- W porządku. Starczy - powiedział.

Kilkakrotnie mocno uderzył przeciwnika i w zwarcu prawie go obezwładnił, mimo wszystko jednak młodzik był bardzo szybki i dwa razy zadał Dominikowi bolesne ciosy. Niewątpliwie ma w sobie coś z boksera, osądził instruktor. Co, nie wiedział dokładnie, lecz w każdym razie coś z boksera.

- Posłuchaj teraz, chłopcze - podjął, gdy Charley rozsznurowywał mu rękawice. - To nie knajpa. To klub dla dżentelmenów. Dżentelmen nie lubi, kiedy go boli. Dżentelmen przychodzi tutaj po to, żeby poćwiczyć trochę, nabierać wprawy w męskiej sztuce samoobrony.

Jeżeli zaczniesz częstować dżentelmenów takimi sierpowymi, jakimi mnie częstowałeś, nie utrzymasz się w klubie ani przez jeden dzień.

- Rozumiem, proszę pana. Naturalnie. Ale chciałem panu pokazać, co potrafię.

- Mało potrafisz, jak dotąd. Tyle, że jesteś szybki i ruszasz się dobrze. Gdzie pracujesz teraz?

- Byłem w Brooklynie w warsztacie samochodowym. Wolałbym mieć robotę, przy której ręce się nie brudzą.

- Jak myślisz? Kiedy mógłbyś tutaj zacząć?

- Już dzisiaj. Z warsztatem rozstałem się w zeszłym tygodniu.

- Ile tam zarabiałeś?

- Pięćdziesiąt na tydzień.

- Chyba tu nie dostanę dla ciebie więcej niż trzydzieści pięć dolarów - powiedział Dominik. - Za to będziesz mógł sypiać w pokoju, gdzie się robi masaże. Będziesz pomagał przy czyszczeniu basenu pływakiego, będziesz odkurzał maty i doglądał sprzętu, żeby był w porządku.

- Dobrze. Zgadza się.

- No to znalazłeś pracę. Jak się nazywasz?

- Tomasz Jordach.

- Tylko uważaj, Tom żebyś nie narobił sobie jakich kłopotów - ostrzegł go Dominik.

Przez pewien czas Tom nie narobił sobie żadnych kłopotów. Był sprawny, uprzedzająco grzeczny i niezależnie od robót, do których został przyjęty, chętnie biegał na posyłki dla Dominika, a także dla członków klubu. Przyjemny uśmiech poczytywał sobie za obowiązek i punkt honoru, a szczególne względy okazywał ludziom starszym. Atmosfera ciszy, bogactwa, ogólnej życzliwości panująca w klubie bardzo mu odpowiadała. Jeżeli nie miał zajęcia w sali gimnastycznej, z przyjemnością spacerował po salonach czytelniczych i karcianych - półmrocznych pokojach o wysokich sufitach, boazeriach, gdzie nie brakło krytych skórą głębokich foteli, a na ścianach wisiały ściemniałe olejne obrazy przedstawiające Boston z epoki statków żaglowych. Praca nie była absorbująca, a częste przerwy w ciągu dnia pozwalały Tomowi przesiadywać z szefem i słuchać jego wspomnień z dni na ringu.

Dominik nie był ciekaw jego przeszłości, więc Tom nie mówił nic o miesiącach spędzonych na szlaku, o domach noclegowych w Cincinnati, Cleveland i Chicago, o dorywczych pracach na stacjach benzynowych ani o czasie, kiedy był hotelowym chłopcem na posyłki w Syracuse. W hotelu dobrze zarabiał kierując dziwki do pokoi rozmaitych gości - od czasu gdy musiał wyrwać nóż z zaciśniętej pięści alfonsa, ponieważ alfons miał zastrzeżenia wobec wysokości prowizji, jaką podopieczne płaca miłemu chłopcu o dziecinnej buzi, któremu mogłyby matkować, gdyby nie były zatrudnione w inny sposób. W rozmowach z Dominikiem nie wspominał również o pijanych, których okradał przy sposobności, lub o rozmaitych drobnych kwotach ściąganych w hotelowych pokojach. Te rzeczy zresztą robił bardziej z zamiłowania do przygód niż z chęci zysku, gdyż z natury nie był wyrachowany.

Dominik nauczył go treningu z lekkim workiem, więc w deszczowe popołudnia, kiedy w klubie było pusto, chętnie bombardował pięściami worek coraz szybciej i szybciej i słuchał werbla, jakim rozbrzmiewała cała sala gimnastyczna. Od czasu do czasu, kiedy Toma poniosły wygórowane ambicje, a członków klubu nie było w pobliżu, Dominik nakładał rękawice i uczył pomocnika prawidłowego boksu.

Pokazywał mu jak operować prawym prostym przy ataku lewą ręką, jak podskakując na piętach robić uskoki i uniki, jak nie dopuszczać do zwarcia nacierając w momencie, kiedy powinno się cofać. Nadal nie wolno mu było odbywać sparringów z członkami klubu, ponieważ Dominik nie miał jeszcze doń zaufania i stanowczo nie życzył sobie żadnych incydentów. Za to w ciągu niewielu tygodni opiekun kortów do gry w squash zrobił z Toma średniego gracza i pozwalał mu trenować z mniej ważnymi członkami klubu, jeżeli brakowało

im partnera. Chłopak był bystry, zwinny, nie martwił się przegraną partią, a gdy wygrywał, robił to tak, by zwycięstwo nie przychodziło mu zbyt łatwo. W rezultacie zorientował się niebawem, że tygodniowo otrzymuje w postaci napiwków dodatkowe dwadzieścia do trzydziestu dolarów.

Z szefem klubowej kuchni nawiązał życzliwe stosunki głównie dlatego, że znalazł dobre źródło nie fałszowanej marihuany i załatwiał kucharzowi sprawunki w tym zakresie - co rychło zapewniło mu wszystkie posiłki bezpłatnie.

Taktownie unikał wszelkich - prócz najbardziej zdawkowych - rozmów z członkami klubu, którzy byli prawnikami, maklerami, bankierami, pracownikami linii żeglugowych i zakładów przemysłowych. Rychło nauczył się powtarzać dokładnie telefoniczne wiadomości od żon i kochanek, a z reguły miał przy tym taką minę, jak gdyby absolutnie nie rozumiał, co powtarza.

Nie lubił pić, o czym wyrażali się również z uznaniem członkowie klubu, gdy po wysiłku fizycznym ciągnęli whisky w barze.

Jego zachowanie nie było planowane. Tom nie dążył do niczego, po prostu czuł, że lepiej zasługiwać się solidnym obywatelom patronującym klubowi niż postępować inaczej. Zbyt długo wałęsał się po Ameryce, popadał w tarapaty, kończył wszystko awanturą, która wypędzała go w coraz to nową drogę. Obecnie zadowalały go w pełni spokój, poczucie bezpieczeństwa, uznanie, jakim darzono go w klubie. To nie kariera, mawiał sobie, ale rok może być całkiem udany. Nie był chłopcem z ambicjami. Kiedy Dominik napomykał od niechcienia, że Tom mógłby zapisać się do jakiegoś amatorskiego klubu pięściarskiego i sprawdzić, ile jest wart naprawdę, Tom zbywał niczym byłego zawodowca.

Gdy go ogarniał niepokój, wybierał się do odpowiedniej dzielnicy miasta, znajdował kurwę i spędzał z nią noc. Uczciwie zarobione pieniądze za odpowiednie usługi, a z rana nie ma żadnych komplikacji.

Boston podobał mu się o tyle, o ile mogła mu się podobać jakakolwiek miejscowość. Polubił nawet to miasto, chociaż nieczęsto widywał je przy świetle dziennym, bo był pewien, że policja poszukuje go z nakazem aresztowania za napaść i pobicie.

Był to skutek jego ostatniego popołudnia w warsztacie samochodowym w Brooklynie, kiedy to majster próbował dać mu szkołę. Poszedł wtedy prosto do pokoju, który najmował, spakował rzeczy i zniknął w ciągu dziesięciu minut, poinformowawszy gospodynię, że wybiera się na Florydę. Później przywarował na tydzień w domu noclegowym YMCA i nie ruszał się stamtąd do czasu, gdy w gazecie przeczytał artykuł o Dominiku.

Miał pośród członków klubu swoje sympatie i antypatie, ale dbał, by dla wszystkich

być bezstronnie miłym. Nie chciał narażać się nikomu. Narażania się miał zupełnie dosyć. Usiłował nie wiedzieć za dużo o członkach klubu, ma się rozumieć, jednak trudno nie wyrabiać sobie takich czy innych opinii, zwłaszcza gdy widzi się brzuchatego nagusa lub kogoś, kto ma plecy podrapane po ostatniej łózkowej przygodzie, albo takiego, co złości się z powodu przegrania głupiej partii w squash.

Dominik nienawidził jednakowo wszystkich członków klubu jedynie dlatego, że oni mieli pieniądze, on nie miał. Urodził się i wychował w Bostonie, mówił z bostońskim akcentem, lecz duchowo pracował wciąż na polach jakiegoś sycylijskiego obszarnika i marzył, aby spalić do fundamentów pałac tego obszarnika i popodrzynać gardła całej jego rodzinie. Oczywiście jednak swoje sny podpalacza i mordercy krył za kordialnym sposobem bycia.

Powracającym z urlopow członkom klubu mówił zawsze, że wyglądają doskonale, dziwił się, że tak dużo zrzucili wagi, że współczuciem odnosił się do ich przeróżnych bólów i kontuzji.

- Popatrz. Idzie największy szachraj w Massachusetts - mówił szeptem Tomowi, gdy do garderoby wkraczał pełen godności dżentelmen z siwiejącą czupryną; następnie zwracał się głośno do wspomnianego dżentelmena: - Moje uszanowanie panu, moje uszanowanie. Ostatnio nie widywaliśmy tu szanownego pana. Zawsze szanowny pan pracuje zbyt ciężko.

- O tak! - odpowiadał członek klubu i smutno kiwał głową. - Praca.

Nic tylko praca.

- Wiem, wiem, jak to wygląda, proszę szanownego pana. - Dominik także smutno kiwał głową. - Szanowny pan pozwoli, że najpierw odbędziemy mały trening dla zrzucenia wagi, później szanowny pan popływa trochę i weźmie łaźnię parową, no i wszystkie dolegliwości przejdą, a w nocy będzie szanowny pan spał jak małe dziecko.

Tom patrzył i słuchał uważnie, od Dominika uczył się tak przydatnej w życiu obłudy. Zresztą szczerze lubił eks-boksera o zatwardziałym sercu, który ostrożnie zamykał się w sobie mimo zdecydowanych ciągot w kierunku anarchii i łupiestwa.

Lubił też pana Reeda, pogodnego, przystępnego w obejściu prezesa wielkiej spółki tekstylnej, który lubił grywać z nim w squash i ciągnął go na korty nawet wtedy, gdy inny członek klubu czekał na partnera. Reed miał jakieś czterdzieści pięć lat i był dosyć tęgi, ale grał jeszcze dobrze i pół na pół dzielił zwycięstwa z Tomem.

Przeważnie on był górą w pierwszych grach, a następnie męczył się i ponosił porażki.

- Młode nogi, młode nogi - mawiał ze śmiechem, gdy po godzinie na kortach szli do kabin natryskowych i Reed ocierał ręcznikiem pot z twarzy.

Grywali regularnie trzy razy w tygodniu. Za każdym razem Reed fundował Tomowi coca-cole, kiedy ochłodli trochę, a następnie wciskał mu w rękę pięć dolarów. Miał jedno osobliwe dziwactwo.

Zawsze nosił w prawej kieszeni marynarki starannie złożony banknot studolarowy. Powiedział Tomowi, że taki banknot uratował mu niegdyś życie.

Raz wybuchł groźny pożar w pewnym klubie nocnym i wiele osób postradało życie. Reed leżał wtedy pod stosem ciał w pobliżu drzwi wejściowych. Nie mógł się ruszyć, a gardło miał zanadto zdławione, by wołać o pomoc. Usłyszał jednak, że strażacy zaczynają odciągać przygniatające go zwłoki, więc ostatnim wysiłkiem sięgnął do kieszeni spodni, w której miał banknot studolarowy. Wydobył go i z wielkimi trudnościami uwolnił prawą rękę. Dostrzeżono ją i dostrzeżono ściśnięty w palcach cenny papierek. Reed poczuł, że ktoś zabiera pieniądze, następnie zaś strażacy odciągnęli leżące na nim ciała i oswobodzili rannego. Na dwa tygodnie utracił mowę i czas ten spędził w szpitalu, lecz wyżył i zachował głęboką wiarę w potęgę studolarowego banknotu. W rezultacie gorąco zalecał Tomowi, aby jeżeli to możliwe, nosił zawsze jeden banknot studolarowy w łatwo dostępnej kieszeni.

Radził także, by Tom oszczędzał i lokował pieniądze w dobrych akcjach, gdyż młode nogi nie na zawsze pozostają młodymi.

Kłopoty przyszły po trzech miesiącach pracy w klubie. Tom zauważył, że coś jest nie w porządku, kiedy otworzył swoją szafkę w garderobie, aby się przebrać po spóźnionej grze w squash z Brewsterem Reedem. Nie spostrzegł zrazu szczególnych śladów, niezwłocznie jednak uprzytomnił sobie, że ktoś szperał w jego ubraniu, czegoś szukał. Portfel wystawał do połowy z tylnej kieszeni spodni, jak gdyby został wydobyty, a później śpiesznie wsunięty na miejsce. Tom wyciągnął i otworzył portfel. Były w nim cztery banknoty pięciodolarowe - tak jak uprzednio. Dołożył do nich banknot pięciodolarowy, który jako napiwek dostał od Reeda, i portfel wsunął na dawne miejsce. W bocznej kieszeni spodni znalazł około trzech dolarów drobnymi, które były tam również, kiedy szedł na korty. Na górnej półce szafki leżało otwarte czasopismo. Czytał przed grą z Reedem i dobrze pamiętał, że położył je tam wierzchnią okładką do góry. W pierwszej chwili chciał zamknąć szafkę na klucz, później jednak pomyślał: Do diabła! Jeżeli ktoś w tym klubie jest taki ubogi, że opłaci mu się mnie okradać, niech mu to pójdzie na zdrowie. Rozebrał się, wrzucił pantofle do szafki i przepasany ręcznikiem ruszył do kabin natryskowych, gdzie Reed parsknął już ochoczo i rozpryskiwał dokoła wodę.

Wróciwszy do garderoby znalazł kartkę przypiętą do wewnętrznej strony drzwi swojej

szafki. Przeczytał na niej skreślone pismem Dominika słowa: „Po godzinach pracy czekam na ciebie w moim kantorze. D. Agostino.”

To lakoniczne zdanie oraz sam fakt, że Dominik napisał do niego, chociaż w ciągu popołudnia mijali się przynajmniej dziesięć razy, oznaczały, że kluje się jakiś kłopot. To było coś formalnie urzędowego, zaplanowanego z góry. Ha! Zaczyna się znowu, pomyślał Tom i był prawie gotów ubrać się i raz na zawsze zniknąć cichaczem z klubu. Jednakże zmienił zamiar. Zjadł obiad w kuchni, a następnie w garderobie gawędził beztrąsko z opiekunem kortów do gry w squash i z Charleyem. Wreszcie, wkrótce po dziesiątej - kiedy klub zamykano - stawiał się w kantorze szefa.

Dominik siedział przy swoim stoliku, czytał „Life'a”. Wolno obracał strony. Uniósł wzrok, zamknął zeszyt tygodnika i porządnie złożył go na skraju stołu. Następnie wstał, wyjrzał do hallu, aby upewnić się, że nie ma tam nikogo, i zamknął drzwi kantoru.

- Siadaj, chłopcze - powiedział.

Tom usiadł i zaczekał, by tamten zajął również miejsce naprzeciw niego po drugiej stronie stołu.

- Co się stało? - zapytał wtedy.

- Dużo - padła odpowiedź. - Wyniknął bałagan. Przez cały dzień miałem urwanie głowy.

- A co to ma wspólnego ze mną?

- Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć. Nie będziemy, chłopcze, kołować i krążyć. Ktoś ściąga forszę z portfeli. Jakiś cwaniak. Rozumiesz? Tu i tam weźmie jeden banknot, a resztę zostawia. Nasi spasieni dranie to przeważnie ludzie tak bogaci, że nie wiedzą nigdy, ile mają w kieszeni. No i jeżeli jednemu albo drugiemu brak głupich dziesięciu albo dwudziestu dolarów, facet myśli pewnie, że pieniądze zgubił lub omylił się przy ostatnim liczeniu. Ale jeden jest pewien, że się nie omylił. To ten skurwysyn Greening. Gada, że banknot dziesięciodolarowy zginął mu z szafki w garderobie, kiedy on trenował ze mną. Dziś cały dzień wisiał u telefonu, opowiadał o tym, komu się dało, i teraz różni członkowie klubu są przekonani, że od paru miesięcy ktoś ich ograbia.

- Jeszcze raz pytam, co to ma wspólnego ze mną? - wtrącił Tom, jakkolwiek wiedział doskonale, co to może mieć z nim wspólnego.

- Greening utrzymuje, że to się zaczęło od czasu, kiedy ty nastależ do pracy.

- To wielki gówniarz! - rzucił z rozgoryczeniem Tom.

Greening - trzydziestoletni mężczyzna o zimnych oczach - pracował w biurze maklera giełdowego. W klubie bywał często i odbywał treningi bokserskie z Dominikiem. W swoim

czasie reprezentował w wadze półciężkiej jakąś szkołę z zachodnich stanów, a że zachował dobrą formę, nie miał zmiłowania nad Dominikiem i cztery razy tygodniowo nękał go okropnie podczas trzech dwuminutowych rund.

Dominik nie miał odwagi walczyć naprawdę, więc po takich spotkaniach z Greeningiem bywał często posiniaczony i do cna wyczerpany.

- To wielki gówniarz. Prawda - przyznał Dominik. - Dziś po południu zażądał, żebym zrobił rewizję w twojej szafce. Na szczęście nie było tam dziesięciodolarowego banknotu. Ale i tak drań chciał wezwać policję i ciebie zgłosić jako podejrzanego.

- A pan co na to?

- Wybiłem mu pomysł z głowy. Obiecałem, że sam pogadam z tobą.

- Aha. Teraz gada pan ze mną, prawda? Więc co? - zapytał chłopiec.

- Ściągałeś forszę?

- Nie. Wierzy mi pan?

Szef wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ktoś, do cholery, ściągał.

- Kupa ludzi kręci się cały dzień po garderobie. Charley, posługacz z basenu, ten z kortów, pan...

- Daj spokój, chłopcze. Bez głupich żartów - obruszył się Dominik.

- Czemu akurat mnie się czepiacie? - dokończył zdanie Tom.

- Powiedziałem przecież. To się zaczęło od czasu, kiedy ty zacząłeś pracować. Do licha! Ludzie mówią, że trzeba pozakładać kłódki do szafek! Przez sto lat nikt tu nic nie zamykał. A teraz tyle gadania, jak gdyby w klubie działy się straszne zbrodnie.

- Co pan chce, żebym zrobił? Odszedł?

- No... Nie... - Dominik pokręcił głową. - Nie... Uważaj na siebie. Staraj się być wciąż na ludzkich oczach. Może wszystko rozejdzie się jakoś po kościach. Ten skurwysyn Greening i jego parszywa dycha! Chodź teraz ze mną. - Wstał i przeciągnął się leniwie. - Postawię ci piwo. Co za cholerny dzień!

Garderoba była pusta, gdy Tom otworzył jej drzwi. Posłano go na pocztę z paczką, więc miał na sobie wyjściowe ubranie. Odbywały się właśnie międzyklubowe rozgrywki w squash i wszyscy byli na kortach jako obserwatorzy. Wszyscy z wyjątkiem jednego członka klubu, pana Sinclaira, który należał do reprezentacji i był gotowy, w białym swetrze, gdyż swojego spotkania jeszcze nie rozegrał. Ten wysoki, szczupły młody mężczyzna - prawnik ze stopniem naukowym z Harvardu - był synem członka klubu i sam również członkiem. Jego rodzina posiadała znaczny majątek, a jej nazwisko zawsze trafiało do prasy. Sinclair pracował

w kancelarii adwokackiej swojego ojca i Tomowi objęły się nieraz o uszy rozmowy starszych panów, którzy twierdzili, że ten błyskotliwy młody prawnik daleko zajdzie.

Kiedy Tom w tenisowych pantoflach wszedł bezszelestnie do garderoby, Sinclair stał przed otwartą szafką, rękę miał w wewnętrznej kieszeni wiszącej tam marynarki i zgrabnie wyciągał z niej portfel. Tom nie był pewien, czyja to szafka, ale wiedział, że nie Sinclaira, ponieważ tamta prawie sąsiadowała z jego szafką i znajdowała się po przeciwległej stronie garderoby. Twarz Sinclaira - pogodna zazwyczaj i rumiana - była w tej chwili blada, ściągnięta kurczowo i zroszona potem.

Tom wahał się przez moment. Miał ochotę zawrócić i wyjść cichaczem, zanim tamten zdąży go spostrzec. Jednakże Sinclair obejrzał się wyciągnawszy portfel i naturalnie zobaczył Toma.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Na odwrót było już zbyt późno.

Tom podszedł szybko i chwycił za rękę Sinclaira, który dyszał ciężko, jak gdyby był po długim biegu.

- Lepiej niech pan to włoży na miejsce - szepnął Tom.

- Tak. Naturalnie. Włożę to na miejsce - odpowiedział Sinclair również szeptem.

Tom nie wypuszczał z uścisku jego ręki. Myślał błyskawicznie.

Jeżeli oskarży Sinclaira, niewątpliwie straci pracę pod takim czy innym pretekstem. Członków klubu będzie drażnić i denerwować stała obecność podrzędnego funkcjonariusza, który skompromitował kogoś z ich grona. Jeżeli go nie oskarży... Chłopiec starał się wygrać na czasie.

- Wie pan, że mnie podejrzewają - powiedział.

- Wiem. Bardzo mi przykro.

Sinclair nie próbował oswobodzić ręki, lecz Tom czuł, że trzęsie się cały.

- Zrobi pan trzy rzeczy - podjął. - Ten portfel odłóż pan zaraz na miejsce i obieca mi pan, że od dziś zaniecha takich praktyk.

- Obiecuję, Tom. Jestem ci bardzo wdzięczny...

- Zaraz się okaże, jak bardzo jest mi pan wdzięczny - przerwał mu chłopiec. - W tej chwili da mi pan rewers na pięć tysięcy dolarów i w ciągu trzech dni wypłaci mi pan tę sumę gotówką.

- Oszalałeś chyba - powiedział Sinclair i krople potu wystąpiły mu znów na czoło.

- Jak pan chce. Zaraz narobię krzyku.

- Pewno, że narobisz krzyku, ty mały skurwysynu.

- Spotkamy się w barze hotelu „Touraine” w czwartek o jedenastej wieczorem - podjął

Tom. - To będzie noc wypłaty.

- Przyjdę tam - odrzekł Sinclair tak cicho, że chłopiec ledwie dosłyszał.

Tom wyzwolił z uścisku jego rękę i patrzył spokojnie, jak tamten wsuwa portfel do wewnętrznej kieszeni marynarki. Później wydobyl mały notes, w którym zapisywał drobne wydatki związane z jego posyłkami, otworzył go na czystej stronie i wraz z ołówkiem podał tamtemu.

Sinclair patrzył przez chwilę na podsunięty mu notes. Gdyby zdołał opanować nerwy - Tom dobrze zdawał sobie sprawę - odszedłby po prostu, a gadanie chłopca na ten temat mógłby zbyć śmiechem. Ale czy tak zupełnie zbyć śmiechem? Zresztą nerwy miał roztrzęsione, więc sięgnął po notes i nagryzmolił w nim, co należało.

Tom przebiegł wzrokiem zapisaną kartkę, schował notes do kieszeni i odebrał tamtemu ołówek. Później ruszył spokojnie w stronę kortów, aby popatrzeć na rozgrywki.

W piętnaście minut później przyszła kolej na Sinclaira, który sprawnie i łatwo pokonał przeciwnika. Następnie wrócił do garderoby, gdzie Tom uprzejmie pogratulował mu sukcesu.

Tom był w barze hotelu „Touraine” za pięć jedenasta. Tego wieczoru miał na sobie garnitur i krawat, gdyż chciał uchodzić za dżentelmena. W ciemnej, zapełnionej tylko w jednej trzeciej sali wybrał starannie stolik narożny - taki, z którego dobrze było widać wejście. Gdy nadszedł kelner, zamówił butelkę piwa budweiser. Pięć tysięcy dolarów, myślał, pięć tysięcy... Oni, bogacze, wydarli taką sumę ojcu, teraz on im odbierze tyle samo.

Zastanawiał się, czy Sinclair musiał zwrócić się do swojego ojca, wyjaśnić mu sytuację. Zapewne nie. Zapewne ma tyle własnej forsy, że w ciągu dziesięciu minut może wykombinować pięć tysięcy gotówką. Tom nie miał nic przeciwko Sinclairowi. To sympatyczny młody mężczyzna o ładnych, poczciwych oczach, przyjemnym głósie i doskonałych manierach. Czasami dawał mu pouczające wskazówki przy grze w squash, a teraz jego życie byłoby zrujnowane, gdyby wydało się, że jest kleptomanem. Tak już działa system.

Tom popijał piwo, pilnie obserwował drzwi. Otworzyły się trzy minuty po jedenastej i Sinclair wszedł do baru. Począł rozglądać się po ciemnej sali, więc Tom wstał i gdy tamten zbliżył się do niego, powiedział:

- Dobry wieczór szanownemu panu.

- Dobry wieczór, Tom - odpowiedział spokojnie tamten i nie zdejmując palta usiadł obok chłopca na wyściełanej ławeczce.

- Co pan wypije? - zapytał Tom, kiedy nadszedł kelner.

- Poproszę szkocką whisky z wodą - powiedział Sinclair w poprawnym tonie z

Harvardu.

- A dla mnie drugi budweiser - dorzucił Tom.

Przez krótki czas siedzieli obok siebie bez słowa. Sinclair bębnił lekko palcami po blacie stolika, rozglądał się dokoła.

- Często tu bywasz? - zapytał wreszcie.

- Od czasu do czasu.

- A spotkałeś kiedy kogoś z klubu?

- Nigdy.

Kelner postawił przed nimi trunki. Sinclair pociągnął łakomie ze szklanki.

- Jeżeli chcesz wiedzieć - rozpoczął znowu - to nie biorę pieniędzy dlatego, że mi ich potrzeba.

- Wiem, proszę pana.

- Jestem chory. Rozumiesz? To choroba. Wybieram się do psychiatry.

- Bardzo słusznie, proszę pana.

- Nie wstyd ci, że tak traktujesz człowieka chorego?

- Nie. Nie, proszę pana.

- Twardy z ciebie mały skurwysyn, prawda?

- Tak mi się zdaje, proszę pana.

Sinclair sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobył długą, dobrze wypchaną kopertę, którą położył na ławeczce pomiędzy sobą a Tomem.

- Tyle, ile trzeba - powiedział. - Możesz nie trudzić się liczeniem.

- Ma się rozumieć, proszę pana - powiedział Tom i schował kopertę do bocznej kieszeni marynarki.

- Czeka - podjął Sinclair.

Tom wyjął i położył na stoliku rewers. Tamten objął kartkę przelotnym spojrzeniem, podarł ją i strzępki wcisnął do popielniczki.

- Dziękuję za whisky - powiedział.

Wstał i wzdłuż bufetu ruszył ku drzwiom. Przystojny młody mężczyzna o wyraźnych znamionach dobrego wychowania i pochodzenia, odbytych studiów, dobrobytu, zadowolenia z życia.

Tom patrzył jego śladem i z wolna dopijał piwo. Później uregulował rachunek, poszedł do hallu i wynajął pokój na jedną noc. Na piętrze - przy drzwiach zamkniętych na klucz i zasłoniętym oknie - z uwagą przeliczył pieniądze. Były to same studolarowe banknoty, zupełnie nowe. Przyszło mu na myśl, że mogą być znaczone, ale nie zauważył nic

podejrzanego.

Spał dobrze w wielkim, podwójnym łóżku, a z rana zatelefonował do klubu, aby powiedzieć szefowi, że musi pojechać do Nowego Jorku w sprawach rodzinnych i z powrotem będzie dopiero w poniedziałek po południu. Od rozpoczęcia pracy w klubie nie wykorzystywał wolnych dni, więc Dominik nie mógł się nie zgodzić, zastrzegając tylko, aby nie trwało to dłużej niż do poniedziałku.

Pociąg zjechał na stację wśród mżawki, a szara, jesienna plucha nie przydawała urody miastu Port Philip, gdy Tom wyszedł przed budynek dworcowy. Nie wziął z sobą płaszcza, więc postawił kołnierz marynarki, by woda nie ściekała mu po karku.

Plac przed stacją niewiele się zmienił. Hotel „Port Philip” został odnowiony, a duży sklep radiowo-telewizyjny mieszczący się w nowym pawilonie z żółtej cegły ogłaszał wyprzedaż przenośnych radioodbiorników. Zapach rzeki był dokładnie taki, jaki Tom dobrze pamiętał.

Mógłby oczywiście wziąć taksówkę, ale po latach nieobecności wołał odbyć spacer. Ulice rodzinnego miasta winny przygotować go wolno do... Sam nie wiedział dokładnie do czego.

Minął dworzec autobusowy, więc przypomniał mu się ostatni wyjazd pod eskortą brata. „Cuchniesz jak dzikie zwierzę”.

Przeszedł obok domu towarowego Bernsteina, miejsca spotkań siostry z Teodorem Boylanem. Nagi mężczyzna w pokoju bawialnym. Płonący krzyż. Miłe wspomnienia z dni chłopięcych.

Oto szkoła podstawowa i jej boisko. Zdemobilizowany, chory na malarię żołnierz. Miecz samuraja. Głowa Japończyka bluzgająca krwią.

Nikt nie poznawał Toma. Napotykanie wśród deszczu twarze były obce, zamknięte w sobie, wyrażające pośpiech. Triumfalny powrót. Witaj, obywatelu, w rodzinnym mieście.

Minął kościół Świętego Anzelma, gdzie proboszczem był stryj Claude'a Tinkera. „Dzięki Bogu wszechmogącemu nikt go nie widział”.

Skręcił w Vanderhoff Street wśród bardziej ulewnego teraz deszczu.

Dotknął wypchanej wewnętrznej kieszeni marynarki, gdzie znajdowała się koperta z pieniędzmi. Ulica zmieniła się bardzo. Czworokątny, przypominający więzienie budynek mieścił jakąś fabrykę. Niektóre dawne sklepy były zabite deskami, na szybach okien wystawowych widniały nieznajome nazwiska.

Tom szedł spoglądając pod nogi, by chronić oczy przed deszczem, kiedy więc podniósł wzrok, zmieszał się i zbaraniał. Tam gdzie była piekarnia, gdzie stał dom, w którym

on przyszedł na świat, znajdował się obecnie wielki supermarket, a nad nim trzy piętra mieszkalne. Przeczytał wywieszone w oknach reklamy. Specjalności dnia. Rozbratle. Łopatki jagnięce. Kobiety z siatkami na zakupy wchodziły i wychodziły przez drzwi, które - gdyby dom Jordachów stał na dawnym miejscu - wiodłyby do sieni od frontu.

Tom począł zaglądać przez okno do supermarketu. Na pierwszym planie młode kasjerki przyjmowały pieniądze. Nie znał żadnej z nich. Nie miał po co wchodzić do środka. Nie szukał przecież rozbratli ani jagnięcych łopatek.

Zbity z tropu poszedł dalej ulicą. Garaż sąsiadujący dawniej z piekarnią został też przebudowany i widać było nad nim inne nazwisko. Tam również nie rozpoznał ani jednej twarzy. Dopiero tuż przed skrzyżowaniem zobaczył, że istnieje nadal sklep owocowo-warzywny państwa Jardino. Wszedł tam i czekał cierpliwie; jakaś stara kobieta kłóciła się z panią Jardino o zieloną fasolkę.

Kiedy wreszcie klientka wyszła, zwróciła się doń właścicielka sklepu - drobna, niepozorna kobiecina w starszym wieku. Miała potężny, sępi nos, a na górnej wardze brodawkę, z której wyrastały dwa sztywne, czarne włosy.

- Proszę. Czym mogę służyć? - zapytała.

- Pani mnie pewno nie poznaje - zaczął Tom i opuścił kołnierz marynarki, gdyż chciał zaprezentować się lepiej. - Dawniej byłem... byłem jak gdyby pani sąsiadem. Mieliliśmy piekarnię przy tej ulicy. Przypomina sobie pani Jordachów?

Pani Jardino zmierzyła go spojrzeniem krótkowzrocznych oczu.

- A pan to będzie który?

- Najmłodszy, proszę pani.

- Aha. Ten mały gangster.

Tom spróbował się uśmiechnąć w dowód uznania dla rubasznego żartu kobiety, ale nie odpowiedziała mu uśmiechem.

- No to czego pan chce? - zapytała.

- Długo mnie tu nie było - podjął Tom. - Dziś przyjechałem, żeby odwiedzić rodzinę, no i... I piekarni nie ma na miejscu.

- Dom rozebrano kilka lat temu - powiedziała niecierpliwie pani Jardino i zaczęła układać jabłka tak, by plamy były niewidoczne. - Nie słyszał pan o tym od rodziny?

- Na jakiś czas straciliśmy się z oczu - wyjaśnił Tom. - Może wie pani, gdzie oni są teraz?

- Skąd ja miałabym to wiedzieć? - obruszyła się kobieta. - Tacy państwo nie rozmawiali nigdy z włoskimi brudasami. - Odwróciła się i zaczęła przekładać pęczki selerów.

- Bardzo pani dziękuję za wiadomości - powiedział Tom zmierzając w stronę drzwi.

- Zaraz, zaraz - powstrzymała go w pół drogi. - Jak pan wyjechał, pański ojciec żył jeszcze, prawda?

- Tak.

- No to nie żyje - podjęła nie bez nuty zadowolenia w tonie głosu.

- Utopił się. W rzece. Później pańska matka wyprowadziła się i dom poszedł na rozbiórkę. A teraz... - ciągnęła z goryczą. - Teraz stoi tam supermarket i podrzyna nam gardła.

Weszła klientka, a gdy pani Jardino zaczęła ważyć pięć funtów kartofli, Tom pośpiesznie wyniósł się ze sklepu.

Zawrócił i przez chwilę stał przed frontem supermarketu, ale nowa budowla nic mu nie powiedziała. Pomyślał o spacerze nad rzeką, lecz uświadomił sobie, że tam również nie dowie się niczego.

Ruszył w powrotną drogę do stacji kolejowej, a kiedy mijał bank, wszedł tam i wynajął kasetkę depozytową, w której umieścił czterdzieści dziewięć z pięćdziesięciu studolarowych banknotów.

Ostatecznie pieniądze mógł zostawić równie dobrze w Port Philip jak w każdej innej miejscowości. Albo wrzucić je do rzeki, w której utonął jego ojciec.

Prawdopodobnie odnalazłby matkę i brata, gdyby zwrócił się do urzędu pocztowego, lecz postanowił, że oszczędzi sobie tego wysiłku. Przyjechał przecież po to, by zobaczyć się z ojcem. I spłacić dług.

ROZDZIAŁ II

Rudolf w birecie i todze siedział pod promieniami czerwcowego słońca wśród innych absolwentów w wypożyczonej czerni.

- Obecnie, w 1950 roku, dokładnie w połowie naszego stulecia, my, Amerykanie, musimy zadać sobie szereg pytań - rozprawiał mówca. - Co mamy? Czego chcemy? Na czym polega nasza siła i nasza słabość?

Dokąd zmierzamy?

Mówca - członek waszyngtońskiego gabinetu - przybył na uroczystość przez wzgląd na rektora college'u, z którym przyjaźnił się podczas studiów w Cornell, tym znamienitym siedlisku wiedzy.

Obecnie, dokładnie w połowie naszego stulecia - myślał Rudolf, kręcąc się niespokojnie na ogrodowym krześle stojącym pośrodku trawnika - co ja mam, czego chcę, na czym polega moja siła i moja słabość, dokąd zmierzam? Mam ukończone studia, cztery tysiące dolarów długu oraz umierającą matkę. Chcę być bogaty, wolny i kochany. Moja siła? Potrafię przebiec dwieście dwadzieścia jardów w 23,8 sekund. Moja słabość? Jestem uczciwy. Zapatrzony nabożnie w wielkiego człowieka z Waszyngtonu, uśmiechnął się wewnątrz.

Dokąd zmierzam? To ty mi powiesz, bratku.

Wielki człowiek z Waszyngtonu był zwolennikiem pokoju.

- Wzrasta dziś wszędzie krzywa potęgi militarnej - mówił z namaszczeniem. - Jedyna nadzieja na pokój to militarna siła Stanów Zjednoczonych. Aby zapobiec wojnie, Stany Zjednoczone muszą włączyć stosownym hamulcem w postaci siły zbrojnej - najpotężniejszej i nie do pokonania.

Rudolf przebiegł wzrokiem rzędy kolegów, współabsolwentów. Połowa z nich to weterani drugiej wojny światowej, którzy trafili do college'u na podstawie Karty Praw Kombatanta. Pośród tych było wielu żonatych, a ich małżonki - prosto od fryzjera - siedziały w rzędach za nimi. Niektóre piastowały w ramionach małe dzieci, bo nie miały ich z kim zostawić w pensjonatach bądź w odnajmowanych pokojach, gdzie gnieździły się w czasie, gdy ich panowie walczyli o dyplomy, które miały być tego dnia wręczane. Rudolf zastanawiał się, co te kobiety myślą o wzrastającej dziś wszędzie krzywej potęgi militarnej.

Zasiadający obok niego Bradford Knight - młody człowiek o rumianej, okrągłej twarzy - pochodził z Tulsy, a podczas wojny odbywał służbę wojskową w Europie jako sierżant piechoty. Ten rzutki, szczery chłopiec - przebiegły i cyniczny pod maską pozornej

ociężałości i rozwlekłego akcentu z Oklahomy - był najbliższym spośród kolegów przyjacielem Rudolfa. Studiował w Whitby, ponieważ jego kapitan uzyskał niegdyś dyplom w tym college'u i dał mu odpowiedni list polecający. On i Rudolf wypili z sobą dużo piwa i często wybierali się razem na ryby. Brad wciąż namawiał Rudolfa, aby po ukończeniu studiów pojechał z nim do Tulsy i wziął się do roboty w przedsiębiorstwie naftowym prowadzonym przez jego ojca.

- Zostaniesz, bracie, milionerem, zanim zdążysz ukończyć dwadzieścia pięć lat - mawiał Brad. - To, powiadam ci, kraina mlekiem i miodem płynąca. Będziesz zmieniał swojego Cadillaca za każdym razem, kiedy trzeba będzie opróżnić popielniczkę.

Jego ojciec został milionerem, zanim zdążył ukończyć dwadzieścia pięć lat, obecnie jednak wiodło mu się nie najlepiej („Przejściowa pechowa passa” - jak wyrażał się Brad), więc nie mógł sobie pozwolić na daleką podróż z okazji uzyskania dyplomu przez syna.

Teddy Boylan też nie przybył na uroczystość, jakkolwiek Rudolf wysłał mu zaproszenie. Musiał je wysłać, aby chociaż w taki sposób odwdzińczyć się za cztery tysiące dolarów. Boylan odmówił stanowczo. „Jakoś nie widzę siebie - pisał - prowadzącego wóz w ciepłe czerwcowe popołudnie po to, by po pięćdziesięciomilowej drodze wysłuchać demokracji, który odstawi mowę na dziedzińcu obskurnej szkoły rolniczej.” Nie była to szkoła rolnicza, jakkolwiek w Whitby znajdował się poważny wydział rolny. Natomiast Boylan, który w 1946 roku zaproponował, że sfinansuje studia Rudolfa, nadal miał żal do niego, że nie chciał nawet ubiegać się o przyjęcie do jednego z najpierwszych uniwersytetów. „Wszelako - brzmiał dalej list skreślony mocnym, kanciastym charakterem pisma - taki dzień nie powinien obejść się bez świętowania. Przyjeżdżaj, chłopcze, do mnie, kiedy skończy się ponura paplanina, a wysuszymy butelkę szampana i pogadamy o twoich planach na przyszłość.”

Z kilku rozmaitych przyczyn Rudolf wybrał w swoim czasie Whitby, zamiast próbować szczęścia w Harvardzie czy też Yale. Przede wszystkim pod koniec studiów byłby winien Boylanowi nierównie więcej niż cztery tysiące dolarów, a następnie przy swoim pochodzeniu i braku pieniędzy czułby się przez cztery lata intruzem w gronie paniczyków z najlepszego amerykańskiego towarzystwa, których ojcowie i dziadkowie entuzjastycznie się poddawali podczas meczów pomiędzy Harvardem i Yale, wydają bale i w przeważającej części nie pracowali ani jednego dnia w życiu. W Whitby ubóstwo stanowiło zjawisko normalne. Za niezwyklego uchodził raczej student, który nie musiał pracować latem, aby jesienią mieć pieniądze na książki i ubranie. Nie licząc paru przybłędów pokroju Brada, intruzami w Whitby byli unikający kolegów mole książkowe albo bardzo nieliczni rozpolitykowani

młodzieńcy, którzy kolportowali petycje za Narodami Zjednoczonymi bądź też przeciwko obowiązkowej służbie wojskowej.

Drugi powód, dla którego Rudolf wybrał Whitby stanowiło niedalekie sąsiedztwo Port Philip, co pozwalało mu odwiedzać matkę każdej niedzieli. Nie mógł przecież dopuścić, by popadła w zupełne zaniedbanie kobieta uwięziona bez mała w swoim pokoju, pozbawiona przyjaciół, podejrzliwa, bliska obłądu. Latem, po drugim roku studiów, w czasie którego pracował po godzinach zajęć oraz w soboty w domu towarowym Calderwooda, znalazł w Whitby tanie dwa pokoje z kuchenką, przeprowadził tam matkę i sam z nią zamieszkał.

W tym mieszkaniu czekała teraz na niego. Czowała się zbyt słabo, by pójść na uroczystość, jak powiadała, a ponadto jej wygląd mógłby tylko przynieść wstyd synowi. Może to wyrażenie za mocne, myślał Rudolf patrząc na schludnych i pogodnych rodziców swoich kolegów, ale z pewnością jego matka nie oczarowałaby nikogo urodą ani strojem. Spełniać synowskie obowiązki to jedna sprawa, a całkiem różna nie spoglądać faktom prosto w oczy.

A zatem Mary Pease Jordach siedziała w fotelu na biegunach przy oknie nędznego mieszkanka. Szal miała obsypany popiołem z papierosów, nogi spuchnięte, prawie bezwładne, i nie dane jej było znajdować się blisko syna tam, gdzie otrzyma zwój imitacji pergaminu. A inni nieobecni? Gretchen połączona z Rudolfem więzami krwi, lecz zatrzymana w Nowym Jorku z powodu stanu zdrowia dziecka; Julia, która tego samego dnia otrzymuje dyplom w Barnard; Tom - również połączony z nim więzami krwi chłopak o niewiadomym miejscu zamieszkania; Aksel Jordach z rękami splamionymi krwią, który obecnie wiosłuje poprzez wieczność.

W tym uroczystym dniu Rudolf był sam, ale nie przeszkadzało mu to wcale.

- Potęga urzędów wojskowych jest imponująca - rozprawiał mówca, którego głos wzmacniały megafony - atoli sprawę najbardziej korzystną dla naszej strony stanowi fakt, że za pokojem opowiada się zwyczajny człowiek wszędzie.

Jeżeli Rudolf ma być zwyczajnym człowiekiem, członek waszyngtońskiego gabinetu z całą pewnością przemawia w jego imieniu. Obecnie, gdy podczas studenckich bibek nasłuchiwał się wspomnień kolegów, nie zazdrościł już starszemu pokoleniu, które walczyło na Guadalcanal, wśród piaszczystych wydm Tunezji albo nad włoską rzeką Rapido.

Przyjemny, inteligentni głos człowieka wykształconego śpiewał na skąpanym w promieniach słońca czworokątne dziedzińca obramowanego zabudowaniami z czerwonej cegły. Nie obeszło się naturalnie bez nieodzownego pokłonu dla Ameryki - kraju nieograniczonych możliwości. Połowa słuchających przemówienia młodych mężczyzn miała

w swoim czasie nieograniczone możliwości, by oddać życie za Amerykę. Jednakże mówca spoglądał tego popołudnia naprzód, nie wstecz, a możliwości, o których wspominał, to badania naukowe, służba publiczna, pomoc narodom świata mniej niż my szczęśliwym.

Ów członek gabinetu to poczciwy jegomość i Rudolf był rad, że ktoś taki znajduje się w bliskości waszyngtońskiego ośrodka władzy. Ale jego zapatrywania na nieograniczone możliwości 1950 roku prezentowały się nieco zbyt podniosłe, ewangelicznie, po waszyngtońsku. Nie należało oczekiwać, by zgadzały się w pełni z przyziemnymi poglądami trzystu mniej więcej synów ludzi ubogich, którzy siedząc w czarnych togach przed dygnitarzem czekali na dyplomy małej, nie dofinansowanej uczelni, znanej - jeżeli w ogóle była znana - dzięki wydziałowi rolniczemu; czekali na dyplomy i medytowali, w jaki sposób zaczną od dnia następnego zarabiać na życie.

W pierwszym rządzie, zarezerwowanym dla personelu naukowego, profesor Denton, kierownik wydziałów historii i ekonomii, kręcił się na krześle i odwracał w prawo, aby szeptać coś do sąsiada, którym był profesor Lloyd z wydziału anglistyki. Rudolf patrzył na niego i uśmiechał się wyobrażając sobie komentarze Dentona do rytualnych wypowiedzi członka waszyngtońskiego gabinetu. Niskiego wzrostu, siwiejący, pełen temperamentu Denton - rozgoryczony, ponieważ zdawał sobie sprawę, że nie będzie już awansował w akademickim świecie - wyznawał przestarzałe poglądy liberalne i często biadał w sali wykładowej nad tym, co poczytywał za zdradę amerykańskiego systemu politycznego i gospodarczego; datującą się od czasów wojny secesyjnej, a zaaranżowaną przez wielki kapitał i wielki biznes. „Ameryka - zwykł mawiać - to oszukańczy stół do gry w kości z kostkami przygotowanymi do rzutów. Reguły są troskliwie opracowane, tak że bogacze mają zawsze siódemki, a wszyscy inni zaledwie dwójki.”

Przynajmniej raz w każdym semestrze Denton odwoływał się do faktu, że w 1932 roku J.P. Morgan - według własnego oświadczenia przed komisją Kongresu - nie zapłacił ni centa podatku dochodowego.

„Niechaj panowie zachowają to w pamięci - deklamował z przejęciem i rozgoryczeniem - nie zapominając również, że w tym samym roku, tu, z samej pensji nauczycielskiej, wniosłem do kasy rządu federalnego podatki, które wyniosły pięćset dwadzieścia siedem dolarów i trzydzieści centów.”

Wrażenie na audytorium - jak osądzał Rudolf - było zupełnie inne, niż zamierzał sprawić Denton. Studenci nie płonęli oburzeniem, nie odczuwali gorącego pragnienia, by zjednoczyć się, porwać do walki o sprawiedliwe reformy. Większość z nich - w tej liczbie i Rudolf - marzyła raczej o czasach gdy oni również osiągną tak jak J.P.

Morgan wysoki poziom bogactwa i władzy, wyzwalający ich z tego, co Denton nazywał prawnym niewolnictwem wyborców.

Kiedy zaś Denton grzmiał nad jakimś artykułem z „The Wall Street Journal” opisującym chytre machinacje spółek naftowych bądź finansowych które nie dopuszczały milionów do skarbu federalnego, Rudolf słuchał pilnie notował w swoim brulionie triki analizowane z lubością przez profesora i żywił nadzieję, że nadejdzie być może dzień błogosławiony, kiedy on również będzie miał podobne okazje.

Zależało mu na dobrych stopniach nie z pobudek ambicjonalnych, lecz z racji prawdopodobnych korzyści na przyszłość - więc nie zdradzał się, że profesorskich tyrad słucha ze skupioną uwagą szpiega na nieprzyjacielskim terytorium, nie wiernego adepta. Tak czy inaczej, w ciągu trzech lat pracy pod kierunkiem Dentona otrzymał trzy końcowe oceny A i Denton zaproponował mu na następny rok stypendium asystenckie na wydziale historii.

Rudolf nie zgadzał się po cichu z tym, co poczytywał za naiwne poglądy Dentona, lecz był to jedyny wykładowca którego naprawdę polubił w czasie studiów w college'u, a także jedyny, od którego, jak sądził, nauczył się rzeczy przydatnych na przyszłość.

Opinię tę - jak prawie wszystkie swoje opinie w innych kwestiach - zatrzymywał wyłącznie na własny użytek, toteż ciało profesorskie ceniło go wysoko jako poważnie myślącego studenta i młodego człowieka bez zarzutu.

Mówca zakończył swoje przemówienie zdaniem, w którym nie obeszło się bez wzmianki o Bogu. Rozległy się oklaski. Absolwentów zaczęto wywoływać kolejno i wręczać im dyplomy. Rektor promieniał wręczając młodym ludziom swoje papieru przewiązane wstążką.

Powiodło mu się! Na uroczystość zwerbował członka waszyngtońskiego gabinetu! A nie czytał przecież listu Boylana na temat szkoły rolniczej.

Odśpiewano hymn. Orkiestra zagrała stosownie wybranego marsza.

Czarne togi rozproszyły się pośród rzędów zajętych przez rodziców i krewnych pod rosnącymi na dziedzińcu dębami w szacie letnich liści, pomieszały się z kolorowymi sukniami kobiet, co sprawiało wrażenie, że stado wron żeruje na polu usianym kwiatami.

Rudolf poprzestał na wymianie nielicznych uścisków dłoni. Miał przed sobą pracowity dzień i noc pracowitą. Denton - drobny, prawie garbaty człeczyna, noszący grube szkła w srebrnej oprawie - odszukał go, wylewnie podał mu rękę.

- Jordach! - zawołał z entuzjazmem. - Namyślisz się nad moją propozycją? Namyślisz się, prawda?

- Tak jest, panie profesorze - odpowiedział. - Bardzo pan dla mnie łaskaw.

- Szanuj ludzi starszych. Podniosłe, nisko opłacane, akademickie życie. Magisterium za rok, doktorat po kilku dalszych latach, około czterdziestki być może katedra.

- To kusząca propozycja, panie profesorze - dodał, chociaż bynajmniej nie odczuwał pokusy.

On i Brad wymknęli się zgrabnie, aby zwrócić togi i - jak ustalili zawczasu - pójść na plac parkingowy. Brad miał przedwojenny kabriolet Chevrolet, a jego spakowane walizy znajdowały się już w bagażniku. Wybierał się prosto do Oklahomy, tej krainy mlekiem i miodem płynącej.

Oni pierwsi wyjechali z placu parkingowego. Nie oglądali się za siebie. Alma Mater zniknęła wkrótce za zakrętem szosy. Cztery lata! Na sentymentalne wspomnienia przyjdzie czas później. Za jakie dwadzieścia lat.

- Zatrzymajmy się na chwilę przed domem towarowym - powiedział Rudolf. - Obiecałem Calderwoodowi, że wstąpię do niego.

- Jak szanowny kolega sobie życzy - uśmiechnął się Brad. - Czy to zdanie zabrzmiało jak słowa człowieka wysoko edukowanego?

- I to kogoś z klasy rządzącej - uśmiechnął się Rudolf.

- W takim razie nie zmarnowałem czasu. Jak myślisz? Ile zarabia na rok taki członek gabinetu?

- Jakieś piętnaście, szesnaście tysięcy - rzucił na chybił trafił Rudolf.

- Bieda z nędzą!

- Plus zaszczyt.

- To dodatkowo co najmniej trzydzieści dolarów rocznie. Wolne od podatku. Czy tę swoją mowę ułożył sam?

- Zapewne.

- Stanowczo jest przepłacany - powiedział Brad i zaczął nucić:

Wszystko jest nowoczesne w Kansas City. - Będą dziś wieczór jakieś cizie?

Gretchen zaprosiła ich obu na przyjęcie dla uczczenia wielkiej okazji. Miała też przyjechać Julia, jeżeli zdoła pozbyć się rodziców.

- Prawdopodobnie - odpowiedział Rudolf. - Zwykle kręci się tam parę dziewczyn.

- Czytywałem w gazetach przeróżne brednie - podjął zrzędliwie Brad - że to niby nowoczesna młodzież schodzi na psy, moralność upada po wojnie, takie rzeczy. Mnie wcale nie żal poczciwej, starej, upadającej moralności. To murowane. Jak drugi raz będę się wybierał na studia, pójdę do college'u koedukacyjnego. Teraz patrzysz, chłopie, na rasowego, wygłodzonego seksualnie absolwenta Whitby - zakończył i znów począł nucić wesoło.

Jechali przez miasto, w którym po wojnie wyrosło wiele nowych i odnowionych budowli. Były to małe fabryczki z trawnikami i klombami kwiatowymi, udające miejsca rekreacji i przyjemnego życia; sklepy, których frontony przerobiono tak, że przypominały miejscami uliczkę w osiemnastowiecznym miasteczku na angielskiej prowincji; biały drewniany budynek - niegdyś ratusz, obecnie teatr czynny w sezonie letnim. Ludzie z Nowego Jorku zaczęli wykupywać okoliczne farmy, przyjeżdżać na weekendy i dłuższe okresy wypoczynku. W ciągu czterech lat, które Rudolf spędził w Whitby, miasto wzbogaciło się widocznie. Rozbudowano korty golfowe, a na krańcach powstała wielce obiecująca dzielnica mieszkalna, gdzie trzeba było kupić aż dwa akry gruntu, aby postawić dom. Była tam nawet mała kolonia artystów, toteż rektor college'u, ilekroć chciał uzyskać fundusze przeznaczone pierwotnie dla innych instytucji naukowych, podkreślał z naciskiem, że jego uczelnia jest położona w mieście rozwijającym się nie tylko pod względem rozmiarów - w mieście posiadającym ambicje kulturalne...

Dom towarowy Calderwooda był niewielkim przedsiębiorstwem i zajmował najlepszy narożnik głównej ulicy handlowej Whitby.

Mieścił się tam od 1890 roku, początkowo jako sklep wielobranżowy obsługujący senną miścinę uniwersytecką oraz zasobną okolicę rolniczą. Później, gdy miasto rosło i zmieniało charakter, firma rosła też i zmieniała się w odpowiedni sposób. Obecnie był to długi piętrowy budynek, w którego witrynach wykładano za kryształowymi szybami wielką różnorodność towarów. Rudolf rozpoczął tam karierę jako praktykant pomagający w bardziej ruchliwych sezonach, ale pracował tak ciężko i miewał tyle dobrych pomysłów, że Duncan Calderwood, potomek założyciela firmy, musiał go awansować. Przedsiębiorstwo było nadal wystarczająco małe, by jeden człowiek mógł pełnić różnorakie funkcje, więc Rudolf działał w charakterze ekspedienta, dekoratora wystaw, autora tekstów reklamowych, pomocnika przy zakupach, doradcy w sprawach angażowania i zwalniania personelu. Latem, kiedy był zatrudniony w pełnym wymiarze godzin, otrzymywał pięćdziesiąt dolarów tygodniówki.

Duncan Calderwood - kościsty, małomówny jankes około pięćdziesiątki - ożenił się późno i miał trzy córki. Był właścicielem nie tylko domu towarowego, lecz również wielu placów i terenów w mieście i okolicy. Jak wielu? To jego sprawa. Potrafił trzymać język za zębami i dobrze znał wartość dolara. Poprzedniego dnia powiedział Rudolfowi, aby po zakończeniu szopy z wręczaniem dyplomów wstąpił do niego i wysłuchał być może interesujących propozycji.

Brad zatrzymał wóz przed wejściem do domu towarowego.

- To potrwa parę minut - powiedział Rudolf wysiadając.

- Nie śpiesz się - odrzekł Brad. - Mam przed sobą całe życie.

Nareszcie swobodny, rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli.

Dach kabrioletu był opuszczony, więc Brad rozsiadł się wygodnie i w blasku czerwcowego słońca z lubością przymknął oczy.

Wchodząc do domu towarowego, Rudolf spojrzął z uznaniem na jedną z wystaw, którą udekorował przed trzema dniami. Znajdowały się na niej narzędzia stolarskie ułożone tak, że tworzyły abstrakcyjny deseń lśniący i nie zagęszczony zbyt. Od czasu do czasu zwykł jeździć do Nowego Jorku, gdzie oglądał z uwagą witryny wielkich magazynów przy Piątej Alei i stamtąd czerpał pomysły dla Calderwooda.

Na parterze panował miły, kobiecy szmer. Szmer ożywionego dnia zakupów i ten delikatny, charakterystyczny zapach ubiorów, nowej skóry, kosmetyków - zapach, który zawsze sprawiał przyjemność Rudolfowi. Kiedy szedł w głąb sali, gdzie mieścił się gabinet Calderwooda, uśmiechali się doń sprzedawcy i sprzedawczynie.

Kilkoro powiedziało mu nawet: „Moje gratulacje”, więc podziękował im uśmiechem i przyjaznym gestem. Lubili go wszyscy - szczególnie ludzie starsi. Ma się rozumieć, nie wiedzieli, że jest doradcą w sprawach angażowania i zwalniania personelu.

Drzwi Calderwooda były, jak zawsze, otwarte. Stary lubił mieć na oku wszystko, co dzieje się w firmie. Teraz siedział za biurkiem i pisał list wiecznym piórem. Miał sekretarkę, która zajmowała przyległy pokój, wołał jednak, aby o pewnych sprawach nawet ona nic nie wiedziała. Każdego dnia odręcznie pisywał kilka słów, pieczętował je sam i osobiście nadawał w urzędzie pocztowym. Drzwi do pokoju sekretarki były zamknięte.

Rudolf zatrzymał się u progu, czekał. Calderwood nie zamykał drzwi swego gabinetu, ale nie lubił, by mu przeszkadzano. Dokończył zdanie, przeczytał i dopiero wtedy podniósł głowę. Miał szczupłą, wygoloną twarz, długi, szpiczasty nos i rzadziejące nad czołem czarne włosy. Odwrócił list, położył zapisaną stronę na blacie biurka. Jego duże, farmerskie ręce niesporo sobie radziły z czymś tak delikatnym jak ćwiartka papieru. Rudolf był dumny z własnych dłoni - szczupłych, o długich palcach, arystokratycznych, jak mu się wydawało.

- To ty, Rudi. Wejdz, proszę - odezwał się Calderwood głosem suchym obojętnym.

- Dzień dobry, panie dyrektorze - powiedział Rudolf i w swoim eleganckim, granatowym garniturze, sprawionym na uroczystość rozdania dyplomów, wszedł do skromnie urządzonego pokoju. Na ścianie wisiał reklamowy kalendarz Calderwooda z kolorowymi fotografiami domu towarowego, a ponadto jedyną dekorację gabinetu stanowiła stojąca na biurku fotografia trzech córek szefa z okresu ich wczesnego dzieciństwa.

Nieoczekiwanie Calderwood wstał, wyszedł zza biurka i podał Rudolfowi rękę.

- No, jak tam poszło? - zapytał.

- Bez niespodzianek.

- Kontent jesteś, że to zrobiłeś?

- Że poszedłem do college'u?

- Tak. Siadaj, Rudi.

Calderwood wrócił za biurko i usiadł na zwyczajnym, drewnianym krześle. Rudolf zajął takie samo krzesło stojące po prawej stronie biurka. W dziale meblowym domu towarowego znajdowały się tuziny tapicerskich, krytych skórą foteli, lecz te były wyłącznie dla nabywców.

- Tak, panie dyrektorze - odpowiedział Rudolf. - Chyba jestem zadowolony.

- Widzisz, ludzie, którzy w tym kraju zrobili wielkie fortuny, którzy robią je teraz, przeważnie nie mieli i nie mają żadnego wykształcenia. Wiesz o tym?

- Wiem, panie dyrektorze - odpowiedział Rudolf.

- Tacy najmują ludzi wykształconych. - Zabrzmiało to niemal jak pogróżka; Calderwood nie skończył nawet szkoły średniej.

- Postaram się, aby wykształcenie nie przeszkodziło mi w zrobieniu fortuny - powiedział Rudolf.

Calderwood roześmiał się sucho, oszczędnie.

- A postarasz się, Rudi, postarasz. To pewne! - Wysunął szufladę biurka i wydobyl z niej jubilerskie pudełko z nazwą firmy wypisaną na welwetowym wieczku. - Masz - podjął kładąc pudełko na biurku. - To coś dla ciebie...

Rudolf otworzył pudełko i zobaczył stalowy szwajcarski zegarek na rękę z paskiem z czarnego zamszu.

- Serdecznie dziękuję. Pan dyrektor bardzo dla mnie dobry - powiedział starając się, by głos jego nie zabrzmiał nutą zdziwienia.

- Rzetelnie na to zarobiłeś.

Calderwood poprawił wąski krawat we wnęce sztywnego, białego kołnierzyka. Był zakłopotany, bo szczodrość nie przychodziła mu łatwo.

- Włożyłeś w firmę dużo dobrej roboty - podjął. - Masz głowę na karku, Rudi. I prawdziwy zmysł handlowca.

- Bardzo dziękuję, panie dyrektorze.

To była prawdziwa mowa z okazji ukończenia studiów - nie waszyngtońska gadanina o wzrastającej krzywej potęgi militarnej i pomocy dla naszych mniej szczęśliwych braci.

- Mówiłem, że będę miał dla ciebie propozycje, które cię może zainteresują.

- Słucham, panie dyrektorze.

Calderwood zawahał się, odchrząknął. Później wstał, podszedł do zdobięcego ścianę kalendarza, jak gdyby przed decydującym skokiem wolał jeszcze raz skontrolować własne dane. Ubrany był, jak zawsze, w czarny garnitur z kamizelką i czarne trzewiki. Lubił, jak się wyrażał, solidne opakowanie kostek.

- Rudi - rozpoczął - jak zapatrywałbyś się na stałą posadę w domu towarowym Calderwooda?

- To zależy - odpowiedział Rudolf.

Był przygotowany na taką właśnie propozycję i postanowił z góry, jakie warunki może przyjąć.

- Od czego zależy? - zapytał ostro szef.

- Od charakteru posady.

- Charakter taki jak dotąd. Tylko pracowałbyś więcej, robił po trosze wszystkiego. Chcesz mieć jakiś tytuł?

- To zależy od brzmienia tytułu.

- Zależy! Zależy! - prychnął gniewnie Calderwood, ale roześmiał się zaraz. - Kto wymyślił powiedzonko o młodzieży kąpanej w gorącej wodzie? Zastępca dyrektora. To tytuł wystarczająco dobry dla ciebie.

- Na początek - powiedział Rudolf.

- Chyba powinienem wyrzucić cię za drzwi. - Bładoniebieskie oczy Calderwooda złodowaciały na moment.

- Nie chciałbym uchodzić za niewdzięcznika - podjął Rudolf - ale nie chciałbym również zabłądzić w ślepy zaułek. Mam inne propozycje i...

- Pewno chcesz pognać do Nowego Jorku jak tylu innych młodych głupców - przerwał mu Calderwood. - Przez pierwszy miesiąc wałęsałbyś się po mieście, chodził na rozmaite przyjęcia.

- Na tym mi nie zależy - powiedział Rudolf, bo czuł, że nie jest jeszcze przygotowany do Nowego Jorku. - Podoba mi się w Whitby.

- I słusznie! - podchwycił Calderwood zasiadając znowu za biurkiem z czymś przypominającym westchnienie ulgi. - Posłuchaj, Rudi.

Starzeję się pomału i lekarz twierdzi, że należałoby zwolnić obroty. Przekazać komuś część odpowiedzialności, powiada, dużo wypoczywać, w ten sposób przedłużać życie. Taka, widzisz, zwyczajna doktorska paplanina reklamowa. Mam podobno wysoki poziom cholesterolu. Poziom cholesterolu! To nowy straszak, jakim posługują się lekarze. Ale cóż?

Jest w tym trochę racji. Nie mam synów... - Objął spojrzeniem fotografię córek, ten swój potrójny zawód. - Wszystko sam tutaj robię od śmierci mojego ojca. Teraz ktoś musi mi pomóc. A widzisz, nie chcę żadnego mądrali po szkole handlowej, z takich, co to zaraz zmieniają wszystko, a po pierwszych dwu tygodniach pracy domagają się udziału w firmie. - Opuścił głowę, spod czarnych brwi spojrzał badawczo na Rudolfa. - Zacziesz od stu dolarów na tydzień. Po roku zobaczymy, co będzie dalej. Czy to uczciwa propozycja?

- Jak najbardziej uczciwa - powiedział Rudolf.

Na początek spodziewał się siedemdziesięciu pięciu dolarów.

- Dostaniesz własny pokój - ciągnął Calderwood. - Urządzi się go w starej pakowni na piętrze. Na drzwiach będzie napis: Zastępca dyrektora. Ale podczas godzin pracy chciałbym cię widywać w ruchu:

No co? Ręka?

Rudolf wyciągnął rękę i pomyślał, że siła uścisku Calderwooda nie świadczy chyba o wysokim poziomie cholesterolu.

- Pewno na razie chciałbyś mieć wakacje, prawda? - podjął szef. - To zrozumiałe. Ile ci potrzeba? Dwa tygodnie? Miesiąc?

- Będę tu jutro o dziewiątej rano - odparł Rudolf i wstał z krzesła.

Calderwood uśmiechnął się, aż błysnęły podejrzanego naturalności zęby.

- Mam nadzieję, że nie popełniłem błędu. Zobaczymy się jutro z rana.

Kiedy Rudolf wychodził z jego gabinetu, Calderwood odwracał list i dużą, kanciastą dłoń wyciągał po wieczne pióro.

Tym razem zastępca dyrektora szedł przez dom towarowy bez pośpiechu i nowym, szacującym okiem właściciela spoglądał na stoiska, sprzedawców i klientelę. U ujścia przystanął, aby zdjąć z ręki swój tani zegarek i założyć ten nowy.

Brad drzemał przy kierownicy w słonecznym blasku. Wyprostował się, gdy Rudolf wszedł do wozu.

- Co nowego? - zapytał uruchamiając silnik.

- Stary dał mi prezent. - Rudolf wyciągnął rękę i pokazał zegarek.

- Ma miękkie serce - zaopiniował Brad i ostrożnie sprowadził samochód z krawężnika.

- Sto piętnaście dolarów w naszym stoisku z zegarkami - podjął Rudolf. - Koszt własny pięćdziesiąt.

Nie wspomniał słowem, że dnia następnego ma zgłosić się do pracy o dziewiątej rano. Dom towarowy Calderwooda to przecież nie kraina mlekiem i miodem płynąca.

Mary Pease Jordach siedziała przy oknie z widokiem na ulicę, oczekiwała Rudolfa. Obiecał, że prosto z uroczystości przyjdzie do domu aby pokazać jej dyplom. Przyjemnie byłoby urządzić z tej okazji jakieś przyjęcie, lecz nie dostawało jej energii. Zresztą nie zna przecież nikogo z przyjaciół syna. Nie znaczy to, że Rudolf jest niepopularny wśród kolegów. Telefon dzwoni często i odzywają się w nim młode głosy: „Mówi Charlie...” albo „Tu Brad.

Czy Rudi w domu?” Ale tak się jakoś składa, że Rudi nigdy nie sprowadza do domu tych chłopców. Nie szkodzi, bo co to i za dom.

Dwa ciemne pokoiki nad sklepem tekstylnym przy lichej, nie wysadzonej drzewami bocznej ulicy. Taki już los. Mary Pease Jordach przez całe życie musi mieszkać nad jakimś sklepem. A dom po przeciwległej stronie ulicy, akurat na wprost jej domu, zajmuje murzyńska rodzina. Czarne twarze gapią się na nią z okien. Dzieci, niedorostki. O takich nauczyła się wszystkiego w sierocińcu.

Drżącą ręką zapaliła papierosa. Nieporadnie strzepnęła z szala popiół z poprzednich papierosów. Był upalny, czerwcowy dzień, ale w szalu czuła się jakoś lepiej.

Cóż, Rudolf osiągnął swój cel. Osiągnął wbrew wszystkiemu. Jest absolwentem college'u, ma prawo wysoko nosić głowę, czuć się równym każdemu innemu. Trzeba dziękować bogu za Teodora Boylana.

Nigdy go nie widziała, ale Rudolf mówił jej nieraz, jaki to inteligentny, szlachetny człowiek. Rudolf rzetelnie zasłużył na to wszystko. Chłopiec o takich manierach i zdolnościach. Ludzie pomagają mu chętnie. Lubią pomagać takim. Teraz jest na dobrej drodze, chociaż odpowiada mętnie, kiedy matka go pyta o plany po ukończeniu studiów. Ale jakieś plany musi mieć. To pewne: Rudolf nigdy nie żyje bezplanowo. Byłe nie złapała go jaka dziewczyna, nie zmusiła do małżeństwa. Mary Pease Jordach wzdrygnęła się nerwowo. To dobry chłopiec, trudno o bardziej troskliwego syna.

Gdyby nie on, Bóg wie, co by się z nią stało po tamtej nocy, kiedy przepadł Aksel.

Ale gdy raz dziewczyna pojawi się na widnokręgu, chłopiec, nawet najlepszy z chłopców, zmienia się w dzikie zwierzę. Poświęca wszystko - dom, rodziców, karierę - dla pary pięknych oczu i obietnic, które kryje spódniczka. Mary Pease Jordach nie poznała Julii, ale wiedziała, że poszła do Barnard, a ponadto wiedziała o niedzielnych wypadach syna do Nowego Jorku. Rudolf przejeżdżał nie wiedząc ile mil tam i z powrotem, do domu wracał późno, zmęczony, blady, z podkrążonymi oczyma, prawie niezdolny dobrać głosu. Cóż, Julia to sprawa pięciu lat, więc Rudolf powinien być już gotów dla kogoś innego. Musi z nim porozmawiać, powiedzieć synowi, aby się nie śpieszył i cieszył życiem. Musi mu powiedzieć, że dla setek dziewcząt zaszczytem byłoby rzucenie się w jego objęcia.

Tego dnia należałoby zrobić coś specjalnego. Należałoby z całą pewnością. Upiec ciasto, zejść na dół po butelkę wina. Ale zejść ze schodów i wrócić... Pokazać się sąsiadom, to zbyt wielki wysiłek. Rudolf zrozumie, wybaczy... Tak czy inaczej, na wieczór wybiera się do Nowego Jorku, żeby być z przyjaciółmi. Niech starsza pani siedzi sama przy oknie. Myślała z nagłym rozgoryczeniem. Tak sądzą nawet najlepsi z chłopców.

Zobaczyła samochód skręcający w ulicę zbyt ostro, z piskiem opon.

Zobaczyła Rudolfa - młodego księcia z rozwianym, czarnym włosom.

Na odległość wzrok miała dobry, lepszy teraz niż kiedykolwiek, a patrzenie z bliska to całkiem inna sprawa. Przestała czytać, bo był to zbyt wielki wysiłek dla coraz gorszych oczu, a takie czy inne szkła pomagały ledwie na parę tygodni. Zwyczajnie - stare oczy. Nie miała jeszcze pięćdziesiątki, lecz oczy umierały wcześniej niż ona. Ustawicznie zachodziły łzami - jak teraz.

Rudolf wyskoczył z samochodu, który zatrzymał się przed domem.

Wdzięk! Ile on ma wdzięku w tym szykownym granatowym ubraniu. Ma też figurę w sam raz do szykownych ubrań: jest smukły, szeroki w ramionach, długonogi. Mary Pease Jordach wycofała się ze swojego posterunku. On nigdy nic nie mówi, ale z pewnością nie odpowiada mu jej przesiadywanie przy oknie całymi dniami, wygląkanie.

Wstała z wysiłkiem, osuszyła oczy ręką szala i poczłapała ku krzesłu stojącemu przy stole, na którym zwykle jadal. Gdy usłyszała na schodach szybkie kroki, zgniotła w popielniczce niedopałek papierosa.

Rudolf otworzył drzwi i wszedł do pokoju.

- Oto mój dyplom - powiedział; rozwinął pergamin i położył na stole. - To po łacinie - wyjaśnił.

Matka zdołała odczytać nazwisko wypisane gotykiem. Łzy przepełniły znów jej oczy.

- Szkoda, że nie znam adresu twojego ojca - powiedziała. - Powinien to zobaczyć, dowiedzieć się, ile dokazałeś bez żadnej pomocy z jego strony.

- Mamo - zaczął tonem łagodnej perswazji - ojciec nie żyje.

- Chce, żeby wszyscy tak myśleli - podchwyciła. - Ale ja znam go lepiej niż ktokolwiek inny. On nie umarł. Uciekł.

- Mamo...

- A teraz śmieje się w kułak - przerwała. - Przecież ciała nie znaleziono, prawda?

- Dobrze, niech będzie twoja racja - powiedział Rudolf. - Muszę zapakować walizkę, bo w Nowym Jorku zostanę na noc.

Wyszedł do swojego pokoju i zaczął układać w walizce przybory do golenia, pidżamę,

czystą koszulę.

- Masz mamó, wszystko, czego ci potrzeba? - zapytał. - Kolację?

- Otworzę jakąś puszkę. Jedziesz z tym chłopcem, który czeka w samochodzie?

- Tak - odpowiedział. - To Brad.

- Ten z Oklahomy? Z Zachodu?

- Tak.

- Nie podoba mi się jego styl prowadzenia wozu. Jest nieostrożny.

No i nie mam zaufania do ludzi z Zachodu. Lepiej pojechałbyś pociągiem, co?

- Jaki sens miałoby wydawanie pieniędzy na bilet?

- Co ci z pieniędzy, jeżeli zginiesz pod szczątkami samochodu?

- Mamó...

- A teraz będziesz dużo zarabiał - przerwała mu znowu. - Taki chłopak jak ty! I z tym!

- Pieszczotliwie pogłaskała rozpostarty na stole sztywny arkusz z łacińskim tekstem. - Myślisz kiedy, co stałoby się ze mną, gdyby ciebie spotkało coś złego?

- Nic złego mnie nie spotka.

Zatrzasnął walizkę. Śpieszył się i ona zdawała sobie sprawę, że mu pilno. Odjedzie. Znowu zostawi ją przy oknie.

- Rzuciliby mnie wtedy na wysypisko śmieci. Jak psa - powiedziała.

- Mamó, dzisiaj jest dzień radości, świętowania.

- Każę to oprawić w ramki - podjęła. - Baw się dobrze. Zasłużyłeś na to. I nie markuj za długo po nocy. Gdzie się zatrzymasz w Nowym Jorku? Jest tam telefon? Bo gdyby się coś stało...

- Nic się nie stanie.

- Ale tak na wszelki wypadek.

- Zatrzymam się u Gretchen.

- To ładacznicą! - obruszyła się gniewnie.

O Gretchen nie mówili nigdy, ale matka wiedziała, że Rudolf się z nią widuje.

- Cholerny świat! - zaklął.

Mary Pease Jordach posunęła się zbyt daleko i zdawała sobie z tego sprawę, ale musiała przecież podkreślić swoje niezachwiane stanowisko.

Syn nachylił się, pocałował ją na do widzenia i aby przeprosić za ten „cholerny świat”. Przygarnęła go. Była mocno uperfumowana wodą kwiatową, którą dostała od niego na urodziny. Obawiała się, że zaczyna pachnieć jak bardzo stara kobieta.

- Nie powiedziałeś mi nic o swoich planach - podjęła. - Dopiero teraz naprawdę

zaczynasz życie. Spodziewałam się, że znajdziesz dla mnie chwilę, usiądziesz, wytłumaczysz, czego mam oczekiwać.

Jeżeli chcesz, naparzę herbatę i...

- Jutro mam. Wszystko powiem ci jutro. Bądź spokojna.

Pocałował ją znowu, a gdy uwolniła go z uścisku, odszedł i lekko zbiegł po schodach. Wstała, człapiąc ciężko wróciła na swój fotel na biegunach. Stara kobieta w oknie. Niechże ją zobaczy.

Samochód ruszył. Rudolf nie spojrzał w stronę okna.

Odchodzą. Odchodzą wszyscy. Nawet ten najlepszy.

Stary wóz wspiął się pod górę, minął dobrze znajomą bramę z kamienia. Topole wytyczające aleję wjazdową rzuciły żałobne cienie pomimo czerwcowego słońca. Dom starzał się spokojnie za nie pielęgnowanymi rabatami kwiatowymi.

- Upadek rodu Usherów * (* Jedna z niesamowitych opowieści E.A. Poe'go, której tłem jest wiejski dom popadający w ruinę.) - odezwał się Brad skręcając na podjazd przed domem.

Rudolf bywał tu tak często, że o domu nie miał żadnej opinii. Dla niego była to po prostu siedziba Teddy'ego Boylana.

- Kto tutaj mieszka? - zapytał Brad. - Dracula? * (* Dracula - wampir z napisanej w 1897 r. opowieści Bramy Stokera pod tym samym tytułem.) - Przyjaciel - odparł Rudolf. Nie rozmawiał nigdy z Bradem o Boylanie, który należał do innej sfery jego życia. - Stary przyjaciel rodziny. Pomógł mi ukończyć szkołę.

- Finansowo? - zapytał Brad i zatrzymawszy wóz spojrzał krytycznym okiem na kamienny masyw budowli.

- Tak. W wystarczającym stopniu.

- A na ogrodnika go nie stać?

- Nie dba o takie rzeczy. Chodź, zawrzesz z nim znajomość. Czeka na nas szampan - powiedział Rudolf i wysiadł z samochodu.

- Czy mam zapiąć kołnierzyk?

- Tak.

Patrzył na Brada, gdy ten mocował się z kołnierzykiem i dociągał krawat. Miał grubą, krótką, plebejską szyję. Rudolf zwrócił na to uwagę po raz pierwszy.

Przez zwirowany podjazd podeszli do dębowych drzwi frontowych.

Rudolf zadzwonił. Cieszył się, że ma towarzysza. Nie chciałby tego dnia być sam z

Boylanem i nowiną, którą musi mu zakomunikować.

Słumiony odległością dzwonek zabrzączał tak, jak gdyby w grobowej piwnicy padło pytanie: „Jest tam ktoś żywy?”

Drzwi otwarły się i stanął w nich Perkins.

- Witam szanownego pana - przemówił.

Z daleka dobiegły dźwięki fortepianu. Rudolf poznał sonatę Schuberta. Teddy Boylan zabierał go na koncerty do Carnegie Hall i często grywał dlań na patefonie. Był zadowolony, że Rudolf lubi słuchać muzyki, że szybko uczy się rozróżniać dobrą od złą; przeciętną od wielkiej. „Omal nie zarzuciłem muzyki, nim ty ukazałeś się na scenie - powiedział mu Boylan pewnego razu. - Nie lubię słuchać jej sam, a nie cierpię w towarzystwie ludzi, którzy tylko udają zainteresowanie”.

Perkins powiódł dwu młodych ludzi w kierunku wielkiej bawialni.

Nawet postępując pięć kroków sprawiał wrażenie, że uczestniczy w procesji. Przygarbiony zwykle Brad wyprostował się, szedł niezwykle dlań elastycznym krokiem. Widocznie mroczny hall wywarł na nim znaczne wrażenie.

Perkins otworzył drzwi bawialni.

- Pan Jordach z przyjacielem, panie prezesie - zameldował.

Boylan dobiegł końca frazy. Umilkł fortepian, w którego bliskim sąsiedztwie stały butelka w wiaderku oraz dwa kieliszki do szampana.

Boylan wstał, wyciągnął rękę do Rudolfa. - Bądź pozdrowiony. Jakże miło widzieć cię znowu - powiedział.

Dwa ostatnie miesiące spędził na południu, więc był mocno opalony, a włosy i proste brwi miał rozjaśnione od słońca. Jakaś nieokreślona zmiana w jego twarzy zastanowiła przelotnie Rudolfa w chwili, gdy gorąco ścisnął dłoń Boylana.

- Pozwolisz, że przedstawię ci mojego kolegę i przyjaciela.

Bradford Knight, pan Boylan - dokonał prezentacji Rudolf.

- Witam. - Boylan podał mu rękę.

- Miło mi poznać szanownego pana - odpowiedział Brad z wyraźniejszym niż zwykle akcentem z Oklahomy.

- Panu również należy złożyć dziś gratulacje - podjął gospodarz.

- Chyba tak - uśmiechnął się Brad. - Tak przynajmniej głosi teoria.

- Będzie nam potrzebny trzeci kieliszek, Perkins - powiedział Boylan, podchodząc do wiaderka z butelką szampana.

- Słucham, panie prezesie.

Perkins opuścił pokój, kontynuując długą jak całe jego życie, urojoną procesję.

- Demokrata był budujący? - zapytał Boylan obracając w lodzie butelkę szampana. - Napomykał o złoczyńcach opływających w bogactwa.

- Mówił o bombie atomowej - powiedział Rudolf.

- To demokratyczny wynalazek - podjął Boylan. - Mówił, na kogo zrzucimy ją w następnej kolejności?

- Chyba nie miał ochoty zrzucić jej na nikogo - odparł Rudolf, który poczuł, nie wiedzieć czemu, że winien bronić członka waszyngtońskiego gabinetu. - Właściwie dużo w tym przemówieniu było sensu.

- Naprawdę? - Boylan obrócił znów butelkę końcami palców. - Może to utajony republikanin?

Rudolf uprzytomnił sobie nagle, na czym polega przemiana twarzy Boylana. Zniknęły worki pod oczami. Widać musiał się wysypiać w czasie pobytu na południu, pomyślał.

- To, proszę pana, pierwszorzędna, stara rezydencja - zabrał głos Brad, który podczas rozmowy rozglądał się dokoła bez ceremonii.

- W stanie daleko posuniętego rozkładu - podchwycił swobodnie gospodarz. - Moja rodzina była bardzo przywiązana do tego domu.

Pan pochodzi z Południa, prawda?

- Z Oklahomy.

- Raz przejeżdżałem tamtędy samochodem - podjął gospodarz. - Miałem wtedy wrażenie, że to przygnębiający kraj. Zamierza pan tam wrócić?

- Jutro - odparł Brad. - Próbowałem też namówić Rudiego, żeby pojechał ze mną.

- Aa... Namawiał go pan. - Boylan przeniósł wzrok na Rudolfa. - I co? Pojedziesz?

Zaprzeczył poruszeniem głowy.

- Słusznie. Jakoś nie widzę ciebie w Oklahomie.

Perkins wkroczył do pokoju niosąc trzeci kieliszek i postawił go obok dwu poprzednich.

- No i wszystko w porządku - powiedział Boylan.

Zręcznie rozkręcił drut oplatający korek i wprawnymi palcami począł ostrożnie obracać korek. Wreszcie, kiedy rozległ się charakterystyczny, podobny do kłaśnięcia dźwięk, szybko nalał do kieliszków spieniony szampan. Zazwyczaj pozostawiał Perkinsowi otwieranie butelek, więc Rudolf pomyślał, że w tym dniu jego starszy przyjaciel chciał się zdobyć na specjalny, symboliczny wysiłek.

Podał gościom kieliszki i uniósł własny.

- Za czas przyszły - przemówił. - Niewiadomy i niebezpieczny.

- Jak Boga kocham, to bije na łeb coca-colę - powiedział Brad.

Rudolf spochmurniał trochę. Pomyślał, że Brad z rozmysłem zachowuje się w sposób nieokrzesany, bo drażnią go wyszukane maniery Boylana.

- Bez wątpienia - przyznał swobodnie gospodarz i zwrócił się znów do Rudolfa. - A może poszlibyśmy do ogrodu i butelkę wykończyli na słońcu? Picie wina pod gołym niebem wydaje mi się zawsze bardziej świąteczne, uroczyste.

- Właściwie... - bąknął Rudolf. - Mamy niewiele czasu...

- Aha... - Boylan lekko uniośł brwi. - Myślałem, że razem zjemy obiad w „Farmerskiej oberży”. Pan byłby oczywiście również moim gościem, panie Knight.

- Stokrotne dzięki - odrzekł Brad. - Ale to zależy od Rudiego.

- Znajomi czekają na nas w Nowym Jorku - wyjaśnił Rudolf.

- Rozumiem. Znajomi w waszym wieku. Młodzi. Jakaś babka, prawda?

- Coś w tym rodzaju.

- Nic dziwnego. W takim dniu jak dzisiaj. - Boylan ponownie nappełnił trzy kieliszki. - Zobaczysz swoją siostrę? - zapytał.

- Bibka odbędzie się w jej domu.

- Serdecznie pozdrów ją ode mnie. Muszę pamiętać o jakimś upominku dla jej dziecka. To chłopiec czy dziewczynka?

- Chłopiec. - Rudolf pomyślał, iż w dniu narodzin dziecka powiedział Boylanowi, że to chłopiec.

- Jakiś drobiazg ze srebra, co? - podjął gospodarz. - Łyżka, żeby małeństwo miało czym zajadać owsiankę? W mojej rodzinie - zwrócił się do Brada - obowiązywał zwyczaj, że nowo narodzony chłopiec dostawał pakiet akcji. Ale tylko w rodzinie, rzecz jasna. Przesadą byłby taki upominek dla siostrzeńca Rudolfa, chociaż Rudolfa bardzo lubię. Szczerze mówiąc, jestem też przywiązany do jego siostry, chociaż w ciągu paru ostatnich lat rozeszły się jakoś nasze drogi.

- Kiedy ja się urodziłem, ojciec zapisał na moje imię szyb naftowy - odezwał się Brad.

- Suchy szyb, jak się okazało - dodał ze szczerym śmiechem.

- Liczą się przede wszystkim intencje. - Boylan uśmiechnął się uprzejmie.

- Nie w Oklahomie - powiedział Brad.

- Rudolfie - zaczął znowu gospodarz. - Sądziłem, że przy obiedzie omówimy spokojnie rozmaite kwestie, skoro jednak jesteś zajęty...

Rozumiem, że taki wieczór wolisz spędzić w gronie młodych ludzi, swych

rówieśników... Może w takim razie mógłbyś teraz poświęcić mi parę minut i...

- Ja mogę przejść się trochę - wtrącił żywo Brad.

- Bardzo pan subtelny, panie Knight - powiedział Boylan nie bez szyderczej nutki w brzmieniu głosu. - Ale pomiędzy mną a Rudolfem nie ma żadnych spraw sekretnych. Prawda, Rudolfie?

- Nie wiem - padła sucha odpowiedź, bo Rudolf nie zamierzał wziąć udziału w jakiejś grze, którą tamten zaczynał prowadzić.

- Na początek powiem, co już zrobiłem - podjął rzeczowo Boylan. - Zamówiłem dla ciebie rejs tam i z powrotem na „Queen Mary”. Okręt wychodzi w morze za dwa tygodnie, a więc będziesz miał moc czasu na spotkania z rodziną i przyjaciółmi, załatwienie formalności paszportowych i wszelkie możliwe przygotowania. Obmyśliłem nawet skromną marszrutę. Sądzę, że jak zwykle, powinieneś zobaczyć Londyn, Rzym, Paryż. Uzupełnisz nieco edukację, bo widzisz, edukacja rozpoczyna się dopiero po college'u. Niewątpliwie przyzna mi pan słusność, panie Knight?

Rudolf odstawił kieliszek.

- Na to nie mogę się zgodzić.

- Czemu? - zdziwił się Boylan. - Przecież o podróży do Europy mówisz nieustannie.

- Pojadę tam, jak będzie mnie na to stać.

- A, o to chodzi? - uśmiechnął się Boylan. - Źle mnie zrozumiałeś, chłopcze. To ma być prezent. Myślę, że taka podróż doskonale ci zrobi, oszlifuje cokolwiek prowincjonalne kanty, jeżeli wolno posłużyć się takim zwrotem. Spodziewam się, że gdzieś w sierpniu będę mógł urządzić nasze spotkanie na południu Francji.

- Bardzo dziękuję, Teddy - westchnął Rudolf: - Ale ja naprawdę nie mogę.

- Trudno - Boylan wzruszył ramionami, jak gdyby w ten sposób kwitował sprawę. - Ludzie rozumni wiedzą, kiedy przyjmować podarunki, kiedy odrzucać. Nawet suche szyby. - Skłonił głowę w kierunku Brada. - Jeżeli masz do roboty coś lepszego, to oczywiście...

- Teddy, mam coś do roboty - podchwycił Rudolf i pomyślał: teraz się zacznie!

- Wolno zapytać, co mianowicie? - Boylan nalał sobie szampana zapominając o dwu pozostałych kieliszkach.

- Jutro przystępuję do pracy u Calderwooda. W pełnym wymiarze godzin.

- Biedny chłopcze! - zawołał Boylan. - Jakże ponure lato masz przed sobą. Ale gusta masz dziwne, trzeba przyznać. Wolisz sprzedawać garnki i rondle rozlazłym małomiasteczkowym kumoszkom niż odbyć podróż na południe Francji. Ha! Skoro tak postanowiłeś, musisz mieć jakieś ważne racje. A co po lecie? Myślisz pójść na prawo, jak to

radziłem, czy pokusisz się o zdanie egzaminów do służby dyplomatycznej?

Od roku z górą Boylan zachęcał Rudolfa do wyboru jednego z tych dwu zawodów, osobiście jednak przyznawał pierwszeństwo prawu.

„Młody człowiek bez zasobów materialnych - pisał doń pewnego razu - ale z inteligencją i charakterem powinien wybrać prawo jako najprostszą drogę do niezależności i władzy. Ameryka to kraj dla prawników. Dobry specjalista w tym fachu staje się niezależny od zatrudniających go przedsiębiorstw i często obejmuje kierownicze stanowiska. Żyjemy w epoce powikłań, które z dnia na dzień stają się coraz bardziej skomplikowane. A polityka? Zastanów się, jaki procent prawników znajdziemy pośród senatorów! Czemu w taki właśnie sposób nie miałbyś ukoronować swojej kariery? Doprawdy, kraj mógłby wykorzystać człowieka o twoim charakterze i twojej inteligencji zamiast wielu błaznów czy pógłówek, którzy panoszą się w Senacie. Albo weź pod rozwagę pracę w służbie dyplomatycznej. Podoba nam się to czy nie podoba, - władamy światem albo powinniśmy władać. Najzdolniejszym ludziom musimy powierzać stanowiska, które pozwolą nam wpływać na nasze działania oraz działania naszych sojuszników i nieprzyjaciół.”

Boylan był patriotą. Sam - przez gnuśność i niedbalstwo - nie znalazł miejsca w głównym nurcie, lecz hołdował mocno ugruntowanym, cnotliwym poglądom na temat postępowania w życiu publicznym. Jednym z waszyngtońskich potentatów, którego w obecności Rudolfa wychwalał, był James Forrestal, minister żeglugi. „Gdybyś był moim synem - brzmiał dalszy ciąg listu - na pewno nie udzieliłbym ci innej rady. W służbie dyplomatycznej nie byłbyś wysoko opłacany, ale wśród dżentelmenów wiódłbyś życie dżentelmena i mógłbyś przynosić zaszczyt nam wszystkim. No i nic nie stałoby na przeszkodzie, abyś ożenił się dobrze i awansował do ambasadorskiej godności. Z całą satysfakcją udzielałbym ci wszelkiej możliwej pomocy, a wystarczającą dla mnie nagrodę stanowiłoby zaproszenie raz na kilka miesięcy na lunch w ambasadzie oraz świadomość, że to ja w pewnej mierze utorowałem ci drogę.”

Rudolf pamiętał to wszystko, a także Calderwooda, który tego popołudnia spoglądał z wyrzutem na fotografię swoich trzech córek.

Każdy szuka syna, pomyślał z przygnębieniem, syna na jakiś osobliwy, własny, nieosiągalny sposób.

- Nie odpowiedziałeś mi dotąd, Rudolfie - podjął Boylan. - Którą z dwu dróg wybierasz?

- Żadną. Obiecałem Calderwoodowi, że w jego domu towarowym zostanę co najmniej rok.

- Aha... Niewysoko mierzysz, prawda?

- Wysoko. Ale na swój własny sposób - powiedział Rudolf.

- Odwołam zamówienie na rejs do Europy. No i nie będę zatrzymywał cię dłużej, skoro ci pilno do przyjaciół. Miło było mi poznać pana, panie Knight. Jeżeli wyrwie się pan kiedy z Oklahomy, proszę odwiedzić mnie znowu z Rudolfem.

Dopił szampana i wyszedł z bawialni. Jego tweedowa marynarka leżała w ramionach bez zarzutu, jedwabna chustka na szyi stanowiła ładną, barwną plamę.

- Hm... - bąknął Brad. - O co tu właściwie chodzi?

- Teddy był w swoim czasie zainteresowany moją siostrą - wyjaśnił Rudolf zmierzając w stronę drzwi.

- Lodowaty facet, no nie?

- Nie. Nic podobnego. No, chodźmy stąd.

- Jest coś dziwnego w oprawie oczu tego gościa - odezwał się Brad, kiedy wyjechali za bramę. - Co, u diabła? Skóra wygląda tak... tak... - jękał, nie mogąc trafić na właściwe wyrażenie - ...jak gdyby była zapięta z boków na zamki błyskawiczne... Mam! Wiesz co, Rudi? Facet poddał się operacji kosmetycznej!

Oczywiście, pomyślał Rudolf. Boylan nie musiał wysypiać się solidnie podczas odpoczynku na południu.

- Niewykluczone - powiedział. - Teddy Boylan jest zdolny do wszystkiego.

Kim są właściwie ci wszyscy, myślała, rozglądając się po własnej bawialni.

- Trunki w kuchni - rzuciła wesoło nieznamomej parze, która weszła przez otwarte drzwi mieszkania.

Nazwisk tych dwojga dowie się później, gdy wróci Willie. Dopiero co zeszedł do narożnego baru, by uzupełnić zapas lodu. W ich domu zawsze było pod dostatkiem szkockiej i krajowej whisky; dzinu, czerwonego wina w półgalonowych gąsiorkach, ale z reguły musiało braknąć lodu.

Pokój wypełniało co najmniej trzydzieści osób, a miało się zjawić jeszcze więcej. Ile? Tego Gretchen nie wiedziała nigdy. Czasami odnosiła wrażenie, że Willie zaczepia na ulicy i zaprasza ludzi zupełnie obcych. Mary Jane była w kuchni, gdzie grała rolę bufetowej. Przychodziła właśnie do siebie po rozwodzie z drugim mężem, więc należało zapraszać ją stale. Wdzięczna za objawy współczucia, odwzajemniała się na rozmaite sposoby: szafowała trunki, zmywała szklanki i kieliszki, opróżniała przepelnione popielniczki, osamotnionych panów zabierała do swojego mieszkania i łóżka. Ktoś taki bywa bardzo potrzebny podczas

przyjęć.

Gretchen zmarszczyła brwi, gdy jakiś typ strząsnął popiół na podłogę, a w chwilę później niedopałek papierosa wdeptał obcasem w dywan. Jej bawialnia wyglądała tak ładnie, kiedy nie ma tu nikogo.

Bładoróżowe ściany, książki ustawione w porządku na półkach, świeże firanki, omiecione palenisko kominka, ozdobne poduszki starannie zbite, całe drewno wyczyszczzone do połysku.

Obawiała się poważnie, że Rudolfowi nie odpowiada charakter przyjęcia, chociaż jego zachowanie bynajmniej o tym nie świadczyło. Jak zawsze, gdy spotykał Johna Heatha, siedział w jego towarzystwie w odosobnionym kącie, przy czym głównie mówił Johnny, Rudolf raczej słuchał. Johnny miał dopiero dwadzieścia pięć lat, lecz był już współnikiem firmy maklerskiej przy Wall Street i - jak powiadano - zrobił pokaźny majątek obracając akcjami i papierami wartościowymi. Był to ujmujący w obejściu, wymowny młody człowiek o spokojnej twarzy i bardzo bystrych oczach. Gretchen wiedziała, że jej brat przyjeżdża czasami do Nowego Jorku, aby zjeść obiad z Johnem lub grywać z nim w kręgle. Ilekroć posłyszała, o czym ci dwaj mówią, tematy były nieodmiennie te same - obroty giełdowe, fuzje takich czy innych spółek, nowo powstające przedsiębiorstwa, marże, wahania kursów, ulgi podatkowe. Wszystko to wydawało się Gretchen śmiertelnie nudne, lecz najwidoczniej interesowało jej brata, jakkolwiek Rudolf nie mógł z całą pewnością uczestniczyć w obrotach giełdowych, w fuzjach takich czy innych spółek, w organizowaniu nowych przedsiębiorstw.

Raz, gdy spytała Rudolfa, czemu z wszystkich odwiedzających jej dom ludzi wybrał akurat tego, odpowiedział całkiem serio:

- Bo to jedyny twój przyjaciel, który jest w stanie nauczyć mnie czegoś.

Kto potrafi przeniknąć własnego brata? W każdym razie nie zamierzała urządzić właśnie takiego przyjęcia z okazji ukończenia studiów przez Rudolfa. Willie podzielał jej zdanie, ale tak się jakoś składało, że ich przyjęcia były zawsze identyczne. Skład gości zmieniał się cokolwiek, lecz pozostawał w tych samych kręgach: aktorzy, aktorki, początkujący reżyserzy teatralni, dziennikarze z czasopism rozrywkowych, modelki, reżyserzy radiowi, czasami ktoś z jakiejś agencji ogłoszeniowej, kogo nie można było pominąć i obrazić, panie pokroju Mary Jane, rozwiedzione niedawno i rozpowiadające wokół, że ich byli mężowie to pederasty, piszący właśnie powieść asystent z takiej czy innej nowojorskiej uczelni, młodzi ludzie z Wall Street, którzy mieli miny takie, jakby zabłądzili do slumsów, niezwykle ponętna sekretarka, która po trzech kieliszkach zaczynała flirtować z Willie'em, eks-pilot, kolega Willie'go z czasu wojny, który zapędza Gretchen do kąta po to,

by opowiadać o Londynie, czyjś niezadowolony mąż, który późnym wieczorem próbuje zalecać się do niej, a kończy najprawdopodobniej na dyskretnym wymknięciu się z Mary Jane.

Jeżeli nawet zmieniał się skład gości, przebieg wydarzeń nie ulegał zmianom. Powtarzały się wciąż te same dyskusje na temat Rosji, wydarzeń w Algierii, senatora Joe'ego McCarthy'ego („Trunki w kuchni”, rzuciła wesoło następnej świeżo przybyłej parze, która była opalona i najwidoczniej dzień spędziła na plaży)... ktoś, kto dopiero co odkrył Kierkegarda* (* Soren Kierkegaard [1813-1855] - duński filozof i autor dzieł religijnych, którego poglądy stały się modne w Stanach Zjednoczonych w latach czterdziestych.) albo spotkał się z Sartre'em, i koniecznie musiał mówić na ten temat, a ktoś, kto był w Izraelu czy Tangerze, także koniecznie musiał mówić na ten temat. Raz w miesiącu byłoby to przyjemne - nawet dwa razy, gdyby goście nie zasypywali popiołem całego mieszkania.

Goście byli przeważnie młodzi, wykształceni, a niektórzy mieli dosyć pieniędzy, by dobrze się ubierać, nawzajem zapraszać do barów, większą część lata spędzać w Hampton. O takim właśnie kręgu przyjaciół Gretchen marzyła w Port Philip, kiedy była młodą dziewczyną. No i od pięciu lat miała to, czego chciała. Trunki w kuchni. Stała, nie kończąca się bibka.

Z miną taką, jak gdyby miała jakąś pilną sprawę, utorowała sobie drogę ku schodom i poszła do pokoju na poddaszu, gdzie sypiał Billy. Po narodzinach dziecka Abbottowie przeprowadzili się na ostatnie piętro starego domu przy Zachodniej Dwunastej ulicy i strych przerobili na duży pokój z oknem w dachu. Znajdowały się tam zabawki Billy'ego oraz jego łóżeczko, a oprócz tego stół, przy którym Gretchen pracowała - duży stół z maszyną do pisania, zarzucony książkami i papierami. Lubiła pracować w bliskości synka, któremu klekot maszyny do pisania nie przeszkadzał, zapewne nawet służył za swojego rodzaju kołysankę. Dziecko wieku maszyn, kołysane do snu przy pomocy Remingtona.

Gretchen zapaliła lampę na stole i zobaczyła, że Billy nie śpi.

Leżał w pidżamce w swoim łóżeczku, na poduszce obok siebie miał filcową żyrafę i poruszał rękami nad głową, jak gdyby kreślił jakieś desenie wśród ciągnących z dołu smug tytoniowego dymu.

Gretchen poczuła się winna z powodu tego dymu, ale nie mogła przecież poprosić gości, aby nie palili, gdyż to może nie odpowiadać przebywającemu o piętro wyżej czteroletniemu chłopczykowi. Podeszła do łóżeczka, schyliła się i pocałowała synka w czoło. Po kąpieli pachniał czystością, mydłem i tym słodkim aromatem skóry małego dziecka.

- Jak dorosnę - powiedział - nigdy nie będę zapraszał nikogo.

Nie wrodził się w ojca, pomyślała. A taki do niego podobny.

Jasnowłosey, różowy na pulchnej twarzy. Nie ma w sobie nic z Jordachów. Chociaż...
Chyba Tom wyglądał podobnie w tym wieku?

Nachyliła się znów nad łóżeczkiem, drugi raz pocałowała małego. - Śpij, Billy. Śpij - szepnęła.

Później zasiadła przy swoim stole do pracy, kontenta, że jest z dala od gwaru na dole. Była pewna, że nikt nie zauważy jej nieobecności, gdyby nawet miała pozostać tu do rana. Sięgnęła po pierwszą z brzegu książkę. „Podstawy psychologii”. Otworzyła ją na chybił trafił. Dwie strony poświęcone kleksom z testu Rorschacha*. (* Szwajcarski psycholog Rorschach stosował test psychoanalityczny polegający na reakcji na dziesięć atramentowych kleksów.)
Poznaj samego siebie. Poznaj swojego wroga. Gretchen studiowała gorliwie na NYU* w późne popołudnia i wieczorami. (* NYU - powszechnie używany skrót dla New York University [Uniwersytet Nowojorski]).

Za dwa lata powinna zdobyć dyplom, jeżeli wytrwa oczywiście. Czuła się czasami przykro onieśmielona w towarzystwie wykształconych przyjaciół męża, a nawet w towarzystwie Willie'go. Ponadto lubiła sale wykładowe i to miłe wrażenie, że znajduje się w środowisku zainteresowanym nie tylko pieniędzmi, stanowiskiem, publicznymi popisami.

Po narodzinach dziecka zrezygnowała z teatru. Z początku mówiła sobie - wróć później, kiedy Billy podrośnie i nie będę mu wciąż potrzebna. Obecnie wiedziała, że nigdy nie wystąpi na scenie.

Niewielka strata! Musiała poszukać pracy, którą mogłaby wykonywać w domu, i szczęśliwie znalazła ją w najprostszy z możliwych sposobów. Zaczęła pomagać mężowi w pisywaniu krytyk programów radiowych - później i telewizyjnych - ilekroć był znudzony tą robotą albo zajęty czym innym, albo po prostu przepity. Zrazu podpisywała swoje artykuły jego nazwiskiem, potem własnym, gdy Willie dostał kierownicze stanowisko w redakcji swojego czasopisma. Naczelny redaktor powiedział jej w zaufaniu, że ona pisze znacznie lepiej od męża, lecz zdążyła sobie już wcześniej wyrobić własne zdanie o jego zdolnościach pisarskich. Willie pracował nad sztuką, której pierwszy akt znalazła przypadkowo, gdy pewnego dnia robiła porządki domowe. Był straszny. Willie potrafił mówić błyskotliwie i zabawnie, lecz to samo przeniesione na papier stawało się po prostu ordynarne. Naturalnie nie podzieliła się z nim swoją opinią na ten temat ani nie powiedziała mu, że czytała sztukę. Ale zachęcała go z przekonaniem, by przyjął proponowane stanowisko biurowe.

Spojrzała na arkusz żółtego papieru w maszynie. U góry nakreśliła ołówkiem roboczy tytuł: „Pieśń sprzedawcy”. Śpiesznie przebiegła wzrokiem stronę. „Niewinna mina - napisała

tam - która wydaje się naszą narodową cechą, własnością wszystkich Amerykanów, przypadła też w udziale handlowcom, którzy dzięki niej mogą sprzedawać nam swoje towary drogą perswazji bądź nacisku, bez względu na to, czy towary te są użyteczne, czy też niebezpieczne.

Zupy sprzedają posługując się śmiechem, płatki owsiane - przymusem, samochody - cytatami z Hamleta, środki przeczyszczające - bajdurzeniem, więc...”

Zmarszczyła czoło... Nie. To niedobre. I na domiar złego niepotrzebne. Amerykanie, jak się im wydaje, dostają to, czego chcą. Jej goście, zabawiający się o piętro niżej, tak czy inaczej zarabiają na życie sposobami, którym ich gospodyni rzuca wyzwanie.

Trunki, jakie tam piją, zostały kupione za pieniądze człowieka śpiewającego „Pieśń sprzedawcy”. Wyciągnęła arkusik z maszyny, zgmiotła go i wrzuciła do kosza na śmiecie. I tak nie wyszłoby w druku coś takiego. Tego już dopilnowałby Willie.

Podeszła znowu do dziecinnego łóżeczka. Billy spał z żyrafą w objęciach. Spał zdrowym, głębokim snem. Co ty będziesz kupował, co będziesz sprzedawał, kiedy osiągniesz moje lata? Jakie omyłki i błędy masz przed sobą? Ile miłości pójdzie na marne w twoim życiu?

Ze schodów dobiegł odgłos kroków, pochyliła się szybko, udawała, że okrywa dziecko. Willie, dostawca lodu, otworzył drzwi.

- Głowiłem się długo, gdzie mogłaś zniknąć: powiedział.
- Powracałam do zdrowych zmysłów.
- Gretchen! - zawołał tonem wyrzutu.

Twarz miał zaczerwienioną od wypitego alkoholu, rosę potu na górnej wardze. Zaczynał łysieć i czoło miał coraz bardziej beethovenowskie, ale nie wiedzieć czemu, nadal wyglądał młodocianie.

- Przecież to twoi przyjaciele tak samo jak moi - dodał.
- Nie są niczymi przyjaciółmi - podchwyciła. - To po prostu pijacy.

Czuła się pod psem. Po przeczytaniu fragmentu artykułu ugruntowało się niezadowolenie, które początkowo wyгнаło ją na poddasze. Nagle zirytowała ją myśl, że Billy jest tak bardzo podobny do ojca. Ja też w tym uczestniczyłam - omal nie powiedziała.

- Co chcesz? Żeby ich wyprawił do domu? - zapytał Willie.
- Właśnie! Żebyś ich wyprawił do domu.
- Wiesz, że tego nie mogę zrobić. Chodź na dół, kochanie. Ludzie zaczynają się dziwić, dopytywać, co ci jest...

- Powiedz im, że nawiedził mnie nagły, nieposkromiony impuls do karmienia piersią. W pewnych dzikich plemionach dzieci karmi się tak do siódmego roku życia. Tamci na dole

wszystko wiedzą.

Sprawdź, czy i o tym im wiadomo.

- Kochanie... - Podszedł bliżej, wziął ją w objęcia; poczuła ostry zapach dżinu. - Opanuj się trochę. Bardzo proszę. Ostatnio jesteś strasznie nerwowa.

- Zauważyłeś? Co?

- Naturalnie, że zauważyłem. - Pocałował ją zdawkowo, bez znaczenia, jak się jej wydało; od dwu tygodni nie byli razem w łóżku. - Ja wiem, co ci jest. Za dużo masz na głowie. Opiekujesz się małym, pracujesz zarobkowo, chodzisz na wykłady, uczysz się w domu... - Wciąż próbował ją skłonić, by zaniechała studiów. - Czego chcesz dowieść? I tak jesteś najwspanialszą dziewczyną w Nowym Jorku.

- Powinam mieć na głowie dwa razy tyle - wybuchnęła. - Może na przykład teraz zejść o piętro niżej, poszukam stosownego kandydata, urwę się z domu i zafunduję sobie romans. Dla uspokojenia nerwów.

Willie opuścił ręce, uwolnił ją z objęcia. Cofnął się wraz z zapachem cocktailu martini.

- Pierwszorzędny dowcip. Cha, cha! - roześmiał się sucho.

- No, jazda na dół - powiedziała. - Idziemy. Trunki w kuchni. - Zgasła lampę na stole.

Willie w ciemności chwycił ją za rękę.

- Co ja złego zrobiłem? Powiedz!

- Nic. Wzorowa gospodyni oraz jej małżonek pojawią się zaraz wśród najpiękniejszych dam i najdoskonalszych dżentelmenów z Zachodniej Dwunastej Ulicy.

Wyrwała mu się i zbiegła po schodach. Willie zeszedł też niebawem.

Został na moment, aby na czole syna złożyć perfumowany martinim pocałunek.

Gretchen spostrzegła, że Rudolf porzucił Johna Heatha i z ożywieniem rozmawia w kącie z Julią, która musiała zjawić się, gdy ona była na górze. Przyjaciel Rudolfa, ten chłopak z Oklahomy, doskonały materiał na Babbitta * (* Babbitt - postać tytułowa z powieści Sinclaira Lewisa.) śmiał się zbyt głośno z czegoś, co mówiła jedna z redakcyjnych sekretarek. Julia miała włosy upięte wysoko i była ubrana w prostą suknię z czarnego aksamitu. „Wciąż usiłuję zwalczyć w sobie przodującą uczennicę ze szkoły średniej” - zwierzyła się pewnego razu Gretchen. Dziś jej się to powiodło.

Za dobrze. Sprawiała wrażenie zbyt pewnej siebie jak na dziewczynę w jej wieku. Gretchen była przekonana, że Julia i Rudolf nigdy nie spali z sobą. Po pięciu latach! To nieludzkie. Coś musi być nie w porządku z tą małą, Rudolfem albo obydwójkiem.

Gestem ręki pozdrowiła brata, nie zauważył tego jednak a gdy szła w jego stronę,

zatrzymał ją wybitny specjalista od ogłoszeń prasowych - ubrany zbyt pięknie i nieco za twarzowo uczesany.

- Uroczej pani domu, należą się moje gratulacje z powodu absolutnie doskonałego przyjęcia - powiedział przeciągle niczym angielski aktor.

Nazywał się Alec Lister. Karierę zaczynał jako goniec w Radio Kolumbia, ale to było bardzo dawno.

- Jesteś stosownym kandydatem? - zapytała spoglądając mu prosto w twarz.

- Co takiego? - Lister był zbity z tropu; niepewnym ruchem przełożył kieliszek z ręki do ręki; nie przywykł do kłopotliwych pytań.

- Nic - odpowiedziała. - Tok własnych myśli. Miło mi, że podobają ci się te zwierzęta.

- Bardzo mi się podobają - zaaprobował pewnie dobór gości. - Podoba mi się też coś jeszcze. Twoje artykuliki w naszym piśmie.

- Kiedyś zasłynę jako Samuel Taylor Coleridge* (* Samuel Taylor Coleridge [1772-1834] - poeta i krytyk angielski, jeden z prekursorów romantyzmu.) radia i telewizji - rzuciła.

Lister należał do ludzi których nie sposób było obrazić, ale tego wieczora Gretchen polowała na wszelkie skalpy.

- Co takiego? - W ciągu trzydziestu sekund drugi raz zbiła go z tropu, więc spochmurniał cokolwiek. - Aa... Rozumiem... - bąknął, lecz odniosła wrażenie, że nic nie zrozumiał. - Jeżeli wolno, pozwolę sobie na mały komentarz - ciągnął zdając sobie sprawę, że wolno mu pozwolić sobie na każdy komentarz pomiędzy Wall Street a Sześćdziesiątą Ulicą. - Powiem, że te artykuliki są znakomite ale trochę... trochę zbyt... widzisz, moim zdaniem, zbyt zjadliwe.

Mają w sobie ton wrogi, co ma się rozumieć, dodaje im pieprzyka ale... sugeruje niechęć do całego przemysłu...

- Aha... - przerwała mu spokojnie. - To zrozumiałeś.

Lister zmierzył ją chłodnym wzrokiem. Zniknęła cała jego kordialność, a w ułamku sekundy zimna i bezlitosna twarz urzędowo-redakcyjna zastąpiła noszoną na przyjęciach maskę angielskiego aktora.

- Tak. To zrozumiałem - podjął. - Zresztą nie tylko to. W dzisiejszej atmosferze, kiedy wszyscy są pod nadzorem, ludzie dający ogłoszenia postępują ostrożnie, baczą, by ich ciężko zarobione pieniądze nie trafiały do rąk, które mogą być niezupełnie powołane, a zatem...

- Ostrzegasz mnie? - zapytała Gretchen.

- Możesz to i tak przyjąć. Po przyjacielsku.

- Bardzoś dla mnie łaskawy mój drogi. - Lekko dotknęła jego ramienia, uśmiechnęła

się życzliwie. - Obawiam się jednak, że już za późno. Jestem czerwoną, zapamiętałą komunistką na żołdzie Moskwy. Chciałabym zniszczyć Radio Amerykańskie, Metro Goldwyn Mayer i z ziemią zrównać koncern zbożowy Ralstona.

- Ona czepia się dziś wszystkich, Alec. - Willie stanął obok żony, ostrzegawczo ścisnął ją za łokieć. - Wyobraża sobie, że to wielki fason. Chodź do kuchni. Kropniemy sobie po jednym.

- Dziękuję, Willie - odpowiedział Lister - ale obawiam się, że czas na mnie. Do rana muszę obskoczyć jeszcze dwa przyjęcia. - Pocałował Gretchen w policzek iście eterycznym muśnięciem. - Dobrej nocy, kochani. Spodziewam się, Gretchen, że zapamiętasz moje słowa.

- Wyrwę je w kamieniu.

Z wyniosłą, obojętną miną ruszył w stronę drzwi i kieliszek postawił na półce, gdzie z pewnością pozostawi mokry krążek.

- O co ci chodzi? - zapytał Willie stłumionym głosem. - Nienawidzisz pieniędzy?

- Jego nienawidzę.

Odsunęła się od męża i z promiennym uśmiechem torując sobie drogę pośród gości, przeszła do kąta, w którym Rudolf rozmawiał z Julią.

Mówił niemal szeptem w atmosferze napięcia, które niewidzialnym murem odgradzało ich od rozmów i śmiechów, jakimi rozbrzmiewał pokój. Ona była bliska łez. On miał na twarzy wyraz skupienia i uporu.

- To, moim zdaniem, straszne - mówiła właśnie Julia - i zdania nie zmienię.

- Pięknie dziś wyglądasz, Julio - przerwała jej Gretchen.

- Rasowa femme fatale.

- Ale nie czuję się pięknie - odpowiedziała drżącym głosem.

- Co się stało?

- Ty jej powiedz - Julia zwróciła się do Rudolfa.

- Może innym razem - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Dziś jesteśmy na przyjęciu.

- On będzie pracował na stałe u Calderwooda - podjęła Julia. - Zaczyna jutro rano.

- Nic stałego nie istnieje na tym świecie - wtrącił Rudolf.

- Do końca życia będziesz tkwić za ladą w parszywej mieście - mówiła szybko Julia.

- Jaki sens miały studia, jeżeli tylko tak myślisz wykorzystać dyplom?

- Mówiłem ci już, że nigdzie nie będę tkwić do końca życia.

- Powiedz jej całą resztę - rzuciła gniewnie Julia. - Żądam, żebyś powiedział jej całą resztę.

- Jaką resztę? - zapytała Gretchen.

Ona też była niezadowolona, rozczarowana. Decyzję brata uważała za niegodną. Zarazem jednak odczuwała ulgę. Pracując u Calderwooda Rudolf nadal będzie opiekował się matką, a zatem ona nie będzie musiała borykać się z tym kłopotem ani prosić o pomoc męża. Takie uczucie ulgi było rzecz jasna obrzydliwe, ale Gretchen nie mogła wyprzeć się go wobec samej siebie.

- Zaproponowano mi lato w Europie - podjął spokojnie Rudolf. - Jako podarunek.

- Kto ci zaproponował? - zapytała Gretchen, chociaż odpowiedź znała z góry.

- Teddy Boylan.

- Wiem, że rodzice też by mnie puścili - podchwyciła Julia. - Spędzilibyśmy razem najcudowniejsze lato w życiu.

- Ja nie mam czasu na najcudowniejsze lato w życiu - powiedział Rudolf dobitnie rozdzielając słowa.

- Może ty go przekonasz, Gretchen? - westchnęła Julia.

- Rudi - zaczęła Gretchen - nie sądzisz, że po tylu latach ciężkiej pracy słusznie coś ci się należy? Trochę wytchnienia, rozrywki.

- Europa nie ucieknie. Pojadę tam, kiedy będę gotów.

- Teddy Boylan był pewno zachwycony, kiedy go odprawiłeś z kwitkiem - podjęła Gretchen.

- Przeboleje to jakoś.

- Żeby tak mnie ofiarował ktoś podróż do Europy - powiedziała Gretchen. - Byłabym na pokładzie prędej...

- Mogłabyś nas poratować, Gretchen? - przerwał jej jeden z młodych mężczyzn. - Chcielibyśmy puścić adapter, ale wygląda na to, że wysiadł.

- Później z wami porozmawiam - zwróciła się do brata i jego dziewczyny. - Coś wymyślimy we trójkę.

Odeszła z młodym mężczyzną i nachyliła się, aby znaleźć gniazdko i wtyczkę. Tego dnia była sprzątaczką, młoda Murzynka, która zawsze pozostawiała wtyczkę na podłodze po użyciu odkurzacza. „I tak dosyć się naschylam” - odpowiadała, gdy Gretchen zwracała jej uwagę.

Adapter rozgrzewał się z głuchym pomrukiem, a następnie począł grać pierwszą płytę z albumu „Południowy Pacyfik”. Dziecinne głosy - słodkie i bardzo amerykańskie, wcale nie przywodzące na myśl gorącej wyspy - pisały słowa do Dites-moi. Gretchen wyprostowała się i zobaczyła, że Julii i Rudolfa nie ma. Stanowczo nie pozwolę, zdecydowała, żeby przyjęcia odbywały się tutaj przez okrągły rok. Wyszła do kuchni i poprosiła Mary Jane o

szkocką whisky bez wody. Mary Jane miała ostatnio długie, rude włosy, oczy wymalowane na niebiesko i bardzo długie przyklejone rzęsy. Z daleka wydawała się piękną, ale z bliska poszczególne fragmenty nie pasowały jakoś do siebie. Obecnie jednak, w trzeciej godzinie zabawy, gdy tłum mężczyzn zdążył przewinąć się przez kuchnię i wszyscy prawili jej komplementy, Mary Jane była w szczytowej formie - wyzywająca i chciwa życia - oczy miała błyszczące, jasnokarminowe wargi rozchylone.

- Bombowe to twoje przyjęcie - powiedziała schrypniętym od whisky głosem. - No i ten nowy facet. Alec... Jakże mu tam?

- Lister. - Gretchen pociągnęła łyk i rozejrzawszy się dokoła stwierdziła, że w kuchni, przedstawiającej się jak istny śmietnik, nic nie zrobi do rana. - Alec Lister.

- Porywający, no nie? - podjęła Mary Jane. - Jest z kimś związany?

- Na dzisiejszą noc nie.

- Cudowny facet! Jak był tutaj, całą kuchnię wypełnił swoim wdziękiem. A słyszałam o nim różne okropne rzeczy. Podobno bije swoje kobiety. Tak mówił Willie. - Zachichotała krótko. - To pasjonujące, no nie? Może chciałby się czegoś napić, co? Nie zwróciłaś na to uwagi. Zaraz mogę stanąć u jego boku z pucharem w dłoni. Mary Jane Hackett, wierny podczasz.

- On wyszedł pięć minut temu - powiedziała Gretchen nie bez złośliwej satysfakcji, zastanawiając się jednocześnie, z jakimi to kobietami Willie jest aż tak dobrze, by dowiadywać się od nich, że były bite przez Aleca Listera.

- Mniejsza z nim - Mary Jane filozoficznie wzruszyła ramionami. - W morzu nie zbraknie innych ryb.

Do kuchni weszło dwóch panów, więc potrząsnęła rudą grzywą.

- Ha! Jesteście, chłopcy! Mój bar otwarty bez przerwy.

Mary Jane nie miała za sobą dwu tygodni bez mężczyzny w łóżku. To murowane! Nie najgorsza rzecz być rozwódką, pomyślała Gretchen wracając do bawialni.

Rudolf i Julia szli w stronę Piątej Alei wśród balsamicznego powietrza czerwcowego wieczora. Nie trzymał jej pod rękę. „To nie miejsce na rozmowę serio - powiedział jej niedawno w mieszkaniu siostry. - Chodźmy stąd”.

Jednakże na ulicy wcale nie było lepiej. Julia maszerowała zamasyżycie, strzegła się, by go nie dotykać. Mały nosek miała zmarszczony gniewnie, jej zacięte, przygryzione mocno usta sprawiały wrażenie czerwonej szramy. On szedł obok niej, zastanawiał się, czy nie najrozumniej byłoby zerwać z nią - tutaj, zaraz. Zapewne nastąpi to i tak wcześniej czy

później, i chyba lepiej, żeby się to stało wcześniej. Pomyślał jednak, że w takim razie nie zobaczyłby jej więcej, i ogarnęła go rozpacz. Ale nie odzywał się nadal. Zdawał sobie sprawę, że prowadzoną przez nich bitwę wygra ta strona, która dłużej wytrzyma w milczeniu.

- Masz tam dziewczynę - powiedziała wreszcie. - Dla niej chcesz zostać w tej wstrętnej mieścinie.

Roześmiał się tylko.

- Nie zwiedzisz mnie śmiechem. - Głos miała szorstki, wolny od wspomnień dni, kiedy śpiewali razem, kiedy mówiła Rudolfowi, że go kocha. - Zadurzyłeś się w jakiejś sklepowej, kasjerce, w kimś takim. Sypiałeś tam z nią przez cały czas. Wiem. Dobrze wiem!

Odpowiedział znów śmiechem. Czuł się mocny w swojej dziewiczej czystości.

- Albo impotent z ciebie - rzuciła ostro. - Widujemy się od pięciu lat, powiadasz, że mnie kochasz, ale ani razu nie próbowałeś kochać mnie naprawdę. Rozumiesz? Tak naprawdę!

- Nie otrzymałem zachęty - powiedział.

- Tak uważasz? Więc masz zachętę. Teraz. Zaraz. Mieszkam w hotelu „Saint Moritz”. Pokój 923.

Bał się zasadzki. Nie życzył sobie przygody na niechlujnym łóżku.

- Nie - powiedział stanowczo.

- Albo kłamca z ciebie, albo impotent - wybuchnęła.

- Chcę ożenić się z tobą. Możemy wziąć ślub w przyszłym tygodniu.

- I gdzie spędzimy miesiąc miodowy? - zapytała. - W dziale mebli ogrodowych domu towarowego Calderwooda? Proponuję ci swoje czyste jak śnieżna biel dziewicze ciało - ciągnęła drwiąco. - Za darmo i bezwarunkowo. Po diabła komu ślub?

Jestem wolna, wyzwolona wreszcie, pełna pożądania, superamerykańska dziewczyna. Bardzo niedawno wygrałam rewolucję seksualną w stosunku dziesięć do zera.

- Nie - powtórzył. - I przestań wreszcie gadać, jak moja siostra.

- Impotent. I taki chce mnie zagrzebać na zawsze w jakimś beznadziejnym, małym miasteczku. A ja przez cały czas myślałam, że jesteś mądry, zaradny, że masz przed sobą wspaniałą przyszłość.

Wyjdę za ciebie. Weźmiemy ślub w przyszłym tygodniu. Ale pojedziesz do Europy, a na jesieni zaczniesz studiować prawo. Albo jeżeli ci to nie odpowiada, przeniesiesz się do Nowego Jorku i tu znajdziesz jakąś posadę. Nie dbam, jaka to będzie posada. Ja też mogę pracować. Chcę pracować. A co mogłabym robić w Whitby?

Rozmyślać całymi dniami, w jakim wystąpię fartuszk, kiedy ty wrócisz do domu?

- Obiecuję ci, że za pięć lat będziesz mogła mieszkać w Nowym Jorku, czy też gdzie tylko zechcesz.

- Aha! Obiecujesz - podchwyciła. - Nie ma nic łatwiejszego niż obietnica. Na pięć lat też nie chcę się zagrzebać. Nie rozumiem cię, słowo daję! Czego się spodziewasz, u Boga Ojca? Co zyskasz?

- Wystartuję o dwa lata wcześniej niż wszyscy moi koledzy - odpowiedział Rudolf. - Mówię ci, że wiem co robię. Calderwood ma do mnie zaufanie. To nie tylko właściciel domu towarowego. Na jego korzyść przemawia wiele innych rzeczy. Dom towarowy będzie jedynie początkiem, bazą. On nie wie o tym jeszcze, ale ja wiem. Kiedy przeniosę się do Nowego Jorku, nie będę jednym z wielu posiadaczy dyplomu szkółki, o której nikt nigdy nie słyszał. Nie będę z kapeluszem w ręku przesiadywał w czyichś tam poczekalniach. Kiedy przeniosę się tutaj, ludzie będą mnie witać u paradnego wejścia.

Długo byłem ubogi, Julio, a to, co robię, robię, by nigdy więcej nie doświadczyć ubóstwa.

- Pieszczoszek Boylana! - zawołała - On to twoja ruina. Pieniądze!

Czy pieniądze tak dużo dla ciebie znaczą? Same pieniądze?

- Nie przemawiaj jak rozkapryszona pannica - obruszył się Rudolf.

- Jeżeli nawet zależy ci na pieniądzach - podjęła - to gdybyś poszedł na prawo...

- Nie mogę czekać - przerwał. - Czekałem już wystarczająco długo. Zwiedziłem dosyć klas i sal wykładowych. Jeżeli potrzebna mi będzie znajomość prawa, najmę prawników. - Było to echo słów Calderwooda, tego twardego człowieka: „Tacy najmują ludzi wykształconych.” - Jeżeli zechcesz pójść moją drogą, to dobrze... Jeżeli nie... - Nie był w stanie dokończyć zdania. - Jeżeli nie... - powtórzył niepewnie. - Ja nie wiem, Julio! Nie wiem! Myślę, że dużo wiem o różnych sprawach, ale o tobie nic.

- Okłamałam ojca i matkę - zaczynała szlochać. - Okłamałam, bo chciałam być z tobą sama. Ale to już nie ty. To kukła Boylana.

Wracam do hotelu. Nie chcę rozmawiać z tobą więcej.

Cała zapłakana podniosła rękę na widok nadjeżdżającej taksówki.

Samochód zatrzymał się z piskiem opon. Julia gwałtownie otworzyła drzwi i w jednej chwili zatrzasnęła je za sobą.

Rudolf stał przez chwilę bez ruchu, patrzył na oddalający się wóz.

Później ruszył w przeciwną stronę, by wrócić na przyjęcie.

Zostawił tam walizkę i Gretchen obiecała, że pościeli mu na kanapie w bawialni.

Przypomniał sobie numer pokoju hotelowego. 923.

Mary Jane żyła dostatnio z alimentów. Rudolf nie widział nigdy szerszego, bardziej miękkiego łóżka, a w blasku lampy na stoliku toaletowym (Mary Jane zdecydowała stanowczo, że światło zostanie) obszerny, wysłany dywanami pokój o ścianach obitych perłowszarym jedwabiem świadczył o ręce kosztownego architekta wnętrza.

Ciemnozielone stopy z aksamitu tłumiły odgłosy miasta. Poczynania wstępne - bardzo krótkie - miały miejsce w reprezentacyjnej bawialni urządzonej złoconymi meblami w stylu dyrektoriatu i wielkimi lustrami ze złoconym wzorem, dzięki czemu odbicie splecionej uściskiem pary tonęło przy blasku lamp w jakiejś złocistej poświacie.

- Główne wydarzenie będzie miało miejsce dalej - powiedziała Mary Jane po którymś tam pocałunku i nie czekając na zgodę Rudolfa poprowadziła go do pokoju sypialnego. - Przygotuję się w łazience.

Zrzuciła pantofle i dostojnie, prawie pewnym krokiem odeszła do przyległej łazienki, skąd dobiegł go po chwili szum wody ciekącej z kranów oraz pobrzękiwanie flaszki.

To tak, jak gdyby czekał w ambulatorium, podczas gdy lekarz przygotowuje się do drobnego zabiegu chirurgicznego, pomyślał z niesmakiem Rudolf i wcale nie śpieszył się z rozbieraniem. Dobrze po północy, kiedy w bawialni Gretchen pozostało zaledwie kilkoro gości, Mary Jane poprosiła, by odprowadził ją do domu. Nie podejrzewał wtedy, że ta historia tak się może skończyć. Był zawiany, bo sporo tego dnia wypił, więc niepokoił się, co będzie z jego głową, kiedy się położy. Przez chwilę miał ochotę wymknąć się cichaczem, lecz Mary Jane - wiedzona intuicją lub doświadczeniem - zawołała radośnie z łazienki:

- Jeszcze jedna minutka, kochanie! Czuj się jak u siebie w domu.

Wobec tego rozebrał się, półbuty ustawił porządnie pod krzesłem, na którego siedzeniu umieścił złożone ubranie. Łóżko było posłane na noc - poduszki z koronkowymi falbanami, jasnoniebieskie prześcieradła - więc wsunął się pod koce dygocąc lekko. Oto jeden ze sposobów, by na pewno nie zastukać do drzwi pokoju hotelowego.

Numer 923.

Leżał - trochę ciekawy, trochę wystraszony - z opuszczonymi powiekami. Kiedyś musiało się to zdarzyć, myślał. A trudno chyba o dzień lepszy niż dzisiejszy?

Oczy miał zamknięte, więc pokój krążył, wirował wokół niego, a łóżko przechylało się w nierównym rytmie, niby czółno zacumowane przy krótkiej fali. Otworzył oczy w chwili, gdy do sypialni wchodziła Mary Jane - wysoka, naga, wspaniała - o pięknym, smukłym ciele, drobnych piersiach, rozłożystych biodrach nie utrudzonych macierzyństwem, nie zwiotczałych od rozpusty. Stała nad nim, objęła go spojrzeniem spod długich rzęs -

weteranka wielu sezonów życia towarzyskiego, porywaczka osamotnionych mężczyzn. Jej rude włosy, ciemne w świetle lampy, zawisły nad Rudolfem.

Stała tuż obok łóżka, szacowała go wzrokiem, uśmiechała się lekko.

- Mały braciszku - szepnęła wreszcie. - Śliczny mały braciszku.

Później jej miękka dłoń dotknęła go z wprawą. Wzdrygnął się konwulsyjnie.

- Leż spokojnie - zakomenderowała.

Jej ręce poruszały się zgrabnie, celowo, jak zwinne małe zwierzątka. Rudolf drżał lekko.

- Leż spokojnie, powiedziałam - skarciła go ponownie.

Stało się. Szybko. Kompromitująco szybko. Rudolf usłyszał ze zdziwieniem własne szlochanie. Mary Jane uklękła na łóżku, pocałowała go w usta. Jej ręce były teraz nie do zniesienia.

Dławił go zapach włosów, dymu papierosowego, perfum.

- Przepraszam... - bąknął, kiedy uniosła głowę. - Bardzo mi przykro, ale nie mogłem...

- Niepotrzebnie ci przykro - parsknęła śmiechem. - Twój pośpiech to komplement złożony mi w hołdzie.

Płynnym, wdzięcznym ruchem wślizgnęła się do łóżka, nakryła ich obydwójce kocami. Przyłgnęła do niego, a jej jedwabne łydki objęły jego umazane spermą uda.

- Nie martw się, mały braciszku, o taki drobiazg bez znaczenia. - Zaczęła lizać go w ucho, więc znów wzdrygnął się dreszczem, który od jej języka przebiegł całe jego ciało, aż do palców nóg. - Jestem pewna, mały braciszku, że za parę minut będziesz dobry.

Był zły, że tytułuje go „małym braciszkiem”. Nie chciał, by mu przypominano Gretchen, bo Gretchen bardzo dziwnie patrzyła na niego, kiedy wychodził w towarzystwie Mary Jane.

Dar proroczy nie zawiódł Mary Jane na wybranym przez nią polu. Już po kilku minutach jej dłonie obudziły Rudolfa, który zrobił to, po co został sprowadzony do łóżka Mary Jane. Rzucił się na nią z mocą syconą przez lata abstynencji.

- Dosyć! - jęknęła wreszcie. - Starczy.

Wtedy finał nastąpił jednocześnie u obydwójga.

- Impotent! - usłyszał w wyobraźni gniewny głos Julii. Impotent.

Niechby przyszła do tego pokoju, powołała na świadka tę kobietę.

- Słyszałam od twojej siostry, że jesteś prawiczką - powiedziała Mary Jane.

- Nie mówmy o tym - rzucił szorstko.

Leżeli obok siebie na wznak. Jej łydka - już tylko jedna łydka - stykała się z kolanem

Rudolfa. Mary Jane paliła papierosa.

Zaciągała się głęboko i długimi smugami wypuszczała dym.

- Muszę poszukać więcej takich dziewczic jak ty - podjęła. - Czy to prawda?

- Powiedziałem: nie mówmy o tym.

- Więc to prawda, co?

- W tej chwili już nie.

- To prawda... Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Taki piękny młody mężczyzna... Dziewczyny musiały cię napastować.

- Jakoś panowały nad sobą. No i zmieńmy temat rozmowy.

- A co z tą śliczną dzidzią, z którą się prowadzasz? - (Numer 923, przypomniał sobie).

- Jak jej na imię? - Julia - z niechęcią wymienił to imię w tym pokoju.

- Nie leci na ciebie?

- Mieliśmy się pobrać.

- Mieliście? Więc już nie?

- Nie wiem.

- Biedna mała. Nie wie, ile straciła - podchwyciła Mary Jane. - To musi być u was rodzinne.

- Co musi być u nas rodzinne?

- Willie powiada, że twoja siostra to w łóżku istny ogień.

- Lepiej trzymałby język za zębami! - obruszył się Rudolf.

Był wstrząśnięty, zgorzony, że Willie może mówić coś takiego o swojej żonie.

Mówić kobiecie, jakiegokolwiek kobiecie, komukolwiek.

Nigdy już nie będzie miał zaufania do szwagra, nie potrafi lubić go naprawdę.

Mary Jane roześmiała się swobodnie.

- Widzisz, żyjemy w wielkim mieście - powiedziała - gdzie to i owo uchodzi. Willie jest moim starym przyjacielem. Miał romans ze mną, zanim dowiedział się o istnieniu twojej siostry. Teraz też odwiedza mnie czasami, kiedy czuje się pod psem albo ma chęć zmienić scenerię.

- A moja siostra wie o tym? - zapytał Rudolf.

Starał się stłumić gniewne brzmienie głosu. Willie!

Nieodpowiedzialny lekkoduch. Łajdak.

- Nie sądzę - odpowiedziała beztrąsko. - Willie jest mistrzem w udzielaniu mętnych wyjaśnień. No a w takich sprawach nikt nie wystawia oświadczeń na piśmie. Miałeś ją kiedy?

Gretchen?

- Bój się Boga! - zawołał głosem, który zabrzmiał piskliwie w jego uszach. - Przecież to moja siostra.

- No to co? Siostra! Z tego, co opowiada Willie, wnoszę, że gra warta byłaby świeczki.

- Strugasz ze mnie wariata - powiedział Rudolf i przytaknął sobie w myśli: Oczywiście, w tym sedno sprawy. Starsza, doświadczona pani bawi się pokpiwaniem z naiwnego chłopca z prowincji.

- Skąd znowu - zaprzeczyła Mary Jane z całym spokojem.

- Mój brat obrobił mnie, kiedy miałam piętnaście lat. W wyciągniętym na plażę kajaku. Bądź grzecznym chłopaczkiem, kochanie, przynieś mi coś do wypicia. Whisky jest na stole w kuchni. Dużo, ze zwyczajną wodą. Lodem nie zawracaj sobie głowy.

Rudolf wstał z łóżka. Chciałby włożyć coś na siebie - szlafrok, swoje kalessony, przepasać biodra ręcznikiem - cokolwiek, byle nie paradować nago pod obstrzałem tych świadomych rzeczy, szacujących, rozbawionych oczu... Ale wiedział z góry, że jeżeli okryje się czymkolwiek, ona wybuchnie śmiechem. Do diabła, pomyślał z rozpaczą. Czemu pozwoliłem wciągnąć się w coś takiego?

Odniosł nagle wrażenie, że w sypialni jest zimno, a całe jego ciało pokrywa się gęsią skórą. Usiłował nie drżeć idąc ku drzwiom przyległego pokoju. Tam - złoty i ciemny w zdobionych metalem lustrach - wędrował dalej w stronę kuchni, bezszelestnie po grubym dywanie. Łatwo znalazł wyłącznik i światła zajaśniały. Pomrukująca cicho, ogromna, biała lodówka, rożen elektryczny, mikser, sokowirówka, miedziane rondle i patelnie rozwieszzone na białych ścianach, stalowy zlewozmywak, przyrząd do zmywania naczyń butelka szkockiej whisky pośrodku stołu o blacie z czerwonego plastyku - amerykańskie kuchenne marzenie w jarzącym blasku neonowego światła. Sięgnął po dwie szklanki do kredensu wypełnionego fantazyjną porcelaną, filiżankami w kwiaty, dzbankami do kawy, kolosalnych rozmiarów drewnianym młynkiem do pieprzu - przyborami gospodyni należącymi do nie-gospodyni z łóżka w sąsiednim pokoju.

Odkręcił kran i puszczał wodę, póki nie była naprawdę zimna. Wtedy najpierw wypłukał usta spluwając do stalowego zlewu, który odpowiadał wśród nocy dźwiękiem ksylofonu, później pił wodę napełniając dwukrotnie wysoką szklankę. Do drugiej nalał dużo whisky i do połowy napełnił ją wodą. Coś zaczęło szeleścić, poruszać się ledwie dosłyszalnie. Na ścianie za zlewozmywakiem znikwały w szczelinach czarne, tęgopokrywe insekty, obrzydliwe karaluchy. Flądra, pomyślał Rudolf z obrzydzeniem.

Zostawił światło w kuchni i szklanę poniósł pani tego domu spoczywającej na dobrze wysłużonym łóżku. Służmy jej wiernie!

- Kochany chłopiec - powiedziała, a gdy wyciągnęła rękę, jej paznokcie zabłysły jaskrawą purpurą. Wsparła się łokciem o poduszkę, jej rude włosy wydały się bezwstydne na tle koronek i jasnego błękitu; napiła się łakomie. - A co dla ciebie?

- Nic. Dostyc piłem - odpowiedział.

Sięgnął po krótkie kalesony i począł je naciągać.

- Co robisz? - zapytała.

- Idę do domu. - Włożył koszulę zadowolony, że nareszcie okrył swoją nagość. - O dziewiątej rano mam zgłosić się do pracy. - Zapiął pasek nowego zegarka. - Kwadrans do czwartej.

- Proszę - odezwała się tkliwym, niemal dziecinnym głosem. - Bardzo proszę. Nie odchodź.

- Bardzo mi przykro, ale muszę.

Wcale nie było mu przykro. Upajała go myśl, że rychło znajdzie się na ulicy sam, ubrany.

- Nie znoszę samotności w nocy - zaczęła znowu swoje.

- Zatelefonuj do mojego szwagra - odburknął.

Usiadł, aby naciągnąć skarpetki i wsunąć stopy w półbuty.

- Nie mogę spać - westchnęła. - Nie mogę spać.

Pedantycznie dociągał i wiązał sznurowadła.

- Wszyscy mnie porzucają - biadała Mary Jane. - Jeden po drugim porzucają mnie skurwysyny. Zrobisz ze mną, co zechcesz - zaczęła już płakać. - Tylko zostań do szóstej, do świtu. Do piątej. Ja proszę!

Błagam!

Przez cały wieczór, przez całą noc łyzy. Tak wygląda świat kobiet, pomyślał chłodno zapinając koszulę i wiążąc krawat. Stał teraz przed lustrem i za sobą słyszał szlochanie. Spostrzegł, że włosy ma zmierzwiłone, pozlepiane potem. Szybko wszedł do łazienki.

Tuziny butelek i słoików z perfumami, solami kąpielowymi, kremami, środkami nasennymi. Uczesał się starannie, jak gdyby pragnął zetrzeć ślady minionej nocy.

Kiedy wrócił do sypialni, Mary Jane nie płakała. Wyprostowana siedziała na łóżku. Mierzyła go lodowatym spojrzeniem przymrużonych oczu.

- Ostatnia szansa - rzuciła gniewnie.

- Dobranoc - odpowiedział i włożył marynarkę.

Rzuciła w niego szklanką. Nie uchylił się. Szklanka najpierw trafiła go w czoło, później rozbiła się o lustro wiszące nad kominkiem z białego marmuru.

- Szczeniak - syknęła Mary Jane. - Gówniarz!

Bez słowa wyszedł i wnet cicho zamknął za sobą drzwi apartamentu.

Zadzwoił na windę.

Windziarz był bardzo stary, dobry tylko na rzadkie kursy późną nocą. Kiedy zjeżdżali zgrzytającą kabiną, badawczo przypatrywał się pasażerowi. Czy on liczy gości, pomyślał Rudolf, i o świcie sporządza schludne sprawozdanie?

Winda stanęła, starzec otworzył drzwi.

- Pan krwawi, młody panie - powiedział. - Z czoła.

- Dziękuję.

Windziarz nic więcej nie mówił, a Rudolf minął hall i wyszedł na ulicę. Tam - z dala od ciekawych, starczych oczu - wyjął z kieszeni chustkę i przytknął do czoła. Kiedy ją odjął, była zakrwawiona. Cóż, rany zdarzają się we wszystkich walkach.

Samotny, przy wtórze echa własnych kroków zmierzał w kierunku świateł Piątej Alei. U skrzyżowania podniósł wzrok. Sześćdziesiąta Trzecia Ulica, przeczytał. Zawahał się na moment. Hotel „Saint Moritz” był przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy biegnącej wzdłuż Park Avenue. Pokój 923. Krótka przechadzka wśród orzeźwiającego powietrza brzasku. Ocierając czoło chustką ruszył w stronę hotelu.

Nie miał pojęcia, jak postąpi, kiedy tam się znajdzie. Będzie błagał o przebaczenie... Powie: „Zrobię wszystko, co zechcesz”...

Przyjdą wyznania, samooskarżenie... Oczyszczi się jakoś, zapłaci z miłości, sięgnie do wspomnień, pożądanie przemieni się w czułość, zaśnie spokojnie, zapomni...

Hall był pusty. Nocny portier spojrział nań bez zainteresowania.

Widocznie przywykł do samotnych mężczyzn, którzy późną nocą wracają z pogrążonego we śnie miasta.

- Pokój 923 - powiedział Rudolf do wewnętrznego telefonu.

Słyszał, że telefonistka dzwoni. Po dziesięciu sygnałach odłożył słuchawkę. Czwarta trzydzieści pięć. Ostatnie bary zamknięto przed trzydziestoma pięcioma minutami. Wolno wyszedł z hallu. Samotnie rozpoczął ten dzień i kończy go samotnie. Nie szkodzi.

Zatrzymał taksówkę. Od rana zacznie zarabiać sto dolarów tygodniowo. Może sobie pozwolić na taki środek lokomocji. Podał kierowcy adres Gretchen, lecz szybko zmienił zamiar, kiedy wóz ruszył. Nie miał ochoty na spotkanie z siostrą, a już na pewno nie chciał widzieć jej męża. Walizkę mogą mu odesłać pocztą.

- Przepraszam pana - powiedział kierowcy pochylając się do przodu.
- Grand Central Station.

Nie spał przez dwadzieścia cztery godziny, lecz był przytomny i trzeźwy, gdy o dziewiątej zameldował się u Duncana Calderwooda.

Nie odbił w zegarze kontrolnym swojej karty, która tkwiła w zwykłym otworze. Takie rzeczy miał już za sobą.

ROZDZIAŁ III

Tom ustawił kombinację cyfr w kłódce i otworzył swoją szafkę. Od wielu miesięcy wszystkie szafki w garderobie były wyposażone w kłódki, a członkom klubu zalecano, by portfele deponowali w biurze zarządu, gdzie w zabezpieczonych kopertach przechowywano je w kasie pancерnej. Taki wniosek postawił i przeprowadził Brewster Reed, gdy w niedzielę po południu - w tę niedzielę, gdy Tom pojechał do Port Philip - zginął mu z kieszeni marynarki jego talizman w postaci studolarowego banknotu. Dominik z przyjemnością zawiadomił o tym Toma, gdy ten zgłosił się w następny poniedziałek.

- Teraz wszyscy wiedzą, że to nie ty - powiedział - i nie mogą czepiać się mnie, skurwysyny, że przyjąłem do pracy złodzieja.

W tym czasie Dominik postarał się o dziesięciodolarową podwyżkę dla Toma, który obecnie dostawał czterdzieści pięć dolarów na tydzień.

Tom przebrał się w świeżo uprane dresy i naciągnął bokserskie trzewiki. Stopniowo przejmował od szefa kurs gimnastyki, a po lekcji zazwyczaj ten czy ów członek klubu prosił go o parę rund sparringu. Od Dominika nauczył się walczyć tak, by mimo pozorów agresywności nie robić przeciwnikowi krzywdy a ponadto opanował wystarczającą ilość powiedzonek, dzięki którym członkowie klubu odnosili wrażenie, że naprawdę uczy ich boksu.

Dotychczas nie tknął zdeponowanych w Port Philip czterdziestu dziewięciu setek, a spotykając w garderobie młodego Sinclaira odnosił się doń z całym szacunkiem.

Bardzo polubił lekcje gimnastyki. Inaczej niż Dominik, który tylko wydawał komendy, wykonywał wraz z kursem ćwiczenia - wspięcia, przysiady, jazdę na rowerze, biegi w miejscu, uginanie kolan, skłony na prostych nogach z dotykiem podłogi dłońmi na płask i wszystkie inne. Utrzymywało go to w formie i bawił się dobrze patrząc na pewnych siebie, godnych waśniaków, którzy sapali i ociekali potem. Jego głos nabierał tonów rozkazujących i wydawał się mniej chłopięcy niż dawniej. Wreszcie zaczynał budzić się z rana bez uczucia, że tego dnia spotka go coś złego i całkowicie odeń niezależnego.

Po lekcji gimnastyki Tom wszedł do wysłanego matami pokoju treningowego i zobaczył, że Dominik oraz Greening nakładają rękawice bokserskie. Dominik był przeziębiony i poprzedniego wieczora wypił za dużo. Oczy miał zaczerwienione i ruchy ociężałe, niepewne. W zbyt luźnym dresie wyglądał niezdarnie, a że włosy miał w nieładzie, jego łysina połyskiwała zabawnie w blasku silnych światel pokoju treningowego. Greening -

wysoki jak na swoją wagę - poruszał się niecierpliwie; bokserskimi trzewikami szurał po matach z suchym, napastliwym szelestem. Przy silnym świetle jego oczy wydawały się bardzo jasne, a ostrzyżone na jeża włosy niemal platynowe. Podczas wojny był kapitanem w piechocie morskiej i zdobył kilka wysokich odznaczeń bojowych. Był bardzo przystojny z tym swoim prostym nosem, mocno zarysowaną dolną szczęką i czerstwą cerą i gdyby nie pochodził z rodziny wyższej ponad takie rzeczy, mógłby z powodzeniem kreować główne role w westernach. Od czasu gdy powiedział Dominikowi, że podejrzewa Toma o kradzież dziesięciu dolarów z jego szafki, nie odezwał się słowem do Toma, a obecnie, gdy chłopiec, który umówił się na sparring z kimś z członków klubu, wszedł do pokoju treningowego, Greening nawet nie spojrzał w jego stronę.

- Pomóż no mi, chłopcze - powiedział wyciągając doń rękę Dominik, który uprzednio nałożył rękawice Greeningowi.

Tom wprawnie dociągnął sznurowadła. Dominik spojrzał na duży zegar wiszący nad drzwiami pokoju treningowego, aby upewnić się, że bez odpoczynku nie będzie walczył dłużej niż dwie minuty, poprawił rękawice i ruszył w stronę Greeninga mówiąc:

- Służę, jeżeli szanowny pan gotów.

Greening natarł ostro. Był poprawnym na szkolny sposób zapaśnikiem bez wyobraźni. Wykorzystując swój dłuższy zasięg rąk zadawał ciosy w głowę. Przeziębienie i przepicie dawały znać o sobie. Dominik sapał ciężko już na początku rundy. Popróbował zwarcia, głowę schronił pod brodą przeciwnika i począł bombardować jego dołek - nie za mocno i bez szczególnego entuzjazmu. Nagle Greening odskoczył wstecz i prawą zadał Dominikowi cios prosto w usta.

Gówniana robota, pomyślał Tom, ale nic nie powiedział i nie zmienił się wyraz jego twarzy.

Dominik usiadł na matach, niepewnym ruchem przyłożył rękawicę do zakrwawionych warg. Greening nie kwapił się z pomocą. Odstąpił parę kroków i stojąc z rękami zwisającymi wzdłuż boków, patrzył ciekawie na tamtego. Dominik nie podniósł się, ręce wyciągnął w stronę Toma.

- Ściągnij mi rękawice, chłopcze - powiedział głucho. - Na dziś mam dosyć treningu.

Wszyscy milczeli. Tom nachylił się, rozsznurował rękawice i ściągnął z dłoni szefa. Zdawał sobie sprawę, że stary wyga nie chce, by mu pomagać, więc nic nie robił. Dominik dźwignął się ciężko, otarł usta mankietem bluzy.

- Bardzo szanownego pana przepraszam - powiedział spoglądając na Greeninga. - Czuję się dziś pod psem.

- Zdziałaliśmy niewiele, co? - powiedział Greening. - Trzeba mi było powiedzieć, że pan nie w formie. Nie zawracałbym sobie głowy rozbieraniem. No a ty, Jordach? Kilka razy widziałem cię przy robocie. Poświęcisz mi parę minut?

Jordach, pomyślał Tom. Zna moje nazwisko. Pytając spojrział na szefa. Greening to całkiem inna historia niż brzuchaci, pełni zapału entuzjaści sportu, których przydzielał mu Dominik.

Sycylijska nienawiść zabłysła w półprzymkniętych oczach starego boksera. Nadeszła pora, by podpalić wreszcie pałac obszarnika.

- Jeżeli pan Greening życzy sobie - powiedział cicho, poplując krwią - możesz mu służyć, Tom.

Tom nałożył rękawice, które Dominik jął sznurować; głowę miał pochyloną, nie unosił wzroku, nie odzywał się słowem. Tom czuł, że powracają doń dawne, dobrze znajome odczucia - lęk podniecenie, radość, elektryczne iskierki w rękach i nogach. Nad schyloną głową szefa patrzył z chłopięcym uśmiechem na Greeninga, który odpowiadał mu kamiennym spojrzeniem.

- Gotowi - powiedział Dominik odstępując na bok.

Greening zaatakował zaraz prostym z lewej, trzymając prawą rękę zgiętą pod brodą. Facet z college'u, pomyślał z lekceważeniem Tom, gdy odparował cios i odpowiedział prostym z prawej. Greening był wyższy od niego i miał jakieś osiem do dziewięciu funtów przewagi.

Był też nadspodziewanie zwinny i jego następny cios z prawej trafił Toma w skroń. Tom nie stoczył prawdziwej walki od dnia, gdy w Brooklynie miał nieporozumienie z majstrem, a uprzejme treningi z mało agresywnymi członkami klubu nie przygotowały go do spotkania z takim przeciwnikiem. Greening nieschematycznie pozorował ciosy prawą, a z lewej trafił znów Toma w głowę.

Skurwysyn nie żartuje, pomyślał chłopiec, schylił się, lewy sierp skierował w bok przeciwnika, a błyskawicznym prawym zadał mu cios w głowę. Greening starał się trzymać go na dystans i prawą ręką począł bombardować jego żebra. Był silny. To nie ulegało wątpliwości. Bardzo silny.

Tom zerkał od czasu do czasu w stronę Dominika, zastanawiał się, czy otrzyma jakiś znak. Ale szef stał spokojnie na uboczu, nie dawał żadnych znaków. Niech będzie, pomyślał chłopiec z uczuciem ulgi. No i do diabła z tym, co może stać się później.

Nie odpoczywali ni chwili w ciągu ustalonych zwyczajem dwu minut.

Greening walczył z opanowaniem, brutalnie, wykorzystując swój wzrost i wagę; Tom

poruszał się szybko z całą zawziętością, którą tłumił starannie przez długie miesiące. Przypuszczał atak, stosował wszystkie znane sobie sposoby, uniki, uskoki, nieoczekiwane ciosy. Masz, kapitanie, mówił do siebie bez słów, masz, bogaty draniu, masz, policjancie, za te twoje parszywe dziesięć dolarów. Może ci starczy, co?

Obydwaj krwawili już z nosów i ust, kiedy Tom wymienił cios, który - jak zdawał sobie sprawę - miał być początkiem końca. Greening cofnął się z głupkowatym uśmiechem. Ręce miał nadal podniesione, lecz nieporadnie poruszał nimi w powietrzu. Tom natarł znowu gotów do ostatniego, wielkiego ciosu, ale Dominik stanął nagle pomiędzy nimi.

- Starczy, panowie - powiedział. - To był naprawdę ładny mały sparring.

Greening szybko przyszedł do siebie. Tępy wyraz zniknął z jego oczu, gdy lodowatym spojrzeniem zmierzył Toma.

- Proszę mi zdjąć rękawice - zwrócił się do Dominika i nie powiedział nic więcej, a gdy Dominik wykonał polecenie, wyszedł z pokoju treningowego bardzo prosto i pewnym krokiem.

- Diabli wzięli moją posadę - odezwał się Tom.

- Chyba tak - przyznał szef i zaraz dodał z uśmiechem: - Ale warto było. W każdym razie dla mnie.

Przez trzy dni nic się nie działo. W pokoju treningowym byli wtedy tylko we trzech, a ani Dominik, ani Tom słowem nie wspomnieli o walce nikomu z członków klubu. Można było liczyć, że Greening będzie też milczał i nie poskarży się zarządowi zawstydzony, że łatwo uległ dwudziestoletniemu chłopcu, nad którym góruje znacznie wzrostem oraz wagą.

- Nic jak dotąd - powtarzał Dominik każdego wieczora, kiedy zamykano klub, a następnie stukał w nie malowane drewno.

Wreszcie czwartego dnia Charley, posługacz z garderoby, odszukał Toma.

- Dominik chce cię widzieć w swoim kantorze - powiedział. - Zaraz.

Tom nie zwlekał, a gdy zgłosił się do szefa, ten siedział za stołem i liczył dziewięć dziesięciodolarowych banknotów. Smutno spojrział na niego, kiedy Tom wszedł do kantoru.

- To, chłopcze - powiedział - twoja należność za dwa tygodnie.

Jesteś wolny od zaraz. Dziś po południu było posiedzenie zarządu.

A ja liczyłem, że utrzymam się tutaj przynajmniej rok, pomyślał Tom i schował pieniądze do kieszeni.

- Szkoda, Dom, że nie pozwoliłeś mi na ten ostatni cios - powiedział.

- Aha. Szkoda - przyznał Dominik.

- Czy i ty będziesz miał kłopoty?

- Chyba tak. Ale myśl, chłopcze, o sobie. I jedno zapamiętaj.

Nigdy nie ufaj bogaczom.

Podali sobie ręce. Tom wyszedł z kantoru, zabrał z garderoby swoje rzeczy i nie żegnając się z nikim opuścił budynek klubowy.

ROZDZIAŁ IV

Obudził się dokładnie za piętnaście siódma. Nigdy nie nastawiał budzika. Nie było potrzeby.

Przez parę minut leżał spokojnie w łóżku. Jego matka chrapała w sąsiednim pokoju. Zasłony na otwartym oknie powiewały lekko i w pokoju było bardzo zimno. Białe zimowe światło przenikało szparą między zasłonami i długą ciemną smugą znaczyło książki na regale stojącym pod ścianą przeciwległą do łóżka.

Nie miał to być dzień zwyczajny. Poprzedniego wieczora po zamknięciu domu towarowego Rudolf poszedł do gabinetu Calderwooda i na biurku położył grubą, wypchaną kopertę z pakowego papieru.

Calderwood objął ją podejrzliwym spojrzeniem, odepchnął trochę grubym paluchem.

- Co to takiego? - zapytał.

- Skomplikowana sprawa - odparł Rudolf. - Wolałbym nic nie mówić, póki pan tego nie przeczyta.

- Jakieś nowe wariackie pomysły? - podjął Calderwood, którego zirytowała najwyraźniej grubość koperty. - Znowu namawiasz mnie do czegoś?

- Aha - przyznał Rudolf z uśmiechem.

- Czy wiesz, młodzieńcze, że mój poziom cholesterolu wyraźnie skoczył od czasu, kiedy cię przyjąłem? Poszedł w górę.

- Pani Calderwood raz po raz mnie prosi, abym nakłonił pana do wzięcia urlopu.

- Naprawdę? - starszy pan prychnął gniewnie. - Ona nie wie jednego. Nie wie, że samego nie zostawiłbym cię w firmie nawet na dziesięć minut. Powiedz jej to, kiedy jeszcze raz poprosi, abys nakłonił mnie do wzięcia urlopu.

Ale Calderwood zabrał z sobą grubą nie otwartą kopertę, gdy poprzedniego wieczora wybierał się do domu. Skoro już zacznie czytać, nie przestanie, aż skończy. Tego Rudolf był pewien.

Spokojnie leżał pod kocami w zimnym pokoju. Prawie postanowił, że tego rana nie wstanie wcześniej, że będzie wyobrażał sobie, co i jak powie staremu, kiedy zgłosi się do jego gabinetu. Później pomyślał: A niech to wszyscy diabli! Grunt to spokój. Będę udawał, że to taki sam ranek jak wszystkie inne.

Odrzucił koce, wstał i szybko zamknął okno. Starął się nie drzeć, kiedy zdejmował pidżamę i nakładał gruby ubiór treningowy. Włożył wełniane skarpety i pantofle tenisowe o grubych podeszwach z gumy.

Wreszcie narzucił wełnianą kurtkę w kratę i wyszedł z mieszkania zamknawszy drzwi po cichu, by nie obudzić matki.

Przed domem na chodniku oczekiwał go Quentin McGovern. Był też w ubiorze treningowym, na który naciągnął bardzo obszerny sweter.

Czapka z wełnianej dzianiny zasłaniała mu uszy. Quentin miał czternaście lat i był najstarszym synem w murzyńskiej rodzinie mieszkającej po przeciwnej stronie ulicy. Każdego rana odbywali razem biegi.

- Cześć, Quentin - powitał Rudolf chłopca.

- Cześć, Rudi - odpowiedział. - W takie ranki mama zawsze myśli, że chyba mamy fiola.

- Zmieni zdanie, jak przywieziesz do domu złoty medal olimpijski.

- Ma się rozumieć - uśmiechnął się Quentin. - Jakbym już słyszał to, co wtedy powie.

Szybko skręcili w najbliższą przecznicę i Rudolf otworzył drzwi garażu, w którym wynajmował miejsce. Podszedł do swojego motocykla. Gdzieś w głębi świadomości zamajaczyły wspomnienia.

Inne drzwi, inna mroczna przestrzeń, inna maszyna. Łódka w magazynie, zapach rzeki, sękaty ręce ojca.

Szybko wrócił do Whitby, gdzie nie było rzeki. Stał znów w garażu obok chłopca w ubiorze treningowym. Wytoczył motocykl, naciągnął stare rękawiczki na wełnianej podszewce, wskoczył na siodełko i zapalił silnik. Quentin usadowił się za nim, objął go rękami i ruszyli ulicą, gdzie zimny wiatr wyciskał im łzy z oczu.

W ciągu kilku minut znaleźli się przy uniwersyteckim boisku sportowym. Uczelnia z Whitby zmieniła nazwę. Obecnie był to uniwersytet, nie college. Boisko nie było ogrodzone, ale po jednej stronie miało małe, drewniane trybuny. Rudolf ustawił motor obok trybun, zdjął kurtkę i rzucił ją na siodełko maszyny.

- Lepiej ściągnij sweter - poradził chłopcu. - Przyda się później.

Nie zaziębisz się, w powrotnej drodze.

Quentin spojrzał na boisko. Rzadka, lodowata mgła powstawała nad murawą.

- Może moja matka ma rację - powiedział, ale ściągnął sweter i truchtem ruszyli dokoła wysypanej żużlem bieżni.

W studenckich czasach Rudolf nie miał nigdy czasu na regularne treningi w drużynie lekkoatletycznej college'u. Obecnie bawiła go myśl, że jako zapracowany młody handlowiec może biegać po pół godziny dziennie przez sześć dni w tygodniu. Robił to dla zdrowia i utrzymania formy, ale prawdziwą przyjemność sprawiały mu poranna cisza w mieście, zapach

murawy, odczuwanie zmian pór roku, tupot własnych stóp na twardej bieżni. Biegi rozpoczął samotnie, lecz pewnego rana zobaczył Quentina, który przed jego domem czekał w ubiorze treningowym.

- Proszę pana - powiedział wtedy chłopiec. - Widzę, że pan każdego rana trenuje. Mógłbym biegać z panem?

Rudolf prawie odmówił, bo po całych dniach spędzonych w zatłoczonym domu towarowym odpowiadała mu poranna samotność.

Jednakże Quentin mówił dalej:

- Ja, proszę pana, jestem w naszej drużynie szkolnej. Biegam na czterysta czterdzieści jardów. Poprawię czas, jeżeli będę ćwiczyć regularnie. Pan może do mnie nic nie mówić, proszę mi tylko pozwolić biec obok siebie.

Mówił cicho, z onieśmieniem, więc Rudolf zdawał sobie sprawę, że chłopiec musiał zebrać całą odwagę, by z taką prośbą wystąpić do dorosłego białego mężczyzny, który zaledwie parę razy powiedział mu „dzień dobry”. Ponadto ojciec Quentina pracował w domu towarowym na jednym z samochodów dostawczych. Kolega z pracy, pomyślał Rudolf. Prosty ludzi należy uszczęśliwiać. Demokracja, więc wszyscy demokraci razem.

- Dobra - powiedział. - Chodź ze mną.

Chłopiec uśmiechnął się niepewnie i ruszył za Rudolfem w kierunku garażu.

Dwukrotnie truchtem okrążyli bieżnię, żeby się rozgrzać. Później zrobili sprint stujardowy, znów przeszli w trucht, prędzej przebiegli dwieście dwadzieścia jardów i po kolejnym truchcie zrobili czterysta czterdzieści jardów z niemal pełną szybkością.

Quentin - smukły, długonogi chłopiec - miał ruchy elastyczne i płynne. Jego towarzystwo było pożądane, gdyż dopingował Rudolfa, zmuszał go niejako do wysiłku większego niż przy samotnych biegach. Na zakończenie ponownie dwa razy obiegli truchtem bieżnię, a wreszcie spoceni narzucili wierzchnie odzienie i przez budzące się miasto wrócili na swoją ulicę.

- Zobaczymy się rano, Quen - powiedział Rudolf ustawiając swój motor przy krawężniku.

- Dziękuję - uśmiechnął się tamten. - Do jutra.

Rudolf pożegnał go gestem ręki i wszedł do domu. Lubił tego chłopca. Razem przewyciężyli normalną ludzką słabość w taki zimowy ranek; razem wystawiali się na próbę wobec chłodu, szybkości, czasu. Na okres letnich wakacji wynajdzie Quentinowi jakąś pracę w domu towarowym. Jego rodzinie z pewnością przydadzą się pieniądze.

Mary Pease Jordach nie spała, gdy wszedł do mieszkania.

- Jak tam na dworze? - zapytała.

- Zimno - odpowiedział. - Nic mama nie straci, jeżeli zostanie dziś w domu.

Zgodnie podtrzymywali fikcję, że matka codziennie wychodzi na miasto, jak to robią inne kobiety.

Rudolf poszedł do łazienki, gdzie wziął bardzo gorący natrysk, a później stał przez chwilę pod strumieniami lodowatej wody szczękając zębami. Wycierając się ręcznikiem słyszał, że matka porusza się w kuchence - wyciska sok z pomarańczy, gotuje kawę.

Jej kroki były ciężkie, jak gdyby ktoś włożył worek po kuchennej podłodze. Przypomniawszy sobie sprinty na oblodzonej bieżni i pomyślał: jeżeli kiedyś będę taki, poproszę kogoś, żeby mnie zakatrupił.

Stanął na wadze łazienkowej. Sto sześćdziesiąt funtów. W porządku.

Nie cierpiał ludzi otyłych. W domu towarowym - nie podając prawdziwej przyczyny Calderwoodowi - starał się zwalniać pracowników, którzy mieli zbyt dużą nadwagę.

Natarł się pod pachami dezodorantem. Czekał go przecież długi dzień w domu towarowym, gdzie zimą było zawsze o wiele cieplej.

Później ubrał się w szare flanelowe spodnie, miękką niebieską koszulę z ciemnoczerwonym krawatem i w marynarkę z brązowego tweedu, nie wywatowaną na ramionach. Z początku, kiedy został wicedyrektorem, występował zawsze w ciemnym, oficjalnym garniturze, lecz z biegiem czasu, gdy urastała jego pozycja w firmowej hierarchii, zaczął ubierać się mniej formalistycznie. Był młody jak na zajmowane stanowisko, więc zabiegał usilnie, by nie sprawiać wrażenia ważniaka. Dlatego właśnie kupił motocykl.

Przynajmniej ludzie nie mogli gadać, że zastępca dyrektora, który w każdą pogodę przyjeżdża do pracy z gołą głową i zwichrzonym włosiem to młody człowiek traktujący własną osobę nadmiernie serio.

Oczywiście, stać go było na samochód, ale tak czy inaczej, wołał motor. Dzięki niemu zachowywał świeżą cerę i robił wrażenie kogoś, kto dużo czasu spędza na wolnym powietrzu. Opalenizna - zwłaszcza zimą - dawała mu poczucie wyższości nad otoczeniem bladym przeważnie i o chorobliwym wyglądzie. Rozumiał teraz, dlaczego Boylan stosuje lampę kwarcową. On nie zniży się nigdy do takich metod. To tani sposób, oszukańczy, myślał, rodzaj męskiej kosmetyki bardzo przejrzystej dla osób, które wiedzą coś niecoś o lampach kwarcowych.

Wszedł do kuchni i pocałował matkę na dzień dobry. Uśmiechnęła się po dziewczęcemu. Gdyby zapomniał o pocałunku, musiałby wysłuchać przy śniadaniu długiego

monologu na temat bezsennej nocy i tego, że lekarstwa zapisywane przez doktora to marnotrawienie pieniędzy.

Nie mówił matce, ile zarabia i że doskonale mógłby sobie pozwolić na przeprowadzkę do znacznie lepszego mieszkania. Nie zamierzał przyjmować gości w domu, a swoje pieniądze potrafił wykorzystywać inaczej.

Usiadł przy kuchennym stole, wypił sok pomarańczowy i kawę począł przegryzać grzanką. Matka nie jadła nic. Piła tylko kawę. Włosy miała proste i przerzedzone, a pod oczami odrażające czerwone worki, ale ogólnie biorąc nie wyglądała gorzej niż zazwyczaj w ciągu ostatnich trzech lat. Najprawdopodobniej doczeka dziewięćdziesiątki. Rudolf nie miał jej za złe długowieczności.

Był jedynym żywicielem niedołęznej matki, dzięki czemu uniknął służby wojskowej. Składała synowi ostatni, najcenniejszy dar - chroniła go przed lodowatym bunkrem w Korei.

- Tej nocy - mówiła przy śniadaniu - śnił mi się twój brat, Tom.

Wyglądał tak jak wtedy, kiedy miał osiem lat. Istny chłopiec z kościelnego chóru na Wielkanoc. Wszedł do mojego pokoju i powiedział: „Przebacz mi, przebacz”. - Z żalną miną pociągnęła łyk kawy. - Nigdy dotąd mi się nie przyśnił. Miewasz czasami jakie wiadomości od niego?

- Nie - odpowiedział Rudolf.

- Nic nie ukrywasz przede mną, co?

- Nie. Czemu miałbym coś ukrywać?

- Choć raz chciałabym go zobaczyć, zanim umrę - podjęła. - Ostatecznie to moja krew i kość z kości.

- Nieprędko umrzesz, mamó.

- Może i nieprędko. Jestem przekonana, że jak nadejdzie wiosna, poczuję się znacznie lepiej. Będziemy mogli chodzić wtedy na spacer.

- To bardzo miła wiadomość. - Rudolf dopił kawę, wstał od stołu i na do widzenia pocałował matkę. - Zajmę się dzisiejszym obiadem - dodał. - Zakupy zrobię w drodze powrotnej do domu.

- Tylko nie mów, co kupisz - uśmiechnęła się zalotnie. - Niech to będzie niespodzianka.

- Dobrze, mamó - powiedział. - Sprawię ci niespodziankę.

Rudolf kupował po drodze poranne gazety i kiedy przybył do firmy, strażnik nocny był jeszcze na służbie u wejścia dla personelu.

- Dzień dobry, Sam - powitał go Rudolf.

- Sie masz, Rudi - odpowiedział tamten.

Rudolf wymagał, by starzy pracownicy pamiętający jego pierwszy dzień w domu towarowym mówili mu po imieniu.

- Ranny ptaszek z ciebie - podjął strażnik nocny. - Jak byłem w twoim wieku, nie można mnie było wywlec z łóżka w taki ranek jak dzisiaj.

Właśnie dlatego, Sam, w twoim wieku jesteś strażnikiem nocnym, pomyślał Rudolf, ale uśmiechnął się tylko i przez senne, słabo oświetlone piętra poszedł do swojego pokoju.

Był to pokój schludny i pusty. Stały w nim dwa biurka - jedno jego, drugie sekretarki, panny Giles, energicznej, niezamężnej kobiety w średnim wieku. Na półkach leżały porządnie ułożone komplety czasopism - amerykańskie i francuskie wydanie „Vogue”, „Seventeen”, „Glamour”, Harper's Bazaar”, „Esquire”, „House and Garden” - które Rudolf przeglądał szukając pomysłów dla rozmaitych działów domu towarowego. Charakter miasta zmieniał się szybko.

Nowi ludzie przybywający z Nowego Jorku mieli pieniądze i wydawali je hojną ręką. Dawnym mieszkańcom Whitby powodziło się ostatnio lepiej niż kiedykolwiek dawniej, więc pomału zaczęli naśladować bardziej wybredne gusta świeżych przybyszów. Calderwood z uporem prowadził działania opóźniające przemianę jego firmy z solidnego zakładu dla drobnomieszczactwa w coś, co nazywał jarmarcznym kramem z diabli wiedzą jakimi faramuszkami. Ale z bilansem i rachunkiem strat i zysków nie sposób było walczyć, więc Rudolf przepychał innowacje jedną po drugiej i z miesiąca na miesiąc łatwiej mu było wprowadzać w czyn swoje pomysły. Po blisko rocznej opozycji Calderwood zgodził się nawet, by przepierzeniem oddzielić część zbyt obszernej pakowni i urządzić tam dział spirytualii z dużym wyborem francuskich win, które Rudolf typował osobiście dzięki wiedzy, jaką zawdzięczał wieloletnim naukom Boylana.

Boylana nie widział od dnia ukończenia studiów. Ostatniego lata dwukrotnie telefonował do niego proponując wspólny obiad, jednakże Boylan odmawiał zwięźle i stanowczo. Co miesiąc wysyłał mu czek na sto dolarów, jako częściową spłatę pożyczonych niegdyś czterech tysięcy. Boylan nigdy nie realizował czeków, lecz Rudolf sądził, że może to kiedyś zrobić hurtem, więc dbał troskliwie o odpowiednio wysokie saldo na swoim rachunku bankowym.

Nieczęsto myślał o Boylanie, ale gdy mu się to zdarzało, uprzytamniał sobie, że dla starszego pana odczuwa pogardę dziwnie połączoną z wdzięcznością. Z takimi pieniędzmi, z absolutną swobodą, myślał, on nie ma prawa być tak jak jest nieszczęśliwy.

Uważał to za niewątpliwą słabość, a że wszelkie jej objawy tępił w sobie, nie miał pod tym względem wyrozumienia dla innych. Willie Abbott i Teddy Boylan, myślał, to para w sam raz dobrana.

Na biurku rozłożył gazety - miejscową „Record” i nowojorskie wydanie „Timesa” dostarczane pierwszym pociągiem porannym. „Times” donosił na pierwszej stronie o ciężkich walkach wzdłuż trzydziestego ósmego równoleżnika oraz o nowych zarzutach zdrady i działalności antyamerykańskiej, jakie senator McCarthy podnosił w Waszyngtonie.

„Record” informował na pierwszej stronie o głosowaniu nad wnioskiem w sprawie nowego podatku na rzecz funduszu szkolnego (odrzuconym w rezultacie) oraz o liczbie narciarzy, jacy korzystają ostatnio z świeżo uporządkowanych terenów zjazdowych.

Każde miasto ma swoje własne zainteresowania.

Rudolf zaczął przeglądać wewnętrzne strony miejscowego dziennika.

Półkolumnowe, dwubarwne ogłoszenie domu towarowego, zachwalające nowy dział ubiorów wełnianych i swetrów, zostało wykonane niechlujnie, gdyż kolory rozlały się szerzej, niż powinny. Szybko zanotował na podręcznym bloku, że jeszcze dziś musi zatelefonować do redakcji.

Następnie zajął się „Timesem”, a ściślej, stroną poświęconą notowaniom giełdowym, które studiował przez dobrych piętnaście minut. Kiedy oszczędził pierwszy tysiąc dolarów, zwrócił się do Johna Heatha z prośbą, by zechciał ulokować tę kwotę w jego imieniu. Młody makler, który nierzadko otrzymywał zlecenia sięgające milionów, przystał z całą powagą, a następnie o transakcje Rudolfa dbał tak, jak gdyby chodziło o jednego z najlepszych klientów firmy. Jego aktywa były wciąż niewielkie, lecz rosły stale i po zapoznaniu się z ostatnimi notowaniami giełdowymi Rudolf stwierdził z zadowoleniem, że na papierze jest tego rana o prawie trzysta dolarów bogatszy niż poprzedniego.

Pobożnie i dziękczynnie westchnął na myśl o dobrym przyjacielu, jakim jest Johnny Heath, a później wyjął pióro i zajął się krzyżówką. Były to dlań jedne z najmilszych chwil w ciągu dnia.

Jeżeli powiodło mu się rozwiązać całą krzyżówkę do dziewiątej, kiedy dom towarowy otwierano, rozpoczynał pracę z uczuciem zadowolenia i triumfu.

14 poziomo. „Uriasz” wpisał w odpowiednie kratki drukowanymi, dużymi literami.

Dobiegał końca krzyżówki, gdy zabrzączał telefon. Rudolf spojrzął na zegarek. Centralka wcześniej rozpoczęła pracę, pomyślał z uznaniem.

- Słucham? - powiedział podniósłszy słuchawkę lewą ręką i wpisał „wszędobylski” do jednej z pionowych kolumn.

- Jordach? To ty?

- Tak. Kto mówi?

- Denton. Profesor Denton.

- Aa... Moje uszanowanie, panie profesorze.

„Zrównoważony”, zastanawiał się, dziewięć liter, trzecia „a”.

- Bardzo mi przykro, że ci zawracam głowę - ciągnął Denton dziwnie brzmiącym głosem, jak gdyby szeptał i bał się, że go ktoś podsłucha - ale czy mógłbym zobaczyć się z tobą dziś w ciągu dnia?

- Oczywiście - powiedział Rudolf i w ostatniej poziomej kolumnie krzyżówki wydrukował „stateczny”. - Przez cały dzień jestem w domu towarowym.

Głos w słuchawce jak gdyby się zachłysnął.

- Wolałbym spotkać się z tobą nie w domu towarowym. Czy masz przerwę na lunch?

- Tak. Czterdzieści pięć minut.

- To świetnie. Zjemy lunch razem gdzieś niedaleko ciebie. - Denton był zdyszany, śpieszył się najwyraźniej, a na uczelni mówił zawsze powoli i dźwięcznie. - Może u Ripleya, co? To tuż za skrzyżowaniem z najbliższą przecznicą.

- Dobrze - zgodził się Rudolf. - Odpowiada panu profesorowi dwunasta piętnaście?

Zdziwiła go propozycja Dentona, gdyż zakład Ripleya był raczej szynkiem niż restauracją. Uczęszczali tam głównie suszeni przez pragnienie robotnicy, nie ludzie chcący posilić się przyzwocie. Z pewnością nie był to lokal odpowiedni dla starszawego profesora historii i ekonomii.

- Stawię się punktualnie. I dziękuję ci, Jordach, bardzo dziękuję.

Jesteś dla mnie nader uprzejmy. - Denton śpieszył się coraz bardziej. - A więc do dwunastej piętnaście. Nie potrafię wyrazić, jak wysoko cenię... - urwał, jak gdyby przerwał połączenie nie dokończywszy zdania.

Rudolf zmarszczył czoło. Zastanawiał się przez chwilę, co może dręczyć Dentona. Później odłożył słuchawkę. Spojrzał na zegarek.

Punkt dziewiąta. Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła jego sekretarka.

- Dzień dobry panu - powiedziała.

- Dzień dobry, panno Giles - odpowiedział i zły wepchnął „Timesa” do kosza na śmiecie.

Przez Dentona nie rozwiązał całej krzyżówki do dziewiątej.

Wstał i wyszedł, by odbyć pierwszą poranną rundę po domu towarowym. Szedł wolno, nie zatrzymywał się ani reagował w inny sposób, gdy bystrym okiem dostrzegł coś nie

w porządku. Później, kiedy wróci do swojego pokoju, podyktuje uprzejmie pro memoria do kierowników odpowiednich działów. Że krawaty wystawione do sprzedaży na ladzie nie były ułożone dość starannie. Że panna Kale z działu kosmetyków ma przesadnie podmalowane oczy. Że w herbaciarni i barku z napojami chłodzącymi wentylacja nie działa prawidłowo.

Szczególnie interesowały go działy, których nie było w domu towarowym, póki on nie skłonił Calderwooda do ich uruchomienia.

Mały butik, gdzie zadziwiająco wysoki obrót przynosiły włoskie swetry, francuskie szaliki, sztuczna biżuteria, futrzane czapki.

Herbaciarnia i barek z napojami chłodzącymi, które nie tylko dawały znaczne zyski (to dziwne, że kobiety muszą coś jeść jak dzień długi), lecz również jako miejsce spotkań miejscowych pań domu nakłaniały je do wielu rozmaitych zakupów. Urządzone w kącie starego działu sportowego specjalne stoisko narciarskie, gdzie królował atletycznie zbudowany młody człowiek nazwiskiem Larsen. W zimowe niedziele Larsen urzekał dziewczęta z Whitby na stokach pobliskich wzgórków, a biorąc pod uwagę obroty, jakie stoisko zawdzięczało jego kilku zjazdom raz w tygodniu, był opłacany haniebnie nisko. Larsen proponował Rudolfowi, że nauczy go jazdy na nartach, ale młody zastępca dyrektora odmówił z uśmiechem. Nie może pozwolić sobie na złamanie nogi, wyjaśnił.

Kiosk z płytami gramofonowymi - młody specjalistyczny dział uruchomiony znacznym kosztem - był również pomysłem Rudolfa.

Calderwood stawiał stanowczy opór, bo nienawidził hałasu i nie wytrzymał sposobu bycia przeważającej części młodzieży. Jego trzy córki - dwie już dorosłe i najmłodsza, anemiczna nastolatka - zachowywały się z istic wiktoriańską, przykłądną skromnością. „Nie chcę prowadzić żadnego tam bałaganu - mawiał w swoim czasie. - Nie myślę deprawować amerykańskiej młodzieży przy pomocy hałasów, jakie w obecnych czasach uchodzą za muzykę. Odczep się, Jordach.

Zostaw w spokoju biednego kupca starej daty”.

Jednakże Rudolf przedstawiał statystyki obrazujące, jak wiele dolarów młodzież amerykańska wydaje corocznie na płyty, a ponadto obiecywał, że dla kiosku zbuduje się dźwiękochłonne pomieszczenie, więc w rezultacie Calderwood skapitulował jak zwykle. Często sprawiał wrażenie, że irytują go pomysły Rudolfa, ale Rudolf był niezwykle cierpliwy, zawsze wyszukanie uprzejmy dla starszego pana i w większości przypadków potrafił nim kierować. Natomiast prywatnie Calderwood pysznił się swoim beniaminkiem, młodym zastępcą dyrektora, i pod niebiosa wynosił własny rozum, dzięki któremu wybrał takiego chłopca z całej czeredy. Nie proszony podwoił wkrótce jego pensję, a na Boże Narodzenie

wyasygnował mu premię w kwocie trzech tysięcy dolarów. „Chłopak modernizuje nie tylko firmę - powiedział nieraz, lecz nigdy w obecności Rudolfa. - Mnie też modernizuje, skurczybyk! A prawdę rzekłszy, po to właśnie przyjąłem takiego młodzika”.

Raz w miesiącu Rudolf bywał zapraszany do domu Calderwoodów na obiad - ponurą, purytańską ceremonię, podczas której córki nie odzywały się nie pytane i nie podawano nic mocniejszego niż sok z jabłek. Prudence - najstarsza i zarazem najładniejsza z dziewcząt - kilkakrotnie proponowała Rudolfowi, by towarzyszył jej na klubowe zabawy taneczne. Robił to, ale ręce trzymał czujnie przy sobie, chociaż Prudence z dala od ojca zachowywała się mniej po wiktoriańsku. Nie miał zamiaru uwikłać się w coś równie banalnego i niebezpiecznego jak małżeństwo z córką pryncypała.

Nie myślał zenić się z nikim. Na to przyjdzie czas później. Przed trzema miesiącami otrzymał zaproszenie na ślub Julii. W Nowym Jorku wychodziła za kogoś, kto nazywa się Fitzgerald. Nie pojechał oczywiście i czuł łyzy w oczach, kiedy układał tekst depeszy gratulacyjnej. Był zły na siebie za tę słabość, więc tym bardziej zagrzebał się w pracy i zdołał prawie zapomnieć o Julii.

Lękał się wszystkich innych kobiet. Nieraz, kiedy spacerował po domu towarowym, dokładnie zdawał sobie sprawę, że ta czy inna uśmiecha się doń kusząco i nader chętnie przystałaby na randkę.

Kruczowłosa panna Sullivan z butiku, wysoka i smukła panna Brandywine z działu garderoby młodzieżowej, panna Soames z kiosku z płytami - niska blondynka, o ładnie zarysowanym biuście, która podrygiwała w takt muzyki i uśmiechała się zalotnie, kiedy przechodził. Było ich więcej, zapewne jeszcze sześć lub siedem. Ma się rozumieć, nie był wolny od pokus, lecz zwalczał je stanowczo i wszystkie dziewczęta traktował z jednakową, oficjalną uprzejmością. Calderwood nie urządzał zabaw dla personelu, więc nie trafiały się okazje, by przy trunkach i świątecznym nastroju mogło dojść do prawdziwego zbliżenia.

Przygody w Nowym Jorku - noc z Mary Jane i nieudany telefon z wyludnionego hallu w hotelu „Saint Moritz” - opancerzały Rudolfa przeciwko własnym pożądaniam.

Jednego był pewien. Następnym razem poprosi dziewczynę o rękę tylko wówczas, gdy będzie diablo pewien przychylniej odpowiedzi.

Kiedy w powrotnej drodze mijał kiosk z płytami, zanotował w pamięci: Poprosić którąś z pracownic w starszym wieku, by taktownie zwróciła uwagę pannie Soames, że pod bluzką z dzianiny winna nosić biustonosz.

Rudolf i Bergson - młody człowiek, który przygotowywał dekoracje wystaw -

przeglądali rysunki okien na marzec, gdy zabrzączał telefon.

- Rudi, mógłbyś wpaść do mnie na parę minut? - Głos Calderwooda był obojętny, nie świadczył o niczym.

- Już idę, proszę pana - powiedział Rudolf i odłożył słuchawkę. - Tę robotę musimy odłożyć na później - zwrócił się do Bergsona.

Ten młody człowiek był wielkim odkryciem. Latem przygotowywał oprawę sceniczną dla teatru w Whitby. Dekoracje podobały się Rudolfowi, więc zwrócił się do młodego plastyka i zaproponował mu na zimę pracę w charakterze projektanta okien wystawowych domu towarowego Calderwooda. Zanim pojawił się Bergson, załatwiano te sprawy bez żadnego planu. Poszczególne działy walczyły o miejsce, a następnie robiły swoje, nie dbając zupełnie, jak prezentują się pozostałe okna. Wszystko zmienił Bergson - smutny, młody mężczyzna, który nie mógł dostać się do nowojorskiego związku scenografów. Był wdzięczny za zimową pracę i poświęcał jej cały swój niepośledni talent. Przywykł projektować oszczędnie dla sezonowego teatru, więc umiał korzystać z różnych niewiarygodnie tanich materiałów i sam wykonywał prace dekoratorskie.

Projekty rozłożone na biurku Rudolfa miały za ogólny temat wiosnę na wsi i Rudolf zdążył już powiedzieć Bergsonowi, że jego zdaniem dom towarowy nigdy nie miał równie dobrego kompletu okien wystawowych. Mimo posępnego usposobienia Bergsona, Rudolf lubił spędzane z nim godziny i wołał je bezsprzecznie od godzin spędzanych w towarzystwie kierowników poszczególnych działów, a zwłaszcza szefa finansów i księgowości. Sądził, że przy idealnej organizacji nie powinien dotykać arkuszy bilansowych ani przeglądać miesięcznych sprawozdań.

Drzwi gabinetu pryncypała były otwarte i Calderwood zaraz zobaczył Rudolfa.

- Chodź, Rudi, chodź - powiedział - i zamknij drzwi za sobą.

Arkusze z koperty zalegały obecnie biurko.

- Rudi - rozpoczął Calderwood łagodnym tonem - jesteś najbardziej zadziwiającym młodym człowiekiem, jakiego udało mi się spotkać w życiu.

Rudolf nic nie odpowiedział.

- Kto więcej to widział? - zapytał tamten i przesunął ręką nad leżącymi na biurku papierami.

- Nikt.

- Kto to przepisał na maszynie? Panna Giles?

- Ja sam. W domu.

- O wszystkim myślisz, prawda? - Ton głosu starego nie zabrzmiał nutą przygany, ale

nie było w nim też nuty uznania.

Rudolf milczał nadal.

- Kto ci powiedział, że jestem właścicielem trzydziestu akrów gruntu w pobliżu jeziora? - padło kolejne pytanie.

Nominalnie tereny te należały do pewnej spółki z siedzibą w Nowym Jorku. Trzeba było całego sprytu Johna Heatha, aby wypenetrować, że za szyldem spółki ukrywa się prawdziwy właściciel - Duncan Calderwood.

- Niestety, proszę pana, na to nie mogę odpowiedzieć - odrzekł Rudolf.

- Nie mogę, nie mogę - powtórzył Calderwood nie bez rozdrażnienia.

- Chłopiec nie może na to odpowiedzieć! „Milczące pokolenie”, jak pisał kiedyś „Time”. Rudi, od pierwszego dnia naszej znajomości nigdy nie przyłapałem cię na łgarstwie, więc spodziewam się, że nie będziesz kłamał i teraz.

- Nie będę kłamał, proszę pana.

Calderwood odepchnął rozłożone na biurku arkusze.

- Czy to jakaś machinacja, żeby mnie podejść? - zapytał.

- Nie, proszę pana. To szereg sugestii, w jaki sposób mógłby pan wykorzystać swoją pozycję i różnego rodzaju aktywa; w jaki sposób mógłby pan urosnąć wraz z miastem, zyskać na podstawie przepisów podatkowych, a jednocześnie zabezpieczyć majątek dla małżonki i córek po pańskim najdłuższym życiu.

- Ile tu stron maszynopisu? - podjął tamten. - Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt?

- Pięćdziesiąt trzy.

- Aha... I to ma być szereg sugestii. Sam je wszystkie wymyśliłeś?

- Tak, proszę pana - potwierdził Rudolf.

Nie uważał za stosowne poinformować Calderwooda, że przez miesiące drenował mózg Johna Heatha, który w niemałej mierze jest współautorem szerokiego planu.

- Dobrze. Niech będzie - burknął pryncypał. - Przejrzę to, wezmę pod rozwagę.

- Jeżeli wolno mi wyrazić swoje zdanie, to sądzę, proszę pana, że winien pan pomówić ze swoimi adwokatami w Nowym Jorku i z bankierami.

- A co ty wiesz o moich adwokatach? - zapytał podejrzliwie Calderwood.

- Proszę pana, przecież pracuję u pana od bardzo dawna.

- Racja! Ale przypuśćmy, że przestudiuję to dokładniej, zgodzę się, no i cały cholerny interes załatwię tak, jak ty proponujesz.

Przypuśćmy, że roztrąbię sprawę, rozkręcę emisję udziałów, zapożyczę się w bankach, no i wybuduję ten twój ośrodek handlowy.

Z teatrem! Jak skończony idiota. Przypuśćmy, że zrobię to wszystko. I co? Na co ty liczysz?

- Liczę, że przy panu, jako prezesie zarządu spółki, ja zostanę naczelnym dyrektorem i otrzymam stosowną pensję, a także opcję na prawo pierwokupu określonego pakietu udziałów w ciągu najbliższych pięciu lat - powiedział Rudolf i dodał bez słów: Poczciwy, stary Johnny Heath. Mówił: „Nie rozpraszaaj się”, mówił: „Myśl na wielką skalę”. - Sprowadzę też zastępcę, który przejmie moje obecne obowiązki, kiedy będę zajęty w inny sposób. - O tej posadzie napisał już do Brada Knighta przebywającego w Oklahomie.

- Aha... Wszystko zaprojektowałeś z góry. Wszystko! Prawda, Rudi?

- Tym razem głos pryncypała brzmiał wyraźnie wrogo.

- Nad tym planem pracowałem przeszło rok - odparł spokojnie Rudolf. - Staralem się nie pominąć niczego.

- A jeżeli odmówię? Jeżeli cały ten stos papieru odłożę ad acta?

Co wtedy zrobisz, Rudi?

- Obawiam się, że będę musiał podziękować panu za pracę z końcem roku i rozejrzeć się za czymś rokującym mi lepszą przyszłość.

- Długo radziłem sobie bez ciebie - powiedział Calderwood. - Poradzę sobie i teraz.

- Oczywiście. Poradzi pan sobie.

Calderwood spojrzał posepnie na blat biurka, z całego pliku wybrał jeden arkusz i objął go szczególnie niechętnym wzrokiem.

- Teatr! - rzucił gniewnie. - Mamy już w mieście jeden teatr.

- Który będzie zburzony w przyszłym roku - dokończył Rudolf.

- Nie zasypiasz gruszek w popiele, co? To ma być podane do wiadomości nie wcześniej niż w lipcu.

- Ktoś zawsze mówi - powiedział Rudolf.

- Na to wygląda. A ktoś inny słucha. Prawda, Rudi?

- Tak jest, proszę pana - uśmiechnął się Rudolf.

Wreszcie Calderwood zdobył się również na uśmiech.

- I słuchanie uaktywnia Jordacha.

- To absolutnie nie mój styl. I pan zdaje sobie z tego sprawę.

- Tak. Zdaję sobie z tego sprawę. Przykro mi, że coś takiego powiedziałem. Wracaj do swojej roboty, Rudi. Niedługo będziesz miał ode mnie wiadomości - zakończył rozmowę Calderwood.

Siedział zapatrzony w rozłożone na biurku arkusze, gdy Rudolf wychodził z jego

gabinetu, aby bez pośpiechu odbyć spacer pomiędzy stoiskami. Wyglądał bardzo młodo i jak zwykle uśmiechał się łagodnie i życzliwie.

Plan, który Rudolf przedstawił Calderwoodowi, był obszerny, zawiły i wszystkie punkty uzasadniał wyczerpująco. Miasto rozrastało się w kierunku jeziora i - co ważniejsze - sąsiednie, o dziesięć mil odległe miasto Cedarton, połączone z Whitby nową szosą, rozrastało się również w kierunku jeziora. Podmiejskie ośrodki handlowe wyrastały jak Ameryka długa i szeroka, więc ludzie przyzwyczajali się stopniowo do załatwiania tam większości swoich zakupów.

Trzydzieści akrów Calderwooda zajmowało strategiczne położenie jako przyszły rynek skupiający handel dla obydwu miast oraz licznych, stosunkowo zamożnych osiedli powstających na brzegach jeziora. Jeżeli Calderwood sam nie podejmie odpowiednich kroków, ktoś czy też jakaś spółka skorzysta z okazji, zagarnie zyski i w drastyczny sposób zmniejszy obroty domu towarowego w Whitby. A zatem Calderwood zamiast pozwolić, by podminowała go konkurencja, winien sam konkurować - nawet po części z własną firmą.

W swoich planach Rudolf znajdował miejsce dla dobrej restauracji oraz teatru, aby przyciągać konsumentów również w godzinach wieczornych. Co prawda okoliczna ludność przywykła do letnich sezonów teatralnych, ale zimą budynek mógłby przynosić dochód jako kino. Proponował również wybudowanie niezbyt kosztownej dzielnicy willowej wzdłuż jeziora i zalecał, by bagniste nieużytki stanowiące część terenów Calderwooda wykorzystać na potrzeby lekkiego przemysłu.

Dzięki naukom Johna Heatha Rudolf był w stanie przedstawić korzyści prawne, jakie da przedsięwzięcie takiego rodzaju. Był pewien; że projekt utworzenia spółki akcyjnej ostatecznie załamie starego. Realna wartość i wysoka dochodowość najpierw domu towarowego, a następnie nowego ośrodka zapewni wygórowaną cenę emisyjną dla akcji. A po śmierci Calderwooda jego spadkobierczynie, żona i trzy córki, nie będą musiały pozbyć się przedsiębiorstwa katastrofalnie tanio, by zapłacić podatek spadkowy, lecz po prostu sprzedadzą część udziałów pozostawiając sobie portfel kontrolny spółki.

W toku pracy nad swoim planem i grzebania się w szczegółach prawa handlowego, spadkowego i hipotecznego Rudolf bawił się cynicznie, odkrywając, jak w systemie amerykańskim pieniądź potrafi sam się bronić. Nie miał oporów moralnych przeciwko interpretowaniu przepisów prawnych na własną korzyść. Gra ma swoje zasady.

Trzeba je poznać i stosować. Gdyby obowiązywały inne zasady, należałoby stosować te inne.

Profesor Denton oczekiwał Rudolfa w barze, onieśmielony i nie na miejscu pośród innych gości, wyglądających tak, jak gdyby żaden z nich nie znajdował się nigdy bodaj w pobliżu wyższej uczelni.

- To ładnie, Jordach, że przyszedłeś - rozpoczął śpiesznie, przytłumionym głosem. - Bardzo ładnie z twojej strony... Ja piję whisky. Można ci coś zamówić?

- Dziękuję. W ciągu dnia nie pijam - odpowiedział Rudolf i przykro mu się zrobiło, bo zabrzmiało to nutą przygany dla kogoś, kto pije kwadrans po dwunastej.

- Słusznie - zgodził się Denton. - Najzupełniej słusznie. Trzeba zachować jasność myśli. Ja też zazwyczaj czekam do końca godzin pracy, ale... - Ujął Rudolfa pod ramię. - Może usiadzimy, dobrze?

- Niepewnym ruchem ręki wskazał ostatnią z rzędu łóżę pod ścianą naprzeciw bufetu. - Wiem, że niedługo musisz zmykać.

Bufetowemu zapłacił bilonem odliczonym skrupulatnie i trzymając Rudolfa pod rękę powiodł go w stronę wybranej łóży. Usiedli naprzeciw siebie i sięgnęli po dwa zatłuszczone jadłospisy.

- Proszę o zupę i hamburgera - zwrócił się Denton do kelnerki. - I filiżankę kawy. Co dla ciebie, Jordach?

- To samo - powiedział Rudolf.

Kelnerka otworzyła bloczek i zamówienie wypisała z takim trudem, jak gdyby analfabetyzm był jej spuścizną rodzinną. Miała około sześćdziesiątki, a jej klockowata figura i siwe włosy kontrastowały rażąco z wymyślnym mundurkiem pomarańczowego koloru i przesadnie zalotnym, miniaturowym fartuszkiem z koronki. To podeszły wiek składał ukłon młodocianym nastrojom współczesnej Ameryki. Kostki miała spuchnięte i ciężko powłóczyła nogami, odchodząc z wolna w stronę kuchni. Rudolf wspomniał swoją matkę i jej nie zniszczone nigdy marzenia o zacisznej, przytulnej restauracyjce ze świecami na stolikach. Cóż, ona uniknęła przynajmniej mundurka w pomarańczowym kolorze.

Denton pochylił się nad blatem stolika. Oczy miał zatroskane i nad miarę powiększone przez grube szkła okularów w metalowej oprawie.

- Wybornie radzisz sobie, Jordach - rozpoczął i niecierpliwym ruchem ręki uprzedził możliwe protesty. - Słyszysz się to i owo, słyszysz. Otrzymuję wiadomości z rozmaitych źródeł. Na przykład od mojej żony. To wierna, stała klientka. Trzy razy tygodniowo odwiedza wasz dom towarowy. Musisz widywać ją czasami, prawda?

- Tak. W ubiegłym tygodniu spotkałem panią Denton.

- Ona powiada, że wasze przedsiębiorstwo rozwija się, kwitnie, tętni bujnym życiem. Jest bardzo wielkomięjskie, pełne przeróżnych nowości. A ludzie lubią kupować nowości i, jak się zdaje, mają dziś pieniądze. Wszyscy, z wyjątkiem profesorów college'u. - Denton skrzywił się z niesmakiem, zmarszczył czoło. - Mniejsza z tym. Nie przyszedłem tu, żeby utyskiwać. Z całą pewnością, Jordach, postąpiłeś słusznie nie podejmując pracy na naszym wydziale. Świat akademicki roi się od przeróżnych zazdrości, knowań, podstępnych intryg. Trzeba poruszać się w nim ostrożnie, niby ktoś, kto stąpa po jajkach. Lepszy jest świat interesów. Nic darmo. Płacę i wymagam. Pożeram albo jestem pożerany. Sama szczerłość, prawda?

- No, niezupełnie tak to wygląda - wtrącił łagodnie Rudolf.

- Niezupełnie tak to wygląda. Oczywiście! - zgodził się Denton. - Charaktery ludzkie normują wszystko, modelują. Nie wolno nazbyt sztywno trzymać się teoretycznych reguł, bo wtedy traci się z oka rzeczywistość, prawdziwy kształt życia. W każdym razie cieszę mnie twoje sukcesy i jestem pewien, że nie idziesz na kompromis z wpojonymi ci zasadami. Nigdy i w żadnym przypadku.

Kelnerka przyniosła zupę. Profesor zanurzył łyżkę w talerzu i perorował dalej:

- Tak... Gdybym mógł rozpocząć życie od nowa, unikałbym jak ognia szacownych murów obrosłych bluszczem. Za ich sprawą stałem się człowiekiem, jakiego widzisz przed sobą. Człowiekiem o ciasnym umyśle, zgorzkniałym, rozczarowanym tchórzem...

- Nie powiedziałbym tego o panu - wtrącił znów Rudolf.

Zdziwiła go taka charakterystyka własna Dentona. Zawsze uważał profesora za naukowca, który ma o sobie wysokie mniemanie, który rad popisuje się przed młodocianym audytorium osobistymi poglądami na gospodarcze bezpieczeństwo.

- Żyję pośród obaw i grozy - podjął Denton między jedną łyżką zupy a drugą. - Pośród obaw i grozy!

- Jeżeli mógłbym pomóc w czymś panu profesorowi, to z całą chęcią - zaczął Rudolf.

- Poczciwa dusza z ciebie, Jordach - przerwał mu tamten. - Poczciwa dusza. Od razu zwróciłem na ciebie uwagę. Chłopiec poważny pośród lekkoduchów. Współczujący pośród bezlitosnych.

Poszukiwacz wiedzy tam, gdzie inni gonią jedynie za karierą. Przez lata obserwowałem cię z uwagą. Daleko zajdziesz, Jordach.

Wspomnisz moje słowa. Od dwudziestu lat uczę młodych ludzi, tysiące młodych ludzi. Chłopcy nie mają dla mnie sekretów. Ich przyszłość nie stanowi dla mnie niewiadomej. Wspomnisz moje słowa, Jordach.

Profesor skończył zupeł. Nadeszła kelnerka, postawiła przed nim hamburgery i kawę.

- I zajdziesz daleko nie depcząc bezwzględnie bliźnich - podjął Denton atakując widelcem hamburgera. - Ja znam twój umysł, znam twój charakter. Pilnie obserwowałem cię przez lata. Masz swój kodeks moralny i poczucie honoru, i wysokie standardy umysłowe i duchowe. Te moje stare oczy nie przegapiają wiele na sali wykładowej i gdzie indziej.

Rudolf jadł w milczeniu. Czekał na przycichnięcie nurtu pochwalnych tyrad, gdyż zdawał sobie sprawę, że Denton musi mieć doń wielką prośbę, skoro jest tak wylewny, nim wyjawi, o co mu chodzi.

- Przed wojną - ciągnął profesor z pełnymi ustami - częściej trafiali się młodzi ludzie twojego pokroju. Rozumni. Godni zaufania. Uczciwi. Dziś większość z nich nie żyje. Polegli w rozmaitych miejscach, których nazw przeważnie nie pamiętamy. A obecne pokolenie... - bezradnie rozłożył ręce. - Obecne pokolenie jest wyrachowane, bezwzględne, patrzy tylko, by coś dostawać za nic. To obłudnicy! Zdumiałbyś się, Jordach, gdybym ci powiedział, jak wiele oszustw znajduje się w każdym komplecie prac seminaryjnych. Ach, gdybym miał pieniądze, uciekłbym stąd zaraz, zamieszkał na jakiejś wyspie. - Nerwowo spojrzął na zegarek. - Czas nagli, jak zawsze. - Z miną spiskowca rozejrzał się po mrocznej sali; przyległa łoża była wolna, a kilku mężczyzn wspartych o ladę bufetu znajdowało się poza zasięgiem głosu. - Trzeba przejść do sedna sprawy. - Zniżył głos jeszcze bardziej, pochylił się nad blatem stolika. - Jestem w opałach, Jordach.

Poprosi mnie o adres ginekologa, który robi skrobanki, pomyślał Rudolf i oczyma wyobraźni zobaczył nagłówki w dziennikach: „Miłość po akademicku”, „Dziwna historia profesora historii i studentki”, „Znany lekarz w areszcie”. Starał się zachować obojętny wyraz twarzy i dalej jadł spokojnie. Ziemniaki były paćkowate, mięso szare i rozgotowane.

- Słyszałeś, co powiedziałem? - zapytał szeptem Denton.

- Że jest pan w opałach.

- Właśnie! - Ton jego głosu zabrzmiał nutą profesorskiego uznania; student słuchał z uwagą. - Jestem w strasznych opałach! - Pociągnął łyk kawy; Sokrates i cykuta! - Uwzięli się na mnie!

- Kto się uwziął na pana profesora?

- Wrogowie - zerknął podejrzliwie w stronę bufetu, jak gdyby szukał wrogów w przebraniu robotników popijających piwo.

- Kiedy byłem w college'u - powiedział Rudolf - wydawało mi się, że jest pan powszechnie lubiany.

- Cóż, Jordach, działają rozmaite prądy i przeciwprądy, wiry i nurty, których w

żadnym przypadku nie dostrzegają studenci. Dziwne sprawy rozgrywają się pośród władz uczelnianych. W radach wydziałów. W urzędzie samego rektora. Jestem zbyt szczery i to główna moja wada. Jestem naiwny, bo wierzę w mit akademickich swobód. A wrogowie nie śpieszyli się, czekali. Mój zastępca na wydziale... To żaden naukowiec! Powiniennem być pozbyć się go wiele lat temu. Hamowała mnie tylko litość, czyli innymi słowy, pożałowania godna słabość charakteru. Jak powiedziałem zatem, ten pan, który poluje na moje stanowisko, zgromadził cały plik obciążających mnie dowodów. To plotki przy kieliszku, luźne zdania wyrwane z kontekstu, proste insynuacje. Teraz wrogowie chcą złożyć mnie w ofierze! Rozumiesz, Jordach?

- Chyba najlepiej niech pan profesor wyjaśni dokładnie, co się właściwie dzieje - powiedział Rudolf. - Wtedy potrafię osądzić, czy i w jakim zakresie zdołam panu pomóc.

- O! Pomożesz mi, Jordach! Nie mam wątpliwości! - powiedział Denton i odsunął nie dojedzony hamburger. - Znaleźli swoją czarownicę - podjął. - Mnie!

- Nadal nic nie rozumiem.

- Polowanie na czarownice! Czytujesz gazety jak wszyscy inni, więc powinieneś wiedzieć, że szkoły i uczelnie oczyszcza się z czerwonych.

- Przecież pan, profesorze, nie jest czerwony. To pan sam wie najlepiej! - roześmiał się Rudolf.

- Ciszej, chłopcze, ciszej. - Rozejrzał się dokoła z zatroskaną miną. - Takich rzeczy nie roztrąbią się jak przez radio.

- Jestem pewien, że może się pan nie bać, profesorze - podjął Rudolf i zdecydował, że obróci w żart całą historię. - Myślałem, że to rzeczywiście coś poważnego, że zapędził pan w ciążę jakąś dziewczuszkę.

- Śmieję się, śmieję - obruszył się tamten. - Wolno ci w twoim wieku. Ale nikt się nie śmieje dziś na uniwersytetach i innych uczelniach. Najdziwsze zarzuty! Pięciodolarowy datek złożony w 1938 roku na jakiś niewyraźny cel. Wzmianka o Karolu Marksie podczas wykładu. Na Boga! Jak można nauczać historii doktryn ekonomicznych dziewiętnastego wieku pomijając Karola Marksa?

Ironiczny żart na temat stosowanych obecnie praktyk gospodarczych, rzucony podczas seminarium z historii Ameryki; żart, który zapamiętał jakiś kretyn z okresu kamienia łupanego i powtórzył swojemu ojcu, komendantowi lokalnego oddziału Legionu Amerykańskiego. O takich rzeczach nie masz pojęcia, chłopcze. Nie masz pojęcia! A nasza uczelnia otrzymuje subsydium ze skarbu stanowego. Subsydium na wydział rolny. No i w legislaturze stanowej jakiś pyskacz wygłosił wielką mowę. Domagał się powołania specjalnej

komisji i przeprowadzenia śledztwa. No i rzecz jasna wpakował swoje nazwisko do prasy. Patriota! Obrońca wiary! Ani słowa nikomu, ale powiem ci, Jordach, że na uniwersytecie powołano, pod przewodnictwem rektora, specjalną komisję, która ma zbadać zarzuty przeciwko różnym pracownikom naukowym. Ci panowie żywią nadzieję, że złożą w ofierze kilka osób, przede wszystkim mnie, udobruchają jakoś władze stanowe i nie utracą subsydium. Masz teraz jasny obraz, Jordach?

- Cholerny świat! - syknął Rudolf.

- Właśnie! Cholerny świat! Nie wiem, jaka jest twoja przynależność polityczna...

- Żadna! - przerwał. - Głosuję niezależnie.

- To dobrze. Bardzo dobrze. Chociaż byłoby lepiej, gdybyś formalnie należał do republikanów. I pomyśleć, że ja głosowałem na Eisenhowera! - Denton roześmiał się głucho.

- Mój syn był wtedy w Korei, a Eisenhower obiecywał, że położy kres wojnie. Niemało można by wywnioskować z tak oddanego głosu. Ale jak tego dowieść?

- Czego pan profesor życzy sobie ode mnie? - zapytał Rudolf. - Co właściwie mam zrobić?

Denton pociągnął ostatni łyk kawy.

- Do tego zmierzam - odrzekł. - Komisja, o której mowa, zbierze się od dziś za tydzień, aby rozpatrzyć moją sprawę. W przyszły wtorek o drugiej po południu. Zapamiętaj godzinę. Udostępniono mi tylko ogólny zarys obciążających mnie zarzutów. Datek złożony w trzydziestych latach na jakąś organizację komunistyczną, ateistyczne i radykalne opinie głoszone podczas wykładów; zalecanie lektur w postaci książek o podejrzanym charakterze.

Takie sobie zwyczajne, aż nazbyt zwyczajne w świecie akademickim pretensje i oszczerstwa. Co chcesz? W kraju panują znane ci nastroje; Dulles ugania się po całym świecie i głosi świętą wojnę nuklearną; w Waszyngtonie strofuje się i przepędza najwybitniejszych ludzi niby gońców biurowych. W podobnych warunkach szept, lada szept, Jordach, może zniszczyć biednego belfra. Szczęśliwie jednak pokutują na uczelni ostatnie resztki poczucia wstydu, które zapewne nie utrzymają się dłużej, niż do końca roku. Ale mam jeszcze szansę, by bronić się, postawić świadków, którzy zaręczą za mnie i...

- Co pan profesor chce, żebym powiedział?

- Co sobie życzysz, chłopcze - odparł Denton przerywanym głosem. - Nie zamierzam ci podpowiadać. Powiedz to, co naprawdę o mnie myślisz. Przez trzy lata byłeś moim studentem, widywaliśmy się poza uczelnią, bywałeś w moim domu. Jesteś rozumnym młodym człowiekiem, więc nie pozwolisz zrobić z siebie wariata. Znasz mnie równie dobrze, jak zna mnie całe nasze miasto. Powiedz, co zechcesz. Masz nienaganną opinię, znakomicie

ukończyłeś college, nie ma na tobie plamki. Jesteś obiecującym młodym handlowcem.

Twoje świadectwo będzie miało niepoślednią wagę.

- Oczywiście, panie profesorze. Złożę takie oświadczenie - odrzekł Rudolf i pomyślał z niechęcią, że to fatalny dzień na taką historię. „Sygnał kłopotów”, „Napaści”, „Postawa Calderwooda”, „Dom towarowy w kręgu komunistycznej polityki”.

Uprzytomnił sobie nagle, jak niebywałych rozkoszy muszą zaznawać tchórze.

Denton wylewnie ujął jego dłoń nad blatem stolika.

- Z góry wiedziałem, Jordach, że taką dostanę odpowiedź!

Zdumiałbyś się, chłopcze, gdybyś usłyszał, jacy ludzie mi odmawiali. Bliscy przyjaciele od dwudziestu lat. Lękliwi oportuniści! Nasz kraj, Jordach, zmienia się w przytulisko dla obitych psów. Czy życzysz sobie, abym przysiągł ci uroczyście, że jak żyję, nie byłem komunistą?

- Co za pomysł, profesorze? - zawołał Rudolf i spojrzął na zegarek. - Niestety, muszę wracać do pracy, a w przyszły wtorek będę do dyspozycji komisji. - Sięgnął do kieszeni po portmonetkę.

- Pozwoli pan, profesorze, że ureguluję rachunek?

- Nie. Ja zaprosiłem ciebie. Jesteś moim gościem. Idź, chłopcze, idź. Nie chcę cię dłużej zatrzymywać.

Wstał, ostatni raz rozejrzał się dokoła, aby się upewnić, że nikt nie podpatruje, i gorąco, serdecznie uściśnął wyciągniętą ku niemu dłoń młodego przyjaciela.

Rudolf sięgnął po płaszcz i wyszedł z baru. Przez zapotniałe szyby okna zobaczył, że profesor zatrzymuje się przed bufetem i niewątpliwie coś zamawia.

Rudolf szedł wolno w stronę domu towarowego. Płaszcz miał rozpięty, chociaż wiatr był przejmujący i dzień zupełnie zimny.

Ulica wyglądała tak jak zawsze, a mijający go przechodnie bynajmniej nie sprawiali wrażenia obitych psów. Biedny Denton.

Przypomniał sobie, że to na jego wykładach zaczął się dowiadywać, jakim sposobem można z powodzeniem zostać kapitalistą. Roześmiał się bezgłośnie. A biednemu Dentonowi nie do śmiechu dzisiaj.

Był głodny po haniebnym lunchu, więc w domu towarowym wszedł do mieszczącej się w suterenie herbaciarni, zamówił coctail mleczny i pił go wśród sopranowego szczebiotu klientek, które wypełniały lokal. Ich świat jest spokojny, bezpieczny. Tego popołudnia panie kupują suknie po pięćdziesiąt dolarów, przenośne radia, stoliki pod telewizory, patelnie, garnitury mebli, kremy kosmetyczne i zyski firmy rosną, a one są szczęśliwe przy wodzie

sodowej, lodach, kanapkach firmowych.

Wodził wzrokiem po spokojnych, chciwych, umalowanych, rozrzutnych, skąpych twarzach matek, żon, młodych i starych panien kochanek, oddychał zapachami różnorodnych perfum i gratulował sobie, że nie jest żonaty i nie kocha nikogo: Nie mogę spędzić życia na służeniu tym zacnym niewiastom, pomyślał, zapłacił za coctail mleczny i pośpieszył do swojego pokoju.

Na biurku zastał list. Był bardzo krótki. „Spodziewam się, że wkrótce przyjedziesz do Nowego Jorku. Jestem w tarapatkach i muszę z Tobą porozmawiać. Ucałowania. Gretchen”.

- Cholerny świat! - powiedział drugi raz w ciągu godziny i wrzucił list do kosza.

Padał deszcz, kiedy kwadrans po szóstej Rudolf wyszedł z domu towarowego. Calderwood nie powiedział doń ani słowa od czasu ich porannej rozmowy. Tego mi jeszcze trzeba - deszczu, pomyślał żałośnie, gdy jechał na motorze wśród strumieni ruchu ulicznego.

Już blisko domu przypomniał sobie nagle, że obiecał matce kupić co trzeba na obiad. Zaklął i zawrócił do dzielnicy handlowej, gdzie sklepy były otwarte do siódmej. Niespodzianka, pomyślał. Matka chciała mieć niespodziankę. Twój kochający syn, mamó, może zostać na lodzie za jakieś dwa tygodnie. Czy to będzie ładna niespodzianka?

Pośpiesznie kupił małe kurczę, ziemniaki, puszkę zielonego groszku i na deser pół placka z jabłkami. Gdy wychodził ze sklepu torując sobie drogę pośród kolejek pań domu, przypomniał sobie konferencję z pryncypałem i uśmiechnął się cierpko. Oto cudownie uzdolniony chłopiec, przyszedł wielki finansista w otoczeniu podziwiających go piękności. Wraca na szykownie podany obiad do swojego rodzinnego pałacyku, którego zdjęcia zamieszczały wielokrotnie „Life” i „House and Garden”. W ostatniej chwili kupił butelkę szkockiej. W taki wieczór można tylko pić whisky.

Położył się wcześniej, trochę pod gazem. Jedyne, co mi się dziś naprawdę udało, pomyślał przed samym zaśnięciem, to poranny bieg z Quentinem McGovernem.

Tydzień nie odbiegał od rutyny. Gdy Calderwood spotykał Rudolfa na terenie firmy, nie napomynał o jego propozycjach, lecz mówił o bieżących sprawach w typowy dlań, szorstki, trochę zrzędlawy sposób. Nic w jego zachowaniu lub słowach nie świadczyło o takiej czy innej decyzji.

Rudolf zadzwonił do Nowego Jorku do siostry (z publicznego telefonu, ponieważ Calderwood patrzył złym okiem na prywatne rozmowy ze służbowych aparatów) i Gretchen była wyraźnie zawiedziona gdy powiedział jej, że w tym tygodniu nie zdoła przyjechać, lecz

postara się być u niej podczas następnego weekendu. Nie chciała powiedzieć, jakie ma zmartwienie, i dodała, że te sprawy mogą poczekać. Ha, skoro mogą poczekać, pomyślał Rudolf, kłopoty nie muszą być ciężkie.

Denton nie odzywał się więcej. Może był w strachu, że gdyby dał mu sposobność do dalszych rozmów, Rudolf wycofałby się z obietnicy, że złoży przed komisją przychylnie dlań zeznania. Rudolf niepokoił się z racji wtorkowego występu przed tą komisją. Zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że znajdzie się jakiś dowód obciążający, nie znany Dentonowi albo przez niego zatajony, więc w takim świetle on wyjdzie na współwinnego bądź łgarza, bądź nabitego w butelkę.

Najbardziej dręczyły go domysły, że komisja, która zamierza rozprawić się z Dentonem, będzie usposobiona wrogo wobec każdego, kto stanie na jej drodze do tego celu. Przez całe życie zabiegał, aby ludzie go lubili - szczególnie ludzie starsi i poważni - więc lękiem przejmowała go myśl o spotkaniu z pełnym pokojem niechętnych, akademickich twarzy.

W ciągu tygodnia, jak stwierdzał niejednokrotnie, wygłaszał do tych urojonych, nieżyczliwych twarzy bezgłośnie przemówienia, które były logiczną, honorową obroną Dentona, a zarazem urzekały zespół sędziowski. Ale w ostatecznym rezultacie wszystkie te ułożone przezeń wystąpienia nie były nic warte. Gdy stanie przed komisją, winien być naturalny, w miarę możliwości swobodny. Winien wy badać atmosferę i w zgodzie z ogólnym nastrojem zrobić, ile się da - dla Dentona i dla siebie. Ach, gdyby Calderwood wiedział, do czego on się sposobi!

Pod koniec tygodnia sypiał źle i miewał sny lubieżne, lecz dokuczliwe. Julia tańczyła nago na tle jakiejś wody... Gretchen leżała rozciągnięta w kajaku... Mary Jane rozchyłała nogi na łóżku, a następnie siadała z obnażonymi piersiami, z gniewnie wykrzywioną twarzą i rzucała mu jakieś oskarżenia... Od nadbrzeża odbijał statek, na którego pokładzie uśmiechała się doń dziewczyna w rozwianej na wietrze spódnicy; on biegł nadbrzeżem, starał się dopędzić statek, ale powstrzymywały go jakieś niewidzialne ręce; statek był coraz dalej i dalej na otwartej wodzie...

W niedzielę z rana, gdy rozgadały się kościelne dzwony, Rudolf doszedł do wniosku, że nie zdoła całego dnia przesiedzieć w domu, chociaż miał zamiar przejrzeć jeszcze raz papiery przedstawione Calderwoodowi, aby dokonać pewnych poprawek i uzupełnień, jakie nasunęły mu się w ciągu tygodnia. Ale w dni świąteczne jego matka bywała w najgorszym nastroju. Odgłos dzwonów budził w niej żal po utraconej religii i jak nic mogła powiedzieć, że gdyby tylko Rudolf zechciał jej towarzyszyć, poszłaby na mszę i do spowiedzi, i do

komunii.

- Czeka mnie ogień piekielny - powiedziała rzeczywiście przy śniadaniu - a o trzy przecznice stąd jest kościół i w nim zbawienie.

- Którejś innej niedzieli, mamó - odparł Rudolf. - Dziś jestem bardzo zajęty.

- Którejś innej niedzieli mogę być nieżywa i w piekle.

- Trudno, musimy podjąć to ryzyko.

Wstał od stołu, przy którym pozostawił matkę całą we łzach.

Dzień był mroźny, pogodny. Na tle bladego zimowego nieba słońce wyglądało jak opłatek. Rudolf ubrał się ciepło w podbitą kozuszką lotniczą bluzę z demobilu, w czapkę z grubej wełnianej dzianiny i chroniące oczy okulary. Wyprowadził motocykl z garażu i począł się wahać, w jakim kierunku ma pojechać. Z nikim nie chciał się zobaczyć, żadne miejsce nie wróżyło mu nic dobrego. Wolny czas - brzemień człowieka nowoczesnego.

Usiadł na motocyklu, zapalił silnik i nadal nie mógł się zdecydować. Ale ulicą przemknął szybko samochód z nartami na dachu. Czemu by nie? - pomyślał Rudolf. To miejsce równie dobre jak każde inne. Przypomniał sobie, co mówił mu ostatnio Larsen, młody człowiek obsługujący stoisko ze sprzętem narciarskim. Otóż u stóp nowego wyciągu linowego jest stodoła, którą łatwo dałoby się przystosować do wynajmu nart w czasie weekendów. Larsen twierdził, że można na tym zarobić grube pieniądze. Rudolf poczuł się lepiej, jadąc śladem wozu z nartami na dachu. Nie był już pozbawiony celu.

Do rejonu wzgórz przybył bliski zamarznięcia. Oślepiały go promienie słońca odbite od śniegu, więc spod opuszczonych powiek spoglądał na wielobarwne figurki zjeżdżające ku niemu po zboczach.

Wszyscy wydawali się młodzi, pełni wigoru, rozbawieni, a widok dziewcząt w obcisłych spodniach na smukłych biodrach i krągłych pośladkach czynił z pożądania zdrową rozrywkę na świeżym powietrzu, odpowiednią na niedzielny ranek.

Przez pewien czas Rudolf z przyjemnością obserwował kolorowy widok. Później zaczął ulegać melancholii, czuł się osamotniony, czegoś pozbawiony. Chciał już pójść po swój motor i wrócić do miasta, gdy Larsen zjechał ze wzgórza efektownym szusem i raptownie zatrzymał się przed nim podnosząc tuman śniegu.

- Cześć, panie dyrektorze - powiedział.

Miał duże, olśniewająco białe zęby i uśmiechał się szeroko. Dwie dziewczyny, które wraz z nim zjechały, zatrzymały się również.

- Dzień dobry, Larsen - powitał go Rudolf. - Przyjechałem obejrzeć tę stodołę, o której

pan mówił.

- To świetnie!

Zwinnie, jednym swobodnym ruchem schylił się, aby zrzucić narty.

Był z gołą głową, więc jasne, bujne, może trochę za długie włosy opadły mu na oczy, kiedy się pochylał. Patrząc na tego młodego człowieka w czerwonym swetrze i w asyście dwu dziewcząt Rudolf pomyślał, że ten na pewno nie śnił ubiegłej nocy o statku odbijającym od nadbrzeża.

- Dzień dobry, panie dyrektorze - odezwała się jedna z dziewczyn.

- Nie wiedziałam, że jest pan narciarzem.

Rudolf spojrział na nią, a dziewczyna roześmiała się głośno. Duże, zielono barwione okulary przeciwsłoneczne zakrywały większą część jej drobnej twarzy. Podniosła je, oparła o czerwono-błękitną czapkę z wełnianej dzianiny.

- Jestem w przebraniu - powiedziała.

Rudolf poznał pannę Soames z kiosku z płytami gramofonowymi - roztańczoną, pulchną, jasnowłosą pannę Soames, nieustannie karmioną muzyką.

- Dzień dobry pani, dzień dobry - powiedział z nieoczekiwanym podnieceniem i zwrócił uwagę, że dziewczyna jest bardzo mała, ma smukłą talię i ładnie zaokrąglone biodra i uda. - Nie jestem narciarzem, lecz kibicem.

- Oo! Kibiców nie brak tutaj i tam na górze - roześmiała się panna Soames.

- Panie dyrektorze... - Larsen był już bez nart. - Pozwoli pan, że go przedstawię mojej narzeczonej. Panna Packard.

Dziewczyna zdjęła wielkie okulary i okazało się, że jest równie ładna jak panna Soames i mniej więcej w jej wieku.

- Bardzo mi przyjemnie... - powiedziała.

Narzeczonej, pomyślał Rudolf. Ludzie wciąż się żenią.

- Wrócę za pół godzinki, moje panie - odezwał się Larsen. - Mamy z panem Jordachem do załatwienia pewną sprawę handlową.

Wbił prostopadle w śnieg narty i kije, a dziewczyny pożegnały ich gestami rąk i zjechały dalej do początku wyciągu.

- Diabło dobre z nich narciarki, co? - podjął Rudolf idąc obok Larsena w kierunku szosy.

- Takie sobie. Średnie - odpowiedział beztrząsco młody człowiek. - Za to mają inne uroki.

Roześmiał się odsłaniając znów wspaniałe zęby, niezwykle białe na tle opalonej

twarży. Zarabia sześćdziesiąt pięć dolarów tygodniowo, pomyślał Rudolf. Że też przy takiej pensji może być tak radosny w niedzielny ranek!

Owa stodoła - solidna budowla zabezpieczona przed wiatrami i złą pogodą - stała przy szosie w odległości mnie więcej dwustu kroków.

- Trzeba tylko postawić duży, żelazny piec, a będzie tutaj ciepło jak w uchu - mówił Larsen. - Trzymam zakład, że można by tu wynajmować tysiąc par nart i jakieś dwieście, trzysta par butów w ciągu jednego weekendu. A jest jeszcze Boże Narodzenie, Wielkanoc, inne święta. Dwu chłopaków z college'u mogłoby prowadzić cały interes prawie za nic. To byłaby kopalnia złota. Jeżeli nie zajmiemy się tym, zajmie się ktoś inny. Ten rejon narciarski istnieje dopiero drugi rok, ale wchodzi w modę, więc murowane, że ktoś to spostrzeże i wykorzysta okazję.

Rudolf uśmiechnął się, bo odpowiadała mu argumentacja bardzo podobna do tej, jaką zastosował w rozmowie z Calderwoodem.

Człowiek raz popycha, raz sam jest popychany, pomyślał. Ja wyglądam dziś na niedzielne popychle. Jeżeli ubijemy interes, Larsen dostanie znaczną podwyżkę.

- Do kogo ta stodoła należy? - zapytał.

- Nie wiem. Ale to łatwo sprawdzić.

Biedny Larsen, pomyślał Rudolf. Nie został stworzony na człowieka interesu. Gdyby to był mój pomysł, miałbym opcję na kupno stodoły, zanim pisnąłbym słówko komukolwiek.

- To dla pana zajęcie, Larsen - podjął. - Trzeba dowiedzieć się, kto jest właścicielem tej budy, czy chce ją wydzierżawić i za ile albo też sprzedać i za ile. Tylko proszę nic nie mówić o domu towarowym. Niech wygląda na to, że pan występuje jako samodzielny przedsiębiorca.

- Rozumiem. Rozumiem. - Larsen z całą powagą przytakiwał poruszeniem głowy. - Nie dopuszczę do zbyt wielu pytań.

- Cóż, można popробować - podjął Rudolf. - A teraz wracajmy.

Piekielnie zmarzłem. Jest tutaj miejsce, gdzie można wypić filiżankę kawy?

- Akurat pora na lunch. O milę stąd, jest przy szosie nie najgorsza restauracja. Może pan dyrektor zechce dotrzymać towarzystwa mnie i dziewczętom?

W pierwszej chwili Rudolf omal nie odmówił. Nigdy nie pokazywał się poza domem towarowym w towarzystwie kogoś z pracowników, nie licząc kilku agentów załatwiających zakupy lub kierowników działów. Później wzdrygnął się nerwowo. Naprawdę było mu piekielnie zimno. Tak czy inaczej, musi wybrać się dokądś. Ta roztańczona, apetyczna panna Soames. Co to komu zaszkodzi?

- Dziękuję, Larsen - powiedział - Będzie mi bardzo przyjemnie.

Ruszyli z powrotem w stronę wyciągu linowego. Larsen w swoich ciężkich butach narciarskich na grubej gumie szedł posuwistym, śmiałym krokiem. Rudolf miał trzewiki na skórzanych podszewkach, więc poruszał się ostrożnie, prawie dreptał, aby uniknąć poślizgnięcia. Miał nadzieję, że dziewczyny go nie obserwują.

Czekały na nich już bez nart.

- Konamy z głodu! - zawołała panna Soames, zanim Larsen miał czas, by coś powiedzieć. - Kto nakarmi biedne sierotki?

- Spokój, panienki, spokój - rzucił władczo Larsen. - My was nakarmimy. Przestańcie lamentować.

- Ach, panie dyrektorze! Pan zje z nami obiad? - Panna Soames zatrzepotała długimi rękami. - Jakiż to zaszczyt! - dodała z niewątpliwą drwiną.

- Jestem po wczesnym śniadaniu - odrzekł Rudolf. (Diabło niezręcznie, psiakrew! - pomyślał.) - Z chęcią zjem coś i wypiję.

Pojadę za panem na motorze - zwrócił się do Larsena.

- To cudo, panie dyrektorze, jest pańskie? - zapytała panna Soames wskazując ręką zaparkowany motocykl.

- Tak.

- Marzę o przejażdżce na czymś takim! - Panna Soames mówiła szybko, głosem trochę zdyszany, jak gdyby zwierzenia dobywano z niej przemocą. - I co? Serce pozwoli panu na przewiezienie takiego bagażu?

- Jest bardzo zimno - powiedział sztywno Rudolf.

- Mam na sobie dwie pary długich, wełnianych niewymownych - podjęła panna Soames. - I gwarantuję, że będę grzeczna. Benny - zwróciła się do Larsena tak, jak gdyby sprawa została już załatwiona - załadujesz moje narty na dach. Będiesz dobrym kumplem, prawda? Ja pojedę z panem Jordachem.

Rudolf znalazł się w sytuacji bez wyjścia, więc poprowadził pasażerkę ku motocyklowi, a tymczasem Larsen mocował trzy pary nart na dachu nowiutkiego Forda. Skąd on ma na to przy sześćdziesięciu pięciu dolarach tygodniowo? Na chwilę Rudolf uległ nieładnemu podejrzeniu, że rachunki stoiska ze sprzętem narciarskim mogą być prowadzone nieuczciwie.

Wsiadł na swój motor, a panna Soames zgrabnie usadowiła się za nim objęła go w pól i mocno ścisnęła rękami. Rudolf nałożył okulary i za Fordem wyjechał z placu parkingowego. Larsen prowadził ostro, więc i on musiał dodawać gazu, by nie zostawać w tyle. Było

znacznie zimniej niż uprzednio i wiatr smagał go po twarzy, lecz pasażerka wzmocniła jeszcze swój uścisk i krzyknęła nad uchem Rudolfa: - Cudownie! Prawda?

Restauracja była przestronna, czysta i przepelniona hałaśliwymi narciarzami. Znaleźli stolik niedaleko okna i Rudolf zrzucił swoją lotniczą kurtkę, a inni pozbyli się skafandrów. Panna Soames miała na sobie jasnoniebieski kaszmirowy sweterek, który pięknie podkreślał jej biust, niewielki i jędrny. Rudolf był w wełnianej koszuli i w swetrze, a na szyi miał zawiązaną fantazyjnie jedwabną chustkę. Za duży szyk, całkiem jak Teddy Boylan, pomyślał i zdjął chustkę pod pretekstem, że na sali jest za gorąco.

Dziewczęta zamówiły coca-colę, Larsen piwo. Rudolf czuł potrzebę czegoś bardziej rozgrzewającego, więc po staroświecku zamówił grzane piwo z korzeniami. Kiedy podano napoje, panna Soames uniosła szklanę, stuknęła nią o szklanę Rudolfa i zaproponowała toast:

- Za niedzielę, bez której pozdychalibyśmy wszyscy.

Siedziała na wyściełanej ławeczce obok Rudolfa, który czuł mocny nacisk jej kolana na swoje. Cofał je ostrożnie, tak by ruch wydawał się naturalny, ale jasne, rozumne oczy panny Soames spoglądały nań wymownie znad szklanki.

Wszyscy zamówili steki. Panna Soames poprosiła o dziesiątkę na szafę grającą i Larsen sięgnął do kieszeni szybciej niż Rudolf.

Wzięła monetę i przeszła nad kolanami Rudolfa podpierając się dłonią o jego ramię. Później ruszyła przez salę w kierunku szafy - wdzięczna, lekka i zwinna, mimo niezdarnie ciężkich butów.

Ryknęła muzyka i dziewczyna powróciła do stolika żartobliwie tanecznym krokiem. Tym razem, gdy przedostawała się za Rudolfem, jej zalotność nie nastroczała wątpliwości, a usadowiła się tak blisko, że najwyraźniej czuł mocny nacisk jej kolana i nie mógł się już cofnąć nie zwracając uwagi reszty towarzystwa. Wolał tego uniknąć, więc spokojnie siedział na miejscu.

Miał ochotę na wino do steku, ale wahał się, czy wypada zamówić butelkę, ponieważ tamci mogliby pomyśleć, że chce im imponować swoją wyższością. Spojrzał na kartę potraw. Na jej odwrocie znajdowała się lista win kalifornijskich - czerwonych i białych.

- Napije się ktoś wina? - zapytał odsuwając decyzję od siebie.

- Ja bardzo chętnie! - zawołała panna Soames.

- A ty kochanie? - Larsen zwrócił się do narzeczonej.

- Jeżeli wszyscy sobie życzą...

Panna Packard chciała być sympatyczna i zgodna.

Nim lunch się skończył, opróżnili we czwórkę trzy butelki czerwonego wina. Larsen pił najwięcej, lecz inni niewiele zostawiali w tyle.

- Jutro w domu towarowym będę miała co opowiadać koleżankom - mówiła panna Soames zaróżowiona już mocno i kolanem oraz udem zawzięcie kokietowała sąsiada. - W niedzielę sprowadził mnie na manowce sam wielki, nieprzystępny Mister Chłodnia i...

- Daj spokój, Betsy... - Larsen spojrzał podejrzliwie na Rudolfa zaniepokojony wyraźnie „Misterem Chłodnią”. - Uważaj, co mówisz...

Zlekceważyła go kompletnie i niedbałym ruchem drobnej, pulchnej dłoni odgarnęła z czoła jasne włosy.

- Dzięki swoim wielkomijskim manierom i podłemu kalifornijskiemu winu ten królewicz z bajki przywiódł mnie do opilstwa i niestosownego zachowania w miejscu publicznym. O, to chytra sztuka ten nasz pan Jordach! - Podniosła palec do kącika oka i mrugnęła znacząco. - Jak patrzeć na niego, wydaje się, że jednym spojrzeniem potrafiłby ostudzić skrzynkę piwa. No i co? Przychodzi niedziela i objawia się nam prawdziwy pan Jordach. Strzelają korki, wino płynie jak woda, pan Jordach śmieje się ze starych pieprzonych kawałków Bena Larsena, no i podrywa biedne skromne ekspedientki ze stoisk na parterze. Ależ pan ma kościste kolana, panie Jordach!

Rudolf nie mógł powstrzymać śmiechu. Śmieli się też inni.

- O pani, panno Soames, nie można tego powiedzieć. Gotów jestem zeznać to pod przysięgą.

Wszyscy roześmieli się znowu.

- Pan Jordach, diabelnie śmiały motocyklista, w sam raz na „ścianę śmierci”, widzi wszystko, wie wszystko, czuje wszystko. Do licha!

Nieporęcznie mówić wciąż pan Jordach, pan dyrektor! Mogę nazywać cię paniczem, co? A może bardziej odpowiada ci Rudi?

- Niech będzie Rudi - odpowiedział.

Gdyby był sam z tą dziewczyną, chwyciłby ją w ramiona, obsypał pocałunkami zaróżowioną, drobną, ponętą twarzyczkę, błyszczące, rozchylone lekko wargi, szydercze i zarazem kuszące przymilnie.

- Niech będzie Rudi - powtórzyła panna Soames. - I ty, Soniu, możesz mówić mu po imieniu.

- Rudi - powiedziała panna Packard; dla niej nie miało to żadnego znaczenia; nie pracowała przecież u Calderwooda.

- Benny! - zakomenderowała panna Soames.

Larsen spojrzał błagalnie na Rudolfa.

- Ona jest zalana, więc... - zaczął.

- Nie wygłupiaj się, Benny - podchwycił Rudolf.

- Rudi - wydusił opornie tamten.

- Rudi, człowiek tajemniczy - ciągnęła panna Soames popijając wino. - Po godzinach pracy zamykają go gdzieś na trzy spusty. Nikt go wtedy nie widuje. Żaden mężczyzna. Żadna kobieta. Żadne dziecko. Zwłaszcza żadna kobieta. Na samym parterze jest jakieś dwadzieścia dziewczyc, które tęsknią do niego i każdej nocy oblewają łzami poduszki. Są takie i na innych piętrach. A on przechodzi obok nich godnie z tym swoim lodowatym, bezlitosnym uśmiechem.

- Gdzie, u licha, nauczyłaś się tak mówić? - Rudolf był trochę zakłopotany, trochę rozbawiony, a zarazem pochlebiał mu tyrady panny Soames.

- To zawzięta czytelniczka - odezwała się panna Packard. - Pochłania książki w tempie jedna na dzień.

Panna Soames puściła mimo uszu te słowa.

- Rudi to tajemniczość spowita w niewiadomą, jak przy jakiejś okazji powiedział pan Churchill. Podobno o świecie odbywa biegi w asyście jakiegoś kolorowego chłopca. Skąd biega i dokąd? Jakie wiadomości miewa dlań ten kolorowy chłopiec? Podobno widują go ludzie w podejrzanym dzielnicach Nowego Jorku. Jakie grzechy popełnia w wielkim mieście? Dlaczego nie grzeszy tu, na miejscu?

- Chodźmy na narty, Betsy - bąknął nieśmiało Larsen.

- Jeżeli w przyszłą niedzielę uda się nam złapać tę samą stację - perorowała dalej dziewczyna - być może uzyskamy odpowiedzi na wszystkie te pytania. A teraz możesz pocałować mnie w rękę. - Podniosła rękę zgiętą łukowato w przegubie, a Rudolf pocałował ją, ale zarumienił się trochę.

- Muszę wracać do miasta - powiedział.

Rachunek znajdował się na stoliku, więc obok niego położył kilka banknotów: Razem z napiwkiem wyniosło to piętnaście dolarów.

Kiedy wyszli z restauracji, padał drobny śnieg. Góry - zarysowane mętnie wśród lekkiej zamieci - wyglądały posepnie i groźnie.

- Dziękuję za lunch, panie dyrektorze - powiedział Larsen, któremu jeden Rudi na tydzień absolutnie wystarczał.

- Naprawdę zrobił mi pan wielką przyjemność, panie dyrektorze - podchwyciła panna Packard sposobiąc się do przyszłej roli żony Larsena. - To szczerza prawda, nie komplement.

- Idziemy, Betsy - powiedział Larsen. - Na stok. Parę zjazdów wytrzęsie z nas trochę wina.

- Nie! Wracam do miasta z moim dobrym przyjacielem Rudim, na jego maszynie, która rzuca wyzwanie śmierci. Mam rację, Rudi, no nie?

- Byłby to rajd diabelnie zimny - powiedział Rudolf.

W skafandrze i z ogromnymi okularami przeciwsłonecznymi na tle włóczkowej czapki narciarskiej panna Soames wydawała się bardzo drobna i krucha. Szczególnie czapka przyozdobiona okularami sprawiała wrażenie ramy zbyt ciężkiej dla małej, figlarniej twarzy.

- Nart mam na dzisiaj dosyć - podjęła z godnością. - Bardziej odpowiadają mi inne sporty. - Podeszła do motocykla. - Siadamy, co?

Larsen zaniepokoił się, poczuł się odpowiedzialny za rozwój wydarzeń.

- Nie musi pan jej brać, jeżeli nie ma pan ochoty - powiedział.

- Niech jedzie - uśmiechnął się Rudolf. - Będę prowadził ostrożnie i z pewnością nie zgubię po drodze panny Soames.

- Dziwna z niej dziewczyna. - Larsen był nadal zgnębiony. - Nie umie pić. Ale nie w głowie jej coś złego.

- Przecież nic złego nie zrobiła. - Rudolf poklepał krzepkie ramię okryte grubym swetrem. - Nie martw się, Benny. No i sprawdź, czy da się coś zrobić z tą stodołą - powrócił do bezpiecznego świata interesów.

- Ma się rozumieć, panie dyrektorze.

Larsen i jego narzeczona zamachali rękami, gdy Rudolf uruchomił silnik i wyjechał z parkingu przed restauracją z panną Soames uczeponą jego pleców, mocno obejmującą go w pół rękami.

Pokrywa śnieżna nie była gruba, ale wystarczająca, by skłaniać do ostrożnej jazdy. Oplatujące Rudolfa ręce panny Soames wydały się nadszpodziewanie mocne jak na dziewczynę tak drobnej budowy. Wino rozwiązało jej język, lecz najwidoczniej nie zachwiało równowagi, gdyż na zakrętach pochylała się sprawnie wraz z kierowcą. Od czasu do czasu zaczynała śpiewać piosenki, których całymi dniami wysłuchiwała w kiosku z płytami gramofonowymi. Jednakże wiatr i pęd porywały słowa i do Rudolfa docierały tylko urywki, pojedyncze frazy muzyczne. Sprawiało to wrażenie, że z odległego pokoju dobiega głosik dziecka śpiewającego samemu sobie.

Bawiła go ta przejażdżka, a prawdę rzekłszy cały dzień wydawał mu się udany. Był kontent, że gadanina matki o kościele wypędziła go z domu.

Na peryferiach Whitby, kiedy mijali uniwersytet, Rudolf zwolnił, aby zapytać

pasażerkę o adres. Mieszkała niedaleko terenów należących do uczelni, więc Rudolf zapuścił się w ulice dobrze mu znajome. Było niezbyt późne popołudnie, ale przy czarnych chmurach jaśniały już światła w oknach domów, obok których przejeżdżali.

Przed znakiem „Stop” Rudolf musiał zwolnić i w tym momencie poczuł, że obejmująca go w pasie ręka pasażerki opada niżej i sięga jego krocza. Panna Soames zaczęła głaskać go tam delikatnie i roześmiała mu się prosto w ucho.

- Nie denerwować kierowcy - powiedział. - To punkt przepisów drogowych obowiązujących w naszym stanie.

Ale dziewczyna parsknęła śmiechem i robiła dalej to, co już rozpoczęła.

Minęli starszego pana z psem na spacerze i Rudolf był prawie pewien, że starszy pan zrobił zdumioną minę. Dodał gazu i uzyskał pewien skutek. Dłoń dotychczas ruchliwa spoczęła spokojnie na miejscu.

Zahamował pod adresem, który mu podała. Stary, jednorodzinny dom z drewna stał za pozółkłym, mocno wydeptanym trawnikiem. Okna nie były oświetlone.

- Oto moje gniazdo rodzinne. - Panna Soames zsunęła się z siodełka. - Przejazdźka była miła, Rudi. Szczególnie te ostatnie dwie minuty. - Zdjęła okulary wraz z czapką i pochyliła głowę tak, że jasne włosy opadły na ramiona - Wejdiesz na chwilę? - zapytała. - W domu nie ma nikogo. Matka i ojciec poszli dokądś z wizytą, a brat jest w kinie. Moglibyśmy rozpocząć drugi rozdział.

Zawahał się. Spojrzał na dom i wyobraził sobie, jak wygląda od środka. Papa i mama na wizycie, ale mogą przecież wrócić. Albo brat znudzony filmem przybiegnie o godzinę wcześniej, niż powinien. Dziewczyna stała przed nim. Uśmiechała się. Jedną rękę wsparła na biodrze, w drugiej trzymała czapkę i okulary i poruszała nią lekko.

- I co? - zapytała.

- Może innym razem...

- Tchórz! - prychnęła i roześmiała się krótko.

Później pobiegła w stronę domu i zanim pochłonęło ją ciemne wnętrze, odwróciła się i pokazała język Rudolfowi.

Ruszył z miejsca i wolno pojechał w stronę śródmieścia dosyć ciemnymi ulicami. Nie chciał wracać do domu, więc zaparkował motor i wszedł do kina. Prawie nie widział filmu i po jego zakończeniu nie umiałby powiedzieć, o co tam chodziło.

Myślał o panie Soames. Głupia, wulgarna dziewczyna! Drażniła się z nim, robiła z niego wariata. Z przykrością myślał o spotkaniu z nią następnego rana w domu towarowym. Gdyby mógł, chętnie zwolniłby ją z miejsca. Ale w takim przypadku odwołałaby się przecież

do związku, a on musiałby uzasadnić przyczynę zwolnienia.

„Nazwała mnie Mister Chłodnią, później zaczęła mówić mi po imieniu, a na dobitkę trzymała mnie za koniec na publicznej drodze”.

Łatwo zrezygnował z pomysłu, by zwolnić pannę Soames. Za to upewnił się pod jednym względem - miał słuszość, zupełną słuszość, że nigdy nie zadawał się z nikim z domu towarowego.

Kolację zjadł sam w restauracji, a że wypił całą butelkę wina, w drodze do domu omal się nie zderzył ze słupem latarni.

Spał źle i w poniedziałek za kwadrans siódma jęknął na myśl, że trzeba wstać i odbyć trening z Quentinem McGovernem. Jednakże wstał i biegał jak zawsze.

W czasie porannej rundy w domu towarowym omijał z dala kiosk z płytami gramofonowymi. Przechodząc obok stoiska ze sprzętem narciarskim pozdrowił ruchem ręki ubranego w czerwony sweter Larsena, a ten odpowiedział:

- Dzień dobry, panie dyrektorze. - Jak gdyby nie mieli za sobą wspólnie spędzonej niedzieli.

Po południu Calderwood wezwał Rudolfa do swojego gabinetu.

- W porządku, Rudi - rozpoczął. - Zastanawiałem się nad twoimi pomysłami i w Nowym Jorku przedstawiłem je pewnym ludziom.

Pojedziemy tam jutro pociągiem o jedenastej pięć. Na drugą jestem umówiony w kancelarii moich adwokatów przy Wall Street. Chcieliby zadać ci kilka pytań. Nic nie obiecuję, ale na początek powiem, że te koncepcje wzbudziły zainteresowanie. - Spojrzał na Rudolfa i podjął oskarżycielskim tonem: - Nie wyglądasz na szczególnie zadowolonego.

- Jestem zadowolony, proszę pana... Bardzo zadowolony. - Zmusił się do uśmiechu. Druga po południu, pomyślał, przyrzekłem Dentonowi, że o tej godzinie złożę wyjaśnienia w jego sprawie. - To bardzo dobra nowina, proszę pana. - Uśmiechnął się znowu zabiegając o po chłopięcemu naiwny wyraz twarzy. - Nie byłem na nią przygotowany... To znaczy, nie byłem przygotowany już dzisiaj.

- Lunch zjemy w wagonie restauracyjnym - powiedział Calderwood i odprawił Rudolfa.

Lunch w wagonie restauracyjnym ze starym. Nie będzie nic do wypicia, pomyślał wychodząc z gabinetu szefa. Wolał martwić się z tej racji niż z powodu profesora Dentona.

Późniejszym popołudniem telefon zadzwonił w jego pokoju. Panna Giles podniosła słuchawkę.

- Zaraz sprawdzę, czy jest w biurze - powiedziała. - Kto mówi? - Zasłoniła dłonią tubkę. - Profesor Denton do pana.

Rudolf wahał się przez chwilę. Później wyciągnął rękę.

- Witam pana profesora! - odezwał się kordialnie. - Jak stoją pańskie sprawy?

- Jordach - dobiegł do ochryply głos Dentona. - Jestem u Ripleya.

Możesz tu wpaść na kilka minut? Muszę z tobą pogadać.

Teraz czy później, wszystko jedno, pomyślał Rudolf.

- Oczywiście, panie profesorze. Zaraz tam będę. - Wstał od biurka i zwrócił się do panny Giles: - Gdyby mnie ktoś szukał, proszę powiedzieć, że wrócę za pół godziny.

W barze musiał się rozejrzeć, by znaleźć Dentona, który zajmował ostatnią łózkę. W kapeluszu na głowie i w palcie siedział pochylony nad stołem i dłońmi obejmował szklanę. Był nie ogolony, ubranie miał zmięte, szkła okularów mętne i ubrudzone. Rudolf pomyślał, że Denton przypomina starego łazika, który zimą przycupnął na parkowej ławce i czeka, aż zjawi się policjant i każe mu iść swoją drogą. Bez śladu zniknął znany mu z sal wykładowych kontent z siebie, wygadany, pełen ironii profesor, który bawił się dobrze i lubił bawić innych.

- Dzień dobry, panie profesorze - usiadł w łoży naprzeciw niego; krótki spacer z domu towarowego odbył bez płaszcza. - Miło mi widzieć pana.

Uśmiechnął się tak, jak gdyby chciał go upewnić, że Denton jest wciąż tym samym znanym mu człowiekiem, którego wita się nie inaczej niż dawniej. Profesor patrzył nań tępo i nie kwapił się z podaniem ręki. Jego twarz, rumiana zazwyczaj, była obecnie szara.

Zawiodła go nawet krew w żyłach, pomyślał Rudolf.

- Kropnij jednego - rozpoczął Denton głuchym głosem. Sam niewątpliwie kropnął już jednego, być może kilka. - Hej! Panienko!

- krzyknął zbyt głośno pod adresem babiny w pomarańczowym mundurku, która stała wsparta o ladę bufetu i głowę miała opuszczoną niby stara szkapa. - Co dla ciebie? - zapytał Rudolfa.

- Poproszę whisky. Szkocką.

- Szkocka z wodą sodową dla mojego przyjaciela, panienko. Dla mnie drugi raz to samo. Krajowa whisky.

Powiedziawszy to umilkł na czas pewien i siedział bez ruchu, zapatrzony w obejmowaną dłońmi szklanę. W drodze z domu towarowego Rudolf postanowił, jak winien się zachować. Otóż powie Dentonowi, że nazajutrz nie może stawić się przed komisją, ale jeżeli zebranie zostanie odroczone, jest gotów zrobić to każdego innego dnia. Gdyby takie rozwiązanie nie odpowiadało profesorowi, może dzisiaj wieczorem pójść do rektora, by

powiedzieć mu wszystko, co ma do powiedzenia. Jeżeli i to będzie nie do przyjęcia, zaproponuje, że napisze obronę, a Denton odczyta ją przed komisją, gdy będzie rozpatrywana jego sprawa. Z najwyższą niechęcią szykował się do takiej rozmowy, niestety jednak nie mógł nie pojechać z Calderwoodem do Nowego Jorku jutro, pociągiem o jedenastej pięć przed południem. Na razie kontent był, że Denton zachowuje milczenie i gdy kelnerka przyniosła trunki, począł dokładnie mieszać swoją whisky, aby utworzyć małą, kilkusekundową zaporę pomiędzy sobą a mającą nastąpić rozmową.

- Przykro mi, Jordach że tak odciągam cię od pracy - rozpoczął Denton nie podnosząc wzroku. - Cóż, kłopoty czynią z człeka egoistę. Idąc tutaj mijałem kino, przed którym ludzie grzecznie stali w kolejce po to, by śmiać się z farsowych perypetii.

Pomyślałem sobie: Nie byłoby im do śmiechu, gdyby zdawali sobie sprawę, co mnie spotkało. Nonsens! - roześmiał się krótko. - W latach 1939-1945 pięćdziesiąt milionów ludzi zginęło w samej Europie, a ja chodziłem wtedy do kina dwa razy tygodniowo! - Nisko pochylił się nad stolikiem i oburącz trzymając szklankę pociągnął z niej łakomie. Szklanka zabrzączała, gdy ją odstawił.

- Niech pan mi powie, profesorze, co się stało - wtrącił Rudolf kojącym tonem.

- Nic. Nie! To nieprawda. Stało się bardzo wiele. Już po wszystkim.

- Po wszystkim? Co pan ma na myśli?

Rudolf mówił spokojnie, lecz nie mógł zapanować nad nerwowym drżeniem głosu. Więc to było nic, w gruncie rzeczy, myślał. Burza w szklance wody. Ostatecznie ludzie nie mogą być aż tak głupi.

- Czy to znaczy, że tamci dali za wygraną? - zapytał.

- Nie. To znaczy, że ja dałem za wygraną - odparł sucho Denton i wyprostowawszy się spojrzał na Rudolfa spod runda sfatygowanego filcowego kapelusza. - Dziś podałem się do dymisji.

- Niemożliwe!

- Możliwe. Po dwudziestu latach! Zaproponowali mi, że moją dymisję przyjmą i dadzą spokój dochodzeniu. Nie czułem się na siłach, by sprostac jutru. Po dwudziestu latach! Stary jestem, za stary. Cóż, gdybym był młodszy, to może... Ludzie młodzi potrafią stawić czoło bredniom. Sprawiedliwość wydaje się im osiągalna. Moja żona od tygodnia zalewa się łzami. Powiada, że zabije ją niesława. Ma się rozumieć, to tylko zwrot retoryczny, ale kobieta, która płacze przez siedem dni i siedem nocy, osłabia siłę woli. Więc stało się, Jordach! Pragnę ci tylko podziękować i powiedzieć, że nie musisz stanąć przed komisją jutro o drugiej po południu.

Rudolf przełknął ślinę.

- Z przyjemnością złożyłbym zeznania - bąknął.

Nie zrobiłby tego z przyjemnością, ale tak czy inaczej, był gotów do wystąpienia, a bardziej szczegółowy opis jego uczuć nie mógłby przynieść w danej chwili nic dobrego.

- I co pan profesor myśli teraz zrobić? - zapytał.

- Rzucono mi linę ratunkową - padła posępna odpowiedź. - Pewien mój przyjaciel prowadzi szkołę średnią w Genewie. To szkoła międzynarodowa. Zaofiarował mi posadę. Pieniądzy mniej, lecz bądź co bądź zajęcie. Należy sądzić, że w Genewie nie ma takich jak tu maniaków. No i podobno to śliczne miasto.

- Szkoła średnia? - zdziwił się Rudolf. - Przez długie lata wykładał pan na wyższych uczelniach.

- Będę za to w Genewie - odparł profesor. - Wydostanę się z tego przeklętego kraju.

Rudolf nie słyszał nigdy, by ktoś nazwał Amerykę przeklętym krajem, więc ubodło go rozgoryczenie Dentona. Jako uczeń śpiewał o swojej ojczyźnie: „Oby Bóg wszelkie zsyłał ci łaski”. Śpiewał tak wraz z czterdziestoma dziewczętami i chłopcami ze swojej klasy, a obecnie uprzytomnił sobie, że będąc dojrzałym mężczyzną wierzy nadal w słowa pieśni z lat dziecińczych.

- Nie jest tak źle, jak się panu zdaje, profesorze - powiedział.

- Jest gorzej - podchwycił tamten.

- To wszystko minie. Wkrótce będzie pan mógł wrócić.

- Nigdy! Nie wrócę, gdyby mnie nawet błagano na kłęczkach!

„Człowiek bez ojczyzny”, przypomniał sobie Rudolf ze szkoły początkowej. Przenoszony z okrętu na okręt nieszczęsny wygnaniec, który nie może patrzeć bez łez na wybrzeża łądu, gdzie się urodził, na flagę ojczystego kraju. Genewa, okręt bez bandery.

Spojrzał na Dentona - wygnańca już w tej łoży u Ripleya - i poczuł dziwną mieszaninę życzliwości, współczucia, lekceważenia.

- Mógłbym panu w czymś pomóc? - zapytał. - Może finansowo?

- Dziękuję. Pieniądzy nam nie brak. Na razie. Sprzedajemy dom, a od czasu kiedyśmy go kupili, ceny nieruchomości poszły w górę.

Nasz kraj rozkwita! - Zaśmiał się sucho i wstał nagle. - Pora do domu - podjął. - Każdego popołudnia udzielam żonie lekcji francuskiego.

Pozwolił zapłacić za siebie, a na ulicy postawił kołnierz płaszcz a gdy miękko podał rękę Rudolfowi, wyglądał na starego łazika jeszcze bardziej niż uprzednio.

- Z Genewy będę pisywał do ciebie takie nieobowiązujące listy - powiedział. - Licho

wie, kto w naszych czasach otwiera pocztę.

Odszedł ciężkim krokiem - przygarbiony, stary naukowiec, zbłąkany pośród obywateli tego przeklętego kraju. Rudolf przyglądał mu się przez chwilę, później ruszył w stronę domu towarowego. Oddychał z ulgą, głęboko. Czuł, że jest młody i szczęśliwy. Bardzo szczęśliwy!

Oto stoi w kolejce, czeka, żeby się śmiać. Niech cierpiętnicy odchodzą powłócząc nogami. Pięćdziesiąt milionów zabitych, a kina były wciąż czynne.

Współczuł Dentonowi, lecz przede wszystkim cieszył się na własny rachunek. Był przekonany, że od tego popołudnia wszystko pójdzie dobrze, zacznie układać się po jego myśli. Otrzymał przecież znak, niewątpliwie dobry omen.

Następnego dnia, gdy z Calderwoodem odjeżdżał pociągiem o jedenastej pięć, był spokojny, usposobiony optymistycznie.

O stosownej porze przeszli na lunch do wagonu restauracyjnego, gdzie Rudolf nie martwił się wcale, że w towarzystwie szefa nie może zamówić nic do wypicia.

ROZDZIAŁ V

- Dlaczego musisz przychodzić i czekać na mnie? - utyskiwał Billy w drodze do domu. - Jak na małego dzidziusia.

- Niedługo będziesz sam chodził - odpowiedziała automatycznie i wzięła synka za rękę, aby przejść na drugą stronę ulicy.

- Kiedy?

- Niedługo.

- Kiedy?

- Jak skończysz dziesięć lat.

- Do diabła!

- Wiesz, że nie wolno tak mówić.

- A tatuś mówi.

- Nie jesteś tatusiem.

- I ty, mamó, czasami.

- Mną też nie jesteś. Zresztą i ja nie powinnam tak mówić.

- Ale mówisz, no nie?

- Jak jestem zła.

- Teraz ja jestem zły. Na inne dzieci matki nie czekają przy bramie, jak na małe dzidziusie. Inne dzieci same wracają do domu.

Gretchen wiedziała, że chłopczyk ma rację, a ona jest matką nerwową, zbyt lękliwą i że kiedyś zapłacą za to obydwój - ona i Billy. Ale nie potrafiła znieść myśli o małym, wędrującym bez opieki wśród niesfornego ruchu Greenwich Village. Nieraz proponowała mężowi, aby przez wzgląd na dziecko wyprowadzili się pod miasto. Ale Willie był temu przeciwny. Powiadał, że nie jest typem ze Scarsdale.

Gretchen nie wiedziała, jak przedstawia się „typ ze Scarsdale”.

Znała wielu mieszkańców Scarsdale lub podobnych dzielnic podmiejskich i według niej byli to zwyczajni ludzie, jak wszędzie, pijacy, wielokrotni rozwodnicy, pobożnisie, politykierzy, patrioci, naukowcy, samobójcy, różni, najróżniejsi.

- Kiedy? - powtórzył z uporem Billy i wyrwał rękę matce.

- Jak skończysz dziesięć lat - zapewniła go powtórnie.

- Jeszcze cały rok! - poskarżył się żałośnie.

- Ani się obejrzyysz, jak zleci. A teraz zapnij płaszczyk, bo się przeziebiesz.

Billy grał przez chwilę w koszykówkę na boisku szkolnym i wciąż ociekał potem.

Późne popołudnie październikowe było chłodne i od Hudsonu wiał przejmujący wiatr.

- Jeszcze cały rok - powtórzył Billy. - To nieludzkie!

Parsknęła śmiechem i nachyliwszy się pocałowała chłopczyka w czubek głowy. Odsunął się od niej raptownie.

- Nie całuj mnie w miejscu publicznym - fuknął.

Podbiegł do nich duży pies i Gretchen musiała się powstrzymać od powiedzenia chłopcu, by go nie głaskał.

- Stare psisko. Pocziwe - szeptał Billy klepiąc psa po łbie i ciągnąc za ucho.

W królestwie zwierząt czuje się bardzo swojsko, jest przekonany, że nic, co żyje, nie życzy mu źle, pomyślała Gretchen. Nikt, z wyjątkiem matki.

Pies pomerdał ogonem i odszedł.

Byli teraz na własnej ulicy, bezpieczni. Gretchen pozwoliła chłopcu ociągać się, uprawiać ćwiczenia równoważne na pęknięciach w płytach chodnika. Blisko kamienicy, w której mieszkała, zobaczyła, że Rudolf i Johnny Heath stoją przed domem oparci o balustradę tarasu. Każdy z nich trzymał papierową torbę zawierającą butelkę. Wychodząc po synka włożyła chusteczkę na głowę, stary płaszcz i nie zmieniła nawet spodni, które nosiła zwykle w domu. Dlatego czuła się trochę niepewnie podchodząc do dwu młodych dżentelmenów ubranych jak solidni biznesmeni - nawet w kapeluszach.

Ostatnio często widywała Rudolfa, który od jakichś sześciu miesięcy przyjeżdżał do Nowego Jorku dwa albo trzy razy na tydzień. Zawsze występował w oficjalnym ciemnym garniturze, gdyż coś tam załatwiał z Calderwoodem i firmą maklerską Johna Heatha.

Gretchen wypytywała go o to i Rudolf usiłował jej tłumaczyć, lecz nic nie mogła zrozumieć dokładnie. Ogólnie biorąc, chodziło o powołanie do życia przedsiębiorstwa, które - od inicjałów Duncana Calderwooda - miało nosić nazwę: „De-Ce, Spółka Akcyjna”. W rezultacie Rudolf miał zostać człowiekiem bogatym, a w każdym razie oderwać się na co najmniej pół roku od domu towarowego i Whitby. Prosił nawet siostrę, by rozejrzała się za niedużym, umeblowanym mieszkaniem dla niego.

Rudolf i Johnny mieli zadowolone z siebie, wesołe miny, jak gdyby popili już trochę. Złociste kapsle wyglądające z papierowych toreb świadczyły, że butelki wypełnia szampan.

- Cześć, chłopcy! - powitała ich Gretchen. - Czemu nie daliście znać, że przyjedziecie?

- Nie wiedzieliśmy, że przyjedziemy - odparł Rudolf. - Oblewanie jest zaimprovizowane.

Pocałował ją w policzek. Nie, nic dzisiaj nie pił, pomyślała.

- Jak się masz, Billy? - zwrócił się do siostrzeńca:

- Jak się masz? - odpowiedział zdawkowo chłopczyk.

Stosunki między nimi były raczej obojętne. Billy mówił wujowi po imieniu: Rudi. Od czasu do czasu Gretchen próbowała nauczyć go uprzejmości, przyzwyczać do zwrotu „wujaszek Rudolf „. Jednakże Willie bronił syna, mówiąc: „Przestarzałe formy bez znaczenia.

Przestarzałe formy. Nie wychowuj małego na obłudnika”.

- No, idziemy na górę - powiedziała Gretchen. - Tam otworzy się wasze butelki.

W pokoju był okropny nieład. Gretchen obecnie tu pracowała, ponieważ całe poddasze oddała na wyłączny użytek synka, a więc bawialnię zaśmiecały fragmenty dwu artykułów, które przyrzekła dostarczyć przed końcem miesiąca. Książki, notatki, jakieś świstki papieru leżały na biurku oraz wszystkich stołach, nawet na kanapie. Gretchen nie potrafiła pracować metodycznie, a podejmowane czasami starania w tym kierunku wiodły z reguły do chaosu jeszcze gorszego niż uprzednio. Nauczyła się palić bez przerwy przy pracy, więc wszędzie widać było popielniczki pełne niedopałków. Willie - sam bałaganiarz - skarżył się czasami. „To nie dom. To redakcja jakiegoś brukowego piśmidła”.

Gretchen zauważyła pełne przygany spojrzenie, jakim jej brat objął pokój. Czy przymierza ją teraz do schludnej, pedantycznej dziewczyny, jaką była mając dziewiętnaście lat? Zirytowała się na tego nieskazitelnie odprasowanego brata. Ja prowadzę dom, zarabiam na życie, pomyślała. O tym nie zapominaj, braciszku.

Płaszcz i chusteczkę na głowę powiesiła z drobiazgową dokładnością, aby okupić jakoś bałagan panujący w pokoju.

- Bill - zwróciła się do synka. - Pójdź na górę. Weź się do odrabiania lekcji.

- Ee... - zaprotestował raczej dla zasady niż z chęci, by pozostać z dorosłymi.

- No idź już, Billy. Idź.

Ruszył na piętro zadowolony, chociaż udawał bardzo niezadowolonego.

Gretchen postawiła trzy kieliszki.

- Co to za okazja? - zapytała Rudolfa, który odkorkował już butelkę.

- Sprawa załatwiona! - odpowiedział. - Dziś podpisano wszystko.

Teraz do końca życia możemy pić szampana rano, w południe i wieczorem.

Wyciągnął korek i oblewając sobie dłoń pianą, napełnił trzy kieliszki.

- To wspaniale - powiedziała bez przekonania Gretchen, która nigdy nie potrafiła zrozumieć jednokierunkowego zainteresowania sprawami pieniężnymi, jakie przejawiał Rudolf.

Sięgnęli po kieliszki.

- Za „De-Ce, Spółkę Akcyjną” i jej naczelnego dyrektora - powiedział Johnny. - To

będzie najnowszy potentat handlowy.

Młodzi panowie roześmieli się krótko. Obydwaj mieli jeszcze napięte nerwy. Gretchen odniosła dziwne wrażenie, iż zachowują się jak ludzie, którzy szczęśliwie uniknęli strasznej katastrofy i niemal histerycznie gratulują sobie nawzajem ocalenia. Co się właściwie dzieje w rozmaitych biurach w handlowej dzielnicy Nowego Jorku? - zadała sobie pytanie.

Rudolf nie mógł usiedzieć spokojnie. Z kieliszkiem w ręku kręcił się po pokoju, otwierał książki, spoglądał na nieład na biurku, przewracał strony gazety. Najwyraźniej był zmęczony i zdenerwowany, miał bardzo błyszczące oczy i zapadnięte policzki.

Prawem kontrastu Johnny był rumiany, czerstwy, opanowany i pełen spokoju, a teraz, kiedy piastował kieliszek, sprawiał wrażenie sennego. Bardziej niż Rudolf przywykł do pieniędzy i obracania nimi, do nagłych a niespodziewanych powodzeń lub niepowodzeń.

Rudolf włączył radio i ryknęły środkowe frazy pierwszej części koncertu Emperor. Uśmiechnął się do przyjaciela.

- To coś dla nas, Johnny - powiedział. - Pieśń na cześć milionów.

- Dajcie spokój! - podchwyciła Gretchen. - Bo przy was, chłopcy, zaczynam się czuć nędzarką.

- Gdyby Willie miał trochę oleju w głowie - powiedział Johnny - zebrałby, zaciągał długi, kradł, byle zebrać forszę i przyczepić się jakoś do „De-Ce, Spółki Akcyjnej”. Mówię serio. Diabli wiedzą, jak wysoko mogą skoczyć te udziały.

- Willie - uśmiechnęła się Gretchen - jest zbyt dumny, by zebrać, zbyt szeroko znany, by zaciągać długi, zbyt tchórzliwy, by kraść.

- Mówisz o moim przyjacielu! - Johnny udał oburzenie.

- Niegdyś był on też moim przyjacielem - odpowiedziała.

- No to kropnij jeszcze szampana - zaproponował Johnny i napełnił jej kieliszek.

Rudolf wziął arkusik papieru z jej biurka.

- Wiek karzełków - przeczytał! - Jaki dziwny tytuł!

- Miał to być artykuł o programach telewizyjnych w tym sezonie - wyjaśniła - ale rozrósł się jakoś. Zeszłoroczne sztuki, tegoroczne sztuki, kilka powieści, gabinet Eisenhowera, moralność w życiu publicznym, szkolnictwo... Jestem przerażona metodami, jakimi Billy jest kształcony, i chyba to naprawdę mnie ruszyło.

- Ostra jesteś - powiedział Rudolf, gdy przebiegł wzrokiem pierwsze zdania.

- Płacą mi za to, że jestem sekutnicą - powiedziała. - To mój zawód.

- Czy rzeczywiście widzisz sprawy tak czarno, jak piszesz? - zapytał Rudolf.

- Tak - odrzekła i unosząc kieliszek spojrzała na Johna Heatha.

W tej chwili zabrzączał telefon.

- Pewno Willie dzwoni, że nie może przyjść na obiad - podjęła idąc do aparatu, który stał na biurku. - Halo? - odezwała się już z góry opryskliwym tonem. - Chwileczkę, zaraz go poproszę. - Podała słuchawkę bratu. - Do ciebie.

- Do mnie? - Rudolf wzruszył ramionami. - Nikt nie wie, że jestem tutaj.

- Facet powiedział, że chce mówić z panem Jordachem.

Rudolf sięgnął po słuchawkę.

- Słucham?

- Jordach? - głos był ochrypły i brzmiał trochę tajemniczo.

- Tak.

- Tu Al. Na dziś wieczór postawiłem pięć setek za ciebie i na ciebie. Korzystnie. Siedem do pięciu.

- Zaraz, zaraz... - rzucił śpiesznie Rudolf, ale połączenie zostało już przerwane; przez chwilę patrzył ze zdziwieniem na słuchawkę, którą trzymał w dłoni. - Coś zdumiewającego - podjął. - Facet przedstawił się jako Al, powiedział, że dziś wieczór postawił za mnie i na mnie pięć setek w stosunku siedem do pięciu.

Gretchen, czy ty w sekrecie uprawiasz jakiś hazard?

- Nie znam żadnego Ala - odpowiedziała - no, i z pewnością nie mam pięciuset dolarów. Zresztą facet pytał o pana Jordacha, nie pannę Jordach.

Pisywała pod panięńskim nazwiskiem i jako G. Jordach figurowała w spisie telefonów Manhattanu.

- Diabli wiedzą, co to za historia - podjął Rudolf. - Johnny, mówiłem komu, że tutaj będę?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odrzekł Johnny.

- Ten ktoś pomylił numer - wtrąciła Gretchen.

- Mało prawdopodobne - powiedział Rudolf. - Ilu może być Jordachów w Nowym Jorku? Spotkałaś się kiedy z naszym nazwiskiem?

Zaprzeciżyła poruszeniem głowy.

- Gdzie jest spis telefonów Manhattanu?

Podała mu książkę, którą Rudolf otworzył na literze „J”.

- „T. Jordach, Zachodnia Dziewięćdziesiąta Trzecia Ulica” - przeczytał i z wolna zamknął książkę. - T. Jordach - powtórzył zwracając się do siostry. - Sądzisz, że to możliwe?

- Mam nadzieję, że nie.

- O czym wy mówicie? - zainteresował się Johnny.

- Mamy brata imieniem Tomasz - wyjaśnił Rudolf.
- To najmłodszy z rodzeństwa. Dla nas wciąż małe dziecko - dorzuciła Gretchen.
- Od dziesięciu lat nie widzieliśmy go i nie słyszeliśmy nic o nim - powiedział Rudolf.
- Jordachowie to rodzinka niebywale zwarta - podjęła Gretchen.

Po dniu pracy szampan zaczynał szybko działać, więc położyła się na kanapie. Przypomniała sobie, że wcale nie jadła lunchu.

- Co on robi? - zapytał Johnny. - Ten wasz brat?
- Nie mam pojęcia - odpowiedział Rudolf.

- Jeżeli nie zmienił się od wczesnej młodości - podchwyciła Gretchen - to niewątpliwie omija policję.

- Zaraz to sprawdzę - podjął Rudolf. Otworzył spis telefonów i znalazł T. Jordacha zamieszkałego przy Zachodniej Dziewięćdziesiątej Trzeciej Ulicy; nakręcił numer.

Odezwała się kobieta, sądząc po brzmieniu głosu, młoda.

- Dobry wieczór pani - rozpoczął Rudolf oficjalnym tonem. - Czy mógłbym prosić pana Tomasza Jordacha?

- Nie mógłby pan - zabrzmiał wysoki, raczej piskliwy sopran. - A kto mówi? - dodała podejrzliwie.

- Znajomy. Czy pan Jordach w domu?

- Śpi - odrzekła szorstko kobieta. - Dziś wieczór będzie walczył.

Nie ma czasu na żadne rozmowy. - Z trzaskiem przerwała połączenie.

Rudolf trzymał słuchawkę z dala od ucha, a kobieta mówiła głośno, więc Gretchen i Johnny wysłuchali rozmowy słowo w słowo.

- Hm... Dziś wieczór będzie walczył - odezwała się Gretchen. - To coś jak gdyby nasz Tommy.

Rudolf sięgnął po nowojorski numer „Timesa”, który leżał na krześle przy biurku. Otworzył go na stronie poświęconej sportowi.

- Jest! - zawołał. - Główna walka. Tommy Jordach i Virgil Walters.

Waga średnia. Dziesięć rund. W Słonecznych Ogrodach.

- To brzmi sielankowo - powiedziała Gretchen.

- Pójdę tam - ożywił się Rudolf.

- Po co? - zapytała.

- Ostatecznie to mój brat.

- Obywałam się bez niego przez dziesięć lat - podjęła. - Spróbuję przez dwadzieścia.

- A ty, Johnny? - zwrócił się Rudolf do Heatha.

- Bardzo żałuję, ale jestem zaproszony na obiad. Później mi wszystko opowiesz.

Telefon zadzwonił znowu. Rudolf szybko sięgnął po słuchawkę, ale tym razem był to tylko Willie.

- Cześć, Rudi! - zabrzmiał jego głos na tle barowego gwaru. - Nie, nie! Nie muszę z nią mówić. Powtórz jej tylko, że bardzo mi przykro, ale mam dziś oficjalny obiad i do domu wrócę późno.

Powiedz, żeby na mnie nie czekała.

Gretchen uśmiechnęła się z kanapy.

- Nie mów, co usłyszałeś.

- Powiedział, że na obiad nie przyjedzie.

- Aha. I żeby nie czekała na niego.

- Zgadza się mniej więcej.

- Johnny! - zwróciła się do Heatha. - Chyba czas otworzyć drugą butelkę.

Nim opróżnili tę drugą butelkę, Gretchen zatelefonowała po opiekunkę do dziecka i znalazła adres Słonecznych Ogrodów. Później wyszła do łazienki, wzięła natrysk, ułożyła włosy i - niezbyt pewna, czy to strój odpowiedni na zawodowy mecz bokserski - ubrała się w wizytową suknię z czarnej wełny. Zeszczuplała ostatnio i suknia była cokolwiek za luźna, lecz dwaj mężczyźni spojrzeli na Gretchen z uznaniem, gdy pojawiła się w bawialni, co zauważyła oczywiście. Nie pozwolę sobie na zaniedbanie i niechlujstwo, pomyślała. Nigdy!

Kiedy opiekunka do dziecka zjawiała się i otrzymała stosowne instrukcje, Gretchen, Rudolf i Johnny opuścili mieszkanie i poszli do najbliższej restauracji. Tam Johnny wypił z nimi przy bufecie i począł zbierać się do wyjścia.

- Dziękuję i do... - zaczął, lecz w tej chwili Rudolf parsknął śmiechem.

- Mam przy sobie tylko pięć dolarów - powiedział. - Będiesz na dziś moim bankierem, stary?

Johnny wyjął z portfela pięć dziesięciodolarowych banknotów.

- Starczy? - zapytał.

- Bardzo ci dziękuję. - Niedbałym gestem schował pieniądze do kieszeni i roześmiał się znowu.

- Co cię tak bawi? - zagadnęła go siostra.

- Nie spodziewałem się nigdy - odpowiedział - że nadejdzie dzień, kiedy nie będę wiedział dokładnie, ile dolarów mam w kieszeni.

- Nabierasz zdrowych, ułatwiających życie przyzwyczajień bogaczy - przemówił z

powagą Johnny. - Moje gratulacje. No cześć, Rudi.

Jutro zobaczymy się w moim kantorze. I mam nadzieję, że wasz brat zwycięży.

- Ja mam nadzieję, że ktoś mu wreszcie łeb rozwali - podchwyciła Gretchen.

Kiedy bileter zaprowadził ich na miejsce w trzecim rzędzie od ringu, była w toku jakaś podrzędna walka. Gretchen zauważyła, że pośród widzów jest bardzo niewiele kobiet i żadna z nich nie ma na sobie wizytowej sukni z czarnej wełny. Nigdy dotąd nie była na meczu bokserskim i wyłączała telewizor, jeżeli coś takiego pokazywano. Obrzydliwy wydawał się jej sam pomysł, by dwaj ludzie bili się bez sensu za pieniądze, a okalające ją twarze mężczyzn uznała za takie, jakich należało się spodziewać na tego rodzaju widowisku. Nie wątpiła, że jak żyje, nie widziała tylu brzydkich ludzi zgromadzonych w jednym miejscu.

Wyglądało na to, że zapaśnicy na ringu nie chcą zrobić sobie krzywdy, więc Gretchen z bierną odrazą patrzyła na ich natarcia, parady i uniki. Tłum spowity tytoniowym dymem był apatyczny i tylko od czasu do czasu, gdy zabrzmiał odgłos silnego ciosu, nad amfiteatrem unosił się przez moment stłumiony, zwierzęcy pomruk.

Wiedziała, że Rudolf bywa czasami na zawodowych meczach bokserskich i słyszała nieraz, że w rozmowach z jej mężem entuzjazmuje się zawodnikami - takimi na przykład jak Ray Robinson. Ukradkiem zerknęła w stronę brata. Wyglądał na zainteresowanego tym, co się dzieje na ringu. Teraz, kiedy patrzyła na walkę, czuła odór potu, widziała czerwone plamy wykwitające na bladej skórze tam, gdzie lądowały ciosy, podejrzany wydał się jej cały charakter Rudolfa - jego łagodnie pobłażliwe tony człowieka wykształconego, nienaganne maniery, brak agresywnych skłonności. Mimo wszystko łączy go coś z brutalami na ringu, z brutalami zajmującymi rzędy amfiteatru.

W następnej walce jeden z bokserów doznał kontuzji łuku brwiowego i krew tryskająca z rany spryskała jego oraz przeciwnika. Tłum zawył na ten widok tak, że Gretchen poczuła się słabo. Miała wątpliwości, czy zdoła usiedzieć na miejscu do chwili, aż jej brat przejdzie przez liny na ring i weźmie udział w podobnych jatkach.

Zanim nadszedł czas na główną walkę, była blada, osłabiona i przez mgłę łez i dymu ledwie poznała Toma w roslym mężczyźnie, który w czerwonym szlafroku przeszedł zręcznie przez liny i stanął na ringu.

Kiedy sekundanci Toma zdjęli z niego szlafrok i zarzucili mu go na ramiona, aby naciągnąć rękawice na obandażowane dłonie, Rudolf zauważył przede wszystkim nie bez zazdrości, że jego brat prawie nie ma włosów na skórze. Sam był mocno włochaty. Gęste, czarne kędziory pokrywały mu piersi, rozprzestrzeniały się na ramiona.

Nogi miał też owłosione i to nie pasowało do obrazu, jaki stworzył w swojej wyobraźni. Gdy latem wybierał się na pływalnię, żenowało go, że jest kudłaty, i miał wrażenie, że ludzie pokpiwają z niego.

Dlatego bardzo rzadko pozwalał sobie na kąpiel słoneczną i zwykle naciągał koszulę zaraz po wyjściu z wody.

Tom miał potężnie umięśnione, przetrenowane ciało, ale poza tym zmienił się zdumiewająco mało. Jego nie zdeformowana jeszcze twarz nadal sprawiała wrażenie chłopięcej i ujmującej. Uśmiechał się w trakcie formalności poprzedzających walkę, lecz Rudolf zauważył, że od czasu do czasu nerwowo oblizuje wargi. Pod obcisłymi spodenkami z czerwonego jedwabiu drgał też miarowo jeden potężny mięsień w udzie, kiedy sędzia udzielał zawodnikom ostatnich wskazówek. Tom miał przez cały czas oczy spuszczone. Spojrzał tylko na tłum i podniósł pięść w rękawicy, gdy sędzia zaprezentował go publiczności („W tym kącie Tommy Jordach, waga sto pięćdziesiąt dziewięć i pół funta”). Jeżeli przy tej okazji poznał siostrę i brata, nie zdradził tego żadnym znakiem.

Jego przeciwnik - smukły Murzyn znacznie wyższy od Toma i o dłuższych rękach - groźnie przestępował z nogi na nogę w swoim kącie, i przytakiwał skinieniem głowy, słuchając rad, które sekundant szeptał mu do ucha.

Gretchen miała na twarzy zastygły grymas obrzydzenia, gdy przez obłoki dymu patrzyła na mocną, niszczycielską, prawie obnażoną postać swojego brata. Nie lubiła nie owłosionego męskiego ciała (Willie był pokryty przyjemnym, rudawym puchem) a potężne rozrosłe mięśnie zawodowca przejmowały ją instynktowną odrazą. „Rodzeństwo na świat wydane przez to samo łono.” Myśl ta bardzo ją przygnębiła. Za chłopięcym uśmiechem rozpoznawała przebiegłą złośliwość, pragnienie bójki i zadawania bólu - wszystko to, co zrażało ją do brata, kiedy mieszkali pod jednym dachem. Dręczyło ją wrażenie, że to jej krew z krwi i kość z kości demonstruje się na ringu w trakcie potwornych, poprzedzających walkę ceremonii.

Cóż w tym dziwnego, pomyślała wreszcie. Z góry powinnam wiedzieć, że do tego dojdzie. Będzie musiał walczyć, aby żyć.

Przeciwnicy byli na wyrównanym poziomie, jednakowo szybcy, a Murzyn, chociaż mniej agresywny, mógł bronić się skuteczniej dzięki długim rękom. Tom nacierał ostrożnie, odbierał dwa ciosy, by zadać jeden, bombardował przeciwnika, zmuszał do odwrotu i przy sposobności, gdy zapędzał go w róg przy linach, wymierzał potężne uderzenia.

- Zabij czarnucha! - wykrzykiwał jakiś głos z głębi amfiteatru za każdym razem, gdy Tom zadawał serię ciosów. Gretchen mrużyła oczy, bo wstyd jej było za wszystkich obecnych

w tym miejscu, za każdego mężczyznę i za każdą kobietę. Ach, Arnoldzie Simms, kulejący, ubrany w brunatny szlafrok szpitalny, Arnoldzie Simms, który mówiłeś: „Ma pani ładne stopy”, i marzyłeś o Kornwalii, wybacz mi ten dzisiejszy wieczór.

Tak mniej więcej wyglądało osiem z dziesięciu rund. Tom krwawił nosem i z rozcięcia nad okiem, ale nie cofając się nigdy nacierał z jakąś ohydną, niemiłosierną, mechaniczną energią i stopniowo wyczerpywał przeciwnika. W ósmej rundzie Murzyn z wysiłkiem podniósł ręce i Tom posłał go na deski szerokim, prawym sierpem, który ugodził go w czoło. Murzyn wyliczony do ośmiu dźwignął się z wysiłkiem i ledwie stanął na nogach, Tom, z twarzą umazaną krwią, lecz nadal uśmiechnięty, natarł z bezlitosną furią wymierzając mu - jak wydało się Gretchen - co najmniej pięćdziesiąt ciosów w ciągu niewielu sekund. Murzyn upadł na twarz, a publiczność zaczęła ryczeć ogłuszająco. Murzyn spróbował wstać, prawie ukląkł na jedno kolano. Tom czekał przygarbiony w neutralnym kącie - zbroczony krwią, niestrudzony. Chciał, aby tamten wstał, chciał walczyć dalej i Gretchen odniosła wrażenie, że zrobił zawiedzioną minę, gdy jego przeciwnik osunął się bezwładnie na deski i ostatecznie został wyliczony.

Gretchen była bliska wymiotów, lecz dostała tylko suchej czkawki i gdy podniosła chusteczkę do ust, zdumiał ją zapach perfum kontrastujący z obrzydliwym fetorem tego miejsca. Siedziała na swoim krześle przygarbiona, z opuszczonym wzrokiem, niezdolna patrzeć dłużej. Obawiała się, że może zemdleć i w ten sposób dać znać wszystkim siedzącym dokoła o związkach krwi, jakie łączą ją ze zwierzęciem triumfującym na ringu.

Przez cały czas meczu Rudolf siedział bez słowa, z pogardliwie wykrzywionymi ustami, pełen niesmaku dla krwawej bijatyki pozbawionej wszelkiego stylu i wdzięku.

Zawodnicy zeszli z ringu. Murzynowi - spowitemu w ręczniki i szlafrok - sekundanci pomogli przejść przez liny. Tom był uśmiechnięty i triumfująco pozdrawiał gestami rąk jakichś mężczyzn, którzy z uznaniem klepali go po plecach. Przeskoczył przez liny po przeciwległej stronie ringu, więc po drodze na zaplecze nie mógł zobaczyć swojego rodzeństwa.

Publiczność zaczęła się rozchodzić, ale Gretchen i Rudolf siedzieli ramię w ramię, milczeli, bali się własnych słów po tym, co przyszło im widzieć.

- Chodźmy stąd - odezwała się wreszcie Gretchen ochrypłym głosem i nie podnosząc wzroku.

- Musimy jeszcze pójść na zaplecze - powiedział Rudolf.

- Co ty mówisz? - ze zdumieniem spojrzała na brata.

- Przyszliśmy tutaj, obserwowaliśmy walkę. Teraz musimy się z nim zobaczyć.

- On nie ma z nami nic wspólnego - powiedziała Gretchen i w tej samej chwili uprzytomniła sobie, że to nieprawda.

- Chodź!

Rudolf wstał i dźwignął siostrę ująwszy ją za łokieć. Rudolf - człowiek gotów stawić czoło wszystkim i wszystkiemu - chłodny, opanowany, wzorowy rycerz ze Słonecznych Ogrodów.

- Nie chcę! Ja nie chcę! - protestowała, lecz zdawała sobie sprawę, że brat prowadzi ją, zmusza, by stanęła twarzą w twarz z okrwawionym, zwycięskim, brutalnym, pełnym urazy Tomem.

Przed garderobą stało kilku mężczyzn, ale nikt nie zatrzymał Rudolfa, kiedy pchnął i otworzył drzwi.

Gretchen cofnęła się i powiedziała:

- Lepiej zaczekam tutaj. On może być nie ubrany.

Brat nie zwrócił uwagi na te słowa, lecz ujął jej rękę i wciągnął za sobą do pokoju. Tom siedział na wyplamionym stole do masażu.

Był owinięty w pasie ręcznikiem i lekarz zszywał mu przecięcie nad okiem.

- To drobiazg - mówił właśnie. - Jeszcze jeden ścieg i będzie po wszystkim.

Tom miał oczy zamknięte, aby ułatwić robotę doktorowi. Rozmazana nad brwią, pomarańczowa plama jakiegoś środka dezynfekcyjnego nadawała jego twarzy błazeński wyraz i stwarzała wrażenie grymasu.

Niewątpliwie wziął już natrysk, gdyż włosy miał pociemniałe od wody, przylegające do głowy, i wyglądał niby rycina dawnego pięściarza, z takich, co to walczyli gołymi knykciami. Wokół stołu do masażu stało kilku mężczyzn, którzy - jak to pamiętał Rudolf - znajdowali się podczas meczu w kącie Toma na ringu albo w bliskości tego kąta. Zgrabna, młoda kobieta w bardzo obcisłej sukni dobywała z siebie stłumione syknięcia za każdym razem, gdy lekarz zagłębiał igłę w ciało. Miała kruczoczarne włosy i czarne nylony na niebywale kształtnych łydkach. Starannie wyskubane, cieniutkie i wysoko podniesione brwi nadawały jej twarzy wyraz zdziwionej lalki. W garderobie cuchnęło zastarzałym potem, kremami kosmetycznymi, cygarowym dymem i uryną z ustępu widocznego za otwartymi drzwiami. Na brudnej podłodze leżał zakrwawiony ręcznik, a na nim to, co Tom miał na sobie podczas walki - przepecone czerwone spodenki, szelki, skarpetki i pantofle. W garderobie było piekielnie gorąco.

Co ja robię w podobnym miejscu? - zapytała Gretchen. Dlaczego przyszłam tutaj?

- Załatwione! - Doktor odstąpił krok i głową pochyloną na bok przez chwilę podziwiał

swoje dzieło; następnie zakrył ranę tamponem z gazy i przytrzymał go taśmą przylepca. - Za dziesięć dni będziesz mógł walczyć.

- Dziękuję doktoru. - Tom otworzył oczy i w tej chwili zobaczył Rudolfa i Gretchen.

- Cholerny świat! - zawołał i uśmiechnął się krzywo. - A co, u diabła, wy tutaj robicie?

- Mam dla ciebie wiadomość - powiedział Rudolf. - Dziś po południu zadzwonił do mnie ktoś, kto ma na imię Al. Powiedział, że na ten wieczór postawił za ciebie pięć setek w stosunku siedem do pięciu.

- Poczciwy, stary Al - uśmiechnął się Tom i z zatroskaną miną spojrzał na zgrabną brunetkę, jak gdyby wołał, aby nie dotarła do niej ta informacja.

- Winszuję ci zwycięstwa. - Rudolf postąpił krok i wyciągnął rękę.

Tom wahał się przez ułamek sekundy. Później uśmiechnął się znowu i pozwolił bratu uścisnąć swoją dłoń poczerwieniałą i opuchłą.

Gretchen nie mogła się zdobyć na gratulacje.

- Zadowolona jestem, Tom, że wygrałeś - powiedziała tylko.

- A wygrałem... Dziękuję. - Tom spojrzał na nią drwiąco. - Muszę wszystkich przedstawić. Mój brat Rudolf i siostra Gretchen. Moja żona Teresa, mój impresario pan Schultz, trener Paddy... No i reszta. - Okrągłym ruchem ręki wskazał mężczyzn, których prezentacją nie zwracał sobie głowy.

- Miło mi państwa poznać - odezwała się Teresa tym samym podejrzliwym głosem z popołudniowej rozmowy przez telefon.

- Nie wiedziałem, że masz rodzinę. - Głos Schultza zabrzmiał też podejrzliwie, jak gdyby posiadanie rodziny było czymś niebezpiecznym lub przeciwnym prawu.

- Sam nie byłem tego pewien - powiedział. - Jak to się mówi, wędrowaliśmy różnymi drogami. Hej, Schultzy! Nie musiało być cholernego tłoku przy wejściu, jeżeli bilety dostali nawet mój brat i siostra.

- Po dzisiejszym meczu będziemy mieli zawsze pełną salę - odparł Schultz, mały człeczyna o wydatnym brzuchu pod zielonym swetrem. - To było ładne zwycięstwo. Cóż, wy tutaj musicie mieć sobie dużo do powiedzenia, więc lepiej się zmyjemy. Na razie, Tommy. Wpadnę do ciebie jutro, żeby zobaczyć, co z okiem.

Włożył marynarkę i nie bez trudności zapiął ją na brzuchu. Trener zebrał szmaty z podłogi i zapakował do torby.

- Fajnie było, Tommy - powiedział i wyniósł się z garderoby wraz z lekarzem, Schultzem i „resztą”.

- No i jesteśmy teraz w przyjemnym, rodzinnym kółku - powiedział Tom. - Trzeba to

będzie jakoś oblać. No nie, Tereso?

- Nigdy mi nic nie gadałeś o bracie ani siostrze. - Wysoki głos Teresy zabrzmiał tonem wyrzutu.

- Na kilka lat wywietrzeli mi jakoś z głowy. - Tom zeskoczył ze stołu. - A teraz, jeżeli damy raczą opuścić pokój, włożę na siebie coś z ubrania.

Gretchen wyszła na korytarz wraz z bratową. Było tam pusto, więc odetchnęła z ulgą po zapachu i upale w garderobie. Teresa nakładała podniszczone okrycie z rudych lisów, przy czym niecierpliwie, jak gdyby gniewnie, poruszała ramionami i rękoma.

- „Jeżeli damy raczą opuścić pokój” - burknęła. - Jak gdybym nigdy nie widziała go bez ubrania.

Z jawną niechęcią spoglądała na Gretchen, na jej wizytową suknię z czarnej wełny, pantofle na płaskich obcasach, prosty płaszcz sportowy z paskiem. Gretchen zdawała sobie sprawę, że bratowa poczytuje to wszystko za afront wobec całego jej stylu życia farbowanych włosów, bardzo obcisłej sukni, kształtnych łydek, małżeństwa.

- Nie wiedziałam, że Tommy pochodzi z takiej pierwszej klasy rodziny.

- Nie martw się. Nie jesteśmy rodziną pierwszej klasy.

- Przed tą dzisiejszą walką nigdy nie zwracałaś sobie nim głowy - podjęła napastliwie Teresa. - Nie chciałaś go oglądać, co?

- Do dzisiaj nie wiedziałam, że jest zawodowym bokserem - odpowiedziała Gretchen.

- Pozwolisz, że usiądę? Jestem bardzo zmęczona.

W głębi korytarza stało krzesło, więc odeszła od bratowej i usiadła pełna nadziei, że to położy kres rozmowie. Teresa wzruszyła ramionami pod okryciem z rudych lisów i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem. Jej wysokie, szpilkowe obcasy stuknęły o betonową podłogę korytarza.

W garderobie Tom ubierał się powoli. Odwrócił się wstydliwie, kiedy naciągał krótkie gatki, raz po raz ocierał twarz ręcznikiem, gdyż po natrysku poty niezupełnie ustąpiły. Od czasu do czasu spoglądał na brata, uśmiechał się, kręcił głową i powtarzał:

- A niech to wszyscy diabli.

- Jak się czujesz, Tommy? - zapytał Rudolf.

- Fajno! Tyle, że jutro będę sikał krwią - odpowiedział spokojnie.

- Skurwysyn dobrze stuknął mnie parę razy po nerkach. Ale mecz był na poziomie, no nie?

- Tak - przyznał Rudolf, bo nie miał serca powiedzieć, że według niego było to

rutyniarskie i pozbawione wdzięku okładanie się piściami.

- Wiedziałem, że dam mu radę - podjął Tom - chociaż w zakładach byłem nie doceniany. Siedem do pięciu. I to dobrze. Zarobiłem siedemset dolarów. Kapujesz? - pochwalił się jak mały chłopiec. - Szkoda tylko, że powiedziałaś o tym przy Teresie. Teraz wie, że mam forszę, i zaraz będzie ganiać za nią jak ogar.

- Długo jesteś żonaty?

- Dwa lata. Formalnie. Widzisz, zapędziłem babkę w ciążę, więc pomyślałem sobie, niech będzie. Teresa jest niezła, trochę za tępa, ale całkiem niezła. Tak czy inaczej warto było. Dla dziecka.

To chłopak. - Złośliwie spojrzał na brata. - Może wyślę go kiedyś do stryjka Rudolfa, żeby wyuczył się dżentelmeńskich manier, nie wyrósł na biednego, durnego piściarza, jak jego stary.

- Chętnie zobaczę któregoś dnia twojego synka - odrzekł sztywno Rudolf.

- W każdej chwili, Rudi. Możesz przyjść do nas. - Tom nakładał właśnie czarny golf i jego głos zabrzmiał przez grubą wełnę jak przez tłumik. - Żonaty jesteś?

- Nie.

- Zawsze ten sam, najbardziej udany w rodzinie, co? A Gretchen?

- Od dawna jest mężatką. Ma dziewięcioletniego syna.

- Aha! - Tom przytaknął skinieniem głowy. - Nie mogła długo czekać, no nie? Diabło gorąca była z niej dziewczuszka. Wygląda teraz lepiej niż kiedykolwiek, no nie?

- Tak.

- I co? Taka sama z niej dziwka jak dawniej?

- Nie mów tak, Tommy - obruszył się Rudolf. - Gretchen była bardzo miłą dziewczyną i wyrosła na dobrą kobietę.

- Ha! Muszę ci uwierzyć na słowo, Rudi - podjął z pogodą Tom, który troskliwie czesał włosy grzebieniem przed pękniętym lusterkim wiszącym na ścianie. - Sam nie wiem, no bo zawsze byłem trzymany na uboczu.

- Nie byłeś trzymany na uboczu - powiedział Rudolf.

- Z kogo robisz wariata, braciszku? - zapytał szorstko Tom.

Schowwał grzebień do kieszeni i ostatnim krytycznym spojrzeniem objął swoją nabrzmiałą, posiniaczoną twarz z tamponem gazy i z paskiem przylepca nad okiem. - Ładny dziś ze mnie chłopak, no nie?

Gdybym wiedział, że przyjdiesz, ogoliłbym się przynajmniej. - Odwrócił się i na czarny golf włożył marynarkę z jasnego tweedu. - Wygląda na to, Rudi - podjął - że dobrze ci

się wiedzie. Masz minę cholernie ważnego wicedyrektora banku.

- Nie narzekam - odpowiedział Rudolf niekontent z tego wicedyrektora.

- Wiesz co? - podjął Tom. - Parę lat temu wybrałem się do Port Philip. Stary, kochany dom rodzinny. Kapujesz? Tam dowiedziałem się, że tata nie żyje.

- Popęłnił samobójstwo - wtrącił Rudolf.

- Aha. To samo powiedziała mi pani z owocarni. - Tom klepnął się po wewnętrznej kieszeni marynarki, by sprawdzić, że portfel jest na miejscu. - Stary dom zniknął. Światło w oknie piwnicy nie powitało marnotrawnego syna - prychnął szyderczo. - Stoi tam supermarket. Do dzisiaj pamiętam specjalność dnia: łopatkę jagnięcą. Mama żyje?

- Tak. Mieszka ze mną.

- Masz szczęście, co? - uśmiechnął się Tom. - W Port Philip?

- W Whitby.

- Niewiele podróżujesz, co?

- Na to będę miał jeszcze mnóstwo czasu - powiedział Rudolf.

Odniosł niemile wrażenie, że Tom wykorzystuje rozmowę, aby drażnić go, zbijać z tropu, budzić w nim poczucie winy. Zdążył już przywyknąć do kierowania rozmowami, więc z nie lada wysiłkiem ukrywał swoje rozdrażnienie. Obserwował ubierającego się brata, obserwował jego wspaniałe, groźne, posiniaczone ciało, które wykonywało powolne ruchy - obserwował i znajdował w sobie wielkie współczucie, wielką miłość, mętne pragnienie, aby bronić tego nieokrzesanego, dzielnego, pełnego zawziętości chłopca przed takimi jak dzisiejszy wieczorami, okropną żoną, rozbestwionym tłumem, wesołym, zszywającym rany lekarzem, przed różnymi ludźmi, którzy kręcą się wokół niego i żyją z niego. Nie życzył sobie, by takie uczucia zostały unicestwione przez drwiny Toma, przez jego zadawnioną zazdrość i niechęć, które przez tyle lat winny wygasnąć.

- No a ja - mówił Tom - bywałem w rozmaitych miejscach. Widziałem Chicago, Cleveland, Boston, Nowy Orlean, Filadelfię, San Francisco, Hollywood, Tia Juana. Wymień, jaką chcesz, nazwę, a okaże się, że i tam byłem. Podróże kształcą, no nie?

Drzwi otwarły się z łoskotem i do garderoby wtargnęła Teresa naburmuszona pod przesadnym makijażem.

- I co? Myślicie gadać tu do nocy? - zapytała gniewnie.

- W porządku, duszko, w porządku - powiedział Tom. - Już wychodzimy. Może zjedlibyście coś z nami, co? Ty i Gretchen - zwrócił się do brata.

- Pójdziemy do chińskiej restauracji - podchwyciła Teresa. - Umieram z głodu i marzę o chińskim jedzeniu.

- Niestety, Tom, nie dzisiaj - powiedział Rudolf. - Gretchen musi być w domu, zwolnić opiekunkę do dziecka.

Spostrzegł, że Tom szybko przeniósł spojrzenie z niego na swoją żonę i z powrotem. Na pewno pomyślał: „On nie chce pokazać się publicznie w towarzystwie Teresy.” Tego Rudolf był pewien.

Ale Tom wzruszył tylko ramionami i uśmiechnął się dobrodusznie.

- No to innym razem - powiedział. - Teraz przynajmniej wiemy, że wszyscy jesteśmy żywi. - Raptownie zatrzymał się przy drzwiach, jak gdyby coś sobie przypomniał. - Słuchaj. Czy jutro będziesz jeszcze w Nowym Jorku? Tak koło piątej?

- Tommy! - zawołała głośno jego żona. - Pójdziemy na ten obiad, czy nie pójdziemy?

- Cicho bądź! - ofuknął ją Tom. - I co, Rudi?

- Będę.

Cały następny dzień miał spędzić w Nowym Jorku z architektami i prawnikami.

- Gdzie możemy się spotkać? - zapytał Tom.

- Będę w swoim hotelu. To „Warwick” przy...

- Wiem, gdzie to jest - przerwał Tom. - Przyjadę.

Gretchen czekała na korytarzu. Twarz miała bladą i zmęczoną, więc Rudolf żałował przez chwilę, że ją tutaj sprowadził. Ale tylko przez chwilę. Jest dorosła, myślał, nie może się od wszystkiego uchylać. Dość, że od dziesięciu lat nie interesuje się matką.

Kiedy mijali drzwi następnej garderoby, Tom zatrzymał się znowu.

- Muszę wstąpić tu na minutkę - odezwał się - pogadać z Virgilem.

Chodź ze mną, Rudi. Powiedz mu, że jesteś moim bratem i że podobał ci się jego styl walki. Wtedy poczuje się lepiej.

- Nigdy nie wydostaniemy się z tego cholernego miejsca - zaprotestowała Teresa.

Mąż zignorował ją, pchnął drzwi garderoby i ruchem ręki dał znak Rudolfowi, aby wszedł pierwszy. Murzyn był jeszcze rozebrany.

Siedział na stole do masażu, ramiona miał opuszczone, ręce zwisające bezwładnie pomiędzy kolanami. Ładna młoda Murzynka - zapewne żona lub siostra boksera - siedziała obok stołu na składanym krześle, a biały sekundant przykładał worek z lodem do ogromnego guza na czole Virgila. Pod opuchlizną oko było szczelnie zamknięte. W kącie pokoju starszawy Murzyn o jasnej barwie skóry i siwych włosach, który mógł być ojcem boksera, starannie pakował jedwabny szlafrok, spodenki i pantofle. Kiedy Tom i Rudolf weszli do garderoby, Virgil zwrócił ku nim zdrowe oko.

Tom delikatnie objął go za ramiona.

- I co, Virgil? - zapytał. - Jakże się czujesz?

- Dobrze... Już dużo lepiej.

W tej chwili Rudolf zorientował się, że czarny chłopiec ma najwyżej dwadzieścia lat.

- To jest mój brat, Rudolf - podjął Tom. - Chciał ci powiedzieć, że bardzo podobał mu się twój styl walki.

Rudolf podał rękę bokserowi, który powiedział.

- Bardzo mi miło, proszę szanownego pana.

- Walka była na poziomie... na wysokim poziomie - bąknął Rudolf, chociaż miał szczerą chęć powiedzieć: „Biedny chłopcze, proszę cię, nigdy więcej nie nakładaj bokerskich rękawic”.

- Aha... Okropny siłacz z tego pańskiego brata.

- Cóż, miałem szczęście - podchwycił Tom. - I zarobiłem pięć szwów nad okiem.

- Nie chciałem cię skaleczyć, Tommy! Bogu przysięgam, nie chciałem.

- A kto mówi, że chciałeś? No cóż? Chciałem pozdrowić cię, zapytać, jak się czujesz. -

Tom objął znowu ramieniem byłego przeciwnika.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedział tamten. - To ładnie z twojej strony.

- Wszystkiego dobrego, chłopcze - zakończył rozmowę Tom.

Następnie on i Rudolf z powagą wymienili uściski dłoni z wszystkimi obecnymi osobami i wyszli z garderoby.

- No, nareszcie! - powitała ich w korytarzu Teresa.

Wróżę temu małżeństwu sześciomiesięczną przyszłość, pomyślał Rudolf idąc w kierunku wyjścia.

- Wyforowali tego chłopca - mówił Tom, który siedł obok brata. - Miał szereg łatwych zwycięstw, no i dali mu główną walkę.

Widziałem go kilka razy, więc wiedziałem z góry, że poślę go na deski. Cholera z tymi managerami! Zauważyłeś, że skurwysyna nie było w jego garderobie. Nie zaczął nawet, żeby sprawdzić, czy Virgila można puścić do domu, czy potrzebny mu szpital. Gówniany fach bokerski! - zakończył i obejrzał się przez ramię. Chciał zorientować się, czy takie sformułowanie nie zgorszy Gretchen.

Ale Gretchen szła jak gdyby spowita tokiem własnych myśli. Nie słyszała nic i nic nie widziała. Na ulicy, kiedy zatrzymali taksówkę; oznajmiła stanowczo, że zajmie miejsce obok kierowcy.

Wobec tego Teresa usiadła pomiędzy braćmi. Była uperfumowana do przesady, ale spłoszyła się, kiedy Rudolf opuścił okno.

- Mój Boże! Wiatr rozwieje mi włosy - zawołała. - Przepraszam - dodała ciszej i podniosła okno.

W milczeniu wracali do Manhattanu. Teresa trzymała męża za rękę.

Od czasu do czasu podnosiła ją do ust i całowała podkreślając w ten sposób swoje prawo własności.

- My tutaj wysiadzimy, Tom - powiedział Rudolf, gdy dojechali do mostu.

- Szkoda... Naprawdę nie wybierzecie się z nami? - zapytał Tom.

- To najlepsza w całym mieście chińska knajpa - dodała Teresa. - Nie wiecie nawet, co straciecie.

Po neutralnej przejażdżce nie bała się już, nie czuła się zagrożona. Stać ją było na gościnność, która kiedyś może zapewne przynieść korzyści.

- Muszę być w domu - powiedziała Gretchen rozdygotanym, bliskim hysterii głosem...

- Muszę!

Gdyby nie ona, Rudolf dotrzymałby towarzystwa bratu. Po gwarnym wieczorze, walce, publicznym triumfie Tom miał po prostu pójść na kolację z tą swoją rozszczebiotaną żoną. Rudolf myślał z przykrością, że biedak będzie osamotniony. Nikt nie rozpozna go, nikt nie powita okrzykiem. Postanowił, że wynagrodzi mu to kiedyś, innym razem.

Kierowca zatrzymał taksówkę. Gretchen i Rudolf wysiedli.

- No to bywajcie, krewniacy - roześmiała się Teresa. - Dobrej nocy.

- Jutro o piątej, Rudi - powiedział Tom, a Rudolf przytaknął skinieniem głowy.

- Do widzenia - szepnęła Gretchen. - I uważaj na siebie, Tommy.

Samochód odjechał. Gretchen chwyciła brata za ramię, jak gdyby chciała odzyskać zachwianą równowagę. Rudolf zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i podał kierowcy adres siostry. W ciemnym wnętrzu wozu Gretchen załamała się ostatecznie. Przyłgnęła do Rudolfa i rozplakała się tak, że szlochania wstrząsały całym jej ciałem. On miał również łzy w oczach. Tulił do siebie siostrę i gładził ją po włosach. W półmroku, gdy za oknami samochodu światła miasta przemykały i wraz ze strumieniami różnobarwnych neonów rozjaśniały chwilami tę twarz piękną, wykrzywioną bólem; załamioną - Rudolf czuł się bliższy siostry, złączony z nią więzami miłości mocniej niż kiedykolwiek dotąd.

Wreszcie płacz ustał. Gretchen wyprostowała się, otarła oczy chusteczką.

- Przepraszam, Rudi - szepnęła. - Nieznośna ze mnie snobka... Ale ten biedny chłopiec. Biedny, nieszczęśliwy chłopiec...

Kiedy weszli do mieszkania, opiekunka do dziecka spała na kanapie w bawialni. Willie nie wrócił jeszcze. Nikt nie telefonował, jak powiedziała dziewczyna. Billy czytał

spokojnie, póki nie zasnął, więc ona poszła na górę i zgasiła światło nie budząc dziecka.

Miała jakieś siedemnaście lat i uczyła się w szkole średniej.

Nieśmiała, ładna dziewczyna o rumianej dziecinnej twarzyczce i perkatym nosku była najwyraźniej speszona, że zaskoczono ją we śnie. Uprzednio zaprowadziła jaki taki ład w pokoju. Zbiła poduszki na kanapie, a rozrzucone bezładnie gazety ułożyła w schludny stos na oknie.

Gretchen nalała dwie szkockie whisky z wodą sodową. Zasiedli w półmroku, bo pokój oświetlała tylko jedna lampa - ona z podwiniętymi nogami na kanapie, on w stojącym opodal dużym fotelu.

Utrudzeni, zadowoleni z ciszy pili powoli. Kiedy opróżnili szklanki, Rudolf wstał i bez słowa napełnił je powtórnie.

Sygnał karetki pogotowia zajęczał w oddali. Ktoś gdzieś miał jakiś wypadek.

- Jemu to odpowiadało, sprawiało radość - odezwała się wreszcie Gretchen. - Tamten chłopiec był właściwie obezwładniony, on zadawał mu cios po ciosie. Tyle ciosów! Dawniej myślałam, jeżeli w ogóle myślałam na ten temat, że taki człowiek po prostu zarabia na życie w osobliwy sposób. Ale to nie to, Rudi. Dziś wieczór to nie było to, prawda?

- Trudno odgadnąć, co naprawdę dzieje się w głowie takiego człowieka - powiedział Rudolf. - To rzeczywiście osobliwy zawód.

- A tobie nie było wstyd?

- Nie tak to odebrałem, chociaż nie czułem się dobrze. Widzisz, w Stanach Zjednoczonych musi być co najmniej dziesięć tysięcy bokserów. Wszyscy pochodzą z czyichś rodzin.

- Ja to widzę inaczej.

- Tak. Ty to widzisz inaczej - powiedział Rudolf.

- Te obrzydliwe, czerwone spodenki! - zawołała Gretchen, skrzywiła się na ich wspomnienie, jak gdyby otrząsnęła się z grozy całego wieczoru, znalazłszy przedmiot godny obrzydzenia. - Dręczy mnie myśl, że to nasza wina: twoja, moja, rodziców. Gdyby było inaczej, Tom nie znalazłby się dziś może w tym ohydny miejscu.

Rudolf milczał, pociągał whisky. „Sam nie wiem - powiedział Tom w garderobie - no bo zawsze byłem trzymany na uboczu”. Trzymany na uboczu, reagował jak niedorostek, w najbardziej prosty, brutalny sposób - pięściami. Gdy dorósł, robił dalej to samo. Wszyscy mają przecież w sobie krew ojca, a Aksel Jordach zabił dwu ludzi. Tom nie zabił dotąd nikogo, o ile to było wiadomo Rudolfowi. Może dziedziczne piętno słabnie?

- Co za bagno! - podjęła Gretchen. - Tak! My wszyscy. Ty także.

Czy ciebie cokolwiek cieszy?

- Nie myślę o życiu tymi kategoriami.

- Handlowy mnich! - rzuciła gniewnie. - Tyle że ślubowałeś bogactwo, nie ubóstwo.

Nie wiem, co lepsze na dalszy dystans?

- Nie pleć głupstw, Gretchen. - Był teraz zły na siebie, że przyszedł do niej.

- No i dwa dalsze śluby - ciągnęła. - Czystość i posłuszeństwo.

Czystość przez wzgląd na naszą skłonność do dziewictwa matkę.

Posłuszeństwo Duncanowi Calderwoodowi, papieżowi Izby Handlowej z Whitby.

- Teraz wszystko się zmieni - bąknął, bo wcale nie miał ochoty występować we własnej obronie.

- Wywiniesz kozła, bracie Rudolffie, co? Ożenisz się, będziesz opływał w dostatki, powiesz Duncanowi Calderwoodowi, że może iść do diabła?

Rudolf wstał, aby dolać wody sodowej do szklanki. Starał się tłumić gniew.

- To niemądrze, Gretchen - powiedział o ile możności najspokojniej - że czepiasz się mnie akurat dzisiaj.

- Przepraszam - podchwyciła, ale jej głos nadal brzmiał surowo. - Ja jestem najgorsza z nas wszystkich. Żyję z człowiekiem, którym gardzę, mam idiotyczną, nędzną, niepotrzebną nikomu pracę, jestem najłatwiejszą w całym Nowym Jorku dupą... Zgorszyłam cię, braciszku? - zapytała szyderczo:

- Myślę, że na taki epitet nie zasłużyłaś.

- To nie żart - powiedziała. - Chcesz, żeby ci przedstawić listę?

Listę, na której pierwszy będzie Johnny Heath? Co ty sobie wyobrażasz? Że jest ci tak życzliwy dla twoich pięknych oczu?

- A co Willie na to wszystko? - zapytał Rudolf puszczając mimo uszu przytyki siostry. Jak zaczęło się to, tak zaczęło, ale obecnie Johnny Heath był jego przyjacielem.

- Willie nic na to wszystko - podchwyciła. - Willie nawiedza bary, od czasu do czasu podrywa jakąś pijaną zdzirę, no i stara się jak najmniejszym kosztem swojej pracy zyskiwać jak najwięcej honorów.

Gdyby jakimś cudem dostał oryginalne tablice dziesięciu przykazań, pomyślałby przede wszystkim, komu sprzeda je najkorzystniej i jak zredagować ogłoszenie o wycieczce wakacyjnej na górę Synaj.

Rudolf roześmiał się i Gretchen zawtórowała mu mimo woli.

- Nic nie pobudza retoryki bardziej niż rozpadające się małżeństwo - powiedziała.

Śmiech Rudolfa przyniósł odprężenie, uchronił go od dalszych ataków siostry.

- Czy Willie zna twoją opinię o nim? - zapytał.

- Przypominasz sobie krótki list, w którym pisałam, że jestem w tarapatkach i chciałam pomówić z tobą?

- Tak.

Pamiętał doskonale list Gretchen i cały tamten dzień. Gdy w następnym tygodniu przyjechał do Nowego Jorku i zapytał, co to za tarapaty, usłyszał tylko:

- Nic ważnego. Już się rozeszło po kościach.

- Wtedy - podjęła - byłam prawie zdecydowana zażądać rozwodu i chciałam naradzić się z tobą.

- Dlaczego zmieniłaś zamiar?

Wzruszyła ramionami.

- Billy zachorował. Nawet niepoważnie. Przez jeden dzień lekarz podejrzewał zapalenie wyrostka robaczkowego, ale to nie było to.

Tylko widzisz, Willie i ja czuwaliśmy całą noc przy nim. Patrzałam na małego, który leżał w łóżeczku blady i cierpiący, patrzałam na męża, który niewątpliwie kocha dziecko... No i nie mogłam znieść myśli, że Billy mógłby powiększyć żalostną statystykę dzieci z rozbitych małżeństw, zawsze stęsknionych za domem, dojrzewających jako przyszli pacjenci psychiatry. Cóż? - głos Gretchen zabrzmiał znów surowo. - Ten przypływ pięknych macierzyńskich sentymentów minął. Gdyby nasi rodzice rozwiedli się, kiedy miałam dziewięć lat, byłabym niewątpliwie kobietą lepszą, niż jestem teraz.

- To znaczy, że teraz myślisz o rozwodzie?

- Tak. Gdyby Billy został pod moją opieką. Ale właśnie na to Willie nie zgodzi się na pewno.

Rudolf zawahał się, pociągnął długi łyk whisky.

- Chcesz, abym się zorientował, co mógłbym z nim zrobić? - Nie wystąpiłby z taką propozycją, gdyby nie te łyki w taksówce.

- Jeżeli przyda się to na coś... Chcę wreszcie spać z jednym mężczyzną, nie z dziesięcioma. Chcę być uczciwa i robić coś naprawdę pożytecznego. Pamiętasz Trzy siostry Czechowa? Rozwód to moja Moskwa. Nalej mi whisky, proszę. - Podała mu szklanke, którą Rudolf napełnił wraz ze swoją.

Rozjęczała się znowu syrena karetki pogotowia - przestroga przy zbliżeniu, lamentem, gdy się oddalała. Zjawisko Dopplera*. (* Christian Johann Doppler [1803-1853] - wiedeński matematyk i fizyk, odkrył zjawisko pozornej zmiany częstotliwości fal [(np. świetlnych lub dźwiękowych] wraz ze zmianą odległości ich źródła od odbiornika.) Czy to droga powrotna z

okazji tego samego wypadku? A może coś innego z nie kończącej się serii krwawych plam na ulicach wielkiego miasta?

Rudolf podał jej trunek, a Gretchen siedziała na kanapie skulona nadal, zapatrzona w szklanekę.

Wybił gdzieś zegar. Pierwsza.

- Cóż, pewnie tamci skończyli już chiński bankiet - odezwała się Gretchen. - Tommy i jego damula. Nie wykluczam, że to jedyne szczęśliwe małżeństwo w dziejach rodziny Jordachów. Czy kochają się, czczą i cieszą się sobą, kiedy jedzą po chińsku i wygrzewają obszerne małżeńskie łóżko?

Klucz zgrzytnął w zamku drzwi wejściowych.

- Aha - powiedziała Gretchen. - Wraca weteran obwieszony medalami.

Willie wkroczył do pokoju - zupełnie prosto.

- Cześć, kochanie - powitał żonę i podszedł, by ją ucałować w policzek.

Rudolf nie widział go czas pewien, więc jak zawsze w takich razach zdziwił się, że jest aż tak niski. Jego wzrost. Może w tym kryje się przyczyna wszystkiego złego?

Willie przywitał szwagra gestem ręki.

- I co? Jakże miewa się dzisiaj wielki przedsiębiorca?

- Pogratuluj mu - wtrąciła Gretchen. - Właśnie dziś wszystko zostało podpisane, załatwione.

- Moje gratulacje. - Willie rozejrzał się po pokoju. - Diabło tu ciemno. Co było tematem waszej rozmowy wśród mroków? Śmierć?

Grobowce? Morderstwa popełnione w nocy? - Podszedł do barku i nalał sobie resztę whisky. - Kochanie! - podjął. - Nieodzowna jest nowa butelka.

Gretchen podniosła się i bez słowa wyszła do kuchni. Willie spojrzał lękliwie jej śladem.

- Rudi. Zła na mnie, że nie wróciłem na obiad? - zapytał szeptem.

- Nie sądzę.

- To dobrze, bo inaczej wysłuchałbym nauki Nr 725. Dzięki, kochanie - zmienił ton, gdy wróciła Gretchen.

Wziął butelkę z jej rąk, otworzył i dolał sobie whisky.

- Co porabialiście dziś wieczór, dzieciaczki?

- Mieliśmy familijne zebranie - odpowiedziała Gretchen już ze swojego miejsca na kanapie. - Byliśmy na zawodowym meczu bokserskim.

- Co takiego? - zdumiał się Willie. - O czym ona gada, Rudi?

- Wyjaśni ci to później. - Rudolf wstał z fotela, pozostawiając nie dopitą whisky. - Na mnie czas. Jutro muszę wstać o świcie.

Czuł się nieswojo w towarzystwie szwagra. Musiał udawać, że ten wieczór nie różni się od wszystkich innych. Musiał udawać, że nie słyszał tego, co Gretchen mówiła o swoim mężu i o samej sobie.

Nachylił się, by pocałować siostrę. Willie odprowadził go do drzwi.

- Dziękuję, Rudi, że pokazałeś się, dotrzymałeś kompani mojej starej. Dzięki tobie czuję się mniejszą świnia, że zostawiłem ją samą. Ale to było nieuniknione.

„Nie chciałem cię skaleczyć, Tommy! Bogu przysięgam, nie chciałem!” - przypomniał sobie Rudolf.

- Nie musisz, Willie, tłumaczyć się przede mną - powiedział.

- Słuchaj, Rudi... Ona żartowała, no nie? Co to za brednie o zawodowym meczu bokserskim? Jakaś zagadka? Pułapka?

- Nie. Byliśmy na meczu.

- Nigdy nie zrozumieję tej kobiety! - zawołał Willie. - Kiedy chcę obejrzeć boks w telewizorze, muszę iść do kogoś ze znajomych. Ha!

Pewno mi to jakoś wytłumaczy.

Gorąco uściśnął dłoń Rudolfa, a ten wyszedł szybko na podest schodów. Słyszał, że Willie zamyka drzwi na klucz i zakłada łańcuch. Niebezpieczeństwo, Willie, znajduje się po tamtej stronie drzwi, pomyślał. Zamykasz się wraz z nim. Ze schodów schodził powoli. Medytował, gdzie mógłby się dziś znajdować, jakich szukać wykrętów, jakie znosić humory, gdyby tamtej nocy, w 1950 roku, telefon w pokoju Nr 923 hotelu „Saint Moritz” został przyjęty.

Gdybym był religijny, pomyślał wychodząc na nocną ulicę, wierzyłbym, że Bóg czuwał wtedy nade mną.

Przypomniał sobie daną siostrze obietnicę, że spróbuje jakoś uzyskać dla niej rozwód na jej warunkach. Nasuwał się tu pierwszy logiczny krok, a Rudolf był z natury człowiekiem logicznym.

Zastanawiał się, gdzie można znaleźć godnego zaufania prywatnego detektywa. Johnny Heath powinien to wiedzieć. Johnny Heath został stworzony do nowojorskiego życia. Rudolf westchnął. Z góry odczuł wstręt do chwili, gdy wejdzie do kancelarii detektywa. Nienawidził tego nie znanego mu jeszcze człowieka, który w zakresie swojej pracy zawodowej będzie sposobiał się do szpiclowania schyłku i upadku miłości.

Odwrócił się, by spojrzeć na dom, który dopiero co opuścił i przeciwko któremu

zamierzał spiskować. Zdawał sobie sprawę, że nigdy już nie zdoła wejść na górę tamtymi schodami, nie będzie w stanie uścisnąć ręki niefortunnego człowieka małego wzrostu. I dwulicowość musi mieć jakieś granice.

ROZDZIAŁ VI

Z rana sikał krwią, ale niedużo i bezboleśnie. Jego twarz odbita w wagonowym lustrze, kiedy pociąg przejeżdżał tunelem, prezentowała się cokolwiek żałośnie z powodu opatrunku nad okiem.

Ale tak ogólnie biorąc, myślał Tom, wyglądam nie inaczej niż ktokolwiek inny w drodze do swojego banku. Pod październikowym słońcem rzeka Hudson wydawała się zimna i bardzo błękitna, a kiedy pociąg mijał Sing Sing, Tom pomyślał o więźniach, którzy patrzą na szerokie wody biegnące swobodnie ku morzu.

- Biedne skurwysyny! - westchnął na głos.

Pogłaskał wypukłość portfela pod marynarką. Po drodze z domu podjął siedemset dolarów w kantorze bukmachera. Może wywinie się Teresie, da jej z tych pieniędzy dwie setki albo dwieście pięćdziesiąt dolarów, jeżeli będzie rozrabiała.

Wyciągnął portfel i dobył zeń jeden z siedmiu studolarowych banknotów, który począł studiować dokładnie. Stary Benjamin Franklin spoglądał nań głupkowato, przypominał czyjąś starą matkę.

Musiał być człowiekiem mocniejszym niż na to wygląda, jeżeli jego podobizna trafiła na banknot takiej wartości. Czy to on powiedział niegdyś: „Panowie, musimy stać ramię w ramię albo wisieć każdy z osobna”? Trzeba było skończyć chociaż szkołę średnią, pomyślał Tom, niepewny swego wobec ojczystych dziejów wartości stu dolarów!

„Ten banknot jest prawnym środkiem płatniczym wszelkich zobowiązań publicznych i prywatnych, wymiennym na pieniądze w Skarbie Stanów Zjednoczonych lub w każdym oddziale Federal Reserve Bank”. Jeżeli to nie pieniądze, pomyślał Tom, to co to jest, u diabła? Banknot nosił fantazyjny podpis kogoś, kto się nazywał Ivy Baker Priest, skarbnik Stanów Zjednoczonych. Trzeba faceta o aż tak skomplikowanym nazwisku i tytule, żeby bredzić jednym tchem o prawnym środku płatniczym i pieniądzech!

Tom porządnie złożył banknot i wsunął osobno do bocznej kieszeni marynarki. Zamierzał dodać go do innych studolarówek, które w bankowym skarbcu czekały takiego właśnie dnia.

Pasażer zajmujący miejsce naprzeciw niego trzymał gazetę otwartą na sportowej stronie. Widać było, że czyta o wczorajszym meczu.

Tom zastanawiał się, co powiedziałby tamten, gdyby klepnął go po ramieniu i powiedział: „Ja tam byłem, panie starszy. Ciekaw pan sprawozdania z samego ringu?” Ogólnie biorąc, doniesienia reporterskie były przychylnie, a dziennik „News” zamieścił

zdjęcie, na którym Virgil usiłuje dźwignąć się po raz ostatni, a on sam stoi w neutralnym kącie. Jeden dziennikarz napisał nawet, że Tomasz Jordach mógłby ubiegać się o mistrzowski tytuł, a z rana tuż przed wyjściem z domu Tom odebrał telefon od swojego managera.

Schulzy był bardzo podniecony i przekazał mu wiadomość, że pewien manager z Anglii widział walkę i wystąpił z propozycją urządzenia za sześć tygodni meczu w Londynie.

- Wchodzimy na międzynarodowy rynek - mówił Schultz. - Możemy teraz walczyć w całej Anglii. No i damy im wszystkim szkołę. W twojej wadze, Tommy, nie ma tam nikogo nawet w połowie tak dobrego jak Virgil Walters. Facet powiada, że część forsy da nam z rączki do rączki, więc nie będziemy musieli bulić cholernego podatku od dochodu.

A zatem Tom powinien czuć się całkiem dobrze, gdy siedział w wagonie i patrzył na oddalające się mury Sing Sing, gdzie siedzi moc facetów nieraz znacznie od niego sprytniejszych, a może i mniej winnych. Ale nie czuł się dobrze. Teresa urządziła mu piekło za to, że nie przyznał się jej do zakładu i z powodu tej jego lalusiowatej familii, jak się wyrażała. Była wściekła, że o rodzeństwie nigdy jej nic nie mówił, jak gdyby ukrywał jakiś cholerny skarb czy coś takiego.

- Ta twoja siostrunia patrzyła na mnie jak na śmiecie - mówiła. - A braciszek elegant otwierał okno w taksówce, jak gdybym śmierdziała końskim łajnem i odsuwał się w sam kąt. Może myślał, że przez samo dotknięcie złapie ode mnie trynia? Dziesięć lat nie widzieli rodzzonego brata, ale byli za ważni, żeby wybrać się z nim chociaż na filiżankę kawy. Niech to cholera! A ty, wielki bokser, cicho siedziałeś i nic. Wszystko brałeś za dobrą monetę.

Działo się to w łóżku po chińskim obiedzie, przy którym Teresa siedziała w posepnym milczeniu. Zbierało mu się na miłość, jak zawsze po walce, bo przed walką musiał żyć w cnocie przez kilka tygodni. Ale Teresa zawzięła się i z kamiennym chłodem nie chciała go dopuścić do siebie. Do diabła, myślał, przecież nie ożeniłem się z nią dla przyjemnych rozmów. Nawet w swoich najlepszych momentach Teresa nie zachwycała go w łóżku. Kiedy zabierał się do niej ostro, skarżyła się, że ból jej zadaje, no i zawsze próbowała znaleźć wymówkę, żeby odłożyć to na jutro, na następny tydzień, na przyszły rok. A kiedy wreszcie rozchyłała nogi, Tom miał wrażenie, że to on płaci rogatekowe fałszywą monetą. Twierdziła, że pochodzi z pobożnej rodziny, i rzeczywiście tak czasami wyglądało, jak gdyby Archanioł Michał z mieczem stał na straży przy jej katolickiej pochwie. Tom był przekonany i założyłby się o ostatniego dolara, że jego siostra w jednym zwarciu potrafiłaby dać mężczyźnie więcej frajdy niż Teresa w dwudziestu dziesięciominutowych rundach - chociaż Gretchen nosi proste włosy, nie maluje się wcale i ma minę wielkiej damy: „Nie waż się tknąć rąbka mojej spódnicy”.

Spał źle, bo wciąż dźwięczały mu w uszach słowa żony, która, co gorsza, miała słusność. Jest silnym, dorosłym mężczyzną i co?

Wystarczyło, że jego brat i siostra weszli do garderoby, a on poczuł się w ich towarzystwie tak samo jak niegdyś, kiedy był szczeniakiem. Zaraz zrobił się mały, lękliwy, niepotrzebny nikomu, podejrzany.

Zwycięza w walkach, ogląda swoje zdjęcia w prasie, ludzie wiwatują na jego widok, klepią go po plecach, proszą, by zechciał wystąpić w Londynie i co? Dwoje takich, których nie spodziewał się widzieć więcej, o których nie spodziewał się słyszeć, przychodzi i po prostu mówi mu „dobry wieczór”, i on zaraz staje się nikim. No, ten cholerny Rudolf, pieczoszek mamusi, pieczoszek tatusia, waźniak otwierający okno taksówki, dozna dziś szoku, za sprawą swojego nieudanego brata, głupkowatego pięściarza.

Przez obłąkańczą chwilę myślał, że warto by nie wysiąść z pociągu, lecz pojechać do Albany, przesiąść się, wylądować w Elysium w stanie Ohio, i tam odwiedzić jedyną w świecie kobietę, która dotykała go z prawdziwą miłością, przy której, jako szesnastoletni niedorostek, czuł się pełnowartościowym mężczyzną.

Klotylda, służa i nałożnica jego stryja. I on - święty Sebastian w wannie.

Ale gdy pociąg zatrzymał się w Port Philip, Tom wysiadł i jak uplanował z góry, poszedł do banku.

Usiłowała nie okazywać zniecierpliwienia, chociaż Billy marudził przy lunchu. Przezornie (dzieci wyczuwają nieraz sprawy przerastające ich lata) nie ubrała się na czekającą ją popołudnie, lecz siedziała przy stole w roboczym stroju - w spodniach i swetrze. Jadła bez apetytu i nie łąjała chłopczyka, który przesuwiał na talerzu sałatę i kawałki baraniny.

- Dlaczego muszę iść do muzeum zoologicznego? - zapytał.

- Przecież to przyjemność - odpowiedziała. - Wielka przyjemność.

- Nie dla mnie. Dlaczego muszę tam iść?

- Cała klasa idzie.

- To same osły. Jeden Conrad Franklin coś wart. Reszta to same osły.

Billy trzymał w ustach ten sam kęs mięsa od jakichś pięciu minut.

Od czasu do czasu przesuwiał go symbolicznie spod jednego policzka pod drugi. Gretchen zastanawiała się, czy ostatecznie będzie zmuszona dać mu klapsa. Kuchenny zegar tykał coraz głośniejsze i głośniejsze, więc nie mogła się przemóc, chociaż próbowała nie patrzeć w tamtą stronę. Za dwadzieścia pierwsza. Trzy na drugą była umówiona. A uprzednio musiała odprowadzić małego do szkoły, wrócić co tchu, wykapać się, ubrać starannie, bardzo

starannie, no i nie przybyć na miejsce zdyszana niczym po biegu maratońskim.

- Kończ lunch - powiedziała, dziwiąc się po macierzyńsku spokojnemu brzmieniu własnego głosu akurat tego dnia, kiedy nie była usposobiona macierzyńsko. - Na deser jest galaretka.

- Nie lubię galaretki.

- Od kiedy?

- Od dzisiaj. No i co za sens oglądać jakieś zdechłe, wypchane zwierzęta? Żeby choć były żywe, mieliby nam co pokazać.

- W niedzielę zabiorę cię do zoo - obiecała Gretchen.

- Powiedziałem Conradowi Franklinowi, że w niedzielę przyjdę do niego. - Billy sięgnął do ust, wyjął kawałek mięsa i położył na brzegu talerza.

- Fe! Jak to nieładnie - skarciła go spokojnie matka, a zegar tykał dalej.

- To twarde.

Gretchen wyciągnęła rękę.

- Dobrze. Jak skończyłeś, to skończyłeś.

Billy przytrzymał talerz.

- Jeszcze nie skończyłem sałaty. - Powoli, z namysłem zaczął krajać widelcem liść w geometryczne wzory.

Gretchen musiała panować nad sobą, żeby nie dać mu klapsa. On daje wyraz swojej osobowości, zmuszała się do myślenia. To dobrze wróży na przyszłość. Nie mogła jednak patrzeć na tę zabawę, więc wstała szybko i wyjęła z lodówki miseczkę galaretki.

- Czemu jesteś dziś nerwowa? - zapytał Billy. - Tak się rzucasz.

Ta przekłeta intuicja dzieci! - pomyślała. Nie naga prawda, ale jakiś nieokreślony radar. Postawiła galaretkę na stole.

- Zjedz deser - powiedziała. - Robi się późno.

- Przecież mówiłem, że nie lubię galaretki. - Billy skrzyżował ręce i rozsiadł się wygodnie na krześle.

Miała ochotę powiedzieć, że albo zje galaretkę, albo będzie siedział przy stole do wieczora, ale odczuła niejasne podejrzenie, że właśnie tego chłopczyk sobie życzy. Czy to możliwe, że na tle niepojętej mieszaniny odczuć i wzruszeń - miłości, nienawiści, chciwości, wrażliwości - jaka mieści się w dziecku, Billy wie, po co ona wybiera się do miasta, więc instynktownie broni jej, broni ojca, strzeże nienaruszalności domu, w którym z dziecięcym egoizmem siebie uważa za ośrodek?

- Zgoda. Nie będziesz jadł galaretki - powiedziała. - Chodźmy.

Billy potrafił zwyciężać. Ani cień uśmiechu nie pojawił się na jego twarzy.

- Dlaczego muszę tam iść? Co to za sens oglądać jakieś zdechłe, wypchane zwierzęta?

Była spocona i zdyszana, kiedy otwierała drzwi kluczem. Prawie biegła przez całą drogę od bramy szkolnej pozostawiwszy tam synka.

Telefon dzwonił, ale nie zwracając na to uwagi pośpieszyła do łazienki i rozebrała się szybko. Wzięła gorący natrysk a następnie, cała wilgotna, zanim sięgnęła po ręcznik, objęła krytycznym spojrzeniem swoje odbicie w długim lustrze. Mogłam zostać kobietą pulchną albo szczupłą, pomyślała. Chwała Bogu, jestem szczupłą. Ale nie za chuda. Oto moje ciało, powabne, wilgotne domostwo duszy. Roześmiała się i naga przeszła do sypialni, aby wyjąć spod stosu szalików i chustek ukrywany tam krążek zabezpieczający. Cóż, nie najgorszy wynalazek. Nucąc założyła go z uwagą. Kiedyś ludzie muszą wymyślić coś lepszego niż taki mechaniczny środek ochronny.

Gdy dotykała swojego ciała, przypominała sobie szczególny przypływ pożądania, jaki nawiedził ją minionej nocy, zanim ostatecznie zasnęła. Wspomnienie bokserów - białego i czarnego - którzy mierzili ją, kiedy obserwowała walkę, stało się nagle źródłem zmysłowych pragnień. Wspaniałe, brutalnie potężne ciała jak gdyby przylgnęły do niej. Dla kobiety seks to napaść, wtargnięcie do głębi jej sekretnej świata - niby cios zadawany jednemu mężczyźnie przez drugiego. W łóżku niewygodnym po pełnej niepokojów nocy pojęcia mieszały się nad ranem - ciosy były pieszczotami, pieszczoty ciosami - i Gretchen nieustannie kręciła się pod kocem. Gdyby Willie przyszedł wtedy do niej, przyjęłaby go życzliwie i gorąco. Jednakże Willie spał na wznak i od czasu do czasu pochrapywał cicho.

Gretchen wstała i zażyła środek nasenny.

Z rana odsuwała to wszystko od siebie. Niewinną maską dnia przesłaniała wstydlive mary nocne.

Pokręciła głową i wysunęła szufladę pełną majteczek i biustonoszy.

Majteczki, pomyślała, to wyraz nieodpowiedni obłudnie niewinna i fałszywie dziecinna nazwa dla czegoś, co ukrywa tak niebezpieczne terytorium. Pas brzmi lepiej, bo to słowo z innego, bardziej melodyjnego okresu tworzenia się języka. Ale ona nie nosiła elastycznego pasa. Szkoła Boylana.

Telefon począł znów dzwonić uparcie, lecz ubierając się śpiesznie, zlekceważyła go i tym razem. Przez chwilę spoglądała na wiszącą w szafie garderobę. Później wybrała skromną, ciemnoniebieską sukienkę. Nie należy reklamować się z góry. Stopniowo odsłaniana różowość ciała znajduje lepszą ocenę, jeżeli była ukryta poprzednio. Szczotką doprowadziła

do ładu ciemne i proste, długie do ramion włosy. Spojrzała w lustro. Jej niskie i szerokie, wolne od zmarszczek czoło było szlachetne - ukrywało wszelkie wątpliwości i zdrady.

Nie mogła znaleźć taksówki, więc ze stacji przy Ósmej Alei pojechała kolejką podziemną, pociągiem, który przy Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy skręca na wschód w kierunku Queens. Wyjdzie z podziemi jak Persefona wyłaniająca się na światło dzienne w porze rozkwitu miłości.

Wysiadła przy Piątej Alei i gdy szła w jesiennym słońcu, jej skromna, ciemnoniebieska sylwetka odbijała się w lśniących szybach wystaw sklepowych. Gretchen zastanawiała się, czy w tej chwili wiele kobiet, które mijają, wędruje obłudnie aleją - jak ona - z krążkiem zabezpieczającym na właściwym miejscu.

Skręciła w Pięćdziesiątą Piątą Ulicę i mijając portal kościoła Świętego Regisa przypomniała sobie pewien letni wieczór, orszak ślubny i biały welon, i młodego porucznika. W Nowym Jorku istnieje ograniczona liczba ulic. Niepodobna omijać ich wszystkich, więc człowiek napotyka raz po raz odległe echa wielkomiejskiej geografii.

Spojrzała na zegarek. Dwadzieścia po drugiej. W ciągu pozostałych całych pięciu minut musi iść wolno, jeśli ma przybyć na miejsce chłodna i opanowana.

Colin Burke mieszkał przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy, pomiędzy Madison i Park Avenue. Następne odległe echo. Przy tej ulicy odbywało się niegdyś przyjęcie, na które nie dotarła. Trudno winić mężczyznę, który wynajmuje mieszkanie, że nie grzebie wśród wspomnień swoich przyszyłych kochanek, zanim uiści czynsz za pierwszy miesiąc.

Doszła do dobrze znajomego białego hallu domu i nacisnęła guzik dzwonka. W jak wiele popołudni to robiła? Ile razy? Dwadzieścia?

Trzydzieści? Sześćdziesiąt? Kiedyś będzie musiała sporządzić obrachunek.

Zaterkotał brzęczyk przy zamku drzwi, więc pchnęła je i windą pojechała na czwarte piętro. On stał u drzwi mieszkania w pidżamie i szlafroku. Pocałowali się krótko. Nic pilnego. Nie ma pośpiechu.

Na stole w obszernej i nieporządnej bawialni znajdowało się śniadaniowe nakrycie, a nie dopita filiżanka kawy stała obok stosu skryptów oprawnych w imitację skóry. Colin Burke był dyrektorem teatru, więc stosował się do teatralnych godzin i bardzo rzadko szedł spać przed piątą nad ranem.

- Można ci służyć filiżanką kawy? - zapytał.

- Dziękuję. Jestem właśnie po lunchu.

- Co za uregulowany tryb życia - westchnął z ledwie wyczuwalną nutą ironii. - Godny zazdrości.

- Przyjdź jutro - powiedziała - i spróbuj nakarmić mojego małego kotletem baranim. Na zazdrość będzie czas później.

Burke nie widział nigdy syna ani męża Gretchen, nie był w ich domu. Poznała go na lunchu u redaktora czasopisma, dla którego czasami coś pisywała. Chodziło o to, by napisała artykuł o nim, ponieważ pochwaliła sztukę, którą Burke reżyserował. Nie spodobał się jej przy tej okazji. Sądziła, że jest zbyt zadziorny, przeładowany teoriami, zadufany w sobie. Nie napisała artykułu, ale w trzy miesiące później, po kilku przypadkowych spotkaniach, poszła z nim do łóżka. Co ją powodowało? Niedośyt seksualny, zemsta, nuda, histeria, obojętność, czysty przypadek? Zaniechała analizowania przyczyn.

Burke popijał kawę i znad filiżanki przypatrywał się Gretchen. Pod krzaczastymi, czarnymi brwiami jego oczy połyskiwały łagodnie i czule. Miał trzydzieści pięć lat i był drobny, niższy niż ona (Czy do końca życia jestem skazana na niewysokich mężczyzn?), ale jego szczupła, zjeżona teraz ciemnym zarostem twarz wyrażała inteligencję i energię, jakąś prostotę i siłę, które nie pozwalały pamiętać o jego wzroście. Był drażliwy i często mówił opryskliwie - nawet do niej - gdyż dręczony niedoskonałościami w samym sobie i w innych łatwo popadał w lekceważące nastroje i nieraz na tygodnie znikał bez słowa. Był rozwiedziony i uchodził za kobieciarza, więc początkowo - w ubiegłym roku - Gretchen zdawała sobie sprawę, że wykorzystuje ją dla najprostszych, najbardziej oczywistych racji.

Ale obecnie, gdy stojąc pod przeciwległą ścianą pokoju spoglądała na szczupłego, bosego mężczyznę w granatowym szlafroku (przypadkowy szczęśliwy dobór kolorów na to popołudnie), nie miała wątpliwości, że kocha go i nie chce nikogo innego, i z chęcią poniosłaby wielkie ofiary, aby przez całe życie pozostać u jego boku.

O nim myślała, kiedy powiedziała swojemu bratu, że chce sypiać z jednym mężczyzną, nie z dziesięcioma. I prawdę mówiąc, od nawiązania ich romansu nie sypiała z nikim, chyba że Willie przychodził do jej łóżka w chwilach nostalgicznej czułości, przelotnych, krótkotrwałych pogodzeń, zapomnianego już prawie małżeńskiego nawyku.

Burke zapytał ją niegdyś, czy utrzymuje stosunki z mężem, a ona powiedziała mu prawdę. Przyznała nawet, że sprawia jej to przyjemność. Nie miała potrzeby kłamać, gdyż był to jedyny ze znanych jej mężczyzn, któremu śmiało mogła mówić wszystko, co przyjdzie jej na myśl. On powiedział wtedy, że od pierwszego z nią spotkania nie spał z inną kobietą. Nie miała wątpliwości, że było tak istotnie.

- Piękna Gretchen - powiedział odejmując filiżankę od ust. - Zachwycająca Gretchen. Wspaniała. Ach, żebyś tak każdego rana mogła podawać mi śniadanie.

- Jesteś dziś w pogodnym humorze.

- Nie za bardzo. - Odstawił filiżankę, podszedł do Gretchen i wziął ją w ramiona. - Mam przed sobą okropne popołudnie. Mój agent zatelefonował przed godziną, no i o pół do trzeciej muszę być w biurze „Columbii”. Chcę, żebym pojechał do Kalifornii i zrobił dla nich film. Dwa razy dzwoniłem do ciebie, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Rzeczywiście telefon brzęczał, gdy weszła do swojego mieszkania, a później drugi raz, kiedy się ubierała. Trudno! Kochaj mnie jutro, nie dzisiaj, pomyślała. Ale jutro nie będzie wolna do piątej z powodu wycieczki szkolnej. O trzeciej będzie musiała czekać przed bramą szkoły. Cóż, namiętności regulowane rozkładem godzin dziecka.

- Słyszałam dzwonki telefonu, ale wolałam nie odpowiadać. - Odsunęła się od niego. - Zdaje się, że w tym roku miałeś wystawić tu sztukę. - Zapaliła odruchowo.

- Rzuć tego papierosa - powiedział Burke. - Ilekroć zły reżyser chce dać znać o niemym napięciu między dwiema postaciami, każe im palić.

Roześmiała się i zgmiotła papierosa w popielniczkę.

- Sztuka jeszcze niegotowa - podjął - a konieczne przeróbki tak idą, że nie będzie gotowa jeszcze za rok. A inne propozycje, jakie otrzymujemy, to same śmieci. Nie bądźże taka smutna.

- Nie jestem smutna. Jestem zła, niedopieczona, spotkał mnie zawód miłosny.

Teraz on się roześmiał.

- Niezawodny słownik Gretchen - powiedział. - Nie da się tego odłożyć na wieczór?

- Wieczory nie wchodzi w rachubę. Wiesz dobrze. To wymagałoby kręactwa, a ja nie jestem krętaczką. - (Z Willie'em nigdy nic nie wiadomo; przez dwa tygodnie może przychodzić na obiad pogwizdując wesoło.) - Czy to dobry film?

- Może być dobry. - Wzruszył ramionami i potarł ręką granatowoczarny zarost. - Może być dobry. A tak naprawdę to potrzeba mi pieniędzy.

- W ostatnim roku odniosłeś wielki sukces - powiedziała Gretchen wszczynając dyskusję, chociaż wiedziała, że nie należy tego robić.

- Moje konto w banku wyje naciskane przez Wuję Sama z jednej strony, przez alimenty z drugiej. - Zrobił zabawny grymas. - W 1863 roku Lincoln oswobodził niewolników, ale przegapił jakoś żonatych mężczyzn.

Miłość - jak wszystko inne w obecnych czasach - zależy od władz skarbowych. Kochamy się pomiędzy wypełnianiem formularzy podatkowych.

- Powinam przedstawić cię mojemu bratu - powiedziała Gretchen - i jego kompanowi, który nazywa się Johnny Heath. Ci pływają jak ryby w morzu ulg podatkowych.

- Ludzie interesu znają przeróżne magiczne sztuki - odparł Burke.

- Kiedy mój doradca finansowy zlicza moje wpływy, ścisną skronie rękami i gorzko szlocha. Ha! Nie ma co płakać nad wydaną forszą.

Jazda do Hollywood. Otwarcie mówiąc, czekam na to i liczę. Nie widzę racji, dla których reżyser teatralny nie ma też robić filmów w dzisiejszych czasach. Staroświeckie poglądy, że teatr mieści w sobie coś uświęconego, a film jest zawsze grubiaństwem, to czysty snobizm, zmarły zresztą od dawna i pogrzebany. Jeżeli zapytasz, kto moim zdaniem jest największym z żyjących artystów dramatu, odpowiem bez wahania, że Federico Fellini. No i za moich czasów nie było nigdy na scenie nic lepszego niż „Obywatel Kane”, a to przecież Hollywood w najczystszej formie. Kto wie? Może będzie ze mnie Orson Welles lat pięćdziesiątych?

Burke mówił spacerując tam i z powrotem, a Gretchen była pewna, że ze szczerym przekonaniem mówi wszystko - albo przynajmniej prawie wszystko - że naprawdę zależy mu na nowym zwrocie w karierze.

- Na pewno - ciągnął - w Hollywood są kurwy, ale nikt nie twierdzi przecież serio, że Shubert Alley to klasztor. Potrzeba mi pieniędzy i nie mierzi mnie widok dolarów. To prawda. Ale nie uganiam się za nimi. Na razie. I mam nadzieję, nie będę się nigdy uganiał. Pertraktuję z „Columbią” od przeszło miesiąca i teraz dają mi absolutnie wolną rękę. Ode mnie ma zależeć temat, scenarzysta, scenariusz, cały układ, lokalizacja zdjęć, ostateczny montaż, wszystko. Byłem tylko utrzymał się w granicach budżetu. A budżet jest całkiem przyzwoity. Jeżeli nie zrobię czegoś równie dobrego jak moje osiągnięcia w Nowym Jorku, wina będzie tylko moja; niczyja więcej. Przyjedziesz na premierę. Liczę, że będziesz bić oklaski.

Gretchen uśmiechnęła się, lecz był to uśmiech raczej obowiązkowy.

- Nie mówiłeś mi, że sprawa jest aż tak zaawansowana. Od przeszło miesiąca...

- Taki już ze mnie tajemniczy facet - przerwał. - No i nie chciałem nic mówić przedwcześnie.

Zapaliła papierosa, by zrobić coś z rękami i zamaskować wyraz twarzy. Niech licha porwie kiepskich reżyserów i ich chwile napięcia między dwiema postaciami!

- A co będzie ze mną? Tutaj? - zapytała przez obłok dymu, zdając sobie znów sprawę, że o to nie powinna pytać.

- Co będzie z tobą? - Przypatrzył jej się z zastanowieniem. - Kursują przecież samoloty.

- W którym kierunku?

- W obydwu.

- Jak długo wytrzymamy?

- Dwa tygodnie. - Stuknął palcami o szkło na blacie stolika i szkło zadzwoniło, jak zegar wybijający niepewną godzinę. - Albo do końca życia.

- Gdybyśmy mieli się przenieść do Kalifornii - podjęła spokojnie.

- Ja i Billy. Czy moglibyśmy zamieszkać z tobą?

Zbliżył się i ujmując oburącz jej głowę pocałował ją w czoło.

Musiała schylić się trochę, aby przyjąć ten pocałunek. Nie ogolona broda podrażniła lekko jej skórę.

- Do diabła! - powiedział i cofnął się szybko. - Muszę wziąć natrysk, ogolić się i ubrać. I tak będę spóźniony.

Asystowała przy jego toalecie, a następnie pojechała z nim taksówką na Piątą Aleję, gdzie miał umówione spotkanie. Nie odpowiedział jej, lecz poprosił, by zatelefonowała później.

Chciał ją poinformować, czego dowie się ostatecznie od tych panów z „Columbii”.

Wraz z nim wysiadła z taksówki i popołudnie spędziła wędrując leniwie po sklepach. Kupiła suknię i sweter, które - o czym wiedziała z góry - zwróci za parę dni jako zupełnie niepotrzebne.

O piątej - ubrana znowu w spodnie i stary płaszcz z tweedu, wolna od krążka zabezpieczającego - czekała przy bramie szkolnej, aż Billy wraz ze swoją klasą wróci z wycieczki do muzeum zoologicznego.

Pod koniec popołudnia Rudolf był zmęczony. Przez cały ranek konferował z prawnikami; a jak odkrył już dawno, prawnicy to ludzie najbardziej uciążliwi pod słońcem. Przynajmniej w jego mniemaniu - nawet ci, którzy pracują dla niego. Nieustająca walka o korzyści, dwuznaczny i podchwytliwy, niestrawny język, poszukiwanie kruczków, wykrętów, zyskiwanie kompromisów, bezwstydną pogoń za pieniędzmi - wszystko to było dlań odrażające, jeżeli nawet zmierzało ku jego dobru. Ale kontakty z prawnikami miały jedną bezsporną zaletę: upewniały go, że postąpił słusznie nie przyjmując propozycji Boylana, który chciał sfinansować jego studia prawnicze.

Następnie, wczesnym popołudniem, byli architekci, ludzie również uciążliwi. Rudolf pracował nad planami centrum handlowego i jego pokój hotelowy był zarzucony rysunkami technicznymi. Johnny Heath polecił mu firmę młodych architektów, którzy zdobyli już rozmaite ważne nagrody, lecz nadal szukali rozgłosu. Niewątpliwie byli pracownicy i utalentowani, ale działali niemal wyłącznie w wielkich miastach, więc ich pomysły

ograniczały się do szkła, stali i betonu. Tymczasem Rudolf - jakkolwiek wiedział, że jest poczytywany za beznadziejnego prostaka - upierał się przy tradycyjnych formach i tradycyjnych materiałach. Nie odpowiadało to jego osobistym gustom, ale odczuwał i rozumiał, że utrafi w smak przyszłej klienteli ośrodka handlowego, a ponadto był absolutnie pewien, że Calderwood zaaprobuje tylko coś takiego.

- Chcę, by to wyglądało jak ulica w starej mieścinie Nowej Anglii - powtarzał nieraz gdy architekci sarkali. - Ma tam być dużo bielonego drewna i nad teatrem wieża, tak by go można wziąć za kościół. Chodzi o konserwatywną, rolniczą okolicę, o zaopatrywanie konserwatywnych ludzi ze wsi, którzy łatwiej będą wydawać pieniądze czując się swojsko i na własnym gruncie.

Niejeden raz architekci prawie rezygnowali z pracy, ale łagodził ich słowami:

- Niech będzie tak tym razem, moi panowie. W przyszłości bardziej pójdziemy wam na rękę. To pierwsze przedsięwzięcie z całego łańcucha. Będziemy śmielsi, kiedy bardziej się rozkręcimy.

Ostatnie narysowane dlań plany były jeszcze dalekie od jego wymagań, lecz oglądając przedstawione mu dziś szkice, nie miał wątpliwości, że architekci skapitulują ostatecznie.

Oczy bolały go, toteż kreśląc swoje uwagi na planach, myślał, że wkrótce nie obejdzie się bez okularów. Na komodzie stała butelka whisky więc nalał jej sobie i w łazience dopełnił szklanek wodą z kranu. Pociągnął łyk i na biurku rozłożył arkusz sztywnego papieru. Skrzywił się na widok rysunku ogromnego szyldu:

„Calderwood” który architekci proponowali nad głównym wejściem ośrodka. Wieczorem miało to płonąć blaskiem oślepiających neonów.

Na starość Calderwood szukał rozgłosu, nieśmiertelności w świetle różnobarwnych rur szklanych, więc wszelkie perswazje Rudolfa na temat prostoty i jednolitego stylu były, jak to się mówi, rzucaniem grochem o ścianę.

Telefon zadzwonił i Rudolf spojrzął na zegarek. Tom zapowiedział się na piątą, a piąta właśnie dochodziła. Podniósł słuchawkę, ale to nie był Tom. Poznał głos sekretarki Heatha.

- Panie Jordach? Łączę z panem Heathem.

Czekał i czekał zniecierpliwiony, by Johnny odezwał się wreszcie.

W jego organizacji, postanowił, będzie obowiązywać zasada, że każdy, każdy bez wyjątku, musi być gotów do niezwłocznej rozmowy, gdy się z kimś łączy. Ilu niezadowolonych klientów czy odbiorców musi być każdego dnia w Ameryce tylko dlatego, że każą im czekać po wstępnej zapowiedzi sekretarki? Jak wiele transakcji nie dochodzi z tej przyczyny do skutku, jak wiele zaproszeń zostaje odrzuconych? Ile pań decyduje się w

krótkiej chwili, by ostatecznie powiedzieć „nie”?

- Cześć, Rudi - odezwał się wreszcie Johnny Heath i Rudolf ukrył swoje rozdrażnienie. - Jest dla ciebie wiadomość, na której ci zależało. Masz pod ręką ołówek i papier?

- Mam.

Johnny podał mu nazwę i adres agencji wywiadowczej.

- Słyszałem, że to firma godna zaufania - dodał.

Nie pytał wcale, po co Rudolf potrzebuje prywatnego detektywa, lecz bez wątpienia coś musiało mu świtać w głowie.

- Dziękuję, Johnny - powiedział Rudolf sporządziwszy notatkę. - Dziękuję i przepraszam za kłopot.

- Nie ma za co. To drobiazg. Masz dzisiaj wolny wieczór? Zjadłbyś ze mną obiad?

- Żałuję, ale jestem zajęty.

Nie miał planów na wieczór i przyjąłby zaproszenie, gdyby sekretarka nie trzymała go tak długo przy telefonie.

Odłożywszy słuchawkę poczuł się jeszcze bardziej zmęczony i postanowił odłożyć na jutro telefon do agencji wywiadowczej.

Dziwił się, że jest aż tak zmęczony. Nie przypominał sobie podobnych objawów około piątej po południu.

A przecież jest zmęczony - to nie ulega wątpliwości. Czyżby wiek?

Roześmiał się. Ma dwadzieścia siedem lat. Przejrzał się w lustrze.

Na gładkiej czerni nie widać siwych włosów. Nie widać worków pod oczyma. Zdrowa, śniada skóra nie zdradza śladów zblazowania lub ukrytych niedomagań. Jeżeli przepracowuje się nawet, nie świadczy o tym młoda, spokojna twarz bez zmarszczek.

Ale jest zmęczony. W ubraniu położył się na łóżku mając nadzieję, że przed wizytą Toma zdoła zdrzemnąć się na kilka minut. Jednakże nie mógł zasnąć. Wracają doń pogardliwe słowa siostry rzucone mu minionej nocy, wracały tak samo jak w ciągu dnia, nawet wówczas, gdy ujadał się z prawnikami lub architektami. „Czy ciebie cokolwiek cieszy?” Nie bronił się wtedy, ale mógłby odpowiedzieć, że cieszą go rozmaite rzeczy: praca, chodzenie na koncerty, że czyta bardzo dużo, bywa w teatrze i na meczach bokserskich, w galeriach sztuki, że z przyjemnością odbywa poranne biegi i prowadzi motocykl. Mógłby nawet dodać, że radość sprawia mu widok matki, która siedzi naprzeciw niego przy stole nieładna, nie zasługująca na miłość, ale dzięki jego staraniom - w domu, nie w grobie albo w szpitalu dla nędzarzy.

Gretchen cierpi na chorobę wieku. Wszystko dla niej wywodzi się z seksu, z poszukiwania szczytowego i uświęconego momentu stosunku płciowego. Zapewne mówi „miłość”, ale jego zdaniem „seks” byłby na tym miejscu dużo właściwszym terminem. Z jego obserwacji wynika niezbicie, że jeżeli nawet jest to szczęście, płaci się za nie zbyt wygórowaną cenę na koszt wszystkich innych odmian szczęścia.

Nędzna kobieta czepia się człowieka o czwartej nad ranem, zgłasza swoje prawa do niego, a potem - chociaż od początku w grę wchodziła wymiana usług - z morderczą nienawiścią rzuca w niego szklanką dlatego, że miał jej dosyć po dwu godzinach. Albo jakaś niemądra dziewczyna robi z człowieka durnia wobec swoich przyjaciół - durnia czy też oziębłego eunucha - a później w biały dzień obmacuje go na ulicy. Zapewne seks albo coś, co można by nazwać miłością, złączyło początkowo jego rodziców. I co z tego?

Później zachowywali się jak oszalałe zwierzęta więzione w klatce w zoo, walczyli z sobą, wyniszczali się wzajemnie. No a małżeństwa drugiego pokolenia? Na początek niech będzie Tom. Jaka czeka go przyszłość w szponach tej pełnej żalów, chciwej, bezmyślnej lali?

Albo i Gretchen... Wyniosła i zjadliwa w swojej bezradnej zmysłowości, gardząca sobą z powodu łóżek, do których trafia, coraz to bardziej oddalająca się od bezwartościowego i zdradzanego męża. Kto właściwie wciąga go w ohydę detektywów, podglądania przez dziurki od klucza, prawniczych kruczków, rozwodów? Kto? On czy ona?

Pieprzyć je wszystkie, pomyślał i parsknął śmiechem uprzytomniwszy sobie niewłaściwy dobór słowa.

Zadzwonił telefon.

- Pański brat jest w hallu, proszę pana - powiedział pracownik w recepcji.

- Dziękuję. Proszę przysłać go na górę.

Rudolf zerwał się z łóżka i wygładził kapę. Dla jakichś racji nie chciał, by Tom zorientował się, że on leżał, co mogłoby sugerować dostatek i rozleniwienie. Śpiesznie zgarnął rysunki architektów i schował je do szafy w ścianie. Niech pokój nie daje znać o niczym, nie robi z niego człowieka ważnego, zaprzątniętego wielkimi interesami. Niech brat nic nie wie, kiedy się pojawi.

Rozległo się stukanie i Rudolf otworzył drzwi. Nareszcie jest w krawacie, pomyślał z ulgą, mając na względzie opinię służby hotelowej. Uścisnął bratu rękę i powiedział:

- No, chodźże. Siadaj. Napijesz się, prawda? Mam butelkę szkockiej, ale gdybyś wolał coś innego, mogę zatelefonować na dół.

- Szkocka starczy.

Tom usiadł sztywno w fotelu. Zwiesił zdeformowane już ręce. Jego marynarka

fałdowała się na potężnych ramionach.

- Z wodą? - zapytał Rudolf. - Jeżeli życzysz sobie, zatelefonuję po sodową...

- Może być zwyczajna.

Zachowuję się jak zdenerwowana pani domu, pomyślał Rudolf idąc do łazienki, gdzie nalał wody z kranu do szklanki Toma. Lekko uniósł swoją.

- Powodzenia!

- Powodzenia. - Tom łakomie pociągnął długi łyk.

- Było trochę dobrych wzmianek w porannej prasie - podjął Rudolf.

- Aha. Czytałem gazety. Słuchaj no, Rudi. Nie warto tracić czasu.

Tom sięgnął do kieszeni i wyciągnął grubą kopertę. Wstał, podszedł do łóżka i wytrząsnął z tej koperty banknoty, które niby rzęsy deszcz spłynęły na kapę.

- Tom! Co ty robisz, u diabła?

Rudolf nie operował gotówką - rzadko miał w kieszeni więcej niż pięćdziesiąt dolarów - toteż powódź banknotów wydała mu się niepokojąca, podejrzana, jak gdyby podział łupu w gangsterskim filmie.

- To papierki po setce. - Tom zgniótł opróżnioną kopertę i celnie wrzucił ją do kosza na śmieci. - Razem pięć tysięcy dolarów. Są twoje.

- Co ty gadasz, Tom? Nie rozumiem. Przecież nie jesteś mi nic winien.

- Chodzi o twoją cholerną edukację w college'u. Kapujesz? Ja cię jej pozbawiłem, bo trzeba było przekupić tych drani w Ohio.

Próbowałem oddać forszę staremu, ale wtedy już nie żył. Teraz jest twoja.

- Zbyt ciężko pracujesz na pieniądze, żeby tak nimi szastać - powiedział Rudolf przypominając sobie krew z wczorajszego wieczora.

- Na te nie pracowałem - odparł Tom. - Zdobyłem je łatwo, tak jak tata stracił swoje. Drogą szantażu. To było dawno. Pieniądze leżały przez dwa lata w bankowym skarbcu. Czekają. Nie krępuj się, bracie. Za tę forszę po łbie nie brałem.

- To głupi gest - powiedział Rudolf.

- Jestem głupim człowiekiem. Robię głupie gesty. Bierz pieniądze i wreszcie odczepię się od ciebie. - Odwrócił się od łóżka i jednym łykiem wypił resztę whisky z wodą. - No to już pójdę.

- Zaraz. Nie śpiesz się. Siadaj.

Rudolf położył dłonie na ramionach brata, których straszliwą siłę odczuwał nawet przy tak lekkim dotknięciu.

- Mnie te pieniądze niepotrzebne - podjął. - Radzę sobie doskonale. Właśnie ubiłem

interes, dzięki któremu zostanę człowiekiem bogatym, a więc...

- Miło mi o tym słyszeć, ale to nie ma nic do rzeczy. - Tom stał sztywno z kamiennym uporem. - Chcę spłacić naszą zafajdaną rodzinę, a te papierki akurat załatwiają sprawę.

- Ja ich nie wezmę, Tom. Ulokuj pieniądze w banku, chociażby na imię twojego małego.

- Swoim małym sam się zaopiekuję. Nie zwracaj nim sobie głowy - powiedział Tom z nutą pogróżki w głosie.

- To nie moje pieniądze - obruszył się Rudolf. - Co zrobię z nimi, u licha?

- Wysikaj się na nie. Roztrwoń je z dziwkami. Oddaj na jakiś cel dobroczynny. Ja nie wyjdę z nimi z tego pokoju.

- Siadajże, jak Boga kocham. Muszę z tobą pogadać. - Tym razem mocniej popchnął brata ku fotelowi, narażając się na cios, który mógł paść w każdej chwili.

Napełnił obie szklanki i usiadł naprzeciw brata na zwyczajnym drewnianym krześle. Okno było uchylone, więc do pokoju wdzierały się słabe podmuchy miejskiego wiatru, przy których rozrzucone na łóżku banknoty poruszały się lekko, niby jakieś dziwaczne zwierzę.

Obydwaj siedzieli możliwie najdalej łóżka, jak gdyby obawiali się, że dotknięcie jednego banknotu zmusi Rudolfa bądź Toma do przyjęcia wszystkiego.

- Posłuchaj, Tom - odezwał się Rudolf. - Nie jesteśmy już smarkaczami, którzy sypiali w jednym łóżku, wzajemnie działali sobie na nerwy i współzawodniczyli między sobą świadomie czy też nieświadomie. Jesteśmy dojrzałymi mężczyznami i rodzonymi braćmi.

- A gdzież to, bracie, byliście przez dziesięć lat, ty i księżniczka Gretchen? Czy chociaż raz dostałem od was kartkę pocztową?

- Wybacz mi, Tom. A jeżeli porozmawiasz z Gretchen, ona także poprosi cię o wybaczenie.

- Jeżeli zobaczę ją pierwszy - podchwycił Tom - nie będzie miała okazji podejść tak blisko, żeby mi powiedzieć „dzień dobry”.

- Wczoraj, kiedy patrzyliśmy na twoją walkę, zrozumieliśmy, że jako rodzina jesteśmy sobie coś winni nawzajem, więc...

- Ja byłem winien rodzinie pięć tysięcy. Oto one. Tam na łóżku.

Teraz już nikt nikomu nic nie winien. - Tom siedział z opuszczoną głową, podbródkiem niemal dotykał piersi.

- Mów, co chcesz, myśl, co chcesz o moim zachowaniu przez tyle lat - podjął Rudolf. - Tak czy inaczej, teraz chcę ci pomóc.

- Niepotrzebna mi żadna pomoc - odburknął tamten i pociągnął długi łyk whisky.

- Ależ potrzebna ci, potrzebna. Słuchaj no, stary. Nie jestem znawcą, ale widziałem tyle walk, że widzę jakoś, czego można oczekiwać od boksera. Będziesz odnosił rozmaite obrażenia. Ciężkie obrażenia. Jesteś zawodnikiem klubowym. Być mistrzem w swojej dzielnicy to jedna sprawa. Ale w twoim przypadku chodzi o coś całkiem innego. Jak dotąd idziesz w górę, więc będą ci dawać coraz bardziej groźnych, bardziej ambitnych przeciwników. I co? Zniszczą cię zupełnie. Niezależnie od ran, kontuzji, spraw nerkowych...

- Już jestem prawie głuchy na jedno ucho - przyznał nieoczekiwanie Tom, gdyż rozmowa na tematy zawodowe sprawiła, że wylazł ze swojej skorupy. - Tak. Od przeszło roku. Ale, do cholery, nie muzyk ze mnie przecież.

- Niezależnie od ran, kontuzji, spraw nerkowych - podjął Rudolf - nadejdzie czas, kiedy zaczniesz przegrywać częściej niż wygrywać albo nagle podupadniesz na siłach i rozłoży cię jakiś młodzik. No i to będzie koniec. Nikt więcej cię nie zaangażuje. Ile będziesz miał wtedy pieniędzy? Jak zaczniesz od nowa zarabiać na życie w wieku trzydziestu, może nawet trzydziestu pięciu lat?

- Nie strasz mnie, skurwysynu - obruszył się Tom.

- Po prostu jestem realistą. - Rudolf wstał, nalał znowu whisky, aby zatrzymać go w pokoju.

- Wciąż ten sam stary Rudi. Nigdy nie brak mu pocziwych, realistycznych rad dla smarkatego brata - powiedział Tom, ale napełnioną szklankę przyjął.

- Widzisz - zaczął znowu Rudolf - stoję teraz na czele dużej organizacji handlowej. Będę miał w dyspozycji wiele posad. Łatwo znajdę dla ciebie zajęcie, stałe zajęcie...

- Jakież? - przerwał mu Tom. - Miałbym prowadzić ciężarówkę za pięćdziesiąt dolarów na tydzień?

- Nie. Coś znacznie lepszego. Nie jesteś głupcem. Mógłbyś awansować z czasem na kierownika jakiegoś działu czy oddziału - mówił Rudolf zastanawiając się, czy przypadkiem nie blaguje. - Co do tego potrzebne? Głowa na karku i trochę chęci do nauki.

- Nie mam głowy na karku ani chęci do nauki. Dobrze o tym wiesz. - Tom wstał. - No, czas już na mnie. Rodzina czeka w domu.

Rudolf wzruszył ramionami, spojrzał na banknoty łagodnie poruszane wiatrem na kapie zaścielającej łóżko. Wstał również.

- Niech będzie po twojemu. Na razie.

- Nie ma żadnego na razie. - Tom postąpił w stronę drzwi.

- Przyjdę odwiedzić ciebie i małego - podjął żywo Rudolf. - Może dziś wieczór? Dziś wieczór mogę też zaprosić na obiad ciebie i twoją żonę. Co ty na to?

- Co ja na to? Gównu. - Tom stał już w otwartych drzwiach. - Możesz przyjść kiedy obejrzeć mnie na ringu. I przyprowadź Gretchen. Na to zgoda. Ale nie fatygujcie się odwiedzinami w garderobie.

- Zastanów się jeszcze. W razie czego wiesz, gdzie mnie znaleźć - bąknął słabo Rudolf; nie przywykł do niepowodzeń, więc to go wyczerpało. - W każdym razie mógłbyś przyjechać do Whitby zobaczyć się z matką. Nieraz dopytuje się o ciebie.

- Dopytuje? O co? „Czy już go powieszono?” - Tom uśmiechnął się krzywo.

- Mówi, że chociaż raz chciałaby cię zobaczyć, zanim umrze.

- Na romantyczną nutę, no nie?

Rudolf skreślił szybko adres w Whitby i numer telefonu.

- Tam mieszkamy - powiedział. - Może w przyszłości zmienisz zdanie.

Tom zawahał się, ale wziął kartkę i niedbałym gestem wcisnął ją do kieszeni.

- Zobaczymy się, bracie, za dziesięć lat - powiedział. - Może.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi, a bez niego pokój wydał się jak gdyby znacznie większy.

Rudolf popatrzył na drzwi. Jak długo może trwać nienawiść? W rodzinie chyba na zawsze. Tragedia w domu Jordachów, odmienionym teraz w supermarket. Podszedł do łóżka, zebrał rozrzucone banknoty, ułożył je porządnie i schowawszy do koperty zapieczętował. Było zbyt późno, by udać się do banku. Na noc zostawił depozyt w hotelowej kasie.

Jedno jest pewne. Nie weźmie tych pieniędzy dla siebie. Jutro kupi za nie akcje „De-Ce” na nazwisko brata. Na pewno kiedyś przydadzą się Tomowi, a wtedy będzie to dużo, bardzo dużo, więcej niż pięć tysięcy. Za pieniądze nie da się kupić przebaczenia, lecz mogą one podgoić nieco dawne rany.

Był straszliwie zmęczony, ale o drzemce nie myślał nawet. Sięgnął znów po rysunki architektów - wyobrażone z rozmachem papierowe marzenia, nadzieje długich lat niedoskonale przedstawione.

Zapatrzył się w ołówkowe kreski, z których za pół roku powstanie neon z nazwiskiem Calderwooda - powstanie, zajaśnieje na północnym niebie. Skrzywił się z niesmakiem.

W tej chwili zadzwonił telefon. To był Willie w wyśmienitym humorze i trzeźwy.

- Witaj, o książę kupców - powiedział Willie. - Może wpadłbyś tutaj, zjadł obiad z moją starą i ze mną? Później wdepnęlibyśmy do jakiejś pobliskiej knajpy.

- Bardzo mi przykro, Willie, ale wieczór mam zajęty.

- Mógłby książę choć jeden zarezerwować kiedy dla mnie. No to cześć! Zobaczymy się wkrótce.

Rudolf powoli odłożył słuchawkę. Nie zobaczymy się wkrótce, Willie, pomyślał. A w każdym razie nie na obiedzie u ciebie.

Dobrze uważaj, Willie, gdy przestępujesz próg własnego domu.

ROZDZIAŁ VII

„Kochany synu - czytał słowa skreślone krągłym charakterem pisma uczennicy. - Twój brat Rudolf był tak dobry, że dał mi Twój nowojorski adres, a zatem korzystam ze sposobności, aby nawiązać od nowa kontakt z dzieckiem utraconym przed tak wieloma laty.”

Cholerny świat! - pomyślał. Jeszcze jeden głos z innego kraju.

Dopiero co wszedł do przedpokoju i zobaczył na stole list, który go oczekiwał. Słyszał, że Teresa stuka garnkami w kuchni, a dziecko coś pokrzykuje.

- Już jestem! - zawołał, wszedł do bawialni i sprzątnąwszy strażacką sikawkę, usiadł na kanapie.

Była to kanapa kryta jaskrawopomarańczowym atlasem, na której kupno uparła się Teresa. Siedział tam teraz, trzymał list w opuszczonej ręce i zastanawiał się, czy nie podrzeć go z miejsca.

Teresa w gospodarskim fartuchu, w asyście małego weszła do pokoju.

Małe kropelki potu połyskiwały na jej malowanej twarzy.

- Dostałeś list - rzuciła.

Ostatnimi czasy nie była usposobiona najżyczliwiej, zwłaszcza gdy usłyszała, że mąż wybiera się do Anglii, a ona zostanie w domu.

- Aha.

- To kobiece pismo.

- Dostałem list od matki.

- I myślisz, że ci uwierzę?

- No to zobacz sama! - podsunął jej pod nos ćwiartkę papieru.

Pochyliła się, by list odczytać. Miała wzrok bardzo krótki, ale za nic nie chciała nosić okularów.

- Jak na matkę to diablo młodociany charakter pisma - powiedziała przystępując niechętnie do odwrotu. - Teraz znów matka! Twoja rodzina mnoży się jak króliki.

Odwróciła się i wyszła do kuchni zabierając dziecko, które wrzeszczało, że chce zostać z tatusiem.

Tom postanowił - na złość Teresie - że list przeczyta, zobaczy, co stara jędza ma do powiedzenia.

„Rudolf przedstawił mi okoliczności waszego spotkania - czytał - i muszę przyznać, byłam wstrząśnięta dokonaniem przez Ciebie wyborem zawodu. W istocie rzeczy jednak nie powinnam się dziwić biorąc pod uwagę charakter Twojego ojca, a także przykład, jaki Ci

dawał okładając pięściami obrzydliwy worek, który stale wisiał na kuchennym podwórku. W każdym razie przypuszczam że to uczciwy sposób zarabiania na życie, a Twój brat powiada, że masz obecnie żonę i dziecko, więc jak tuszę, musisz być szczęśliwy.

Rudolf nie mówił nic mi o Twojej żonie, ale spodziewam się, że Twoje życie rodzinne jest o wiele szczęśliwsze, niż było moje z Twoim ojcem. Nie wiem, czy Rudolf wspomniał Ci przy okazji, że pewnej nocy Twój ojciec przepadł wraz z kotem z piekarni.

Ja czuję się niedobrze i mam wrażenie, że moje dni są policzone.

Chciałabym wybrać się do Nowego Jorku, aby zobaczyć syna oraz wnuka, ale wszelkie podróże są teraz dla mnie bardzo trudne. Gdyby Rudolf kupił automobil zamiast motocykla, na którym uganiam się po mieście, zapewne wyprawa byłaby możliwa. Mógłby też wozić mnie w niedzielę do kościoła, dzięki czemu zaczęłabym pokutę za pogaństwo, do którego Twój ojciec zmuszał mnie przez tak wiele lat. Ale nie powinnam się skarżyć, bo ogólnie biorąc, Rudolf jest bardzo dobry, otacza mnie troskliwą opieką, a nawet kupił mi telewizor, skutkiem czego długie, samotne dni stały się znośne.

Obecnie jest tak zajęty swoimi własnymi sprawami, że rzadko kiedy wraca na noc do domu. Sądząc według rozmaitych rzeczy a zwłaszcza według tego, jak się ubiera, musi powodzić mu się dobrze. Ale on zawsze był strojnisiem i zawsze potrafił mieć trochę pieniędzy w kieszeni.

Nie mogę twierdzić uczciwie, że pragnęłabym zobaczyć całą naszą rodzinę połączoną znowu, gdyż Twoją siostrę wykreśliłam z serca z powodów słusznych i wystarczających. Natomiast widok synów pojednanych i znowu zbliżonych napęłniłby me oczy łzami radości.

Zawsze byłam zmęczona i przepracowana, a ponadto musiałam zaspokajać pijackie wymagania Twojego ojca, wobec czego nie mogłam okazywać miłości, jaką do ciebie czułam. Może jednak obecnie, pod koniec mojego życia, pokój zapanuje pomiędzy nami.

Z tonu Rudolfa wywnioskowałam, że nie potraktowałeś go zbyt życzliwie. Zapewne miałeś swoje racje po temu. Rudolf zmienił się w człowieka oziębłego, jakkolwiek dba o mnie i jest troskliwy.

Jeżeli wolałbyś się z nim nie spotkać, dam Ci znać, kiedy nie będzie go w domu, co ostatnio zdarza się coraz częściej i na coraz dłużej. W takim przypadku mógłbyś odwiedzić mnie bez przeszkód.

Ucałuj ode mnie mojego wnuczka. Kochająca Cię zawsze Matka”.

Wielki Boże! - pomyślał Tom. To głosy z grobu.

Siedział z listem w palcach, zapatrzony przed siebie. Nie słyszał, że Teresa łąje małego w kuchni. Wspominał lata spędzone nad piekarnią, kiedy - jakkolwiek mieszkał w

tym samym domu - czuł się wygnańcem bardziej niż w późniejszym czasie, gdy wypędzono go mówiąc, aby nie pokazywał się nigdy więcej. Być może odwiedzi kiedyś starą, posłucha spóźnionych skarg na pięknego Rudolfa, jej umiłowanego syna.

Pożyczy wóz od Schultza i zawiezie matkę do kościoła. Postąpi tak.

Na pewno! Niechaj cała cholerna rodzina dowie się, jak niesprawiedliwie go oceniała.

Pan McKenna - były policjant, który obecnie zajmował się tropieniem prywatnych wykroczeń - opuścił hotelowy pokój godnie, z łaskawą miną. Uprzednio wyjął raport z eleganckiej teczki z czarnej giemy i położył go na biurku Rudolfa.

- Jestem absolutnie pewien - mówił McKenna pocierając rękami łysą głowę. Był ugrzeczny, pulchny, jego pięknie wyczyszczony kapelusz leżał skromnie przy krawędzi biurka. - Jestem pewien, że to zawiera wszelkie informacje o wiadomym osobniku, jakie mogą być potrzebne szanownemu panu. Zlecone nam obserwacje były stosunkowo łatwe i nad wyraz krótkie, biorąc pod uwagę aż tak zadowalające i pełne wyniki. - Głos prywatnego detektywa zabrzmiał nutą żalu z powodu naiwnej prostoty obserwowanego, któremu należało poświęcić bardzo mało czasu, bardzo mało fachowych umiejętności. - Z całą pewnością żona stwierdzi, że każdy kompetentny adwokat uzyska dla niej rozwód na podstawie prawa o cudzołóstwie, obowiązującego w stanie Nowy Jork. Oczywiście, najzupełniej oczywiście, ona jest stroną pokrzywdzoną.

Rudolf spoglądał z obrzydzeniem na raport schludnie wypisany na maszynie. Wygląda na to, że zaaranżowanie telefonicznego podsłuchu jest równie łatwe jak kupno bochenka chleba. Za pięć dolarów służba hotelowa pozwala przytwierdzić do ściany mikrofon.

Sekretarki wyławiają z koszyków na śmiecie podarte listy miłosne i ich strzępy składają starannie - za cenę obiadu w restauracji.

Odrzucone obecnie, dawne flamy chętnie cytują całe rozdziały prozy i poezji. Dostępne są policyjne rejestry, poufne zeznania w sądach, nic nie bywa tak nieprzyjemne, by nie mogło zasługiwać na wiarę.

Podniósł słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie z Gretchen.

Słyszał, że telefonistka wykręca numer, później zabrzączał monotony sygnał. Zajęte. Odłożył słuchawkę, podszedł do okna i wyjrzał przez nie, rozsunięty zasłony. Popołudnie było zimne i szare. Smagani wiatrem przechodnie śpieszyli dokądś z podniesionymi kołnierkami. Pogoda w sam raz dla byłego policjanta.

Wrócił do telefonu, poprosił znów o numer Gretchen i ponownie usłyszał ten sam sygnał. Zirytowany odłożył z trzaskiem słuchawkę.

Chciał możliwie najszybciej mieć z głowy tę obrzydliwą sprawę. Nie wymieniając nazwisk rozmawiał z zaprzyjaźnionym adwokatem, który poradził, aby strona pokrzywdzona wyprowadziła się wraz z dzieckiem ze wspólnego mieszkania już przed wniesieniem skargi rozwodowej, jeżeli oczywiście nie istnieją możliwości niezwłocznego usunięcia współmałżonka z tegoż wspólnego mieszkania. Bezwarunkowo stronie pokrzywdzonej nie wolno przespać ani jednej nocy pod wspólnym dachem z przyszłym pozwanym.

Przed rozmową ze szwagrem i pokazaniem mu raportu detektywa, Rudolf musiał powiedzieć o tym Gretchen i uprzedzić ją, że niezwłocznie zamierza pomówić z jej mężem.

Jeszcze raz telefon był zajęty. Widocznie strona pokrzywdzona jest tego dnia usposobiona gadatliwie. Z kim rozmawia? Może to Johnny Heath, dyskretny kochanek i częsty gość w jej domu? A może ktoś inny z tych dziesięciu mężczyzn, z którymi Gretchen nie chce więcej sypiać. Najłatwiejsza w całym Nowym Jorku dupa. Moja siostra.

Spojrzał na zegarek. Za pięć czwarta. Willie powinien już być w redakcji, drzemać słodko po cocktailach wypitych przed lunchem.

Rudolf podniósł słuchawkę, poprosił o numer szwagra. Odpowiedziały mu aż dwie sekretarki - dwa bezcielesne, zawodowo słodkie głosy.

- Witaj, o książkę kupców - przemówił później Willie. - Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - Jego głos świadczył o co najmniej trzech martini.

- Willie - powiedział Rudolf. - Musisz przyjść zaraz do mojego hotelu.

- Ależ, mój drogi... Jestem tu, kapujesz, uwiązany, więc...

- Willie! Ostrzegam cię, że lepiej będzie, jeżeli przyjdiesz zaraz.

- Fajno - zgodził się pokornie Willie. - Zamów mi coś do wypicia.

Willie - bez czegoś do wypicia przed sobą - siedział na krześle zajmowanym uprzednio przez byłego policjanta i z uwagą czytał raport. Rudolf stał przed oknem, wyglądał na ulicę. Usłyszał szelest papieru, gdy jego szwagier odłożył maszynopis.

- Wygląda na to, że pracowity i zaradny ze mnie chłopak, no nie? - odezwał się Willie.

- I co z tym myślisz zrobić? - palcami stuknął w raport.

Rudolf sięgnął po sczeplone spinaczem arkusiki, podarł je i strzępki wrzucił do kosza na śmieci.

- Co to znaczy? - zdziwił się Willie.

- To znaczy, że takich środków nie mogę używać. Nikt nie zobaczy tego raportu, nikt o nim nie usłyszy. Jeżeli twoja żona chce uzyskać rozwód, niech wykombinuje jakiś inny sposób.

- Aha. To był pomysł Gretchen?

- Niezupełnie. Powiedziała, że chce się ciebie pozbyć, ale zatrzymać dziecko, a ja zaofiarowałem pomoc.

- Związki krwi są mocniejsze niż małżeńskie. Tak to wygląda?

- Mniej więcej. Ale nie dla mnie. Tym razem.

- Niewiele brakowało, a księżę kupców zeświniłby się cholernie.

- A zeświniłbym się. Rzeczywiście.

- Czy moja umiłowana małżonka wie, że masz przeciwko mnie takie rzeczy?

- Nie. I nie dowie się nigdy.

- Rychło nadejdą dni - podjął Willie - gdy będę głosił chwałę mojego wielkiego szwagra. Powiem synowi: „Przypatrz się dobrze swojemu szlachetnemu wujowi, a z pewnością dostrzeżesz nad jego głową blask aureoli”. Cholerny świat! Przecież musi być w tym hotelu coś do wypicia.

Rudolf dobył z ukrycia butelkę. Osądził, że mimo wszystkich swoich żartów Willie ma w tej chwili minę człowieka straszliwie spragnionego. Istotnie, wypił duszkiem pół szklanki whisky.

- Kto pokrył koszty tego szpiclowania? - zapytał.

- Ja.

- Ile wyniosły?

- Pięćset pięćdziesiąt dolarów.

- Szkoda, że nie zwróciłeś się do mnie. Za pół ceny uzyskałbyś te same informacje. Mam ci uregulować dług?

- Nie mówmy o tym. Nie dostałeś ode mnie prezentu ślubnego. Uważaj to za taki prezent.

- Lepszy niż srebrna taca, co? Dziękuję, drogi szwagrze. Zostało coś w butelce? - zapytał Willie.

Rudolf nalał mu whisky.

- Lepiej bądź trzeźwy - powiedział. - Masz przed sobą rozmowę bardzo serio.

- Aha. To był dzień godny pożałowania dla wszystkich, kiedy twojej siostrze postawiłem butelkę szampana w barze „Algonquin”. - Uśmiechnął się mętnie. - Kochałem ją tamtego popołudnia, kocham ją dzisiaj. I co? Trafiłem do kosza na śmieci. - Dramatycznym gestem wskazał strzępy raportu prywatnego detektywa, spoczywające w blaszanym śmietniku, który zdobiła scena myśliwska: jeźdźcy w jaskrawo-czerwonych surdutach. - Czy ty wiesz, co to jest miłość?

- Nie wiem.

- Ja także. - Willie wstał. - No to już pójdę. Dzięki za interesujące pół godzinki.

Wyszedł z pokoju nie kwapiąc się do podania ręki.

Tom był pełen niedowierzania, gdy zatrzymał się przed domem.

Jeszcze raz spojrzął na kartkę, którą dostał od brata. Chciał się upewnić, że trafił pod właściwy adres. Znów mieszkanie nad sklepem i w otoczeniu wcale nie lepszym niż tamto dawne, w Port Philip.

Patrząc na Rudolfa w pretensjonalnym pokoju hotelowym w „Warwick”, słuchając jego słów, można by sądzić, że facet opływa w dostatki.

Ha, jeżeli tak jest, to nie trwoni pieniędzy na komorne.

Może w tej dziurze trzyma starą, a dla siebie ma luksusowy lokal w jakiejś innej dzielnicy miasta. Kto wie? To do drania podobne.

Tom wszedł do obskurnej sieni i zobaczył nazwisko Jordach wypisane obok dzwonka. Nacisnął guzik i czekał, aż odpowie mu brzęczyk. Ale nic się nie działo. Telefonował uprzednio i na ten dzień zapowiedział swoją wizytę, a matka obiecała, że będzie w domu. Nie mógł załatwić tego w niedzielę, bo gdy napomknął coś Teresie, zaczęła płakać. Niedziela jest jej dniem, szlochała, więc nie pozwoli, żeby ją wykiwała jakaś stara wiedźma, która nawet nie przysłała pocztówki, kiedy jej wnuk przyszedł na świat. Wobec tego zostawili dziecko w Bronx, u siostry Teresy, sami zaś poszli do kina przy Broadwayu, a później na obiad do „Toots Shor”, gdzie jakiś reporter sportowy rozpoznał Toma. W rezultacie Teresa miała wielki dzień - wart może dwudziestu dolarów, które kosztował obiad.

Ponownie nacisnął guzik dzwonka i znowu czekał daremnie. Pewno, pomyślał z goryczą. Rudolf zatelefonował w ostatniej chwili i kazał mamie przyjechać do Nowego Jorku, by mu wyczyściła buty czy coś takiego. No i mamusia pośpieszyła w radosnych podskokach.

Odwrócił się z uczuciem niemal ulgi. Ostatecznie pomysł był od początku głupi. Niech śpiące matki odpoczywają w spokoju. Już u wyjścia z sieni usłyszał brzęczyk. Zawrócił i otworzył drzwi klatki schodowej.

Na podeście pierwszego piętra w otwartych drzwiach stała ona - wyglądająca na stuletnią staruszkę. Postąpiła dwa kroki w jego stronę i wtedy zrozumiał, dlaczego czekał tak długo. Przejście przez pokój musiało jej zająć co najmniej pięć minut. Teraz już płakała i wyciągała ręce gotowe do uścisków.

- Mój synu, mój synu - wołała chwyciwszy go w ramiona cienkie jak patyki. - Myślałam, że już nigdy ciebie nie zobaczę.

Mocno pachniała wodą kwiatową. Tom ucałował jej wilgotny policzek zastanawiając się, co właściwie czuje.

Matka ujęła go pod rękę i poprowadziła do mieszkania. Bawialnia była mała, ciemna i Tom poznał natychmiast meble z pokoju przy Vanderhoff Street. Już wtedy były stare i podniszczone. Teraz sprawiały wrażenie kompletnej ruiny. Przez otwarte drzwi zajrzał do następnego pokoju, gdzie zobaczył biurko, pojedyncze łóżko i wszędzie rozrzucone książki.

Stać go było na kupno aż tylu książek, pomyślał, więc mógł sobie pozwolić i na nowe meble.

- Siadajże, siadaj - ciągnęła z podnieceniem, wiodąc go w stronę jedyne, obszernego fotela. - Jakież to cudowny dzień!

Głos miała płaczliwy, wyrobiony przez długie lata utyskiwań. Jej nogi były bezkształtne, opuchnięte i jak kaleka nosiła miękkie, bardzo szerokie pantofle. Ogólnie biorąc, poruszała się tak, jak gdyby dawno uległa jakiemuś wypadkowi.

- Wyglądasz wspaniale. Absolutnie wspaniale! - Tom rozpoznał używane przez nią często słowa z „Przeminęło z wiatrem”. - Obawiałam się, że mój najmłodszy będzie miał twarz całkiem zniekształconą, ale wyrosłeś na przystojnego mężczyznę. Od razu widać, że wdałeś się w moją rodzinę irlandzką. Nie tak jak tamci dwoje.

Nieporadnie podrygiwała przed Tomem, który sztywno siedział w fotelu. Miała na sobie suknię w kwiatowy deseń, zwisającą luźno na jej wychudłym ciele. Wyglądające spod spódnicy obrzękłe nogi sprawiały wrażenie, jak gdyby przeznaczone były dla innej kobiety.

- Jaki śliczny szary garnitur. - Dotknęła rękawa marynarki. - Garnitur godny dżentelmena. A obawiałam się, że znów zobaczę cię w swetrze. - Roześmiała się, jak gdyby dzieciństwo najmłodszego syna obrosło już legendą. - Wiedziała, była pewna, że los nie potraktuje mnie okrutnie, że przed śmiercią pozwoli mi zobaczyć twarz mojego dziecka. A teraz chciałabym spojrzeć w twarz wnuka.

Masz zdjęcie, co? Na pewno nosisz je w portfelu, jak każdy ojciec dumny ze swojej pociechy.

Tom sięgnął po fotografię dziecka.

- Jak mu na imię? - zapytała matka.

- Wesley.

- Wesley Pease - powiedziała. - To brzmi ładnie.

Tom nie wyjaśnił, że chłopczyk nazywa się Wesley Jordach. Nie wspomniał także o trwających tydzień walkach o mniej wyszukane imię. Był uparty, ale Teresa płakała i robiła awantury; więc w rezultacie ustąpił.

Matka popatrzyła na amatorskie zdjęcie załzawionymi oczyma.

Ucałowała je tkliwie.

- Śliczne, kochane maleństwo - westchnęła.

Tom nie pamiętał, by całowała jego, kiedy był małym dzieckiem.

- Musisz zawieźć mnie do swojego domu, pokazać mi wnuka.

- Ma się rozumieć.

- I to niedługo.

- Jak tylko wrócę z Anglii.

- Z Anglii! Ledwie odnaleźliśmy się po latach, a ty wyjeżdżasz na drugi koniec świata.

- To potrwa tylko parę tygodni.

- Musisz być bogaty, jeżeli stać cię na taką wycieczkę.

- Mam tam robotę - wyjaśnił unikając określenia „mecz”. - Zwrócą mi koszty podróży.

Wolał nie stwarzać wrażenia - błędnego zresztą - że jest bogaty. W rodzinie Jordachów znacznie bezpieczniej skarżyć się na biedę. No i w obecnych warunkach wystarczała mu jedna kobieta, która poluje na każdego centa.

- Spodziewam się, że robisz oszczędności - podjęła matka. - W twoim zawodzie...

- Robię oszczędności - przerwał. - Nie martw się o mnie. - Rozejrzał się dokoła. - Ale Rudi to dusi swoje pieniądze.

- Aha... Myślisz o tym mieszkaniu. Nie najlepsze, prawda? Ale nie mogę się skarżyć.

Rudi opłaca kobietę, która co dzień przychodzi.

Sprząta tu i robi sprawunki wtedy, kiedy za trudno wgramolić mi się na schody. No i Rudi powiada, że rozgląda się za czymś większym. Na parterze: Żeby wygodniej mi było, bez schodów. O swojej pracy mało co mówi, ale w zeszłym miesiącu przeczytałam artykuł w gazecie. Pisali tam, że jest najbardziej obiecującym młodym handlowcem w naszym mieście, więc myślę, że musi mu się nieźle powodzić. Ale ma rację, że nie jest rozrzutny. Pieniądze to przekleństwo naszej rodziny. One przedwcześnie zrobiły ze mnie starą babę. - Westchnęła ze współczuciem dla samej siebie. - Twój ojciec miał bzika na tym punkcie. Bez awantury nie mogłam nigdy wycisnąć z niego dziesięciu dolarów na absolutnie niezbędne wydatki. Jak trafisz do Anglii, wybadaj dyskretnie, czy go tam ktoś przypadkiem nie widział. Ten człowiek musi gdzieś być.

Ostatecznie to Europejczyk, więc naturalnym porządkiem rzeczy powinien się ukrywać w Europie.

Ma fioła, pomyślał Tom. Biedna starowina. Rudi nie uprzedził mnie o tym. Ale odpowiedział:

- Dobrze. Popytam o ojca, kiedy będę w Anglii.

- Poczciwy z ciebie chłopiec! Zawsze zdawałam sobie sprawę, tak w głębi serca, że z natury jesteś dobrym dzieckiem, tylko ulegasz wpływom złych kolegów. Gdybym miała czas, gdybym mogła być taką jak trzeba matką rodziny, z pewnością uchroniłabym cię od wielu przykrości. Musisz być surowym ojcem. Kochającym, ale surowym. Czy twoja żona to dobra matka?

- Aha. Dobra.

Wolał nie mówić o Teresie. Spojrzał na zegarek. Rozmowa i ciemny, nędzny pokój wpływały nań przygnębiająco.

- Posłuchaj, mam. Dochodzi pierwsza. Nie wybierzesz się ze mną na lunch, co? Wóz mam na dole.

- Na lunch? Do restauracji? - roześmiała się po dziewczęcemu. - Cudowny pomysł. Dorosły, silny syn zabiera na lunch swoją sędziwą matkę.

- Pojedziemy do najlepszego lokalu w mieście - obiecał.

W powrotnej drodze, kiedy pod wieczór prowadził wóz Schultza w kierunku Nowego Jorku, wspominał miniony dzień i zastanawiał się, czy kiedykolwiek odbędzie taką wycieczkę ponownie.

Z dzieciństwa i wczesnej młodości pozostał mu w pamięci obraz matki jako swarliwej, wiecznie niezadowolonej, surowej kobiety, która fanatycznie uwielbia starszego syna, ze szkodą dla młodszego. Obecnie była to bezradna, godna politowania starowina, tragicznie osamotniona, spragniona miłości, zachwycona najbardziej nawet znikomymi względami.

W restauracji zaproponował jej coctail, po którym matce zakręciło się trochę w głowie. Chichotała trochę i kilkakrotnie powtarzała:

„Nieznośna jestem. Prawda?”

Po lunchu obwioził ją po mieście i ze zdumieniem odkrył, że matka wcale nie zna Whitby. Mieszkała tu od lat, lecz nie widziała właściwie nic - nawet uczelni, którą ukończył jej syn.

- Nie miałam pojęcia, że to takie piękne miasto - powtarzała w zamożnych dzielnicach, gdzie okazałe domy stały na tle trawników i w otoczeniu drzew.

A gdy mijali dom towarowy Calderwooda, powiedziała:

- Nie wyobrażałam sobie, że to coś aż tak dużego. Bo, widzisz, nigdy tu nie byłam. I pomyśleć, że Rudi faktycznie prowadzi to przedsiębiorstwo!

Przez całe popołudnie była bardzo rozmowna. Po raz pierwszy opowiadała Tomowi o swoim życiu w przytułku. („Byłam najzdolniejsza z całej klasy. Na zakończenie dostałam

nagrodę”.)

Mówiła także o pracy w charakterze kelnerki i o tym, że wstydziła się swojego nieślubnego pochodzenia, i że w Buffalo chodziła do szkoły wieczorowej, by uzupełnić wykształcenie. Mówiła, że nigdy nie dała pocałować się żadnemu mężczyźnie, póki nie poślubiła Aksela Jordacha, a w dniu swojego ślubu ważyła tylko dziewięćdziesiąt dwa funty. Mówiła, jakie piękne było miasto Port Philip w dniu, gdy z Akselem przyjechali tam obejrzeć piekarnię.

Mówiła o białym parowcu wycieczkowym i kapeli wygrywającej walce na pokładzie. O urokach dzielnicy w czasie, gdy się tam osiedlili, o swoich marzeniach na temat małej, zacisznej restauracyjki, o nadziejach, jakie żywiła dla swoich dzieci...

Kiedy Tom odwiózł ją do domu, zapytała, czy mógłby jej dać fotografię Wesleya, którą oprawi w ramki i postawi na stole w swoim pokoju. Spełnił jej prośbę, a wtedy pokuściła do swojego pokoju i wróciła niosąc własne, poślótkę z wiekiem zdjęcie, zrobione kiedy miała dziewiętnaście lat. Była na nim ubrana w długą białą suknię, smukła, poważna i bardzo ładna.

- Masz - powiedziała. - Chcę, żebyś to zachował.

W milczeniu przypatrywała się Tomowi, gdy pieczołowicie chował fotografię do portfela - w to samo miejsce, w którym trzymał uprzednio zdjęcie swojego syna.

- Widzisz - podjęła - teraz jesteś mi bliższy niż ktokolwiek inny w świecie. Obydwoje jesteśmy ludźmi podobnego pokroju. Jesteśmy prości. Nie tak jak twoja siostra i twój brat. Ma się rozumieć, kocham Rudolfa i słusznie mu się to należy, ale nie rozumiem go wcale. Czasami lękam się go nawet. No a ty... - roześmiała się swobodnie. - Taki rosły, silny mężczyzna, który na życie zarabia pięściami! Ale z tobą czuję się swobodnie, prawie tak, jak gdybyśmy byli rówieśnikami, prawie tak, jak gdybym miała brata. No a dzisiejszy dzień... Dzisiejszy dzień był cudowny. Jestem więźniem, który dopiero co opuścił celę.

Pocałował ją, a ona przytuliła się do niego na chwilę.

- Wiesz co? - podjęła. - Od twojego przyjazdu nie wypaliłam ani jednego papierosa.

O zmierzchu prowadził wóz wolno, myślał o minionym popołudniu.

Przed przydrożnym zajazdem zatrzymał się, wszedł do pustego baru i zamówił whisky. Sięgnął po portfel i zapatrzył się w fotografię młodej dziewczyny, która później została jego matką. Był rad, że wybrał się w te odwiedziny. Może jej względy nie były dziś wiele warte, lecz na długą metę on zwyciężył w wyścigu o tę nagrodę. Sam w cichym barze rozkoszował się niezwykłym spokojem. Przynajmniej przez godzinę mógł być w zgodzie z

sobą, bo tego dnia ubyła na świecie jedna osoba z tych, które musiał nienawidzić.